



DZIEWIĘĆ
ŻYC

Chloe
King



LIZ BRASWELL

Liz Braswell

Dziewięć żyć Chloe King

**Przełożyli
Bożena Józwiak
Michał Józwiak**

TOM 1

UPADŁA

PROLOG

Był niezmordowany i bezbłędnie podążał jej tropem.

Zwróciła na niego uwagę godzinę temu w barze, kiedy osunął mu się rękaw i dostrzegła ozdobne czarne znamię. Zawijasy atramentu i blizn układały się w dobrze jej znane słowa: *Sodalitas Gladii Decimi*. [Bractwo Dziesiątego Ostrza]

Musiała uciekać.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała przed siebie. Zaczęła przeskakiwać stosy śmieci i kałuże z precyzją akrobatki. Napędzał ją strach. Z którą ulicą łączy się ta alejka? Czy gdzieś niedaleko jest jakieś miejsce – nawet całodobowa stacja benzynowa – w którym mogłaby się schronić? Nagle poczuła zapach świeżego, wilgotnego powietrza i zrozumiała, że ma przed sobą drogę ucieczki: koniec alei zagrażała brama zwieńczona drutem kolczastym.

Kiedy składała się do skoku, jej głowę wypełniało poczucie triumfu i wolności.

Coś wryło się w jej lewą nogę, rozpruwając mięsień.

Chwyciła się kurczowo bramy. Zraniona noga zawisała bezwładnie. Kiedy wyciągnęła rękę, żeby się podciągnąć, ledwo słyszalny furkot oznajmił nadejście kolejnego ataku. Sekundę później leżała na ziemi.

– Obawiam się, że jesteś w potrzasku – powiedział denerwująco spokojny głos.

Rozpaczliwym wysiłkiem próbowała się odczołgać, byle znaleźć się jak najdalej od napastnika, ale nie miała

dokąd uciekać.

– Proszę... nie... – pisnęła, wspierając się plecami o mur. – Nie jestem tym, za kogo mnie masz. Nie jestem zła...

– To zrozumiałe, że tak sądzisz.

Usłyszała delikatny dźwięk cienkiego, niedużego ostrza wyciąganego z pochwy.

– Nigdy nikogo... Nigdy bym *nikogo* nie skrzywdziła! Błagam! Podciął jej gardło.

– *Id tibi facio, Deus* [Robię to dla Ciebie, Boże.] – wyszeptał, przykładając do serca krawędź lewej dłoni, tak że kciuk na środku klatki piersiowej był skierowany ku górze. Z ust umierającej dziewczyny wydobyło się delikatne westchnienie. Jej szyję znaczyła cienka strużka krwi – dowód doskonałego wyszkolenia zabójcy. Mężczyzna schylił głowę. – Jako wierny sługa Bractwa Dziesiątego Ostrza. *Pater Noster, Rex Gentius.* [Ojczy Nasz, Panie naszego narodu.]

Przechylił jej głowę, by wyglądała bardziej naturalnie, i zamknął jej oczy. Następnie wytarł malutkie srebrne ostrze w chusteczkę, przykucnął koło swojej ofiary i czekał.

Kiedy się ocknie, zabije ją ponownie.

ROZDZIAŁ 1

Chloe obudziła się i natychmiast postanowiła, że zamiast do liceum im. Parkera S. Shannona, które zazwyczaj odwiedzała we wtorki, uda się do wieży Coit Tower.

Za niecałe dwadzieścia cztery godziny miała skończyć szesnaście lat i nie zapowiadało się, że będzie jej dane świętować tę okazję w jakikolwiek sensowny sposób – Paul spędzał środy w domu swojego ojca w Oakland, na domiar złego jej mama wspomniała coś o „ewentualnym wyjściu do jakiejś dobrej restauracji”. Co to właściwie jest „dobra” restauracja? Knajpa, w której serwują rybę fugu *i foie gras*, a karta win ma więcej stron niż podręcznik historii cywilizacji amerykańskiej? Nie, dziękuję.

Gdyby mama Chloe dowiedziała się o planowanej wyprawie do Coit Tower, zabroniłaby córce wychodzić z domu, skutecznie uniemożliwiając zjedzenie obiadu na mieście. Wówczas, uziemiona i samotna, miałyby *pełne prawo* czuć się nieszczęśliwa w swoje szesnaste urodziny. Nie wiedzieć dlaczego, ta możliwość wydała się Chloe całkiem pociągająca.

Zadzwoiła do Amy.

– Hej, nie chcesz się przejść do wieży zamiast na fi-zykę?

– Jasne – odpowiedziała natychmiast Amy. Jej głos ani trochę nie przypominał głosu osoby, która właśnie wstała z łóżka. Nie było w tym nic dziwnego. Mimo uporczywego

pozowania na postpunkową rebeliantkę, przyjaciółka Chloe należała do rannych ptaszków. Pozostawało zagadką, jak sobie radziła ze spotkaniami poetyckimi odbywającymi się o drugiej nad ranem. – Dobra, będę tam o dziesiątej. Jak załatwisz paliwo, to przyniosę bajgle.

Przez paliwo Amy rozumiała charakterystyczną półlitrową kawę z Café Eland, którą zaparzano wodą z dodatkiem kofeiny.

– Okej.

– Chcesz, żebym zadzwoniła po Paula?

Dziwne. Amy nie miała w zwyczaju oferować pomocy, a już na pewno nie w organizowaniu wspólnych zajęć.

– Nie, zamierzam wzbudzić w nim wyrzuty sumienia.

– Odważna jesteś. Do zobaczenia.

Chloe zwlokła się z łóżka i zawinęła w kołdrę, która – podobnie jak niemal całe wyposażenie pokoju – pochodziła z salonu IKEA. Mama Chloe gustowała w kolorze pomarańczowym i turkusowym, w abstrakcyjnych figurkach plemiennych oraz blokach piaskowca, z czego nic nie pasowało do ich aktualnego mieszkania w badziwnym szeregowcu pośrodku średnio zamożnej dzielnicy San Francisco. Budżet designerski samej Chloe również był ograniczony. Jako że butik Pateena Vintage Clothing odmawiał płacenia więcej niż pięć i pół dolara za godzinę, różnokolorowe bryły pochodzenia skandynawskiego oraz meble o niemożliwych do wymówienia nazwach musiały na razie wystarczyć. *Wszystko* było lepsze niż styl Południowego

Zachodu.

Chloe stanęła naprzeciwko szafy w bokserkach i podkoszulku. Nareszcie doczekała się talii. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś ścisnął jej brzuch, którego zawartość rozeszła się na piersi i tyłek. I co z tego, że wyglądała seksowniej, skoro na samą *wzmiankę* o chłopakach innych niż Paul matka zabraniała jej wychodzić z domu.

Ziewając, siadła przed komputerem i potrząsnęła myszką. Jeśli Paul żył i nie spał, to niemal na pewno robił coś na swoim komputerze. Tak jak się spodziewała, jego imię na liście kontaktów było wyświetlone pogrubioną czcionką.

Chloe:

Idziemy dzisiaj z Amy do Coit Tower. Chcesz się przejść?

Paul:

[długo nic]

Chloe:

?

Paul:

Rozumiem, że mam się zgodzić, bo inaczej będzie mi głupio, że wyjeżdżam w twoje urodziny?

Chloe:

:)

Paul:

Bosz! Dobra, powiem Wigginsowi, że National Honor Society [Amerykańskie stowarzyszenie zrzeszające najlepszych uczniów.] zafundowało nam wycieczkę czy coś.

Chloe:

Paul, JESTEŚ ZAJEBISTY!!! Paul:

Ta, jasne. DZ.

Na twarzy Chloe pojawił się uśmiech. Może jej urodziny da się jeszcze uratować.

Wyjrzała przez okno – jak zwykle mgła. Inner Sunset, czyli dzielnica, w której mieszkały z mamą, było najbardziej zamgloną okolicą w San Francisco – mieście słynącym z mgły. Amy ją uwielbiała, ponieważ sprawiała wrażenie nawiedzanej i pełnej tajemnic, a na dodatek przywodziła na myśl Anglię (Amy nigdy nie była w Anglii). Chloe natomiast nie znosiła wilgotnych, napawających smutkiem poranków, wieczorów i popołudni, przed którymi uciekała, kiedy tylko mogła, w słoneczniejsze, wyżej położone miejsca – jak park Coit Tower.

Chloe postanowiła nie ryzykować i ubrała się jak do szkoły – w dżinsy, T-shirt i dżinsową kurtkę z Pateeny w autentycznym stylu lat osiemdziesiątych. Kurtka na jednym rękawie miała nawet tekst piosenki zespołu Styx, który wyglądał, jakby go ktoś starannie napisał długopisem. Kiedy skończyła z garderobą, opróżniła torbę na ramię i schowała podręczniki pod łóżkiem. Następnie zeszła niedbałym krokiem na parter, starając się naśladować swoje normalne marudne poranne nastawienie.

– Szybko się dzisiaj pojawiłaś – zauważyła podejrzliwie matka.

Chloe nie chciała zaczynać tego dnia od kłótni, więc powstrzymała westchnięcie. Od kiedy skończyła dwana-

ście lat, *każde* zachowanie, które odbiegało od normy, spotykało się z podejrzliwością ze strony mamy. Kiedy po raz pierwszy ścięła włosy na krótko – na dodatek za *własne* pieniądze – mama chciała koniecznie wiedzieć, czy Chloe nie jest lesbijką.

– Umówiłam się z Amy na kawę przed szkołą – odpowiedziała Chloe tak grzecznie, jak tylko potrafiła, przy okazji sięgając do lodówki po pomarańczę.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało staroświecko, ale...

– Tak? Przez kawę zatrzymam się w rozwoju?

– Zacznieś brać narkotyki. – Pani King oparła dłonie na biodrach. W czarnych rybaczkach od Donny Karan, jedwabno–wełnianym sweterku z dużym okrągłym dekoltem i fryzurą na chłopczycę wyglądała bardziej na modelkę z reklamy wina Chardonnay niż na mamę.

– Jasne – wyrwało się Chloe.

– W „The Week” jest artykuł. – Mama Chloe przy-mrużyła szare oczy i wydeła idealnie podkreślone usta. – Picie kawy prowadzi do palenia papierosów, potem przychodzi kolej na marihuanę, a w końcu sięga się po amfetaminę.

– *Amfę*, mamó. *Amfę*. – Chloe pocałowała mamę w policzek i skierowała się w stronę drzwi.

– Rozmawiam z tobą o szkodliwości palenia, jak radzą w tych telewizyjnych spotach!

– Przyjęłam do wiadomości! – odkrzyknęła Chloe i, nie odwracając się, pomachała jej ręką.

Chloe minęła Irving Street i skierowała się dalej na północ, aż dotarła do południowej granicy parku Golden Gate. Po drodze zatrzymała się w Café Eland, gdzie kupiła obiecane kawy oraz colę light dla Paula, który nie brał udziału w kofeinowych ekscesach. Amy czekała na nią na przystanku, zaopatrzona w torbę bajgli, plecak kostkę i komórkę.

– Wiesz, prawdziwe punkowy nie... – Chloe przyłożyła rękę do ucha i potrząsnęła nią, udając, że rozmawia przez telefon. – Spadaj! – Amy zdjęła plecak i wrzuciła do niego telefon, udając, że jej na nim nie zależy.

Tego dnia była ubrana w krótką, wystylizowaną na kilt spódnicę w szkocką kratę, czarny golf, kabaretki i okulary z oprawkami w kształcie kocich oczu. W sumie osiągnęła coś pomiędzy zbuntowaną bibliotekarką a punkowym geekiem.

Dziewczyny jechały autobusem w przyjaznym milczeniu, popijając kawę i ciesząc się, że mają gdzie usiąść. Amy może i lubiła wcześniej wstawać, ale Chloe potrzebowała jeszcze co najmniej godziny, aby w pełni odzyskać zdolność komunikowania się z innymi ludźmi. Jej przyjaciółka zrozumiała to lata temu i od tego czasu uprzejmie się dostosowywała.

Widok z okna autobusu nie był zachęcający – ot, kolejny zwyczajny czarno–biało–szary wczesny poranek w San Francisco, pełen zmierzających do pracy ludzi o smutnych twarzach i bezdomnych zajmujących swoje miejsca na narożnikach ulic. Odbicie twarzy Chloe

w zabrudzonej szybie było prawie monochromatyczne, z wyjątkiem jasnobrażowych oczu. Kiedy autobus dotarł do Kearny Street i wyszło słońce, świeciły niemal na pomarańczowo.

Chloe poczuła, że wraca jej humor – widok, który miała przed sobą, wreszcie przypominał San Francisco z kartek pocztowych i marzeń. Miasto oceanu, nieba i słońca. Było naprawdę piękne.

Kiedy dotarły do wieży, Paul już na nie czekał. Siedział na schodach i czytał komiks.

– Wszystkiego najlepszego z okazji przedurodzin, Chloe – rzucił, podnosząc się i lekko całując ją w policzek, co jak na niego było zaskakująco dojrzałym i delikatnym zachowaniem. Wyciągnął przed siebie brązową torebkę.

Chloe, zaintrygowana, uśmiechnęła się i odpakowała podarunek. W środku znajdowała się plastikowa butelka wódki Popov.

– Stwierdziłem, że skoro już idziemy na wagary, to trzeba się zabrać do tego jak należy. – Uśmiechnął się szeroko, mrużąc oczy tak mocno, że zmieniły się w wąziutkie szparki zasznutowane rzęsami. W miejscu, gdzie na jego krótkich czarnych włosach pokrytych nadmierną ilością żelu spoczywały słuchawki, pozostało delikatne wgłębienie.

– Dzięki, Paul! – Chloe wskazała palcem szczyt wieży: – To co, idziemy?

– Gdybyście musieli wybrać jeden z tych widoków na

całe życie, na który byście się zdecydowali? – zapytała Chloe.

Amy i Paul uznali to pytanie za na tyle interesujące, by oderwać od siebie wzrok. Cała trójka siedziała na wieży od godziny, nie robiąc nic szczególnego, a para najlepszych przyjaciół Chloe od czasu do czasu wymieniała się spojrznięciami, po których następował nerwowy śmiech.

Bardzo szybko zrobiło się to nudne.

Przez połowę okien Coit Tower widać było zapierającą dech w piersiach panoramę skąpanego w słońcu San Francisco, a przez dziewięć pozostałych bezkształtną, szarawą otchłań.

– Gdybym musiała wybierać, to poczekałabym, aż wyjdzie słońce – stwierdziła Amy, pragmatyczna jak zawsze. Aby podkreślić swój punkt widzenia, zakreśliła trzymanym w ręce kubkiem z kawą, mieszając jego zawartość. Chloe westchnęła – powinna była przewidzieć tę odpowiedź.

Paul spacerował od okna do okna, okazując dużo większe zainteresowanie zabawą.

– Hmm, most wygląda pięknie jak jest mgła albo chmury, albo zachód słońca, albo o poranku...

– Nuuuda! – przerwała mu Amy.

– Transamerica Pyramid [Charakterystyczny wieżowiec w kształcie ostrosłupa. Najwyższy budynek w San Francisco.] ma zbyt ostre kształty i jest jakiś dziwny...

– I falliczny.

– Chyba najbardziej podoba mi się port – zdecydował

Paul. Wyglądając nad jego ramieniem, Chloe zwróciła uwagę na małe kolorowe jachty popychane w różne strony przez wiatr oraz senne, rozmyte wyspy widoczne w oddali. Uśmiechnęła się. *Dokładnie* czegoś takiego spodziewała się po Paulu.

– Na pewno *nie* Russian Hill – dodała Amy, starając się odzyskać kontrolę nad rozmową. – To osiedle jest obłeśne przez duże o.

– Dobrze, że nie zwlekałeś z decyzją, Paul...

Na ich oczach nisko wiszące chmury stoczyły się ze wzgórz i zasłoniły wszystkie dziewięć okien od strony miasta, zastępując dotychczasowe widoki nieprzejrzystą bielą. Za sprawą durnej jak zwykle pogody słoneczny dzień pod niebieskim niebem pokrytym puchatymi chmurkami, który miał być nagrodą za ucieczkę z Inner Sunset, skończył się tak szybko, jak się zaczął.

Chloe trochę inaczej wyobrażała sobie te urodzinowe wagary.

Szczerze mówiąc, miała w zwyczaju oczekiwać więcej niż należałoby – w tym wypadku zakładała, że przeżyje z przyjaciółmi najlepszą przygodę życia w stylu *Stać przy mnie* czy też *Wolnego dnia pana Ferrisa Buellera*.

– Słuchaj – Amy zmieniła nagle temat – o co chodzi z tobą i towarzyszem Ilychovichem?

Chloe westchnęła i osunęła się plecami po ścianie, wypijając ostatni łyk z kubka. Jego zawartość, podobnie jak kubka Amy, była zaprawiona prezentem urodzinowym. Paul zdążył w międzyczasie wypić swoją colę light i teraz

popijał wódkę prosto z niewiarygodnie obciachowej plastikowej butelki. Chloe rozmarzonym wzrokiem przyglądała się czarnoczerwonym, cebulastym kopułom na etykiecie.

– On... jest... po prostu... *boski*.

– I nie masz u niego żadnych szans – zwróciła uwagę Amy.

– Alek jest młodym Rosjaninem o stalowych oczach i subtelnie rzeźbionych rysach twarzy – wyjaśnił Paul głosem z silnym rosyjskim akcentem. – Prawdopodobnie pracuje jako model. Źródła podają, że agentka Keira Hendelson niedługo rozpracuje jego... *przykrywkę*.

– Kij jej w oko! – Chloe cisnęła pustym kubkiem w ścianę, wyobrażając sobie, że trafia w twarz blondyneczki przewodzącej komitetowi uczniowskiemu.

– Niewykluczone, że jesteście spokrewnieni – stwierdziła Amy. – Co, jeśli jest twoim kuzynem albo siostrzeńcem, albo jest w jakiś sposób spokrewniony z twoimi rodzicami?

– Związek Radziecki zajmował olbrzymi obszar. Myślę, że z genetyką nie ma problemu. Natomiast nie bardzo wiem, jak mielibyśmy się znaleźć na tej samej *randce*.

– A nie możesz do niego po prostu podejść i *zagadać*, czy coś? – zaproponował Paul.

– Ciągłe kręci się koło niego Pani Blondynka i jej cztery ochroniarki – przypomniała Chloe.

– Kto nie ryzykuje, ten przegrywa dwa razy.

Jasne. Tak jakby sam zaprosił kogoś na randkę.

Amy dopiła resztkę kawy i beknęła.

– Kurde, muszę iść siku.

Paul oblał się rumieńcem. Zawsze się krepował, kiedy dziewczyny omawiały w jego obecności tematy związane z fizjologią, więc Chloe starała się tego nie robić.

Dzisiaj jednak czuła się... cóż, dziwnie. Niespokojna i zniecierpliwiona. Nie wspominając już o tym, że Paul i Amy trochę ją zdenerwowali. To miały być *jej* urodziny. A na razie były do bani.

– Szkoda, że nie możesz tego robić na stojąco jak Paul – powiedziała, kątem oka obserwując, jak jej przyjaciel się rumieni. – Mogłabyś stanąć na krawędzi.

Skąd jej to przyszło do głowy?

Chloe wstała. Opierając się o kamienną ścianę, spojrzała w dół. Widać było jedynie wirującą biel i, na lewo, jeden zmoczony przez wodę filar mostu Golden Gate.

Co by się stało, gdybym upuściła stąd monetę?, zastanowiła się. Zrobiłaby tunel we mgle? To by było fajne. Tunel długi na siedemdziesiąt metrów i szeroki na półtora centymetra.

Chloe stanęła w jednym z okien i zaczęła grzebać w kieszeni dzinsów w poszukiwaniu drobniaków, nie przejmując się tym, że właściwie wisi w powietrzu.

Wieża nagle przechyliła się do przodu.

– Co się... – zaczęła.

Próbowała odzyskać równowagę, odchylając się w kierunku wnęki okiennej i szukając dłonią muru, który okazał się wilgotny i śliski. W rezultacie zakołysała się

gwałtownie i straciła oparcie pod lewą stopą.

– Chloe!

Rozpaczliwie szukając sposobu, żeby się uratować, zarzuciła rękoma do tyłu. Przez krótką chwilę czuła dotyk ciepłych palców Paula. Spojrzała mu w oczy, a jego twarz rozświetlił uśmiech ulgi, który pokrył różowym rumieńcem czubki wysokich kości policzkowych. Amy wrzeszczała. Ułamki sekundy później Chloe wyslizgnęła się Paulowi, wypadła z okna i zaczęła spadać – *spadać* – z wieży.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślała. Nie mogę tak umrzeć!

Stłumione krzyki przyjaciół docierały do niej z coraz większej oddali. Coś ją uratuje, prawda?

W końcu jej głowa uderzyła o ziemię.

Ból miażdżonych kości był nie do zniesienia – miała wrażenie, że jej ciało przeszywają tysiące igieł.

Wszystko pociemniało. Czekwała na śmierć.

ROZDZIAŁ 2

Otaczała ją ciemność.

Do jej uszu dobiegały echa dziwnych hałasów, cichych kroków, a nawet krzyku, zamierające nieoczekiwanie, jakby się znajdowała w ogromnej plątanie tuneli i jaskiń. Miała wrażenie, że stoi na skraju urwiska, a gdzieś daleko w dole majaczy mglisty, nieprzyjemnie falujący krąg światła. Zrobiła krok do tyłu. Za jej plecami coś warknęło, po czym poczuła silne pchnięcie.

Runęła w pustą przestrzeń, ku światłu.

No to koniec. *Nie żyję.*

– Chloe? *Chloe?*

Dziwne. Bóg miał dość irytujący głos. Denerwująco płaczliwy.

– O Boże, ona...

– Dzwon na pogotowie!

– Nie mogła przeżyć upadku z takiej...

– ODSUŃ SIĘ!

Chloe miała wrażenie, że wiruje, a jakaś siła próbuje wcisnąć ją z powrotem w skórę.

– Ty idioto!

Amy. To *bez wątpienia* była Amy.

– Powinniśmy zadzwonić do jej mamy...

– I co jej niby powiemy? Że ona... że Chloe *nie żyje?*

– Nie mów tak! To nieprawda!

Chloe otworzyła oczy.

– O Boże... Chloe...?

Zobaczyła pochylonych nad sobą Paula i Amy. Jaśniebiejskie oczy przyjaciółki były szeroko otwarte i zaczerwienione, a po jej policzkach spływały łzy i czarne błyskawice rozmazanego makijażu.

– Ty żyyyjesz? – Zbielała twarz Paula wyrażała podziw pomieszany z przerażeniem. – Przecież to niemożliwe, żebyś... – Pomacał tył głowy i szyi Chloe. Znalazł tam jedynie odrobinę krwi, która ubrudziła mu palce.

– Ty nie... o Boże, to... cud – powiedziała powoli Amy.

– Możesz się poruszyć? – zapytał cicho Paul.

Chloe usiadła. Przyszło jej to z największym trudem, jakby musiała się wygrzebać spod tysiąca ton piachu. Kręciło się jej w głowie i przez chwilę widziała wszystko podwójnie, tak że miała przed sobą cztery płaskie sylwetki przyjaciół. Zakaszła, a potem zaczęła wymiotować. Usiłowała się przechylić na bok, ale jej ciało odmówiło posłuszeństwa.

Wreszcie torsje ustały, a wtedy zdała sobie sprawę, że Paul i Amy trzymają dłonie na jej barkach. Ledwo je czuła – zmysł dotyku dopiero jej wracał, powoli rozlewając się po skórze.

– *Powinnaś* nie żyć – stwierdził Paul. – Nie–da–się–przeżyć takiego upadku.

Uderzyło ją to, co powiedział. Miał rację. Mimo to żyła. Tak po prostu. Dlaczego jej to nie dziwiło?

– Pomóście mi wstać – powiedziała, starając się nie

zwracać uwagi na wyraz osłupienia zmieszanego z przerażeniem na twarzach przyjaciół. Paul i Amy pomogli jej się pochylić, a następnie powoli stanąć na drżących nogach. Poruszyła palcami u stóp i zgięła kolana. Działy. Ledwo.

– O kurde – rzucił Paul, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Powinniśmy cię zabrać do szpitala – stwierdziła Amy.

– Nie – zaprotestowała Chloe, zanim zdążyła się ugryźć w język.

– *Odbiło ci?* – zdenerwował się Paul. – To, że żyjesz, nie znaczy, że nie masz wstrząsu mózgu czy... Nie można spaść z siedemdziesięciu metrów i *nic* sobie nie zrobić.

Chloe nie podobał się sposób, w jaki patrzyli na nią przyjaciele. Czyż nie powinni szaleć z radości? Być wniebowzięci, że nie zginęła? Zamiast tego wpatrywali się w nią jak w ducha.

– No, idziemy. Bez dyskusji – zarządziła Amy, wysuwając do przodu trójkątny podbródek na znak, że nie zmieni zdania.

Wspólnie z Paulem pomogli Chloe wstać, podtrzymując ją za ramiona.

Mój anioł i moja diablica, pomyślała Chloe z ironią. No, może bardziej mój maniak komputerowy i moja niespełniona outsiderka.

Pękała jej głowa. Najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnęła teraz aspiryny.

I chwili samotności, żeby to wszystko *przemyśleć*.

W szpitalu miała mnóstwo czasu na myślenie. Gorzej z samotnością. Po tym, jak Amy histerycznie opowiedziała o *strasznym* wypadku *przyjaciółki*, pielęgniarka z rejestracji rzuciła okiem na zupełnie zdrowo wyglądającą Chloe i odesłała całą trójkę do poczekalni, na koniec kolejki bezdomnych z widocznymi obrażeniami w postaci złamań, otarć i ropiejących ran.

Paul wziął na siebie wypisanie papierów i podanie informacji kontaktowych, ale Chloe i tak straciła cierpliwość po godzinie daremnych prób dopasowania swoich objawów do jakiegokolwiek choroby.

– Słuchajcie, może już stąd pójdziemy? – wysyczała. – *Nic* mi nie jest.

– Jasne – odpowiedział Paul, sięgając po *Vogue*'a sprzed trzech miesięcy.

– Nie dotykaj tego – powiedziała Amy, powstrzymując jego dłoń. – Zarazki – wyjaśniła, po czym odwróciła się do Chloe: – Zleciałaś z jakiegoś miliona metrów prosto na *głowę*, Chlo.

Minęło kolejne pół godziny. Wpatrywali się w podwieszony pod sufitem ściszony telewizor, na którego ekranie przewijał się ciąg niezrozumiałych wiadomości o wojnie w Iraku, Wall Street i znalezionym w ślepej uliczce ciele jakiejś dziewczyny.

O czwartej pracownicy szpitala uznali, że przyszła kolej na przyjęcie Chloe. Amy i Paul chcieli z nią wejść,

ale rejestratorka powstrzymała ich ruchem ręki.

– Tylko rodzina – powiedziała.

Amy odwróciła się do przyjaciółki, marszcząc w uśmiechu piegowaty nos. Był to jej „słodki” wyraz twarzy, który – jak Chloe wiedziała – godzinami ćwiczyła przed lustrem. Niestety szlachecki nos całkowicie niweczył jej wysiłki.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję – szepnęła.

Wiem. Wszystko jest dobrze. Ze mną, w każdym razie.

– Dzięki. Za wszystko. – Chloe obdarzyła ją krzywym uśmiechem, po czym przeszła przez dwuskrzydłowe metalowe drzwi.

Zdażyła jeszcze usłyszeć, jak pielęgniarka ostrzega Amy i Paula:

– Jeśli kłamiecie na temat tego „wypadku”, jej rodzice *do końca życia* nie wypłacą się firmie ubezpieczeniowej...

W tej chwili drzwi się za nią zatrzasnęły, a ona natychmiast zaczęła się rozglądać po korytarzu w poszukiwaniu wyjścia.

Chloe żałowała, że nie było jej stać na taksówkę, bo miała wrażenie, że podróż autobusem trwa w nieskończoność. Natychmiast po wejściu do domu pobiegła do łazienki, zerwała z siebie ubranie i puściła wodę. Wymoczywszy się odpowiednio długo, poczuła się wreszcie z powrotem normalnie, tak jakby kilka minut odpoczynku we własnym towarzystwie mogło wystar-

czyć... *by dojść do siebie po upadku z siedemdziesięciu metrów.* Wyszła z wanny, owinęła się ręcznikiem i spojrzała w lustro. Na skroni miała niewielkiego siniaka, a we włosach trochę zaschniętej krwi, którą całkiem przyjemnie się skubało. I to wszystko.

Wolnym krokiem udała się do swojego pokoju i usiadła przy komputerze, przed którym zaledwie kilka godzin temu rozpoczął się ten dziwny dzień. Otworzyła Google, ale jej palce, poruszające się zwykle z szaloną prędkością, zawisły nad klawiaturą.

Jak można sprawdzić „szanse przeżycia upadku na chodnik z cholernie dużej wysokości”?

Kilka minut grzebania w sieci zaowocowało zdobyciem interesującej, acz bezużytecznej wiedzy, że *defenestracja* oznacza wypchnięcie osoby przez okno, a także odkryciem, że już upadki z piętnastu metrów kończą się tragicznie dla niemal wszystkich poza Jackie Chanem.

Położyła się na łóżku i zapatrzyła w sufit. Nie ma się co oszukiwać: po upadku z Coit Tower powinna nie żyć. Może rzeczywiście zginęła, a teraz jakaś siła wyższa ułatwia jej oswojenie się z życiem po śmierci, podsuwając obrazy znajomych ludzi i miejsc?

Szybko odrzuciła ten pomysł, wyskubując jeszcze trochę krwi spomiędzy włosów. Stanowczo uznała, że *w niebie byłoby czystiej.* Ale niewątpliwie stało się coś dziwnego. Powinna nie żyć.

To naprawdę był cud.

Rozmyślając w popołudniowym jesiennym półmroku,

zapadła w sen.

Śniło jej się, że leży w wygodnym, miękkim wgłębieniu, które ugięło się inaczej niż materac, kiedy zmieniła pozycję. Było gorąco, ale przyjemnie. Promienie słońca rozgrzewające jej skórę tuliły ją z powrotem do snu. Nagle poczuła na skroni szybkie, szorstkie liźnięcie: *Wstawaj!*

Podniosła się i otrzepała z piasku. Osłaniając oczy, spojrzała ku horyzontowi. Nie znajdowała się na plaży, lecz na pustyni – bezludnej i rozległej, a jednocześnie znajomej i wcale nie przerażającej. Żółte wydmy i gładkie ciemnoniebieskie niebo przypominały, że za pół dnia, kiedy wreszcie zajdzie słońce, nastanie chłodna noc.

Podążali na północ, wzdłuż rzeki.

Lwica, która ją obudziła, ocierała się pyskiem o jej palce. Chloe spostrzegła, że otaczają ją aż cztery lwy, a po braku grzyw poznała, że to samice, rzeczywista potęga stada. Tylko ona stała w wyprostowanej, niewygodnej pozycji i kiedy w końcu ruszyły przed siebie, wielkie kocice musiały iść wolniej niż zwykle, by mogła dotrzymać im kroku. Ich piękne łopatki unosiły się i opadały w powolnym, równym rytmie.

Po niebie krążył sęp. Miał nadzieję pożywić się tym, co po sobie zostawia.

Chloe obudziła się straszliwie głodna.

W pierwszej chwili świadomości, zanim przypomniała

sobie o upadku i okolicznościach powrotu do domu, próbowała sobie wyobrazić, co może być w lodówce. Dopiero gdy wstawiała, dotarło do niej, co zaszło. Ciało miała odrętwiałe, ale nawet siniak na czole już zniknął.

Zaskoczyło ją, że zegarek na mikrofalówce pokazuje szóstą. Drzemała ponad cztery godziny. *Trudno uwierzyć.* Otworzyła lodówkę i zlustrowała jej zawartość. Były tam głównie składniki kolejnego wymyślnego obiadu zaplanowanego przez matkę. Wyciągnęła dwa jogurty, półlitrowe opakowanie sałatki z makaronu i stary karton *lo mein*. Skoro nie zabił jej upadek z siedemdziesięciu metrów, to zapewne i to przeżyje.

Usiadła przy stole i jadła, wciąż zasnana i otumaniona, ciesząc się po prostu uczuciem wypełniania żołądka jedzeniem.

Nagle rozległ się trzask gwałtownie otwieranych drzwi i do domu wpadła matka Chloe. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym zauważyła pobojowisko na stole.

– Spadłam dziś z Coit Tower – powiedziała Chloe bez zastanowienia.

Nie zamierzała mówić tego od razu. Chciała najpierw przemyśleć wszystko, poczekać na odpowiedni moment, dobrać odpowiednie słowa, ale na razie nic sensownego nie przyszło jej do głowy. Najwyraźniej jej podświadomość uważała inaczej.

– Wiem – odpowiedziała jej matka niskim, wściekłym głosem. Właśnie wracam ze *szpitala*, w którym miałas na

mnie czekać. Tymczasem nie dość, że zniknęłaś z niego bez słowa, to jeszcze się okazuje, że uznałaś za stosowne nie iść dzisiaj do szkoły.

Matka z córką dłuższą chwilę patrzyły sobie w oczy, nie mówiąc ani słowa.

– *Co w ciebie wstąpiło?! –* wykrzyczała w końcu matka. – *Postanowiłaś zaliczyć w tym tygodniu całą fazę nastoletniego buntu?*

– *Mamo! –* odkrzyknęła Chloe. – *Spadłam z Coit Tower! Czy to cię w ogóle nie obchodzi?*

– *Obchodzi mnie, że zachowujesz się jak nieodpowiedzialna idiotka!*

Pani King mimo złości zwróciła uwagę na lekkie siniaki na twarzy, szerniałą krew we włosach i nienaturalny sposób siedzenia córki.

– *Nic ci nie jest? –* zapytała w końcu.

Chloe wzruszyła ramionami.

– *Dlatego sobie poszłam –* wymamrotała. – *Czułam się zupełnie dobrze, ale nie chcieli mnie słuchać.*

– *Cieszę się, że Amy i Paul mieli dość rozumu, żeby mimo wszystko zaciągnąć cię do szpitala. Chociaż i tak mam ochotę ich zabić, że namówili cię na wagary.*

– *Paula nie będzie na moich urodzinach –* powiedziała Chloe i natychmiast poczuła się jak głupia, użalająca się nad sobą smarkula. – *Chciałam je świętować z przyjaciółmi.*

Matka otworzyła usta, by jakoś to skomentować, ale zaraz je zamknęła.

– Mogłaś się zabić – stwierdziła. Milczała przez chwilę. – To cud, że żyjesz.

– Wiem.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Chloe wpatrywała się w opróżniony talerz, a matka w nią. Pani King poprawiła okulary w czarnych oprawkach. Córka oczami wyobraźni widziała myśli krążące po głowie matki, układające się w logiczny prawniczy ciąg: *Powinna nie żyć. Ale nie umarła. Powinnam się cieszyć. Jestem na nią wściekła. Ale ona żyje. Trzeba więc ją ukarać.*

– Jeszcze o tym porozmawiamy. O twoim zachowaniu i karze, jaka ci się należy.

– Oczywiście – odpowiedziała ironicznie Chloe, czując nagłą irytację. – Mamo, powinnam *nie żyć*.

– I co? Żyjesz, prawda? Więc się ciesz. Kupiłam parę steków... Zrobię je za godzinę, jak skończę z papierami.

– Słyszałaś, co powiedziałam? Mogłam – *powinnam nie żyć!!!*

Matka znów otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale tego nie zrobiła. Przeczesała palcami grzywkę, która spadła jej na oczy. Miała gęste blond włosy – całkowite przeciwieństwo włosów córki.

Chloe odwróciła się na pięcie i, tupiąc, ruszyła do swojego pokoju.

Może *matka* jest na prochach.

Jak inaczej wyjaśnić jej beznamiętną reakcję? Szokiem? Może naprawdę jej to nie obchodzi. Chloe pomyślała z goryczą, jak łatwo matka pogodziłaby się z jej

stratą. Mogłaby bez problemu zapraszać znajomych na kolacje, chodzić na wernisaże w galeriach, a może nawet znaleźć sobie jakiegoś naprawdę fajnego faceta. Takiego, który trzyma się z dala od niepotrzebnych komplikacji, na przykład *cudzych córek*. Szczególnie adoptowanych.

Pomyślała o ojcu, którego ledwo pamiętała. Odszedł, kiedy miała cztery lata. *On* by się przejął. Natychmiast zawiózłby ją z *powrotem* do szpitala, nie zważając na jej protesty.

Chloe usiadła na łóżku i ostrożnie otworzyła środkową szufladę biurka. Było stare, solidne, dębowe – jedyny mebel w pokoju, który nie pochodził z marketu. Idealnie nadawało się do ukrywania przed matką jedynej prawdziwej tajemnicy.

Mała szara mysz siedziała na tylnych łapkach i spoglądała na nią wyczekująco.

Piii!

Chloe uśmiechnęła się i podsunęła myszce dłoń, po której ta zaraz wbiegła. Matka kategorycznie zabroniła trzymania jakichkolwiek zwierząt mających sierść – rzekomo ze względu na alergię. Tak się jednak złożyło, że w czasie, kiedy jej mama przechodziła fazę eksterminacji wszystkiego, co się rusza – spowodowaną przeświadczeniem, że dom jest pełen szkodników legnących się u niedbających o czystość sąsiadów – pewnego dnia po powrocie ze szkoły Chloe znalazła w jednej z pułapek młodą szarą myszkę. Z pomocą Amy i Paula zainstalowała w biurku lampkę. Obecnie Mus–mus miał do dyspozycji

pojnik, karmnik i kołowrotek. W szufladzie istniał malutki równoległy świat, o którym matka nie miała pojęcia.

Chloe wyciągnęła cheeriosa z foliowej torebki na kanapki, którą trzymała pod łóżkiem, i ostrożnie podsunęła go myszce. Mus–mus złapał chrupkę przednimi łapkami i przysiadł, skubiąc ją jak wielkiego bajgla.

– Co mam zrobić? – wyszeptała. Zwierzak ją zignorował i spokojnie jadł dalej. – Matka jest taka beznadziejna.

Jedynym sensownym rozwiązaniem było zadzwonić do Amy. Mogła ją przeprosić za to, co odstawiła, kiedy zabrali ją z Paulem do szpitala, i podziękować za pomoc, a potem przejść do szczegółowego omawiania tego, jak dziwacznie się teraz czuje i jak to się właściwie stało, że przeżyła. Amy pewnie przedstawi jakieś bezużyteczne, ale przynajmniej zabawne wyjaśnienie, jak ingerencja sił nadprzyrodzonych albo aniołów. Chloe uśmiechnęła się, delikatnie odłożyła Mus–musa do klatki i chwyciła telefon.

Siedem długich dzwonek... Amy miała włączoną komórkę, ale nie odbierała. Spróbowała się połączyć jeszcze trzy razy, na wypadek, gdyby przyjaciółka miała telefon zagrzebany na dnie torby i go nie słyszała. Za czwartym podejściem nagrała się na pocztę głosową.

– Hej, Ame, zadzwoń do mnie. Czuję się... eee... lepiej. Sorry, że was tak po chamsku potraktowałam. Chyba byłam w szoku czy coś.

Zadzwoniła na domowy.

– O, cześć, Chlo–iii! – odebrała pani Scotkin. Chwila

ciszy – musiała w tym czasie spojrzeć na zegar. – Wszystkiego najlepszego z okazji szesnastych urodzin, z sześciogodzinnym wyprzedzeniem!

Chloe uśmiechnęła się wbrew sobie. Widać Amy o niczym jej nie powiedziała.

– Dziękuję, pani Scotkin. Czy Amy jest w domu?

– Nie. Chyba miała dziś pracować nad jakimś projektem ze swoją grupą z cywilizacji amerykańskiej. Spróbuj zadzwonić na komórkę.

Spróbowałam, dzięki za radę.

– Okej, spróbuję. Dziękuję.

Chloe zmarszczyła brwi. Usiadła do komputera i sprawdziła wszystkie nicki Amy, ale pod żadnym jej nie było. Może rzeczywiście robiła zadanie domowe? Nie. Paul był w sieci, tyle że właśnie gdzieś sobie poszedł, a poza tym i tak nie miała ochoty z nim rozmawiać. Potrzebowała Amy. Prawie zginęła. Za cztery godziny kończy szesnaście lat. Mama jest nienormalna. A ona została z tym wszystkim *zupełnie sama*.

Krażyła po pokoju, sięgając po różne drobiazgi – ozdoby, pluszowe zwierzątka – i odstawiając je z powrotem. Przygnębienie ustąpiło miejsca nerwowości. Pokój wydał jej się nagle bardzo mały. Za mały na upora-
nie się z tym, co ją spotkało. Raz po raz unosiła się i opuszczała na palcach niczym baletnica.

Stała przez chwilę niezdecydowana, po czym chwyciła kurtkę i zbiegła z łoskotem na dół.

– A ty dokąd? – zapytała matka, zupełnie jak w serialu

telewizyjnym.

– *Wychodzę* – odpowiedziała w równie przewidywalny sposób. Dla podkreślenia efektu trzasnęła drzwiami.

ROZDZIAŁ 3

Noc była zaskakująco chłodna. Chloe stała przez moment w samym T-shircie, ciesząc się wilgotnym powietrzem owiewającym jej skórę i unoszącym włoski na rękach. Pachniało dziwnie przyjemnie – czysto i świeżo. Po chwili wiatr zmienił kierunek, przynosząc jednocześnie odgłosy i smród ulicy. Spaliny, gryzące i duszące nawet przy takiej wilgoci, drażniły jej nos. Chloe westchnęła i wciągnęła kurtkę.

No dobra, Panno Spontaniczna. Dokąd teraz?

Niewątpliwie czekała ją wyjątkowo surowa kara – choć liczyła, że cudowne ocalenie trochę załagodzi sytuację – więc trzeba było jak najlepiej wykorzystać tę noc. Po chwili ją olśniło: *Bank*.

Normalnie *nigdy* w życiu nie poszłaby do tego klubu, nie poświęcając wraz z Amy kilku godzin na znalezienie czegoś odpowiedniego do ubrania, co wymagało przejrzania całej zawartości ich szaf, a czasami nawet ciuchów Paula. Dzinsy i T-shirt? Obciach.

W tej chwili nic jej to nie obchodziło. Dostanie się do klubu – sama i ubrana, jakby zamierzała pracować w ogródku.

Był wtorek, więc kolejka nie była zbyt długa. Sznury małych pomarańczowych i czarnych lampek przy wejściu do klubu ledwo oświetlały pustą poza tym ulicę. Samotny znudzony bramkarz w małych, okrągłych okularach prze-

ciwstonecznych z niezwykle ciemnymi szklami siedział na krawędzi taboretu, opierając jedną nogę o ziemię.

Chloe podeszła pewnym siebie krokiem do aksamitnego sznura, nie mając pojęcia, co zrobi. Wszyscy w kolejce mieli na sobie coś błyszczącego, skąpego albo byli ubrani cali na czarno – nie wspominając o tym, że mieli co najmniej pięć lat więcej.

Zanim zdążyła się zastanowić, co robi, przemknęła między czekającymi i prosto z mostu zapytała bramkarza:

– Hej, wpuścisz mnie?

Olbrzym zlustrował ją od stóp do głów, zatrzymując na chwilę wzrok na wytartych czarnych conversach. Pozwolił sobie na ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Niezłe buty. *Totalny* oldskul – powiedział i odpiął dla niej sznur.

– Dzięki – odpowiedziała równie opanowanym głosem, a przynajmniej taką miała nadzieję. Poczula się, jakby przeszła poziom w jednej z gier komputerowych Paula. Charon z Inner Sunset wpuścił ją do Tanecznego Hadesu.

Parkiet był nieduży, ale otaczały go czarne lustra, przez które wydawał się dwa razy większy i bardziej załoczony. Od tylnej ściany aż po drzwi wejściowe wił się olbrzymi bar, któremu to miejsce zawdzięczało swoją sławę. Jego powierzchnię pokrywały miliony błyszczących miedzianych jednocentówek zalanych szelakiem, tak że sprawiały wrażenie strumieni wypływających z wnęki w ścianie i spływających na podłogę.

Za dnia, kiedy obsługa odkurzała, sprzątała i starała

się usunąć bezustannie unoszący się w powietrzu smród starego piwa, zwykle oświetlenie pewnie ujawniało nieprzyjemne detale na powierzchni miedzianej rzeki – czarne kleksy po składanych mazakami deklaracjach ulotnej miłości, wyszczerbione dziury w miejscach, gdzie ktoś poświęcił całą noc na wydłubanie jednego miedziaka. Obecnie jednak blat mienił się, jakby jakiś pradawny bóg bogactwa przed chwilą wyrócił do góry nogami swój gar monet. Żłociste, jaskrawe światło odbijało się od niego, pozostawiając twarze gości w romantycznym półcieniu.

Muzyka nie robiła większego wrażenia – zwyczajny house z minimalną domieszką czegoś ambitniejszego. Nie puszczali tu Moby’ego ani goa. Paul zakryłby uszy dłońmi i zagroził, że wyjdzie, a następnie podkradł się do didżeja, żeby obejrzeć jego sprzęt. Właśnie, nie powinna tu być sama, *powinni* być we trójkę. Teraz jednak liczył się tylko głośny puls muzyki, który obudził w niej ochotę, żeby wyjść na środek parkietu i tańczyć samej. Dzisiaj cudem uniknęła śmierci – może robić, co jej się podoba.

Najpierw jednak podeszła do baru, oparła się o ladę i rozejrzała po klubie. Poza paroma kiepsko tańczącymi i ubranymi osobami towarzystwo prezentowało się niczego sobie. Duża grupa chłopaków – na oko całe bractwo studenckie – po przyjacielsku sprzeczała się na tematy związane ze sportem, robiąc przy tym mnóstwo hałasu, wymachując szklankami z piwem i wprawiając w wyraźne zakłopotanie biznesmena, który chyba spodziewał się czegoś innego, zabierając tu swoją modelkę. Pod ścianą po

drugiej stronie parkietu, popijając w milczeniu, stał niezmiernie atrakcyjny chłopak i, podobnie jak Chloe, przyglądał się ludziom. Czarne włosy, śniada cera, wyjątkowo jasne oczy. Egzotyczna uroda. Chloe pochyliła głowę i śledziła go wzrokiem: kupił piwo, zamienił słowo ze znajomym, wreszcie wmieszał się w tłum. Chwilę później zniknął jej z oczu.

Czekała cierpliwie, ale nie dostrzegła go ponownie. Nikt więcej nie przyciągnął jej uwagi. Było kilku niczego sobie koleśki, ale wyglądało na to, że najseksowniejszy chłopak w klubie gdzieś zniknął.

– Mogę ci postawić drinka?

Pojawił się tuż obok niej, rozbawiony jej zaskoczeniem i zmieszaniem. Z bliska wyglądał jeszcze lepiej – obrazu dopełniały wydatne usta i delikatny pas ciemniejszych brązowych piegów biegnący w poprzek nosa.

Chloe już miała odpowiedzieć „Nie, dziękuję”, jak za każdym razem, kiedy próbował ją poderwać ktoś o ładnych kilka lat starszy od niej, ale zamiast tego wymknęło jej się:

– Jasne!

– Co chcesz?

– Red Bulla z wódką.

Kiwnął głową na znak uznania, a kiedy barman podał Chloe drinka, stuknął się z nią swoją szklanką z piwem.

– Za parę godzin mam urodziny! – krzyknęła mu do ucha.

– Naprawdę? W takim razie wszystkiego najlepszego!

– Miał angielski akcent. Wzniesli jeszcze jeden toast, po

czym delikatnie pocałował ją w policzek. Chloe poczuła łaskotanie w brzuchu i lekki zawrót w głowie. Ostatnie pozory opanowania zniszczył szeroki uśmiech, który wypłynął jej na twarz. Bez problemu dostała się do klubu, a teraz zabójczo przystojny facet kupił jej drinka – może jednak te urodziny nie będą najgorsze.

Po kolejnym drinku poszli potańczyć. Prowadził ją, delikatnie kołysząc się i zataczając niewielkie kółka, perfekcyjnie manewrując między tańczącymi na zapchanym parkiecie. Na czas jednego utworu oparł dłonie na jej biodrach i pozwolił jej poruszać się własnym rytmem, skupiając na niej całą uwagę. Kiedy przeciskali się przez tłum, by zrobić sobie przerwę albo kupić kolejnego drinka, czuła delikatny dotyk jego dłoni na plecach albo ramieniu – opiekuńczy, nie zaborczy.

– Mam na imię Chloe! – wykrzyczała w pewnej chwili.

– A ja Xavier! – odpowiedział.

O dwunastej trzydzieści Chloe uznała, że najwyższy czas wracać do domu. Może i uniknęła cudem śmierci, ale matka *własnoręcznie* ją udusi, jeśli całą noc spędzi w mieście. Xavier wyprowadził ją na zewnątrz.

– Pozwól, że pierwszy złożę ci życzenia urodzinowe – powiedział, całując ją lekko w usta na ciemnym parkingu.

Jego wargi były ciepłe i wilgotne, a on sam o wiele delikatniejszy niż chłopcy w jej wieku, z którymi dotychczas się całowała. Wyciągnął z portfela wizytówkę. Na elegancko wydrukowanym kartoniku przeczytała: *Xavier*

Akouri, 453 Mason St, #5A, 011-30-210-567-3981. Zajął jej chwilę, zanim zdała sobie sprawę, że patrzy na zagraniczny numer komórkowy.

– Nie zapytasz o mój?

Uśmiechnął się i opuścił głowę, tak że ich nosy niemal się stykały, po czym spojrzał jej prosto w oczy.

– Żebyś mogła mi podać jakiś zmyślony numer? Zadzwoń *do mnie*, jeśli będziesz miała ochotę.

Znowu poczuła motyle w brzuchu. Zanim uświadomiła sobie, co robi, zarzuciła mu rękę na szyję i zaczęła go całować. Z jego ust wydobył się cichy jęk, co doprowadziło ją do szaleństwa. Poczowała dłonie Xaviera na biodrach. Sama gorączkowo wsunęła mu rękę pod koszulę, chcąc jak najszybciej dotknąć jego skóry. Głaszcząc i drapiąc jego plecy, usłyszała kolejny jęk, nie wiadomo, bólu czy pożądania. Podciągnął jedną z jej nóg i zarzucił sobie na biodro. Chloe poczuła, że wtula się w niego coraz mocniej...

Co ja, do cholery, robię?

Otworzyła oczy i ujrzała całującego ją przystojnego Europejczyka, co normalnie by ją ucieszyło, a nawet wprawiło w zachwyt – problem w tym, że była o krok od uprawiania z nim seksu na środku parkingu! Teraz akurat było pusto, ale jeszcze przed chwilą targały nią uczucia tak silne, że nie przejęłaby się, nawet gdyby mieli tysięcosobową widownię albo gdyby się okazało, że Xavier nie ma prezerwatywy.

– Przepraszam – wyplątała się z jego objęć i odsunęła, ciężko dysząc, rozedrgana i obolała z podniecenia.

Xavier się zmieszał. Powieki miał przymknięte, włosy rozczochrane, a brwi pokrywały mu srebrzyste kropelki potu.

– Nie... nie mogę. Nie teraz – powiedziała Chloe.

Należało policzyć Xavierowi na plus, że kiwnął głową, aczkolwiek przyszło mu to z trudem.

– A chcesz może... Chcesz przenocować u mnie?

Chloe otworzyła usta, żeby odpowiedzieć „*Tak*”, ale w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, co robi, i zdołała jeszcze raz wykrztusić „Przepraszam”, po czym szybko się odwróciła i odeszła. Całą powrotną drogę przebiegła, a potem jeszcze zrobiła dodatkowe kółko wokół własnego i sąsiednich domów, żeby rozładować pożądanie. Jeśli matka zauważy błysk w oczach albo zaczerwienione policzki, będzie przynajmniej mogła powiedzieć, że to od biegania.

Zastała matkę na kanapie, z książką w ręku. Na stoliku obok stał kieliszek czerwonego wina. Nietknięty. Miało to wyglądać, jakby postanowiła pójść później spać, żeby sobie poczytać, ale było oczywiste, że czekała na córkę. Spojrzały sobie w oczy.

– Niedługo idę spać – powiedziała wreszcie matka Chloe. – Tylko skończę ten rozdział.

Ona zamierza mi to darować.

Chloe nie dowierzała. Co więcej, z tonu matki wynikało, że chyba nie chciała rozmawiać na ten temat – jakby nocna przygoda córki nigdy się nie wydarzyła.

– Okej. Dobranoc – powiedziała Chloe głosem wyra-

żającym największą wdzięczność, na jaką było ją stać.

Wdrapała się zmęczonym, chwiejnym krokiem na piętro, po drodze ściągając z siebie ubranie. Na koszulce wciąż wyczuwała zapach Xaviera – jego dłoni trzymających ją w talii niebezpiecznie blisko piersi, ust zahaczających o kołnierzyk, kiedy całował jej szyję.

Założyła bokserki i za duży o kilka numerów T-shirt z Invaderem Zimem, po czym rzuciła się na łóżko, ścisnąc pluszową świnkę i zastanawiając się, co się właściwie wydarzyło. *Nastoletnia burza hormonów*, jak to zwykle mówią, czy też euforyczna reakcja na uniknięcie cudem śmierci? Wydawało się jej, że kiedyś słyszała o czymś takim... Przytuliła mocniej Wilbura i zasnęła.

ROZDZIAŁ 4

Dopiero na porannej lekcji cywilizacji amerykańskiej Chloe uświadomiła sobie, co się stało – czy też prawie stało – poprzedniej nocy oraz że o mały włos nie zginęła. Na krótką, radosną chwilę wyleciało jej to wszystko z głowy.

W gruncie rzeczy nie było w tym nic dziwnego. Jej mózg rzadko zaczynał funkcjonować przed dziewiątą. Zwykle od chwili, w której stary, tandetny budzik radiowy wyrywał ją ze snu, aż do dzwonka na pierwsze zajęcia przypominała pozbawione czucia, bezmyślne zombie. Kiedy jej matce jeszcze się chciało odgrywać rolę szczęśliwej samotnej mamusi, przygotowywała jej rano naleśniki ozdobione uśmiechniętymi buźkami z syropu i pytała ją o plany na dany dzień. W końcu dała sobie spokój. Teraz zamiast podejmować z góry skazane na porażkę próby nawiązania kontaktu ze świeżo przebudzoną, bełkoczącą córką, zaczęła przed pójściem spać nastawiać na rano ekspres do kawy. Chloe ze swojej strony starała się za to pamiętać, by w drodze do drzwi wymamrotać „Cześć!”, kiedy mijała matkę wykonującą przed telewizorem poranne ćwiczenia jogi.

O cholera! Wczoraj o mały włos nie zaliczyłam nieznanego faceta na parkingu!

Poczuła mrowienie, kiedy pomyślała o Xavierze. Pamiętała, że niewiarygodnie go pragnęła, ale nie potrafiła odtworzyć w myślach uczucia, które temu towarzyszyło.

Nudzając się na lekcji, próbowała naszkicować jego usta na marginesie zeszytu. Gdzie schowała tę wizytówkę?

– ...ten sam but na obie nogi. Jesteście tak rozpuszczeni przez te wasze florsheimy i tenisówki, że nawet nie potraficie sobie wyobrazić, jaką męczarnią dla tych żołnierzy było maszerowanie...

Lekcja była potrójnie nudna, ponieważ nie przyszli na nią ani Paul, ani Amy. *Co to, do diabła, jest florsheim?* Chloe usiłowała ukryć ziewnięcie, ale było tak potężne, że jej usta rozwarły się szerzej, niż wydawało się możliwe, jak w *Obcym*. Na koniec kłapnęła zębami, o wiele za głośno. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś to zauważył, ale okazało się, że nikt – poza Alekiem, który przyglądał się jej z uniesionymi brwiami. Oblała się rumieńcem, ale mimo to uśmiechnęła się do niego i odważyła się spojrzeć w jego lodowate, piękne, błękitne oczy. Odwzajemnił uśmiech i przyłożył dłonie do twarzy w geście wyrażającym senność. Chloe kiwnęła głową, po czym oboje wrócili do robienia notatek i bazgrania w zeszytach, żeby nie wpaść w oko pani Barker.

Na dźwięk dzwonka zebrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę biblioteki. Co za idiotyzm, żeby *drugą* lekcję mieć wolną. W poprzednim roku Amy nie miała pierwszej lekcji i często spała do ósmej, zanim łaskawie zebrała się do szkoły. Mijając szafki popularnych uczniów, zauważyła Aleka, więc mu pomachała. Jak zwykle otaczali go piękni ludzie.

Przypomniała sobie wcześniejszą wymianę spojrzeń

w klasie oraz wczorajsze powodzenie w rozmowie z bramkarzem i podeszła prosto do niego, nie zważając na pozostałych.

– Ale *beznadzieja* na cywilizacji. – Znow robiła coś, w co nie mogła uwierzyć. Najpierw spadła z wieży, później całowała się z obcym facetem, a teraz, jakby nigdy nic, zagadała do najbardziej pożądanego chłopaka z trzeciej klasy. Czuła na plecach wściekłe spojrzenia jego koterii, ale nie wiedzieć dlaczego, zupełnie się nie denerwowała. Nawet jej tętno nie przyśpieszyło.

Ale super. Powinnam codziennie prawie ginać.

– No, bez jaj – odpowiedział Alek z zanikającym, lecz wciąż rozpoznawalnym obcym akcentem. – Przyglądanie się jak, jak wy to mówicie, jęczysz? Tak? To była najbardziej ekscytująca rzecz, jaką robiłem przez tę godzinę.

– Nie jęczysz, tylko ziewasz – odpowiedziała Chloe ze skromnym uśmiechem. – Ale jeśli wiesz, jak sprawić, żebym jęczała, to możesz patrzeć cały dzień.

Czy ja to naprawdę powiedziałam?

Kątem oka zauważyła, że wprawiła w osłupienie większość otaczających ich uczniów.

– Rozbrajasz mnie, King. Wiesz o tym? – powiedział i szczerze się roześmiał.

Rozległ się dzwonek na lekcję.

– Muszę lecieć do biblioteki, ale kiedyś powinniśmy się spotkać.

Keira wyglądała, jakby zaraz miała na nią warknąć. Ściągnięte w grymasie wściekłości wargi odsłaniały zęby,

jak u psa.

– Koniecznie – zgodził się Alek. – Do zobaczenia, King.

– Pa! – Wyminęła pozostałe dziewczyny, starając się nie wyglądać na przesadnie zadowoloną z siebie, ale nie umiała do końca powstrzymać uśmiechu.

W bibliotece, a potem również podczas matematyki i lunchu Chloe spędziła większość czasu, patrząc przez okno i rozmyślając o Xavierze. Zajmował ją bardziej niż upadek z wieży. Może mama miała rację spadła, przeżyła, po temacie. Właśnie zamierzała ugryźć kęs pizzy, kiedy irytująco znajome klepnięcie w ramię brutalnie sprowadziło ją na ziemię. Krople pomarańczowego tłuszczu poszybowały nad stołem.

– O Boże, *naprawdę* to zrobiłaś?! – Amy rzuciła się na krzesło obok. – To znaczy, *wszystkiego najlepszego* i w ogóle, ale, o kurde, nie wierzę, przystawiałaś się do Aleka przy Halley, Keirze i... i wszystkich?

– Na to by wychodziło – odpowiedziała Chloe z uśmiechem.

– Jak się czujesz?

Chloe wzruszyła ramionami, stwierdzając:

– Całkiem dobrze. Chyba. Trochę dziwnie. Wczoraj w nocy...

– Słuchaj, musimy pogadać – przerwała jej Amy, pochylając się mocno w jej stronę i patrząc jej prosto w oczy. – Mam coś *ważnego*. Chcę to z tobą omówić.

Kolacja?

Poważniejszego niż uniknięcie cudem śmierci i seksu na parkingu?

Chloe ugryzła się w język i podarowała sobie ironiczną odpowiedź. Amy wyglądała na naprawdę zmarzwioną. I bardziej rozemocjonowaną niż zwykle.

– No dobra...

– Super! Do zobaczenia na angielskim!

Przyjaciółka zeskoczyła z krzesła i odbiegła, pobrękując agrafkami i łańcuchami. Rozczochrane kasztanowe włosy podskakiwały w rytm jej kroków. Chloe z powrotem skupiła uwagę na pizzy i zaczęła się zastanawiać, kiedy życie wróci do normy. Tłuszcz zdążył zastygnąć w twarde kleksy wyglądające jak pomarańczowy plastik. Westchnęła i odepchnęła jedzenie od siebie.

Dopiero kiedy znalazła się w Pateenie, życie jakby znormalniało. Chloe wprawdzie nie znosiła sortować rzeczy wracających z pralni, ale powtarzalność składania i poprawiania ubrań, tyrad wygłaszanych ni z tego, ni z owego przez szefową i zachowania klientów działała na nią uspokajająco. Nie było tu niczego seksownego ani nadprzyrodzonego. Tylko stos dżinsów i o wiele za drogich starych butów sportowych.

Trudno jednak było nie zwrócić uwagi na klienta, który wszedł do sklepu akurat w chwili, kiedy wreszcie zmusiła hormony do posłuszeństwa. Był ubrany w czarne sztruksy, prążkowany czarny T-shirt i czarną skórzaną

marynarkę, skrojoną jak marynarka od garnituru, ale nie miał w sobie nic specjalnie gotyckiego. Żadnych tatuaży, biżuterii, kłów ani niczego takiego. Ubranie, które z każdego innego zrobiłoby kiepską imitację Johnny'ego Casha, na nim wyglądało idealnie. Miał bardzo ciemne, brązowe włosy, delikatnie opaloną, zdrową skórę i głębokie brązowe oczy oprawione przepięknymi długimi rzęsami.

Najlepsza ze wszystkiego była jednak zrobiona na drutach czarna czapka z kocimi uszami.

Oto miała przed sobą przystojnego chłopaka z poczuciem humoru. Przeglądał koszulki polo, marszcząc brwi.

– Szukasz kostiumu na Halloween? – zapytała go złośliwie Lania.

Chloe stęknęła. Wciąż nie mogła uwierzyć, że szefowa pozwala tej durnej punkówce obsługiwać kasę, a jej nie. I to tylko dlatego, że Lania była o dwa lata starsza. Gdyby Chloe dostawała dolara za każdego klienta obrażonego przez koleżankę z pracy, mogłaby sobie wreszcie kupić nowy rower górski. I to *dobry*.

Ale chłopak tylko się zaśmiał:

– Nie, obawiam się, że szukam czegoś na prawdziwe spotkanie z prawdziwą kadrą kierowniczą.

Wyglądał dość młodo jak na kogoś zajmującego się biznesem, ale z drugiej strony byli przecież w San Francisco. Pewnie był programistą, projektantem graficznym albo kimś w tym rodzaju.

Chloe wróciła do swoich obowiązków, zastanawiając się, jak Xavier prezentowałby się w świetle dnia. Ile wypła drinków? Tylko dwa czy trzy. Niedużo, ale *mogło* to na nią wpłynąć. Może tak naprawdę wcale nie miał seksownych piegów, tylko koszmarnie pryszczki...

– Przepraszam!

Chłopak w czapce z kocimi uszami ostrożnie przecisnął się obok niej, przyciskając do piersi zakupy. Najwyraźniej Lania pozwoliła mu zapłacić.

– Fajna czapka – powiedziała Chloe.

– Serio? Dzięki! – Ściągnął ją z głowy i przyjrzał się jej, jakby zdziwiło go, że zwróciła na nią uwagę.

– Prezent od dziewczyny?

– Nie, sam zrobiłem – uśmiechnął się szeroko.

Chloe była pod wrażeniem. Poza Amy praktycznie nikt, kogo znała – nie licząc ślepo podążających za trendami koleżanek mamy – nie robił na drutach, a ci, którzy robili, zasadniczo nigdy niczego nie kończyli. Pomijając szwy, czapka wyglądała całkiem profesjonalnie.

– Znalazłem wzór w Internecie – kontynuował. – Jeśli robisz na drutach, mogę ci podesłać link.

– Nie, dzięki. Moja przyjaciółka, Amy, robi, ale ja mam dwie lewe ręce do takich rzeczy.

– Naprawdę powinnaś spróbować. Całkiem fajna zabawa – powiedział, tylko odrobinę zawstydzony.

Chloe uznała, że ma do czynienia z typem wrażliwca i uzbroiła się w cierpliwość, przygotowana na obowiązkowy wywód o tym, jak miarowe ruchy dłoni działają na

niego uspokajająco, a podczas dziergania czuje więź z przodkami, jak to przedstawiciele jakiejś rdzennej kultury wykorzystywali druty do religijnych rytuałów, że być może kiedyś otworzy pasmanterię, że robienie na drutach dodaje pewności siebie dzieciom z biednych rodzin...

On tymczasem odwrócił się i skierował ku wyjściu.

– No to cześć – powiedział z uroczym uśmiechem, chwytając za klamkę. Uśmiech naciągnął skórę na górnej części jego policzka, wyraźniej uwidaczniając seksowną bliznę biegnącą od zewnętrznego kącika oka do miejsca tuż poniżej kości policzkowej.

Chloe pomachała mu, przyglądając się, jak wychodzi. W głębi duszy czuła się odrobinę urażona: czyż w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie zwróciła na siebie uwagi dwóch przystojniaków? Tymczasem Pan Kocie Uszy jakby jej nie zauważył. Były jej *urodziny*, do licha. Czy nie należy się jej coś od losu, skoro i tak jest już nieuniknione, że matka ją uziemi?

Nagle zawibrowała jej pupa.

Musiała ostrożnie wydłubać komórkę z tylnej kieszeni starych dżinsów. Był to męski model z fabrycznie wytartym białym prostokątem naszytym na tyłku, służącym kiedyś do noszenia portfela. Teraz zupełnie dobrze pasował tam jej telefon. Jedyny problem w tym, że można go było wyciągnąć wyłącznie w pozycji stojącej.

SMS: carlucci o 7 – a To w knajpie Carlucciego Chloe poznała Amy, kiedy Scotkinsowie wprowadzili się do swojego obecnego domu. Może w końcu uda jej się zjeść

dzisiaj porządną pizzę. Główną zaletą pracy na czarno w Pateenie było to, że na koniec dnia dostawała wypłatę w gotówce, tak więc wieczorem będzie miała całe dwadzieścia dolarów do roztrwonienia na pizzę ze wszystkim, co możliwe.

Przez resztę popołudnia nic się nie działo, oprócz tego, że musiała ukryć parę bladofioletowych aksamitnych spodni, które jej zdaniem wyjątkowo spodobałyby się Amy. Nie przed właścicielką – ta zwykle nie miała nic przeciwko temu, żeby odkładały dla siebie upatrzone ciuchy. Marisol była najfajniejszą szefową, jaką знаła. Pozwalała jej nawet obszywać swoje dzinsy i inne rzeczy na sklepowej maszynie. Gdyby jednak spodnie przyciągnęły uwagę Lanii lub, co gorsza, spodobały się jej, na pewno byłyby z tego kłopoty. Dlatego przed wyjściem Chloe nakryła je stertą poliestrowych koszulek do gry w kregle.

Kiedy dotarła do restauracji Carlucciego, jej okna jarały się w wilgotnej mgłę niczym oświetlone gazowymi latarniami powozowymi, sprawiając, że wyglądała jak przeniesiona z innej epoki. W rzeczywistości była to zwyczajna włoska knajpka ze świeczkami w starych butelkach po chianti, dokładnie jak w każdej włoskiej knajpce na całym świecie, tyle że ta była miejscem jej i Amy, panowała w niej przytulna atmosfera, a szalony stary właściciel czasami nawet je poznawał.

Kiedy otworzyła drzwi, wydało jej się, że świeczek jest jeszcze więcej niż zwykle.

– *Sto lat, sto lat...* – zafalszowała Amy, rozsądnie da-

jąc sobie spokój po pierwszym zdaniu. Szesnaście świeczek poutykanych w brzeżek pizzy „ze wszystkim” nadawało jej gorliwej twarzy maniackalny wyraz. – Szybko dmuchaj – dodała. – Carlucci się boi, że mu spalę knajpę.

Chloe roześmiała się z zachwytem – to coś, czego od kilku dobrych dni nie robiła. Wzięła głęboki wdech.

Chciałabym...

Chciałabym...

Kiedyś pomysły przychodziły z łatwością: pokój na świecie, koniec katastrof naturalnych, zdolność latania, pies. Z czasem życzenia stały się bardziej skomplikowane: odkryć pewnego dnia, że ojciec wrócił, poznać tożsamość swoich biologicznych rodziców, mieć brata lub siostrę. Może wczorajsze wybryki były reakcją na niedostatek ojcowskiej miłości... *Blee...*

– Chloe?

Amy wyrwała ją z zadumy.

Chciałabym dostać nowy rower górski.

Nie, stój. Żeby zapanował pokój na świecie.

Zdmuchnęła świece, starając się nie opluć pizzy. Z rozbawieniem zauważyła, że Amy zamówiła zawczasu obowiązkowe trzy puszki oranżady Nehi dla każdej z nich.

– Jesteś super, Amy.

– Się wie.

Żadnych uścisków. Amy nie znosiła takich gestów. Zamiast tego usiadły i z wielką powagą zabrały się za jak najszybsze wpychanie do ust kawałków ciasta obłożonego kiełbasą, cebulą, papryką, pomidorami, pepperoni, kapa-

rami i czarnymi oliwkami. Chloe wydała jęk rozkoszy.

– Ta pizza to najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała w tym tygodniu. No, poza tym, co się stało wczoraj w nocy. – Przełknęła i zerknęła na Amy, która w ogóle nie zareagowała.

– Taaa... Masz na myśli to, jak spadłaś z wieży? To *naprawdę* było niesamowite.

– Nie, później. W nocy. *Po* tym, jak mojej matce kompletnie odbiło. – Amy była jednak myślami gdzie indziej. Chloe westchnęła i dała za wygraną. Wyraz twarzy przyjaciółki wskazywał na to, że jeśli zaraz nie wyjawি jej tego, po co tu przyszły, to wybuchnie. – Okej, to co masz mi takiego ważnego do powiedzenia, że nie może poczekać do jutra, aż skończą się *moje* urodziny?

– Wczoraj w nocy całowałam się z Paulem! – rzuciła Amy i natychmiast nakryła usta dłonią, jakby pożałowała, że jej się to wyrwało.

Chloe poczuła, że się dusi. Musiała wypić pół puszki Nehi, żeby przełknąć kawałek pizzy, który utknął jej w gardle, i zacząć z powrotem normalnie oddychać. Tego *naprawdę* się nie spodziewała. Jasne, Amy i Paul wczoraj chwilami wpatrywali się w siebie, ale bez jaj, znają się przecież od trzeciej klasy. To tak, jakby się spotykać z bratem. I to *wyjątkowo dziwnym* bratem.

– *Że co?!*

– Po tym, jak uciekłaś ze szpitala, poszliśmy do niego. – Mogła to sobie łatwo wyobrazić: Amy i Paul podparci na łokciach na podłodze jego małego pokoju, otoczeni

regałami wypchanymi po brzegi płytami i didżejowskim sprzętem. – Bo wiesz, ten twój wypadek naprawdę nas przeraził. – Amy spojrzała jej w oczy. – Mogłaś zginąć. To znaczy, no, to było *niesamowite*, że nic ci się nie stało. Tak jakbyś dostała drugą szansę od życia, czy coś. – Chloe błagała w myślach, żeby Amy nie zaczęła jej teraz opowiadać o aniołach. To *naprawdę* nie był dobry moment na te bzdury. – Wiem, że to zabrzmiało jak z jakiegoś głupiego filmu, ale uświadomiliśmy sobie, że otarliśmy się o śmierć. I że jeśli chcesz coś powiedzieć, to powiedz to teraz, bo drugiej okazji możesz już nie mieć... Takie tam... – Wzięła głęboki oddech. – No więc gadaliśmy na różne głębokie tematy, o życiu i w ogóle, a potem... eee... No a potem...

– Zaczęliście się całować?

– No, właściwie tak. – Czyżby Amy się zarumieniła? – Ale to nie chodzi tylko o to. Ja... ja naprawdę coś do niego czuję. W sensie, wiesz, wspólnie dorastaliśmy, więc kocham go jak brata, ale dotychczas nigdy mi się nie podobał w *ten* sposób...

– O Boże! – westchnęła Chloe. – Czy próbujesz mi powiedzieć, że w *tej chwili*, dwadzieścia cztery godziny po, Paul nadal ci się podoba w *ten* sposób?

– Nie wiem. To znaczy... Chyba. No.

Przez chwilę żyły w milczeniu. Nagle spotkanie z seksownym chłopakiem z klubu i flirtowanie z Alekiem przestało się liczyć. Z Xavierem łączył ją jeden pocałunek – może i namiętny, ale nic wielkiego by się nie stało, gdyby miało na tym się skończyć. A z Alekiem to tylko zabawa.

To natomiast należało potraktować z należytą powagą. To zagrażało przyszłości ich trójki.

Jeśli to nie jest nic poważnego albo jest, ale im się nie uda, albo tylko odreagowywali dziwaczność wczorajszego dnia, ale jedno z nich przeżyło to silniej niż drugie, to wieloletnia przyjaźń łącząca ich trójkę była skończona. Chloe nie uśmiechała się myśl, że po „rozwodzie” przyjaciel znajdzie się między młotem a kowadłem. Strasznie niezręczna sytuacja. A była pewna, że to na sto procent skończy się katastrofą.

Po kolacji, kiedy tylko Carlucci położył rachunek na stole, Amy szybko go chwyciła.

– Oby cudom nie było końca. Najpierw mój wypadek, a teraz to... – zaśmiała się Chloe, robiąc na wszelki wypadek unik. Amy jednak tylko zmarszczyła lekko brwi i odprowadziła ją do domu, całą drogę nadając o Paulu. Dopiero kiedy niemal dotarły do celu, przypomniała sobie o Chloe.

– Wcześniej chciałaś mi coś powiedzieć, prawda? – zapytała.

– Och, to nic wielkiego. To znaczy, nie tak, jak twoja rewelacja. – Chloe przekręciła klucz i otworzyła drzwi. – Wejdziesz? Możemy...

Salon i jadalnia były pełne elegancko ubranych, rozmawiających ze sobą ludzi. Podawali sobie talerze z przystawkami. Ktoś nalewał szampana. Był Paul, państwo Scotkinowie, sąsiedzi i inne znajome twarze.

– O cholera! – powiedziała matka Chloe, zauważając

córke. – Niespodzianka!

ROZDZIAŁ 5

Po dwóch kieliszkach szampana Chloe zrobiło się całkiem przyjemnie. Podejrzewała, co prawda, że przyjęcie było tylko zagrywką psychologiczną, która miała sprawić, żeby poczuła się kochana, chciana i doceniana, ale nawet jeśli tak, to mama spisała się na medal. Zastanawiała się, czy przy okazji ujdą jej płazem wagary i ucieczka ze szpitala, czy też matka po prostu nie chce jej karać w urodziny.

Mimo wszystko pani King nie zrezygnowała z tradycyjnych elementów przyjęcia urodzinowego, czyli staroświeckiego lukrowanego tortu oraz pokazywania gościom żenujących zdjęć znacznie młodszej i nierzadko nagiej Chloe.

Oraz, rzecz jasna, toastu.

Kiedy Chloe usłyszała dzwonienie łyżeczką o kieliszek, natychmiast zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu najszybszej drogi ucieczki. Niestety, wszyscy stali jak przymurowani do podłogi. Była w potrzasku.

– Wielu z was już wie – rozpoczęła matka, pociągając nosem – że tak naprawdę nie znamy dokładnej daty urodzenia Chloe.

Chloe zamknęła oczy. O nie. Ona zamierza opowiedzieć całą historię.

Goście wyczekiwali dalszego ciągu.

– Chloe urodziła się gdzieś na wsi w dawnym Związku Radzieckim. Kiedy ją znaleźliśmy, zamiast aktu urodzenia radzieccy urzędnicy wręczyli nam jedynie naprędce nabazgrany dokument z pieczętą w kształcie sierpa i młota z gwiazdą.

Pani King wskazała na wiszącą na ścianie podniszczoną kartkę, oprawioną w ramkę z passe-partout.

– Tak bardzo pragnęliśmy z Davidem dziecka... i *tak bardzo* nam się poszczęściło. Chloe była najpiękniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widzieliśmy. I z każdym rokiem przybywa jej wdzięku, urody i inteligencji. – Chloe ledwo powstrzymała głośny jęk zażenowania. Amy rzuciła jej współczujące spojrzenie. – I choć czasami trochę się... kłócimy, jestem z niej bardzo dumna. Gdyby twój ojciec – *nie uciekł* – był tu z nami, na pewno czułby to samo. Kocham cię, Chloe. Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało. Wszystkiego najlepszego z okazji szesnastych urodzin!

Goście stukali się kieliszkami i podchodzili, żeby uściskać solenizantkę. Chloe mamrotała podziękowania, ciesząc się, że najgorsze ma już za sobą. Kiedy otaczający ją wianuszek osób dostatecznie się rozluźnił, rzuciła się na stół z jedzeniem, napełniła talerz i stanęła w rogu za wysoką rośliną, by w spokoju nacieszyć się przysmakami przygotowanymi przez firmę cateringową.

W pewnej chwili niebezpiecznie blisko przeszła dwójka ludzi. Chloe znieruchomiała – najwyraźniej jej nie zauważyli.

– Pamiętasz, jak okropnie się kłócili przed rozstaniem?
– wyszeptała pani Lowe.

– No. A potem on któregoś dnia zniknął bez pożegnania – odpowiedział ojciec Paula. – Anne bardzo dyplomatycznie to ujęła.

– Czy ona w końcu się rozwiodła?

– Nie... David jakby wyparował z powierzchni ziemi. Nigdy też nie przysłał jej ani grosza na Chloe. Inna sprawa, że – zauważył – Anne i Chloe raczej niczego nie brakuje.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Jeszcze szampana? – zaproponowała w końcu pani Lowe.

Chloe w zamyśleniu przeżuwała łydkę selera. Póki była młodsza, a ojciec jeszcze z nimi mieszkał, kilka tygodni po urodzinach obchodzili też dzień adopcji. Kiedy zostały z matką same, to święto zniknęło z kalendarza.

Opuściła schronienie i ruszyła do gości. W końcu przyszli tu *dla niej*.

Podszedł do niej Paul.

– A gdzie iluzjonista? – wyszeptał, udając, że rozgląda się ukradkiem. – Myślałem, że będą kłowni, kucyki i takie tam.

– Ona nie jest *aż taka* okropna – odparła Chloe, dziwiąc się, że broni matki. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że było jej bardzo przyjemnie. Jeden ze znajomych mamy siedział w kącie salonu i grał na wiolonczeli, co może i było trochę dziwne, ale nadawało imprezie szyku. Jakby była debiutantką z bogatej rodziny, czy coś w tym rodzaju.

Przygotowano nawet odrobinę kawioru z jesiotra amerykańskiego, który – co matka ogłosiła z dumą – jest gatunkiem niezagrożonym wyginięciem. Co najważniejsze, w domu pojawił się piękny, lśniący bielą i chromowaną stalą rower górski firmy Merida ze wspomaganie elektrycznym, które pomoże jej pokonywać bardziej strome wzgórza San Francisco.

Ha. Spełniło się moje życzenie. Tylko szkoda, że nici z pokoju na świecie. Cóż, może za rok.

Paul nerwowo postukiwał w spód kieliszka od szampana.

– Spokojnie, wiem już od Amy – powiedziała cicho Chloe.

Na jego twarzy natychmiast odmalowała się ulga. Wydał z siebie głębokie westchnienie.

– Nie masz nic przeciwko?

– Przeciwko czemu?

– No... naszemu... No wiesz.

– Nie, w porządku – odparła Chloe, zlizując kawior z palców. – To znaczy, co prawda kocham się w tobie od czasu, kiedy mieliśmy po dziewięć lat, i mija już trzeci rok, jak każdej nocy masturbuję się przed twoim zdjęciem z albumu klasowego, ale...

– Ehe! – Paul uniósł dłoń. – Wystarczy. Przyjąłem do wiadomości.

Podeszła do nich Amy.

– Hej – powiedziała trochę nerwowo, wymieniając z Paulem nieśmiały – *nieśmiały!* – uśmiech. Chloe zau-

ważyła, jak ich dłonie „przypadkiem” otarły się o siebie. Amy uśmiechnęła się rozpromieniona. Chloe lekko się wzdrygnęła.

O Boże! Okej. Przyjaźnimy się. Jakoś to zniosę.

Jakoś to zniosę.

Następnego dnia Chloe powtarzała te słowa jak mantrę przez całą lekcję angielskiego, podczas której była zmuszona obserwować starających się nie przyglądać sobie Amy i Paula. Po co? Nie było sensu się ukrywać, bo cała szkoła i tak miała ich trójkę gdzieś. Kiedy Amy rzuciła Paulowi liścik, wykorzystując, że pan Mingrone obrócił się do tablicy i zaczął kreślić czerwoną kredą wielką literę A, Chloe się poddała, opuściła głowę i wbiła wzrok w plastikowy blat ławki. Bił od niego zapach starego kleju, grafitu z ołówków i inny, trudniejszy do rozpoznania, lecz równie nieprzyjemny, ale przynajmniej nie musiała patrzeć na tę żenadę.

Przyjaźnimy się. Jakoś to zniosę.

Paul był, technicznie rzecz biorąc, członkiem redakcji gazetki szkolnej, dzięki czemu ich trójka mogła korzystać z lepszych komputerów i sprzętu, wyświechtanej starej kanapy oraz mniej lub bardziej prywatnego pokoju. Za dnia niemal nikt poza Paulem z niego nie korzystał, więc często tam przesiadywali. Chloe postanowiła wykorzystać okienko na szóstej lekcji, by trochę nadrobić poważnie zaniedbywany sen.

Niepewnie zapukała w wiekowe drzwi z litego dębu, modląc się, by nie przyłapać przyjaciół na całowaniu.

– Wejść! – zawołał Paul głosem kapitana Picarda. W takim razie Amy musiała być gdzie indziej.

Ku swojemu zdziwieniu odkryła, że Paul pracuje. Siedział na krawędzi biurka i przeglądał artykuł.

– Chrupiąca ryba w serze w każdą środę przez *cztery tygodnie* – westchnął i rzucił na ziemię rozkład posiłków. Paul, Amy i Chloe nie dzielili się z nikim tą opinią, ale ich zdaniem ludzie brali „Latarnię” do ręki wyłącznie po to, by poznać aktualne menu stołówki i przeczytać regularnie cenzurowany felieton Sabriny Anne.

– Czemu nie poprosisz mamy, żeby ci pakowała kanapki? Z masłem orzechowym i kimchi. Śniadanie mistrzów. – Chloe rzuciła torbę na kanapę i opadła w ślad za nią.

– Tak, pewnie. – Paul zrobił kilka wymachów nogami.

Dziwnie się czuła, kiedy tak patrzył na nią z góry. A może była to kwestia jego ogólnej zmiany zachowania, od kiedy zaczął chodzić z Amy. Sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie, jakby nie siedział na biurku, tylko odpoczywał na tronie. Właściwie całkiem nieźle dzisiaj wyglądał. Miał na sobie zwykły czarny T-shirt i luźne dżinsy, co pasowało do jego korpulentnej sylwetki dużo lepiej niż koszulki bowlingowe czy ubiory didżeja, które zwykle nosił.

Eee, co?! Chloe nagle zdała sobie sprawę, że *podziwia* wygląd Paula. Stary, dobry Paul z blizną po operacji roz-

szczepionej wargi, przez którą trochę krzywiły mu się usta, kiedy się uśmiechał. *Właściwie było to nawet ujmujące...*

Otrząsnęła się.

– To co tam u ciebie? – zapytała szybko.

– Poza twoim wypadkiem i Amy? Nic szczególnego. – Przyglądał się jej z lekkim rozbawieniem w brązowych oczach. Chloe poczuła, że poca się jej dłonie. Pokój redakcyjny – nieduży, zaciszny – znajdował się z dala od uczęszczanych korytarzy. Świadomość, że cokolwiek zrobą, nikt się o tym nie dowie, była niemal namacalna.

To tylko dlatego, że on się podoba Amy, powiedziała sobie. Rywalizacja.

Wyczuwała w nieruchomym powietrzu delikatny zapach jego dezodorantu i mydła, a pod nimi lekki zapach soli, który pewnie pochodził od skóry. Tak łatwo byłoby podejść do niego, kiedy tak siedział, przywrzeć do niego ciałem. Ich głowy byłyby na tym samym poziomie. Mogłaby objąć go za szyję, jak Xaviera, i przyciągnąć do siebie...

– Srutututu, bla, bla, bla... Hej! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Tak! – Chloe zeskoczyła z kanapy, usiłując stłumić pożądanie. – Nie. To znaczy, muszę iść. Zapomniałam, eee, oddać Mingrone wypracowanie. Cholera, mam nadzieję, że jeszcze nie poszedł do domu.

Chwyciła torbę i wybiegła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Chyba mówił, że mamy czas do jutra – zawołał za

nią Paul.

Jakoś to zniosę.

Taaak, pewnie.

W pracy Chloe na siłę przyglądała się wszystkim facetom wchodzącym do sklepu, nawet gejom. Musiało być z nią naprawdę źle, skoro prawie pocałowała swojego przyjaciela, który na dodatek był chłopakiem jej najlepszej przyjaciółki.

Marisol dodatkowo pogorszyła sprawę, puszcżając na sklepowych głośnikach „I Need a Man” Eurythmics. Chloe podskoczyła ze wstydu, kiedy usłyszała refren.

– Aż tak to widać?

– Kochanie, *ociekasz* hormonami. Zapaskudzisz mi tę świeżo umytą podłogę – uśmiechnęła się do niej właścicielka sklepu. Chloe była zdania, że matka mogłaby się wiele od niej nauczyć. Szefowa na pierwszy rzut oka rozpoznawała jej nastroje i – o ile nie było akurat wyprzedaży – zawsze chętnie jej wysłuchała.

– Kto puścił to stare gówna? – krzyknęła Lania z działu butów, nakrywając dłońmi uszy.

Chloe i Marisol wymieniły znaczące spojrzenia.

– Znajdź sobie, dziewczyno, chłopaka, bo nie możesz się skupić na pracy. Widzę przecież, że myśłami jesteś gdzie indziej – powiedziała szefowa wesołym głosem.

Później, cierpliwie rozpruwając podłożenia kolejnych dzinsów, Chloe zastanawiała się nad słowami Marisol. Może i rzeczywiście mogłaby coś z tym zrobić. Może

najwyższy czas na fajnego chłopaka.

Albo odwiedziny u Xaviera.

Po dotarciu na odpowiednią ulicę wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni wizytówkę. Była całkowicie wymięta. *Muszę się w tym podszkolić.*

Wyobraziła sobie siebie w przyszłości, w scenerii pełnej stali i szkła, ubraną w biznesowy strój, jak podaje komuś dłoń, a następnie wręcza pognieciony, zatłuszczony kartonik. Znalazła wskazany adres. Xavier musiał mieć sporo pieniędzy albo mieszkać z bogatym znajomym, bo dom był *piękny*: stary, dwupiętrowy, z wykuszowymi oknami z ciemnego drewna wychodzącymi na mało uczęszczaną ulicę ozdobioną zieleniący się drzewami. Obraz psuł nieprzerwany pas zaparkowanych samochodów ciągnący się wzdłuż obu stron jezdni. Bogata dzielnica czy nie, było to mimo wszystko San Francisco.

Ktoś podparł frontowe drzwi, żeby się nie zamykały, i przyczepił do nich odręcznie napisaną prośbę do pracowników firm kurierskich. Hol pachniał cytrynowym środkiem do mycia drewna. Na każde piętro przypadało tylko jedno mieszkanie – Xavier zajmował strych. Ze szczytami. Chloe całe życie marzyła, żeby się wynieść z obleśnego szeregowca z winylową fasadą i zamieszkać w takim prawdziwym starym domu. Weszła po schodach, z przyjemnością przeciągając dłonią po gładkiej poręczy.

W półmroku klatki schodowej dopadły ją wątpliwości. Kto normalny odwiedza o takiej porze dopiero co pozna-

nego, starszego od siebie obcokrajowca w jego własnym mieszkaniu, na dodatek nie mówiąc o tym nikomu? Przecież nic o nim nie wie. Może się okazać gwałcicielem albo mordercą. Albo wampirem.

Stała na chwilę, ale zaraz ruszyła ponownie, kiedy wyobraziła sobie, jak się całuje z Paulem.

Nie będę wchodziła. Stanę w drzwiach i zapytam, czy chce gdzieś ze mną pójść. Na przykład na kawę.

Dostępu do mieszkania Xaviera broniły zdobione listwami drzwi z ciemnego drewna. Na wysokości oczu miały mosiężny wizjer. Uniosła rękę, żeby zapukać...

...i zwróciła uwagę, że są lekko uchylone.

– Eee, dzień dobry?! – zawołała, robiąc krok w tył.

– *Pomocy...* – odezwał się ze środka zduszony, przerywany głos. – *Pomóż mi!*

Zawahała się. To mogła być pułapka. Może on porywa dziewczyny i je gwałci, a potem sprzedaje do niewoli i...

– Proszę... Ktokolwiek...

Popchnęła drzwi i weszła do środka.

Mieszkanie pachniało chorobą i rozkładem, co kontrastowało z obrazem tworzonym przez czyste antyczne meble i drogie nowoczesne oświetlenie. W każdym ze szczytów urządzono starannie zaprojektowany kącik do siedzenia i czytania – *dokładnie tak, jak sama bym zrobiła*. Chloe zmusiła się, by ruszyć w kierunku, z którego dochodziło dyszenie.

W drzwiach łazienki leżał Xavier, który ani trochę nie przypominał chłopaka z imprezy.

Miał na sobie to samo ubranie co w klubie, ale porzrywane, jakby próbował je zedrzeć z siebie. Napęczniała twarz przypominała skórę gnijącego grejpfruta. Spuchnięte, czerwone policzki i czoło pokrywały olbrzymie krosty, z których sączyła się biała ropa.

– *Pomóż...* – próbował krzyknąć, ale gardło spuchło mu tak bardzo, że ledwo oddychał. Stękał i wił się, jakby chciał wyjść ze skóry. Kiedy niezdarnie przewrócił się na brzuch, Chloe miała okazję przyjrzeć się plecom, wzdłuż których ciągnęły się długie, owrzodzone pręgi, jak od pazurów, dokładnie tam, gdzie głaskała i drapała go na parkingu.

Cofnęła się powoli.

Trzeba zadzwonić.

Bez namysłu ruszyła na poszukiwanie telefonu, czując się, jakby brodziła w gęstym syropie. Znalazła go w salonie na jednym z tych wielkich, drogich filtrów powietrza marki Sharper Image. Jej matka też taki miała. Zadzwoniła na pogotowie.

Kiedy w słuchawce odezwał się szorstki, beznamiętny głos, wyrecytowała adres.

– Jakiś człowiek tu leży. Cały w bąblach. Ledwo oddycha. Wygląda, jakby miał umrzeć.

Wygląda, jakby miał umrzeć.

– Zaraz tam będziemy. Mogę prosić o numer telefonu?

– Nie mam... – Spojrzała na wizytówkę i podała numer komórki Xaviera. Rozłączyła się i wróciła do niego. Syczał i kaszłał, a oczy miał zaropiałe i przymknięte. Zastana-

wiała się, czy rozpoznałby ją, gdyby mógł ją zobaczyć.

Dokładnie tam, gdzie go podrapała.

Poczekala chwilę. Gdy usłyszała dźwięk syreny zbliżającej się karetki, uciekła.

ROZDZIAŁ 6

Piątek minął normalnie. W nekrologach i kronikach policyjnych nie było wzmianki o Xavierze, więc Chloe postanowiła za wszelką cenę normalnie spędzić również weekend. Żadnych burz hormonów. Żadnych facetów. Żadnych upadków z wież oraz spotkań z seksownymi nieznajomymi zapadającymi na dziwne choroby.

W sobotę po wyjściu z łóżka nasypała sobie dużą porcję płatków Lucky Charms i przez dwie godziny oglądała nowe (naprawdę denne) kreskówki. Na dworze świeciło słońce, więc zasunęła zasłony, tak jak to robiła jako dziecko, kiedy nie chciała, by zew natury kusił ją do wstania przed telewizora.

O drugiej spotkała się z Amy pod salonem Relax Now. Poprzedniego wieczoru niedbałym tonem zaproponowała, żeby za część pieniędzy urodzinowych zafundowały sobie manicure. Amy początkowo się opierała, twierdząc, że to rytuał dla dorobkiewiczów, którzy chcieliby zaznać luksusu, a na nic porządnego ich nie stać, ale Chloe kazała jej się zamknąć i cieszyć okazją. Nigdy czegoś podobnego nie robiły i możliwe, że już nie zrobią. Poza tym to ona płaci.

Amy, pomimo wcześniejszych narzekań, z zadowoleniem przypatrywała się swoim schnącym paznokciom. Wcześniej namówiła jedną z manikiurzystek, którą uznała za najbardziej artystyczną duszę, by pomalowała jej dolną połowę każdego paznokcia na czarno,

a przez górną pociągnęła pojedynczy pasek przypominający pazur. Teraz zginała i prostowała palce w świetle lampek.

– Grrr – zamruczała.

Paznokcie Chloe nie były jeszcze gotowe, bo zdecydowała się na ciepłą parafinę, okład witaminowy i superoczyszczanie. Podczas tych zabiegów zasypywała obsługującą ją kobietę pytaniami. Czy paznokcie mogą wyglądać na czyste, a wcale nie być? Czy można pod nimi przenosić zarazki? A grzybicę?

– Tak, tak, tak – odpowiedziała manikiurzystka, z zapalem polerując jej paznokcie. – Wiem, że jedna dziewczyna zrobiła sobie pedicure, ale nie tutaj, w innym miejscu, *bardzo brudnym*, i potem musieli jej usunąć cały palec u nogi. Okropne zakażenie. Ale u nas dbamy o wszystko. Mogłaby pani jeść tymi paznokciami.

Chloe poczuła ulgę, a zaraz potem wyrzuty sumienia. Miała nadzieję, że z Xavierem wszystko w porządku. Będzie musiała się dowiedzieć.

Inna sprawa, że przekazała partnerowi coś w rodzaju choroby, zanim w ogóle poszli ze sobą do łóżka, co mimo wszystko *było* dość zabawne. W luźnym znaczeniu tego słowa, oczywiście.

– *Idealnie* – stwierdziła Amy, podziwiając swoje paznokcie. – Idziemy dzisiaj do Temple of Arts. Tamtejsze wampirzyce zsikają się ze strachu, jak to zobaczą.

– Super. Strasznie dawno tam nie byłam. – Nie miała planów na wieczór, oprócz gotowania z mamą (czas matki

z córką), od którego najchętniej by się wymigała. Poza tym na pewno dobrze by jej zrobiło, gdyby mogli sobie tak po prostu spędzić czas we trójkę – byłaby to doskonała okazja, by odreagować piątkowy przyływ niezrozumiałego pociążu do Paula. – Obiecałam mamie, że pomogę jej ugotować kolację z jakiegoś dziwnego i skomplikowanego przepisu, ale koło dziewiątej, dziesiątej powinnam być wolna.

– A... – Amy zarumieniła się i uważniej wpatrzyła w swoje paznokcie. – To znaczy, miałam na myśli, że ja i Paul idziemy. Na randkę.

– Na *randkę*? – Dopiero co była mowa o niezobowiązującym całowaniu się dla rozładowania nadmiaru napięcia... Kiedy to się zmieniło? – Och. – Poruszyła się niespokojnie i zarobiła klepnięcie po ręce ze strony manikiurzystki. – Och. W porządku. Nie ma problemu.

Przyjaźnimy się. Jakoś to zniosę.

– To może jutro się spotkamy? Byłoby super – zaproponowała ochoczo Amy.

– Nieee. Jutro chciałam pojeździć na moim nowym rowerze. – Zawód, wstyd i wściekłość kotłujące się w głowie Chloe sprawiły, że nie potrafiła powiedzieć tego obojętnie.

– Przez cały dzień?

– Tak – potwierdziła stanowczo, wpatrując się w swoje paznokcie. – *Cały dzień*.

W domu Chloe zrobiło się głupio, że nie dotrzymała postanowienia i to jeszcze w sytuacji, kiedy Amy i tak była wyraźnie zażenowana. Zachowała się jak dziecko. To naturalne, że Amy chce spędzać czas z Paulem. Przecież *chodzą* ze sobą, prawda?

W końcu napisała maila:

To co, może jednak niedziela wieczorem? Możemy wypożyczyć film czy coś... xo, C.

Nadal jednak miała z tego powodu zły humor. Położyła się na łóżku i drzemała, a w głowie wirowały jej wizje Xaviera, Aleka i – blee Paula. W końcu matka zażądała, żeby zeszła na dół i pomogła robić kolację. Chloe pracowała w milczeniu.

– Czy coś się stało? – Matka, co do niej niepodobne, zainteresowała się jej nastrojem.

– Nie – odpowiedziała i dla podkreślenia słów energicznie zmiażdżyła ząbek czosnku bokiem noża.

Matka przyglądała się jej spod oka, milcząc.

Kolacja wyszła fantastyczna, acz trochę dziwna, jak większość sobotnich prób ambitnego gotowania pani King. Kiedy skończyły jeść, matka zafundowała sobie drzemkę na kanapie w salonie, a Chloe usiadła przed telewizorem i zaczęła przerzucać kanały. W końcu zatrzymała się na jakiejś nocnej operze mydlanej, której normalnie nie poświęciłaby najmniejszej uwagi, ale tak się akurat złożyło, że atrakcyjna para całowała się na plaży. Wpatrywała się w nich tęsknie, wyobrażając sobie, że to ona leży na piasku i czuje czyjeś usta na swoich.

– I co? Jak ci się jeździło? – zapytała Amy w poniedziałek, kiedy stały w kolejce po lunch.

– Super.

Naprawdę. Gdyby nie to, że cały czas rozmyślała, jaka jest wkurzona na Paula i Amy oraz jak bardzo sama chciałaby mieć chłopaka, byłoby idealnie. Dotychczas nie zwracała uwagi, ile irytujących zakochanych par łązi po ulicach San Francisco, a wczoraj gdzie nie spojrzała, tam ktoś kogoś obcałowywał. Wszędzie.

Pogrzebała w kieszeni, ale nie znalazła tam nic ciekawego, więc zaczęła się przyglądać wiedźmie obsługującej stołówkę.

– Nie odpowiedziałś na mojego maila.

– Przepraszam – Amy dzielnie kontynuowała rozmowę – bateria mi padła. Odebrałam dopiero dzisiaj rano.

– Nie ma sprawy. – Chloe zdała sobie sprawę, że od patrzenia, jak kobieta z wąsem miesza gar pomarańczowej mazi, która uchodziła za chili, robi jej się niedobrze. Pływające w sosie ziarna fasoli podejrzanie przypominały karaluchy. Odwróciła głowę, ale w krótkiej kolejce, w której stały, nie było niczego, na czym mogłaby zawiesić wzrok. Poza Amy.

– To... eee... pójdziemy gdzieś po szkole? – Amy hipnotyzowała ją – wzrokiem. Oczy miała szeroko rozwarte i drżące. *Przepraszam*, zdawały się mówić. – Jestem beznadziejna, wiem.

Chloe nie dała się wzruszyć.

– No chodź. Pójdziemy we trójkę pooglądać lwy morskie, jak kiedyś. Kupię ci loda. Nooo? *Proszę*.

Chloe uśmiechnęła się bezwiednie. Mimo wszystko to Amy.

– Och, no dobrze. Ale świderka. I chcę dwa smaki.

– Obiecuję! – zgodziła się Amy, uśmiechając się szeroko.

Tę chwilę pojednania brutalnie przerwał paskudny, zupełnie niekojarzący się z niczym jadalnym *plask* pomidorowej brei uderzającej o dno tacy Chloe.

– Następny! – krzyknęła kucharka.

Odchodząc od okienka, wpadły prosto na Aleka.

– King! – powiedział z uśmiechem. – Kiedy się ze mną spotkasz?

Chloe przyglądała się jego pięknie wygiętym, egzotycznym ustom. Uśmiechającym się *do niej*.

– Dziś po południu? Idziemy na molo pooglądać lwy morskie. Chcesz się przyłączyć?

Amy spojrzała na nią z ukosa, zaskoczona.

Było to najżałośniejsze zaproszenie, jakie Chloe potrafiła sobie wyobrazić. Mimo to wypowiedziała je pewnym siebie głosem, patrząc Alekowi w oczy.

Ten uniósł brwi. Musiało to zabrzmieć naprawdę obciachowo.

– Lwy morskie? Ha. Czemu nie. Przynajmniej za darmo.

– To do zobaczenia! – rzuciła Chloe i jakby nigdy nic ruszyła do stołu.

Amy powlokła się za nią z rozdziawionymi ustami.

Chloe widziała, że przyjaciele starają się opanować.

Amy siedziała Paulowi na kolanach. Uśmiechali się z zadowoleniem skapani w blasku późnopołudniowego słońca. Nikt się z nikim nie całował.

To dlaczego robi mi się niedobrze?

– Arp! – szczechnął jeden z lwów morskich.

Lizała loda, ostrożnie nabierając językiem smak czekoladowy i waniliowy w równych proporcjach.

Woda w zatoce była ciemnoniebieska, a most miał jakby odwieczny, rdzawoczerwony kolor. W oddali małe wysepki to znikwały, kiedy przesłaniała je któraś z przepływających ślicznych żaglówek, to pojawiały się znowu. Turystów było sporo, ale nie tak dużo, żeby ją denerwowali.

Było prawie idealnie. Prawie. Alek się nie pojawił.

I co w tym dziwnego? Dlaczego cokolwiek miałyby mi się udać?

Zresztą, po co sobie robić nadzieję. Przecież chodzi o Aleka – jak stwierdził Paul – „młodego Rosjanina o stalowych oczach i subtelnie rzeźbionych rysach twarzy”. Na co mu żałosna podwójna randka z trójką ludzi, z którymi nikt się nie zadaje?

– Hej, zobaczcie tego! – Paul wskazywał palcem nie lwa morskiego, tylko jednego z turystów.

Był naprawdę wyjątkowy: miał na sobie czapkę z nadrukiem FRISCO, T-shirt ALCATRAZ i usiłował

sfotografować pomost malutkim, jasnożółtym jednorazowym aparatem.

Jak dotąd było to najbardziej ekscytujące wydarzenie tego popołudnia.

Słońce zaczynało zachodzić. Od oceanu powiała chłodna nocna bryza, strącając kosmyk ciemnych włosów na twarz Chloe. Strzepnęła go nerwowo.

– Chcesz iść? Może kupimy sobie po kawie? – zapytał po pewnym czasie Paul.

Westchnęła.

No, to jestem oficjalnie piątym kołem u wozu.

– Gdzie te lwy morskie? Czy miałaś na myśli tych grubych turystów?

Chloe odwróciła się w kierunku, z którego dochodził głos, i dostrzegła zbliżającego się Aleka. Szedł z rękami w kieszeniach i marszczył brwi, starając się wypatrzeć ledwo widoczne zwierzęta.

– Tam. – Wskazała niedbale w kierunku wody. Potrzebowała całej siły woli, żeby nie skoczyć mu na powitanie i nie wykrzyczeć radośnie jego imienia.

Zachowam spokój. Jakoś to zniosę, powtórzyła sobie, wreszcie z mniej denerwującego powodu.

Dzisiaj był ubrany zupełnie swobodnie, ale nadal tak samo olśniewająco piękny – w rozpiętej koszuli narzuconej na T-shirt, bez skarpetek. W świetle zachodzącego słońca jego blond włosy wyglądały jakby miały miodowe i brązowe pasemka.

– A, faktycznie! Już je widzę! – Twarz mu się rozja-

śniła. Wyglądał, jakby rzeczywiście go interesowały. – Bardzo fajne. W Petersburgu takich nie mieliśmy. Albo były, ale ludzie wszystkie zjedli.

Chloe przedstawiła Amy i Paula, a Alek bardzo oficjalnie uścisnął im dłonie.

– Amy, chyba cię widziałem w tej kawiarni z kurczakiem. Dobrze kojarzę, że czytałaś swoje wiersze?

Paul zrobił poirytowaną minę. Amy się zarumieniła.

– Zdarza mi się, od czasu do czasu.

Nastąpiła długa, krępująca cisza. Jeden lew morski bezgłośnie osunął się do wody. Pozostałe wkrótce poszły w jego ślady.

– No, to było fajne – przyznał Alek, rozglądając się dookoła. – Ale może pójdziemy gdzie indziej? Robi się za ciemno, żeby oglądać lwy.

Chloe starała się powstrzymać chichot. Tak pociesznie to powiedział.

– Zamierzaliśmy iść na kawę – powiedział Paul.

– Okej. A potem?

– Do klubu? – zaproponowała Amy.

– Doskonale! – Alek wskazał na nią palcem, jakby podała prawidłową odpowiedź w teleturnieju. Potem zrobił smutną minę. – Jedyne, czego mi tu tak naprawdę brakuje, to taniec. W Petersburgu, jeśli miało się ochotę, można było pójść potańczyć co noc. I nie trzeba było za to płacić.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby dzisiaj iść tań...

– Cokolwiek kierowało Paulem, Amy uciszyła jego protest za pomocą szybkiego dźgnięcia łokciem w zębra.

– Świetny pomysł – powiedziała. – Co sądzisz, Chloe?
– Jestem jak najbardziej za. – Wyobraziła sobie, że tańczy z Alekiem, jak wcześniej z Xavierem. To natychmiast jej przypomniało, jak całowała się z Xavierem na parkingu i w jakim stanie znalazła go później w jego mieszkaniu. Czym prędzej zdusiła w sobie poczucie winy.
– Eee... byle nie do Banku.

Cała trójka dziwnie na nią spojrzała.

– W poniedziałki jest do dupy – wytłumaczyła nieprzekonująco. *Podobnie jak we wtorki, środy, czwartki i piątki.* W gruncie rzeczy nie obraziłaby się, gdyby tam już nigdy nie poszli.

Z ulgą przyjęła decyzję, że pójdą do Raven, gdzie grali dużo dobrej muzyki tanecznej, ale nie było parkietu. Mieli tam za to mnóstwo starych, wygodnych kanap i niewiele skrupułów, jeśli chodzi o sprzedawanie alkoholu nieletnim. No i tarczę do rzutek, która natychmiast przyciągnęła Aleka i Paula.

– Spójrz na nich – powiedziała Amy, chichocząc. Paul zamknął jedno oko i celował do tarczy. Alek stał ze skrzyżowanymi rękami i poważnym wyrazem twarzy. – Zupełnie jak jaskiniowcy.

– Nie sądzę, żeby człowiek z Cro-Magnon używał rzutek do polowania na mamuty. – Chloe popijała piwo drobnymi łyčzkami. Alekowi zaimponowało, że wybrała hoegaardena, ale nie zaproponował, że za niego zapłaci. Szkoda, bo kosztował pięć dolców.

– Nawet do nas pasuje – stwierdziła Amy.

– Nie chcę, żeby do nas pasował, tylko żeby tu podszedł, wyciągnął mnie na dwór i porządnie pocałował! – Pociągnęła kilka dużych haustów.

– O kurde, Chloe robi się płytka. Rozumiem, że lecisz na przystojnych jaskiniowców?

– Lubię rozmawiać – zaprotestowała Chloe. – Ale to musi być w odpowiedniej kolejności. Najpierw całowanie, *potem* gadanie.

– Cóż – Alek przysiadł się do niej na kanapie – dałem twojemu koledze do zrozumienia, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

Paul tylko coś mruknął pod nosem i usiadł koło Amy, która się obróciła i położyła mu głowę na kolanach. Alek trzymał rękę na oparciu kanapy i czasami dotykał pleców Chloe dla podkreślenia tego, co mówił. Zastanawiała się, czy zdaje sobie sprawę, że doprowadza ją do szaleństwa. *Pewnie tak. W końcu musiał jakoś zdobyć ten tłum wielbi-cielek.* Obiecała sobie, że za żadną cenę nie dołączy do tej kategorii. Jest lepsza niż wszystkie Keiry i Halley tego świata.

Paul jeszcze dwukrotnie wyzwał Aleka na pojedynek w rzutki, ale nie udało mu się wygrać. Amy zebrała o ćwierćdolarówki do szafy grającej. Chloe przyglądała się Alekowi, popijając piwo i podważając od czasu do czasu wybory muzyczne przyjaciółki. O dziesiątej zadzwoniła matka Amy, żądając, by ta natychmiast przestała się skandalicznie zachowywać i wróciła do domu. Cała

czwórka wyszła na narożnik ulicy przed klubem, po czym zaczęli się żegnać. Alek nie zaproponował, że odprowadzi Chloe do domu.

– Do zobaczenia jutro na cywilizacji – powiedział tylko. – Dzięki za wspólny wieczór. – Pocałował ją delikatnie w policzek, po czym odwrócił się i zniknął w ciemnościach nocy.

To było miłe. *Miły* pocałunek. Bardzo *miły*. Zbyt *miły*. Chloe miała ochotę krzyczeć.

– Może zacznij nosić koszulkę z napisem „Jestem łatwa” – zasugerowała Amy.

Chloe była zadowolona, że może samotnie wracać do domu. Było sucho i nieco mroźnie. Idealna jesienna pogoda. Opadłe liście szeleściły, niesione po chodniku przez lekkie powiewy wiatru. Chmury przemykały w poprzek księżyca. Nastrój jak w *Halloween*. Po raz pierwszy od wielu dni udało jej się uciec myślami od Xaviera, upadku, nawet Aleka. Zamiast tego zastanawiała się, jaki Amy przygotuje kostium w tym roku. Jej kreacje zawsze były widowiskowe, skomplikowane i często stanowiły grę słów: w ubiegłym roku przebrała się za alfonsa, wykorzystując fakt, że w miejskim slangu o grubych przedstawicielach tego zawodu mówi się *tatusiek Big Mac*. Włożyła wtedy czerwoną perukę, buty kłowna i mnóstwo złotych łańcuchów. Paul ubrał się w dżinsy i dżinsową kurtkę, a do piersi przypiął sobie guzik z nadrukiem w kształcie nici DNA i podpisem „samolubny gen”. Chloe za to nie wysi-

liła się zbytnio – założyła staroświecką suknię wieczorową. Do tego miała maskę na oczy, którą Amy pomogła jej rozebrać i zamocować na patyku, dzięki czemu mogła udawać wenecką damę idącą na bal.

– Hej, siostró, uśmiechnij się!

Chloe otrząsnęła się z zadumy i dostrzegła jednego z „przyjaznych” bezdomnych zasiedlających ulice San Francisco. Był wysoki, na oko dwudziestokilkuletni, o blond włosach skręconych w dredy, które wyglądały idiotycznie u białego faceta. Ubranie miał brudne i zniszczone. Chloe rzuciła mu wymuszony uśmiech i dalej szła przed siebie.

– Hej, poratujesz dolarem? – Podbiegł do niej i wyciągnął dłoń. – Muszę se kupić piwo – rzucił jej szczerbaty uśmiech. Jego szczerłość zaskoczyła i rozbawiła Chloe, ale w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że poza nimi ulica jest pusta, a wszystkie sklepy już dawno pozamykano.

Jej zmysł Spidermana, jak określiliby to Paul, kazał jej uciekać. Przyśpieszyła kroku.

– Sorry – powiedziała.

– Nie bądź *taka*. – Chwycił ją za rękę. – Na pewno masz przy sobie parę dolców. Każdy ma.

Wyrwała mu dłoń.

– Przykro mi, ale nie mam.

– Założę się, że masz. – Chwycił ją mocno i obrócił do siebie.

– Puść mnie! – krzyknęła, patrząc mu prosto w oczy,

jak ich uczyli na kursie samoobrony, na który chodziły z matką. Nakrył jej usta drugą dłonią. Śmierdziała brudnym ciałem, psami i moczem.

– Ej, nie bądź taka. Możemy się trochę zabawić. – Zrobił obleśną minę.

Nagle się *wściekła*. Strach zniknął, za to rozpierała ją złość. Co on sobie wyobraża? Czemu myśli, że ma prawo ją – czy też kogokolwiek – tak traktować?

Z całej siły zacisnęła zęby, chwytając między nie gruby kawał skóry jego dłoni. Szarpnęła głową w tył i poczuła, że coś rozrywa.

– O kurwa! Pojebało cię?! – Cofnął dłoń i wpatrzył się otumanionym wzrokiem w wypływający z niej potok krwi. Następnie walnął Chloe w twarz.

Bolało jak cholera, ale się tym nie przejęła. Okręciła się w miejscu, podskoczyła i kopnęła go w klatkę piersiową, przytrzymując się jego wyciągniętej ręki dla zachowania równowagi.

Trochę ją to zaskoczyło, przecież nie ćwiczyła żadnych sztuk walki, a na dodatek celowała w krocze.

Facet zatoczył się do tyłu, z trudem łapiąc oddech.

Chloe czekała.

– Ty głupia... – Rzucił się na nią.

Z łatwością uskoczyła na bok, chwytając go przy okazji za włosy. Pociągnęła mocno, wytrącając go z równowagi, a kiedy padał na ziemię, kopnęła w zebra. Włożyła w to kopnięcie całą złość na świat, przyjaciół, Aleka, ojca, który ją opuścił, nawet na swoją kiepską ocenę

z chemii. Odpowiedział jej bardzo satysfakcjonujący odgłos pękających kości. Mężczyzna przeturlał się na brzuch. Kopnęła go ponownie.

– Pierdolona... suko... – wysapał. – Zajebię cię...

Chloe zdzieliła go na odlew w bok głowy. Natychmiast stracił przytomność. Strużka krwi wyciekającej z ucha spływała mu po żuchwie.

Stała nad nim, dysząc.

I co teraz? Drugi raz w tym tygodniu zadzwonić anonimowo na pogotowie?

E tam. Nie zasługiwał na to. Odwróciła się i ruszyła do domu.

Noc była tak samo piękna jak wcześniej. Chłodna i cicha. Chloe pogwizdywała pod nosem, wciąż podekscytowana przyływem adrenaliny. Po chwili zdała sobie sprawę z czegoś dziwnego.

Każda sekunda tej walki sprawiła jej przyjemność.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy matka wróciła do domu, Chloe już spała, co oszczędziło jej dyskusji na temat siniaków i zadrapań na policzkach. Spała jak zabita, póki nie zadzwonił budzik, po czym wyszła do szkoły, nie pokazując się mamie.

– O cholera! Co *ci* się stało? – przywitała ją Amy.

Należało docenić, że nie zaczęła od durnych żartów w rodzaju „Mama cię bije?”. Tego ranka paliła papierosa goździkowego, którego modnie upuściła i przydepnęła przed wejściem do szkoły.

– Wpadłam na drzwi. *Znowu* – odpowiedziała Chloe dramatycznym głosem.

Amy klepnęła ją mocno w ramię.

– Wczoraj, jak wracałam, napadł mnie jakiś menel. – Nie była pewna, czy dobrze robi, wyjawiając prawdę, ale po tym, jak nie przyznała się ani do przygody w nocnym klubie, *ani* do tego, co zaszło z Xavierem, było jej głupio, że częstuje przyjaciółkę tyloma niedopowiedzeniami i półprawdami.

– O Boże! *Nic* ci się nie stało? Zresztą czekaj, co ja gadam. Przecież to ta sama Chloe King, która przeżyła upadek z Coit Tower. – Amy uniosła brew i potrząsnęła głową.

– Skopałam mu tyłek – oznajmiła Chloe z dumą.

– Taaa? Z którego odcinka *Buffy* to wzięłaś? Czy może powinnam zapytać, czy koleś był naćpany?

– Ej! Poradziłam sobie dzięki mojej nadludzkiej sile, superrefleksowi i temu kursowi samoobrony, który skończyłam z wyróżnieniem!

– Ehe – powiedziała Amy, kiwając głową i udając, że się zgadza. – No dalej, był pijany? Na prochach?

Czemu Amy jej nie wierzyła? Czy naprawdę wydawało się to takie nieprawdopodobne, że obroniła się przed napaścią? Mężczyzna był wysoki, miał może metr osiemdziesiąt pięć, ale chudy. Życie na ulicy wyraźnie odcisnęło już na nim swoje piętno. Chloe spróbowała odtworzyć bójkę w pamięci i spojrzeć na nią oczyma Amy. Historia wydawała się całkiem wiarygodna, niemal jak scenariusz z zajęć samoobrony – ale tylko do chwili, w której, nie mając żadnego doświadczenia, kopnęła faceta z wyskoku w klatkę piersiową. Nie wspominając o tym, że zamiast uciekać, walczyła do końca.

– Pewnie był na heroinie – westchnęła.

Kiedy w środę dostała na lunch zapowiadanego chrupiącego dorsza zapiekanego w serze, podziało to na nią dziwnie uspokajająco. Co prawda mdliło ją od samego widoku, ale wszystko wskazywało na to, że życie będzie zgodnie z planem. Szkoda tylko, że jej przyjaciele wykorzystywali każdą okazję, by gdzieś się zaszyć. Chloe obawiała się, że pewnego dnia Paul i Amy okażą się jedną z obściskujących się par, które ciągle mijała na korytarzu. Na wszelki wypadek zaczęła chodzić z lekcji na lekcję szybszym krokiem i ze spuszczoną głową.

Czego by nie mówić, w środę Amy znalazła dla niej pięć minut podczas spaceru ze szkoły do pracy. Stawiła się na niego z latte dla Chloe – pierwszym z wielu spodziewanych prezencików podyktowanych poczuciem winy. Porozmawiały o tym i owym, ale – jak zwykle ostatnimi czasy – na tym się skończyło.

Chloe potrzebowała prawdziwej rozmowy o rzeczach, które były dla niej ważne, jak upadek z wieży. Albo bójka z bezdomnym. Albo Xavier, do cholery. Niestety, od chwili, kiedy Amy związała się z Paulem, tak bardzo się od siebie oddaliły, że za każdym razem musiały poświęcić kilka minut na odtworzenie dawnej bliskości. I zanim Chloe poczuła się na tyle swobodnie, by porozmawiać o czymś ważnym, jedna z nich – najczęściej Amy – musiała się zbierać.

W Pateenie Marisol włączyła jeden z czterech starych czarno-białych telewizorów, na których puszczała psychodeliczne teledyski do trance’u dobiegającego z głośników. W czasie, gdy ustawiała taśmy, leciał jakiś głupi sitcom. Chloe akurat miała przerwę, więc oglądała go jednym okiem, jednocześnie przeglądając kolejne nekrologi w poszukiwaniu Xaviera. Serial był o zwyczajnym facecie, jego żonie hipisce i komicznym chaosie, który zapanował w ich życiu na skutek różnicy charakterów.

Chloe wyobraziła sobie nagle inną wersję matki: nieco bardziej roztrzepaną hipiskę z San Francisco ciągnącą córkę na kręgi bębniarskie, babskie wieczorki i inne okropności. Mogłaby, na przykład, prowadzić księgarnię.

Byłaby trochę rąbnięta, ale łatwo by się z nią gadało, a kiedy córka otworzyłaby się przed nią przy kubku świeżo zaparzonej herbaty z mlekiem i przyprawami, miałyby różne sensowne rzeczy do powiedzenia na temat chłopaków. Nic nieprzyjemnego. W każdym razie na pewno nie „Zabraniam ci się z nimi spotykać”.

Z drobiazgów, które pamiętała i powiedziano jej na temat ojca, wynikało, że był on człowiekiem tego właśnie typu: nowoczesnym dobroczyńcą, który za dnia pomagał imigrantom jako adwokat z urzędu, a wieczorami zabierał żonę na imprezy charytatywne. Próbowала sobie wyobrazić, jak siedzi z nim u Carlucciego. Szare, niewyraźne fragmenty twarzy wypełniła wspomnieniami z rodzinnego albumu ze zdjęciami. Opowiedziałyby mu o swoich przygodach z chłopakami, a on by jej wyznał, że wie, jacy okropni są chłopcy w tym wieku, bo sam taki był, więc powinna na siebie uważać. Wysłuchawszy opowieści o Xavierze, zarumieniłyby się, ale mimo to by ją wsparł. Zainteresowałoby go, że Alek był z Rosji. W końcu to *ojciec* wpadł na pomysł, żeby adoptować sierotę z jednej z byłych republik radzieckich. W tym momencie Chloe czuła, że nie ma *nikogo*, z kim mogłaby porozmawiać.

– Hej.

Nad stojakiem, przy którym pracowała, pojawiła się para czarnych, wełnianych kocich uszu. Ich właściciel stał na palcach i machał do niej.

– Hej – odpowiedziała z uśmiechem.

– Tym razem chyba kupię cały *garnitur* – powiedział.

– Albo przynajmniej marynarkę – dodał po namyśle.

– Lania jest naszą specjalistką w dziedzinie „meta-morfoza dla każdego”. Jeśli wytrzymasz jej ciągłe narzekanie, to pomoże ci wybrać coś odpowiedniego i olśniewającego.

– Aha. – We wpadających przez okno promieniach słońca jego oczy wyglądały na niemal zielone i bardzo głębokie, jak jeden z tych ekskluzywnych szklanych przycisków do papieru.

Chloe usilnie starała się znaleźć sposób na podtrzymanie konwersacji.

– Słuchaj... eee... mogłabym cię jednak prosić o wzór tej czapki? – zapytała. – Moja przyjaciółka robi na drutach i wisi mi prezent urodzinowy.

– No jasne! – W końcu zrezygnował ze stania na palcach. Najwyraźniej dotarło do niego, że może po prostu obejść stojak z drugiej strony. Miał na sobie ciemnozielony T-shirt, dżinsy i buty z kwadratowymi czubkami, w europejskim stylu. Facet zdecydowanie w typie palacza papierosów goździkowych: mroczny i tajemniczy. Jego barki sprawiały wrażenie szerszych niż poprzednio, a pod pachą trzymał *Ulissesa* Jamesa Joyce’a.

– Przyniosę następnym razem.

– Świetnie. Dzięki.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Chyba że – dodał – któregoś dnia po pracy zabiorę cię na kawę i wtedy ci go dam.

– To jeszcze lepiej – uśmiechnęła się.

- Może być jutro?
- Jasne!
- Eee... tak w ogóle, to jestem Brian.
- A ja Chloe. Miło cię poznać. – Zrobiła poważną minę i podała mu rękę.
- Chloe... jak z Dafnisa i Chloe, tego greckiego mitu?
- Dokładnie tak – odpowiedziała, zaskoczona, że to wie.
- Zdajesz sobie sprawę – powiedział, zerkając na stronę, na której miała otwartą gazetę – że nie każdego, kto umarł, znajdziesz w nekrologach?
- Co? A! – Zarumieniła się, próbując naprędce zmyślić jakąś odpowiedź. – Eee... no, interesują mnie różne dziwne rzeczy. Na przykład sprawdzam, ile ludzie mieli lat, jak umarli.
- Może weź się za krzyżówki – zasugerował z uśmiechem. – Jakbyś jeszcze sprawiła sobie do tego pióro, to robiłoby wrażenie.
- Może spróbuję – Chloe uśmiechnęła się szeroko.

Została dłużej w pracy, żeby pomóc Marisol zamknąć sklep, i teraz co chwilę niecierpliwie spoglądała na zegarek. Od kiedy w telewizji zaczął się nowy sezon, w środowe wieczory siadały z matką przed telewizorem z jedzeniem na wynos i oglądały serial *Smallville*. Była to próba nawiązania lepszego kontaktu z córką za pośrednictwem nowej generacji programów telewizji kablowej – całkiem zresztą udana, ponieważ Chloe uwielbiała za-

równy chińskie pierożki, jak i Michaela Rosenbauma. Poza tym od czasu urodzinowego przyjęcia niespodzianki stosunki między nią i mamą układały się trochę lepiej i nie chciała tego popsuć.

Zanim pomogła Marisol opuścić kratę, była siódma czterdzieści pięć. Zero szans, żeby zdążyła wrócić na czas autobusem. Przejechanie pięciu kilometrów komunikacją miejską zajmowało wieki.

– Masz. – Marisol wręczyła jej banknot dziesięciodolarowy.

– Ale byłam tylko godzinę dłużej – zaprotestowała Chloe.

– Bez gadania! – Szefowa wcisnęła jej pieniądze w dłoń. – Wróć do domu taksówką. Jak patrzę na ciebie i Lanię i wyobrażam sobie moją dziesięcioletnią córkę, kiedy będzie w waszym wieku, to ogarnia mnie przerażenie. Uważaj na siebie.

– Masz córkę? – zapytała Chloe zaskoczona. Zrobiło się jej jeszcze bardziej głupio, że bierze te pieniądze.

– Tak. W tym tygodniu jest u ojca. Mój były mąż jest leniwym sukinsynem, ale nie można zaprzeczyć, że kocha córkę. Do zobaczenia jutro. – Marisol odrzuciła włosy do tyłu jak młoda kobieta, jak dziewczyna, jak ktoś, kto nie ma na głowie dziesięcioletniego dziecka, byłego męża i firmy. Przeszła na drugą stronę ulicy sprężystym krokiem.

Chloe spojrzała na banknot, który trzymała w dłoni, i zaczęła rozmyślać o tym, jak bardzo jej matka różni się od

szefowej, a potem o dziesięcioletniej dziewczynce dzielącej czas pomiędzy matkę i ojca – zupełnie jak Paul. Ona nie miała tej możliwości.

Rozejrzała się. Ulice były opustoszałe. Mogła zapomnieć o taksówce. Niezwykle delikatny podmuch elektryzująco zimnego powietrza połaskotał ją w nos. Kiedy wrażenie minęło, Chloe zwróciła uwagę na ciepło miasta, naturalną woń drzew, ziemi i ludzi, mężczyzn i kobiety pędzących w różne strony, zadowolonych, że skończył się dzień pracy.

Ruszyła truchtem, metodycznie przebierając nogami, jak to miała w zwyczaju robić na sali gimnastycznej, żeby jak najmniej się zmęczyć i nie rzucać się w oczy. Piersi nieprzyjemnie podskakiwały w nieprzystosowanym do biegania staniku.

Chwilę później instynktownie wydłużyła krok i *pomknęła* przed siebie.

Biegła, jakby jej ciało przez całe życie czekało skrepowane na tę chwilę, kiedy będzie mogło naprawdę biec. Nie musiała nawet myśleć o tym, czy prawidłowo porusza rękami i stawia nogi zgodnie z tym, czego ich uczył pan Parmalee na lekcjach wuefu. Pędziła długimi susami, pozerając wygłodniałymi stopami betonowe płyty w kolorze brudnej bieli. A kiedy kroki były za krótkie, skakała.

Mijane domy zamieniały się w ciemne smugi, zaparkowane samochody sprawiały wrażenie, jakby się poruszały. Przeskakiwała nad hydrantami i niskimi krzakami, ale nie tak, jak to robią sportowcy, tylko z rękami ugiętymi

i przyciśniętymi do boków, żeby uchronić się przed upadkiem, gdyby źle wylądowała.

Ale nie było takiej potrzeby.

Przebiegła przez jezdnię i wskoczyła na maskę samochodu blokującego wejście na pasy dla pieszych. Rozeźmiała się w duchu, słysząc wycie alarmu. Zeskoczyła na chodnik, wykorzystując jako stopień *parkometr*, na którym delikatnie postawiła lewą stopę.

Doświadczała tej samej energii, siły i szybkości, co w walce z bezdomnym, ale tym razem trwało to dłużej. Było to coś więcej niż zwykły zastrzyk adrenaliny. I tym razem nie towarzyszyła temu wściekłość ani instynkt samozachowawczy, tylko nieskrępowana przyjemność z ruchu, z wrażenia odrywania się od ziemi, kiedy pędziła opustoszałymi ulicami.

Przecięła opuszczoną działkę, przekonana, że tak będzie bliżej do domu. Mimo że księżyc był w nowiu, a dookoła nie było latarni, udawało się jej bezbłędnie omijać wszystkie stare opony, sterty potłuczonego szkła i nieprzyjemnie wyglądające rośliny.

Kiedy wbiegła po schodach do domu i otworzyła drzwi, nie czuła się ani trochę zmęczona.

– W samą porę – powiedziała matka, uśmiechając się do niej. Właśnie rozstawiała na stole kartony z chińszczyzną.

Zegar na ekranie telewizora pokazywał siódmą pięćdziesiąt siedem.

ROZDZIAŁ 8

– Hej, Alek! – Chloe pomachała mu, mijając go następnego dnia rano na korytarzu.

– Hej, King! – Pomachał w odpowiedzi i odwrócił się z powrotem do Keiry, z którą akurat rozmawiał. Jej zadowolenie z tego, jak zignorował Chloe, było niemal namacalne. Chloe poczuła, że wzbiera w niej wściekłość, i czym prędzej umknęła, udając, że nic się nie stało. I po co się niepotrzebnie denerwujesz, powiedziała sobie. Powinnaś się raczej cieszyć, że Brian się z tobą umówił. Może i tak, ale Alek był *masakrycznie* seksowny. Powalająco piękny. Było nienormalne, żeby nie być o niego zazdrosnym. Odwróciła głowę i ukradkiem rzuciła okiem na jego blond włosy w kolorze pszenicy (a może żyta? co właściwie uprawiają w Rosji?) opadające falami na czoło niczym frędzle luksusowej poduszki.

Może powinnam się przyznać, że też jestem Rosjanką?

A może, pomyślała, może powinnam się zdecydować na jednego faceta i tego się trzymać. Albo zawalczyć o Aleka, albo kontynuować znajomość z Brianem.

Nieeee... teraz było o wiele ciekawiej.

– Hej! – Z rzeki nastolatków przelewającej się lewą stroną korytarza w przeciwną stronę pomachał do niej Paul. Wcisnął się w wolne miejsce koło Chloe. – Co tam? Ile lotów zaliczyłaś w tym tygodniu?

– Skoczyłam ze spadochronem z wieżowca Transa-

merica. Czy to się liczy?

– Słuchaj, chcemy się przejść po południu do salonu gier w budynku Sony. – *Chcemy? Dotychczas „my” oznaczało ją i Amy albo całą paczkę.* Teraz miała tak po prostu zaakceptować, że kiedy któreś z dwójki jej najbliższych przyjaciół mówiło „my”, wcale nie miało jej na myśli? Przyłączysz się?

Ach, fantastycznie. Pozwalają mi się przyłączyć. Żal im piątego koła.

– Nie, dzięki. Jestem umówiona. – Nie wiedziała, czy możliwe jest rzucanie chłodnych spojrzeń piwnymi oczami, ale postarała się, jak mogła. Przyjęła przy okazji maksymalnie obojętny wyraz twarzy, który miała przećwiczony przed lustrem. Wyglądało to całkiem przekonująco przy jej wysokich kościach policzkowych.

– Umówiona? – zapytał Paul, unosząc brwi niemal do nasady nastroszonej grzywki.

– Ta, *umówiona*. Może innym razem.

Po czym ruszyła w swoją stronę.

Rzecz jasna, zdawała sobie sprawę, że na tym się nie skończy. Miała *nadzieję*, że nie. Reakcja ze strony Amy pojawiła się podczas lekcji matematyki. Miała postać jednoznakowego SMS-a:

?

Chloe odpowiedziała: dzięki za zapr ale nie ide

Amy: ej no co z toba?

przyjdz chociaz na wiecz poet

7go w b.roosterze
Proooooooooooooooooooooooooosze
:)! wez aleka jak chcesz

Tak. Jasne. Jeszcze tego brakowało, żeby Alek postanowił nigdy więcej nie zadawać się z nimi. Poezja Amy niejednego już wykończyła.

Schowała telefon.

Brian stawiał się w Pateenie punktualnie o szóstej.

Chloe stała w drzwiach oparta o framugę, uważnie przeszukując nekrologi. Nadal ani słowa o Xavierze.

– To dokąd? – zapytała, wpychając gazetę do torebki.

Ubrał się trochę bardziej sztywnie niż zwykle. Miał na sobie spodnie z czegoś miękkiego, matowocznego. Wyglądało niemal jak aksamit. Wełna? Welur? Chloe musiała zwalczyć chęć ich pomacania.

Ciekawe, czy lubi tańczyć...

– Myślałem, że może... zoo. – Spoglądał na nią wyczekująco szeroko otwartymi, brązowymi oczami.

– Zoo? – Wizja kubków gorącej kawy i romantycznego obiadu we dwoje nagle wyparowała. – A ono w ogóle jest otwarte?

– Tak. Do ósmej. Poza tym mam kartę stałego klienta, więc wchodzimy za darmo.

Zoo... Właściwie to nie była tam od lat, mimo że mieszkała stosunkowo blisko. No i po raz pierwszy ktoś ją tam zaprosił.

– No dobra, ale kupisz mi jeden z tych pamiątkowych kubków.

– Hej, to nie *ja* mam pracę.

– Ale to *ty* mnie wyciągasz do zoo.

– No, niby tak – przyznał. Jak łatwo się z nim rozmawiało! To było ich trzecie spotkanie? A gadali ze sobą jak dobrzy przyjaciele. – Dobra, obiecuję ci kubek. Ale jeśli uznasz, że miło spędziłaś wieczór, to chciałbym dostać w zamian pluszową małpkę.

Chloe uśmiechnęła się szeroko.

– Umowa stoi.

W zoo było niewielu zwiedzających, głównie rodziny wracające już do domu, więc Brian tylko pomachał strażnikowi kartą, wskazał palcem na Chloe i zostali wpuszczeni. Ani śladu upału, kolejek i tłumów, które zapamiętała z dzieciństwa. Poza tym wieczorem było tu całkiem klimatycznie – cienie rzucane przez zwisające nad głowami gałęzie sprawiały, że panowała tu niepowtarzalna atmosfera.

– Studiujesz? – zapytała wreszcie, spoglądając na mapę. Nie wyglądał na *dużo* starszego od niej...

– Jeszcze nie. Robię sobie rok czy dwa przerwy.

– To po co ci ten garnitur?

– No, normalnie dwadzieścia pytań do! – powiedział ze śmiechem. Chcę iść na zoologię. Stąd to zoo. W każdym razie jest tam dość trudny program jak na studia licencjackie i duża konkurencja. W liceum raczej nie byłem...

wybitny, więc pomyślałem, że mógłbym zdobyć doświadczenie, pracując w zoo, lidze ochrony zwierząt czy czymś takim. Ostatnio byłem na paru rozmowach kwalifikacyjnych. Zdziwiłabyś się, ile ludzi chce dostać ciężką, kiepsko płatną pracę polegającą w dużej mierze na szufłowaniu... eee... no, *gówna*.

Chloe uśmiechnęła się.

– Brzmi fajnie... Ja nigdy nie miałam żadnego interesującego zwierzaka. Tylko złotą rybkę i bojownika. Moja mama ma alergię na zwierzęta.

– Ja mam cztery koty – powiedział z zadowoleniem, napawając się jej zazdrością. – Tabithę, Sebastiana, Sabrinę i Agathę.

– Cztery?

– To jeszcze nic. Jak byłem mały, mieliśmy... – Nie dokończył, tylko zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

– Kiedy byłeś mały...? – próbowała go zachęcić Chloe.

– No, mieliśmy dużo. Zwierząt – dokończył niechętnie. – Mnóstwo kotów. Też rasowych, cornish rexów i maine coonów.

Spacerowali ścieżkami na chybił trafił. Chloe doszła do wniosku, że *niesamowicie* jej się podoba zwiedzanie zoo w taki sposób – za darmo, bez stresu wywołanego koniecznością obejrzenia wszystkich „najlepszych” zwierząt i obejścia całego terenu, zanim będą musieli wracać do domu. Mogli się zatrzymać na jak długo chcieli, by przyrzec się parze zwyczajnych kaczek krzyżówek, które przypadkiem zawędrowały do ptaszarni, oraz pominąć bez

poczucia winy miejsca, które ich nie interesowały.

Ale Brian teraz znacznie rzadziej się odzywał, poza chwilami, kiedy opowiadał jej ciekawostki na temat oglądanych zwierząt i ich zachowania. Kiedy myślał, że Chloe mu się nie przygląda, przygryzał wargę, jakby próbował zdecydować, ile właściwie może jej powiedzieć.

– No dobrze, czyli jak byłeś mały, miałeś dużo zwierząt? – zapytała go ponownie, kiedy się zatrzymali. Brian kupił jej colę light w plastikowym kubku w kształcie mały, a dla siebie zamówił cappuccino z automatu. Chloe się skrzywiła – sama nie tknęłaby tego świństwa, choćby miała umrzeć z głodu.

– Taa... eee... – Twarz mu poszarzała. Całkowicie zniknęło z niej ożywienie, które towarzyszyło opowieściom o surykatkach i kazuarach. – Moja mama nie żyje – powiedział wreszcie. – A ojciec... z ojcem nie bardzo się dogaduję. Ma w centrum lokal, w którym teraz mieszkam, ale większość czasu pracuje w swoim domu w Sausalito. Raczej ze sobą nie rozmawiamy. – Pokręcił głową. – Ech, to zdecydowanie za dużo informacji jak na pierwszą randkę. Pewnie chciałaś się tylko upewnić, czy nie jestem jakimś świrem.

Roześmiała się.

– Ja mam tajną mysz – wyznała, by poprawić mu humor.

– Co?

– Tajną mysz. Nazwałam ją Mus–mus. Wiesz, od łacińskiej nazwy myszy – *Mus musculus*. Trzymam ją

w biurku, w szufladzie. Matka nie ma pojęcia.

– Trzymasz *mysz*? W swoim *biurku*?

– Tak – odparła nieco obronnym tonem. – Inaczej matka by mi zabroniła.

– Ale fajny pomysł. – Spojrzał na nią z zachwytem, jakby po raz pierwszy usłyszał coś równie uroczonego. Wolnym krokiem wyszli spomiędzy stoisk z jedzeniem i piciem. Chloe głośno siorbała colę przez słomkę wbita w głowę małpy. W pewnej chwili zwróciła uwagę na znak wskazujący kierunek do pingwinów, wydr i lwów.

– O... – powiedziała, przypominając sobie fragmenty sceny, która przyśniła jej się po upadku z wieży. – Chodźmy zobaczyć lwy. Ostatnio mi się... śniły.

– Tak? Ciekawe.

– No. – Szła z pochyloną głową. Próbowwała dopasować swój krok do kroku Briana, ale jego nogi były o wiele dłuższe. – Mój ojciec też się ze mną nie zadaje – powiedziała. – A matka jest beznadziejna.

– Jak się ma szesnaście lat, to nawet najlepsza matka wydaje się porąbana – zaśmiał się. – Ja to bym się ucieszył, gdybym mógł poznać swoją.

– Skąd wiesz, że mam szesnaście lat? – Chloe nagle zrobiła się podejrzliwa.

– Nie wiedziałem – wzruszył ramionami. – To był taki bardziej ogólny komentarz, wiesz.

Upił malutki łyk cappuccino, przyprawiając sobie wąsy z piany.

– Kiedy skończyłem szesnaście lat, prawie walnąłem

ojca w twarz – wyznał. Wyprostował się i spojrzał jej w oczy, jakby chciał, żeby go oskarżyła, że zmyśla.

– Wiesz, to by zrobiło dużo większe wrażenie, gdybyś nie miał mleka pod nosem – powiedziała ze śmiechem. Sięgnęła po chusteczkę i ostrożnie starła pianę z jego ust. Teraz była podwójnie zadowolona, że zrobiła sobie manicure. Dzięki temu ten gest wypadł dwa razy bardziej seksownie. Kurz z kieszeni džinsów, który miała czasami pod paznokciami, nie był szczególnie atrakcyjny.

Brian się zaczerwienił i przeczesał dłonią włosy, wytrząsając loczek, który zawisł mu na środku czoła. Zupełnie jak u Supermana.

Gdyby założył odpowiednie okulary i ufarbował włosy, mógłby się z powodzeniem podawać za Clarka Kenta.

Ależ on jest słodki!, pomyślała Chloe, nie po raz pierwszy tego wieczoru. Zastanawiała się, jak to możliwe, że zupełnie przypadkiem poznała w pracy kogoś tak podobnego do siebie, uroczego i obdarzonego fantastycznym poczuciem humoru. Gdyby akurat była na zapleczu albo Lania nie zachowałyby się wobec niego tak niegrzecznie, nigdy by do tego nie doszło. Mimo że była to ich pierwsza randka, czuła, że mogłaby z nim porozmawiać bez skrępowania o różnych ważnych rzeczach... No, może nie o wieczorze z Xavierem i tym, co się później stało (to pewnie zostanie jej tajemnicą *do końca życia*), ale na pewno o mamie, tacie, Paulu i Amy, o uniknięciu cudem śmierci...

– Oto i one – powiedział Brian, wskazując palcem wielkie żółte koty.

Chloe oparła dłoń o balustradę. Wcześniej nigdy nie traktowała lwów poważnie, wychodząc z założenia, że ich podziwianie stanowi banalny, obowiązkowy element każdej wizyty w zoo. Teraz jednak przyjrzała im się bliżej. Jedna z samic podniosła się i podeszła leniwym krokiem do koryta z wodą. Stawiała łapy bez pośpiechu, a jej łopatki unosiły się i opadały w powolnym rytmie. Było oczywiste, że w kryjących się pod skórą mięśniach drzemie ogromna siła. Nie wiedzieć czemu Chloe zupełnie nie zdziwiło, kiedy lwica, delikatnie pacnąwszy wodę językiem, odwróciła się do niej z pyskiem wciąż ociekającym srebrnymi kropelkami i spojrzała złotymi ślepiami prosto w jej piwne oczy.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jakie one są piękne – wyszeptała Chloe. Nie potrafiła oderwać od nich wzroku.

Brian coś mówił, ale go nie słuchała. Czuła, jakby znów śniła swój sen, tym razem na jawie.

– ...wszystko na ich temat. Na wolności zjadają coś koło pięciu kilo mięsa dziennie, śpią po dwadzieścia *godzin* i potrafią biegać z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Potrzeba wam pustyni, próbowała przekazać im w myślach. Lwica jednak albo jej nie słyszała, albo jej to nie obchodziło. Wróciła spacerowym krokiem do pozostałych i leniwie, ciężko osunęła się na ziemię. Z roztargnieniem przygryzła łapę.

– Eee... Chloe? Chloe? – zawołał Brian, machając jej dłonią przed oczami.

– Co? O, sorry.

– Próbowałem ci zaimponować moją encyklopedyczną wiedzą na temat wielkich kotów.

– Bardzo sprytnie. Przepraszam. – Chloe odwróciła się, żeby jeszcze raz rzucić okiem na lwice. – Te nie zabijają ludzi, jak tygrys Siegfrieda i Roya?

Brian parsknął śmiechem.

– Lwy są zwykle mniej niebezpieczne od tygrysów, ale to nie są domowe kotki. Mogą się rozzłościć, a poza tym nawet te przyjazne ludziom, jak te tutaj, nie rozumieją, że są o wiele silniejsze od człowieka. Było kilka takich wypadków, że lew zabił opiekuna, próbując się z nim bawić.

– Och... – Ostatnie zdanie dało Chloe do myślenia. Przypomniał się jej Xavier.

– Powinniśmy wracać. Za dziesięć minut zamykają.

– No, jasne – Chloe potrząsnęła głową. – Muszę jeszcze kupić ci małąkę!

Brian uśmiechnął się nieśmiało.

– Nie musisz...

– Jasne, że musisz, głupolu. To był *światny* pomysł na randkę – uśmiechnęła się szeroko.

– Randkę...? – zapytał zaskoczony. Chloe żartobliwie trąciła go pięścią w ramię.

Kiedy szli do wyjścia w pogłębiającym się mroku, poczuła nagły przyływ energii, który sprawił, że zaczęła

podskakiwać, paplać jak najęta i dotykać Briana, nie czując przy tym żadnego wstydu ani zahamowań. Kupiła mu nawet największą małpkę, jaką mieli – z długimi łapami na rzep, dzięki którym można ją było nosić na szyi.

Wyszli dokładnie o ósmej.

– Ej no, świetny pomysł. To mi się mega podobało – wyznała szczerze Chloe. Jej autobus zbliżał się do przystanku. Brian szedł w przeciwną stronę.

– To super. Cieszę się.

Czekała. Brian sprawiał wrażenie, jakby nerwowo wypatrywał autobusu.

– To co, zobaczymy się jeszcze kiedyś? – zapytała wreszcie. Trochę ją zirytowało, że musiała sama poruszyć ten temat. Przecież kupiła mu małpkę, tak?

– A, no, jasne. Jeśli masz ochotę. – Spojrzał na nią z góry, niepewny siebie.

– Oczywiście, że mam. Przecież przed chwilą ci powiedziałam, że było super, tak? – Autobus stanął i kierowca otworzył drzwi. – Nie zamierzasz mnie pocałować na pożegnanie? – zapytała. Po raz pierwszy tego wieczoru pozwoliła sobie na flirt.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie w policzek.

– Dobranoc, Chloe – powiedział cicho, po czym odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

Chloe wdrapała się do autobusu i potarła policzek palcami, zastanawiając się, czy uda jej się kiedyś poznać kogoś normalniejszego w swoim wieku.

Kiedy tylko się upewniła, że Brian jej nie zobaczy,

szybko zeskoczyła na chodnik, dosłownie w ostatniej chwili. Do domu można było wrócić na *różne* sposoby. Zdjęła kurtkę, zawiązała ją sobie w talii i ruszyła biegiem.

Postanowiła, że tym razem sobie poskacze. Im dalej, tym bardziej szalone pomysły przychodziły jej do głowy – w pewnej chwili przebiegła po rzędzie zaparkowanych samochodów, przeskakując z dachu na dach. W końcu skręciła z głównej ulicy i przecięła rząd małych ogródków, z łatwością radząc sobie z napotykanymi płotami. Te niższe po prostu przesadzała jednym susem, a na wyższe, z siatki drucianej, wskakiwała tak wysoko, jak potrafiła, wdrapywała się na górę, po czym zeskakiwała prosto na ziemię, czasami nawet z czterech metrów.

Jakiś pitbull rzucał się na łańcuchu na podwórku jednego z zaniedbanych kompleksów mieszkalnych. W innym miejscu minęła ślicznego labradora, który naszcekał na nią i próbował kłapać ją w nogę. Nawet wredny karłowaty shih tzu pani Languedoc zaczął wyć jak wilk, kiedy wbiegała na podjazd swojego domu.

– Kimmy, co z tobą? – dobiegł ją głos sąsiadki karzącej psa.

Podeszła do taniego płotu, który oddzielał ich ogródek od działki sąsiadów. Tym razem zmęczyła się bardziej. Ciężko oddychała i czuła bolesny skurcz w dole brzucha. Zastanawiała się, jak koszmarnymi zakwasami przypłaci jutro tę przebieżkę. Włożyła dłoń między deski z plastikowej imitacji drewna, żeby pies mógł ją powąchać. Nigdy się szczególnie nie lubiły, ale Chloe czasami rzucała

jej surowe parówki, kiedy zależało jej, żeby się uspokoiła, a sąsiadki nie było.

Kimmy warknęła, odsunęła się na bezpieczną odległość i znów zaczęła szczekać.

– Nie, to nie. – Chloe wzruszyła ramionami i weszła do domu.

– I co? Nauczyłyście się czegoś? – zawołała matka. Siedziała przy stole i płaciła rachunki przez Internet.

Chloe zajęło chwilę, zanim przypomniała sobie, co właściwie nakłamała matce na temat dzisiejszego wieczoru.

– Nie bardzo. *Kompletna* strata czasu. – Rzuciła kurtkę do szafy, robiąc zniesmaczoną minę. – Nie kapuję, po co Lisa zaprasza Keirę, skoro ona nic nie robi, tylko narzeka i obgaduje ludzi ze szkoły.

– Jak chcesz, to ci pomogę. – Matka spojrzała na nią znad laptopa i uśmiechnęła się. – W liceum byłam świetna z trygonometrii.

Oczywiście. Byłaś fenomenalna ze wszystkiego.

– Dzięki! – Chloe rzuciła jej wymuszony uśmiech i ruszyła do łazienki na piętrze.

Krew.

Na jej biodrówkach, na przedniej części bawełnianej wkładki, była krew. Jasnoczerwona. Na jej *ładnych* biodrówkach, za które dała dziesięć dolarów.

W pierwszej chwili pomyślała, że może rozerwała błonę dziewiczą podczas jednego z tych gigantycznych skoków przez płoty, przy których niemal robiła szpagat.

Sekundę później, kiedy poczuła wilgoć na wewnętrznej stronie uda, zdała sobie sprawę, co się dzieje.

O cholera! Mam okres.

– Najwyższy czas – wymamrotała, po czym zaczęła grzebać w szafce łazienkowej. To pewnie dlatego psy tak reagowały. Musiały wyczuć zapach krwi. Wreszcie znalazła pudełko tamponów. Kolejna rzecz, za którą będzie musiała zacząć płacić sama, jeśli nie będą jej pasowały te używane przez matkę.

Muszę zadzwonić do Amy, pomyślała. Uśmiechnęła się.

Po czym poczuła skurcz.

ROZDZIAŁ 9

– Hej, gdzie byłaś wczoraj wieczorem?! – dopytywała się Amy.

Autobus znów przyjechał za wcześnie albo ktoś w szkole się spóźniał, tak że musieli czekać *na zewnątrz*, aż ich wpuszczą. Jesienny poranek był naprawdę chłodny, a Chloe, podobnie jak wielu innych uczniów, nie ubrała się dostatecznie ciepło. Teraz przytupywała dla rozgrzewki nogami, wepchnęła ręce głęboko do kieszeni i zastanawiała się, czy nie wyżebrać od kogoś papierosa.

– Miałam randkę – odparła chłodno, co przyszło jej bez trudu w tej temperaturze.

– Z Alekiem?

– Nie, z kimś innym.

Amy wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Dzisiaj miała na sobie wielki płaszcz z fioletowego sztucznego futra i gogle, co sprawiało wrażenie połączenia stylu modsów i Austina Powersa.

– Co ty odpierdalasz, King? – odezwała się w końcu. – Najpierw nie odpowiadasz, kiedy cię zapraszam na mój wieczór poetycki, a teraz się okazuje, że prowadzisz sekretne życie...

Chloe dobrze wiedziała, co by *chciała* jej odpowiedzieć. Gdyby tylko umiała, jak bohaterowie filmów, dobrać właściwe słowa i odpowiednią dozę świętego oburzenia:

*Ja mam sekretne życie? Od czasu, kiedy zaczęliście się umawiać z Paulem, mam wrażenie, że przestaliście istnieć. Poza moimi urodzinami wcale się nie spotykałyśmy, a ty nagle się wściekasz, że nie przyjdę na czytanie twoich wierszy, na które *laskawie raczyłaś* mnie zaprosić”?*

Albo przynajmniej wygłosić wzruszającą przemowę, po której obie wybuchnęłyby oczyszczającym płaczem:

„Amy, ostatnio naprawdę czuję się opuszczona. Wiem, że ty i Paul nagle staliście się dla siebie bardzo ważni i szanuję to – ale *my też* się przyjaźnimy. W moim życiu bardzo dużo się dzieje. Niestety, nie miałam szansy ci o tym opowiedzieć, a przecież jesteś moją najbliższą przyjaciółką. Czasami bardzo cię potrzebuję, a ostatnio mam wrażenie, że nie mogę na ciebie liczyć”.

Ale w końcu burknęła tylko niechętnie, patrząc w ziemię:

– Będę na twoim wieczorku poetyckim.

Na twarzy Amy najpierw pojawiło się zaskoczenie, potem ulga.

– Dzięki. To może *wtedy* opowiesz mi o swoim tajemniczym ukochanym?

– Może. – Zamilkła na dłużej, uświadamiając sobie, że jest to krytyczna chwila, która może zapoczątkować poważny rozłam w ich przyjaźni.

To było naprawdę ekscytujące, zupełnie jakby stała na skraju urwiska lub szczycie wieży, gotowa do skoku – koniec z irytującą, pretensjonalną Amy i dziwactwami

Paula. Stopniowo oddalaliby się od siebie i pozostawiłaby ich za sobą, a przed sobą miała perspektywę spotkań z Alekiem lub Brianem, nowe rzeczy, które niespodziewanie dla siebie potrafiła robić, wolność i szaleństwa nocy.

Ale jeszcze nie była na to gotowa. Przypomniała sobie lwięcę ze swego snu i tę drugą w zoo. Gdyby były ludźmi, nie pozwoliłyby, żeby coś tak małego lub niemądrego marnowało ich czas.

– Czy możesz poprosić Paula, żeby przyszedł trochę później? – zapytała w końcu. – Będziemy miały trochę czasu, żeby nadrobić zaległości.

Twarz Amy złagodniała.

– No, oczywiście! Absolutnie. Przyjdź o siódmej.

– Powinno starczyć.

Przez kolejną chwilę niezręcznego milczenia borykały się ze swoimi uczuciami. Tym razem przerwała je Amy:

– Więc... jak ci się podoba mój płaszcz?

– Ile muppetów musiało oddać życie, żeby można to było uszyć? – spytała Chloe z uśmiechem.

Kiedy Alek zawołał Chloe w holu, była w stanie mentalnej paniki. W ogóle go nie usłyszała, całkowicie zaabsorbowana obietnicą, którą przed chwilą złożyła. Wieczory poetyckie Amy to było coś naprawdę niewiarygodnego.

Dlatego Chloe rozmyślała teraz gorączkowo, czy lepiej kupić miniaturowe radio FM, włożyć słuchawki do uszu i zakryć je włosami, czy też upić się w trupa. A może

poprosić któregoś ze szkolnych wikanów, żeby wprowadził ją w trans? Dobrze będzie *każde* rozwiązanie, które pozwoli jej przetrwać ten wieczór bez uszczerbku dla zdrowia psychicznego i zachować przez cały czas powagę.

Dawniej ona i Paul nieraz musieli dyskretnie ścisnąć się za ręce, żeby dodać sobie sił i odwrócić uwagę podczas szczególnie tragicznych momentów. Czasami była to jedyna metoda, żeby nie zacząć chichotać lub nie wybiec z krzykiem z kafejki. Podejrzewała, że tym razem nie może jednak liczyć na przyjaciela.

Może przekłują sobie bębny...

– Hej! Chloe!

W końcu podniosła wzrok i uświadomiła sobie, że Alek macha do niej i woła już od jakiegoś czasu. Teraz biegł przez hol, żeby ją dogonić.

– Sorki. – Potrząsnęła głową. – Zamyśliłam się.

– Nie ma sprawy. – Zmierzył ją wzrokiem, a ona nagle się zawstydziała z powodu zbyt opiętych po praniu dżinsów i koszulki Strokes z dziurą od wybielacza. Nawet majtki miała ostatnie, jakie jej zostały przed praniem: brzydkie, kompletnie nieseksowne figi. Plus zwisający sznurek od tamponu.

– Wieczorem próbowałem się z tobą skontaktować, ale najwyraźniej nie było cię przy komputerze.

Ze mną? Ty mi wysłałeś wiadomość – ty, oblegany przystojniaku?

Uśmiechnął się do niej z odrobiną zaciekawienia, ale i oczekiwania. Chloe natychmiast zaczęła obmyślać, co by

tu skłamać na temat swojej nieobecności w domu, żeby nie urazić jego ego, podsycić zainteresowanie, a jednocześnie zakończyć ten temat i przejść do przyjemniejszych spraw.

Ale potem zauważyła, jak blisko niej stanął, zdecydowanie naruszając jej przestrzeń osobistą. Wisiał nad nią i przyglądał się jej z góry. Ohyda! Tak jakby należała do dziewczyn, które *lubią*, jak najprzystojniejszy facet z ich rocznika sterczy nad nimi na środku holu.

– Byłam umówiona – wypaliła, wzruszając ramionami.

– Żeby się pouczyć?

Omam nie wyśmiała tego pochopnego założenia.

– Nie, byłam na prawdziwej randce. – Odwróciła się i ruszyła w stronę sali, gdzie miała następną lekcję.

– Zaczekaj. Co takiego? – Znów musiał podbiec, żeby się z nią zrównać. – Z kim?

– Z Brianem. Nie znasz go.

– Chodzi do innego liceum?

Oczy Chloe rozbłysły złośliwie.

– Nie – odparła niedbale – nie jest już w liceum.

– King, ale z ciebie cholerna kokietka – westchnął.

– Kokietka? – Odwróciła się i w końcu stanęła twarzą do niego. – Jakoś nie widzę, żeby jeszcze ktoś się za mną uganiał.

– No, *to* jest z pewnością kokieteria – zawołał za nią Alek, kiedy już odchodziła. – O ile dobrze rozumiem język angielski.

Machnęła mu niedbale przez ramię na pożegnanie.

Musiała sama przed sobą przyznać, że była zachwycona tym, że Alek wcale się nie starał, żeby ich tête-à-tête było dyskretne. Głośno, na środku holu dał do zrozumienia, że się nią interesuje, i wcale się nie przejmował, czy ktoś to usłyszy – włącznie z Keirą i jej kliką. Teraz już cała szkoła wiedziała, że Alek Ilychovich pragnie Chloe King.

Było to bardzo miłe uczucie. Dzięki niemu czuła się jeszcze lepiej, siedząc w ten zimny dzień w wykończonej grubym drewnem i aksamitem kawiarni, grzejąc dłonie o szklanekę z ciepłym cydrem. Wtuliła się wygodniej w swoje siedzenie, udając przed sobą, że nie widzi, jak w narożniku instalują mikrofony i reflektory.

– He–e–j! – To była Amy. Rozejrzała się dookoła, pomachała ludziom przygotowującym miejsce dla poetów, wymieniła z nimi cmoknięcia w policzek i powiedziała, że niebawem do nich wróci. Może to nie było nic wielkiego, ale Chloe zrobiło się ciepło na sercu, że na tyle obchodzi przyjaciółkę, by ta na pewien czas zrezygnowała dla niej z towarzystwa wyraźnie uwielbiających ją osób. Mimo to powstrzymała ją ruchem ręki, gdy Amy chciała ją również cmoknąć.

Są jakieś granice. I tu jest granica pretensjonalności.

– No i co? *Co się dzieje?* Co się przez ten czas zdarzyło w życiu Chloe King? – Amy odwróciła się i krzyknęła: – Herbatę poproszę, tutaj, earl grey z cytryną!

– Zacznijmy od tego, co najważniejsze. – Chloe niepewnie wierciła się na siedzeniu. – Jakich tamponów

używasz?

Amy otworzyła usta ze zdumienia.

– O mój BOŻE! W końcu dostałaś OKRES?

Chloe aż się wzdrygnęła. Ściągnęła włosy na twarz, próbując się za nimi ukryć. Czuła, jak palą ją policzki.

– Pewnie, najlepiej zawiadam wszystkich – wymamrotała.

– Och! Przepraszam... Po prostu jestem zaskoczona. No i strasznie się cieszę, że jesteś normalna i tak dalej. No wiesz, żadnych wstrętnych guzów czy czegoś. – Do oczu napłynęły jej łzy. – Jesteś kobietą! W końcu dołączyłaś do nas w cyklu życia i...

– Daruj sobie na razie te bzdury o „bogini”. Źle się czuję i mam skurcze.

– Wypróbuj tampony mini. Trzeba je częściej zmieniać, ale ja ich używałam, zanim zaczęłam uprawiać seks...

– Nagle zmarszczyła brwi. – Jezu, teraz będziesz musiała poważnie to wszystko traktować. Pomyśl o pigułkach. Prezerwatywy pękają i można zajść w ciążę...

– Dziękuję ci za pogadankę z wychowania seksualnego. Potrzebuję tylko jednej informacji. Mini. Rozumiem i dzięki. – Spojrzała na szklanekę z cydrem i przyznała: – Poza tym, nigdy się jeszcze nie kochałam... i raczej nie wygląda na to, żebym w najbliższym czasie miała ku temu okazję.

– No, tak. Paul i ja też jeszcze nie uprawialiśmy seksu. Nawet gdybyśmy już byli na tym etapie, to on jest taki, no wiesz, staromodny.

Chloe aż zatrzęśło. Wizja Paula uprawiającego seks nieuchronnie prowadziła do myśli, że ma penisa, a penis Paula był czymś, o czym z pewnością nie miała najmniejszej ochoty myśleć. A co dopiero o Amy i Paulu uprawiających seks. Razem.

– Wiem, że traktujecie swój związek poważnie i bardzo się cieszę waszym szczęściem – powiedziała powoli – ale wolałabym, żebyś niektóre informacje zachowała dla siebie... Rozumiesz?

Amy zamrugła, przy czym jasnoblękitne oczy nadawały jej wyraz wyjątkowej niewinności.

– A z kim innym miałabym o tym gadać?

– Możesz o tym *mówić*, ale przydałaby się cenzura, jeśli chodzi o te mniej przyzwoite fragmenty. Tu chodzi o *Paula*. A poza tym – szczęśliwie wpadło jej do głowy doskonałe wyjaśnienie – naprawdę myślisz, że Paul chciałby, żebym znała tego rodzaju szczegóły? Przecież on się czerwieni, nawet kiedy jest mowa o pójściu do *lekarza*.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała Amy po dłuższej chwili zastanowienia. Bawiła się przy tym wisiorkiem na naszyjniku, z którego częste nerwowe dotykanie już dawno starło cienką warstewkę srebra. Na twarzy Chloe pojawił się uśmiech, bo dobrze pamiętała, jak przyjaciółka dostała ten prezent od babci wiele lat temu... – No, dobrze, a co z *tobą*? Co się stało z Alekiem?

– Nic. Nadal jest na mojej „podręcznej” liście. – Chloe uśmiechnęła się jak bardzo zadowolony z siebie kot. – Tyle że poznałam innego chłopaka, Briana. Czasem przychodzi

do Pateeny. Superciacho. Teraz pracuje przez parę lat przed pójściem na studia. Myślę, że byś go polubiła, bo sam robi sobie czapki na drutach. Wczoraj wieczorem zabrał mnie na kawę. – Nie miała ochoty mówić o zoo. Było to dla niej dziwnie osobiste przeżycie. Dziwne, ale miłe. Nie będzie się z niego zwierzać, nawet Amy.

I w końcu nie dał mi tego wzoru na czapkę, uświadomiła sobie.

Dziewczyna w rozmiarze zero, cała ubrana na czarno, przyniosła kubek z herbatą i plasterki cytryny ułożone na spodeczku. Amy zajęła się przygotowywaniem swojej herbaty, która musiała być dokładnie taka, jak lubi, a Chloe miała czas obserwować, jak do kawiarni wchodzą kolejni goście i wypełniają ciemne kąty jak duże, milczące szczury.

– Wydaje mi się, że ten upadek miał na ciebie znacznie większy wpływ niż sądziliśmy – odezwała się w końcu Amy.

– O czym ty właściwie gadasz? – spytała Chloe, porytowana nonszalanckim tonem przyjaciółki.

– Jak to o czym – *dwóch* facetów? W tym jeden najpopularniejszy z naszego rocznika i drugi, który nie chodzi do liceum? I to ty? *Chloe King*? – Amy potrząsnęła głową. – To zupełnie do ciebie niepodobne.

Całe szczęście, że nie powiedziałam jej o Xavierze.

Ale słowa Amy dały jej do myślenia. Miała rację, dawna Chloe nigdy w życiu nie uganiałaby się za nikim z grupy popularnych, choćby był nie wiadomo jak przy-

stojny czy miły. A chłopak, który nie chodzi do jej szkoły? Który w ogóle *nie chodzi* do liceum? Dwa lata od niej starszy? W wieku, który daje mu prawo głosować i czytać pornosy? *Nie-dopomyślenia!* A to samotne pójście do klubu, poderwanie w nim nieznanego i namiętne całowanie się z nim na parkingu?

Chloe ponownie spojrzała na naszyjnik Amy, nagle przypominając sobie dziewczynę, jaką była na tamtym przyjęciu przyjaciółki, gdy obie miały po trzynaście lat. Zupełnie inną dziewczynę.

– Rozkwitam – stwierdziła wyjaśniającym tonem.

– Chyba raczej eksplodujesz. – Skrzywiła się pod spojrzeniem Chloe i czym prędzej dodała: – W *pozytywnym* znaczeniu. A jak wygląda Brian?

– Wysoki i melancholijny, przystojny, brązowe oczy, ciemne włosy, tajemniczy uśmiech... Ale nie pocałował mnie na dobranoc.

– Gej – uznała Amy.

– Raczej nie wyczuwałam gejowskich wibracji.

– To może jest po prostu nieśmiały.

Nagle Chloe naprawdę *zobaczyła* naszyjnik przyjaciółki. Wisiorek przypominał leżącego kota, na którego pyszczku malował się lekki wyraz zadowolenia z siebie. Zmarszczyła brwi i wyciągnęła rękę w stronę ozdoby.

– Nie pamiętasz? Babunia dała mi go, kiedy wróciła z Egiptu. Prezent na bar micwę.

– Tak, tak, ale co to właściwie ma być?

– No... chyba jakaś kocia bogini. – Amy pociągnęła

naszyjnik, próbując na niego spojrzeć. – Bastet, czy coś takiego. To było w czasach, kiedy miałam obsesję na punkcie kotów i kiedy dostałam Faraona. – Tak miał pierwotnie na imię czarny kot, którego znalazła błąkającego się w alejce. Teraz był wielki i tłusty, a wołało się na niego po prostu Kitty.

Mężczyzna z włosami w strąkach, wyglądający jak statysta z *Moulin Rouge*, w długim białym jedwabnym szalu zarzuconym na szyję, zawołał do Amy:

– *Ma chérie!* Czekamy na ciebie.

– Tak, tak... Daj to Paulowi, kiedy przyjdzie, dobrze? – Amy sięgnęła do przepastnej dzinsowej torby i wyjęła brązową torebkę wielkości sporego notatnika. – Zostawił to u mnie w środę wieczorem.

Kiedy przyjaciółka dołączyła do reszty poetów, Chloe przyciągnęła paczkę bliżej do siebie, żeby nikt jej nie zabrał lub na niej nie usiadł.

Zostawił ją u niej w środę wieczorem.

W środy, kiedy czuli się już zestresowani, ich trójka miała zwyczaj oglądać u Amy DVD z taniej wypożyczalni, zazwyczaj bollywoodzkie musicale. Tylko ona miała telewizor w swoim pokoju. Robili sobie popcorn, a potem patrzyli, jak wirują i śpiewają złoto-różowe tancerki lub maszerują słonie. Czuli się wtedy, jakby wkraczali do innego świata, miejsca o wiele bardziej interesującego niż Inner Sunset. Chloe zastanowiła się, co oglądali poprzedniego wieczoru. A może tylko się całowali?

Otworzyła paczkę. W środku były komiksy. Środa to

dzień komiksów, wpajał jej Paul od czasu, gdy mieli po dziewięć lat.

Przejrzała je pobieżnie. Niektórych superbohaterów – Batmana, Zieloną Latarnię – znała, innych widziała po raz pierwszy. Część komiksów nosiła tytuł *Hellblazer* i przedstawiała wyjątkowo obrzydliwe sceny przemocy, w których uczestniczyli ludzie i demony. Chloe już dawno się nauczyła, żeby ich nie oglądać.

Wyciągnęła kilka zeszytów, bo został jeszcze co najmniej kwadrans do rozpoczęcia wieczorku. Batman był znajomy, ale o wiele za krótki, a poza tym miał ciekawsze reklamy niż akcję. Sięgnęła po komiks, w którym bohaterką była kobieta, Selina Kyle. Przeglądała czterokolorowe plansze, śledząc przygody bohaterki, która biegała i skakała po dachach Gotham. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, bo przypomniała sobie własne wyczyny.

Potem coś ją tknęło.

Czy to o to chodzi? Czy jestem obdarzona niezwykłymi mocami?

Nigdy wcześniej nie przyszło jej to na myśl. Jednak pod wpływem komiksów wszystko zaczęło się układać w logiczną całość: wyszła bez szwanku z wypadku, w którym powinna zginąć, bez specjalnego przeszkolenia pokonała faceta dwa razy większego od siebie i żyjącego na co dzień na ulicy, biega kilometrami, nie tracąc tchu, i skacze przez przeszkody, jakby była mistrzem lekkoatletyki, chociaż wcześniej miała beznadziejną kondycję fizyczną. A ona przypisywała część tego fазie przyśpie-

szzonego rozwoju...

– Hej, a od kiedy to kradniesz komiksy? – spytał Paul, wślizgując się na siedzenie naprzeciw niej.

– Od czasu, jak zaczęłam dostawać na głowę z nudów.
– Pokazała mu komiks, który czytała. – Czy któryś z tych bohaterów ma bardziej subtelne moce? Poza lataniem?

– Selina Kyle *nie ma* mocy – wyjaśnił z cieniem zadowolenia z własnej wiedzy. – Podobnie jak Batman i Robin. Co do Johna Constantine’a... sprawa jest dyskusyjna. Aquaman potrafi oddychać pod wodą, co można uznać za subtelne moce, a poza tym umie rozmawiać z rybami. O co chodzi?

– Tak się tylko zastanawiam. – Przyglądała się, jak pieczołowicie wkłada komiksy do torebek z mylaru, a potem ostrożnie wsuwa do brązowej torby. – To ile czasu ma trwać ten horror?

– Półtorej godziny.

Chloe jęknęła. W tej chwili przygaszono światła, a miłośnicy poezji zaczęli uprzejmie klaskać. Mężczyzna w jedwabnym szaliku wygłosił krótkie wprowadzenie. Chloe żałowała, że nie ma już komiksów do oglądania. Teoretycznie poeci mieli występować w kolejności, w jakiej się zapisywali, ale w praktyce pozwalali najmniej beznadziejnym czytać na końcu.

A to oznaczało, że Amy była zazwyczaj druga lub trzecia.

Jeśli jestem superbohaterką, rozmyślała leniwie Chloe, to powinnam sobie zorganizować jakieś lepsze

ciuchy. Bardziej obcisłe. Z lycry. Top bez rękawów i obcisłe spodnie. A swoją drogą, ciekawe, gdzie superkobiety trzymają zapasowe tampony. Przyłapała się na tym, że stuka rytmicznie stopą o podłogę. Usilnie starała się powstrzymać ten odruch podczas słuchania kilku pierwszych wierszy. Oddałaby niemal wszystko, żeby móc stąd wyjść. Miała nadzieję, że któryś z poetów upuści papierosa goździkowego i sala zajmie się ogniem.

– A teraz Amy Scotkin, która przeczyta trzy swoje wiersze.

– HUUU–huuu – zawołała Chloe, przykładając dłonie do ust, jakby była na meczu.

– Dalej, Amy – zawtórował jej Paul.

Amy oblała się rumieńcem.

– Mój pierwszy, „Nocny łabędź”.

– O, cholera – szepnęła przerażona Chloe. – Znowu „Nocny łabędź”? Wszystkie trzynaście zwrotek?

– Przestań. Przydałoby się raczej wsparcie i trochę pozytywnego myślenia – uciszył ją Paul.

Patrzcie, mój kochanek śpi głębokim snem w podwójnym łóżu pośród czarnej satynowej pościeli w wykuszowej wnęce naszego uświęconego gniazda...

Chloe przez cały czas na przemian zaciskała i rozprostowywała dłonie, czując mrowienie w opuszkach palców. Spojrzała na Paula – siedział spokojnie, *starając się zachować pełną powagę, jak sądziła.*

Krzycz, krzycz! Mój nocny czarny łabędziu!

Oplakuj miłość, która jest stracona Szkarłatne smugi

wstydu i cienia płynące pomiędzy moimi piersiami...

Po jakichś piętnastu minutach Amy uporała się z ostatnią zwrotką. Miała do przeczytania jeszcze dwa „arcydzieła”, ale ponieważ ostatnie było nowe, łatwiej to było znieść. A po dwóch kolejnych poetach ogłoszono przerwę.

– Ja pierdołę! – powiedziała Chloe, kiedy podeszli z Paulem do baru, żeby złożyć kolejne zamówienie. – Mam wrażenie, że to się staje coraz trudniejsze.

– Fakt, niektórzy z tych poetów byli okropni – zgodził się Paul.

– A co z jej nowym dziełem? Ciekawe, jakiego gotyckiego szajsu słuchała, kiedy pisała „Dziennego inkuba”?

– Nie podobało ci się?

Chloe obróciła się i wbiła w niego zdumione spojrzenie.

– Halo? To było *do bani*, Paul.

– Uważam, że nie było takie złe – sprzeciwił się.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że nie było ani lepsze, ani gorsze niż jej inne dzieła, to się zgadzam.

– To dlaczego przychodzisz, skoro zamierzasz ją tylko krytykować?

Nie powiedział tego złośliwie ani prowokująco – brzmiało to raczej jak normalne pytanie.

– Bo tak właśnie zawsze postępujemy, Paul – zawołała, doprowadzona do rozpacz. – Od zawsze usiłujemy ją przekonać, żeby dała sobie spokój z tym gównem i robiła

rzeczy, w których jest dobra, a ona nas ignoruje. Potem my przychodzimy tutaj, żeby ją wspierać, ona czyta swoje wiersze, a my... no, ubolewamy nad tym.

– Ale teraz ona jest moją *dziewczyną*, Chlo – powiedział Paul cichym głosem, jakby się spodziewał, że nią to wstrząśnie.

I tak się stało.

– To przecież nie zmienia wszystkiego, a przynajmniej nie powinno. – Chloe odwróciła się na pięcie i odeszła, nie zwracając uwagi, że postawiono przed nią zamówioną herbatę.

Czy wszyscy powariowali?

Stosunki z Amy zaczęły właśnie wracać do normalności, a tu nagle Paul wyskakuje z czymś takim. Wprawdzie zawsze był bardziej skryty od Amy i naprawdę trudno było odgadnąć, co mu chodzi po głowie, ale te wieczorki poetyckie ich zbliżały. Przynajmniej trochę się otwierał. No, a teraz się okazuje, że traktuje swoją rolę chłopaka Amy śmiertelnie poważnie.

– Gratulacje, Amy! – Cmoknęła przyjaciółkę w policzek i dodała: – Muszę spadać.

– Och! Dzięki! – rozpromieniła się Amy. – Widzimy się jutro!

Chloe wypadła na dwór i odetchnęła zimnym powietrzem. Zwinięte w pięści dłonie znów wbiła głęboko w kieszenie. Nie miała ochoty na biegi, za to czuła trudną do opanowania wściekłość. Paul zawsze zachowywał się tajemniczo i dziwacznie, kiedy chodziło o jego dziew-

czyny, ale to już przechodziło wszelkie pojęcie. Jego związek z Amy był najgorszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić ich trójce.

I poniekąd to twoja wina, bo zeszli się w rezultacie twojego upadku z wieży.

Chloe westchnęła i poczuła, że napięcie nieco opadło. Rozprostowała dłonie i wtedy uświadomiła sobie, że przez cały czas ścisnęła w kieszeni jakiś zmięty kawałek papieru. Wyciągnęła go i stanęła pod latarnią, żeby przeczytać. Myślała, że to podpisana przez matkę zgoda na jakiś szkolny wyjazd albo notatki. Jednak kiedy się przekonała, co to naprawdę jest, zamarła. Na kartce napisano:

Chloe, twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Uważaj na to, w jakim towarzystwie przebywasz. Bądź czujna – i gotowa do ucieczki. Bractwo Dziesiątego Ostrza wie, kim jesteś...

Przyjaciel

ROZDZIAŁ 10

Normalni ludzie wzywają policję. Tak właśnie postępują, kiedy otrzymują niepokojące listy albo ktoś nastaje na ich życie.

Szkoda, że nie jestem normalna.

To prawdopodobnie tylko żart. Na pewno. W czwartej klasie przeżyła chwile strachu, kiedy w swojej przegródce znalazła notatkę „Lepiej uważaj!”. Potem się okazało, że to Laura Milen bawiła się jej kosztem. Ten list wcale nie wydawał się jednak zabawny.

Moje życie jest w niebezpieczeństwie?

Czyżby ktoś się dowiedział, co spotkało Xaviera? Może to on ją prześladowa? Ale to bez sensu. Przecież nie chciała mu zrobić krzywdy i nie warto jej za to zabijać. A w jakim właściwie przebywa towarzystwie? Paul? Amy? W nich nie ma nic dziwnego ani niebezpiecznego... Autor ostrzeżenia miał raczej na myśli jej nowych znajomych – Aleka albo Briana. Ten drugi bardziej pasuje, bo Alek nie stanowi tajemnicy. To zwykły uczeń liceum, należący już od jakiegoś czasu do tej społeczności. Natomiast o Brianie wie wyłącznie to, co sam jej opowiedział...

Z drugiej strony, to on może być „przyjacielem”, który ją ostrzega. Ale nie było go w kawiarni. W zasadzie Chloe nie знаła nikogo z gości w Black Roosterze... może tylko niektórych z widzenia. Ciekawe, kiedy ta kartka znalazła się w jej kieszeni. I czy w ogóle była przeznaczona dla niej.

Zanim poszła do łóżka, kilka razy sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte. Potem i tak nie mogła spać, bo choć była przekonana, że poradziłaby sobie z otwartym atakiem w dzień, nie miała już takiej pewności co do ewentualnej nocnej zasadzki.

W poniedziałek Chloe była w szkole jeszcze bardziej opryskliwa i śpiąca niż zwykle. Przez cały czas nerwowo się rozglądała, podskakiwała przy byle hałasie i obserwowała otoczenie kątem oka. A wszystko z powodu czegoś, co było prawdopodobnie żartem. Kiedy trafiło jej się okienko w lekcjach, natychmiast ruszyła do pokoju redakcyjnego.

– Hej, Paul – powitała przyjaciela, kierując się w stronę kanapy.

– Chloe – odpowiedział niepewnie. Siedział przy komputerze, grając w jakąś jaskrawą, przemyconą do redakcji grę wideo.

– Jestem wykończona. Mogę? – Rzuciła się na kanapę.

– Oczywiście. Proszę. – Podniósł się i przez chwilę bawił długopisem. – Ja... W piątek chyba przesadnie zareagowałem... Między nami wszystko w porządku? – spytał wreszcie.

Mimo senności Chloe się uśmiechnęła. Jednak Paul się przejmuje, czy nie jest na niego zła! Choć z drugiej strony, miała pełne prawo być.

Uniosła kciuk do góry, dając mu znak, że tak.

– Super. – Zarzucił sobie torbę na ramię. – Jak bę-

dziesz wychodzić, po prostu zatrzaśnij drzwi i sprawdź, czy się zamknęły.

Ale Chloe już spała.

Obudziła się dokładnie po czterdziestu pięciu minutach, tak że *prawie* mogłaby zdażyć na wuef. Było to bardzo dziwne, bo zazwyczaj, kiedy już zasnęła, to spała, aż jej ktoś nie obudził. W tej chwili rozległ się dzwonek i było słychać, jak zamykają się drzwi klas, więząc w środku uczniów zmuszonych do nauki.

Przeciągnęła się i ziewnęła. Kilka razy skrzyła głowę w prawo i w lewo, po czym wykonała parę wymachów ramion, żeby się rozruszać. Czuła się ścierpnięta, bo spała bez ruchu, tak jak padła, a kanapa nie należała do najwygodniejszych.

Wymykając się z pokoju redakcyjnego, zabrała jeszcze nekrologi z porozrzucanych gazet, po czym zatrzasnęła drzwi, tak jak prosił ją Paul. Ruszyła korytarzem w stronę sali gimnastycznej na najbardziej znieawidzoną przez siebie lekcję. *Chociaż teraz pewnie mogłabym ich zaskoczyć umiejętnościami.* Ale lepiej nie. Z każdego filmu, serialu, książki czy komiksu można się dowiedzieć, że osoby obdarzone nadprzyrodzoną mocą nie powinny pod żadnym pozorem ujawniać jej przed światem. W najgorszym wypadku mogłaby zostać porwana przez tajne służby, a jej ciało zostałoby poddane sekcji. W najlepszym razie pan Parmalee kazałby jej zrobić test na narkotyki.

– Chloe King!

Pustym korytarzem szedł w jej kierunku Alek. Uśmiechnęła się.

– Co *ty* robisz w tej części szkoły?

– Idę na lekcję fletu – powiedział z lekkim zażenowaniem. Podniósł niewielki czarny futerał. – Zawsze chciałem się nauczyć, ale w Rosji nie miałem ani pieniędzy, ani możliwości.

– Zabawne, stawiałabym, że masz większy instrument – stwierdziła.

Oczy mu się rozszerzyły.

– Puzon! – wyjaśniła. – Chłopcy, którzy mają powodzenie, grają na puzonie lub trąbce.

– Ale ja nie jestem zwykłym popularnym facetem. A poza tym, skoro jestem taki popularny, to dlaczego nie zaproponowałaś mi spotkania od czasu lwów morskich? – Na jego ustach pojawił się seksowny uśmiezek, który czym prędzej ukrył. Chloe przebiegł dreszcz podniecenia. – A jak tam *Brian*?

– Jest świetny.

Poza tym, że nie całuje i nie dzwoni.

– Doprawdy? Naprawdę go lubisz, co? A *ja* myślę, że po prostu grasz trudną do zdobycia.

– O co chodzi? Keira ci już nie wystarcza?

– Nie – odparł z uśmiechem, a potem pochylił się i pocałował ją. – To tylko głupia smarkula – szepnął jej do ucha, muskając je ustami.

Chociaż daleka była od myślenia o tych sprawach, od kiedy... no, od kiedy zaczął się jej okres, teraz poczuła, jak

wzbiera w niej pożądanie, takie samo jak przy Xavierze. Obróciła głowę, tak że dotykała ustami jego szczęki.

– Powinniśmy gdzieś pójść – szepnął, całując raz za razem górne partię jej policzków.

– Schowek woźnego – odszepnęła.

Obydwoje pośpiesznie ruszyli w tym kierunku. W przeciwieństwie do tego, co pokazują na filmach, to pomieszczenie było rzeczywiście pełne sprzętów i środków czystości używanych przez woźnego – mopów, wiader i różnych chemikaliów – tak że prawie nie było gdzie stanąć. Spojrzeli na to wszystko, a potem na siebie.

Chloe zaczęła chichotać. Czuła się inaczej niż przy Xavierze. Tym razem było zabawnie i radośnie. Alek wcisnął się pierwszy i oparł o tylną ścianę schowka, żeby wziąć na siebie ciężar ich ciał, po czym wciągnął ją za sobą, a ona jednocześnie zamknęła drzwi.

Znaleźli się naprawdę bardzo blisko siebie. Czuła zapach jego wody toaletowej, płynu do płukania tkanin z jego ubrania, pasty do zębów, szamponu, jego skóry i oddechu.

Czuła też Domestos i Ajax, ale starała się o tym nie myśleć.

Alek otoczył dłońmi jej twarz i zaczął całować jej usta tak jak marzyła, że robi to Brian poprzedniego wieczoru. Całował i nie przestawał, jakby chciał zbadać każdy zakątek jej ust.

Tak właśnie powinno się całować dziewczynę, pomyślała Chloe, zanim przestała być zdolna do myślenia.

Kiedy później wytoczyli się na jasny korytarz, na szczęście nadal był pusty. Jeszcze w schowku Alek musiał parę razy zakryć jej usta dłonią, bo chichotała i zmuszała go do śmiechu. Na szczęście nikt tamtędy nie przechodził. Chloe obciągnęła i poprawiła spódniczkę.

– Seksowna z ciebie dziewczyna, Chloe King – stwierdził Alek, całując ją po raz ostatni, tym razem w policzek. – To było coś.

Czuła się całkiem seksowna. Ale...

– A teraz możesz opowiedzieć o tym wszystkim swoim kolegom. Jak w końcu dopadłeś Chloe King i super się bawiłeś – uśmiechnęła się blado.

Alek się zachmurzył.

– Naprawdę myślisz, że jestem taki? Chloe, jeśli chodzi o Keirę, to mówiłem serio. Ona *nic* dla mnie nie znaczy. I nie jestem kompletnym fiutem.

Chloe kiwnęła głową. Miała taką nadzieję. W konkurencji na miłego faceta Brian bił go na głowę. Poprawiła torbę na ramieniu i wówczas uświadomiła sobie, że Alek ma puste ręce.

– A gdzie twój flet? – spytała.

Zajrzeli do schowka i zobaczyli czarny futerał wystający z wiadra.

Z wufu łatwo się wymigała. Jak tylko Alek odszedł, pobiegła do gabinetu pielęgniarki i szczegółowo jej opowiedziała, jak bardzo *krwawi* i że to jej pierwszy *okres*, i ma takie okropne skurcze, i że spędziła cały ten czas

w łazience. Pielęgniarka okazała jej szorstkie współczucie i obiecała, że porozmawia z panem Parmalee, żeby nie wpisywał jej nieobecności. Poradziła też, żeby Chloe jak najszybciej poszła na badanie ginekologiczne. Chloe oczywiście się zgodziła i wyszła lekko skulona, jakby nadal cierpiała z bólu.

Już wcześniej wysłała Amy SMS-a, żeby spotkały się w porze lunchu – w kącie stołówki przy automatach telefonicznych. Miejsce nieszczerólnie atrakcyjne, ale tam mogły być same. Zamierzała pokazać jej list z ostrzeżeniem. Może nawet powie jej prawdę o... *Tak, ale o czym?* O tym, jak szybko biega? O całowaniu się w schowku z Alekiem? Mniejsza o to. W każdym razie Amy uwielbia tajemnice – przeszła przez fazę fascynacji filmami *Harriet szpieg* i *Nancy Drew* oraz Agatą Christie, przy czym u niej trwało to znacznie dłużej niż u większości dziewcząt i chłopców, którzy marzą o zostaniu detektywami. Nawet jeśli nie przyjdzie jej na myśl jakieś sensowne wyjaśnienie tego listu, przynajmniej będą miały z tego zabawę. W końcu, może list nie był przeznaczony dla niej. Może trafił do jej kieszeni przez pomyłkę?

Chloe rozejrzała się po stołówce i sprawdziła godzinę. Miały dziś tylko dwadzieścia minut na lunch, a pięć z nich już upłynęło. Amy jej nie odpisała, ale to o niczym nie świadczyło. Zawsze jedna z nich pisała, gdzie się spotkają, a druga po prostu przychodziła. Odpisywały sobie tylko wówczas, gdy któraś nie mogła się spotkać.

Sprawdziła telefon. Żadnej wiadomości.

O dwunastej trzydzieści pięć w końcu zrezygnowała, uświadamiając sobie, że Amy już nie przyjdzie.

Chloe miała cały wieczór dla siebie, co było miłą odmianą po ostatnich wydarzeniach. Inna sprawa, że jej się nudziło. Pobieźnie wysprzątała pokój i przez pewien czas przygotowywała się do lekcji, czytając *Szkarłatną literę*. Usiadła do komputera i pogrzebała chwilę w Internecie – ściągnęła parę empetrójek i sprawdziła, co słyhać u jej ulubionych gwiazd. Nagle wpadła na pomysł, żeby poszukać Aleka na AIM-ie... i był. Pod Alek Ilychovich. *Najwyraźniej musi się jeszcze sporo nauczyć o ukrywaniu prawdziwej tożsamości i innych amerykańskich zwyczajach*. Uśmiechnęła się i dodała go do listy kontaktów. Jego konto było dostępne tylko dla przyjaciół – *nic dziwnego, skoro wszyscy go uwielbiali!* – więc wysłała mu zaproszenie z oldclothesKing, jednego ze swoich częściej używanych nicków. Potem wróciła do surfowania w sieci.

Na jej koncie hotmailowym pojawiła się wiadomość od Briana:

Chloe, bardzo mi się podobało nasze wyjście do zoo, ale zapomniałem dać ci wzór czapki!

Lubisz ska? W Downtime w każdą sobotę jest darmowa impreza. Jeśli to nie twoje klimaty, to może masz jakiś inny pomysł...?

Brian 415-555-0554

Uśmiechnęła się. Brian był taki... idealny. Jakby rozumiał, że czuje się samotna, i dlatego do niej napisał.

Zadzwoiła pod podany numer, ale odpowiedziała automatyczna sekretarka.

– Cześć, tu Brian Rezza. Jeśli szukasz Petera Rezzy, to możesz się z nim skontaktować pod 415–555–1412. Zostaw wiadomość. Dzięki!

– Hej, Brian, tu Chloe. *Z przyjemnością* spotkam się z tobą w sobotę. Ska mnie jakoś super nie kręci, ale może być. Muszę tylko wymyślić, co powiem mamie, bo mam problemy, kiedy spotykam się z chłopakami. Tak więc wstępnie jestem na tak, a...

Z komputera dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Spojrzała na monitor: pojawił się Alek. Sekundę później piknięcie oznajmiło, że zaakceptował jej zaproszenie.

– ...jak się dowiem czegoś więcej, to zadzwonię albo napiszę ci maila, okej? Pa!

Będzie musiała pamiętać, żeby zadzwonić, zanim wróci matka. Na rachunku za telefon domowy będzie to niewinna rozmowa miejscowa, podczas gdy na rachunku za komórkę wyszczególniony był każdy numer. Matka *nadzwyczaj* starannie analizowała comiesięczne bilingi, rzekomo z powodów finansowych... *Ha, ha!*

Chloe obróciła się na krześle w stronę komputera. Na ekranie widniała wiadomość od Aleka.

Alek:

Stęskniłaś się już za mną?

Zachichotała.

Chloe:

Tylko za twoimi ustami. Resztę możesz sobie wziąć.

Alek:

Aleś ty płytka. Mam też mózg, wiesz? Chloe:

Żartujesz... Alek:

I jeszcze coś...

Zaczerwieniła się. W schowku miała okazję zapoznać się z większą częścią jego ciała. Całkowicie ubranego. Żałowała, że jest zima i nie mogą się przejść na plażę. Mogłaby nasmarować te jego szerokie barki olejkiem do opalania. Albo mogliby pójść na randkę jak normalni ludzie.

Szkoda, że nie jestem normalna, pomyślała po raz drugi w tym tygodniu.

Zadzwoił telefon.

Chloe: Moment, zw – Słucham?

– Hej... yyy... Chloe, dzwoniłaś? – Ze słuchawki dobiegł głos Briana. – Ojciec zainstalował jeden z tych telefonów, które pokazują numer rozmówcy.

– Tak, ale cię nie było. – Jeszcze nie zdążyła przyjść do siebie po rozmyślaniach o Aleku, jego ciele i tym, co robili w schowku, kiedy nagle zaczęła wyobrażać sobie siebie z Brianem. Dokładnie mówiąc, siebie przyciskającą go do ziemi i całującą się z nim.

Założę się, że jestem teraz silniejsza od niego...

Musiał wyczuć coś dziwnego w jej głosie.

– Wszystko w porządku?

– Tak. A co?

– A, nic. Brzmiało, jakbyś... nieważne. To co, ciągle chcesz ten wzór?

Chcę ciebie, palancie.

Z komputera dobiegło piknięcie:

Alek: Czekam i czekam...

A może Aleka. Aleka też chcę.

Rozbawiło ją, że w tej samej chwili rozmawia z dwoma chłopakami na dwa różne sposoby. Niestety, jeśli wierzyć serialom telewizyjnym – albo kierować się jej dotychczasowymi doświadczeniami – niedługo ta sytuacja na pewno się skomplikuje, o ile nie podejmie decyzji.

Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie!

– Pewnie. To co, jesteście umówieni na sobotę?

– No jasne. Pasuje. To znaczy, super! – Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. – Chloe, ja, yyy...

– Tak? – Pewnie za chwilę jej powie, że jest dla niego za młoda, że muszą przestać się spotykać lub że wcale mu się nie podoba. Wciągnęła powietrze. *Najwyraźniej tę decyzję ktoś podejmie za mnie.*

– Właściwie to nic. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteś strasznie fajna.

– O – uśmiechnęła się szeroko. – Dzięki.

– To co, zadzwonisz jeszcze w sprawie soboty, tak?

– Oczywiście.

Komputer wydał kolejne piknięcie.

Alek: Chloe King jest tak zadufana w sobie, że każe Alekowi Ilychovichowi, jednemu z najseksowniejszych facetów w szkole, wyczekiwać godzinami na odpowiedź.

– Okej. To do usłyszenia. Pa.

Kiedy się rozłączał, w jego głosie brzmiało jedno-

cześnie podekscytowanie, zadowolenie i zakłopotanie.
Chloe popędziła z powrotem do klawiatury.

Alek: La la la, tra la la la la... *No już, już!*

Chloe:

Jezu, nie można się wysikać?

Alek:

Założę się, że rozmawiałaś ze swoim drugim chłopakiem.

Chloe zamarła. Miała doskonałą okazję, żeby coś powiedzieć.

Chloe:

Jeśli przez rozmawianie rozumiesz oddawanie moczu, a przez chłopaka łazienkę, to tak.

Alek:

Gadasz tak seksownie, że zaczynam się gotować.

Chloe:

Bleeee! Nie miałam pojęcia, że kręcą cię takie rzeczy.

Alek:

Cóż, my, obcokrajowcy, jesteśmy dziwni. Chloe:

Dobrze, że przynajmniej masz ładne usta. Alek:

A nie masz pojęcia, co jeszcze potrafię nimi robić.

Chloe:

Taaa? Może jakaś podpowiedź? Alek:

...umiem bardzo szybko dmuchać balony. Chloe:

I *kto* z kim tu się drażni? Alek:

A co? Co byś *chciała*, żebyśmy nimi zrobili?

Pisali do siebie jak najęci przez kilka godzin, robiąc od czasu do czasu przerwy na coś do picia, wizytę w łazience

albo odezwanie się do kogoś innego. Alek ją zawiadomił, że Jean Mehala właśnie go zapytała, czy ma ochotę wziąć udział w młodzieżowym modelu ONZ. *Ja *jestem* młodzieżowym modelem ONZ.* A Lotetia z kolei męczyła go, żeby dołączył do grupy odpowiedzialnej za organizację potańcówek szkolnych. Całkiem możliwe, że skorzysta z tego zaproszenia, bo muzyka na większości tych zabaw była beznadziejna.

Chloe:

To musi być miłe uczucie, kiedy wszyscy cię pragną.

Alek:

Tak sądzisz? A jak **ty** byś chciała, żeby cię pragnąć?

Chloe usłyszała za sobą jakiś dźwięk, jakby ktoś bardzo cicho odchrząknął. Zerwała się na nogi i odwróciła, przeświadczona, że zobaczy mordercę czy inne zagrożenie.

Było gorzej. Stała za nią matka.

– Z kim rozmawiasz? – zażądała wyjaśnień. Miała na nosie okulary do jazdy samochodem. Wyglądała surowo i zasadniczo.

– Jak długo tak stoisz?

– Może mi wyjawisz, co tak ekscytującego *robiliście* dziś we dwoje w szkole? – Ze sposobu, w jaki ułożyła usta, jasno wynikało, że doskonale wiedziała, o czym była mowa. Musiała podglądać ich rozmowę od dłuższego czasu.

Jak to możliwe, że jej nie usłyszałam?

– Nic – odpowiedziała beznamiętnie Chloe.

– Całowaliście się w schowku na środki czystości?

Podczas lekcji?

– Nie lekcji, tylko wuefu. Poza tym, czego się spodziewałaś, skoro nie pozwalasz mi chodzić na *randki*?

– Właśnie dlatego! – Matka uderzyła w monitor tak mocno, że aż zabrzączał. – Masz zakaz wychodzenia z domu! Co najmniej na tydzień!

– To niesprawiedliwe! – Normalnie Chloe od razu zaczęłaby się zastanawiać, jak bardzo schrzaniła sprawę, i robić wszystko, żeby to naprawić: kłamać, przeproszać i udawać grzeczną, rezygnując z normalnych kłótni nastolatki... Ale tym razem narastała w niej prawdziwa złość, przez którą nie mogła myśleć. – Wszystkie dziewczyny *chodzą na randki*, a ja muszę ściemniać i spotykać się w tajemnicy nawet z *porządnymi* chłopakami, takimi jak Brian...

– Kto to niby jest ten *Brian*? – zapytała matka wściekłym głosem. Ręce jej drżały.

– A co za różnica? Jest super, ale z *nim* też nie pozwoliłabyś mi się umówić!

– Widzę, że i bez mojego pozwolenia puszczasz się na prawo i lewo... – urwała.

Chloe wpatrywała się w nią oczyma czarnymi jak węgiel. Z wściekłości szumiało jej w uszach. Po raz pierwszy w życiu miała nieodpartą ochotę, by uderzyć matkę w twarz.

– Cofnij to!

Pani King przygryzła wargę.

– Przepraszam. Nie chciałam cię... no, przesadziłam,

okej? Przepraszam, nie powinnam się tak do ciebie odzywać. – Mówiąc to, skubała kuty srebrny kolczyk w lewym uchu.

– Zamierzasz mi teraz wygłosić swoje przemówienie, jak to trudno być samotną matką? – wysyczała Chloe.

– Nie, chciałam tylko...

– A jak pójdę na studia, to co? Też zamierzasz mi „zabraniać” spotykać się z chłopakami? Mamo, zrozum, że mam *szesnaście* lat! Pracuję, mam dobre oceny... Skąd ty bierzesz te pomysły? Naczytałaś się jakichś bzdur w tych chorych poradnikach!

– Nie, to nie ma nic wspólnego z poradnikami! – Pani King znów podniosła głos, ale po chwili uszła z niej cała energia i zgarbiła się, jakby przygnieciona ciężarem. Nagle wydała się bardzo zmęczona. Złość odpłynęła z jej twarzy. – To była ostatnia rzecz, którą powiedział twój ojciec. Zanim zniknął, zmusił mnie do złożenia obietnicy, że nigdy nie pozwolę ci spotykać się z chłopcami.

Chloe zamurowało. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Mężczyzna, którego uwielbiała i za którym od dwunastu lat tęskniła, odpowiadał za to wszystko?

– To jakieś pieprzone bzdury! – warknęła. Przepchnęła się obok matki i pobiegła do łazienki.

– Chloe, zaczekaj...

Zatrzaskała drzwi.

– KURWA! – wrzasnęła. Zacisnęła pięści tak mocno, że poczuła ból w palcach. Zamachnęła się, żeby walnąć

w drzwi.

I zamarła.

Tam, gdzie zwykle miała paznokcie, wyrastały teraz pazury. Białe i ostre, wygięte i piękne, jak u kota.

ROZDZIAŁ 11

Siedziała na płocie z siatki drucianej i gapiła się na księżyc.

Teraz, kiedy *wiedziała*, że jest inna, łatwo jej było się utrzymać na górnej krawędzi płotu na samych stopach, tak że ręce ledwo go dotykały.

„Zmusił mnie do złożenia obietnicy, że nigdy nie pozwolę ci spotykać się z chłopcami...”

Dlaczego, czyżby coś wiedział? Czy to ma coś wspólnego z pazurami?

Chloe uniosła jedną dłoń i starała się siłą woli sprawić, żeby pazury się wysunęły. Zgięła palce. Spróbowała odtworzyć gniew, który wcześniej czuła.

Co ona takiego powiedziała, co mnie tak wkurzyło?

„Puszczasz się na prawo i lewo...”

Ssss.

Wysunęły się przy wtórze tego ledwo dosłyszalnego dźwięku. Miała wrażenie, jakby wyskakiwały prosto z kości. Były tak solidne i mocne, że nie ugiwały się przy naciśnięciu, a czubki miały ostre jak brzytwa.

Xavier.

Kto wie, czy nie podrapała go tymi ostrzami. Może były skażone. Może wysuwają się również, kiedy jest bardzo podniecona?

Czy dlatego tato nie chciał, żebym się umawiała na randki? Bo mogę przypadkowo kogoś zabić?

Przypomniała sobie, co Brian jej powiedział w zoo.

„...nawet te przyjazne ludziom... nie rozumieją, że są o wiele silniejsze od człowieka. Było kilka takich wypadków, że lew zabił opiekuna, próbując się z nim bawić...”

Co by się stało, gdyby miała przed sobą mamę, kiedy tak się wściekła? Czy straciłaby panowanie nad sobą i ją uderzyła? A jeśli wysunęłyby się pazury, czy mogłaby ją zranić lub nawet zabić?

Nagle uświadomiła sobie, że jej nowo odkryta moc to nie tylko zabawa – że może być śmiertelnie niebezpieczna.

Więc nie mogę się całować z chłopakami? Ale Alekowi nic się nie stało... To wszystko nie ma sensu.

Same zagadki i tajemnice, a ona nie ma pojęcia, jak rozwiązać którąkolwiek z nich. Nagle poczuła się ogromnie samotna. Z kim mogłaby porozmawiać? Kto może jej pomóc? Kto ją zapewni, że wszystko będzie dobrze?

Przecież nawet nie mogę mieć chłopaka.

Musiałyby być *bardzo* wyrozumiały i zdolny dochować tajemnicy albo musiałyby stale coś przed nim ukrywać.

Stojąc na krawędzi płotu, z łatwością się wyprostowała. Przekonała się, że przychodzi jej to bez trudu, pod warunkiem że nie myśli, co robi, tylko pozwala ciału zachowywać się instynktownie. Dach pobliskiej kamienicy wydawał się kusząco blisko, więc skoczyła.

Niesamowite było to poczucie siły własnego ciała – kiedy odbiła się nogami, przypominała konia wyścigowego. Same mięśnie i szybkość, żadnych niepotrzebnych ruchów czy zbędnego tłuszczu. Silne uda pozwoliły jej bez

trudu przeskoczyć łukiem ponad rynną.

Gorzej było z lądowaniem.

Nie pomyślała, że musi wyhamować rozpęd, i stoczyłaby się z dachu, gdyby nie zdołała w ostatniej chwili złapać się podstawy starej anteny telewizyjnej. Przyłgnęła mocno do gontów papowych i przez chwilę tak leżała, ze zwisającymi nogami, ciężko dysząc. Kiedy uspokoiła się na tyle, żeby móc pomyśleć, podrzuciła lewą nogę i z ugiętymi kolanami, trochę jak żaba, podciągnęła się na szczyt dachu. Teraz przerzuciła prawą nogę na jego drugą stronę, siadając na nim okrakiem.

Nie jest to mistrzostwo świata.

Nad nią na granatowym niebie zimno migotały gwiazdy. Rozejrzała się po innych dachach. Tworzyły niesamowity krajobraz, w którym gonty i dachówki zastępowały trawę, a kominy i anteny krzaki i drzewa. Był to spory kawałek świata – podobnie jak piętro koron w lasach deszczowych – na który dotychczas w zasadzie nie zwracała uwagi. *W każdym razie do czasu wycieczki na Coit Tower.* Teraz rozciągał się przed nią, a niektóre kominy wyglądały nawet jak dzieła natury – na przykład ten tam, nierówny...

Który do niej macha.

Wyteżyła wzrok. Od urodzenia miała niezwykle dobry wzrok, ale już podczas zajścia z rabusiem stwierdziła, że w słabym świetle księżyca widzi wszystko znacznie wyraźniej niż normalnie. Wystarczyło, że trochę poczekała, a wszystko się wyostrzało jak w wizjerze aparatu cyfro-

wego. Dostrzegając teraz poszczególne cegły i łączącą je zaprawę.

„Komin” wydłużył się i wyprostował. Ciemna postać stanęła, balansując na niskim murku oddzielającym poddasza dwóch sąsiednich kamienic. Potem przykucnęła jak żaba – *lub kot* – i przeskoczyła przestrzeń dzielącą ją od kolejnego budynku. Przy lądowaniu nieznajomy – bo sądząc po sylwetce, Chloe uznała, że to raczej mężczyzna – oparł się na dachu prawą dłońią w tej samej chwili, w której wylądowały na nim jego nogi. W ten sposób zakończył lot w podobnym przysiadzie, jak zaczynał.

O, właśnie tak trzeba było zrobić, pomyślała Chloe leniwie. Rozłożyć ciężar ciała na nogi i dłonie, tak żeby...

I wtedy dotarło do niej, co widzi.

Kto to, u diabła, jest? Przyjacieli!

To musiał być on. Osoba, która podrzuciła jej list.

Przykucnął w pozycji przypominającej siedzącego kota, trzymając ręce pomiędzy nogami, i ją obserwował. Musiał być cały ubrany na czarno, a twarz cały czas chował w cieniu. Uniósł dłoń – *łapę*. Na co ona czeka?

Chloe rozejrzała się wokół. Następny dom był w odległości jakichś trzech metrów od tego, na którym stała. Brzydkie, nowoczesne ranczo podobne do ich domu, z dachem pokrytym papą. Ruszyła w tym kierunku, ale strach wziął górę i stanęła. Podniosła wzrok – nieznajomy nadal na nią patrzył. Wzięła głęboki oddech i pobiegła.

Skoczyła w ostatniej chwili, ale nie w pozycji wyprostowanej, jak skoczek wzwyż, tylko wyciągnięta poziomo,

jakby chciała zanurkować. Widziała trawę, chodnik i cienie, które błyskawicznie pod nią przemknęły. Potem jej prawa ręka, a tuż za nią stopy dotknęły dachu i wylądowała w idealnej, przykucniętej pozycji.

Uświadomiła sobie, że przez cały czas wstrzymywała oddech. Teraz wypuściła powietrze i zdała sobie sprawę, że jest... *zachwycona*. To było jak najlepsze swobodne spadanie w parku rozrywki, tyle że bez żadnej maszynerii. Tylko ona sama. Odwróciła się, żeby spojrzeć na ciemną postać po przeciwnej stronie ulicy.

Przechylił głowę i podniósł kciuki na znak uznania. A potem zeskoczył z dachu na drugą stronę, znikając jej z oczu.

– Nie! – krzyknęła Chloe i błyskawicznie się rozejrzała, szukając najszybszej drogi, jednak żaden z elementów budynku nie sięgał nad ulicę. Nie było też drzew, które mogłaby wykorzystać. Nie pozostało jej nic innego, jak zeskoczyć na ziemię. Tym razem nie rozmyślała, jak to zrobić – po prostu zsunęła się po ścianie i bezszelestnie wylądowała na dole, z dłońmi płasko dotykającymi kamyków zatopionych w betonie.

Przebiegła na drugą stronę ulicy i obiegła budynek, za którym zniknął nieznajomy. Pojedyncza latarnia rzucała słabe światło na parking z zamkniętą bramą. Na ceglanej ścianie zamykającej jego przeciwległy koniec ktoś wymalował sprejem ogromne, kolorowe graffiti. Podmuch wiatru toczył po asfalcie plastikową butelkę. Znajdował się tam jeszcze billboard reklamujący opony Hanook, i to było

wszystko.

I co mam teraz zrobić?

Przez krótki czas wydawało się jej, że zyskała pewnego rodzaju przyjaciela, który potrafi robić to co ona, a nawet więcej. Który mógłby jej powiedzieć, kim właściwie jest, dlaczego są tacy i co to wszystko oznacza...

Ssss.

Z góry dobiegło ją cichutkie drapanie. Spojrzała w tym kierunku i zobaczyła znajomą sylwetkę przykucniętą na szczycie słupa podtrzymującego przewody miejskiej linii trolejbusowej.

Mogłam tą drogą przedostać się na drugą stronę, bez schodzenia na ulicę – ale czy to bezpieczne?

Jakby odpowiadając na jej pytanie, mężczyzna się podniósł i bardzo ostrożnie zeskoczył na jeden z przewodów, uważając, żeby nie stać jednocześnie na nim i na słupie. Potem przykucnął i zaczął biec truchtem po kablu *na czworakach*. W końcu przeskoczył na szczyt billboardu.

– Ciekawe, jak mam się tam *dostać*?

Tymczasem jej towarzysz już zsuwał się z billboardu, zostawiając za sobą wydłużające się rysy, które odsłoniły poprzednie reklamy.

Wykorzystał pazury, uświadomiła sobie.

Podeszła do najbliższego drewnianego słupa i pacnęła w niego ręką. Nic się nie stało. Obejrzała się na postać w cieniu, a wówczas mężczyzna, zniecierpliwiony, skrzyżował ręce.

Przypomnij sobie skok, powiedziała sama do siebie. Nie myśl, tylko po prostu zrób to.

Skoczyła na słup i stwierdziła, że się go trzyma. Za pomocą samych rąk i pazurów.

Ale sobie wyrobię mięśnie, pomyślała.

Kiedy podniosła prawą rękę, żeby chwycić się wyżej, okazało się, że lewa ją podtrzymuje, bo jej pazury są głęboko wbite w drewno.

Szybko wspięła się na słup i w ostatniej chwili wykorzystwała nogi, żeby przeskoczyć nad przewodami na wierzchołek. Uświadomiła sobie, że bezwiednie się uśmiecha. Ileż swobody dawały jej te nowe sposoby poruszania się. Teraz mogła się dostać wszędzie, dosłownie *wszędzie!* Dostępne stały się dla niej dachy, urwiska, tunele i drzewa – wszystkie te miejsca, gdzie ludzie normalnie nie przebywają. Gdyby chciała, mogłaby się ukrywać w nieskończoność albo niczym nieskrępowana biegać po dachach pod gwiazdami. *Wolna.*

Przebiegła po przewodzie tak samo jak on, tyle że znacznie szybciej, i skoczyła w kierunku billboardu, licząc, że tam się z nim spotka. Ale kiedy wylądowała, on już zdążył dać ogromnego susa na szczyt bramy.

– Hej! – zawołała ze śmiechem. Jednocześnie poczuła, że pozostał po nim dziwny zapach.

Woń, po której łatwo go będzie tropić.

Próbowała skoczyć tak samo jak on, ale niezupełnie jej się to udało, więc spadła na parking, uwięziona za ogrodzeniem. Szybko wdrapała się na bramę i zeskoczyła

z drugiej strony.

Mogłabym teraz zostać włamywaczką zakradającą się przez dachy.

Czekał na nią przykucnięty na skrzynce na listy, ale jak tylko odzyskała oddech, odbiegł i wskoczył na schody przeciwpożarowe, po czym wspiał się po nich na dach.

O, najwyraźniej chcesz się bawić!

Ruszyła za nim.

Goniła go z dachu na dach, z drzew na słupy telegraficzne i żadne z nich nie dotknęło ziemi, dopóki nie dotarli do parku. Normalnie Chloe nigdy w życiu nie weszłaby do parku Golden Gate po zmroku, ale najwyraźniej nie była już normalnym człowiekiem. *Poza tym z pewnością by mnie obronił, gdyby zaszła taka potrzeba.* Była tego pewna.

Park był opustoszały, a światło gwiazd zbyt słabe, by oświetlić alejki i drzewa oraz rozjaśnić cienie, jednak z jej nową zdolnością nocnego widzenia nawet ciemna ziemia w głębokim cieniu jaśniała jak w świetle księżyca. Chodnik błyszczał jak droga z bajki, jednak postanowiła przejść po trawie, lekko chrzęszczącej na zimnie.

Zatrzymał się przy ławce pod miłorzębem. Opuścił dłonie, jakby miał przez nią przeskoczyć, ale zamiast tego stanął na rękach i powoli opuścił się na dół po drugiej stronie.

Mam za słabe ręce, pomyślała, zanim uświadomiła sobie, czego już dokonała dzisiejszej nocy. Tymczasem jej towarzysz zaczepił nogę o niską gałąź, po czym wspiał się

na drzewo.

Chloe podbiegła do ławki, chwyciła rękami za jej górną krawędź i odbiła się nogami od ziemi, licząc się z tym, że może się przewinąć i uderzyć ciałem o siedzenie. Jednak kiedy miała już biodra powyżej głowy, wyprostowała nogi i stanęła na rękach tak pewnie jak cyrkowiec.

Nagle usłyszała głuchoe tąpnięcie i poczuła, jak niesamowity ciężar łąduje jej na stopach i zgina nogi w kolanach tak, że niemal dotknęły podbródka. I równie szybko wszystko ustaje. Chloe straciła równowagę i spadła na ziemię.

Kiedy się podnosiła, usłyszała cichy śmiech, pierwszy dźwięk wydany przez tajemniczego towarzysza. Zobaczyła, że stoi kilka metrów dalej ze skrzyżowanymi ramionami – najwyraźniej zeskoczył z drzewa, wykorzystując jej stopy jako trampolinę.

– Ale zabawne – powiedziała donośnym głosem.

Odwrócił się i znowu odbiegł.

Chloe pobiegła za nim prosto między drzewa i krzewy, które przez minione lata były zapewne schronieniem dla tysięcy rabusiów i gwałcicieli. Mężczyzna skakał od cienia do cienia, czasem wspinał się na drzewo, innym razem przeskakiwał przez krzaki, ale zawsze trzymał się poza jej zasięgiem. Jego zapach robił się coraz słabszy, więc jeśli straci go z oczu, to koniec.

Nagle znalazła się po drugiej stronie parku, tuż przy wyjściu. Nigdzie nie było go widać, woń też już zniknęła.

Chloe rozglądała się po drzewach i alejkach, licząc, że

gdzieś się chowa i na nią czeka, żeby kontynuować zabawę. Ale po pięciu minutach nadal go nie było.

– No, dalej – zawołała płaczliwym tonem. – *Proszę.*

Kiedy minęło podniecenie i emocje związane z pogonią, nagle poczuła się zagubiona. Znów jak dawniej była zwykłą Chloe King. I była samotna.

Rozczarowana i smutna ruszyła z powrotem tą samą drogą, którą tu dotarła.

A potem dostrzegła dąb.

Jakieś półtora metra nad ziemią jego kora została głęboko i gwałtownie podrapana przez coś z dużymi pazurami.

A pod spodem ktoś delikatnie wyrył jednym pazurem uśmiechniętą buźkę.

ROZDZIAŁ 12

Kiedy pani Abercrombie oddała sprawdziany, Chloe musiała przyznać sama przed sobą, że *kocie supermoce nie obejmują umiejętności rozwiązywania zadań z trygonometrii*. Górny margines kartki znaczyło wielkie, ohydne, czerwone D. [W szkołach średnich w USA obowiązuje system ocen literowych od A do D i F, gdzie F jest oceną niedostateczną, a A najwyższą (przyp. tłum.).] Po części było jej to zupełnie obojętne. W jej życiu pojawiły się sprawy ważniejsze niż szkoła, na przykład nocne zabawy w chowanego oraz to, że była inna niż rówieśnicy. Albo to, że nie miała pojęcia o swojej przeszłości ani co się stało z jej ojcem – a musiała się tego dowiedzieć.

Pomimo pazurów Chloe pozostała jednak sobą, więc natychmiast zaczęła obliczać w myślach, ile wysiłku będzie musiała włożyć przez resztę semestru, żeby odrobić tę marną ocenę i nie zejść poniżej akceptowalnego B. Spojrzała kątem oka na sprawdzian Paula i poczuła przyływ złośliwej satysfakcji. W odróżnieniu od niej *uczył* się, a dostał tylko C.

Kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, pośpiesznie wstała, kierując się do wyjścia. Mijając Paula, rzuciła mu szybkie „Cześć”, on jednak podążył już prosto do Amy, która czekała na korytarzu. Na szczęście był tam również Alek, czekający z kolei na Chloe.

– Hej, Mamacita – powiedział. – Co tam u *ciebie*? – Hiszpańskie przywitanie wypowiedziane z delikatnym

rosyjskim akcentem brzmiało niedorzecznie, ale atrakcyjna twarz Aleka sprawiała, że i tak trudno było poważnie traktować to, co mówi.

– Cześć. – W odróżnieniu od większości szkolnych par – jak chociażby Paula i Amy – Chloe i Alek nie całowali się na powitanie. Tak naprawdę nie byli nawet oficjalnie parą, co tylko dodawało ich spotkaniom erotycznego nastroju. Ich twarze dzieliło ledwie kilka centymetrów, ale stali, nie dotykając się.

– Nie chcesz przejść się gdzieś na lunch? – zaproponował. Chloe przemyślała propozycję: opuszczanie terenu szkoły w czasie trwania lekcji – było kategorycznie zabronione i groziło karą zatrzymania po lekcjach, ale z drugiej strony dzień *był* taki piękny...

Wprost idealny na piknik z przystojnym Rosjaninem.

Wyobraziła sobie, jak siedzą pod drzewem na zboczu wzgórza, w scenerii przypominającej skrzyżowanie rajskiego ogrodu z czymś bardziej użytecznym, jak sad, zjadając czerwone jabłka.

Szkoda, że w okolicy nie ma takiego miejsca.

– No, jak najbardziej – odpowiedziała. McDonald's będzie musiał wystarczyć.

Chloe zdała sobie sprawę, że ze wszystkich dotychczasowych spotkań z Alekiem, to najbardziej przypominało normalną randkę. W ich związku wszystko przebiegało w odwrotnej kolejności. Zamiast relaksu na sielankowym zboczu musieli się zadowolić zwykłą ławką przed

McDonaldem. W powietrzu unosiła się słodka woń *spalonego oleju*, ale przynajmniej było ładnie.

– Słuchaj... jak wspominasz dzieciństwo w Rosji?

Alek wzruszył ramionami. Właśnie z wielką ostrożnością przygotowywał się do zjedzenia hamburgera. Rozłożył zabezpieczający go papier i zawinał go dookoła bułki, ani razu nie dotykając jej palcami. Kiedy już osiągnął zadowalający efekt (całkiem niezły, zdaniem Chloe), szeroko otworzył usta i, jak każdy normalny nastolatek, wepchnął w nie kanapkę tak głęboko, jak się dało.

– McDonaldy w Rosji są do bani – powiedział z ustami wypchanymi bułką z mięsem. – Nie umieją robić frytek. – Zastanowił się chwilę. – Za to shaki mają lepsze.

– Pytałam *serio!*

– *Jestem* poważny. Naprawdę są lepsze. Zresztą nie tylko shaki z McDonalda – wszystkie lody i przetwory mleczne.

– Tak? A coś więcej...? – dopytywała się Chloe.

– Coś więcej? Co tu dużo gadać. Było do dupy. Nikt nie ma na nic pieniędzy, poza nowobogackimi, tak zwanymi nowymi Rosjanami, którzy są często na usługach mafii. Większość normalnych ludzi zarabia coś rzędu pięćdziesięciu dolarów na miesiąc – równowartość biletu do kina. Mało kto może codziennie pozwolić sobie na mięso. Dużo ludzi przez to pije... – Oczy mu się zwięziły i przez chwilę Chloe zdawało się, że dostrzegła w nich coś głębszego i smutnego, ale cokolwiek to było, szybko zniknęło. Alek potrząsnął głową. – Zaczynają w bardzo

młodym wieku. Założę się, że w konkursie na picie bez trudu bym wykończył tę bandę półgłówków z drużyny futbolowej. Ale mam lepsze rzeczy do roboty – dodał.

Nachylił się nad pozostałymi hamburgerami i frytkami, próbując podjąć decyzję, czym zająć się najpierw.

Chloe umoczyła frytkę w keczupie, włożyła ją do ust i powoli żuła.

– Jak ci się udaje utrzymać taką dziewczęcą figurę? – zapytała.

– Dzięki seksowi – odpowiedział natychmiast, przygotowując do spożycia kolejnego hamburgera. W międzyczasie chwycił *przez serwetkę* kilka frytek... i najpierw odgryzł końcówki, a potem włożył resztę do ust. Chloe miała ochotę zapytać, czy niedotykanie jedzenia to jakiś rosyjski zwyczaj, czy może objaw zaburzenia obsesyjno–kompulsywnego. – No nie, żartuję. Ale to prawda, że dużo jem.

– Jak jest w Petersburgu?

– Ha, w Leningradzie? Cóż, jak na rosyjskie miasto jest piękny, ale na pewno nie aż tak jak San Francisco. – Machnął ręką, jakby chciał podkreślić oczywiste piękno miasta, w którym mieszkali, ale Chloe nie miała pojęcia, o co dokładnie mu chodzi: niebo, mgłę, most, pogodę czy diabli wiedzą co jeszcze. – Mnóstwo kopuł i wież kościelnych. Teraz wszystko świeci złotem, bo niedawno odnowili. Latem słońce cały dzień wisi nisko nad horyzontem i jest jasno do drugiej rano, wtedy faktycznie jest

bardzo ładnie. Ale tak na serio, to jest do bani.

Trudno jej było ocenić, czy wstydził się swojej przeszłości, nie chciał o sobie rozmawiać czy po prostu był szczery i starał się dać do zrozumienia, że pewien etap w jego życiu się skończył i nie ma sensu do niego wracać.

– Myślałam, że trudno jest wyemigrować – powiedziała, ponieważ chciała wyciągnąć z niego więcej informacji.

– *Mnie* było łatwo. Mam bogatego wujka.

– Czy on jest z tych... nowych Rosjan?

– Coś w tym rodzaju. – Spojrzał smutno na puste tace i papiery po hamburgerach.

– Naucz mnie czegoś po rosyjsku – powiedziała. Położyła się na ławce i spojrzała mu w oczy.

– *Pazałsta*. – Pochylił się, niemal dotykając jej nosa swoim.

– Co to znaczy? – wyszeptała.

– Proszę – odpowiedział i pocałował ją.

Powinnam to robić codziennie, pomyślała Chloe, czekając na autobus do domu. Choć nie wyglądało na to, by Alek był obdarzony wybitnym intelektem albo skrywał... yyy... seksowną, tajemniczą czy tragiczną przeszłość, na pewno *doskonale* całował. Reszta lekcji minęła jej jak we śnie: kolory naprawdę wydawały się bardziej jaskrawe, a przyszłość nie taka przerażająca.

Ale wtedy pojawiła się Amy i brutalnie sprowadziła ją na ziemię.

– Zobaczymy się dzisiaj?

Chloe, bezceremonialnie wyrwana ze swoich marzeń, nie od razu powróciła do rzeczywistości.

– Yyy, co? Nie, dzięki. Muszę się poważnie podszkolić z trygonometrii albo będę miała przerąbane – powiedziała chłodnym głosem.

Amy przypatrywała się jej przez dłuższą chwilę, jakby analizowała okaz muzealny.

– Co się z tobą ostatnio dzieje?

– *Ze mną?* – Chloe czuła, jak narasta w niej złość i towarzyszące jej swędzenie w opuszkach palców, więc tylko wzruszyła ramionami i poprzebierała palcami, aż uczucie minęło. *Rozdrapać przyjaciółce twarz na krwawe strzępy. Doskonały sposób na zakończenie kłótni, zwłaszcza na oczach całej szkoły.* – *A z tobą?* Wysłałam ci wczoraj wiadomość o spotkaniu na lunchu, a ty mnie totalnie olałaś.

– Nic od ciebie nie dostałam – odpowiedziała natychmiast Amy, ale jej głos zdradzał cię wątpliwości.

– Sprawdź pocztę. No dalej – Chloe podjudzała przyjaciółkę. – Sprawdź!

Amy ostentacyjnie wyciągnęła komórkę i zaczęła niecierpliwymi ruchami wciskać klawisze, odgrywając przedstawienie, jakby chciała pokazać, że nie ma czasu na takie głupoty. – Widzisz? Nie ma żadnej... a... – Mina jej zrzedła. – A, o to chodzi.

– I co? Czyli *odebrałaś!*

– Zamierzałam ci odpowiedzieć – zaczęła nieopatrnie

mówić – ale byliśmy z Paulem zajęci. Akurat...

– Byliście zajęci? Czym, ciekawe? Przygotowywaliście coś do gazetki czy może, niech zgadnę, obściskiwaliście się?

– Co ty sobie...

– „Ty z Paulem” *ciągle* jesteście czymś zajęci. Wygląda to tak, jakbyście we dwójkę byli odrębnym bytem i zapomnieli zupełnie o reszcie świata.

– *Ach*, czyli o to chodzi – stwierdziła Amy, kiwając dla podkreślenia swoich słów głową. – Czujesz się samotna i nam zazdrościsz... Zresztą pewnie dlatego puszczasz się z takim idiotą jak Alek.

Co one mają z tym puszczaniem się? Przecież jeden z moich „chłopaków” nawet nie chce mnie pocałować.

Chloe otworzyła usta, żeby wyzwąć Amy od najgorszych. Zanim jednak zdążyła się odezwać, uświadomiła sobie, że nie ma sensu się przejmować takimi bzdurami. Ma obecnie tyle ważniejszych spraw na głowie – pazury, tajemniczy przyjaciel, którego gonila po nocach, Brian... W gruncie rzeczy Amy opuściła ją w dniu upadku z wieży. *Szkoda nerwów* na tę bezsensowną kłótnię.

– Mniejsza o to. Jest mój autobus. – Odwróciła się na pięcie i odeszła, zostawiając oniemiałą Amy na przystanku.

Chloe musiała się komuś zwierzyć.

Ostatnimi czasy – ze względu na ich przyjaźń – wielokrotnie ustępowała w dyskusjach Amy, a mimo to *ciągle*

obrywała. Gdyby Amy potrafiła dostrzec, jak się zachowuje!

Z wielką chęcią opowiedziałabym ci co u mnie, pomyślała gorzko, ale przecież widzę, że nie za bardzo cię to interesuje.

Alek pewnie doradziłby jej, żeby machnęła na to wszystko ręką, że nie ma sensu się denerwować. Rzecz w tym, że Chloe miała ochotę ponarzekać, pograć się w czarnych myślach i znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie *chciała*, żeby ktoś ją pocieszał i nakłaniał, aby przestała o tym myśleć. Chciała to zrozumieć.

Wyciągnęła komórkę i wybrała numer Briana. Doszła do wniosku, że jeśli zadzwoni tylko raz, będzie mogła powiedzieć matce, że musiała wziąć od kogoś zadanie domowe albo pogadać z kimś, z kim wspólnie przygotowywała projekt na zajęcia.

– Mówi Brian. – Zabrzmiało to tak lakonicznie i bezpośrednio, że Chloe ledwo rozpoznała jego głos. Brzmiał bardzo profesjonalnie – odrobinę szorstko, ale nie zarozumiale.

– Wow, dodzwoniłam się do Enronu?

– O, Chloe! Nie, nie... – roześmiał się. Teraz bardziej przypominał siebie. – Czekam, może ktoś oddzwoni. Obszedłem pół miasta za pracą – zoo, wydział parków, pomoc dla zwierząt, nawet schronisko.

– W końcu jest kryzys – powiedziała Chloe tonem, jakim wypowiadali się na ten temat matka i jej znajomi.

– Co prawda, to prawda – westchnął. – To co, yyy,

pewnie chcesz ten wzór, co?

Zdażyła zupełnie o nim zapomnieć.

– Nie – odpowiedziała ponuro. – Już go nie będę potrzebować.

– Aha... – Chyba nie bardzo wiedział, jak zareagować, ale Chloe wydawało się, że wyczuwa *ulgę* w jego głosie.

– Ale chciałabym się z tobą znowu zobaczyć.

– Tak? – zapytał ostrożnie.

– Tak – roześmiała się. – Masz ochotę wyjść dzisiaj wieczorem na miasto?

– Dzisiaj wieczorem? – Nastąpiła chwila ciszy, jakby musiał spojrzeć na zegarek albo kalendarz. – Dzisiaj tak *średnio* mi pasuje... Muszę jeszcze wysłać kilka podań o pracę i takie tam. Chciałem je mieć gotowe na jutro rano.

Chloe nastawiła uszu. W jego sposobie mówienia było coś dziwnego, jakby się zacinał – może wychwyciła to dzięki swoim nowym, nadzwyczaj czułym zmysłom, a może była to zwykła intuicja, ale odnosiła wrażenie, że ją okłamuje.

Co z nim? Niby mu się podobam, a stale mnie odpycha.

Wtedy do niej dotarło.

– Masz dziewczynę, prawda?

– Co?

– Przyznaj się, masz dziewczynę.

– Nie! *Nie mam*. – Był wyraźnie rozdrażniony. – *Dawno* z nikim nie byłem. Dlaczego o to pytasz?

– Jak cię słucham, to... Nie wiem, no... Odnoszę wra-

żenie, że wcale nie chcesz się spotkać.

Zaśmiał się cicho.

– Chloe... nie chciałem, żebyś tak to odebrała. Po prostu mam fioła na punkcie organizacji i nienawidzę zmieniać planów, jak sobie coś ustalę. Wiesz, coś w rodzaju „nie wolno mi nic zjeść, dopóki nie wyślę jeszcze jednego listu”.

– Aha. – Chloe zrobiło się wstyd. Rozejrzała się dookoła, ale nikt się nie przysłuchiwał jej rozmowie. – Przepraszam, miałam zwariowany dzień. Pokłóciłam się z Amy, moją najlepszą przyjaciółką... – Coś w niej wreszcie pękło. Przełknęła ślinę, starając się powstrzymać wzbierające łzy. Odwróciła twarz w stronę okna i wytarła dłonią oczy.

– Co się stało?

– Nic takiego – wyszeptała. Nie chciała, żeby było słychać, że płacze. – Tyle że... – *Wyrosły mi pazury, dostałam liścik z informacją, że ktoś czyha na moje życie...* – Amy zaczęła się spotykać z moim drugim najlepszym przyjacielem i w ogóle nie ma dla mnie czasu, a na dodatek nawet nie widzi, jak podle mnie traktuje. – Poczula się dziwnie, mogąc wreszcie wyrzucić to z siebie. Od dłuższego czasu miała ten temat w myślach, coraz bardziej przeświadczona, że przesadza – jak to zwykle bywa, kiedy człowiek zbyt długo zastanawia się nad własnym zachowaniem. Teraz jednak poczuła, że ma rację. Co dziwniejsze – Brian sam ją zapytał, co się stało. Nie miał nic przeciwko, żeby wysłuchać, co zaszło między dziewczyną, z którą był

na jednej randce, a jej przyjaciółką, której w ogóle nie znał. Na dodatek z jego głosu można było wyczytać, że rzeczywiście go to interesuje. Jakby się przejmował.

– Przykro mi... To znaczy, no jasne, że możemy się spotkać dziś wieczorem.

Chloe uśmiechnęła się i pociągnęła nosem.

– A czy możesz... Czy masz może teraz czas? – Nie chciała mu opowiadać, jak kiepsko jej się ostatnio układa z matką. Jeszcze by wyszła na stereotypową licealistkę – gówniarnę, która nie panuje nad własnym życiem.

Co jest prawdą, ale miło sobie pofantazjować.

– Taaak... Pasuje ci ta kawiarnia przy placu zabaw, naprzeciw Peeta?

– Tak, super. To do zobaczenia za chwilę.

– Okej. Do zobaczenia.

Wyskoczyła z autobusu na najbliższym przystanku i zadzwoniła do matki, że zostaje po szkole, żeby się pouczyć trygonometrii.

Dwadzieścia minut później siedziała już bezpiecznie skulona na wygodnym, sfatygowanym krześle. Popijała z kubka zupę pomidorową, a Brian siedział naprzeciwko z przejętą miną.

Nie obraziłabym się, gdyby częściej ktoś mnie tak traktował.

Choć jej przyjaciele byli – *dawniej* – naprawdę mili, on skupiał na niej uwagę w sposób, z jakim nigdy dotąd się nie spotkała. Czapka z kocimi uszami leżała między nimi

na stole, a uwolnione spod niej włosy nie były o dziwo przyklepane i tłuste, lecz tworzyły zmierzwioną szope, którą Chloe z całego serca pragnęła doprowadzić do ładu, przeczesując palcami. Tym razem miał przy sobie inną książkę, zbiór opowiadań Eudory Welty.

– Wiem, że to głupie – powiedziała, starając się nie pociągać nosem – ale dotychczas Amy była jedynym stałym elementem mojego życia. Zawsze mogłam na nią liczyć, tak? Mój ojciec zniknął, miałam Amy. Matce kompletnie odwaliło, miałam Amy. Paul się zachował jak świnia, miałam Amy. A teraz już jej nie ma. Nie mogę na niej polegać. Nawet nie raczy odpisać na SMS–a. Poza tym ostatnio... w moim życiu dzieją się różne dziwne rzeczy, o których chciałabym jej opowiedzieć... Normalnie od razu byśmy usiadły i o tym pogadały, a tak to...

– Jakie dziwne rzeczy?

Chloe się zawahała. Rozpierała ją chęć, żeby *komuś* o wszystkim powiedzieć, a Brian wyglądał na człowieka, który okaże jej współczucie, jeśli tylko potrafi jej uwierzyć. Mimo to była zdania, że jest za wcześnie na tak *wielką* tajemnicę. Może mogłaby *trochę* się zwierzyć...

– No, na przykład, spadłam z Coit Tower – powiedziała równie bezpośrednio jak wcześniej matce.

Brian wytrzeszczył oczy.

– No i Amy przy tym była, a nawet zabrali mnie z Paulem do szpitala...

– Jak to „spadłaś z Coit Tower”? – dopytywał się Brian.

– No... spadłam. – Chloe zademonstrowała za pomocą dużego młynka do pieprzu, jak człowieczek podchodzi do krawędzi i spada.

– Z góry? Wspinałaś się po ścianie?

– Tak, z góry. Nie, nie wspinałam się. Wypadłam z okna.

Brian gapił się na nią w milczeniu przez kilka kolejnych sekund. Chloe poczuła się odrobinę nieswojo.

– I... nic ci... nie jest?

– W zasadzie nic. – Wzruszyła nonszalancko ramionami. – Ale, słuchaj, mieliśmy rozmawiać o *Amy*.

– A nie o tym, że nie *zginęłaś*?

– Hm. W każdym razie chyba prawie umarłam – wyznała Chloe, zastanawiając się, jak wiele może jeszcze wyjawić. – Byłam w jakimś miejscu, gdzie było całkiem ciemno i coś jakby... *wepchnęło* mnie z powrotem. Jakbym spadła z bardzo wysoka z powrotem do świata żywych czy coś...

– Opowiadałaś komuś o tym?

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?! – zezłościła się. – Amy była ze mną na wieży, kiedy spadłam, a mimo to nie miałyśmy jeszcze okazji o tym pogadać. O tym, co się... stało, albo przynajmniej wydaje mi się, że się stało. Przecież po to jest przyjaciółka, tak? Żeby z nią porozmawiać o dziwacznych, osobistych przeżyciach? Nie chciałam o tym rozmawiać z nikim innym. Poza tym Amy wierzy w siły nadprzyrodzone, więc na pewno miałyby coś ciekawego do powiedzenia na ten temat.

– No tak, nic dziwnego, że wolałaś z nikim innym o tym nie rozmawiać... Tak na serio to pewnie nawet nie powinnaś – powiedział, po czym wziął łyk kawy. Czarnej. Bez mleka, bez cukru, żadnych dodatków. Chloe była zdania, że to całkiem seksowne – surowe i męskie. Nie знаła nikogo poza lekarzami z popularnych seriali, kto by taką pił. – Twoja przyjaciółka zachowuje się dość egoistycznie. – Odetchnął głębiej. Sprawiał wrażenie, jakby się zmuszał, by kontynuować ten temat.

– W zasadzie zawsze tak było. – Chloe rozważyła to, co powiedział. – Wiesz, ekstrawertyczka, skupiona głównie na sobie... Ale raz na jakiś czas robiła dla ciebie coś fantastycznego, czego byś się w ogóle nie spodziewał.

Jak ucieczka ze szkoły w przeddzień jej urodzin i pójście do Coit Tower.

– A co z Paulem? Czy przypadkiem to nie on jest częściowo za to wszystko odpowiedzialny? Poza tym prawie nic o nim nie mówisz – zauważył Brian.

– Myślę, że Paul to... taki inny rodzaj „najlepszego przyjaciela” – odpowiedziała. – To ktoś, kto zawsze jest w pobliżu, z kim można godzinami oglądać telewizję, nie odzywając się słowem, a on nie ma nic przeciwko temu. Albo przesiadywać na trybunach i robić sobie jaja z tych mięśniaków. Czasami odrobinę się otworzy – na przykład nie wstydzę się przyznać, że dostrzega piękno dzieła sztuki albo przyrody. Ostatnio mówi jeszcze mniej niż zwykle. Zrobił się o wiele bardziej zamknięty w sobie i oschły. Niemalże zimny. Od kiedy jego rodzice się rozwiedli –

zauważyła niepewnie.

Brian nic nie powiedział, tylko uniósł brwi.

– Ale *ja* też potrzebuję Amy – powiedziała żalonym głosem.

Brian się roześmiał.

– No wiadomo. Ale to ona nie umie się zachować w tej sytuacji ani znaleźć dla ciebie czasu. Próbowalaś jej to powiedzieć?

– No, tak jakby. Ale trudno się otworzyć, kiedy nie jesteśmy ze sobą tak blisko jak kiedyś i jestem na nią wkurzona. – Nagle zrobiło się jej przykro i zmieniła temat.
– Słuchaj, yyy, a jak twoje poszukiwania pracy?

– Ech. – Zgarbił się nad kubkiem. Oczy mu się zwały i pociemniały, jakby próbował podgrzać kawę samym wzrokiem. Przez chwilę nie przypominał wesołego, wrażliwego chłopaka, którego знаła – spod spodu wyjrzał ktoś zupełnie inny, aż kipiący ze złości. – Beznadziejnie. A na dodatek mój ojciec... wcale mi nie ułatwia życia.

– Dlaczego?

– Pouczenia. Listy. Ostrzeżenia, że zaprzepaszczę przyszłość. – Westchnął. – On się zachowuje, jakby żył w epoce wiktoriańskiej. Wydaje mu się, że jest bóg wie kim i może rozkazywać całej rodzinie. W każdym razie teraz próbuje mnie nakłonić, żebym zrobił coś sensownego ze swoim życiem, czyli zaczął pracować w jego firmie.

– A czym ona się zajmuje?

– Strasznie–nudnymi–rzeczami. A tak bardziej serio, to ochroną – wszystkim, od sprzętu dla ochroniarzy po

systemy alarmowe. Głównie dla korporacji. To właściwie nie jest firma, tylko całe wielkie imperium.

– Ochroniarze? Brzmi całkiem interesująco! – Pochyliła się w jego stronę. Wyobraziła go sobie w stroju rodem z Matriksa. Czarny neopren, skórzane buty... i czapka z kocimi uszami, której żadnym sposobem nie potrafiła sobie *odwyobrazić*. Poza tym drobiazgiem rezultat końcowy był nadzwyczaj seksowny.

– Ojciec większość czasu spędza na załatwianiu kontraktów. Przygotowuje papiery, negocjuje z ważnymi klientami, chodzi na spotkania, zleca analizy, zwalnia pracowników... Jak to w korporacji. – Uśmiechnął się przelotnie. – A poza tym, to owszem, kamizelki kuloodporne, tazery, broń. Z tego powodu przestałem się interesować leśnictwem, bo tam też wszyscy biegają uzbrojeni po zęby – słyszałaś o tym kocie, na którego polują w Los Angeles? To zupełnie nie moje klimaty. I znów wracamy do pistoletów i innej broni. Dziękuję, nie reflektuję.

– Na kota? Z bronią? – *Armatka wodna by nie wystarczyła?* Wyobraziła sobie małego pręgowanego kotka przed plutonem egzekucyjnym.

– Na pumę – wyjaśnił ze śmiechem Brian. Jakby dokładnie wiedział, co myśli. Chloe poczuła, że powolutku coraz bardziej się zakochuje. – Tak na serio to dość przykra sprawa. Ta puma zaatakowała jakiegoś faceta, który wyszedł w nocy pobiegać po górach. Jest w ciężkim stanie.

– A kto normalny biega sam nocą po terytorium wielkich kotów? – zapytała przemądrzale.

– Ale to nie było na obszarze chronionym ani niczym takim. Facet mieszkał na jednym z nowych osiedli, które wybudowali niedaleko rezerwatu i po prostu miał w zwyczaju biegać sobie wieczorem po okolicy.

– Czyli co, pумы mają wiedzieć, gdzie kończy się ich rezerwat i w miarę możliwości nie pożerać wielkich, soczystych hamburgerów spacerujących w najlepsze po ich terytorium? Zamierzają ją zastrzelić?! – Mówiła coraz głośniej.

– Chloe – odpowiedział Brian, rozglądając się nerwowo – ona prawie zabiła człowieka.

– A w ogóle to ciekawe, kto wpadł na pomysł, żeby wpychać się z osiedlem na terytorium pum. Chyba nie trzeba być geniuszem, żeby się *domyślić*, że coś może się stać?

– No dobrze – zgodził się – faktycznie głupio zrobili, że zniszczyli kolejny fragment ich naturalnego środowiska, ale te mieszkania już tam są i tego się nie zmieni. A co ty byś zrobiła, żeby pумы przestały atakować ludzi?

– Nie wiem. Może trzeba postawić wysoki płot. I znaki z napisem „Nie biegaj sam po nocy, palancie”.

– Naprawdę jest ci kompletnie obojętne, że facet mógł zginąć? – zapytał Brian cichym głosem.

– Oczywiście, że nie – westchnęła Chloe. – Przecież wiem, że tak na serio nie zrobił nic złego... No może poza kupieniem mieszkania w bloku wybudowanym na granicy rezerwatu, za co *jakaś* kara mu się należy. Ale czy naprawdę nie ma innego rozwiązania, niż zabić tę pumę?

– Rzecz w tym, że się już nas nie boi, bo posmakowała ludzkiej krwi.

– Aha, czyli należy wytepić wszystko, co przed nami nie ucieka. Nic, tylko pogratulować intelektu – parsknęła.

– *Przecież mówiłem*, że nie mam już ochoty dla nich pracować – wymamrotał Brian na swoją obronę. Potrzęsnał głową, żeby oczyścić atmosferę i dać sobie okazję do zmiany tematu. – A jakie ty masz plany? Kim chcesz zostać, jak dorośniesz?

Chloe ponownie westchnęła.

– Nie wiem. Zasadniczo wykluczyłam już boginię rocka i gwiazdę filmową. Naprawdę podoba mi się praca w Pateenie, zajmowanie się ciuchami i takie tam. Przyglądanie się, co ludzie kupują i dlaczego.

– Czyli co, projektantka mody?

Roześmiała się i potrzęsnała głową, wprawiając w wirowy ruch obcięte na boba włosy. Wiedziała, że było to urocze.

– Nie, nie, od tego jest Amy. Styl, zdolności artystyczne, to jej działka. Zawsze planowałyśmy, żeby zrobić coś razem, kiedy skończymy szkołę... Yyy, to znaczy, kiedy Amy porzuci swoje marzenie zostania poetką. Ona mogłaby projektować ubrania, a ja bym zarządzała sklepem i firmą... Zatrudniała ludzi, zajmowała się wyposażeniem, rachunkowością... – Zrobiła rozmarzoną minę, ale po chwili zmrużyła oczy. – Dlatego wkurza mnie, że Lania siedzi przy kasie. Ona nic nie umie, a ja bym naprawdę chciała poznać pracę w sklepie od tej strony.

Na twarzy Briana pojawił się wyraz zagubienia.

– A, masz na myśli tę dziewczynę, która ciągle wyśmiewa się z mojego ubrania?

– Tak – parsknęła. – Super podejście do klienta, co?

– Wybitne – zgodził się Brian. – Czyli po szkole chcesz pracować w jakimś sklepie?

– Zwariowałaś? – roześmiała się. – Na studia idę, głupolu! Moja matka jest prawnikiem, więc jakbym nie poszła, to by mnie zabiła. Poza tym posada ekspedientki w sklepie trochę utrudnia realizację ambicji życiowych. Nie sądzę, żeby właściciele którejkolwiek z wielkich sieci zaczynali, stojąc za ladą za pięć pięćdziesiąt za godzinę, marząc o tym, że kiedyś coś osiągną. Pójdę na studia, a jeśli nadal będę chciała mieć sklep, to zabiorę się za to, jak należy i zrobię magisterkę z biznesu.

– Mój stary zawsze powtarza, że studia z biznesu to ściema dla upośledzonych. Ale on sam jest trochę głupi, a na dodatek nie ma pojęcia o nowoczesnym świecie.

Chloe nagle coś sobie uświadomiła. Spojrzała na niego.

– Jesteś pierwszą osobą ze swojej rodziny, która idzie na studia, prawda?

Brian się zaczerwienił.

– Rzecz w tym, że jeszcze na nich nie jestem. Mój ojciec się temu kategorycznie sprzeciwia. Jest zdania, że to tylko marnowanie pieniędzy, bo na studiach człowiek nie uczy się niczego *przydatnego*. Muszę przyznać, że masz niezłą intuicję.

Uśmiechnęła się do niego, ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, Brian zaraz odwrócił wzrok.

To wyjaśnia, skąd te książki. Wcale nie po to, żeby mi zaimponować.

– I co, lepiej ci? – spytał.

– No... – przyznała niechętnie. – Wciąż nie wiem, co zrobić z Amy, ale już mnie to wszystko tak bardzo nie denerwuje. Myślę, że... dam jej trochę czasu, żeby sama zdała sobie sprawę, jak się zachowuje, mimo że czuję się bez niej bardzo samotna.

– Przecież nie jesteś *zupełnie* samotna – powiedział z lekkim uśmiechem.

Nie mogła uwierzyć, że tak po prostu opowiedziała mu o upadku z wieży. I na dodatek jej uwierzył... Spokojnie wysłuchał wszystkiego, co miała do powiedzenia. Chloe nie mówiła o tym nikomu innemu, nawet Alekowi.

Ktoś, z kim mogę porozmawiać...

– Jeśli jeszcze kiedyś otrę się o śmierć, wpadnę w kryzys emocjonalny przez przyjaciółkę albo pokłócę się z mamą, to wiem, do kogo dzwonić.

– Do usług – odpowiedział. Mrugnął i uniósł kciuk.

Coś ją zaniepokoiło w tym geście. Skądś go znała.

– Yyy... – zaczęła, nie bardzo wiedząc, co zrobić. – Powinnam się zbierać. Jak za późno wrócę, to matka nie uwierzy, że zostałam po lekcjach uczyć się trygonometrii.

– Okej – odkaszlnął. – Jasne. Cieszę się, że mogliśmy się zobaczyć.

Hmm. Chloe nie była taka pewna.

Podniósł się i odsunął stolik, żeby było jej łatwiej wstać z trzymaną w rękach kurtką i torbą na książki. Kolejne zachowanie, które nie pasowało do nikogo, kogo znała. Nie zrobił tego z rozmachem ani dramatyzmem, nie próbował jej pokazać JAKI TO ON JEST SZARMANCKI, ani też nie rzucił się z przeprosinami za gest, który wojujące feministki mogłyby uznać za patriarchalny. Po prostu to zrobił.

Niewymuszona kurtuazja. *Naprawdę bym się nie obraziła, gdyby mnie to częściej spotykało.* Szkoda tylko, że nie potrafi wykorzystać okazji. Może jest nieśmiały?

Już na dworze Chloe ostentacyjnie zarzuciła szalik na szyję... Cóż, nie było sensu się oszukiwać – starała się za wszelką cenę zwrócić jego uwagę. Szal był owocem jedynej próby zrobienia czegoś na drutach, którą doprowadziła do końca. Wykorzystała do niego resztki z robótek matki. W sumie nie wyszedł ładnie, bo kolory włóczek nie bardzo do siebie pasowały.

– Chciałabyś niedługo znowu się spotkać? – zapytał, szurając w miejscu nogami. – Nie musimy iść na ska. Pomyślałem, że moglibyśmy pojeździć na łyżwach czy coś...

– Pocałuj mnie, idioto – powiedziała pod wpływem jesiennego powietrza, szelestu opadłych liści, *życia* tętniącego w otaczającej ich przyrodzie. Sięgnęła po jego głowę.

Brian delikatnym, ale stanowczym ruchem położył jej dłonie na barkach i odsunął od siebie.

– *Co jest?* – zapytała Chloe, czerwona ze wstydu i złości. – To dlatego, że wciąż jestem w liceum? Jesteś tylko dwa lata starszy ode mnie!

– Nie... Tak – zmienił odpowiedź, licząc, że się w ten sposób wykręci. Zaraz potem westchnął i postanowił nie kłamać. – Nie, to nie o to chodzi. Ja... ja po prostu... nie mogę, Chloe. Nie teraz.

– Czemu? – tupnęła. Nie obchodziło jej, jak dziecinnie to wyglądało.

– Naprawdę bardzo cię lubię... – zaczął.

– Jesteś gejem? – przerwała mu. – Zaraz... jesteś żonaty? Dlatego powiedziałeś, że nie masz *dziewczyny*.

– Nie jestem ani gejem, ani żonaty, Chloe. Naprawdę cię lubię. Po prostu... – Już zamierzał poczęstować ją frazesem, ale spojrzała na niego ostrzegawczo. – *Chcę być z tobą* – wyszeptał – ale teraz nie mogę.

– Czy to ma coś wspólnego z twoim ojcem? – zapytała. – Bo wiesz, jestem przekonana, że on nas w tej chwili nie widzi.

Brian opuścił ramiona i się zachmurzył. Po raz pierwszy, od kiedy go poznała, widziała go w takim stanie: udęczonego, rozdartego, a przede wszystkim *pokonanego*.

– I co teraz? – zapytała trochę delikatniej.

Brian westchnął:

– Nie wiem.

Chloe szła do domu z pochyloną głową, zbyt przygnębiona, by biec. Nagle, kiedy mijała znajomy parkometr

i samochód, coś sobie przypomniła. Tej nocy, kiedy goniła się z drugim człowiekiem kotem... on również pokazał jej uniesiony kciuk i zrobił ruch głową, jakby do niej mrugał.

ROZDZIAŁ 13

Chloe nie miała czasu na dłuższe rozmyślenia o swoim odkryciu, bo dzisiaj był dzień pizzy. Wprawdzie dość często zamawiały z mamą jedzenie na wynos – nawet kilka razy w tygodniu – ale *pizzę* traktowały wyjątkowo i rzadko kupowały, żeby zachować odświętny charakter tych wieczorów.

Mniej więcej rok temu Chloe poczuła się dorosła i odpowiedzialna, w związku z czym co najmniej raz na tydzień starała się gotować dla nich obiady. Trwało to około miesiąca, bo później zaczęły z matką coraz częściej się kłócić i nie miała już na to ochoty.

Chyba powinnam znowu zacząć to robić...

Chloe rzadko sobie uświadamiała, że mama jest normalnym *człowiekiem*, często wyczerpanym i borykającym się z własnymi problemami. Jednak kiedy już sobie o tym przypomniwała, naprawdę jej współczuła.

I było jej przykro, że jest dla matki takim ciężarem.

Zamówiły dużą pizzę pepperoni i teraz dzieliły ją pomiędzy siebie, nie przejmując się obwodem w talii, kaloriami czy zawartością tłuszczu. Kolejne kawałki, zamiast na talerze, trafiały zazwyczaj prosto do ich ust. Nie włączały telewizora. Atmosfera była nieco wymuszona, ale chwilami razem się śmiały, szczególnie kiedy u mamy pojawił się ketchupowy uśmiech Ronalda McDonalda.

– Czy... u ciebie wszystko w porządku? – spytała pani

King, gdy przestały chichotać.

Chloe poruszyła się niespokojnie na krześle i zaczęła bawić kawałkami ciasta, które zawsze odkładała sobie na koniec.

– Mamo, chciałabym móc wychodzić – powiedziała cicho. – Z... chłopcami.

Albo przynajmniej przestać na ten temat kłamać.

Matka spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby nowy, dojrzały ton córki zrobił na niej wrażenie.

– Posłuchaj... Wiem, że to była ostatnia rzecz, o którą prosił tata przed odejściem, ale... jego już *nie ma* – ciągnęła Chloe i wskazała na puste miejsce przy stole. – Nie ma go tutaj od dwunastu lat. Uważam, że nie ma prawa kierować moim życiem z przeszłości.

– *Nigdy* nie zgadzałam się z twoim ojcem co do tego, jak cię wychowywać – stwierdziła mama, odrywając następny kawałek ze znacznie większą siłą, niż to było potrzebne. – W sumie pod koniec nie zgadzaliśmy się w *niczym*. – Odgryzła kawałek i żuła, zamyślona. – Pewnie na początku też tak było, ale wszystko przesłaniała różowa mgiełka młodszej miłości. I obydwójce kochaliśmy *ciebie*.

Chloe się nie odzywała, a nawet wstrzymywała oddech, żeby tylko nie przerwała.

– Pod koniec tylko ty nas łączyłaś. – Mama westchnęła i posłała jej smutny uśmiech. – I zaczęliśmy się kłócić o ciebie.

– Więc przestrzegając tej ostatniej rzeczy, co do której

się nie zgadzaliście, masz niejako wrażenie, że nadal tu jest?

– Oglądasz *za dużo* kobiecej telewizji – stwierdziła sucho pani King, ale nie zaprzeczyła.

– Skoro tak bardzo mnie kochał, to mógł tu jeszcze trochę zostać – mruknęła Chloe.

Przez kilka minut jadły w milczeniu.

Potem mama poprawiła się na krześle i spojrzała córce prosto w oczy, najwyraźniej podjąwszy jakąś decyzję.

– Nie wolno ci wagarować, spadać z wież, uciekać ze szpitali ani spędzać czasu we dwoje z chłopcami w czasie lekcji. *Widziałaś* ostatnio wiadomości? O tej dziewczynie, którą znaleźli zadźganą w ślepej uliczce? Uważają, że napaśnik ją znał. Świat stał się naprawdę niebezpieczny, to jedno. Ale jest też druga kwestia – okłamujesz mnie, więc jak mogę ci zaufać?

Chloe już chciała zacząć się kłócić, że to niesprawiedliwe, ale uświadomiła sobie, że, niestety, mama ma dużo racji.

– W porządku – stwierdziła zdecydowanie pani King. Mówiła teraz swoim prawniczym tonem. – Od tej chwili zapominamy o tym, co było, dobrze? Możesz wychodzić i robić wszystkie „normalne” rzeczy. I pamiętaj, że porozmawiam z innymi rodzicami, żeby się dowiedzieć, co uchodzi za normalne. Ale nie wolno ci więcej wagarować. Musisz mi mówić, dokąd i kiedy się wybierasz. A czasami będę cię sprawdzać, ze względu na to, co się dotychczas działo, młoda damo. – Spojrzała na córkę z surową miną. –

Chloe, chcę być częścią twojego życia, pomagać ci i cię chronić... – Chloe musiała bardzo się starać, żeby nie roześmiać się na te ostatnie słowa, kiedy przypomniała sobie, jak potraktowała menela. – Zrozumiano?

Kiwnęła głową:

– Zgoda.

– Dobrze. – Jej mama ugryzła następny kęs pizzy.

– Dostałam okres – oznajmiła pogodnie Chloe.

Niewiele brakowało, by pani King się udławiła.

Następnego dnia w szkole Chloe drobiazgowo analizowała wszystko, co wiedziała o Brianie. Kocia czapeczka, jego wiedza o lwach, to, jak się martwił, że mogłaby z kimś innym rozmawiać o swoim cudownym ocaleniu, tak jakby się bał, że ktoś odkryje jej sekret. A gest uniesionych kciuków wszystko przypieczętował. *Niewątpliwie*, to on musiał być *drugim człowiekiem kotem!* Nie do wiary, że wcześniej do tego nie doszła. Teraz wszystko zaczynało się zgadzać, poczynając od ich pierwszego spotkania i tego, jak natychmiast ją zauroczył.

Ale dlaczego się nie ujawnia, dlaczego jej po prostu nie powie? No i dlaczego nie chce jej pocałować? Czy to ma coś wspólnego z faktem, że są ludźmi kotami? Chloe była pewna, że w końcu, w odpowiednim czasie, wszystko by jej powiedział. Ale nie mogła czekać. Pokładała w nim całą nadzieję – że wreszcie będzie mogła o tym wszystkim porozmawiać, że wyjaśni jej, na czym polega jej kocia natura, że nauczy ją tego, co powinna umieć.

Chociaż całowanie się też byłoby mile widziane, nie mogła przestać o tym myśleć.

Stopniowo zaczęła sobie przypominać również mniej ciekawe części ich rozmowy... Jak choćby to, kim chce zostać, kiedy dorośnie. Odpowiadała mu szczerze, ale czy to były właściwe odpowiedzi? Czy naprawdę powinna pracować w branży mody? A może raczej poszukać jakiejś wyższej sprawy, działać w organizacji non profit, zrobić coś dla świata? A co z dziecięcymi marzeniami o zostaniu strażakiem, astronautą czy prezydentem? Czy naprawdę może je *wszystkie* odrzucić? A może jest jeszcze za młoda, żeby podejmować takie decyzje?

Właściwie mogłabym pójść do pedagoga szkolnego.

To była ostatnia lekcja tego dnia. Wielu nauczycieli już szykowało się do wyjścia albo paliło ostatnie papierosy. Poza tym z pomocy pedagoga naprawdę korzystało niewiele osób, poza członkami National Honor Society, takimi jak Paul. Zatem niemal na pewno będzie miał dla niej czas. A nawet jeśli stchórzy i nie wejdzie do jego gabinetu, może przejrzeć wyłożone przed nim broszury. Wcześniej uznała je za bezużyteczne, ale przypomniała sobie, że niektóre dostarczają firmy i przedstawiają w nich możliwości rozwoju zawodowego. Paul przyniósł naręcze tych broszurek, kiedy zrezygnował z marzeń o karierze muzycznej i zaczął myśleć o branży wydawniczej.

Przechodziła właśnie obok pokoju redakcyjnego i bezwiednie skręciła w jego stronę – zapewne również dlatego, że właśnie myślała o Paulu. A przecież nie miała

najmniejszej ochoty spotkać się z którymkolwiek z tej „pary roku”.

Za późno.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Paul z dolarem w ręce. Zapewne wybierał się do automatów z przekąskami znajdujących się w stołówce.

– Cześć, Chloe – powiedział, nieco zaskoczony, ale bez śladu zdenerwowania.

– Hej – odparła i zatrzymała się. Ale nie powiedziała nic więcej. Stała, patrząc na niego, nieco zniecierpliwiona i znudzona.

– Słyszałem, że pokłóciłyście się z Amy. – Powiedział to z lekkim zdumieniem, zupełnie jakby mówił o jakichś innych ludziach, jakby to była ciekawa szkolna plotka. Wyglądał dziś *niemal* elegancko, w spodniach khaki, do których włożył dopasowaną, wyglądającą na drogą koszulę w kolorze złamanej bieli z czerwonymi paskami wzdłuż szwów i małym logo Pумы na plecach.

– Uhm. – Starła się, żeby jej głos zabrzmiał obojętnie. – Amy była wkurzona, bo nie chciałam do niej pójść. Tymczasem ona mnie kompletnie olała, kiedy napisałam jej o spotkaniu w czasie lunchu. Nawet tego nie przeczytała.

– Ooo – powiedział, przestępując z nogi na nogę. – Nie wspomniała mi o tym.

– A to niespodzianka! – mruknęła pod nosem Chloe.

– Czy przeszkadza ci to, że jesteśmy razem?

To był cały Paul. Najpierw milczy lub starannie do-

biera słowa, a potem... bęc! Prosto z mostu.

– Rzeczywiście to trochę dziwne – przyznała w końcu Chloe. – Ale nie to mi przeszkadza, tylko całkowite zniknięcie Amy, i twoje, z mojego życia. To znaczy, ona zawsze miała lekkiego bzika na punkcie swoich chłopaków, a ty z kolei zawsze ukrywałaś swoje dziewczyny... Ale tym razem jest inaczej. Nie byliśmy nigdzie razem od czasu tej dziwacznej podwójnej randki z Alekiem. A mnie nie chodzi o podwójne randki. Ja chcę po prostu z wami pobycć, tak jak dawniej.

Paul kiwnął głową, ale się nie odezwał.

– Ostatnio bardzo dużo się u mnie dzieje, a ona nie... Żadnego z was nie było przy mnie, żebym wam mogła o tym opowiedzieć. Wygląda na to, że już jej to nic nie obchodzi.

– Wydaje mi się – zaczął Paul ostrożnie – że ona może odrobinę... martwić się twoim obecnym doborem chłopaków.

Którym z nich, o mało nie wyrwało się Chloe.

– *Alekiem?* O co, kurwa, chodzi? Ja się nie wkurzałam ani jej nie zrzędziłam na temat Ottavia ani tego pojeba Steva, który przyniósł pieprzoną *ecstasy* do domu mojej matki i próbował ją sprzedawać na mojej *halloweenowej* imprezie.

Paul znów pokiwał głową i nie zaprzeczył.

– Alek jest niesamowicie seksowny, nie traktuje siebie zbyt poważnie i nie handluje prochami. A zresztą, mniejsza o to – stwierdziła, stopniowo się uspokajając. Znów

czuła mrowienie w końcach palców. – *Uważam*, że ona zachowuje się jak prawdziwa zdzira i, szczerze mówiąc, nie mam teraz czasu zajmować się tym wszystkim. Jeśli nie zamierza być przy mnie ani słuchać o moich problemach, to niech przynajmniej trzyma się z daleka i zamknie tę pieprzoną gębę.

Paul uniósł brwi. Nie wpłynęło to absolutnie na wyraz jego twarzy, która pozostała nieruchoma, z oczami tak ciemnymi, że nie można było odróżnić źrenicy od tęczy.

– Przepraszam za słownictwo – westchnęła Chloe. – Muszę iść.

– Chloe... – przerwał. – Przykro mi. Nie myl mnie z nią.

Odrobinę złagodniała. Jego głos świadczył o tym, że naprawdę się martwi.

– Nie będę. – Pocałowała go w policzek, przypominając sobie z rozbawieniem, jak jeszcze dwa tygodnie temu ledwo oparła się pragnieniu, żeby się z nim całować. Teraz nie czuła ani śladu pożądania, tylko serdeczność i ciepło. *Tak jak powinno być.*

Paul się uśmiechnął.

– W porządku. Widzimy się później? – To było nie tylko pytanie, ale i obietnica.

Ruszył w stronę stołówki. Całe szczęście, bo gdyby wrócił do pokoju, zaczęłyby podejrzewać, że chce zadzwonić albo napisać do Amy. Albo, co gorsza, że ona przez cały czas siedziała tam w pokoju. Kiedy Paul skręcił

za róg, Chloe pochyliła się i zaczęła węszyć. Co prawda, nie bardzo wiedziała, co spodziewa się poczuć, bo i tak nie potrafiłaby określić zapachu Amy, zagłuszonego perfumami Anna Sui, których tamta czasem używała. Po prostu założyła, że będzie tam jakaś ciepła, mgliście znajoma woń.

Ale nie było. Tylko męski, trochę gryzący zapach Paula, który prawdopodobnie od wczoraj nie zmył żelu z włosów. A jego skóra... przez myśl przemknęły jej różne obrazy, ale żaden nie odpowiadał precyzyjnie temu zapachowi. Mydło, drzewo sandałowe, coś uspokajającego, głębokiego i dobrego.

A, i pod tym paczka cheetos, które musiał niedawno zjeść.

Mogłabym być psem gończym, pomyślała z dumą. A potem coś sobie uświadomiła: Paul je takie gówniane chrupki, kiedy jest zdenerwowany. Albo chodzi o trygonometrię, albo o nią i Amy.

Doszła w końcu do gabinetu pedagoga i zaczęła przeglądać rozłożone broszury. Skrzywiła usta na widok tych zachęcających do wstąpienia do rozmaitych szkół wojskowych. Zebrała je i ukradkiem wrzuciła do kosza. Kuzyn Paula zginął w Bagdadzie. Wstąpił do wojska tylko dlatego, że ojciec nie chciał go posłać na amerykański uniwersytet, a on nie chciał wracać do Korei. Zupełnie jak z Brianem, tylko że krewnemu Paula nie przeszkadzała broń.

– Panna King. Jesteś doprawdy *ostatnią* osobą, którą

spodziewałbym się tu zobaczyć.

Chloe starała się powstrzymać przed rzuceniem panu McCaffety szyderczego spojrzenia. Był typowym pedagogiem szkolnym, z widocznym łupieżem i w naprawdę paskudnych mokasynach.

– W przeciwieństwie do tych, którzy palą zioło na parkingu w porze lunchu?

– Racja – przyznał. Wypił łyk kawy z kubka, na którym widniał napis „Najlepszy tatuś na świecie”, a pod nim niewyraźne zdjęcie jego bliźniaczek, jakby na dowód, że ma jakieś życie poza murami szkoły. – Chciałem powiedzieć, że po prostu nie spodziewałem się, że przyjdiesz tu z własnej woli.

Chloe wzruszyła ramionami, wskazując na regał z broszurami.

– Nie mam pojęcia, co robić.

Ze swoim życiem, chłopakami, najbliższą przyjaciółką, zagrożeniem życia...

Oczy pana McCaffety się rozjaśniły.

– Słuchaj, teraz chcę już stąd iść – powiedział szczerze – ale może umówimy się na inny dzień?

– W porządku – zgodziła się ostrożnie Chloe. Miała nadzieję, że nikt się o tym nie dowie. – Mam wolną drugą lekcję w poniedziałki, środy i piątki...

– Świetnie. To może w piątek?

– Uhm, dobrze.

– Czy powinienem czegoś konkretnego poszukać, zanim przyjdiesz?

Poszukać? On naprawdę chce szukać dla mnie informacji? Zaczerwieniła się.

– Trochę się interesuję modą...

– Projektowaniem czy pracą w firmie z branży odzieżowej?

– W firmie. – To naprawdę dziwne. On traktuje ją poważnie. Przejmuje się tym, co chce zrobić ze swoim życiem. Tak jakby nie była marzycielską szesnastolatką ze złudzeniami na temat swoich możliwości.

– Doskonale! Przekonamy się, co uda mi się znaleźć. W takim razie, do zobaczenia w piątek.

– Tak, w porządku – odparła oszołomiona.

– Hej! – Alek dogonił ją w chwili, gdy miała wsiadać do autobusu, żeby wrócić do Inner Sunset. – Chcesz się ze mną przejść? Muszę iść do sklepu z komiksami. Możemy spędzić trochę czasu razem.

Środa jest dniem komiksów.

Alek czyta komiksy? Każda nowa informacja o jego charakterze i życiu tworzyła jego bardziej... hmm... chłopięcy obraz.

Gdyby nie akcent i wygląd, mógłby być Alexem, wychowanym w Valley czy Idaho.

– Dziś pracuję – odparła, patrząc na zegarek i powstrzymując uśmiech. – Jeśli to po drodze i zajmie nam mniej niż pół godziny, to mogę z tobą pójść.

– Och, oni mają je tam dla mnie spakowane – odparł niedbale.

Nie *wyglądał* jak czytelnik komiksów. Zupełnie nie przypominał tych bladych dziewczyn i chłopaków, którzy właśnie całą gromadą wysypywali się ze szkoły. Paul również do nich należał, choć wyróżniał się zdrowszym kolorem skóry. Pomachał do niej z przechodzącej obok grupy. Wszyscy oni śmiali się, dyskutowali i donośnymi głosami przytaczali tytuły filmów, książek i programów telewizyjnych. Patrząc na nich, Chloe poczuła przelotny smutek. Tworzyli klan, w którym każdy był akceptowany. Jeśli któreś z nich wrednie się zachowywało – jak na przykład Amy – można było szukać pociechy u co najmniej pięciu innych. *A na dodatek z pewnością by uznali, że moje pazury są naprawdę cool.*

– Byłabym ich boginią – rozmyślała na głos.

– Byłabyś boginią *każdego* – odparł, w istocie jej nie słuchając. – No, chodź. Chcę uniknąć tłoku. – Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Był ubrany w brązowy golf, świetnie leżące džinsy i klasyczne skórzane buty. Wyglądał jak model albo bożek o wydętych wargach, słuchający najnowszej muzyki z reklamy Virgin.

– Czy ktoś z tej klikki popularnych wie, czym się interesujesz?

– Akceptują to. – Wzruszył ramionami. – Ty i twoi koledzy strasznie dużo mówicie o popularności – zauważył, ale nie komentował tego dalej.

Chloe zaczekała na niego przed sklepem, nie tyle z powodu zażenowania, co klaustrofobii – niewielkie pomieszczenie było szczelnie wypełnione ludźmi. Poza tym

czuła się troszkę dziwnie, będąc prawdziwą osobą z prawdziwymi niezwykłymi umiejętnościami. Bała się, że miłośnicy komiksów mogą to wywęszyć lub zauważyć, że jest inna.

– Eee – odezwał się Alek, wychodząc ze sklepu – *Superman* jest w tym tygodniu do bani. Szczęście, że mam jeszcze *Punishera*.

– Tak to jest, jak się czyta komiksy dla dzieci – stwierdził Paul, który pokazał się tuż za nim. Ku zaskoczeniu Chloe Alek wcale się nie zirytował.

– Tak, wiem – westchnął. – Ale, wiecie, Superman jest symbolem Ameryki, dlatego, kiedy jeszcze mieszkałem w Rosji, oznaczał dla mnie wszystko. Muzykę rockową. Telewizję. Pieniądze.

– A nie chodzi ci czasem o prawdę, sprawiedliwość i amerykański sposób życia? – zapytał Paul, z cieniem uśmiechu na ustach.

– Mniejsza o to. To jest to samo.

Chloe przenosiła wzrok z jednego na drugiego, nie mogąc wyjść z podziwu, jak swobodnie rozmawiają ze sobą jej najbliższy przyjaciel i jej chłopak, choć różnią się od siebie jak Słońce od Plutona.

– Jak widać, dziwactwa niesamowicie łączą ludzi – zauważyła.

– To jeszcze nic – odparł z uśmiechem Paul. – Poczekaj, aż zobaczysz konwencję miłośników komiksów. Dobra, muszę lecieć... – Zawahał się. *Po Amy*, uświadomiła sobie Chloe. – ...po Amy – dokończył, najwyraźniej

zdecydowany zadbać o przywrócenie normalnych kontaktów między nimi. Chloe ucieszyła się, że przynajmniej oni dwoje nadal potrafią się porozumiewać.

– No, idziesz? – Chloe pociągnęła Aleka, który zaczął już przeglądać zawartość brązowej torebki. – Kupię ci frytki. – Ucieszył się i ruszyli dalej. Podobnie jak większość popularnych dzieciaków, nigdy nie miał ze sobą plecaka czy torby. Zastanawiała się, gdzie oni wkładają wszystkie swoje rzeczy.

Poszli do McDonalda odległego zaledwie o przecznicę od Pateeny i Chloe dotrzymała słowa, chociaż pozwoliła mu jeść tylko frytki, które trzymała w ustach.

– To niesprawiedliwe – żalił się Alek, odgryzając kęs i całując ją. – W ten sposób połowę zjadasz.

Chloe włożyła palec do ketchupu i ponętnie go obliżała.

– To co, składasz reklamację?

– Nie. – Pocałował ją ponownie, tym razem bez wabika w postaci frytki.

Nagle Chloe poczuła, że jest obserwowana. Usłyszała, że ktoś się zatrzymuje, poczuła znajomy zapach...

– Brian! – uświadomiła sobie.

Stał po drugiej stronie ulicy i nieruchomo się w nich wpatrywał. Na jego twarzy wyraźnie malowało się cierpienie.

– Poczekaaj chwilę – poprosiła Aleka, który czym prędzej wziął od niej frytki i zaczął błyskawicznie pakować je do ust. Przebiegła przez ulicę.

– Co się dzieje? – spytał gwałtownie Brian, wskazując Aleka. Znowu był cały ubrany na czarno, a w jego oczach malowało się skupienie i żal.

– A o co ci chodzi?

– Z nim? Co ty wyrabiasz? *Z nim?* – Starał się mówić cicho, ale mimowolnie podnosił głos.

– Powiedziałeś, że nie możesz... – skrzywiła się przed wypowiedzeniem klinicznie i dojrzałe brzmiących słów – ...się zaangażować.

Na jego twarzy pojawił się wyraz dezorientacji.

– Że nie będziesz się ze mną całować – wyjaśniła w końcu z irytacją. – Kim ty dla mnie jesteś? Przyjacielem? W takim razie nie powinno ci przeszkadzać, że umawiam się na randki. *Chłopakiem?* – Nie dodała nic więcej, bo nie było takiej potrzeby.

– Nie myślałem, że to dla ciebie takie ważne – zaczął wyniośle.

– Przestań mi wciskać bzdury – przerwała mu rozgniewana. – Jest dwudziesty pierwszy wiek, a ja mam szesnaście lat, i to, że chcę pocałować swojego chłopaka na dobranoc, nie jest niczym dziwnym ani nieprzyzwoitym!

Brian zwiesił głowę.

– Lubię cię – powiedziała Chloe, wzdychając. – Naprawdę cię lubię. Ale pytałam cię już wcześniej, co dalej. Kim mamy dla siebie być?

Oczy mu się zaszklily. Potrząsnął głową i odszedł.

Obserwowała go ze smutkiem, ale za nim nie pobięła.

Podszedł do niej Alek, który najwyraźniej nie przejął

się tym zajściem. Ostatnią frytką pracowicie wybierał resztkę ketchupu.

– Kto to, kolejny chłopak? – spytał niefrasobliwie.

– Coś w tym rodzaju – odparła, zaskoczona jego otwartością.

– Nic z nim nie robiłaś. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak? A skąd to niby wiesz?

– Nadal żyje. – Uśmiechnął się do niej. – Takiego chłopaka rozerwałabyś na strzępy i wypluła, kiedy byś skończyła.

Chloe blado odwzajemniła jego uśmiech.

ROZDZIAŁ 14

Przez całe popołudnie w Pateenie Chloe w kółko analizowała rozmowę z Brianem. Uważała, że jak na tak trudną sytuację wykazała się nadzwyczajną dojrzałością, zachowała się nadspodziewanie dobrze i powiedziała dokładnie to, co trzeba. Mimo to było jej bardzo przykro, że tak wyszło.

Jej przygnębienie nie umknęło uwagi Marisol.

– Hej, co się dzieje? Zwykle sortujesz to w niecałą godzinę zauważyła, wskazując stertę bluzek.

– Pamiętasz, jak mi doradzałaś, żebym sobie kogoś znalazła? zapytała Chloe z krzywym uśmiechem.

– No...

– Teraz mam dwóch. Jeden ledwo mnie dotyka, a drugi... no cóż... nie należy ani do najwrażliwszych, ani wybitnie inteligentnych.

Marisol zagwizdała.

– Ach, te licealne dramaty. *Dwóch* chłopaków. Prawdziwa tragedia... Cóż, posłuchaj, co ci powiem: jeśli skończysz to w dwadzieścia minut, to kupię ci *un café* dla ukojenia zszarganych nerwów.

Chloe uśmiechnęła się mimo woli. Szefowa miała rację: dla osoby patrzącej z zewnątrz narzekała na nadmiar szczęścia. *Szkoda, że nie można ich jakoś połączyć – miałyby wtedy albo aseksualnego idiotę, albo superseksownego księcia z bajki.* Niestety, mimo tych rozważań, nadal

było jej strasznie żal Briana. Z drugiej strony, skoro sam nic nie powiedział ani nie zrobił, nie powinien mieć pretensji, widząc ją z innym chłopakiem. Może była wcześniej zbyt natarczywa? Kto wie, może ta nowa, pewna siebie i seksowna Chloe trochę go przeraża. A może kępuje go świadomość, że to do niego należy następny krok? A co najważniejsze – czy Brian podoba jej się na tyle, żeby chciała się dostosować do jego dziwactw? Na razie spotkali się tylko dwa razy, ale *bardzo* go polubiła. Może miało to coś wspólnego z tym, że on też był człowiekiem kotem?

Kawa zafundowana przez Marisol przyspieszyła proces myślowy Chloe, ale popołudnie nadal mijало tak samo powoli. Sytuację pogarszała piosenka „Torn Between Two Lovers”, która, nie wiedzieć czemu, była puszczana przez sklepowe głośniki co najmniej trzy razy. Zaskakujące, ilu klientów znało tę piosenkę i gwizdało albo podśpiewywało ją pod nosem.

Wreszcie słońce zaczęło zachodzić i nadeszła pora zamknięcia sklepu. Chloe zadzwoniła do mamy, żeby dać jej znać, że jak tylko się uwiną z Marisol, idzie prosto do domu. Matka podziękowała jej za informację i powiedziała, że sama wróci później, bo zabierają do restauracji koleżankę prawniczkę, która właśnie odkryła, że jest w ciąży. Chloe nie czuła się zobowiązana wspominać o frytkach z Alekiem – oficjalnie kupili je po drodze ze szkoły do pracy... tak przy okazji.

Tym razem stanowczo odmówiła przyjęcia pieniędzy na taksówkę, twierdząc, że idzie do pobliskich delikate-

sów, skąd odbierze ją mama. Jak tylko się upewniła, że Marisol jej nie zobaczy, wskoczyła na ławkę, z niej na drzewo, a następnie na dach. Planowała dotrzeć jak najbliżej domu, nie schodząc na ziemię.

Raz! – skoczyła z biegu na dach ładnego, dużego szeregowca, który ciągnął się dobre siedemdziesiąt metrów. *Dwa!* – przeskoczyła na kolejny dom, który okazał się dużo mniejszy i niższy, niż jej się wydawało. Musiała się przeturlać, żeby wytracić pęd i nie połamać nóg, ale natychmiast odbiła się sprężystym ruchem, lądując z gracją godną sportowca olimpijskiego... tyle że na czworakach, jak kot.

Trzy! – nie zatrzymując się na więcej niż ułamek sekundy, skoczyła prosto na garaż sąsiedniego domu...

...i poczuła silne ukłucie w lewej nodze. Coś rozerwało jej skórę. Rzuciła się do przodu, ale w tej samej chwili zadziałał instynkt i podkuliła nogę, przez co zamiast na dachu, wylądowała na chodniku. Spojrzała w dół i dostrzegła strużki krwi ściekające po skórze oraz zimny i ostry metalowy przedmiot, który wbił się w jej ciało. Wyciągnęła go, przygryzając wargę z bólu, i przyjrzała mu się w świetle księżyca.

Gwiazdka do rzucania, stwierdziła z niedowierzaniem. *Jak w filmach o ninjach*. Miała dziesięć ramion – pięć większych, przy czym jedno z nich pokrywała krew i skrawki skóry, oraz pięć mniejszych, pomiędzy nimi, dla ozdoby lub nadania lepszej rotacji. Coś było na niej napisane, ale zanim zdążyła się przyjrzeć, do

jej uszu dobiegł ledwo słyszalny furkot. Błyskawicznie schyliła głowę i przycisnęła ją do dłoni spoczywających na ziemi. Gdyby miała kocie uszy, położyłaby je po sobie. Kolejny shuriken przeleciał obok niej i wbił się w oponę jednego z zaparkowanych samochodów. Usłyszała syk powoli uciekającego powietrza.

Chloe podskoczyła, zrobiła koziołka i wylądowała na dachu samochodu.

– Doskonale – dobiegł ją z ukrycia głos. – Widzę, że ktoś wreszcie zaczął cię szkolić.

– Kim jesteś? Pokaż się!

Drobiny szkła i metalu leżące na jezdni mieniły się światłem latarni. Okna otaczających ją domów miały szczelnie pozasuwane żaluzje i nawet jeśli ktoś w nich był, to nie dawał znaku życia. Dziury, w których kiedyś pewnie rosły drzewa albo krzaki, były powypelniane puszkami po piwie i starymi zabawkami. Zła okolica, jak to nazywała jej matka. Jakaś postać kryła się za samochodem tak starym i zardzewiałym, że gdyby mocniej pociągnąć za blokadę na prawym przednim kole, to pewnie zostałaby człowiekowi w rękach.

Zerwał się lekki wiatr. Chloe wciągnęła powietrze – to *nie* był człowiek kot, z którym goniła się w nocy. Coś sprawiło, że zadrżała.

Usłyszała kolejny cichy świst. Przykucnęła akurat na czas, by uniknąć kolejnej gwiazdki, tym razem wymierzonej w szyję. Zastanowiła się w panice, ile ich jeszcze ma, po czym rzuciła się do ucieczki.

Nagle zdała sobie z czegoś sprawę: *On używa broni do miotania, czyli zagraża mi tylko tak długo, jak trzymam się na odległość.* Po czym zawróciła i ruszyła po dachach samochodów *w jego stronę.* Zeskoczyła w miejscu, w którym jej zdaniem się chował, krzycząc przy tym, w nadziei, że to go wypłoszy.

Podziałało. Przeturlał się na ulicę.

– No, no...

W świetle latarni okazało się, że jest wysoki, szczupły i umięśniony. Miał na sobie ciemną, wojskowo wyglądającą kamizelkę z szerokim pasem – *na broń* – oraz luźną skórzaną kurtkę – *dla ochrony.* Włosy, tak jasne, że niemal białe, ściągnął w koński ogon. Źrenice w szaroniebieskich oczach wyglądały jak czarne łebki od szpilek, co było szczególnie dziwne, zważywszy na to, jaka ciemność panowała na ulicy. Trudno było dokładnie ocenić jego wiek, ale jedno nie pozostawiało wątpliwości: nie wyglądał na w pełni zdrowego psychicznie.

Wyciągnął sztylet i lekko ugiął nogi, jak ktoś zaprawiony w walkach ulicznych. *Jak postać z gry Street Fighter.*

To jakiś absurd, pomyślała Chloe. Nikt się tak nie zachowuje.

Mimo to było jasne, że jej napastnik nie żartuje – i że będzie musiała jakoś sobie z nim poradzić.

Czekał na atak z jej strony. Ktoś wyrzucił puszkę przez okno. Trzasnęła o asfalt i potoczyła się pod krawężnik.

– Czy mogę... coś dla pana zrobić? – zapytała. Nie wiedziała, czy powinna uciekać, czy próbować z nim rozmawiać.

– A co? Nie chcesz walczyć? Starożytny instynkt jeszcze się w tobie nie obudził? – odpowiedział kpiącym głosem.

– Właściwie to zamierzałam zrobić sobie kakao i położyć się wcześniej do łóżka. – Krążyli dookoła drzewa, uważnie obserwując swoje ruchy.

– Kiedy się ciebie słucha, można niemal uwierzyć, że jesteś człowiekiem. – Odwrócił jej uwagę ruchem lewej dłoni, a prawą rzucił sztylet. Chloe odskoczyła, ale i tak zranił ją w ramię.

Kiedy znów na niego spojrzała, trzymał już dwa kolejne sztylety – po jednym w każdej dłoni.

– Gdzie je chowasz? – zapytała, macając ramię. Ucieczka nie wchodziła już w grę. Gdyby teraz odwróciła się do niego plecami, natychmiast zginęłaby ugodzona w szyję i plecy.

– Widzę, że nikt cię przede mną nie ostrzegł, jak należy – powiedział. Brzmiało to niemal tak, jakby był zawiedziony.

– No, nikt mi nie powiedział o psychopacie biegającym po nocy z nożami... – Nagle sobie przypomniała. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Uważaj na to, w jakim towarzystwie przebywasz. Bądź czujna – i gotowa do ucieczki. Bractwo Dziesiątego Ostrza wie, kim jesteś...

Bractwo Dziesiątego Ostrza? Pomyślała o gwiazdce,

którą miała okazję obejrzeć. *Może to oznacza, że ma przy sobie tylko dziesięć sztyletów?* Coś jej podpowiadało, że nie o to chodzi. Nie zdziwiłaby się, gdyby się okazało, że gdzieś pod kurtką ma schowaną przenośną raketnicę.

– Szkoda. Powinnaś coś wiedzieć o człowieku, który cię zabije.

Chloe ponownie zadrżała. Poczowała, jak unoszą się jej włoski na ramionach i barkach. Nawet jeśli ten facet był kompletnie stuknięty, to nie żartował.

– *Mnie* raczej zabiją tłuszcze trans z ciastek i frytek – odparowała.

Uważaj, on się szykuje do ataku! Jeszcze chwila...

– *Id tibi facio* – wyszeptał i rzucił się do przodu.

Chloe zrobiła unik. Spóźniła się o ułamek sekundy, tak że znowu ją skaleczył, ale tym razem bardzo płytko. Poruszał się zupełnie inaczej niż bezdomny, z którym biła się poprzednio. Był szybki i dobrze wyszkolony – zawodowy żołnierz... *Zabójca*, poprawiła się. *Chciał ją zabić*. Uskoczyła przed kolejnym ciosem i zdała sobie sprawę, że nie ma czasu myśleć, tylko reagować.

Czuła pulsujący ból w lewej nodze. Nadal krwawiła.

Kiedy zaatakował szerokim cięciem na wysokości brzucha, podskoczyła, chwyciła się gałęzi i usunęła mu się z drogi, podciągając ciało. Zakreślił się w miejscu, nie tracąc rozpędu. Zamierzał ją trafić, kiedy opuści się na ziemię, ale na czas zwinęła się w kulkę. Zarył piętą o chodnik. Chloe czuła, że sobie nie radzi – za każdym razem, kiedy robiła krok w tył, on napierał do przodu, a kiedy próbowała

odskoczyć na bok, wyprowadzał atak z wyprzedzeniem.

Muszę przejąć inicjatywę.

Pochyliła się, unikając ciosu wymierzonego w głowę, i zamachnęła od dołu pazurami, celując w krocze. Zadzwonily o coś metalowego.

Roześmiał się.

Musiała błyskawicznie się odturlać, kiedy rzucił w nią sztyletem. Widziała, jak ostrze odbija się od chodnika z olbrzymią siłą, rozpryskując błękitne iskry. Kopnęła go z całej siły w łydkę. Ten cios wstrząsnął nim na tyle, że nabrała odrobinę otuchy.

Instynkt podpowiadał jej, by skróciła dystans. Mimo przerażenia posłuchała. Wyczekała do ostatniej chwili, po czym skoczyła do przodu, atakując jego twarz pazurami. *Jeśli wyrwiesz choć odrobinę ciała lub dosięgniesz oka, przypomniawszy sobie słowa instruktora samoobrony, ból będzie na tyle silny, by odwrócić uwagę przeciwnika.*

Tak, tylko najpierw musisz go dosięgnąć, co nie jest takie proste – błyskawicznie uniósł rękę i zablokował jej cios nadgarstkiem. Chloe uniosła kolano, planując ponownie uderzyć go w krocze. Doszła do wniosku, że nawet jeśli ma na sobie jakiś starożytny metalowy ochraniacz, pas cnoty czy Bóg wie co jeszcze, to musi go choć trochę zabolęć, kiedy ta osłona wbije mu się w ciało. W ostatniej chwili zmieniła jednak zamiar i wybiła się w powietrze, a następnie z całej siły kopnęła obiema nogami w *dół*. Jak kot, który próbuje rozpruć brzuch przeciwnika.

Jej wysiłek został nagrodzony pierwszą zauważalną

reakcją ze strony napastnika. Stęknął i z trudem złapał oddech, po czym zamachnął się rękami, jedną za drugą, starając się wykorzystać, że znalazła się tak blisko. Udało mu się trafić w miękkie miejsce pod pachą, rozcinając przy okazji jej koszulkę i ramięczko stanika.

Przegram tę walkę, uświadomiła sobie Chloe i poczuła chłodny ucisk w żołądku. Przeciwnik potrafił przewidzieć każdy jej ruch, choć i tak była wdzięczna za ćwiczenia, które zafundował jej drugi człowiek kot, bo bez nich już dawno leżałaby na chodniku z poderżniętym gardłem.

– Poddaj się, ty zakało natury – zawarczał. – *Demonie!*

Kiedy po raz kolejny zbliżył się do niej, wymachując sztyletami, odpłaciła mu tym samym, sycząc i próbując dosięgnąć go pazurami.

Najwyraźniej tylko na to czekał. Uderzył ją kolanem w brzuch.

Chloe zwała się na ziemię. Nie mogła złapać oddechu.

Stara się prowokować moje odruchowe reakcje – jak tylko przestaję myśleć i walczę instynktownie, doskonale wie, jak mnie dopaść. Walczy lepiej ode mnie. Ma duszę prawdziwego wojownika...

Dostrzegła iskierkę nadziei. Powoli podniosła się i spojrzała mu w oczy.

– Czyli nie boisz się mnie? – zapytała.

Wciągnij go w rozmowę.

– Twój gatunek mnie nie przeraża – uśmiechnął się złośliwie. – Budzi we mnie jedynie odrazę.

Chloe rzuciła szybkie spojrzenie nad jego ramieniem, jakby coś pojawiło się na ulicy za jego plecami.

– *A policji się boisz?*

Otworzył szeroko oczy i odwrócił głowę.

Chloe nie oczekiwała, że to zadziała, ale nie zamierzała zmarnować okazji. Zanim zdał sobie sprawę, że to podstęp, z całej siły kopnęła go piętą w brzuch. Odbijając się od niego, wykonała przerzut do tyłu, dzięki któremu znalazła się dobre dwa metry od napastnika.

Ruszyła biegiem, wkładając w to resztę sił i nie oglądając się za siebie. Usłyszała jeszcze satysfakcjonujące tapnięcie ciała ciężko osuwającego się na ziemię.

ROZDZIAŁ 15

Na wypadek, gdyby ją śledził, wracała do domu, wybierając trasę na chybił trafił, czasami kilka razy przemierzając ten sam odcinek albo biegając w kółko. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna poszukać stawu albo basenu, w którym mogłaby się pozbyć swojego zapachu – ale potem sobie przypomniała, że to *ona* jest zwierzęciem. Napastnik najwyraźniej bardzo się szczycił swoim ludzkim pochodzeniem. *Chyba że on jest człowiekiem psem, ha*. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby w świecie, w którym zwyczajna dziewczyna mogła mieć pazury, jakiś chłopak pewnego dnia obudził się z psim pyskiem i apetytem na kości.

Podniecenie wywołane walką pchało ją do przodu. Coś wewnątrz kusilo ją, by zawróciła i biła się do końca, by stanęła twarzą w twarz ze śmiercią.

Mimo to biegła dalej.

Kiedy wreszcie poczuła się bezpieczna – spędziwszy *mnóstwo* czasu w sklepach spożywczych, na zatłoczonych przystankach kolejki miejskiej i w innych miejscach publicznych, sprawdzając, czy jej prześladowca nie pojawi się ponownie – wróciła do domu. Starannie zamknęła za sobą drzwi, po czym usiadła w kuchni i nasłuchiwała.

Po dłuższej chwili adrenalina opadła.

Wtedy pojawił się strach.

Przyszło jej do głowy, że nieważne, jak długo kluczyła

po mieście, i tak mógł ją znaleźć. Było oczywiste, że wie kim – i czym – jest. Odkrycie, gdzie mieszka, na pewno nie zajęłoby mu zbyt wiele czasu. Swoją drogą, ciekawe *skąd* wiedział, że nie jest zwyczajnym człowiekiem?

Może już tu po mnie idzie.

Ta myśl ją przerażyła. Na otwartej przestrzeni, wśród ulic i domów, zawsze mogła uciekać, chociażby na posterunek policji albo w uczęszczane miejsce. Teraz była w potrzasku. Za oknem rozlewała się czerń nocy. Pojedyncze plamy światła z latarni i domów tylko podkreślały ciemność i sprawiały, że jeszcze łatwiej było sobie wyobrazić skrywające się w niej potwory, przestępców i psychopatów. Chloe dotychczas nie wierzyła, że naprawdę istnieją ludzie, którzy mogą się pojawiać znikąd, atakować bez powodu, wejść do czyjegoś domu. Myślała, że takie rzeczy zdarzają się tylko w horrorach i miejskich legendach. Rzeczywistość wyprowadziła ją z błędu.

Włączyła wszystkie światła, ale kąty pomieszczeń nadal wydawały się jej ciemne i zdradliwe. Miała ochotę włączyć muzykę albo telewizor, ale bała się, że go nie usłyszy, gdyby próbował wkraść się do domu. Siedziała więc na kanapie sparaliżowana strachem, przeświadczona, że jej niedoszły zabójca za chwilę wpadnie z łomotem, wyważając kopniakiem drzwi wejściowe.

Wytrzymaj, aż mama wróci, powiedziała sobie. Powinna lada moment się pojawić. Postaraj się uspokoić do jej powrotu.

Podniosło ją to na duchu.

Zaraz jednak przypomniała sobie walkę. Obłąd w lodowatych oczach napastnika, wyzwiska, którymi ją obrzucił. Skąd się wzięło niedorzecznie dziecinne przekonanie, że *mamusia* ją obroni? Matka nie miała ani pazurów, ani nadprzyrodzonego refleksu córki.

Druga myśl, która przyszła jej do głowy, przeraziła ją jeszcze bardziej:

Jeśli on tu przyjdzie, to z mojej winy.

Matka prawdopodobnie nie zdoła jej obronić. Co gorsza, Chloe może go doprowadzić prosto do domu – jeśli nie tym razem, to później – a jeśli mamie się coś stanie, to będzie jej wina...

Co jeszcze mogę zrobić?

Sięgnęła po telefon. Co z tego, że ten facet zna jej tajemnicę. Niewątpliwie jest agresywnym świrem, a jej skaleczenia i siniaki będą na to dostatecznym dowodem. Dokładnie opisze go policji i wówczas *oni* się nim zajmą. Jeśli wpadnie we wściekłość i zacznie twierdzić, że Chloe jest „zakałą natury” i ma pazury – *szczególnie*, jeśli powie o tych pazurach – dojdą do wniosku, że jest obłąkany i należy chronić przed nim społeczeństwo.

Wybrała 9–9...

A co z Xavierem?

Zawahała się. Dobrze byłoby wiedzieć, co się z nim stało. A jeśli umarł? *Nie każdego, kto umrze, znajdziesz w nekrologach.*

Na jego ustach, plecach i koszuli jest pełno jej DNA. Zostawiła też odciski palców na kłamce i telefonie. Jeśli

rozpoczną śledztwo, to z pewnością ją przesłuchają, być może nawet jako główną podejrzaną. A jeśli ją zbadają? Jeśli sprawdzą jej paznokcie i zrobią rentgen palców?

Była na siebie wściekła, że nie postarała się dowiedzieć, co ostatecznie stało się z Xavierem. Jeśli nie umarł i trafił do szpitala, z pewnością zaczęto go tam wypytywać. I co im powiedział? „Poznałem w klubie pewną dziewczynę. Była ostatnią osobą, którą dotykałem, zanim zachorowałem...”. Tyfusowa Mary. Rany i zaropiałe bąble tam, gdzie go podrapała. Byłaby ciekawym przypadkiem do badań naukowych...

Odłożyła telefon z powrotem.

Mam tajemnicę.

I to nie jedną z tych przyjemnych, jak podkochiwanie się w chłopaku z liceum, prowadzenie pamiętnika albo smakowite ploteczki szkolne. Zrozumiała wreszcie, że jej specjalne zdolności – pazury, wyostrzone zmysły, refleks, bieganie po dachach, nowe nocne życie – miały swoją cenę. Przypomniało się jej, jak pierwszy raz paliła marihuanę i kiedy minął jej haj, zdała sobie sprawę, że *zrobiła coś nielegalnego*. Wystarczyłoby, żeby któryś ze znajomych na nią doniósł, a miałyby już kartotekę na policji albo trafiła do poprawczaka. Musiała zachować w tajemnicy, co *zrobiła*, bo groziła za to *kara*.

Dom spowijała cisza. W długich odstępach czasu ulicą przejeżdżały samochody, na widok których Kimmy, shih tzu sąsiadki, zaczynała szczekać. Chloe rozważała, czy nie wyjść na dwór, by sprawdzić, czy pies nadal dziwnie na nią

reaguje, ale przerażała ją myśl o otwarciu drzwi.

Usłyszała brzęk butelki wrzucanej do pojemnika na szło, a chwilę później metaliczny zgrzyt zamykanej klapy.

Ruszyła na piętro. Jak sięgała pamięcią, nigdy niczego nie robiła tak powoli – musiała się zmuszać do każdego ruchu, jednocześnie starając się zachować idealną równowagę. Nasłuchiwała odgłosu kroków na trawniku i chodniku pod oknami, ale serce łomotało jej tak mocno i oddychała tak głośno, że prawie nic więcej nie docierało do jej uszu. Pokonanie dwunastu stopni zajęło jej dwadzieścia minut.

Kiedy wreszcie dotarła na górę, otworzyła szufladę biurka. O wiele za głośno.

Piiiiii!

Mus–mus uciekł od niej. Podsunęła mu dłoń, ale schował się w narożniku i drżał ze strachu. Chloe zmarszczyła brew. Wyciągnęła cheeriosa z torebki i mu podała, ale się nie ruszył. Zajęło mu prawie pięć minut, zanim zdobył się na odwagę, żeby go wziąć, ale i wtedy tylko podbiegł, chwycił go w zęby i natychmiast wrócił do swojego kąta.

– Co ci jest? – zapytała. W tej chwili poza nim nie miała w domu nikogo bliskiego... i była zbyt wykończona emocjonalnie, by zaakceptować zdradę również z jego strony. – No dalej! – zażądała nieco zirytowanym głosem, sięgając po niego. Dopiero wtedy zauważyła, że wciąż ma wysunięte pazury.

Aha. Myśli, że jestem kotem. Drapieżnikiem.

Odpnęła się, uspokoiła myśli i poczekała, aż pazury się schowają.

Kiedy jednak włożyła dłoń do szuflady, uciekł ponownie.

Chloe siedziała na łóżku nadal w tej samej pozycji, wpatrując się w szufladę, gdy jej mama wróciła do domu kilka godzin później. Nie ruszyła się z miejsca, kiedy podjechał samochód ani kiedy otworzyły się drzwi, ani kiedy mama weszła na górę.

– Hej! – Mama wsunęła głowę do pokoju. Twarz miała lekko zarumienioną po alkoholu i dobrej zabawie. – Jeszcze nie śpisz?

– Już się kładę – odparła z bladym uśmiechem. Łzy już dawno obeschły, ale pozostawiły słone, swędzące ślady na policzkach.

Wiedziała, że teraz, kiedy mama wróciła, w domu wcale nie jest bezpieczniej... ale mimo to czuła, jakby tak było.

ROZDZIAŁ 16

Następnego dnia Chloe nie miała najmniejszej ochoty iść do szkoły ani pracy. Najchętniej zakopałaby się na cały dzień w łóżku. *Ale to nie było najlepsze rozwiązanie.* Niewątpliwie najbardziej bezpieczna będzie w miejscach publicznych. Musi też zadbać, żeby pomiędzy zajęciami a rozpoczęciem pracy w sklepie stale przebywać wśród ludzi.

A co wieczorem, w domu?

Nie chciałyby ponownie przeżyć tak przerażającego wieczoru. Nawet teraz, kiedy tylko o tym pomyślała, zbierało jej się na wymioty. Większą część nocy przeleżała bezsennie, podskakując przy najmniejszym hałasie. Starła się ustalić pochodzenie każdego dźwięku. Od czasu do czasu przejechał samochód. Ktoś szedł w środku nocy opustoszałą ulicą zapewne w niecnym celu – zatrzymał się, załatwił naturalną potrzebę i poszedł dalej. Szczur lub inny mały hałaśliwy zwierzak tuż pod jej oknem pchał po ziemi zdobyte jedzenie, a dotarcie z nim do nory zajęło mu chyba kilka godzin.

Zanim zaczęła się szykować do szkoły, poświęciła kilka minut, żeby poszukać w Internecie systemów alarmowych, zabezpieczeń drzwi i strażników elektronicznych, ale większość kosztowała ponad pięćset dolarów. Zastanawiała się, jakby zasugerować taki zakup mamie: „Wiesz, w okolicy było ostatnio mnóstwo włamań i tak

sobie myślałam...”. Jednak pewnie najprościej będzie kupić trochę tych dziecięcych gadżetów, którymi zabezpiecza się szafki i pokoje przed rodzeństwem, i umieścić je w różnych miejscach w domu.

Ale co z *nią samą*? Co, jeśli znów ją zaatakuje, tym razem bardziej podstępnie?

Uświadomiła sobie, że podczas walki napastnik wyraźnie celował w jej gardło, kolana i barki, a na koniec w brzuch. Musiała zorganizować sobie coś w rodzaju zbroi, która ochroni te ważne miejsca. Wyjęła pozytywkę podarowaną jej przez ojca na ostatnie Boże Narodzenie przed jego zniknięciem. Trzymała w niej ulubioną biżuterię, ale też i świeczdelka, których nigdy nie nosiła. Sięgnęła na samo dno i z bransoletki znalezionej w płatkach śniadaniowych wyplątała naszyjnik kolczugę, który przed laty kupiła sobie na Jarmarku Renesansowym, zaciągnięta tam przez Amy. Zapięła go na szyi i spojrzała w lustro. Miał niewiele ponad pięć centymetrów szerokości, ale jeśli założy go luźniej, ochroni przynajmniej tętnice i żyły w dolnej części szyi.

Nie miała pomysłu, jak ochronić kolana. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak zawija nogi w bandażę elastyczne, a w najbardziej wrażliwych miejscach przypina dziesiątki metalowych znaczków. Jeśli chodzi o brzuch i barki mogła wykorzystać skórzaną kamizelkę kupioną w Pateenie – w stylu lat siedemdziesiątych. Wprawdzie była trochę popękana, ale to kamizelka motocyklowa, gruba i mocna. Wyciągnęła ją z szafy i włożyła na siebie.

Niektórzy nazywają mnie kosmicznym kowbojem...

Rzeczywiście, brakuje jej tylko kowbojskiego kape-
lusza i szerokiego pasa ze sprzączką ze srebrnego dolara.
Właściwie... Przechyliła głowę. Przy tej fryzurze na boba
nieźle by wyglądały kolczyki z piórami. Do tego grube
czarne kreski wokół oczu i dużo tuszu na rzęsach...

– ...dobry! – zawołała, zbiegając po schodach
i kierując się prosto do drzwi. Matka rozwiązywała krzy-
żówkę. Jakoś nigdy nie miała kaca ani bólu głowy po
nocnych wyjściach.

Chloe uświadomiła sobie, że właśnie łamie bardzo
ważną zasadę ich nowego paktu dotyczącego szczerości,
i ukłuło ją poczucie winy – ale co by dało opowiedzenie
o tym wszystkim mamie?

– Robisz coś dziś wieczorem po pracy? – Pani King
postarała się zadać to pytanie lekkim tonem, nie podnosząc
wzroku.

Patroluję okolicę? Zakładam pułapki? Trzęsę się ze
strachu?

– Nie... właściwie nie...

– Pomyślałam, że przygotuję dziś na kolację jagnię-
cinę. – Postukała się długopisem w usta. – Dostałam na-
prawdę ładny kawałek. Będziesz w domu przed ósmą?

Chloe natychmiast przemknął przez myśl obraz, jak
wraca spóźniona do domu i znajduje matkę w kałuży krwi,
a wszędzie unosi się zapach spalonego baraniego tłuszczu.

– Tak, na pewno – odparła szybko.

W szkole okazało się, że może sobie ucinać na lekcjach pięciominutowe drzemki i nikt tego nie zauważa. Pewnie, że miło byłoby się położyć i pospać znacznie dłużej – szczególnie na chemii, gdy padające przez okno słońce tak przyjemnie ją grzało – ale nawet te pięciominutówki były odświeżające. Na wuefie jej się udało, bo oglądali film o jeździe po alkoholu i przespała całe czterdzieści pięć minut.

Na zajęciach z cywilizacji amerykańskiej obudziła ją wibrująca komórka. Zaskoczona i zirytowana starała się nie wyprostować zbyt gwałtownie. Wyświetlił się numer Briana.

Zastanawiała się, czy jakimś cudem się dowiedział, co jej się przytrafiło poprzedniego wieczoru. Albo, co ważniejsze, zamierzał jej wyznać, jak bardzo ją lubi, i przeprosić, że zachowywał się tak dziwacznie i oziębłe. A może w końcu dojrzał do tego, żeby ujawnić, że to on jest tym drugim człowiekiem kotem. *Każda* z tych możliwości byłaby dobra. Jednak oddzwoniła do niego dopiero, kiedy wyszła z klasy po skończonej lekcji.

– Dzwoniłeś? – spytała, trzymając telefon mocno przyciśnięty do ucha, żeby usłyszeć odpowiedź w hałasie panującym na korytarzu.

– Uhm. Chloe, musimy pomówić. – W jego głosie brzmiały desperacja i powaga.

– Nie ma sprawy! Możesz się ze mną spotkać, zanim zacznę pracę? W tej kafejce w pobliżu sklepu, po drugiej stronie ulicy?

– A nie mogłabyś wyjść wcześniej?

Chloe uniosła brwi.

– Ja chodzę do liceum, pamiętasz? Tu nie jest tak jak w twoim świecie. Jeśli się urwę, zadzwonią do mamy i poniosę *konsekwencje*.

– No, rzeczywiście. Czyli o drugiej piętnaście, tak?

– Będę najszybciej, jak się da – obiecała. Włożyła telefon z powrotem do kieszeni.

– Hej, Chloe! – usłyszała i zobaczyła, że macha do niej Alek. Uśmiechnęła się i ruszyła w jego stronę, kołysząc biodrami, na poły kowbojskim, na poły seksownym krokiem. – Świetna kamizelka. Wiesz, Keira mówi, że jesteś skończoną dziwką. Czy to prawda?

Chloe otworzyła usta ze zdumienia. Osłupiała do tego stopnia, że przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa. Dwie najbliższe przyjaciółki Keiry kręciły się w pobliżu, pilnie nasłuchując. Alek utrzymywał doskonale obojętny wyraz twarzy, czego nauczył się jeszcze w rodzinnym kraju.

Chloe wybuchnęła śmiechem.

To był idealny przykład bezsensownej licealnej sytuacji, tak odległej od psychopatycznych morderców, nadnaturalnych mocy i tajemniczych ostrzeżeń, jak tylko to możliwe. Prawdziwy łyk świeżego powietrza.

Alek się uśmiechnął, zadowolony z jej reakcji.

– Z tego, co wiem – odparła głośno Chloe – trzeba uprawiać seks, żeby nią być. Powinieneś porozmawiać ze Scottem LeFevre i Jasonem Buttrickiem... a najlepiej z całą drużyną piłki nożnej. Zapytaj ich o Keirę.

Dwie podsłuchiwaczki ruszyły szybkim krokiem, nie mogąc się doczekać, kiedy powtórzą przyjaciółce złe wieści.

– Marnie wyglądasz – zauważył Alek, przeczesując dłonią jej włosy. Było to tak miłe uczucie, że bliżej podsunęła głowę pod jego rękę.

Mam nadzieję, że nie zacznę mruzczyć czy coś w tym rodzaju.

– Ja... po prostu źle spałam w nocy.

– Trzeba było do mnie zadzwonić. Przyszedłbym, a *potem* – powiedział, uśmiechając się diabolicznie – spałabyś jak dziecko.

– Kompletny dupek z ciebie – odparła, naprawdę tak myśląc.

– Właśnie to ci się we mnie podoba, kotku. – Pochylił się w jej stronę, jakby chciał ją pocałować, ale zatrzymał się w ostatniej chwili, tak że ich usta dzielił może milimetr. I zastygł w tej pozycji.

Chloe czuła czysty i ciepły zapach jego skóry. Miała wrażenie, jakby przed chwilą przełknęła podwójną porcję taniej whisky: w żołądku poczuła piekący żar, który po chwili ogarnął resztę ciała. Lekko odwróciła głowę i przesunęła ustami wzdłuż jego policzka, nadal go nie dotykając. Pożądanie niemal ją obezwładniło. Ale się powstrzymała.

Alek w końcu się odsunął.

– Ufff! Ale z ciebie numer – stwierdził ochryple.

– To na razie, kochasiu – rzuciła przez ramię, odcho-

dząc.

To stanowczo zbyt duża przyjemność.

Na korytarzu kilka razy spotkała Amy. Nie spojrzały na siebie. Amy ostentacyjnie odwracała wzrok. Chloe przewróciła oczami.

Kiedy ma się takich przyjaciół, wrogowie z nożami w rękach nie są już potrzebni.

Po ostatniej lekcji ruszyła biegiem do kawiarni, starając się poruszać po stronie ulicy, gdzie było więcej ludzi, przy czym czasem zwalniała, czasem przyśpieszała, żeby trzymać się większych grup.

W końcu niemal bez tchu opadła z ulgą na krzesło naprzeciw Briana, który siedział zamyślony nad filiżanką czegoś i *cantucci*. Dziś wyglądał mniej gotycko niż zwykle w spodniach khaki z kreszu, lśniących wysokich butach i czarnej bluzie z kapturem z czerwoną liczbą 10 nadrukowaną z przodu. Nie miał też kociej czapeczki.

– Hej – powiedziała.

– Cześć.

Chloe musiała przeczekać kilka następnych niezręcznych minut, kiedy zamawiała kawę i czekała, aż kelnerka ją przyniesie. Czuła takie napięcie, że najchętniej tupałaby ze zniecierpliwienia nogami. Wreszcie zostali sami, a wówczas Brian wpatrzył się w nią zmartwionym wzrokiem, przez dłuższy czas nic nie mówiąc i machinalnie pocierając bliznę na policzku.

– Uważam, że powinnaś przestać się spotykać

z Alekiem.

Chloe zamrugła.

Wróciła myślami do ich krótkiej rozmowy telefonicznej. Przypomniało jej się, jaki miał poważny i zmartwiony głos, i uświadomiła sobie, że kiedy po raz ostatni ją widział, była z Alekiem. Ale to nie ma nic wspólnego z tym, że Brian jest drugim człowiekiem ko-tem...

– Przecież już o tym rozmawialiśmy... – zaczęła i urwała, bo dotarło do niej, co przed chwilą powiedział. Musi teraz zwracać uwagę na najdrobniejsze dziwne czy nietypowe sprawy, skoro nie wie, co jej zagraża. – Skąd wiesz, jak ma na imię? – spytała cicho.

– Co? – zmieszał się Brian, zupełnie nie spodziewając się takiej odpowiedzi.

– Skąd wiesz, że on ma na imię Alek? – powtórzyła, wstając. – Śledzisz mnie? Łazisz za mną?

Brian rozejrzał się nerwowo dookoła, sprawdzając, czy ktoś nie usłyszał jej głośnych oskarżeń.

– Chloe, wysłuchaj mnie – poprosił błagalnym tonem. – Naprawdę nie powinnaś się z nim widywać... on... to nie jest *bezpieczne*.

– Nie do wiary! Ty... ty... *zboku!* – krzyknęła, uderzając pięścią w stół. – Sam nie potrafisz się zaangażować w prawdziwy związek, a już po paru randkach zaczynasz oskarżać innych facetów, że są niebezpieczni? To naprawdę *żałosne* – prychnęła. – *Niebezpieczne?* A co ty wiesz o bezpieczeństwie? Wczoraj w nocy ktoś próbował

mnie *zabić*, a ty się martwisz głupkowskim szesnastoletnim obcokrajowcem?

Brianowi krew odpłynęła z twarzy.

– Ktoś... cię zaatakował?

– Tak! Mogłam zginąć. Całą noc trzęsłam się ze strachu. On *też* wiedział o mnie różne rzeczy. W moim życiu jest miejsce tylko na *jednego* rąbniętego prześladowcę.

– Nic ci nie jest? – spytał w końcu Brian.

– Niezupełnie! – Odsunęła kamizelkę i podniosła T-shirt, pokazując mu głęboką, paskudnie wyglądającą, ale czystą szramę. – Skurwiel miał sztylety, gwiazdki do rzucań i pełno innego świństwa. – Rozpierała ją złość, ale mimo wszystko była mu wdzięczna. – Gdyby nie ruchy, których mnie nauczyłeś przedwczorajszej nocy, byłabym już martwa – burknęła niechętnie.

– Których *ja* cię nauczyłem? – spytał zaskoczony.

O, nie...

– To nie ty... wtedy w nocy...? Daj spokój, to poważna sprawa.

Proszę...

Ale Brian potrząsnął przecząco głową, wzruszając ramionami.

Kiedy Chloe zdała sobie sprawę, że mówi serio, zalała ją fala rozpacz. A już zaświtała jej nadzieja, że jakoś zdoła sobie poradzić z otaczającym ją ostatnio szaleństwem. Brian był nie tylko wspaniałym facetem – mógłby też stać się jej nauczycielem, obrońcą i osobą, która w końcu jej wyjaśni, kim właściwie jest.

No, a teraz się okazało, że nic z tego. To tylko zaborczy świr.

– Muszę już iść – oznajmiła, dosuwając krzesło do stolika.

– Nie... Chloe, nie! Zaczekaj...

Ale ona już była za drzwiami.

ROZDZIAŁ 17

Po wyjściu na chwilę się zatrzymała, nie bardzo wiedząc, co dalej. Zdawała sobie sprawę, że im dłużej tu stoi, tym więcej czasu daje Brianowi na zapłacenie rachunku i zebranie się na odwagę, żeby iść za nią. A tego z pewnością nie chciała. Poczula się tak zagubiona, że nie mogła powstrzymać łez.

Trwało to tylko przez moment, po czym skoncentrowała się na tym, co zaszło: Brian okazał się kompletnym dupkiem. Była tak wściekła, że najchętniej prychałaby jak kot. Ruszyła przed siebie, czując, że koniecznie musi coś zrobić z nagromadzonym w niej gniewem. Zbliżała się pora rozpoczęcia pracy, więc skierowała się w stronę sklepu.

Na zmianę zaciskała dłonie w pięści i rozprostowywała je, czując, jak pazury wysuwają się i chowają. Może to nie było szczególnie uspokajające, ale poczuła się lepiej. Miała napięte mięśnie karku i pomyślała, że najchętniej pobiegłaby przed siebie jak ten tygrys z reklamy benzyny (a może oleju?), wyciągając podczas skoku przednie łapy do przodu i odbijając się od ziemi tylnymi. To skojarzyło się jej z pumami z Los Angeles, a one z kolei przypomniały jej o Brianie – i znów się rozżłościła.

– Hej, Chloe – z zamyślenia wyrwał ją dobiegający z przodu głos. Zobaczyła Keirę w czymś, co przypominało

sukienkę do tenisa uzupełnioną skarpetami z pomponami, pod którą założyła parę obcisłych dżinsów firmy Mavi. Już sam zapach dziewczyny – mieszanka hormonów, irytacji i... Keiry – sprawił, że Chloe zrobiło się niedobrze.

Keira stanęła przed nią w niedbałej pozie, jakby po prostu chciała pogadać.

– Kogo właściwie nazwałaś dzisiaj dziwką? Tam w holu?

– *Odejdź* – odparła Chloe, próbując ją ominąć. *Jeszcze tylko tego mi brakowało.* Miała wrażenie, że jest tykającą bombą, bardzo bliską wybuchu.

– Nie, naprawdę mnie to interesuje – upierała się Keira. Odrzuciła na bok włosy, prezentując wszystkie ich odcienie i warstwy. – Sugerowałaś, że *spalam* z Jasonem, Scottem i całą drużyną piłki nożnej?

Bomba wybuchła.

Chloe odwróciła się do niej, rzucając oczami błyski. Otworzyła usta i wydobył się z nich niski, pierwotny dźwięk, pochodzący z głębi gardła i niczym nieprzypominający ludzkiego głosu. Ostrzeżenie.

Keira zbladła i zrobiła krok w tył.

Chloe obeszła ją i ruszyła dalej w stronę Pateeny. Następna osoba, która zechce z nią porozmawiać, może naprawdę poczuć jej pazury.

I tak potem za to zapłacę. Jak tylko Keira dojdzie do siebie, złapie telefon i opowie wszystkim, że Chloe nie tylko roznosi oszczercze plotki, ale na dodatek jest kompletną świruską. Chociaż pewnie nie użyje słowa *oszczer-*

cze, bo to zbyt trudne dla tej gwiazdy hokeja na trawie.

Zanim Chloe dotarła do sklepu, uspokoiła się na tyle, że normalnie weszła do środka, poczęstowała się jednym z pączków, które Marisol dla nich kupiła, a nawet pamiętała, żeby jej podziękować. Były z Dunkin' Donuts, ozdobione specjalnie na Halloween malutkimi czarnymi nietoperzami i pomarańczowymi dyniami. Chloe zupełnie zapomniała o zbliżającym się święcie, zresztą to Amy je uwielbiała.

Znów miała ochotę zacząć warczeć.

Uwięziona w sklepie wśród zapachów świeżo wyczyszczonych chemicznie lub wybielonych bawełnianych i poliestrowych ubrań poczuła, że jej myśli też znajdują się w pułapce. *Nadal* nie miała najmniejszego pojęcia, kim byli jej napastnik i drugi człowiek kot. Nie wymyśliła też sposobu, żeby obronić siebie i mamę. Nie miała zamiaru mówić matce o napadzie, tym bardziej że już naruszyła zawartą z nią umowę. Zatem nie miała z kim o tym wszystkim porozmawiać. Już nie.

Zorientowała się nagle, że zbyt energicznie przyczepia metki za pomocą pistoletu i że zdążyła już zrobić dziurki w kilku parach spodni.

I tu właśnie poznałam Briana.

– Oho, czyżby naszą małą licealistkę coś wkurzyło? – spytała Lania, wydymając usta i patrząc na nią wyniośle. – I cóż takiego strasznego się stało? Nie jesteś kandydatką na królową balu maturalnego?

Chloe przez chwilę rozważała, o ile korzystniej Lania

wyglądałaby z plastikową metką na stałe przymocowaną do dolnej wargi.

– Daj mi spokój – mruknęła, niemal błagalnie.

Dlaczego zawsze, kiedy wszystko się wali, takie osoby jak Lania czy Keira muszą jeszcze dołożyć swój kamyk? Nie chciała znów stracić panowania nad sobą. W sklepie było kilka osób i z pewnością zaintrygowałyby je lwi ryk.

Lania wzruszyła ramionami i odeszła, kopiąc po drodze ułożony przez Chloe stosik dzinsów.

Chloe nabrała głęboko powietrza, wzięła kolejną parę spodni i przyłożyła do nich pistolet – ale ścisnęła rękojeść zbyt mocno i urządzenie się zablokowało. Bez namysłu uniosła je nad głowę, żeby cisnąć na podłogę, lecz w porę się powstrzymała.

Musiała się stąd wydostać. Z jej nastrojem było coraz gorzej.

Starannie ułożyła z powrotem dzinsy, zabezpieczyła pistolet i poszła na zaplecze poszukać Marisol.

Chrząknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę. I co, dalej nowa polityka szczerości?

– Marisol, przykro mi, ale dziś nie dam rady dłużej pracować.

Właścicielka sklepu przyjrzała się jej uważnie zwięzonymi oczami, być może wypatrując oznak choroby, która była dla niej jedynym wytłumaczeniem dla takiej deklaracji pracownicy.

– Dobrze się czujesz? – spytała w końcu.

– Właściwie to nie. – Nie dodała do tego żadnego

wyjaśnienia.

Nie zadawaj mi pytań...

– W porządku – burknęła niechętnie Marisol. Zerknęła na czarnobiałe monitory pokazujące wnętrze sklepu. Chloe zorientowała się, że w ten sposób daje jej do zrozumienia, że widziała jej zachowanie. – Lubię cię, Chloe. Ale nie będę marnować czasu na pobudliwe nastolatki. To nie jest zakład opiekuńczy, tylko sklep, a ja muszę dbać o interesy.

– Rozumiem – wymamrotała Chloe.

Gdybyś tylko wiedziała, co się dzieje...

– Myślę, że damy sobie radę, nie ma dziś wielkiego ruchu. Weź wolne na resztę tygodnia. Ale chcę cię tu widzieć w środę, a jeśli nie, to możesz już nie wracać.

– Dziękuję! – powiedziała Chloe z głębi serca.

– W porządku. Do zobaczenia w środę. – Marisol odwróciła się na znak, że ich rozmowa dobiegła końca.

Chloe złapała kurtkę i wybiegła na dwór, ciesząc się uczuciem czystości i świeżości, jakie wywołał dotyk słońca na skórze.

Ale i tak nadal miała ochotę w coś przywalić. Gdzie mogłaby pójść? Co mogłaby zrobić, żeby pozbyć się tego paskudnego nastroju, wyzbyć tego niesamowitego gniewu?

Alek.

Może nie jest najlepszym rozmówcą, ale z pewnością pomógłby jej przestać o tym wszystkim myśleć. Tylko gdzie teraz może być. Nie miała jego numeru telefonu... zresztą, nigdy nie widziała go z komórką. Spojrzała na

zegarek – dopiero dwadzieścia po trzeciej, więc może się jeszcze kręcić gdzieś w pobliżu szkoły, jak zawsze w towarzystwie wielu kolegów.

Chloe przebiegła całą drogę z powrotem do szkoły i zatrzymała się dopiero przed głównym wejściem. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że węszy – starając się wykryć jego zapach... *Tam!* Czy na pewno? Zamknęła oczy i czekała, aż wiatr zmieni kierunek. Docierały do niej tysiące zapachów budzących najrozmaitsze uczucia i skojarzenia. Czy to był kot? Przeszedł ktoś rozgniewany? Ktoś przez dłuższy czas się nie mył... Coś obcego, zwierzę, małe – wiewiórka? Szczur? Nie umiała nazwać tych woni, nawet nie miały nazw. Ale nie było jej to potrzebne, bo z łatwością je rozpoznawała i zapamiętywała, tak jak to się dzieje z twarzami i dźwiękami. Chętnie postąpiaby tam dłużej, chłonąc te wrażenia. Zupełnie jak pies wystawiający głowę przez okno czy ten głupi shih tzu, który zanim pozwoli się pogłaskać, zawsze obwąchuje jej rękę, jakby sprawdzał gdzie była i z kim się spotkała.

O, znowu! To na pewno on! Ten sam zapach, który miała jego skóra dziś rano – męski, niemożliwy do pomylenia z innym. Ruszyła za nim, z trudem opierając się instynktowi, który nakazywał jej obracać głowę w stronę budynku, a najlepiej posuwać się z nosem przy ziemi, żeby lepiej wyczuwać trop. Ale wokół znajdowało się jeszcze sporo uczniów, a ona dzisiaj już wystarczająco zapracowała na reputację dziwaczki.

Zatrzymała się na przecięciu alejek, sprawdziła, skąd

dochodzi zapach, i przekonała się, że dobrze zgadła – prowadził do mniejszej sali do koszykówki. Ruszyła znowu, ale w ostatniej chwili zwolniła kroku, bo dobiegła ją mieszanina głosów i zapachów – męskich i kobiecych.

Weszła swobodnie do środka, jakby akurat wtedy przechodziła, i w przelocie zapukała w drzwi.

Alek wyglądał jak władca otoczony wianuszkiem wielbicieli i przyjaciół. Siedział na trybunach, a inni rozlokowali się obok niego lub poniżej. Rozmawiali, śmiali się i rzucali sobie piłkę do koszykówki. Alek próbował się nauczyć kręcić ją na jednym palcu, jak koszykarze, prowokując mnóstwo chichotów. Keiry nie było. *I chwata Bogu.*

Zauważył, że weszła. Natychmiast podniósł się z wdziękiem, rzucił piłkę jakiejś ślicznotce i zaczął zeskaکیwać na dół po ławeczkach, po drodze klepiąc wyciągnięte ku niemu dłonie lub przybijając piątki.

– Muszę się zbierać. Na razie.

Ktoś zaczął podśpiewywać „Alek i Chloe są parą...” i choć nie było to złośliwe, Chloe znów się zirytowała. *Jak te żałosne ludziki śmieją w taki sposób komentować jej życie?*

– Hej, ślicznotko! – Nie pocałował jej niedbale, jak często inni chłopcy witali swoje dziewczyny – i co powinien był zrobić Brian! W ich wzajemnych kontaktach takie gesty wydawały się zbyt banalne. Uniósł tylko brwi i czekał.

– Chcę zrobić coś *złego* – odezwała się w końcu,

i tylko częściowo był to żart.

Spojrzał na nią, starając się odgadnąć jej nastrój. Potem wziął ją za rękę, co początkowo ją przestraszyło. Czyżby źle zrozumiał jej słowa? Ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę, był fizyczny kontakt. Na samą myśl robiło jej się niedobrze.

Alek szybko ruszył korytarzem, tak że ledwo za nim nadążała.

– Wiem, co ci pomoże się wyładować. Zobacysz.

Zaprowadził ją na niewielki parking na tyłach szkoły, do sektora przeznaczanego dla maturzystów. Słońce już niemal zachodziło i oświetlało całą scenerię niesamowitym światłem, które jednocześnie łagodziło i starannie podkreślało wszystkie kontury i kolory. W nadal ciepłym powietrzu unosiła się mieszanina zapachów gnijących liści, asfaltu i zakurzonego metalu. Alek podszedł do małego hatchbacka w kolorze matowej miedzi. Niewątpliwie był stary, a tu i ówdzie na lakierze było widać rdzę.

– To *twój*? – spytała zaskoczona. – Przecież nie jesteś w ostatniej klasie...

– Być *świetny* wóz – stwierdził, w podnieceniu zapominając o poprawnej angielszczyźnie. – Przebudowany, teraz ma ośmiocylindrowy silnik. Normalna skrzynia biegów. Klasyka.

– Czy to *twój*? – powtórzyła, bo dotarło do niej, że jej nie odpowiedział.

– Zawsze uwielbiałem stare hatchbacki – odparł, wyjmując z kieszeni kluczyki, którymi otworzył drzwi od

strony kierowcy. – Oczywiście mają pewne wady. Choćby to, że kilka kluczyków otwiera niemal wszystkie modele. – Wsunął się na siedzenie, dla równowagi wystawił nogi na zewnątrz i zaczął grzebać w czymś pod kierownicą. – Ale sama widzisz, można wsiąść, pomajstrować i już wiesz, co robić. Żadnych komputerów czy innego badziewia.

Spod maski dobiegło ich kilka mało obiecujących trzasków i warknięć, ale potem coś zaskoczyło i silnik ruszył. Alek wyciągnął się i odblokował drzwi pasażera.

Chloe sięgnęła do klamki, ale okazało się, że musi pociągnąć znacznie mocniej, niż się spodziewała, żeby je otworzyć. Samochód był mały, ale jak odlany z ołowiu. Opadła na niskie siedzenie, które nadal miało większość oryginalnej tapicerki – skórzanej? winylowej? – sklezionej w paru miejscach mocną taśmą.

Spojrzała na Aleka.

– To nie twój samochód, prawda?

Uśmiechnął się do niej i na wstecznym biegu zaczął wyjeżdżać z parkingu.

Chloe nie miała pojęcia o samochodach i tylko blade o ich prowadzeniu. Czasem mogła poćwiczyć na mamy passacie i zapisała się na wiosenny kurs prawa jazdy. Mimo to dwie rzeczy były dla niej jasne: niewielki samochódzik przyśpieszał znacznie szybciej, niż należało się tego spodziewać, a Alek z pewnością nie uczył się jeździć w Stanach.

Obydwoje twardo podskakiwali na swoich siedzeniach i Chloe odnosiła wrażenie, że auto oprócz sprężyn w fotelach nie ma żadnej amortyzacji. Otworzyła okno, chwyciła się ramy i wybuchnęła śmiechem. *Bonnie i Clyde!* Skradziony samochód, przemożny gniew i otwarta droga przed nimi. *Dokładnie* tego potrzebowała.

Nie pytała, dokąd jadą, bo Alek najwyraźniej miał jakiś plan. Brali zakręty z taką prędkością, że mogłaby przysiąc, że pokonują je tylko na dwóch wewnętrznych kołach i choć nie przejeżdżali skrzyżowań na czerwonych światłach, to zmieniały się one w chwili, gdy mijali sygnalizację.

Ilekróć tak się stało, Alek całował się w palce i dotykał nimi sufitu.

– Czasem – wrzasnął, przekrzykując niesamowity hałas silnika – można mieć kompletnie dość San Francisco. Po prostu musisz się stąd wydostać. Jest zbyt... klaustrofobiczne.

Z piskiem opon skręcili w drogę 101 i śmigali przez most Golden Gate. Dzień powoli dobiegał końca, a widok rozciągający się wokół nich był naprawdę piękny: niebo bez zanieczyszczeń przybrało kolor ciemnego błękitu i płynęły po nim wydłużone puszyste chmury od spodu podświetlone na pomarańczowo. Zieleń widocznych w oddali wzgórz nabrała głębi, a pociemniała woda pod nimi sprawiała groźne wrażenie. Sam most jarzył się rdzawą, niemal krwawą czerwienią.

– Ale super! – roześmiała się głośno Chloe. Alek

uśmiechnął się do niej i dodał gazu.

Zjechali z mostu i skręcili w pierwszą ulicę, kierując się na Suasalito. Kiedyś często przychodziły tu z Amy, żeby powłóczyć się po sklepach i nad wodą, ale ostatnio uznały, że to nudne (jak zresztą zawsze twierdził Paul). Starzy ludzie, cudacznicy turyści i nieciekawe sklepy. Jednak Alek jechał drogą, której nie znała, po czym skręcił w ulicę o *niezwykle* starannie wykończonej nawierzchni, zupełnie jak z plakatu – asfalt był ukryty pod warstwą jakiegoś materiału pokrytego żwirem, a łagodnie wijące się pasy jezdni rozdzielały dwie idealnie wymalowane cytrynowe linie.

– Gdzie jesteśmy? – krzyknęła.

– Tu, gdzie mieszkają wszystkie bogate dupki – odkrzyknął.

– Myślałam, że to w San Jose.

Alek przez chwilę się zastanawiał.

– Bogate dupki ze starymi pieniędzmi.

Skręcił w lewo i wyciągnął rękę. Widok znajdującego się przed nimi domu wprowadził Chloe w osłupienie.

Wyglądał jak dwór z angielskiego filmu. Środkowa część ogromnej budowli z kamienia i drewna wznosiła się na wysokość kilku pięter, a skrzydła po obu bokach były niższe. Dachy pokrywał łupek. Olbrzymi trawnik rozciągający się od drogi ku domowi musiał mieć dobrze ponad hektar, a chroniły go staromodny ostro zakończony płot, brama i budka strażnika. Od bramy do frontowego wejścia prowadziła żwirowa droga, kończąca się okrągłym pod-

jazdem z fontanną na środku. Cała zieleń była nieskazitelnie utrzymana, a trawnik zdobiły gdzieniegdzie fantazyjnie przycięte krzewy.

– O mój Boże... *Jakie to piękne* – westchnęła Chloe. – Nie miałam pojęcia, że w tej okolicy może być coś takiego.

– Nie prezentowali go w „House nad Country”, jeśli o to ci chodzi – stwierdził drwiąco Alek.

Jezu.

– Do kogo należy ten dom? Do Billa Gatesa?

Alek potrząsnął przecząco głową.

– Do Edwarda Shaddara. To on wykupił stary plac targowy w centrum i postawił tam multipleks. Prawdziwa kapitalistyczna świnia. A poza tym daleki krewny z amerykańskiej strony mojej rodziny. – Przerwał na chwilę i twarz mu się zachmurzyła. – To on nie chciał wyłożyć pieniędzy, żeby ściągnąć tu mnie i moją rodzinę.

– Co za wstrętny buc! Nie do wiary, że zamiast tego wydał te wszystkie pieniądze na to.

– No, tak, ale kto wie – powiedział Alek nonszalancko – może pewnego dnia to wszystko będzie moje. On nie ma ani żony, ani dzieci.

Zawrócił samochód i powoli ruszył z powrotem, dając Chloe czas na nacieszenie się widokiem pięknego domu. Westchnęła. To był zupełnie inny świat. Jak ogromna przepaść dzieliła to bajeczne królestwo bogatych ludzi i pięknych przedmiotów od niej i jej kłopotów.

Alek zauważył jej milczenie i wyciągnął do niej rękę z porządną piersiówką, na której widniały rosyjskie napisy.

Nie miała pojęcia, gdzie zdołał ją ukryć, mając tak obcisłe dzinsy. W każdym razie pociągnęła spory łyk. Okazało się, że to wcale nie wódka, tylko coś bardzo wytrawnego, mocnego i piekącego.

– Masz pojęcie, jak trudno w Rosji zdobyć burbon? – spytał, kiedy zakasłała. Obdarzyła go bladym uśmiechem.

– No, ale ty jesteś coraz smutniejsza?

– Chciałabym... – przerwała, przypominając sobie o urodzinowym torcie. – Nie wiem, czego bym chciała. Życzyłabym sobie, żeby życie było prostsze – powiedziała w końcu. – I żebyśmy mogli dłużej się powłóczyć.

Alek przygryzł wargę.

– Potrzebne nam coś, co cię rozchmurzy, zanim wrócisz do domu. – Po chwili twarz mu się rozjaśniła. – Chloe King, czy skakałaś kiedyś samochodem?

ROZDZIAŁ 18

W ciemnym pomieszczeniu bez nazwy zebrał się krąg osób odzianych w habity.

Dziewięć z nich zajmowało miejsca wokół starego drewnianego stołu oświetlonego migocącym światłem latarni rozmieszczonych na jego obwodzie. W górze za ich plecami płonęły pochodnie, rzucające demoniczne cienie na posadzkę wyłożoną ozdobnie kamiennymi płytkami.

Na stole stał czarno-biały monitor rzucający niezdrową poświatę. W rozgrywającym się na jego ekranie niemym filmie główną rolę grała dziewczyna zajmująca się różnymi normalnymi dla dziewcząt w jej wieku sprawami – lecz chwilami prezentująca też mniej typowe zachowania.

Jedna z siedzących przy stole postaci stwierdziła:

– Sami widzicie. Już stała się niebezpieczna, a przecież dopiero co zaczęła sobie zdawać sprawę ze swojej prawdziwej natury.

– Nie uważam, żeby obrona przed napaścią ze strony ulicznego oprycha świadczyła o niebezpiecznej osobowości – stwierdził inny głos, tym razem starszy, kobiecy.

– Ale zwróćcie uwagę, w jakim towarzystwie przebywa. – Trzeci, skrzekliwy głos musiał należeć do bardzo starego mężczyzny. Dla poparcia swych słów wyciągnął dłoń, która składała się głównie z kości ciasno obciążonych suchą skórą, uwydatniającą każde wyrzuszenie

i zagłębienie. Jej żałosny stan podkreślał dodatkowo gruby złoty pierścień z ogromnym kamieniem, znajdujący się nad kostką palca wskazującego. Wszyscy podążyli wzrokiem w ślad za jego palcem postukującym w monitor.

Było tam widać, jak młody mężczyzna całuje tę dziewczynę na ławeczce przed *restauracją fast food*.

– Czy ten Rosjanin nadal jest następny w kolejce?

– Nie ma powodu, żeby myśleć inaczej.

– To wszystko dzieje się zbyt szybko – zauważył mężczyzna, który odezwał się jako pierwszy. – Nowicjusz, twierdziłeś, że tych dwoje ledwo się zna. I że jeśli coś między nimi zaiskrzy, będziesz natychmiast interweniował.

– Zrobiłem co w mojej mocy – odparł z przygnębieniem młody głos z ławy.

– A mimo to zawiodłeś. Nie udało ci się też ustalić, czy to ona jest Wybraną, tak jak sądzi Łowca.

– Najpierw chcecie, żebym się z nią zaprzyjaźnił, a potem, żebym sprawdził, czy umrze, jeśli jej wbiję nóż w brzuch. Nie uważam, żeby to było częścią mojej misji.

– A czy *powiedziała* ci cokolwiek? Opowiedziała o czymś dziwnym z przeszłości, z czasów, gdy była dzieckiem? O tym, jak cudem uszła z życiem albo prawie umarła?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Nie – odparł w końcu Nowicjusz.

– Obawiam się, że zbyt się do niej zbliżyłeś, żeby reagować racjonalnie. Wyłączamy cię z tej sprawy

i pozwolimy Łowcy załatwić ją po swojemu.

– Ale... proszę mi pozwolić jeszcze raz spróbować. Ona jest dobrą osobą, wychowaną przez *ludzi*. Łowca po prostu ją *zabije!* On jest szalony...

– Alexander Smith jest mężnym członkiem Bractwa. Dobrze i gorliwie wykonuje swoje obowiązki – i należy o tym pamiętać. A poza tym, że słucha naszych rozkazów, jest przekonany, że jego postępowaniem kieruje bezpośrednio Bóg. Pozwólmy mu robić, co trzeba, a Bóg zdecyduje, jaki będzie tego rezultat.

– To zwykłe morderstwo, a nie żadne Boże wskazówki – syknął młodzieniec.

– Nowicjuszu, Bractwo Dziesiątego Ostrza *nie* po to od tysięcy lat realizuje swoją misję ochrony ludzi przed kocią plagą, żeby zaprzepaścić to dla niefortunnych pragnień zauroczzonego nastolatka! Czy to jasne?

Znów długa cisza.

– Tak.

Przez chwilę wszyscy rozmyślali nad tym w milczeniu.

– Zatem zostało postanowione – odezwał się głos.

– I zostało zapisane – stwierdził inny.

– Jak było od wieków i jak zawsze będziemy postępować – dodali chórem wszyscy zebrani.

Powoli zaczęli się podnosić i po kolei wychodzić z ciemnego pokoju. Pozostał tylko jeden – młody chłopak, który wcześniej zabierał głos. Teraz trzęsły mu się kolana i nerwowo pocierał bliznę na policzku.

– Synu, tak będzie najlepiej – powiedział uspokajająco starzec, który jeszcze zwlekał z odejściem. Poklepał go po ramieniu. – Wiem, że ci ciężko... ale to nie ma przyszłości. Pomyśl o tym biednym greckim chłopcu... Nie chciałbyś chyba skończyć jak pan Xavier Akouri, prawda?

ROZDZIAŁ 19

Chloe nigdy dotąd nie próbowała skoków samochodowych, chociaż niemal przez całe życie mieszkała w San Francisco. Amy raz czy dwa wybrała się z Paulem pożyczonym od jego brata samochodem wyglądającym naprawdę tandetnie z mnóstwem fioletowych świateł i nadmiarem spojlerów. Jednak choć Amy usilnie zgrywała twardzielkę, nigdy nie udało jej się zebrać dość odwagi – albo rozwinąć dostatecznej szybkości.

Alek nie miał takich problemów. Tuż przed szczytem większego wzgórza wdusił mocno pedał gazu. Ale kiedy przejechali przez najwyższy punkt, auto tylko parę razy podskoczyło. Alek zaklął i spróbował ponownie, gwałtownie pokonując zakręty i przejeżdżając na czerwonych światłach, żeby nabrać prędkości. Podmuchy wiatru z ogromną siłą wpadały przez otwarte okna. Miasto zaczęło się pograżać w ciemności, zapaliły się wszystkie latarnie, ale pomarańczowa łuna pozostała po zachodzie słońca utrzymywała się nadal. To był naprawdę niesamowity wieczór.

Nie do wiary, że to robimy.

Była tak podekscytowana, że zaklaskała, kiedy zbliżali się do skrzyżowania.

– I... teraz!

Nagle poczuła, że nic nie waży. Trwało to tylko chwilę. Pas wbił jej się w ciało, po czym opadli *twardo*

z powrotem na ulicę, a jej szyją szarpnęło do przodu i do tyłu.

Nie była pewna, czy wszystkie cztery koła znalazły się w powietrzu, ale niewątpliwie tak to czuła.

To wszystko dzieje się o wiele szybciej niż w telewizji.

Westchnęła, żałując, że nie mogą tego przeżyć w zwolnionym tempie, jak na filmie.

Alek pędził z powrotem na Inner Sunset. Kiedy mijali szkolny parking, zobaczyli kogoś o posturze sportowca, kto właśnie wykrzykiwał:

– Gdzie jest mój *samochód*? Gdzie jest mój cholerny *samochód*?

Na szczęście właściciel auta był do nich obrócony plecami. Z chichotem czym prędzej osunęli się niżej na siedzeniach.

– Gdzie mieszkasz? Podrzucę cię, zanim go oddam.

– Nie wiesz, gdzie mieszkam – powiedziała powoli Chloe, delektując się znaczeniem tych słów. Nie zna imienia jej drugiego chłopaka, nie wie, kim ona naprawdę jest, i nie ma pojęcia, gdzie mieszka. To tylko troszkę bardziej psychotyczny nastolatek. Proste. Świetnie!

– Nie, a skąd miałbym wiedzieć?

– Mniejsza o to – odparła z uśmiechem i wskazała mu, gdzie ma skręcić.

Po chwili zwolnił, kiedy postukała w szybę, pokazując mu swój dom.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Naprawdę *dzięki*.

– Nie ma sprawy. I widzisz? Jestem nie tylko seksownym chłopakiem. Lubię też robić niebezpieczne i głupie rzeczy.

– Tak? – Uśmiechnęła się.

– *Tak* – odparł, przechylając się w jej kierunku. Bardzo delikatnie chwycił zębami płatek jej ucha, zręcznie omijając kolczyki, i pociągnął. Potem pocałował ją w szyję. Chloe zadrżała. – *Następnym razem* – szepnął.

Oczy jej się rozszerzyły, ale nie powiedziała nie.

W domu mama biedziła się ze sznurkiem masarskim niezdarnie omotanym wokół niesamowicie prymitywnie wyglądającego kawałka jagnięciny. Starła się zawiązać węzeł, trzymając jeden koniec w ustach. Chloe podeszła, żeby przycisnąć palcem supeł, ale pani King energicznie pokręciła głową.

– Uum... hhuuki ne jesz rąk.

Jej córka westchnęła i posłusznie opłukała ręce, po czym wróciła, żeby pomóc. Jakiś czas temu, podczas krótkiej fazy wegetarianizmu, widok takiego mięsa, szczególnie tak paskudnego mięsa z młodego zwierzęcia, przyprawiłby ją o mdłości. Tymczasem teraz zaburczało jej w brzuchu i musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby oprzeć się pokusie oderwania najsmaczniej wyglądających kawałków surowego tłuszczu i wpakowania ich sobie do ust.

– No i proszę! – Mama oparła ręce na biodrach

i podziwiała swoje dzieło. Wskazała brodą piekarnik, więc Chloe go otworzyła i z przyjemnością poczuła na skórze unoszące się z niego ciepło. – To ma być tylko czterdzieści pięć minut, czy coś koło tego. Kupiłam też kuskus. Będzie pasować. Hej, dobrze się czujesz?

Chloe spojrzała na nią, zaskoczona nagłą zmianą tematu. Właściwie teraz, po szalonej jeździe, czuła się, jakby zeszło z niej powietrze.

– Czy coś się stało w pracy? Chloe wzięła głęboki oddech.

– Nie byłam w pracy. Spędziłam popołudnie z moim kolegą Alekiem. Podwiózł mnie do domu.

Pani King uniosła brwi.

– Marisol dała mi wolne na resztę tygodnia – dodała szybko Chloe. – Nie miałam ochoty... nie mogłam pracować.

– Nie lekceważ sobie tego – ostrzegła ją matka. – To twoja pierwsza praca. Jeśli się nią znudzisz i potem następną, i następną...

Chloe spokojnie na nią patrzyła, cierpliwie czekając, aż skończy. Ten całkowity brak reakcji w połączeniu ze zmęczonym wyglądem córki skłoniły wreszcie panią King do przerwania wykładu.

– Łapie cię choroba?

Nie... Ale nagle uświadomiła sobie, że lepiej mieć do wyboru różne możliwości. Dlatego tylko potrząsnęła przecząco głową, nic nie mówiąc.

Spędziły wspólnie spokojny wieczór przy jagnięcinie

z kuskusem i sałatką z serem feta, jako uzupełnieniem greckiego menu. Mama pozwoliła jej nawet wypić kieliszek wina – białego, smakującego owocami, gdzieś z Bliskiego Wschodu. Kiedy potem zwinęła się w kłębek na kanapie obok mamy przełączającej CNN na Animal Planet i z powrotem, niemal natychmiast zasnęła.

Wiedziała, że powinna się wykazać większą czujnością, ale była taka wyczerpana, miała przyjemnie pełny brzuch, było jej dobrze i ciepło.

Zapadając w drzemkę, usłyszała jeszcze:

– Być może nie wiecie, że bardzo młode słonie mają nawyk ssania swoich trąb, tak jak ludzkie niemowlęta ssą kciuki...

Kiedy obudziła się następnego ranka, stwierdziła, że nadal leży na kanapie, tyle że jest wyciągnięta, ma pod głową swoją poduszkę i jest przykryta własną kołdrą. Mama była już na nogach i szykowała się do pracy.

– I jak się dziś czujesz? – spytała, nachylając się nad córką i sprawdzając dłonią temperaturę jej czoła. – Kiedy cię wczoraj przykrywałam, byłaś cała rozpalona.

Chloe czuła się dobrze.

Cholera, czy ja naprawdę pomogłam Alekowi ukraść samochód, a potem nim skakaliśmy?

Ile razy jeszcze będzie się następnego dnia dziwiła, co wyrabiała wieczorem lub w nocy? A przypominając sobie kradzież samochodu, poczuła zażenowanie. Co w nią wczoraj wstąpiło? Czy była aż tak wściekła na Briana? Jest

idiotą i tyle... Dlaczego robiła takie dziwaczne rzeczy, kiedy była w towarzystwie Aleka?

– Umm... – Chloe zaczęła siadać, po czym opadła z powrotem na łokieć, jakby ją zamroczyło.

Pani King westchnęła.

– Zadzwoń do szkoły. Niepotrzebnie pozwoliłam ci pić wino. A jeśli już, to trzeba było dać ci czerwone. Podobno jest dobre na ból głowy i przeziębienie. – Potargała córce włosy. – Później do ciebie zadzwonię. A ty dzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Myślisz, że możesz zostać sama w domu?

Aha, zaczyna się.

Kamienne zazwyczaj oczy matki zasnuło zdenerwowanie i poczucie winy rodzica samotnie wychowującego dziecko. Czy powinna zostać w domu z chorą córką? *Jej matka z pewnością by tak zrobiła. Tyle że jej matka nie pracowała zawodowo, ale co tam.* Mama Chloe przynajmniej nie obciążała jej swoimi dorosłymi wątpliwościami i problemami.

Oczywiście, od czasu do czasu nie udawało jej się uniknąć przypisywania córce pewnych własnych myśli i zachowań.

A denerwowałyby się znacznie bardziej, gdyby wiedziała, że próbowano ją zamordować.

– Nie martw się – powiedziała Chloe uspokajającym tonem, zastanawiając się mgliście, jak bardzo zmieniły się ich relacje w ciągu ostatnich kilku tygodni i czy wkrótce znów się od siebie nie oddalą. – Zadzwoń do Amy. –

Uhm, pewnie! – Może przyjść do mnie zaraz po szkole ze wszystkim, czego będę potrzebowała. Zresztą i tak przez kilka następnych godzin pewnie będę spała.

– W porządku – odparła mama, nadal niepewnie. Pochyliła się i pocałowała Chloe w czoło. – Szybko zdrowiej!

Szczęknęła zamkiem torebki firmy Coach, wzięła do ręki włoską aktówkę i wyszła, postukując obcasami szpilek Kennetha Cole'a.

Chloe jeszcze przez chwilę leżała na kanapie, zastanawiając się, co dalej. Minęło już trochę czasu od napaści, więc mogła trzeźwiej to wszystko przeanalizować, tym bardziej że nie czuła już tak paralizującego strachu jak pierwszej nocy. Dzisiejszy dzień będzie dobrym sprawdzianem, bo jeśli zabójca zamierzał ją wytropić i zaatakować w domu, nie znajdzie lepszej okazji. Jest sama, w sąsiednich domach też jest pusto i cicho.

Jeśli jednak nawet zostanie cały dzień w domu, z pewnością nie zamierza leżeć bezbronna na kanapie. Może dalej szukać jakichś informacji o Xavierze albo nawet do niego zadzwonić. I co właściwie się z nią dzieje, jeśli chodzi o Xaviera i Aleka? Czy te jej pragnienia seksualne oraz autodestrukcyjne i destrukcyjne ciągoty są *naturalne* czy też powiązane z pazurami, szybkością i nagłym apetytem na surowe mięso?

Wygięła dłoń, patrząc, jak pazury wysuwają się z cichym sykiem. Podniosła rękę, tak że padł na nie promień słońca, który przedostał się do środka pomiędzy zasłonami i roślinami. Paznokcie u jednej dłoni wyglądały

„normalnie” – błyszczące, w kolorze złamanej bieli, z lekko zrogowaciałą skórką u nasady – natomiast u drugiej, a właściwie przy łapie, wydawały jej się równie dziwaczne i obce jak za pierwszym razem, kiedy je ujrzała.

– I co jeszcze ze sobą przyniesiecie? – odezwała się do nich na głos.

Chwała Bogu, nadal nie ma ogona, bo nie wie, jakby go ukryła, a nie potrafiła też sobie wyobrazić, jak miałyby zniknąć w jej ciele. Spojrzała jeszcze na stopy, z których mama w nocy zdjęła skarpetki. Nawet tego nie poczuła. Ciekawe, czy dlatego, że tak mocno spała, czy też zapach i dotyk mamy oraz powodowane przez nią dźwięki były znajome i nie budziły poczucia zagrożenia? Czyżby instynktownie wyczuwała nawet przez sen, że jest bezpieczna? Kot Amy spędzał nieraz cały dzień, śpiąc w nogach jej łóżka. Można go było głaskać, ile się chciało, a on tylko się przeciągał, nawet nie otwierał oczu, i spał dalej.

A może zemdlalam?

Ta myśl była bardziej przerażająca.

Wyciągnęła palce u stóp, które słońce zabarwiło na różowo. Potem je wygięła. Żadnych pazurów! Czyżby to już koniec zmian fizycznych?

Wstała i przeciągnęła się, chłonąc przyjemne ciepło poranka.

Potem ruszyła na górę, żeby umyć zęby i resztę. Ale najpierw ma coś jeszcze do zrobienia.

Poszła do swojego pokoju i otworzyła szufladę. Mus–

mus podbiegł w jej kierunku, nie mogąc się doczekać, kiedy dostanie swój przysmak. Rzuciła mu cheeriosa, który odbił się z hałasem. To zdenerwowało myszkę, przyzwyczajoną do znacznie delikatniejszego traktowania. Chloe powoli wyciągnęła rękę i podstawiła palec pod mały pyszczek. Mus–mus pochylił się, przez chwilę go obwąchiwał, po czym pisnął, rzucając chrupkę, i uciekł.

– Nie lubisz kotów, nawet tych miłych... – szepnęła Chloe.

Po przemocy to kolejna rzecz związana z zachodzącymi w niej zmianami. Zagryzła usta, bo poczuła, że lada chwila się rozpłacze.

– W porządku, Mus–mus. – Sięgnęła w głąb szuflady, żeby go wyjąć.

Uciekał tak rozpaczliwie przed jej ręką, że musiała wysunąć pazury, by bardzo delikatnie otoczyć go nimi jak klatką. Podniosła myszkę w górę i dostrzegła przerażenie w oczach zwierzątka, które jeszcze kilka dni temu było jej najbliższym powiernikiem. – Żegnaj – szepnęła. – I powodzenia.

Potem nachyliła się i otworzyła pazury w pobliżu nóg łóżka. Musmus bez chwili wahania zeskoczył i błyskawicznie się ukrył. Chloe ponownie westchnęła i otarła łzy. Ułożyła mu jeszcze piramidkę chrupek na podłodze, na wypadek gdyby na początek jej potrzebował.

Będę za tobą tęsknić.

Stała pod prysznicem, starając się zmyć z siebie wszystko, co czuła, i na nowo rozpocząć dzień. Potem

ubrała się w top bez rękawów i džinsy, nie zawracając sobie głowy majtkami. *Koty nie noszą bielizny*, pomyślała, ale wcale jej to nie rozbawiło. Poprawiła stanik. *Ale ten kot musi mieć coś podtrzymującego na górze*. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jakby się czuła, mając osiem sutków tej wielkości co jej piersi.

Nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Trochę pochodziła po domu i poukładała różne rzeczy. Umyła lodówkę, żeby wyręczyć mamę. Chwilę posiedziała przed telewizorem, przeskakując z kanału na kanał. W końcu przygnębienie stało się tak silne, że położyła się beczynnie na kanapie.

Czy zrezygnowałabym z pazurów, gdyby to oznaczało, że skończą się te szalone ataki na mnie, moje życie znów będzie normalne, a Mus–mus wróci?

Nawet gdyby miała taki wybór, wcale nie była pewna swojej odpowiedzi.

Nieśmiałe pukanie do drzwi wyrwało Chloe z długiego, głębokiego snu. Wyjrzała przez okno, poprawiając naszyjnik kolczugę.

Na progu stali Amy i Paul.

Chloe zmarszczyła brwi. Wcale nie była pewna, czy jest już gotowa na to spotkanie. Jednak zeszła na dół i otworzyła drzwi.

– Chloe – odezwała się Amy. I ona, i Paul zauważyli seksowny top Chloe, ale potem natychmiast utkwili wzrok w miejscu w pobliżu jej lewego barku i na chwilę odjęło im

mowę.

– Eee... Twoja mama do nas zadzwoniła, to znaczy do Amy – wyjaśnił Paul, bo Amy nadal nie mogła oderwać oczu od rany. Chloe oczyściła ją pod prysznicem i posmarowała maścią antybiotykową, ale i tak była duża, głęboka i czerwona. Dobrze się goiła, lecz wyglądała pa-skudnie. – Powiedziała, że jesteś chora.

– Aha. W porządku, wchodźcie. – Otworzyła drzwi na całą szerokość i odwróciła się, żeby pójść przodem. Przyjaciele posłusznie podążyli za nią. – Macie na coś ochotę? Cola? Dietetyczna cola?

– Cola – odparł Paul z roztargnieniem.

W pokoju zapanowała przygniatająca cisza, jak w muzeum. Zapadał już zmierzch i wszystko wydawało się przydymione, jakby pokryte cienką warstewką ciemnego kurzu. Zupełnie jak w domu babci. Dźwięki wpadały i znikwały w pokoju jak krople spadające do nieruchomego czarnego jeziora.

– Co ci się stało w rękę? – spytała w końcu Amy.

Chloe odwróciła się od lodówki i rzuciła Paulowi colę.

– Zostałam zaatakowana na ulicy przedwczoraj w nocy – odparła bezbarwnym głosem.

– Przez tego menela – podsunęła Amy z nadzieją.

– Nie, przez kogoś innego. Kogoś z nożem. Kogoś, kto najwyraźniej mnie *prześladuje*.

Wszyscy troje przez chwilę milczeli. Amy niemal gi-nęła w ogromnym pikowanym płaszczu w srebrnym ko-lorze – czymś, co wyglądało jak połączenie stroju alfonsa

i londyńskiego didżeja. Włosy miała pozwijane w supełki i upięte, a na szyję zarzuciła limonkowozielony cienki szalik. Paul był ubrany bardziej swobodnie – choć równie skrepowany – w dzinsy i skórzaną kurtkę, co jak na niego było zadziwiająco normalnym strojem.

– Czy to ktoś znajomy? – spytała w końcu Amy.

– Nie.

– Zadzwońska na policję?

– Jeszcze nie.

Amy musiała wyczuć coś w jej tonie, bo nie zadała oczywistego pytania: dlaczego.

Powiedziała za to powoli:

– Wygląda na to, że mamy mnóstwo do nadrobienia.

– Tak? – Chloe postarała się, żeby zabrzmiało to objętnie.

– Nie zdawałam sobie sprawy... nie mówiłaś mi... – Długa pauza. – Nie było mnie przy tobie, chociaż mnie potrzebowałaś, prawda? – stwierdziła cicho Amy.

– Prawda – zgodziła się, ale bez złośliwości w głosie.

– Paul mi powiedział, jak się czułaś. – Amy nagle roześmiała się z wysiłkiem. Paul stał zażenowany ze spuszczonego wzrokiem. – *Paul* mi powiedział. *Co czułaś*. To po pierwsze. – Rzeczywiście, normalnie to któraś z nich domagała się od drugiej, żeby porozmawiała z zamkniętym w sobie Paulem. – Nawaliłam, wiem, a potem się wkurzyłam, bo umawiałaś się z Alekiem. *I* tym drugim facetem. Zupełnie, jakbyś nagle stworzyła sobie całe życie poza mną.

– *Halo?* – Chloe wskazała na Paula.

– Wiem, wiem – westchnęła Amy.

– Jak chcecie, mogę wyjść – zaproponował chłopak, nieco zirytowany sposobem, w jaki go traktowały.

– Myślałam, że będziesz zachwycona, że jesteśmy razem. Nawet zechcesz to uczcić – ciągnęła Amy. – To przecież idealna sytuacja. No wiesz... Dwoje twoich najlepszych przyjaciół spotyka się ze sobą.

– Idę do... hmm... łazienki – oznajmił Paul, po czym wstał i wyszedł.

– No, to już naprawdę egomaniackie z twojej strony – wypaliła Chloe, z jednej strony trochę żałując, że delikatniej nie dobrała słów, z drugiej zadowolona, że tak właśnie powiedziała. – Ja tak naprawdę nigdy z *nikim* się nie umawiałam, a ty miałaś pełno chłopaków. I teraz ty i mój jedyny bliski przyjaciel postanowiliście się spotykać wyłącznie ze sobą. Jak *twoim zdaniem* się czułam?

– To dlatego nagle zaczęłaś się umawiać z tymi wszystkimi chłopakami? – spytała gniewnie Amy.

– O jakich „wszystkich chłopakach” mówisz? Jest tylko Alek, który wspaniale całuje i jest zabawny, oraz Brian, którego poznałam w sklepie. A, i Xavier, ten facet poznany w klubie w nocy po upadku z wieży, kiedy zostałam kompletnie sama i dziwacznie się czułam, i wydzwaniałam do ciebie w rozmaite miejsca, a ty byłaś zajęta Paulem.

Amy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale się nie odezwała.

– Zresztą jego właściwie nie liczę – przyznała Chloe. – Od tamtej nocy widziałam go tylko raz. *I był bliski śmierci.*

– Czemu nie powiedziałaś mi tego przy obiedzie, kiedy... – Amy nagle urwała, przypominając sobie urodzinową pizzę i to, jak nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć przyjaciółce o *swoich* przeżyciach z Paulem poprzedniej nocy.

– Bo miałam wrażenie, że potrzebujesz, żeby cię wysłuchać – odparła cicho Chloe. – Uznałam, że to, co robiłam z Xavierem, nie było tak ważne jak to, co działo się między wami.

Oczy Amy zwilgotniały.

– Tak mi *przykro* – powiedziała w końcu, starając się nie rozplakać. – Wiem, że *zupełnie* nie mogłaś na mnie liczyć i czułam się winna z tego powodu, ale byłam zła i zajęta Paulem, a im dłużej ze sobą chodziliśmy, tym silniejsze było poczucie winy i gniew...

– W porządku – przerwała jej Chloe, powstrzymując uśmiech. Cała Amy. Taka strasznie uczuciowa, ale też i szczerą do bólu – jak się ją dostatecznie długo naciska. Teraz Amy złapała ją w objęcia tak mocno, że zabrakło jej tchu.

– Zaraz, zaraz, a nie sądzisz, że dwa ataki w ciągu jednego miesiąca to trochę dziwne? – spytała nagle przyjaciółka, ocierając łzy z oczu.

– Nie masz nawet bladego pojęcia o tym, co się dzieje – odparła Chloe z gorzkim uśmiechem.

– Słuchajcie. – Paul najwyraźniej uznał, że może

wrócić. – Może przeszlibyśmy przez most jak dawniej.

Amy i Chloe spojrzały na siebie. *Dlaczego nie?*, pomyślała Chloe, starając się odsunąć myśl, że „dawniej” to było zaledwie miesiąc czy dwa temu.

Podczas jazdy autobusem do Golden Gate Chloe opowiedziała przyjaciółom o Aleku – pomijając epizod z kradzieżą samochodu – i o Brianie, przy czym bardziej się skupiła na tym drugim oraz swoim rozczarowaniu, kiedy okazał się takim dupkiem. Oboje się zmartwili, kiedy wyznała, że znał imię Aleka i kazał jej go unikać.

– Czy to nie dziwne, że miałaś do czynienia z dwoma prześladowcami w tak krótkim odstępie czasu? – spytał Paul, nie wiedząc, że powtarza wątpliwości Amy. – Nie sądzisz, że...

– ...że Brian wynajął psychologa z nożem, żeby mnie przestraszyć?

– Albo Alek – szybko wtrąciła Amy. Choć dopuszczała możliwość, że ten chłopak może nie być źródłem wszelkiego zła we wszechświecie, to jednak nie traciła nadziei, że jest.

Chloe i Paul pominęli to milczeniem.

– Może jednak *powinnaś* zadzwonić na policję – podsunął Paul „poważnym” tonem.

– To nieco bardziej skomplikowane niż się wydaje – westchnęła. Jeszcze nie wiedziała, ile im powie, ale na razie nie była gotowa na więcej.

Może na moście. To będzie odpowiednie miejsce.

Kiedy wysiedli, musieli lawirować wśród tłumu powoli poruszających się ludzi – pstrykających zdjęcia i tworzących przypadkowe grupy, jak bizona z parku Golden Gate. Paul kupił po drodze colę w automacie. Dawniej kończył ją, zanim doszli do środka mostu, po czym w trójkę pisali liścik, zamykali go w butelce i wrzucali ją do wody. Kiedy byli jeszcze młodszy, udawali, że znajdują się na samotnej wyspie, a most prowadzi do innego świata i jest dla nich początkiem długiej, wspólnej wyprawy.

Natomiast teraz starali się wyglądać jak najbardziej normalnie i grzecznie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi żołnierzy Gwardii Narodowej. Dawno minęły czasy, gdy można było zrzucić coś z mostu.

– Zupełnie jakbyśmy żyli w stanie wojennym – oburzyła się Amy.

– Nie, myślę, że są tu po to, żeby nas chronić – nie zgodził się Paul.

– Podoba mi się twoja spódnica – pochwaliła Chloe, widząc w rozchyleniu płaszcza przyjaciółki zszytą z klinów, rozkloszowaną dzinsową mini przypominającą spódniczkę baletnicy.

– Dzięki – odparła nieśmiało Amy. – Uszyłam ją w zeszłym tygodniu. Chciałabym zrobić cały komplet, taką Dzinsową Księżniczkę. – Odchyliła srebrny płaszcz, pokazując dopasowane do spódniczki getry, rozszerzające się jak nogawki spodni dzwonów. Chloe raczej nie założyłaby czegoś takiego na *siebie*, ale pomysł był super.

– Twoja mama naprawdę powinna ci pozwolić pracować w Pateenie.

– I komu to mówisz! – Amy kopnęła kamień, potem jeszcze raz, drugą stopą, a w końcu zaczęła go przerzucać w przód i w tył jak piłkę do gry w piłkę nożną, dopóki przypadkiem nie wybiła go na kilka metrów przed siebie. Pobiegnęła po niego, łopocząc powiewającym za nią puchatym płaszczem. Chloe roześmiała się głośno.

– We wtorek był nasz jubileusz – oznajmił Paul.

– Słucham?

– Zrobiła dla mnie kartkę. I napisała wiersz – dodał dwuznacznym tonem, z kamienną twarzą. Chloe przyglądała mu się przez chwilę uważnie, zanim pozwoliła sobie na uśmiech.

– Ale przynajmniej nie odczytała go przed całym tłumem w kawiarni – pocieszyła go.

– Taaa – westchnął z ulgą.

Dogonili Amy w połowie mostu. Przechylała się przez barierkę i pluła.

– Mówiłem ci przecież, że to *mit!* – Paul aż podparł się pod boki z irytacji.

– Wcale nie – zaprzeczyła Chloe i również się przechyliła i splunęła. – Jeśli wyceluje się odpowiednio do kierunku wiatru, to naprawdę polecą z powrotem w górę.

– Jesteście obrzydliwe – oświadczył Paul, obracając się plecami do barierki. Wyciągnął z kieszeni papierosa i osłonił go dłońmi, żeby zapalić na wietrze. Czerwone światło słoneczne od dołu oświetlało mu twarz, co wy-

glądało, jakby padał na nią blask ognia z kominka.

Niestety, kiedy wiatr zmienił kierunek, dym poleciał prosto na Chloe, co boleśnie odczuła przy swoim świeżo wyostrzonym zmyśle węchu. Odwróciła głowę do wiatru, starając się nie krztusić.

– Zamierzasz skoczyć z *tej* barierki? – spytała Amy, stukając palcem w metal.

Chloe się uśmiechnęła.

– Raczej nie. To by się nie spodobało tamtym chłopcom w zielonych mundurach.

– Słuchajcie, już wiem! – odezwał się nagle Paul. Rozłożył ręce, jakby ta myśl dosłownie go uderzyła. – Ty przecież *miałaś* nie żyć! Po upadku. I teraz, tak jak w tych filmach *Oszukać przeznaczenie*, śmierć stara się nadrobić to niedopatrzenie. To wszystko wyjaśnia – i tego bezdomnego, i tego faceta, który próbował cię zabić.

– *Dziękuję* ci bardzo. Ty naprawdę potrafisz dodać człowiekowi otuchy. Ale gdyby twoje wyjaśnienie było słuszne, to nie tylko ludzie próbowaliby mnie dopaść, ale też na przykład samochody... Albo... o, ten *most* mógłby się zarwać i pogrzebać mnie pod sobą.

– No może. – Paul zrobił kilka kroków do tyłu, uważnie wpatrując się w nawierzchnię.

– Zresztą, jak mówiłam, to jest o wiele bardziej skomplikowane.

– A właściwie, co ty *robiłaś*, chodząc sama w nocy? *I to dwa razy?* – zainteresowała się Amy. Nadal się bawiła kamieniem, kopiąc go i posyłając w poprzek na drugą

stronę.

Cała trójka ruszyła dalej mostem, rzucając za sobą długie, czarne cienie. Poza nimi jeszcze kilka osób podziwiała zachód słońca, a czasem ze świstem przemknął obok nich rowerzysta. Natomiast przed nimi cały most był pusty. Mieli go wyłącznie dla siebie – rozciągał się przed nimi niczym koniec filmu. Tak, to był właściwy nastrój i moment. Teraz już wiedziała, ile chce im powiedzieć.

Chloe wzięła głęboki oddech.

Z cienia od strony barierki oddzielającej jezdnię wyszła nagle jakaś postać i zagroziła im drogę.

– Hej, pamiętacie, jak wam mówiłam o tym świrze z nożami? Nie menelu, tylko tym drugim?

– Tak? – spytali Paul i Amy, trzymający się za ręce.

– To on.

Łowca stał przed nimi niewzruszony i wpatrywał się w nią z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 20

– Chloe King.

W każdej ręce trzymał sztylet. Nie miał dziś kurtki, tylko czarny golf, który wyglądał jak wykonany z neoprenu – albo maskował jakieś zabezpieczenie.

Brian powinien tak właśnie się ubierać, pomyślała Chloe z roztargnieniem.

Spodnie i buty miał te same co poprzednio, a gęste blond włosy ściągnięte w kucyk, który kończył się u nasady szyi.

– Hej! – krzyknął Paul, który, jak się okazało, szybko myślał. Przyłożył dłonie do ust i jeszcze raz zawołał: – HEJ! – licząc, że usłyszą go gwardziści. Niestety, wiatr zagłuszył jego wołanie.

– Myślisz, że twoi ludzcy przyjaciele pomogą ci ocalić życie? spytał mężczyzna z udawanym zaskoczeniem. – Fakt, że się z nimi trzymasz, nie oznacza, że jesteś jedną z nich.

– Ja pierdolę – odezwała się Amy, która dotąd stała z otwartą buzią.

– No cóż... – Chloe oceniła odległość, jaka ich dzieliła – jakieś siedem i pół metra. Wystarczy, żeby uciec?

A co z Paulem i Amy?

– Nie mam pojęcia, o czym gadasz – odkrzyknęła.

– To znaczy, że oni nie znają twojej *prawdziwej natury*? – zauważył zaskoczony.

– Biegniemy w różnych kierunkach? – szepnęła Amy, która zaczynała być naprawdę przerażona. – Czy co robimy?

– *Powinni.* – Mężczyzna szedł powoli w ich kierunku, wbijając na zmianę wzrok w oczy Paula i Amy, jak kobra podejmująca decyzję, kogo najpierw zaatakować. – Ona wcale nie jest waszą przyjaciółką. Nie należy nawet do waszego gatunku. *Naszego* gatunku – rozpaczliwie starał się im wytłumaczyć. – Jej pobratymcy chcą zniszczyć ludzkość. Rządzić światem. Pokonać samego Boga.

– Chloe? – spytał Paul. Nie chodziło mu o przemowę napastnika, tylko, podobnie jak Amy, zastanawiał się, co zrobić. Odruchowo cała trójka zaczęła powoli się wycofywać, w takim samym tempie, w jakim mężczyzna posuwał się do przodu.

– Biegnijcie! – syknęła Chloe. – *Teraz!*

I Paul z Amy ruszyli biegiem.

Łowca roześmiał się głośno i popatrzył w ślad za jej przyjaciółmi.

– Jakie to słodkie! Chronisz ich? Czy pilnujesz, żeby prawda nie wyszła na jaw?

Czuła w duchu, że raczej to drugie. I miała rację, bo zanim napastnik ponownie na nią spojrział i cisnął w nią sztyletami, zdążyła opaść na czworaka i na niego skoczyć. Słyszała, jak rzucone z zabójczą precyzją noże świsnęły jej nad głową. Gdyby nadal stała, utkwilyby jej w brzuchu.

Jeszcze dwa odbicia i dopadła z rykiem do jego klatki piersiowej. Nie był to przemyślany atak, tylko wykorzy-

stanie ruchu, rozpędu i zaskoczenia, żeby zyskać przewagę, choćby chwilową.

Zanim jednak zdążyła wbić pazury w jego ciało, schylił się, złapał ją od dołu i popchnął, wykorzystując jej własny pęd, żeby ją przerzucić za swoją głowę. Na szczęście udało jej się bezpiecznie wylądować na wszystkich czterech kończynach.

Latające sztylety nie zabijają ludzi, pomyślała Chloe, odskakując na bok w ostatniej chwili i chwytając się barierki oddzielającej chodnik. *To ludzie zabijają ludzi.*

– Nic nie szkodzi – dobiegł ją głos napastnika. – Nawet jeśli to ty jesteś Wybraną, to mam dosyć ostrzy na was wszystkich.

Co to, u diabła, ma znaczyć? A poza tym, dlaczego on nie ma broni palnej jak normalny psychopata?

Chloe obróciła się, wskoczyła na barierkę i pobiegła po niej do grubego słupka w kolorze rdzawej czerwieni. Podskoczyła, objęła jego boki nogami i zaczęła pisać się w górę. Głośny brzęk poniżej uświadomił jej, że rzucony przez napastnika sztylet niemal trafił ją w stopę.

Bez namysłu skoczyła w kierunku następnego słupka, pokonując trzymetrową przestrzeń tuż nad jego głową. Za nią rozległ się świst shurikena, który chybił i poleciał wyżej w niebo. Odwróciła się, jakby chciała skoczyć z powrotem – jakby była przerażona i straciła głowę.

Ale w ostatniej chwili rzuciła się prosto na niego.

Jej pazury *w końcu* dosięgły jego ciała, prześlizgując się po kewlarze, czy co tam nosił, i wbijając się tam, gdzie

się kończył. Na chwilę się zwarli i z głuchym łomotem wylądowali na ziemi. Chloe starała się przede wszystkim drapać, gdzie tylko mogła dosięgnąć, a jednocześnie przez cały czas wymachiwać nogami w nadziei, że trafi w końcu w krocze. On z kolei usiłował zamknąć ją w uścisku swoich nóg, które były naprawdę silne i mocno umięśnione. Kiedy Chloe poczuła, że traci siły, natychmiast odskoczyła na bezpieczną odległość. Gdy tylko stanęła na nogi, odwróciła się twarzą do niego, gotowa na następny atak.

Nagle tuż przy jej uchu zabrzmiał złowieszczy furkot, po czym rozległo się brzęknięcie metalu o metal. To gwiazdka do rzucania przeleciała obok jej głowy i odbiła się od słupka tuż nad Łowcą, który właśnie się podnosił. Chloe obróciła się na pięcie.

Po jej drugiej stronie, w odległości jakichś sześciu metrów, stał Brian. Na jego twarzy malowało się cierpienie, a w ręce trzymał kolejną gwiazdę.

Brian...?

Chloe przez chwilę nie potrafiła zrozumieć, co widzi, ale shuriken w jego dłoni nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Poczuła dojmujący ból, a jednocześnie zalały ją rozpacz i gniew. Wiedziała, że teraz najważniejsze jest to, jak poradzić sobie z dwoma napastnikami, ale ta niespodziewana zdrada pozbawiła ją sił. Wreszcie zrozumiała wiele spraw... Przypomniała jej się treść listu: *Uważaj na to, w jakim towarzystwie przebywasz.*

Brian ruszył w jej kierunku.

– Nie podchodź do mnie, ty... *świrze!* – wrzasnęła. – *Naprawdę* mnie śledziłeś. I pomyśleć, że wydawało mi się... Teraz wszystko, co robiliśmy... nie ma żadnego znaczenia!

– Chloe, nie! Ja...

Chloe usłyszała za sobą jakiś chrobot. Obróciła się i stwierdziła, że napastnik jest już na nogach i zbliża się do niej. Dostrzegł Briana, a wówczas na jego ustach pojawił się uśmiech.

Uświadomiła sobie, że znalazła się w pułapce.

Rozejrzała się gorączkowo, ale jedyną drogą ucieczki był skok z mostu. Ruszyła ku barierce.

– Nie – krzyknął Brian. – Chloe!

Jakaś postać skoczyła prosto na niego z rozłożonymi rękami i wyciągniętymi pazurami. Chloe zdążyła jeszcze dostrzec wściekłe lodowatoniebieskie oczy i strzechę miodowych włosów, zanim tamci potoczyli się po ziemi w zacieklej walce.

Alek. Alek był drugim człowiekiem kotem. Całkowicie błędnie odczytała wszystkie sygnały dotyczące tych dwóch. A powinna była jakoś to wyczuć...

– Mam go! – zawołał Alek. – Bierz tamtego sukiny-na!

Chloe poczuła przyływ nowych sił. *To* był jej partner i ją osłaniał. Teraz jej kolej. Odwróciła się, żeby stawić czoło Łowcy.

Golf z prawej strony miał w strzępach, które spływały powoli wraz z krwią. Na jego ramieniu widniał dziwny

tatuaż, którego nie potrafiła odcyfrować. Krew kapłała też z kącika jego ust, zapewne wskutek uderzenia głową o ziemię. Wytarł ją dłonią, po czym znacznie więcej wypłuł.

Oczekiwała, że powie coś głębokiego, jak w filmach, tymczasem on nagle zaczął ciskać dziesiątkami gwiazdek, które pojawiały się w jego palcach jak róże u iluzjonisty.

Szaleńczo tańcząc i podskakując, zdołała uniknąć większości pocisków.

– Kolejny z mego Bractwa przybył, żeby strzec i pomóc w sprawie! – Coraz szybciej miotał shurikeny.

Chloe zatoczyła się i upadła, kiedy jeden z nich wbił jej się w bok.

– Myślałaś, że on jest twoim... chłopakiem? Polował na ciebie tak jak ja. – Zaśmiał się złowieszczo.

Podczas gdy Chloe usiłowała wstać, sięgnął do boku i wyciągnął broń, która choć mniejsza od maczety, była znacznie większa od jego poprzednich noży. Rana piekła ją jak ogień, a za każdym razem, gdy się poruszyła, miała wrażenie, jakby jej ciało się rozdzierało.

Łowca ruszył w jej kierunku.

Chloe czuła wiatr rozwiewający jej włosy i widziała, jak napastnik powoli się zbliża, ale ból tłumił wszelkie dźwięki i myśli. Ledwo do niej docierały krzyki Briana i Aleka obrzucających się wyzwiskami oraz głuche uderzenia, kiedy któremuś z nich udało się zadać cios.

Uświadomiła sobie, że jeśli nikt jej nie pomoże, lada chwila może zginąć.

A potem ogarnęła ją wściekłość.

Jak śmiesz!

– Jak śmiesz! – wrzasnęła. Wyrwała gwiazdę z boku, krzywiąc się z bólu, i rzuciła ją na ziemię. – Co ci, *u diabła*, zrobiłam?! Lub *komukolwiek*? Nie prosiłam o to wszystko!

I ruszyła pędem w jego stronę, nie czując już bólu, wypartego przez ślełą furię.

Zamachnął się nożem, lecz ona rzuciła się w bok i przeorała jego rękę ostrymi pazurami. Krzyknął, przelazując broń do lewej dłoni. Ale Chloe jeszcze nie skończyła. Okręciła się wokół własnej osi i końcem stopy kopnęła go z całej siły w kark, wbijając kewlarowy kołnierz w ciało.

– Spadaj! – krzyknęła. – Wynoś się z mojego życia!

Dzika furia stopniowo ustępowała, pozwalając jej na chłodniejszą i bardziej logiczną ocenę sytuacji. Z łatwością przewidywała każdy cios, kopnięcie i zamach i natychmiast kontratakowała. Nie dała mu ani chwili na wyciągnięcie kolejnego noża czy gwiazdy.

Cofał się przed nią powoli, aż w końcu jego plecy oparły się o barierkę.

– Ile... innych... osób... zabiłeś? – Każdemu słowu towarzyszyło kopnięcie w brzuch.

W ostatniej chwili zdołał się podciągnąć i przeskoczyć przez barierkę, która teraz chroniła go przed jej ciosami.

– Ty pierdolony psycholu! – warknęła mu prosto w twarz.

Mimo bólu i krwi zdobył się na uśmiech.

– Służę Panu. Niechaj się spełni jego wola.

– Pewnie, powiedz to...

W tym momencie Łowca się poślizgnął.

Chloe zamarła na chwilę, zdezorientowana, bo zupełnie się tego nie spodziewała.

– Chloe! Nie zabijaj go! – zawołał Brian. Próbował biec, żeby ją powstrzymać, ale Alek ponownie przewrócił go na ziemię.

Przechyliła się przez barierkę, obserwując, jak jej prześladowca huśta się w podmuchach wiatru i kurczowo trzyma krawędzi.

Wykończ go! Każda cząsteczka jej ciała pragnęła nadebrać mu na palce, przeorać twarz, patrzeć z uśmiechem, jak powoli traci siły, ześlizguje się i spada.

Próbował cię zabić! Polował na ciebie, jakbyś była zwierzyną!

Nawet ludzka strona jej natury podpowiadała jej to samo: to niebezpieczny psychopata, który nie powinien przekazywać dalej swoich genów.

Potem wyciągnęła do niego rękę.

Nie mogę. Walka to jedno, ale nie potrafię zabić kogoś z zimną krwią.

– Hej! Ty tam, na moście. Odejdź od barierki.

Wzmocniony megafonem głos sprawił, że wszyscy odruchowo się obrócili. Zobaczyli wznoszący się gdzieś z dołu helikopter, który skierował na most światło reflektora.

Chloe również spojrzała w górę...
I wtedy Łowca spadł.

ROZDZIAŁ 21

– Nie! – krzyknęła, próbując go złapać. Jej dłoń bezsilnie przecięła powietrze.

– Zbliżają się – rzucił Brian, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Chloe nadal stała przechylona przez barierkę, spoglądając z zaskoczeniem i niedowierzaniem na znajdującą się poniżej wodę. Wątpiła, by udało mu się przeżyć upadek tak jak kiedyś jej. Miała wrażenie, jakby ktoś nagle zamknął książkę, której już nigdy nie będzie dane jej przeczytać, przez co nie dowie się, dlaczego on miał w sobie tyle nienawiści. Zamiast ulgi poczuła, że nie doprowadziła sprawy do końca, co więcej, że czegoś będzie jej odrobinę brakowało.

– Musimy się stąd wynosić – powiedział Alek, ciągnąc ją za rękę.

Pobiegli przed siebie.

Choć była wyczerpana po walce, a siły opuszczały jej ciało wraz z krwią wypływającą z rany w boku, odczuwała przyjemność z biegu. Kiedy wskoczyła na poręcz, żeby później zeskoczyć z mostu, i balansowała na jej śliskiej metalowej powierzchni, Alek biegł zaraz za nią.

Postanowiła uciekać w kierunku półwyspu Marin Headlands. Przeskakiwała między przejeżdżającymi samochodami i nad zagradzającymi jej drogę płotami, jakby potrafiła unosić się w powietrzu. Alek pędził obok niej.

Dotrzymywał jej kroku, kiedy wbiegali na wzgórze, i przeskakiwał nad kamieniami z dobrze jej znaną kocią gracją.

Uśmiechnął się, kiedy spojrzała w jego stronę.

Drugi człowiek kot.

Przyjaciel.

Minęli szczyt wzgórza i ruszyli po zboczu. Niebo na zachodzie wciąż jarzyło się odcieniami różu i pomarańcza. Widoczne tu i ówdzie pary i rodziny wpatrywały się w nie, popijając z termosów, szczelnie otulone w koce.

Dawno zostawili w tyle piechurów Gwardii Narodowej, ale wciąż gonił ich helikopter, który przeleciał nad zatoką, podążając wzdłuż mostu. Było oczywiste, że Amy i Paul maczali w tym palce – wciąż starali się ją uratować, mimo że zmusiła ich, by ją porzucili.

Chloe skoczyła. Helikopter i tak nie namierzy jej ani Aleka. Poruszali się zbyt szybko. Miała ochotę krzyczeć z radości.

Zamiast tego krzyknął Alek – z bólu – i upadł na jedno kolano, a następnie potoczył się po ziemi.

Chloe natychmiast się zatrzymała i podbiegła, żeby mu pomóc. Trzymał się za nogę, z której sterczał shuriken.

– Cholera – burknął, wyciągając go i krzywiąc się przy tym z bólu.

– Co do... – Chloe odwróciła się, aby zlokalizować napastnika.

Niecałe dziesięć metrów za nimi stał Brian z kolejną gwiazdką w dłoni.

Ruszył biegiem w ich stronę.

– Ten *dupek!* – warknął Alek, podnosząc się z pewną trudnością.

Chloe zasłoniła go, stając między nim a Brianem.

– Kim on jest? Dlaczego chce mnie zabić?

– Jest członkiem Bractwa Dziesiątego Ostrza – wypluł Alek. – Powinienem być się domyślić na samym początku.

– Chloe... poczekaj... – Brian ich dogonił. Chloe napięła mięśnie, gotowa rzucić się na niego.

– Przyszedłeś mnie dobić? – zapytała.

– Nie chciałem *zabić* ciebie! – zaprotestował Brian. – Próbowałem dopaść *Aleksandra!*

– Ehe – wykrzywiła się Chloe. Bardzo jej jednak zależało, żeby się okazało, że mówi prawdę. Chciała wierzyć, że ktoś, z kim tak szybko się zaprzyjaźniła, nie potrafiłby jej wytropić i zabić. – A co z Alekiem? Czy on również należy do mojej rasy, którą ty i twój... *przyjaciel* pragniecie wytepić?

– Nie chciałem cię skrzywdzić, ale nie mogłem wam pozwolić biec dalej.

– Nie chciałeś? – zapytał Alek, wskazując na krew broczącą z nogi.

– Nie mogłem wam pozwolić dalej uciekać – powtórzył Brian. Brązowe oczy, którymi wpatrywał się w Chloe, były szeroko otwarte i błagały, by mu uwierzyła. – Gdybyście pobiegli dalej w kierunku zatoki... Czeka tam na was co najmniej tuzin albo i więcej... naszych. Na wypadek, gdyby udało wam się uciec. Niektórzy mają przy sobie

bardziej... konwencjonalną broń.

– Co to, do cholery, jest Bractwo Dziesiątego Ostrza?!
– zażądała wyjaśnienia Chloe. – I co cię z nimi łączy?

– Ich jedynym celem jest zabijanie takich jak my – powiedział Alek.

– To nie tak, nie zabijamy wszystkich...

– Powiedz to Łowcy!

– Tylko tych, którzy są *niebezpieczni*!

– A jaka jest Chloe? Też niebezpieczna? – warknął Alek i rzucił się w jego kierunku, przepychając się obok Chloe. Wyciągniętymi na pełną długość pazurami – krótszymi i grubszymi niż Chloe – celował w jego gardło.

– PRZESTAŃ! – Chloe odepchnęła Briana na bok i powstrzymała Aleka, stanowczo opierając dłoń na jego barku. Mimo to było widać, że jest wściekły i nie panuje nad emocjami.

Nie zastanawiając się, zdzieliła go dłonią w bok głowy, żeby się otrząsnął.

Zupełnie jak kotka swoje kociaki, zdała sobie sprawę chwilę później.

Alek, nieco ogłuszony, potrząsnął głową i wycofał się niepewnym krokiem.

– To dlatego spędzałeś ze mną tyle czasu? – spytała Chloe. – Pilnowałeś mnie, żeby mogli mnie zabić? – Spojrzała Brianowi prosto w oczy. Wszystko układało się w sensowną całość i wyglądało tysiąc razy gorzej niż podejrzewała.

– Nie! To znaczy miałem sprawdzać, co robisz, do-

wiedzieć się o tobie jak najwięcej, rozmawiać z tobą. Zostać twoim... przyjacielem. – Przez chwilę patrzyli sobie w oczy: było oczywiste, że miał na myśli coś zupełnie innego. Zwiesił głowę. – Potem odkryłem, że Łowca obrał sobie ciebie za cel, więc postanowiłem, że spróbuję cię obronić. Próbowałem ich przekonać, żeby zostawili cię w spokoju, ale mi się nie udało.

– Nie wierz tej durnej małpie! – rzucił Alek.

– Przecież tu stoję i z wami rozmawiam, tak?! – krzyknął Brian. – Dlaczego miałbym *teraz* kłamać?

– Nie wierzę. – Chloe odsunęła się od niego. – Nie wierzę, że jesteś członkiem grupy, która pragnie mojej *śmierci*.

– Sprawa jest bardziej skomplikowana, Chloe – wyjaśnił Brian zmęczonym głosem. – Nawet Alek ci to powie.

– Dlaczego w takim razie ostrzegałeś mnie, żebym trzymała się od niego z daleka? – zapytała Chloe. – Zależało ci, żebym nie poznała prawdy?

– Nie. Alek jest znanym... awanturnikiem. Nie chciałem, żebyś zwracała na siebie uwagę, zadając się z nieodpowiednimi typami.

– Wygląda na to, że zadawałam się z *odpowiednimi* typami – odparła Chloe z obrzydzeniem. – Nareszcie. – Pochyliła się i przerzuciła sobie rękę Aleka przez ramię, żeby pomóc mu iść. – Parę lat treningu w „realnym świecie”, żebyś mógł *zostać zoologiem*?

Brian oblał się rumieńcem wstydu.

– Chloe, naprawdę cię lubiłem i nadal cię lubię.

– Daj mi spokój – rzuciła Chloe, prowadząc Aleka.

EPILOG

Alek leżał na jej tapczanie, pod zranioną nogę podłożył poduszkę. Cięcie było niewielkie, ale shuriken uszkodził ścięgno, co sprawiło, że nie mógł chodzić. Rana w boku Chloe przestała krwawić, ale uporczywie bolała.

Chloe, oszołomiona i zmęczona walką, nie wiedziała, za co się zabrać, więc wyjęła z zamrażarki kilka taquitos i umieściła je w mikrofalówce. Miała w najlepszym razie godzinę do powrotu mamy. Jeśli Alek do tego czasu nie zniknie, będą mieli się z czego tłumaczyć.

– Cholera! – zaklął chłopak, przyglądając się ranie.

Chloe oparła się o kuchenkę, schowała twarz w dłoniach i nareszcie się rozplakała.

– Hej, spokojnie – szepnął pocieszająco Alek, który podniósł się z tapczanu i dokuśtykał na tyle blisko, żeby objąć ją ramieniem. – Wiem, że jest ci trudno to wszystko zrozumieć... Ale nie martw się! Wszystkiego się dowiesz. Kim jesteś, skąd się wzięłaś. Obiecuję ci też, że będziesz bezpieczna. Jest kilka osób, które powinnaś jak najszybciej poznać. Myślę, że je polubisz.

Chloe przeczuwała, że nie miał na myśli Keiry ani nikogo z jego pozostałych znajomych z liceum. Zupełnie jej to nie przeszkadzało.

TOM 2

UPROWADZONA

Mamo,

jedna z moich koleżanek, Keira, właśnie się dowiedziała, że zmarła jej babcia. Wiem, że w przeszłości nie trawiłam tej dziewczyny, ale po tym, co się stało, kompletnie się załamala. Kilku znajomych postanowiło dzisiaj u niej nocować. Keira została w domu całkiem sama, jej rodzice musieli się zająć pogrzebem i powiadomieniem reszty rodziny.

Zadzwonię wieczorem, Chloe

PROLOG

Chloe ponownie znalazła się na moście Golden Gate.

Paula i Amy już nie było. Po biegnącej przez most autostradzie nie jechał żaden samochód. Woda w cieśninie przestała płynąć. Wszystko zamarło w oczekiwaniu.

Chloe nie była zaskoczona, kiedy nie wiadomo skąd zjawił się ze sztyletami w obu dłoniach Alexander Smith – Łowca, który wcześniej próbował ją zabić. Mówił coś, nie wydając z siebie dźwięku. Pamiętała, że za chwilę ją zaatakuje, i próbowała się uchylić, lecz jej ruchy były bardzo spowolnione.

Usłyszała rozdzierający krzyk, kiedy jeden ze sztyletów dosięgnął jej twarzy. *Ale przecież tak się nie stało* – pomyślała ze zdziwieniem. *Ostatnim razem było inaczej. Powinnam na niego skoczyć...*

Uzbrojony w sztylety Łowca zbliżał się do niej z żądzą mordy w oczach.

Chloe nie mogła się ruszyć.

Wygrałam tę walkę, powiedziała sobie w duchu, ogarnięta paniką. Już przez to wszystko przechodziłam i to ja wygrałam!

Łowca zamachnął się, usiłując trafić ją sztyletem w twarz. Chloe uskoczyła w ostatniej chwili. *Zranił mnie? Czyja krwawię?*

– Brian! – zawołała, pamiętając, że powinien się przy niej zjawić. Chwila, to nie było takie proste. Komu po-

magał Brian: jej czy Łowcy? Niespodziewanie na barierce mostu pojawił się Brian, z poważną miną i skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– Kogo wybierasz? – zapytał grobowym głosem. – Mnie czy Aleka?

– Pomóż mi! – krzyknęła Chloe, usiłując wymknąć się napastnikowi.

– Same kłopoty z tobą – odezwał się Łowca z bladym uśmiechem i wbił jej sztylet głęboko w brzuch.

Upadając, zobaczyła nadbiegającego Aleka, który rzucił się na Briana.

– Nie! – wrzasnęła, gdy obaj spadli z mostu.

Łowca uśmiechnął się i nachylił tak blisko Chloe, że czuła na twarzy jego kwaśny oddech. Uniósł do góry sztylet, tym razem celując w jej szyję.

ROZDZIAŁ 1

– Nie! – Chloe obudziła się roztrzęsiona i zlana potem.
– To tylko sen – szepnęła, pozwalając napiętym mięśniom z powrotem się rozluźnić.

Wczoraj walczyła z Łowcą i wygrała, jeśli można tak to nazwać. Alexander Smith spadł z mostu, gdy nie zdołała chwycić go za rękę, i teraz nie żył. Chloe wyszła z pojedynku bez szwanku. Alek i Brian żyli. Reszta przypominała koszmar.

Pokój, w którym się znajdowała, był skąpany w kojącym półświecie, które mogło zwiastować świt, lecz Chloe czuła raczej, że zbliża się wieczór. Nie była u siebie. Wykrochmalona, elegancka pościel i aksamitne wykończenie narzuty nie pasowały do domu Kingów. Dokąd w takim razie trafiła? Powoli zaczęły do niej wracać strzępki wspomnień.

Alek przyprowadził ją tutaj po walce. Brian zranił go w udo shurikenem. Podobno próbował ich powstrzymać przed zapuszczeniem się na terytorium Bractwa Dziesiątego Ostrza, ale Chloe nadal nie była pewna, czy to prawda. Złapali taksówkę. Chloe pamiętała, jak wyjrzała przez okno i zobaczyła, że jadą mostem, zostawiając za sobą piękne światła San Francisco. W końcu się zatrzymali i Chloe została poprowadzona przez ciemną jak atrament noc do domu, w którym mimo późnej pory przywitała ich niska blondynka. Szli wąskimi korytarzami i... Chloe

usiadła na łóżku, przypominając sobie jeszcze jeden szczegół minionej nocy.

Kiedy szli korytarzem, minęło ich coś tak straszego, że Chloe wciąż się bała, chociaż leżała bezpiecznie w wygodnym łóżku.

Korytarz był pogrążony w ciemności i nagle nie wiadomo skąd pojawiła się w nim dziewczyna w wieku Chloe, poruszając się cicho niczym duch. Jej oczy błyszczały w mdłym świetle, zielone i zwężone jak u kota. Spomiędzy jej prostych, ciemnych włosów wystawały koniuszki uszu – wielkich, spiczastych, czarnych i pokrytych futrem. Nieznajoma zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Chloe pisnęła i wskazała na nią palcem. Alek wyjaśnił, że dziewczyna nazywa się Kim, a blondynka kiwnęła nonszalancko głową. Jednak nawet to proste wytłumaczenie nie uspokoiło Chloe. Nie miała pojęcia, gdzie się znalazła i kim byli ludzie, do których przyprowadził ją Alek.

– Niedługo wrócę – obiecał, gdy zatrzymali się przy drzwiach.

– Idź już, Aleku – zwróciła się do niego przyjaźnie kobieta, popychając Chloe do środka. Nie wiedząc czemu właśnie ten macierzyński ton, serdeczny, lecz nieznoszący sprzeciwu, uspokoił Chloe. Może i nie wiedziała, gdzie jest, lecz przynajmniej panowały tu normalne zasady.

Niewiele mogła zobaczyć w ciasnym pokoiku, poza łóżkiem, na którym piętrzyło się chyba z tysiąc poduszek. Chloe padła na nie, o nic nie pytając.

– Spij dobrze – odezwała się śpiewnie kobieta, przy-

krywając jej ramiona aksamitną narzutą. Mimo wyczerpania Chloe nie od razu zdołała zasnąć, a kiedy już jej się to udało, śniły jej się same koszmary: wracała na most Golden Gate i walczyła z Łowcą, najbardziej niebezpiecznym – i psychopatycznym – zabójcą Bractwa Dziesiątego Ostrza. W niektórych fragmentach snu pojawiał się Alek. Siedział i się przyglądał lub walczył u boku Chloe. Czasami widziała też Briana, który jej pomagał – tak jak w rzeczywistości – lub ją gonił – tak jak jej się z początku wydawało.

Po przebudzeniu Chloe nadal czuła się zmęczona i nie знаła odpowiedzi na dręczące ją w koszmarach pytania: *Dlaczego ja? Komu nadepnęłam na odcisk?*

Przy łóżku zauważyła niewielki stolik. Ktoś musiał go postawić, kiedy spała. Był przykryty serwetą, na której leżał talerz z różnymi gatunkami wędlin i serów, kromkami chleba, miseczkami z musztardą i innymi dodatkami. Obok puszek dietetycznej coli stał – *kryształowy?* – kielich z wodą.

Chloe zrobiła sobie gigantyczną kanapkę z dwóch kawałków grubego brązowego pumpernika posmarowanych musztardą. Pochłonęła ją w minutę, popijając wodą i dietetyczną colą. Wydała z siebie donośne beknięcie (po czym rozejrzała się nerwowo, upewniając się, że jest sama w pokoju). Jakimś cudem nie czuła się tak przerażona, jak powinna. Miała pełny brzuch, siedziała w pięknym pokoju i była bezpieczna. O dziwo, czuła się szczęśliwa.

Spojrzała dookoła: krokwie i podłoga były ze starego

drewna, ciemnego i wypolerowanego na tyle, by nie osiadał na nim kurz, ale nie na pełny połysk. Pokój wydawał się niewielki, lecz przytulny. W rogu leżał ciemny, orientalny dywan o zawiłym wzorze, na którym stał lekko wysłużony, aksamitny fotel. Jego oparcie przykrywała kolejna tkana narzuta. Staroświecka lampa podłogowa z lekko wyszczerbioną marmurową podstawą i mosiężnym stojakiem oświetlała pomieszczenie łagodnym pomarańczowym blaskiem płynącym z trzech żarówek udających płomień świecy. Gdyby Chloe miała pieniądze – i odpowiedni dom – właśnie tak by go urządziła.

Podniosła się i przeciągnęła, czując jak stawy i mięśnie wskakują na swoje miejsce. *Wreszcie czuję się sobą.* Wyciągnęła z tylnej kieszeni komórkę i włączyła ją. Bateria była naładowana w trzech czwartych. Nikt nie zostawił jej wiadomości głosowej, nawet mama. *Pewnie tyknęła cały ten kit o nocowaniu u Keiry* – pomyślała Chloe. Zadzwoiła do Amy, ale ku jej zaskoczeniu przyjaciółka nie odebrała. Amy i Paul byli przecież świadkami wczorajszego bigosu z udziałem Łowcy, Aleka, Briana i Chloe – czy nie powinni się o nią martwić?

Usłyszała dźwięk nagrywania na poczcie głosowej Amy.

– Cześć, tu Chloe. Nic mi nie jest. Zatrzymałam się u...
– zawiesiła głos, szukając właściwego słowa – dalekich krewnych. Nie dzwoń do mnie, przez jakiś czas będę miała wyłączoną komórkę. Muszę oszczędzać baterię. Jestem bezpieczna, zadzwonię później.

Zostawiła też wiadomość mamie, której nie zastała w domu.

– Hej, zostanę u Keiry trochę dłużej... – Z głębi korytarza dobiegał coraz głośniejszy stukot szpilek. – Kocham cię, zadzwonię później. Wyłączam telefon. No to pa.

Szybko zamknęła klapkę i schowała telefon. Po chwili w drzwiach pokoju stanęła kobieta. Kończyła właśnie rozmowę, prowadzoną w połowie po rosyjsku, a w połowie po angielsku przez maleńką komórkę ozdobioną mnóstwem zawieszek. Dopiero po chwili Chloe uzmysłowiła sobie, że jest to ta sama kobieta, która przyprowadziła ją tu w nocy, tylko bardziej elegancko ubrana.

– Tak – odezwała się do telefonu. – Dwa tuziny. I podziękuj Ernestowi za fioletowe długopisy. Dzieciaki je uwielbiają. *Spasiba*. – Rozłączyła się i posłała Chloe znużony uśmiech. – Czasami czuję się bardziej jak sekretarka niż dyrektor tej firmy. Jak się miewasz?

– Dobrze, dziękuję...

Trudno było określić wiek tej kobiety. Jej ciało było idealne jak u Dzwoneczka z *Piotrusia Pana*, drobne i krągłe, z wąską talią i zadziwiająco zgrabnymi łydkami, których kształt podkreślały jeszcze kilkunastocentymetrowe szpilki. Miała krótko ostrzyżone, blond włosy i czarne oczy. Jej spódnica i żakiet trochę za bardzo błyszcząły jak na gust Chloe, ale musiały być bardzo drogie. W tej kobiecie było coś niezwykłego – sposób, w jaki trzymała głowę i wpatrywała się w nią bez mrugnięcia okiem, szczególny zapach, którego Chloe nie potrafiła

określić.

Wiedziała, że ta kobieta jest taka jak ona – ma w sobie coś z kota.

– Nazywam się Olga Chetobar – powiedziała, wyciągając dłoń z długimi, pięknymi paznokciami. Z koniuszka jednego z nich zwisała maleńka złota ozdoba. – Jestem dyrektorem... cóż, my nazywamy to działem „zasobów ludzkich” w Firebird. Odnajdujemy i ratujemy, nazwijmy to, zbłąkanych i sprowadzamy ich do domu.

– Domu?

– Siergiej wszystko ci wytłumaczy. Nie może się już doczekać, żeby cię poznać. – Olga ponownie sprawdziła coś w telefonie.

– Dziękuję za lunch – powiedziała Chloe, zastanawiając się, czy byłoby niegrzecznie zapytać o prysznic, nowe ubranie lub możliwość skontaktowania się z mamą.

– Nie przyzwyczajaj się – odezwała się kobieta z serdecznym uśmiechem. – Wszyscy tu sobie nawzajem pomagamy, ty też niedługo zaczniesz.

– Nie chciałabym być niegrzeczna – tu jest świetnie – ale kiedy wrócę do domu? Moja mama niedługo zacznie się o mnie martwić.

Olga uniosła dłoń.

– Siergiej się tym zajmuje. Twoja mama zostanie poinformowana, że byłaś świadkiem niebezpiecznego przestępstwa – co zresztą jest prawdą – i zostałaś objęta nadzorem policji, programem ochrony świadków lub czymś podobnym. Może już to zrobił? Nie znam szczegółów, ale

jego ludzie zawsze wykonują świetnie swoją robotę. Chodź ze mną. Spojrzała na zegarek, złoty i ozdobiony diamentami. – Siergiej na ciebie czeka.

Chloe szybko wsunęła adidas, nawet ich nie wiążąc, i wyszła za Olgą z pokoju. Ruszyły kiepsko oświetlonym, wąskim korytarzem, pewnie tym samym co w nocy. W dziennym świetle Chloe zauważyła, że ściany pokrywa staroświecka tapeta w paski i maleńkie różyczki, a podłogę tworzą różnobarwne drewniane klepki.

– Przepraszam, że położyliśmy cię na strychu – rzuciła przez ramię Olga, zbliżając się w stronę wąskich schodów przy wtórze szybkiego stukotu szpilek. – Byliśmy trochę nieprzygotowani i uznaliśmy, że przyda ci się chwila spokoju. W dni robocze bywa tu dość gwarno.

Chloe ledwie dotrzymywała jej kroku i cudem uniknęła upadku z dwóch pięter wąskich, wijących się schodów.

– Gdzie my właściwie jesteśmy?

– W Firebird Properties, sp. z o.o. – odparła krótko i dumnie Olga, ponownie zerkając na zegarek, – Działamy w branży marketingu i nieruchomości, głównie inwestycyjnych i komercyjnych, rzadziej mieszkalnych.

Olga zdążyła zejść ze schodów i była już w połowie korytarza, gdy skończyła mówić. Chloe musiała biec, żeby za nią nadążyć. Ta część budynku była bardziej nowoczesna, z szarą wykładziną i oprawionymi w ramy plakatami na pomalowanych farbą ścianach.

– Nieruchomości? Marketing? O co tu... – Chloe stała jak wryta na widok wielkiego okna po lewej stronie.

Znajdowała się na pierwszym piętrze. Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę, był ogromny trawnik rozciągający się aż do samej drogi. Kiedy przycisnęła twarz do szyby i spojrzała prosto w dół, dostrzegła fontannę na środku okrągłego, żwirowego podjazdu, na którego końcu wznosiła się brama.

– To jest ten dom – powiedziała wolno.

– Jaki dom? – zdziwiła się Olga, również podchodząc do okna.

– Byłam tu z Alekiem, kiedy miałam doła. Dojechalśmy prawie do Sausalito i po drodze pokazał mi tę niesamowitą posiadłość.

Tamten dzień był zwariowany: kłótnia z Amy, kradzież samochodu przez Aleka, wiatr we włosach na wzgórzach San Francisco i ucieczka z miasta do tej ogromnej, starej posiadłości. Z zewnątrz wydawała się zbudowana w całości z kamienia i marmuru, i majestatyczna jak muzeum.

I oto Chloe znalazła się w środku.

– Alek cię tu przywiózł? – zapytała Olga z lekkim rozbawieniem.

– Wydawało mi się, że to czyjś dom.

Kogoś naprawdę bogatego – dodała w myślach Chloe.

– Bo tak jest. Kilkoro z nas, nie licząc Siergieja, tu mieszka: ja, Kim, Ivan i Simone. Jednak ten dom to również siedziba firmy Firebird i naszych ludzi. Czasami

trzeba zejść wszystkim z oczu, a to miejsce doskonale się do tego nadaje. – Powiedziała to bez uśmiechu, lecz jej oczy tańczyły. Chloe nie była pewna, czy brak mimiki to cecha Rosjan czy ludzi kotów.

– Chcesz powiedzieć, że w tym miejscu...

– Siergiej ci wszystko wyjaśni – przerwała jej Olga, machając dłonią. Odwróciła się na pięcie i ruszyła, stukając obcasami. – Chodź! – rozkazała.

Chloe posłusznie poszła za nią.

Biurowa część siedziby firmy Firebird przypominała Chloe biuro księgowej jej matki lub gabinet ich dentysty – oboje urzędowali w odnowionych dziewiętnastowiecznych budynkach w stylu włoskim. Kiedy Chloe była mała, wydawało jej się, że są to twierdze. W końcu były większe od domów Amy, Paula i jej razem wziętych. Kiedy powiedziała o tym na głos, matka zaczerwieniła się jak burak – Kto to był? – zapytała Chloe, gdy minęły kolejną osobę: młodego, poważnego mężczyznę o brązowych oczach, który niepewnie się do niej uśmiechnął.

– Igor, dyrektor sprzedaży.

Olga poprowadziła ją przez lobby pełne obrazów i kunsztownych kompozycji ze świeżych kwiatów. Powiedziała coś szybko po rosyjsku do dziewczyny w krzykliwym T-shircie ozdobionym strasami, po czym zaprowadziła Chloe do częściowo uchylonych, mahoniowych drzwi, na których wisiała elegancka mosiężna tabliczka z wygrawerowanym imieniem *Siergiej*. Chloe doszła do wniosku, że wyglądają jak trumna.

Olga zapukała i weszła do środka, dając jej znak, by zrobiła to samo.

Wewnątrz znajdowało się przestronne, pięknie urządzone biuro, pośrodku którego – pod tarasowymi oknami zasłoniętymi aksamitnymi, ciemnozielonymi kotarami – stało ogromne, ciemne biurko. Za biurkiem siedział mężczyzna, który z początku sprawiał wrażenie bardziej rośłego niż w rzeczywistości. Jego ciało było zadziwiająco kwadratowe, szerokie i krótkie,

podobnie jak jego głowa. Pod oczami miał kilka zmarszczek, lecz wydawało się, że należy do tych mężczyzn, którzy z wiekiem stają się coraz przystojniejsi. Jego jasno-błękitne oczy przesłaniały krzaczaste, rudo-siwe brwi, przypominające gaśienice. Mężczyzna uniósł wzrok znad sterty papierów.

– Ty pewnie jesteś Chloe! – ucieszył się, odkładając dokumenty. Podniósł się z miejsca, obszedł biurko krótkimi, energicznymi krokami i zbliżył się do dziewczyny niczym parowóz, wyciągając przed siebie ramiona.

Chociaż nie miał imponującej sylwetki, skrojony na miarę garnitur – drogi, jak wszystko w tym domu – nadał mu nieskazitelny wygląd.

– Witaj w domu, kociaku! – zawołał radośnie, wylewnie ściskając Chloe. – Kolejne ptaszatko, które wróciło do gniazda! – Ucałował ją w oba policzki, po czym odsunął od siebie na długość ramienia. Mężczyzna był tak silny, a jego obecność tak przytłaczająca, że Chloe czuła się jak bezwolna marionetka, zbyt zaskoczona, żeby mu się

sprzeciwić. – Niech no ci się przyjrzę! Badawczo spojrzął jej w oczy. Przez chwilę wyglądał na lekko rozczarowanego, lecz zamaskował to uśmiechem.

– Cóż, nie przypominasz żadnej ze znanych mi osób, ale to nawet lepiej. Przyda nam się nowa twarz.

– Odgarnął jej włosy do tyłu ojcowskim gestem. – I jesteś śliczna! – zarechotał. – Mamy szczęście, że do nas trafiłaś. Jestem Siergiej Shaddar, przywódca Stada, i bardzo się cieszę, że do nas dołączyłaś.

Przywódca Stada, Siergiej Shaddar? Nagle Chloe doznała olśnienia: Siergiej, daleki krewny Aleka, który nie pomógł jego rodzinie przyjechać do Stanów. Właściciel tej posiadłości. Powoli wszystko zaczynało się układać w logiczną całość.

– Wysłałam papiery Chloe do działu – odezwała się miękko Olga.

– Zrobiliście badanie krwi? Kobieta pokręciła głową.

– Nie ma takiej potrzeby, chyba że zaobserwujemy coś niezwykłego.

– Szkoda, lubię wszystko, co ma związek z nauką – przyznał z szerokim uśmiechem Siergiej. – Pomyśl tylko: wystarczy kropla krwi, by dowiedzieć się, kim są twoi rodzice. Oczywiście przy założeniu, że wciąż ich masz – dodał. – Tyle tu sierot – powiedział ze smutkiem. – Zostało już tak niewiele pełnych rodzin.

– Co takiego? – zdziwiła się Chloe, próbując zrozumieć, o czym właściwie mówi ten człowiek.

– Pójdę już – odezwała się Olga z szacunkiem i wyszła

z pokoju, ani na moment nie odwracając się plecami do Siergieja. Zamknęła za sobą drzwi.

– Chloe. – Siergiej przykrył dłoń Chloe swoją mięsistą dłonią i z jego krótkich palców nagle wystrzeliły pazury, znacznie grubsze i krótsze niż jej. Przycisnął je do grzbietu dłoni Chloe, nie przecinając skóry, i popatrzył na nią poważnie. – Jesteś potomkinią Królów Drapieżników, wywodzisz się od bogiń. Należysz do Mai, jak nas nazywają.

– Mai? – Chloe nie mogła oderwać wzroku od jego pazurów. Dotknęła ich, uniosła do góry dłoń Siergieja i odwróciła, przyglądając się jej ze zdumieniem. Mężczyzna pozwolił jej na to bez słowa protestu.

– Lwiego Ludu, Łowców Pustyni, Potomków Bastet i Sekhmet.

Chloe rozpoznała dwa ostatnie imiona, a przynajmniej jedno z nich: Bastet, bogini, której wyobrażenie – w postaci wisiora – nosiła na szyi Amy.

– Pochodzimy z... Egiptu? Wydawało mi się, że wszyscy tutaj urodzili się w Europie Wschodniej.

– Nie, nasi przodkowie pochodzą z Egiptu i innych części Afryki, zresztą chyba jak wszystkich? – roześmiał się. – Nasza rasa liczy sobie tysiące lat, Chloe. Jesteśmy szczególnie uzdolnieni, różnimy się od reszty ludzi i zostało nas już bardzo niewiele.

– Jak mnie odnaleźliście? – Chloe czuła się nieco skrepowana, zadając to pytanie. Siergiej wyjaśniał jej genezę ich ludu, a ona potrafiła się skoncentrować wyłącznie na sobie.

– Nie mogliśmy stwierdzić na pewno, że jesteś jedną z nas. – Wzruszył ramionami i cofnął dłonie. Machnął nimi w powietrzu – pazury wydały przy tym cichy świst i powoli się schowały. – Zwykle ujawniamy naszą prawdziwą naturę w wieku dojrzewania, czyli około czternastego, piętnastego roku życia. Alek wspomniał, że wydajesz się jakaś inna. Kiedy sprawdziliśmy twoje papiery, okazało się, że zostałeś adoptowana ze Związku Radzieckiego, a konkretnie z Abchazji. Później dla pewności cię obserwowaliśmy. Alek miał pilnować twojego bezpieczeństwa i w razie czego interweniować, gdyby sytuacja z Łowcą i Bractwem Dziesiątego Ostrza się skomplikowała.

W głowie Chloe kłębiły się setki pytań.

– Czy Alek nie mógł mnie po prostu zapytać? – oburzyła się. Siergiej posłał jej cierpliwe i współczujące spojrzenie.

– Chloe King, gdyby po tym wszystkim, co ci się przydarzyło, ktoś przyszedł do ciebie i powiedział: „Hej, tak naprawdę jesteś kobietą lwicą. Takich jak ty jest całkiem sporo w San Francisco, dołącz do naszej paczki”, co byś zrobiła?

Zbikowałabym. Chloe powoli kiwnęła głową, przyznając mu rację.

– Przyspieszylibyśmy całą akcję, gdybyśmy wiedzieli, że Alexander Smith jest na twoim tropie i że spotykasz się z członkiem Bractwa Dziesiątego Ostrza.

– Nie spotykaliśmy się – mruknęła bez zastanowienia

Chloe.

– Co takiego?

– W gruncie rzeczy nie byliśmy parą – dodała głośniej.

– Nawet się nie całowaliśmy.

– Oczywiście, że nie. – Siergiej pokiwał głową, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Chloe uniosła brew.

– Ludzie i Mai nie mogą... jakby to powiedzieć, łączyć się w pary – wyjaśnił, chrząkając ze skrepowaniem. – To ich zabija, jakbyśmy byli dla nich toksyczni.

Xavier! Chłopak, którego poderwała w klubie w noc poprzedzającą jej szesnaste urodziny. Całowali się na parkingu. Chloe umierała z pożądania, lecz w końcu odwróciła się na pięcie i wróciła do domu. Parę dni później wybrała się do mieszkania Xaviera, żeby się z nim spotkać: był bliski śmierci, a jego plecy pokrywały rany, dokładnie w tych miejscach, w których go podrapała. Chloe nawet wezwwała do niego anonimowo karetkę.

– O mój Boże! – Zakryła usta dłonią. – Całowałam się w klubie z jednym chłopakiem, który później trafił do szpitala...

Siergiej uniósł brwi.

– Czy on umrze? – szepnęła.

– Pewnie nie, jeśli tylko się całowaliście – odparł wolno Siergiej. – Ale na przyszłość lepiej o tym – pamiętaj.

Dzięki Bogu, że nie pocałowałam Briana – pomyślała, lecz szybko przypomniała sobie, że nie miała zamiaru tego robić. *Ani się z nim spotykać. Ani o nim myśleć.* Dobrze im

było ze sobą, póki się nie okazało, że Brian należy do Bractwa Dziesiątego Ostrza. Chcąc nie chcąc, Chloe ponownie odtworzyła w pamięci wszystkie fakty: Brian twierdził, że próbował ocalić ją przed Łowcą podczas walki na moście, ale niektóre z jego shurikenów przelatywały niebezpiecznie blisko jej głowy, a jeden z nich zranił Aleka w nogę, kiedy uciekali. Podobno próbował ich powstrzymać przed zapuszczeniem się na teren Bractwa, ale nigdy nie przepadał za Alekiem...

Teraz Chloe zaczynała rozumieć dlaczego.

– Zastanów się tylko, Chloe! Masz teraz prawdziwą rodzinę, ludzi, z którymi łączą cię więzy krwi i wspólne dziedzictwo. I wiesz co? – Uderzył pięścią w drugą dłoń tak mocno, że Chloe aż podskoczyła. – Będę cię utrzymywał! Co prawda nie możesz tu mieszkać wiecznie...

– Ale co z moją mamą? Kiedy będę mogła do niej wrócić? – Chloe nie chciała go urazić, ale całe to gadanie o rodzinie przypomniało jej o mamie.

Siergiej westchnął i pokręcił głową.

– Obawiam się, że nieprędko. Bractwo Dziesiątego Ostrza próbuje cię namierzyć. Ich zdaniem zabiłaś Alexandra Smitha – ulice aż roją się od ich agentów. Jeśli opuścisz to miejsce, będziesz martwa, zanim dotrzesz na drugi kraniec miasta.

– Czy mogę do niej przynajmniej zadzwonić? – Chloe uznała, że lepiej będzie zapytać, zanim przyzna się, że już to zrobiła.

– Przykro mi, Chloe, ale nie. Nawet jeśli Bractwo nie

założyło twojej matce pluskwy, to na pewno śledzą każdy jej krok. A jeśli zadzwoniła na policję, jej telefon musi być na podsłuchu.

– Ale czy nie zaczniesz czegoś podejrzewać? Będzie chciała wiedzieć, gdzie się podziałam. O mój Boże, a co pomyślą moi nauczyciele, jeśli w poniedziałek nie zjawię się w szkole?

Siergiej strzelił palcami.

– Poinformowaliśmy twoją matkę, że bierzesz udział w federalnym programie ochrony świadków i że porozmawia z tobą dopiero wtedy, gdy będziesz bezpieczna. Twoi nauczyciele myślą, że zachorowałaś na mononukleozę i przez jakiś czas nie będziesz chodziła do szkoły. Siergiej uśmiechnął się. – Daliśmy im nawet adres, pod który mają ci przysyłać prace domowe dodał, zadowolony z siebie.

Chloe skrzywiła się. Czy musieli wybrać akurat mononukleozę, „chorobę pocałunków”? Dlaczego nie wirus Ebola lub chorobę wściekłych krów?

Siergiej obserwował Chloe poważnym wzrokiem, widząc malujące się na jej twarzy niezadowolenie.

– To pierwsza choroba, jaka przychodzi na myśl w przypadku nastolatki – wyjaśnił.

– Teraz wszyscy będą myśleli, że jestem puszczalska – powiedziała Chloe zrezygnowanym głosem.

Wszystko się pochrzało. Nie mogła porozmawiać z mamą i wyznać jej prawdy, niedługo stanie się pośmiewiskiem całej szkoły i wyglądało na to, że przez jakiś czas

będzie tu uziemiona. Właściwie nie miała ochoty opuszczać tego miejsca, ale dobrze byłoby mieć przynajmniej taką możliwość. Na domiar złego miasto było pełne ludzi, którzy chcieli ją zabić. Ludzi, których głównym celem było sprzątnięcie Chloe King, szesnastoletniej i całkowicie niegroźnej dziewczyny.

– Ja go nie zabiłam! – powiedziała, zaskoczona własnym gniewem. – Kiedy ześlizgiwał się z mostu, próbowałam wciągnąć go z powrotem!

– Dlaczego?! – zdziwił się Siergiej.

– Nie wiem, po prostu... Nie wiem. Wydawało mi się, że tak trzeba. – Chloe bezradnie wzruszyła ramionami. Nie potrafiła tego wyjaśnić. *Ludzie tak po prostu postępują.* – Kim oni właściwie są?

– Bractwo Dziesiątego Ostrza istnieje wyłącznie po to, żeby się nas pozbyć – powiedział Siergiej, kładąc dłonie z powrotem na ramionach Chloe. Utkwił w niej poważne, zatroskane spojrzenie. – Wierzą, że jesteśmy źli i zesłał nas szatan. Tolerują nas tutaj wyłącznie dlatego, że w Ameryce znacznie trudniej jest tak po prostu kogoś sprzątnąć. – Oczy Siergieja zaszklily się, gdy przypomniał sobie zupełnie inny czas i miejsce, lecz po chwili otrząsnął się z tych wspomnień. Dopóki nie zwracamy na siebie uwagi, teoretycznie jesteśmy bezpieczni! – Ostatnie zdanie wypłynął z wściekłością. – Musimy się tu ukrywać jak szczury. – Ogarnął gestem ręki pokój, który Chloe przypominał raczej jedno z pomieszczeń w Białym Domu niż szczurzą kry-

jówkę. – Boją się naszej potęgi. Jesteśmy silniejsi, szybsi i cichsi niż oni, powinniśmy być otaczani czcią, a nie tępieni.

Przez chwilę milczał, wściekle dysząc.

– Jestem pewien, że Olga kazała przygotować dla ciebie odpowiedni pokój – odezwał się w końcu, już spokojny. – Muszę teraz iść na spotkanie, a ty powinnaś się udać do biblioteki i poznać historię naszego ludu. Simone i Ivan zostaną poinformowani o pojawieniu się nowej lokatorki. Tymczasem żegnaj, Chloe, i witaj w domu! – Po raz ostatni serdecznie ją uściskał i delikatnie popchnął w stronę wyjścia.

– Chwileczkę! Mam jeszcze jedno pytanie – zaprotestowała Chloe.

– Tak? – zatrzymał się, kiedy była już na progu.

– Skąd się tu wzięło tyle ludzi? Przecież jest sobota.

– Pracujemy w nieruchomościach! – odpowiedział, zamykając za nią drzwi. – Ten biznes nigdy nie przestaje się kręcić!

Chloe stała przez chwilę oszołomiona, zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszała. *Testy krwi? Boginie? Tysiącletnie dziedzictwo?* Z oddali dobiegł ją dźwięk faksu i sprowadził na ziemię. Dziwne było to miejsce dla starożytnych drapieżników.

Dziewczyna w brzydkim, błyszczącym T-shircie wskazała jej drogę do biblioteki, a później ją zignorowała.

Chloe ruszyła przed siebie. Czuła się zagubiona i przestraszona w tym na wpół nowoczesnym, a na wpół

staroświeckim miejscu, do którego nie do końca przynależała, lecz z którym czuła się w pewien sposób związana. Nie miała wokół siebie ani jednej znajomej twarzy, wszystko wydawało jej się obce, a jednak było to najprawdopodobniej najbezpieczniejsze miejsce, w jakim się znajdowała w ciągu ostatniego miesiąca. Była zbiegiem w domu swojej prawdziwej rodziny. *Moje... Stado*. Czuła się tym wszystkim przytłoczona, chociaż dotąd ci ludzie sprawiali wrażenie najzupełniej normalnych: gadająca przez komórkę Olga i Siergiej, typowy biznesmen. Chloe przyłapała się na tym, że spodziewała się po nich raczej tajemniczego i dziwaczного zachowania, jak u wampirów. A na pewno nie pracy w branży nieruchomości.

Biblioteka, tak jak wszystko w tym domu, była imponująca, żywcem wyjęta z angielskiego filmu historycznego: ściany zabudowane regałami na książki, wysokie okna zasłonięte długimi, aksamitnymi kotarami, które sprawiały wrażenie odrobinę wyblakłych. Chloe przeszła wzdłuż jednego z nieskazitelnych regałów, spoglądając na tytuły książek. Większość zbiorów stanowiły klasyczne dzieła i encyklopedie, chociaż znalazła też literaturę współczesną, na przykład *Dziennik Bridget Jones*. Na końcu jednej z półek zauważyła podpórki w kształcie egipskich kotów – Bastet, rozpoznała jednego z nich Chloe, taki sam jak na łańcuszku Amy: udomowiony, lekko uśmiechnięty kot z kolczykiem w uchu. Druga podpórka przedstawiała lwa z obnażonymi do połowy kłami. Pomiedzy podpórkami ustawiono książki zatytu-

łowane: *Historia Mai*, *O pochodzeniu Mai*, *Res Anthro–Felinis*. Chloe sięgnęła po jedną z książek i przekartkowała ją, znudzona i onieśmielona staroświecką czcionką oraz zdaniami długimi na cały akapit. Westchnęła i ciężko zapadła się w fotel.

ROZDZIAŁ 2

– Co robimy?

Paul stał zgięty wpół. Złapała go kolka i dyszał teraz jak astmatyk. Palił jeden czy dwa razy w tygodniu, więc zawinił raczej jego brak kondycji, a nie papierosy. Położył rękę na brzuchu i wyprostował się. Amy stała wyprostowana jak struna z rękami opartymi na biodrach, oddychając całkiem normalnie, i patrzyła na Paula tak, jakby to on był wszystkim winien.

Za ich plecami kolejny helikopter krążył nad mostem. Od piątkowej nocy latały nad nim niczym wkurzone ważki. Paul i Amy mieli nadzieję, że Gwardia Narodowa zdążyła w porę rozdzielić Chloe i jej napastnika – kimkolwiek on był, ale minęła już prawie doba i nie wyglądało na to, by udało im się wyjaśnić tę sprawę.

Paulowi wydawało się, że widział spadające z mostu ciało, ale nie wspomniał o tym Amy.

– Masz jakiś pomysł? – nie ustępowała dziewczyna. Paul westchnął.

– Nie wiem, a co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Zadzwoić do jej mamy? – Już w momencie wypowiedzenia tych słów Amy wiedziała, że to nie jest najlepsze rozwiązanie, a przede wszystkim nie takie, na które zdecydowałyby się Chloe. W geście desperacji przeciągnęła palcami po kasztanowych włosach. Był to nawyk z dzieciństwa, kiedy próbowała przyglądać swoją wiecz-

nie napuszoną czuprynę przy każdej nadarzającej się okazji. – Co tam się właściwie stało?

Powtarzali tę rozmowę kolejny raz w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, lecz z jakiegoś powodu Amy nigdy nie była zadowolona z odpowiedzi Paula.

– Nie mam pojęcia. Prochy? Wojna gangów? Psychopatyczna wersja berka?

– Może to ma jakiś związek z jej prawdziwymi rodzicami? Możliwe, że Chloe jest kimś w rodzaju rosyjskiej mafijnej księżniczki.

Paul posłał jej krzywy uśmiech. Ruszyli w milczeniu w stronę domu, nawet nie trzymając się za ręce, jak za dawnych dni, kiedy byli tylko trójką dobrych przyjaciół. Zanim Chloe prawie umarła po upadku z Coit Tower, Amy i Paul zaczęli kręcić ze sobą, a Chloe – spotykać się na zmianę z Alekiem i Brianem.

– No cóż – odezwał się wolno Paul – w ciągu ostatnich kilku miesięcy życie Chloe mocno się skomplikowało, nie sądzisz?

Amy wzruszyła ramionami.

– Moim zdaniem dostała okres i zamieniła się w totalną jędzę. Przynajmniej na jakiś czas – dodała szybko. Chloe może i zachowywała się jak jędza, ale nadal była jej najlepszą przyjaciółką i na dodatek gdzieś się zawieruszyła.

– Nie, to coś więcej. – Paul zmarszczył swoje wysokie, blade czoło. – Mam na myśli jej upadek, siniaki na twarzy i wagary, nie wspominając już o tym, że zaczęła mieć

przed nami sekrety.

– Zamierzała nam o wszystkim powiedzieć – przypomniała sobie Amy. – Na moście. Właśnie miała coś wyjaśnić...

– ...kiedy zjawił się ten dziwoląg z nożami.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

– Zanim Chloe skoczyła z Coit Tower, rozmawialiśmy o tym, że zabujała się w Aleksie – odezwała się nagle Amy.

– Nie skoczyła, tylko spadła – poprawił ją Paul, zaskoczony tym, co powiedziała.

Chyba tylko Amy знаła Chloe lepiej niż on i wydało mu się bardzo dziwne, że powiedziała coś takiego o przyjaciółce. Nawet w najbardziej depresyjnych chwilach swojego życia Chloe nie miała myśli samobójczych. Czasami zachowywała się ryzykownie, ale nigdy jak samobójczyni. Wskoczenie na parapet, żeby zwrócili na nią większą uwagę, było może nieco postrzelone, ale przecież trochę wypili. Poza tym Chloe zdarzało się już robić podobne rzeczy.

– Jak zwał, tak zwał – powiedziała szybko Amy, nie chcąc wchodzić w dyskusję z Paulem. Od tego momentu jej życie stało na głowie, Założę się, że to wszystko ma jakiś związek z Alekiem.

– To czyste szaleństwo. Jak myślenie o nim mogło mieć związek z tym, że została napadnięta, i z całą resztą? – zapytał Paul. Starał się nie roześmiać, lecz jego ciemne

oczy i tak rozjaśnił śmiech. Na szczęście Amy nie patrzyła na niego.

– Nie! Pomyśl tylko. – Amy zaczęła wyliczać kolejne fakty na palcach, których paznokcie były pomalowane błyszczącym, czarnym lakierem. – Została napadnięta tuż po tym, jak rozdzieliliśmy się w Raven, a zamieniła się w totalną wiedźmę, kiedy zaczęła się na poważnie spotykać z Alekiem, który pochodzi z Rosji, tak jak ona. Może wplątał ją w jakieś ciemne sprawy?

– W takim razie co z Brianem? – nie dawał za wygraną Paul. – Skoro już oskarżamy przypadkowych ludzi o skomplikowanie życia Chloe i nasyłanie na nią zabójców... Brian, tajemniczy niby–chłopak, który ani razu jej nie pocałował, nie chodzi do szkoły i – co najważniejsze – którego nigdy nam nie przedstawiła.

Amy przyglądała mu się w milczeniu, a w jej błękitnych oczach malowało się zdumienie. Paul miał zamiar dodać jeszcze lalka istotnych faktów świadczących o tym, że jej argumenty są szalone i niczego nie dowodzą, lecz zauważył, że wargi Amy drżą, a w jej oczach zbierają się łzy.

– Chloe nic złego się nie stanie. Szuka jej Gwardia Narodowa. Jeśli chcesz, możemy później zadzwonić na policję lub do jej mamy, ale spróbujmy poczekać jeszcze kilka godzin, może sama się do nas odezwie. W porządku?

Amy kiwnęła smutno głową i ruszyli razem do domu.

ROZDZIAŁ 3

Amy zajrzała z nadzieją na dno swojej szafki, ale nic tam nie znalazła. Codziennie zostawiała Paulowi słodkie liściki w jego szafce – czasami była to nabazgrana popiesznie wiadomość: „Do zobaczenia na angielskim!”, kiedy indziej małe dzieło sztuki stworzone poprzedniego wieczoru kawałek materiału, do którego poprzyklejała rozmaite ozdoby.

Paul ani razu nie odwdzieczył się jej podobnym liścikiem. Nie chciała go o to pytać wprost, ale ilu jeszcze potrzebował wskazówek? Teraz, kiedy w końcu spotykała się z miłym, normalnym chłopakiem, liczyła na takie gesty. Z drugiej strony wiedziała, że postępuje głupio i samolubnie: Paul robił mnóstwo innych miłych rzeczy, na przykład kupował z wyprzedzeniem bilety na filmy, które chcieli razem obejrzeć, a w kawiarni szedł po napój dla niej, jeśli go o to poprosiła. No i wisiał z nią godzinami na telefonie.

Tylko że ona przynajmniej raz w życiu chciała być traktowana dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła. Całe to gadanie o karmie było do niczego – do tej pory nikt jakoś nie odwdzieczył się jej za dobre uczynki.

Amy w przygnębieniu zamknęła szafkę, po czym wymierzyła jej kopniaka swoim wojskowym butem z metalowym czubkiem, na tyle mocnego, że pozostał na niej ślad. Ostatnio wszystko wydawało jej się takie nie-

pewne. Chloe nadal nie wróciła. Amy przeklinała się za to, że nie usłyszała telefonu, kiedy przyjaciółka do niej dzwoniła – był wciśnięty na samo dno plecaka, a ona szwendała się po mieście, szukając Chloe. Amy sprawdzała pocztę głosową z tysiąc razy na godzinę w nadziei, że przyjaciółka znów się do niej odezwie, ale na razie tego nie zrobiła.

Nie było wątpliwości co do tego, że martwiła się o Chloe, ale... czuła się też odstawiona na boczny tor. Podczas gdy ona zdecydowała się chodzić z Paulem, w życiu jej przyjaciółki wydarzyły się te wszystkie dziwne i tajemnicze rzeczy, o których nadal nie powiedziała Amy.

W korytarzu rozległ się słynny, donośny śmiech Aleka. Amy popatrzyła w tamtą stronę. Alek zatrzaskał swoją szafkę i pomachał na pożegnanie przyjaciółkom: Keirze i Halley – za którymi Chloe zdecydowanie nie przepadała – drugą ręką przytrzymując futerał na flet i notatnik. Widocznie wybierał się na lekcję muzyki.

Amy uzmysłowiła sobie, że to doskonała okazja, by porządnie przesłuchać tego kłamliwego gnojka. Śledziła go, trzymając się dobrych parę metrów z tyłu, sunąc wzdłuż szafek niczym detektyw Nancy Drew. Niepotrzebnie się tak starała: Alek był zbyt zajęty machaniem do kolegów, żeby ją zauważyć.

Kiedy tylko znaleźli się w skrzydle muzycznym, Amy przyspieszyła kroku, tak że znalazła się półtora metra za nim. Nie musiała się zbyt spieszyć, bo Alek lekko utykał. *Co to ma być, jakiś nowy luzacki krok?*

Przyglądziła gęste, ciemnorude włosy i przywołała na twarz swój najlepszy, chmurny uśmiech. Żałowała, że nie może uraczyć Aleka chłodnym spojrzeniem błękitnych oczu – a miała do tego odpowiednie warunki – niestety, w połączeniu z piegami i „arystokratycznym” nosem sprawiała wtedy wrażenie raczej głupkowato zadowolonej niż wyniosłej.

– Mogłabyś po prostu podejść i ze mną porozmawiać – rzucił lekko Alek, nie odwracając się za siebie.

Kiedy Amy już opanowała zaskoczenie, tak bardzo się wściekła, że ją przyłapał, że prawie nadepnęła sobie na nogę.

– Gdzie jest Chloe?! – wrzasnęła. – Przysięgam na Boga, Aleku Ilychovich, że jeśli ją skrzywdzisz...

Zza rogu wyszło kilka rozchichotanych dziewczyn z wielkimi, nieporęcznymi futerałami na instrumenty i partyturami.

Alek swobodnie objął Amy ramieniem i wciągnął ją do pustej sali prób. Zatkał jej usta i przyłożył palec do własnych warg. Wpatrywał się w błękitne oczy Amy swoimi równie błękitnymi oczami, pilnując, żeby była cicho, dopóki uczennice nie pójdą dalej.

Wyjrzał przez drzwi, by się upewnić, że nikt więcej się nie zbliża, i wreszcie odsunął się od Amy.

– Skoro nie zamierzasz ze mną normalnie rozmawiać, to przynajmniej nie zachowuj się jak wariatka – odezwał się do niej z bladym uśmiechem.

Sala znajdowała się w wewnętrznym, pozbawionym

okien skrzydło szkoły. Panowała w niej niemal całkowita ciemność. Była mała i zagracona biurkami i krzesłami, z których korzystały niewielkie grupki uczniów podczas ćwiczeń. Za kilka minut miała się zacząć kolejna lekcja zjawi się jakiś nauczyciel i włączy światła, jednak w tej chwili byli tu kompletnie sami, a od idealnie pięknej twarzy Aleka dzieliły Amy tylko centymetry.

– Ty dupku! – Uniosła stopę, żeby nadepnąć mu na palce. Alek odsunął ją zwinnym ruchem na długość ramienia.

– Chloe kuruje się w domu – wyjaśnił cierpliwie. Nauczyciele twierdzili tak samo.

– Powiedziała, że jest bezpieczna, ale byłam wtedy na moście i widziałam, co się stało odparła Amy, wysuwając podbródek.

Alek szerzej otworzył oczy – przynajmniej raz nie miał gotowej odpowiedzi.

– O co w tym wszystkim chodzi? – nie ustępowała Amy. – Dlaczego ktoś próbował zabić Chloe? I to dwa razy? Wiem, że znasz prawdę.

Alek otworzył usta, szukając wytłumaczenia.

– Ona naprawdę zachorowała i siedzi w domu. Z mamą – powtórzył bez przekonania. Zapadła długa, pełna napięcia cisza. Amy wpatrywała się w Aleka, czekając, aż znów skłamię. W końcu odwróciła wzrok. I przywaliła mu pięścią w brzuch.

– DUPEK! – powtórzyła, wychodząc na korytarz. Alek zgiął się wpół, przyciskając rękę do żołądka. Amy

wiedziała, że nie może mu wyrządzić dużej krzywdy swoimi drobnymi piąstkami, „dłońmi artystki”, z których zawsze nabijała się Chloe, ale przynajmniej wyglądał na zaskoczonego. Obróciła się na pięcie.

– Chloe jest moją najlepszą przyjaciółką – syknęła. – Jeśli coś jej się przez ciebie stanie, mój kuzyn Stevie spierze na kwaśne jabłko ciebie i wszystkich twoich znajomych!

Odwróciła się i odeszła, czując w uszach tętnienie adrenaliny i radość z powodu przewzięcia.

ROZDZIAŁ 4

Chloe drzemała z *Historią Mai* na kolanach. Stara skórzana okładka książki była tak zakurzona, że dziewczyna od czasu do czasu kichała przez sen. Już drugi raz usiłowała się przebić przez napisany drobnym maczkiem tekst, lecz znowu ją uśpił.

Miała sen. Tym razem skradał się do niej kot wielkości człowieka. Chloe miała nadzieję, że powie jej coś przydatnego albo...

– Przeszkadzam ci? – odezwał się kot. Chloe błyskawicznie otrzeźwiała. A więc to jednak nie był sen. Dziwna i przerażająca postać, która przestraszyła ją ubiegłej nocy, stała teraz przed nią. To tylko Kim, niezłe dziwadło, jak określił ją Alek. I miał rację.

Ciało Kim było przeraźliwie długie i chude. Włosy miała krótsze niż Chloe, błyszczące i czarne, prawie granatowe, jak u Azjatki, a do tego mocno zarysowane kości policzkowe i aksamitnie czarne, kocie uszy.

Naprawdę wielkie, takie, jakie miałyby kot powiększony do ludzkich rozmiarów.

W jej oczach – nienaturalnie zielonych i zwężonych jak u kota – nie odbijały się żadne ludzkie emocje. Nosila zwykły czarny sweter i dżinsy tego samego koloru. Chodziła bosą – jej kościste palce u stóp były zakończone pazurami, gdzieś odznaczały się na nich niewielkie kępki czarnego futra. Chloe nie mogła przestać myśleć

o hobbitach, chociaż w przeciwieństwie do nich ta dziewczyna była olśniewająco piękna. Mogła być w wieku Chloe, chociaż trudno to było określić.

– Nie, miałam zamiar poczytać – odparła Chloe, przesuwając dłonią po twarzy i starając się nie gapić na Kim.

– Chyba trochę cię przestraszyłam, kiedy tu przyjechałaś. Przepraszam. Nowi ludzie rzadko kręcą się po domu w środku nocy.

– Nic się nie stało, właściwie to moja wina. – Chloe starała się patrzeć w inną stronę i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Mam na imię...

– Kim. Alek mi powiedział. Dziewczyna wyglądała na rozdrażnioną.

– Nazywam się Kemet lub Kem, a nie Kim. Oczywiście nikt nie zwraca się do mnie właściwym imieniem, dzięki takim ludziom jak Alek. – Westchnęła i usiadła z wdziękiem na fotelu obok Chloe. – Kemet znaczy Egipt. Właśnie stamtąd pochodzimy. Nasza rasa liczy sobie wiele tysięcy lat.

Chloe postanowiła później ją o to zapytać. Na razie interesowało ją coś innego.

– Rodzice nadali ci takie imię?

– Nie. – Kim wlepiła wzrok w podłogę. – Nazwali mnie Greska.

– Ach tak... – Chloe starała się nie roześmiać.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego chciałam je zmienić.

– Jasne.

Przez chwilę nic nie mówiły. Kim przyglądała się twarzy Chloe z takim samym zaciekawieniem, z jakim ona starała się nie patrzeć na nią.

– A więc wywodzimy się z Egiptu? – zapytała Chloe w nadziei, że Kim przestanie wpatrywać się w nią tym swoim świdrującym wzrokiem, bez jednego mrugnięcia. Zamknęła książkę. – Nie dotarłam jeszcze *do* tego miejsca.

– Pierwsza wzmianka o nas pojawia się tu: „Umiłowani przez Bastet i strzeżeni przez Sekhmet”. – Kim sięgnęła po książkę i otworzyła ją na stronie z mapą i zapisaną hieroglifami inskrypcją. – Zgodnie z legendą zostaliśmy stworzeni przez tę boginię.

Chloe nie wiedziała, o co zapytać najpierw: Stworzeni przez Bastet? Kim jest w moim wieku i potrafi czytać starożytne egipskie hieroglify?

–Większość tego Stada pochodzi z Europy Wschodniej...

– Powiedziałaś... Stada?

– Tak. – Dziewczyna popatrzyła na nią chłodno. Gdyby miała ogon, uderzałaby nim niecierpliwie o podłogę. – W ten sposób się przemieszczamy, podobnie jak lwy.

– A Siergiej jest przywódcą Stada?

– Tylko tego w Kalifornii. W Nowym Świecie są aż cztery Stada. A przynajmniej były. To na wschodzie składa się głównie ze wschodnioeuropejskich Mai, tak jak nasze.

– Kim przerzuciła kilka kartek i pokazała Chloe kolejną

mapę z różnymi statystykami, inskrypcjami, Uniami i strzałkami biegnącymi z Afryki w różne miejsca. Były to szlaki migracji do Afryki Południowej, Europy i dalej na wschód. – Stado w Nowym Orleanie to głównie Mai, którzy najdłużej zostali na obszarze Afryki Subsaharyjskiej. Lubią upał – dodała, marszcząc z dezaprobatą nos.

– A czwarte?

– Przestało istnieć – odparła niepewnie. – W każdym razie zostaliśmy rozrzućeni po całym świecie, daleko od domu. Nasze Stado zdołało przetrwać w Abchazji kilkaset lat po tym, jak na dobre opuściliśmy Bliski Wschód. – Wskazała niewielki obszar zaznaczony na różowo, leżący na północny zachód od Rosji, nad Morzem Czarnym. – Nasz lud wyznawał politeizm jeszcze długo po upadku Imperium Rzymskiego, rozprzestrzenieniu się chrześcijaństwa i zniszczeniu Bagdadu przez Mongołów.

– Wyczuwam jakieś „ale”...

– W połowie dziewiętnastego wieku w wyniku konfliktu z Gruzynami wielu mieszkańców Abchazji zostało przesiedlonych do Turcji. Zostaliśmy w to wciągnięci i wiele rodzin rozdzielono: część ludzi została, część uciekła – na Ukrainę lub do Petersburga. Niedługo później, kiedy zaczęli wracać i odnajdywać bliskich, rozgorzały kolejne walki.

Kim odłożyła książkę i ponownie zmarszczyła nos – bardziej jak królik niż kot, zdaniem Chloe – co oznaczało u niej zmianę emocji.

– Jestem sierotą, tak jak ty – oznajmiła beznamiętnie. –

Moi rodzice zostali zabici lub rozdzieleni podczas zamieszek z winy Gruzinów, w 1988 roku, przed upadkiem muru. Podobno miałam... siostrę – powiedziała wolno, spoglądając z nadzieją na Chloe. – Rok starszą ode mnie. Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam, że jesteśmy do siebie podobne i...

Może trochę, nie licząc kocich uszu – pomyślała Chloe. To była jej pierwsza, obronna reakcja. Gdyby zapomnieć o uszach, rzeczywiście były do siebie podobne: miały ciemne włosy, jasną skórę i wysokie kości policzkowe.

A jeśli to prawda? Chloe zawsze chciała mieć rodzeństwo, szczególnie siostrę. Amy była jej bardzo bliska, ale przecież nie mogła z nią szeptać w środku nocy ani rozmawiać o walniętych rodzicach. Nie mogła też nakrzyczeć na Amy za to, że pożyczyła bez pytania jej ulubiony ciuch i zwróciła cuchnący fajkami lub po prostu brudny.

Tylko siostra mogła powiedzieć Chloe, że nagłe pojawienie się pazurów jest OK.

Może ta cała Kim jest trochę dziwna, ale siostra to siostra.

– Nie było mowy o rodzeństwie, kiedy moi rodzice mnie adoptowali – powiedziała delikatnie Chloe. – Wiem, że o to pytali. Nie chcieli rozdzielać rodzeństwa.

– Ach, ta słowiańska biurokracja – nie wiadomo, co mieli w papierach, a czego nie.

– Nigdy też nie wspominali o żadnej Abchazji – do-

dała Chloe.

– Większość ludzi na Zachodzie – normalnych ludzi – nie ma pojęcia, co się tam działo, a nawet gdzie leży Abchazja.

– Cóż, zawsze chciałam mieć siostrę – powiedziała łagodnie Chloe w nadziei, że poprawi dziewczynie humor.

– Szukam jej od lat – westchnęła Kim. – Siergiej stworzył cały dział, który usiłuje namierzyć wszystkich naszych krewnych: rodziców, dziadków, zaginionych kuzynów... Przeprowadzamy nawet testy genetyczne, żeby zbadać pokrewieństwo.

– Łał. Brzmi imponująco. – W zasadzie brzmiało tak, jakby mieli jeszcze większą obsesję niż babcia Amy na punkcie drzewa genealogicznego swojej rodziny.

– Tu chodzi o przetrwanie, Chloe – powiedziała Kim, nie spuszczać z niej wzroku. Została nas garstka. Przez chwilę obie milczały.

– Tu jesteś, Chloe! – Siergiej wszedł do biblioteki z wyciągniętymi przed siebie ramionami, jakby znów miał zamiar ją uściskać. Chloe instynktownie się skuliła, nie z obrzydzenia, lecz ze strachu, że ją zadusi. – Skończyłem już spotkania, a zbliża się pora lunchu. – W ostatniej chwili powstrzymał się od uścisku i szybko skinął głową w stronę Kim, kompletnie niezainteresowany jej obecnością. – Może zjedlibyśmy razem? Zamówimy pyszne sałatki czy co tam teraz jadają dzieciaki i pokażę ci, czym się tu zajmujemy.

– Jasne, jeśli Kim nie ma nic przeciwko... – Chloe

odwróciła się, ale dziewczyna już zaczęła się wycofywać z pokoju, tak samo jak Olga, tyłem, do ostatniej chwili nie spuszczać oczu z Siergieja.

– Poprosiłem też Valerie i Olgę o ciuchy dla ciebie. Nosisz ósemkę?

Na twarzy Chloe odmalował się strach przed tym, że jego troska nie jest czysto ojcowska. Siergiej zachichotał.

– Pochodzę z rodziny garbarzy z Sokhumi, Chloe. Dorastałem wśród kamizelek, płaszczy i siodeł i potrafię ocenić rozmiar klienta. – Objął ją ramieniem i zaczął wyprowadzać z biblioteki.

– Czy mogę o coś zapytać?

– O co tylko chcesz, Chloe.

– Dlaczego Kim... Czy my wszyscy... O co chodzi z tymi uszami?! – Nakreśliła w powietrzu ich kształt.

Siergiej przewrócił oczami.

– Kim jest bardzo religijna. Podąża specjalną ścieżką, żeby zbliżyć się do bogini. Wierzy, że dawno temu wszyscy tak wyglądaliśmy.

– I sama też chce tak wyglądać?

– Mniej więcej. To bardzo inteligentna i pobożna dziewczyna, ale trochę... nadgorliwa. Powiedział to takim samym tonem jak Alek, kiedy nazwał Kim dziwadłem.

– A więc czcicie... – Chciała powiedzieć „boginię” lub „starożytnych egipskich bogów”, ale nie przeszło jej to przez gardło, kiedy mijała nowoczesne kserokopiarki i korporacyjnych niewolników w koszulach z krótkim rękawem, siedzących za biurkami zawałonymi papierami.

– Komuś, kto urodził się w cieniu Związku Radzieckiego, trudno cokolwiek czcić – odparł łagodnie Siergiej. – Służę Sekhmet, najlepiej jak potrafię. Olga została wychowana w prawosławiu, z pewnymi elementami kultu Bastet.

Zatrzymali się w pomieszczeniu, gdzie pracowali już nieco spokojniejsi ludzie, przy większych biurkach. Chloe rozpoznała Igora, krzyczącego po rosyjsku do telefonu. Obok stał jego asystent, chłopak mniej więcej w wieku Briana, w modnych okularach kujonkach i ze zrezygnowaną miną.

– Czy wszyscy tutaj to... Mai? – szepnęła Chloe.

– Co do jednego. Zbudowałem to imperium nieruchomości, żeby wszyscy mogli pracować wśród swoich, jeśli będą mieli na to ochotę.

– Czy pracują tu wszyscy członkowie... Stada? Siergiej pokręcił głową.

– Valerie, narzeczona Igora, jest modelką, Simone tancerką, a Kim prowadzi podobno własną działalność. Trudno jest nam utrzymać posady w zwykłych firmach – ludzie potrafią wywęszyć wilki pośród owiec czy też koty pośród... sama wiesz. Nie wszędzie udaje nam się wpasować.

Chloe popatrzyła na Igora. Wyglądał jak normalny przepracowany facet. Miał przerzucony przez ramię krawat i modne buty. Podczas rozmowy telefonicznej robił notatki ołówkiem i bawił się stojącą na biurku figurką. Jednak patrząc na sposób, w jaki wyginał grzbiet, odbijające się

w jego brązowych, błyszczących oczach światło i to, jak odwrócił głowę, by popatrzeć na Siergieja i Chloe, bez trudu można było się domyślić, że nie jest zwykłym człowiekiem.

Igor zakrył dłonią słuchawkę, a drugą rękę wyciągnął w stronę Chloe.

– Cześć – odezwał się z wyraźnie rosyjskim akcentem.
No, w każdym razie z wyraźnym akcentem.

– Jestem Chloe.

Ściskając jego dłoń, poczuła, że coś muska jej skórę. Zorientowała się, że Igor wysunął pazury i delikatnie ją nimi dotyka. *Sekretny uścisk dłoni*, pomyślała i spróbowała zrobić to samo, lecz wbiła paznokcie zbyt mocno, nie doceniając swojej siły. Igor cofnął dłoń ze zbolalym uśmiechem i przyłożył usta do miejsca, z którego zaczęła lecieć krew.

– Nigdy tego nie robiłam – wyjaśniła Chloe, rumieniąc się. – Nie ściskałam nikomu ręki w ten sposób.

Siergiej uznał to za niezwykle zabawne.

– Moja krew! Mamy tu prawdziwą wojowniczkę. – Klepnął ją w plecy tak mocno, że prawie usiadła na kolanach Igorowi, który znów wykrzykiwał coś do telefonu.

– Igor jest moją prawą ręką. Nie poradziłbym sobie bez niego – wyznał Siergiej, lecz Chloe jakoś w to nie wierzyła. – Właśnie pracuje nad dawnym, hm, salonem masażu niedaleko Union Square. Planujemy go wynająć którejsz sieci, może Starbucks albo Subway?

– To okropne – wyrwało się Chloe, zanim zdążyła się

powstrzymać. – Chciałam powiedzieć, że pewnie dużo na tym zarobicie... – zawiesiła głos. – To miejsce może i ma złą historię, ale przynajmniej ciekawą. Grunt, że nie budujecie kolejnej galerii handlowej.

– A więc jesteś jedną z *tych* osób – westchnął Siergiej. – Jeśli cię to pocieszy, wspólnie z władzami miasta zbudowaliśmy ośrodek opieki nad dziećmi z ubogich rodzin, a na przyległej działce urządziliśmy dla nich ogród.

– I odliczyliśmy sobie wszystkie poniesione koszty od podatku – wtrącił szeptem Igor, ponownie zasłaniając dłonią słuchawkę.

Siergiej popatrzył na niego z kwaśną miną i młody mężczyzna posłusznie wrócił do pracy.

– Przynajmniej zastanówcie się, czy nie otworzyć w tym miejscu księgarni – poprosiła Chloe. – Chociażby Barnes Sc Noble.

– Spójrzcie tylko, mam swoją duchową przewodniczkę. – Siergiej zmierzwił jej włosy. Może zaczniesz u nas pracować, kiedy nie będziesz w szkole, jako stażystka? Wtedy wreszcie ktoś by cię wysłuchał. Ech. Chodźmy zamówić coś do jedzenia. – Odwrócił się, nie zdejmując ręki z ramion Chloe, i pociągnął ją za sobą.

ROZDZIAŁ 5

– Ogłaszam rozpoczęcie nadzwyczajnego zebrania Bractwa.

Było ono znacznie mniej formalne niż większość zebrzań, w jakich musiał uczestniczyć Brian: odbywało się za dnia, a członkowie Bractwa mieli na sobie zwykłe stroje. *W każdym razie ja jestem ubrany normalnie. Stare pry ki musiały się odstrzelić w garnitury...*

– Celem? – zapytał zgodnie z rytuałem jego ojciec, żeby stenograf mógł wszystko zapisać. Brian obserwował z obrzydzeniem, jak jego ojciec, Whitney Rezza, wyciąga palce, podziwiając starożytny złoty pierścień i starannie wypielegnowane paznokcie. Był chodzącym wzorem metroseksualizmu, a w zasadzie to on wymyślił ten styl.

– Podjęcia ostatecznej decyzji co do losów Chloe King – odezwał się nuncjusz.

Funkcję nuncjusza pełniła Edna Hilshire, podobna jak dwie krople wody do aktorki Judith Anderson. Wiek, krótkie włosy, surowa mina i przenikliwe brązowe oczka dodawały jej autorytetu, którym cieszyła się większość zasłużonych członków Bractwa, bogatych, białych i najczęściej w średnim wieku.

Dziadek Briana, należący do starszyny, musiał mieć ze sto lat, lecz przynajmniej podzielał wątpliwości Briana co do planów reszty Bractwa względem Chloe i był skłonny mu wybaczyć. *A co najważniejsze, pozostawić ją*

przy życiu – pomyślał Brian.

– Umyślnie czy nie, ta dziewczyna odpowiada za śmierć Łowcy – odezwał się szujowaty Richard, lizus, którego ojciec Briana lubił mieć pod ręką. Richard – zdrobniale Dick – był ulubieńcem Rezzy, lecz prawie wszyscy nazywali go Dickless. Chociaż faktycznie był pozbawiony jaj, robił wszystko, by któregoś dnia stanąć na czele Bractwa. Brian swego czasu też o tym marzył i miał to niemal zagwarantowane dzięki pochodzeniu, ale wszystko się zmieniło, kiedy poznał Chloe.

Brian wstąpił do Bractwa Dziesiątego Ostrza pod przymusem, w przeciwieństwie do Richarda, który zrobił to z własnej woli. *Aura tajemniczości, rytuały i wierne oddanie idei przyciągają ludzi w każdym wieku* – pomyślał gorzko Brian.

Sam nigdy nie wybrałby takiego życia, oczywiście gdyby miał wybór. A że było inaczej, wylądował na zebraniu, które miało przesądzić o losie jedynej dziewczyny, do której kiedykolwiek coś czuł. Może nawet ją kochał.

– Chloe nie jest w żaden sposób odpowiedzialna za jego śmierć – powtórzył po raz tysięczny od tamtej nocy, kiedy wrócił do domu po walce na moście. Przeciągnął dłonią po swoich ciemnobrązowych włosach, zwykle puszystych, lecz teraz zlepionych potem. – Alexander Smith chciał ją zabić, a ona się tylko broniła. Co więcej, kiedy z własnej winy zsunął się z mostu, wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc.

– Wydaje mi się to wielce nieprawdopodobne –

odezwał się sucho Richard.

– Zamknij się – wybuchnął Brian. – Nie było cię tam.

– Spokojnie, Nowicjuszu – upomniała go Edna. – Nie przeciągaj struny – dodała z bladym uśmiechem. – Chociaż mnie też trudno uwierzyć, by ktokolwiek, Mai czy człowiek, próbował pomóc osobie, która dopiero co chciała go zabić, to jedynym naocznym świadkiem tego incydentu jest Brian.

– Który najwyraźniej nie jest obiektywny – wtrącił jego ojciec pewnym głosem przywódcy.

– Pragnę podkreślić, że nie pozwolę, by moja miłość do syna w jakikolwiek sposób wpłynęła na nasze działania.

Nic nowego ~ pomyślał Brian.

– Nie mamy dowodu na to, że Łowca umarł – odezwał się Ramone, protokolant. Był wysoki i niezwykle szczupły, jak na bibliotekarza przystało, lecz jego skóra miała zdrowy koloryt, a brązowe oczy błyszcząły. Był niewiele starszy od Briana, lecz mówił jak własny dziadek. Przejrzałem akta policyjne i szpitalne. Żadne ciało nie zostało wyrzucone na brzeg, nie wypłynęło na powierzchnię ani...

– To bez znaczenia – przerwał mu ojciec Briana. – Łowca spadł z mostu, broniąc się.

– Przed dziewczyną, którą sam zaatakował! – zaprotestował Brian.

– Proszę nie protokołować ostatniej kwestii – polecił Ramone'owi Rezza. – Nie ma związku ze sprawą.

– Przecież to wy mnie do niej przydzieliliście – zauważył ze złością Brian.

– Owszem, w nadziei, że będziesz śledził tę Mai i się z nią zaprzyjaźnisz. Nie prosiliśmy, żebyś został jej adwokatem!

– Przejdźmy do jej matki – przerwała im uprzejmie Edna, kładąc dłonie na stół. Ona również nosiła pierścień Bractwa, ale mniejszy i z pomarańczowego złota, innego niż pierścień ojca Briana. – Czy jest bezpieczna?

– Na razie tak.

Brian zauważył spojrzenie rzucone Ednie przez jego tatę, mówiące: *Porozmawiamy o tym później.*

– Cóż, przynajmniej za to możemy być wdzięczni. – Starsza pani pochyliła się do przodu i rozłożyła dłonie. – Powinniśmy nadal obserwować Chloe, tym razem uważniej, z pomocą kogoś, kto... – posłała Brianowi przepraszające spojrzenie – nie jest bezpośrednio zaangażowany. Dopóki będziemy wiedzieli, gdzie jest, możemy podjąć decyzję w każdej chwili. A tymczasem upewnimy się, że nie robi nic groźnego.

– To rozsądne – poparł ją Ramonę.

– W porządku – odezwał się ojciec Briana. – Zgoda. Brianie, odsuwamy cię od tej sprawy. Mówię serio. Jeśli znów przyłapiemy cię w pobliżu Chloe King, czekają cię poważne konsekwencje.

Na przykład jakie? Cofniesz mi kieszonkowe? Dostane szlaban? Po raz drugi pozwolisz, żeby mama zginęła? Oczy Briana zapłonęły gniewem. Ojciec dostatecznie go już ukarał. Nie mógł go bardziej skrzywdzić.

– Gdzie widziano ją po raz ostatni?

– Na moście, podczas ucieczki. Jej przyjaciele poinformowali Gwardię Narodową o obecności Łowcy – wymamrotał Brian.

– Jej ludzcy przyjaciele? – upewniła się Edna. Brian przytaknął i dodał:

– Pobieгла w stronę wzgórz Marin Headlands i zniknęła mi z oczu.

– Czy ktoś z nią był?

Ojciec popatrzył mu prosto w twarz. Jego oczy miały ciemnobłękitny kolor nieba zasnutego chmurami. Brian większość cech wyglądu odziedziczył po matce.

Przypomniał sobie Aleka, bosko przystojnego „drugiego” chłopaka Chloe, ucznia jej szkoły,

który tak jak ona był Mai i w przeciwieństwie do Briana mógł jej bezkarnie dotykać i całować ją, nie bojąc się, że umrze.

Jego nemezis.

– Nie – powiedział wolno. – Była sama. Zupełnie sama.

ROZDZIAŁ 6

– Zanieś to Mishy – poleciała Chloe nieprzyjemna recepcjonistka, wciskając jej w ręce stertę umów.

Chloe westchnęła i ruszyła szukać kolejnego ukrytego biura w archaicznym kompleksie o nazwie Firebird. Dziwnie było przechodzić z oświetlonych jarzeniówkami pomieszczeń, pełnych faksów, komputerów, kopiarek i telefonów, do maleńkiej łazienki ze spłuczką z łańcuchem i zajmującym połowę pomieszczenia grzejnikiem.

Chloe na prośbę Siergieja rozpoczęła u nich staż, żeby się nie nudzić, i to za całkiem przyzwoitą stawkę dziesięciu dolarów za godzinę. Chociaż nie mogła wyjść i wydać tych pieniędzy, sama myśl o ich posiadaniu była przyjemna. Dowiedziała się też sporo na temat branży nieruchomości, przede wszystkim tego, że w przyszłości z całą pewnością nie chce w niej pracować.

Wydawało jej się, że puka do drzwi Mishy, jednej z zatrudnionych w firmie asystentek adwokata, lecz zamiast tego zastała w pokoju Igora i jego śliczną jasnowłosa narzeczoną, Valerie, siedzących na kanapie i wpatrzonych w siebie cielejącym wzrokiem.

– Przepraszam – bąknęła Chloe i szybko zamknęła drzwi. Po raz kolejny rozejrzała się po korytarzu, usiłując się zorientować, gdzie jest, gdy zadzwoniła jej komórka.

Przypadkowo zostawiła ją włączoną po tym, jak sprawdziła skrzynkę głosową, pełną wiadomości od Amy.

Cóż, przynajmniej się o mnie martwi. Będzie miała nauczkę za to, że przez tyle czasu mnie olewała – pomyślała Chloe.

Spojrzała na imię dzwoniącej osoby i głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Halo? – odezwała się cicho do słuchawki. Nikt nie zabronił jej korzystać z komórki, lecz podejrzewała, że gospodarze nie byliby zachwyceni, gdyby się o tym dowiedzieli.

– Chloe? Mówi Brian.

Po rozpaczliwym tonie jego głosu można było poznać, że nie wiedział, czego się spodziewać. Chloe ponownie przypomniała sobie scenę ucieczki z Alekiem, który nagle się przewrócił, raniony w nogę shurikenem. Później dostrzegła Briana z kolejnym pociskiem w dłoni.

– Czego chcesz?

Przez dłuższą chwilę milczał. Chloe słyszała, jak z trudem przełyka ślinę. Przed oczami stanęła jej zamysłona, przystojna twarz Briana usiłującego wymyślić właściwą odpowiedź. Niemal widziała, jak marszczy brwi, które stykają się nad jego ciemnymi oczami.

– Wszystko w porządku? – zapytał w końcu.

– Czuję się świetnie. Jestem wśród ludzi, którzy mnie chronią.

– A więc... odnalazłaś Stado.

Nie powinna być zdziwiona jego przypuszczeniem – kogo innego mogła mieć na myśli? Policję? Federalny program ochrony świadków, o którym Siergiej opowiedział jej mamie?

– Tak – odparła ze spokojem. – Zamierzają mi też pomóc w odkryciu, kim są moi rodzice i co się stało z moją biologiczną rodziną. – *Po co mu o tym mówię? Dlaczego nadal chcę, żeby tyle wiedział o mnie i moim życiu?*

– Ach tak. – Znowu zamilkł.

Chloe poczuła lekkie rozczarowanie, lecz przecież nie mógł powiedzieć: „to miło” ani „cieszę się”, skoro chodziło o najbardziej zaciekłych wrogów jego organizacji. Niezależnie od jego osobistych poglądów, grupa, do której należał, miała tylko jeden cel: zmieść Mai z powierzchni ziemi lub mieć nad nimi pełną kontrolę. Nadal trudno jej było to zrozumieć.

– Chloe, ja naprawdę próbowałem ci pomóc na tym moście.

– Co ty nie powiesz? Prawie przeciąłeś Alekowi ścięgno udowe!

– Tłumaczyłem ci przecież – powiedział cierpliwie. – Gdybyście pobiegli w tamtą stronę, wpadlibyście prosto w nasze ręce. Możesz mi wierzyć, że chociaż niewielu członków Bractwa jest równie szalonych jak Łowca, nie zabrakłoby takich, którzy bez mrugnięcia okiem pozbyliby się dwójki Mai zamieszanych w jego śmierć.

– Ja wcale nie... – Później jednak dotarł do niej sens słów Briana. Nie powiedział, że zabiła Łowcę ani że była odpowiedzialna za jego śmierć. – Cóż, nie miałeś problemu z trafieniem Aleka, więc dlaczego nie posłałeś jednej z tych gwiazdek prosto w gardło Łowcy?

– Chloe – odezwał się błagalnie i z lekkim smutkiem.

– Czy naprawdę sądzisz, że łatwo jest kogoś zabić, nawet jeśli zrobił coś okropnego? Szczególnie, gdy ta osoba jest... przyjacielem rodziny?

Chloe nie chciała tego słuchać. Brian powinien próbować ją ocalić i nie zastanawiać się nad niczym innym. Tego właśnie pragnęła, a przynajmniej to chciała usłyszeć.

– Nawet ty nie byłaś gotowa, żeby go zabić – dodał cicho. – Widziałem, jak wyciągnęłaś do niego rękę.

Miał rację. Dlaczego próbowała ocalić człowieka, który chciał ją zabić? *Ponieważ tak należało postąpić.* Dlaczego zatem winiła Briana za to, że nie zabił w jej obronie?

– Nigdy nikogo nie zabiłem – mówił dalej. – Ani człowieka, ani Mai. I nie mam ochoty tego zmieniać.

– Coś jednak mogłeś zrobić – mruknęła Chloe. Czowała się jak dzieciak i nie wiedziała dlaczego.

– Wyglądało na to, że sama całkiem nieźle sobie radzisz.

Mimo smutku w jego głosie wyczuła, że się uśmiecha. Przez chwilę żałowała, że nie może go zobaczyć. Wyobraziła sobie, jak wyciąga rękę i głaszcze ją po policzku lub dotyka jej dłoni. I nagle coś do niej dotarło.

– Wiem już, dlaczego nie chciałeś mnie pocałować – powiedziała wolno, nie przejmując się tym, że zupełnie zmienia temat. Przypomniała sobie poranną rozmowę z Siergiejem i to, co powiedział jej Alek wiele dni wcześniej, kiedy po raz pierwszy zobaczył ich razem.

– Nic z nim nie robiłaś. – To było stwierdzenie, nie

pytanie.

– Tak? A skąd to niby wiesz?

– *Nadal żyje.* – *Uśmiechnął się do niej.* – *Takiego chłopaka rozerwałabyś na strzępy i wypluła.* Alek powiedział to ze śmiertelną powagą. Chloe przypomniała sobie o tym, co spotkało Xaviera, i sytuację, gdy Brian prawie ją odepchnął, gdy próbowała mu skraść całusa.

Nic dziwnego, że Alek nie był zazdrosny o Briana! Wiedział, że ich związek i tak nie ma przyszłości.

– Przykro mi. Naprawdę chciałem cię pocałować. To znaczy... – zawiesił głos – nadal chcę.

– Czy udawałeś to wszystko, żeby mieć mnie na oku? – szepnęła.

– Nie, Chloe, przysięgam, że tak nie było – odparł rozpaczliwie. – Nie miałem zamiaru się w tobie zakochać.

Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu, wyrzucone pośpiesznie przez Briana, jakby wcale nie chciał tego powiedzieć, jakby słowa same z niego wypłynęły.

Chloe otworzyła usta, ale w końcu nic nie powiedziała.

Coś dobiegło do jej uszu. Gdyby była Kim, przekreśliłyby się w stronę drzwi. W korytarzu rozległy się znajome kroki.

– Muszę kończyć – odezwała się.

– Ja... – Brian chyba wyczuł, że nie powinien teraz naciskać. – Porozmawiamy później. Uważaj na siebie, dobrze? Wiele osób ma teraz na ciebie ochotę.

Uśmiechnęła się, słysząc dwuznaczność jego słów.

– Będę uważać.

Zamknęła klapkę telefonu dokładnie w chwili, gdy Alek wparował do pokoju.

– Chloe! Miłości mego życia! – zawołał, rozkładając ramiona w dramatycznym geście. Skrzywiła się. To był kiepski czas na szafowanie tego rodzaju wyznaniem. – Z kim rozmawiałaś? Z Paulem czy Amy?

Dziwnie było słyszeć te imiona z ust Aleka. Nie licząc ich dziwacznej podwójnej randki sprzed kilku tygodni, nigdy nie spotykali się całą czwórką. Trudno ich było nazwać przyjaciółmi. Chłopców łączyło co prawda zamiłowanie do komiksów, lecz Amy szczerze nienawidziła Aleka. Chloe zastanawiała się, czy wiedział, co do niego czuła.

Kiedy Alek odkładał notes i książki na krzesło, Chloe nie mogła oderwać wzroku od jego idealnego ciała, szerokich barów i wyraźnie zarysowanych mięśni. W każdej chwili mógł zacząć karierę modela i był prawdopodobnie najseksowniejszym facetem w jej szkole. Jednak po rozmowie z Brianem idealny wygląd Aleka tylko rozpraszał, a wręcz lekko denerwował Chloe.

Alek natychmiast zauważył, że jest rozdrażniona.

– A może rozmawiałaś ze swoim tajemniczym kochankiem? – zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu. Przechylił głowę z namysłem, podszedł do Chloe tak blisko, jakby miał zamiar ją pocałować, i nagle wyrwał jej telefon.

– Hej! – krzyknęła. – Oddawaj!

Alek roześmiał się i zaczął tańczyć wokół niej, trzy-

mając telefon wysoko nad głową, dobre pół metra poza jej zasięgiem. Chloe podskakiwała jak człowiek, ciągnąc go za rękę i zapominając o całym kocim treningu, który Alek przeprowadził z nią tamtej nocy, gdy po raz pierwszy przekonała się, co potrafi jako Mai.

– Sprawdźmy, do kogo dzwoniłaś i czy masz drugiego chłopaka. – Dokładnie w chwili, kiedy otworzył klapkę i zaczął naciskać guzik, Chloe wykonała ostatnią desperacką próbę powstrzymania go. Telefon był już niemal w jej zasięgu...

– Hej! Łapcie! – zawołał niespodziewanie Alek do przechodzących w pobliżu Valerie i Igora.

Rzucił telefon, a Igor wyciągnął rękę i zgrabnie go złapał. *Kocie odruchy* – pomyślała Chloe. Igor i Valerie uśmiechnęli się na widok drugiej pary. Chloe pobiegła w ich stronę. Igor obrócił się i odrzucił telefon Alekowi ułamek sekundy przed tym, jak Chloe zdążyła po niego sięgnąć. Valerie roześmiała się i oboje odeszli.

– Dawaj to – syknęła Chloe, powoli tracąc cierpliwość.

Alek otworzył telefon i kliknął na listę połączeń przychodzących. Chloe rzuciła się w jego stronę, lecz w porę odskoczył. Na widok imienia Briana zawahał się. Zamknął klapkę i oddał telefon Chloe, starając się zachować wesołą, figlarną minę, lecz zauważyła, że poczuł się urażony.

– Nie powiedziałam mu, gdzie jestem ani gdzie znajduje się wasza kryjówka – powiedziała na swoje usprawiedliwienie.

– Nie podejrzewałbym cię o to – stwierdził Alek, lekko zasmucony. Przez chwilę panowało między nimi milczenie. – Jestem głodny. Poszukajmy czegoś na ząb – powiedział już nieco weselej i sięgnął po książki. – Na prawdę powinnaś zadzwonić do Paula i Amy – dodał cicho. Martwią się o ciebie.

Znowu to zrobił: wypowiedział imiona jej przyjaciół, jakby był dla Chloe kimś ważnym umawiał się z nią na randki, karmił ją czekoladkami podczas okresu i poznał jej mamę – a nie facetem, którego za wszelką cenę ukrywała przed mamą i który nauczył ją wysuwać pazury, wspinać się po drzewach i skakać nocą po dachach.

Chloe schowała telefon do tylnej kieszeni i wyszła za Alekiem z pokoju.

ROZDZIAŁ 7

Już sam widok Amy uszczęśliwiał Paula. Siedzieli w Cafe Eland, gdzie jego dziewczyna z ożywieniem opowiadała mu o tym, jak jej minął dzień. Nadal nie mógł uwierzyć w to, jaka jest promienna. Chloe też była ładna, ale w inny sposób, a przy tym zdystansowana i skryta. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, Chloe King była introwertyczką i miewała zmienne nastroje, dlatego też jej pozorne zniknięcie z życia Amy i Paula – poprzedzające to prawdziwe sprzed trzech dni – nie zaskoczyło go ani nie zdenerwowało tak bardzo jak Amy.

Ta dziewczyna wykladała kawę na ławę. Od razu było wiadomo, co czuje, nie trzeba się było niczego domyślać. I nawet jeśli niektóre jej pomysły przekraczały granice ekscentryczności, zmierzając prosto do krainy szaleństwa, przynajmniej robiła wszystko, żeby je zrealizować.

Ciemnorude włosy – Paul zauważył, że prawie wróciła do swojego naturalnego koloru okalały jej twarz i łagodnie podskakiwały, kiedy wymachiwała rękami, opowiadając o czymś z przejęciem. Z uśmiechem, który leciutko naciągnął bliznę na jego górnej wardze, patrzył głęboko w jej śliczne, błękitne oczy.

– A później zatkał mi ręką usta i wciągnął do sali!

Powiedziała to tak głośno, że nie tylko sprowadziła Paula na ziemię, lecz także ściągnęła na siebie uwagę połowy uczniów w stołówce.

– Co takiego?! – Pokręcił głową. Wiedział, że powinien był uważniej słuchać, ale Amy mówiła naprawdę dużo. Właściwie nigdy nie milkła. Nie mógł nic poradzić na to, że czasami się wyłączał.

– Alek! – powtórzyła rozgorączkowana. – Kiedy powiedziałam, że nie wolno mu więcej skrzywdzić Chloe. Złapał mnie i wciągnął do sali muzycznej.

– Po co to zrobiłaś?

– No tak, najłatwiej zwalić winę na ofiarę – fuknęła Amy. – Typowo męskie podejście. Paul czuł się skołowany i chciał się jak najszybciej dowiedzieć, co dokładnie się stało, mimo to kolejne słowa dobrał już staranniej.

– Czy Alek zrobił ci krzywdę?

– Nie – przyznała Amy – ale chwycił mnie za rękę i zakrył mi usta dłonią!

– Groził ci?

– Tak!

Paul wpatrywał się w nią ciemnobrązowymi oczami, unosząc brew.

– Nie. – Amy złamała się pod jego spojrzeniem, wlepiła wzrok w kawę i zaczęła kopać nogę od stołu jak mała dziewczynka. – Ale mógł to zrobić, gdybyśmy byli sami.

– Chcesz powiedzieć, że oskarżyłaś go o skrzywdzenie Chloe w obecności innych ludzi?

– Nie jestem idiotką. W pobliżu przechodziły tylko jakieś laski ze szkolnej orkiestry. Paul odchylił się na krześle i wolno zamieszał herbatę, trawiąc to, co właśnie usłyszał.

Bywał enigmatyczny, lecz czasem po prostu potrzebował chwili, żeby dojść do siebie po tym, co zrobiła lub powiedziała jego dziewczyna.

– Alek coś wie – rzekła rozpaczliwie Amy, nie mogąc dłużej znieść milczenia Paula. Kiedy powiedziałam mu, co widzieliśmy na moście, zrobił się nieswój. Paul rozpiął suwak pod szyją i zaczął się nim bawić jak krawatem. Miał na sobie nową bluzę Pумы z czerwonymi paskami po bokach. Przypominał w niej prawdziwych, starszych od siebie DJ-ów z ulubionych klubów. Był to jego osobisty strój superbohatera.

– Amy – odezwał się wreszcie – nie powinnaś była tego robić. Jeśli Alek jest niewinny przypominam ci, że nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów – postąpiłaś głupio i złośliwie. A gdyby nawet był w to wszystko zamieszany, to w jaki sposób twoje zachowanie miałyby pomóc Chloe?

Amy zmarszczyła brwi.

– Powiedziałam, że jeśli ją skrzywdzi, to go zabiję. Paul usiłował się nie roześmiać.

– Moja ty *supergirl*.

– Ale z ciebie dupek – powiedziała Amy i w roztargnieniu pociągnęła duży łyk jeszcze zbyt gorącej kawy. Oczywiście nie dała nic po sobie poznać.

Paul westchnął w duchu, wiedząc, że musi to przeczekać. *Do końca dnia nastrój zmieni jej się jeszcze ze dwa razy* – pomyślał. I chociaż czasami czuł się zmęczony, nie był pewien, czy chciałby z tego zrezygnować. Wiedział, że

jeśli zostanie z Amy i chwilę z nią pogada, dziewczyna szybko mu wybaczy.

ROZDZIAŁ 8

Tego wieczoru Alek i Chloe mieli poczekalnię Firebirda tylko dla siebie. Siergiej jasno zaznaczył, że nie życzy sobie żadnych chłopców w pobliżu sypialni Chloe. Wiedzieli, że chodzi mu przede wszystkim o Aleka, więc na nic więcej nie mogli liczyć.

Światła były przygaszone, paliły się świece, a oni leżeli na podłodze i opychali się chińszczyzną.

– To lepsze niż wyjście do restauracji – powiedział Alek, połykając kluseczki *lo mein*. Doskonale radził sobie z pałeczkami. – Nikogo tu nie ma i możemy robić, co nam się podoba.

Chloe obchodziła się ze swoimi pałeczkami bardziej niezdarnie i w końcu musiała przechylić prawie pusty kartonik ze smażonym ryżem, aby grzebiąc pałeczką na jego dnie, zagarniać do ust porcje jedzenia.

– Uwielbiasz to, kociaku. – Alek wciągnął do ust ostatnią nitkę makaronu, uważając, by nie ochlapać się sosem sojowym. Później pochylił się i pocałował Chloe, przeciągając koniuszkiem słonego języka po jej zębach.

Chloe zbliżyła się do Aleka i przytrzymała jego głowę, żeby nie mógł się odsunąć. Wcale nie próbował. Obsypał pocałunkami szyję dziewczyny, muskając delikatne żyłki na jej skórze. Poczowała, że wysuwają się jej pazury. Odrzuciła głowę do tyłu, rozplywając się z rozkoszy.

– Chloe – szepnął Alek, odsuwając się i posyłając jej

łagodny uśmiech. – Muszę już iść.

– Niech cię szlag! – powiedziała pół żartem, pół serio i poczuła, że jej pazury się chowają.

– Mama obiecała podwieźć mnie do domu – odparł przepraszająco. – Powinienem jej poszukać, chyba że chcesz się dalej całować i czekać, aż nas nakryje...

– Nie, rozumiem. – Chloe wyprostowała się, wzdychając. – Po prostu rzadko się widujemy, odkąd przestałam chodzić do szkoły. Dawniej chociaż mijaliśmy się na korytarzu.

– Wiem – powiedział, całując ją w czoło. – Był to jeden z nielicznych powodów, dla których chciało mi się tam chodzić.

– Od jak dawna się mną interesowałeś? To znaczy, zanim zaczęliśmy ze sobą rozmawiać? zapytała Chloe, rumieniąc się.

– Na długo, zanim dowiedziałem się, że jesteś Mai.

– Co byś zrobił, gdybym była człowiekiem?

– To samo, co z Keirą Hendelson i Halley Dietrich, czyli nic. Nie żebym chciał cokolwiek z nimi robić! – dodał szybko, kiedy podniosła dłoń, żeby mu przylać.

Chloe znów zajęła się ryżem, próbując użyć obydwu pałeczek.

– Nienawidzisz ludzi, tak jak Siergiej? Alek wzruszył ramionami.

– Trudno nienawidzić sześć miliardów osób. Czasami niełatwo jest pogodzić te dwa światy. – Zmienił pozycję i zamyślił się. Chloe starała się zachować spokój. Alek

nigdy wcześniej jej się nie zwierzał. – W szkole słucham muzyki, gadam z ludźmi, przybijam z nimi piątki i wszystko wydaje się w porządku, lecz nocą, kiedy zapada zmrok, mam ochotę ruszyć w miasto i uganiać się nie wiadomo za czym. Czasami wierzę, że jestem człowiekiem, ale nie mogę zapomnieć o istnieniu zupełnie innego świata, w którym żyjemy.

– Czy chodząc do szkoły, nie narażasz się na niebezpieczeństwo? Bractwo nie będzie – próbowało cię zabić?

Alek pokręcił głową i wsunął do ust kolejny pierożek. Moment zadumy minął.

– Obowiązuje nas coś w rodzaju zawieszenia broni. Jeśli mnie zabiją, Mai odwdzięczą się im tym samym. To by oznaczało wojnę. Mai spoza Stada, tacy jak ty, zanim tu trafiłaś, się nie liczą. Technicznie rzecz biorąc, nikt cię nie chroni. We współczesnym świecie Bractwo nie atakuje członków Stada, chyba że skrzywdzą lub zabiją człowieka.

– To trochę... – Chloe szukała właściwego słowa, myśląc o *Ojcu chrestnym* – staroświeckie. Alek wzruszył ramionami.

– Jak ci się śpi w pokoju, do którego nie mam wstępu? Nie zmienił tematu dlatego, że czuł się niezręcznie. Naprawdę uznał, że nie ma już nic do dodania.

– Och, całkiem spoko. Zwykle gdy wszyscy położą się spać, schodzą się u mnie wszystkie dziewczyny w skąpych piżamkach i tłuczemy się poduszkami do chwili, aż nie mamy na sobie już nic.

Oczy Aleka zaświeciły się, lecz po chwili mina mu

zrzęda.

– Żartujesz sobie ze mnie.

– Tak myślisz?

Zjadła pierożek z warzywami i zieloną cebulką, od-
czuwając ulgę, że nadal jej smakują. Im więcej czasu
spędzała z Mai, tym bardziej się bała, że przemieni się
w drapieżnika z krwi i kości.

– Siergiej chciał mi załatwić prawdziwą sypialnię,
z łóżkiem z kolumnkami i innymi wspaniałościami, ale
wolałam zostać w swoim pokoju – no wiesz, w tej klitce,
w której pozwolili mi się zdrzemnąć. Uwielbiam go. Pełno
w nim przykurzonego rózu i zieleni. Zawsze marzyłam
o takiej sypialni – przyznała nieśmiało. – Czuję się tak,
jakbym mieszkała w mojej własnej wersji gotyckiej po-
wieści.

– Takiej jak Szkarłatna litera}

Omawiali tę lekturę na angielskim, kiedy Chloe mu-
siała zniknąć. Na myśl o panu Mingrone rysującym na ta-
blicy literkę „A” ogarnął ją lekki smutek.

– Myślałam raczej o Wichrowych Wzgórzach.

– Chyba będziemy to czytać w przyszłym roku.

Alek starannie zebrał śmieci i wepchnął je do plasti-
kowej torby, w której dostarczono im jedzenie, przykry-
wając pojemniczki z sosem sojowym, żeby nic się nie
rozlało. Chloe przyglądała mu się z rozbawieniem. Kiedy
skończył, nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

– Dobranoc, Chloe King. Zobaczymy się pojutrze
wieczorem?

– A co będzie jutro? Zebranie komitetu organizującego szkolny bal?

– Zgadłaś. – Puścił Chloe oczko, jeszcze raz ją pocałował, ścisnął jej dłoń i wyszedł. Chloe westchnęła, patrząc za odchodzącym Alekiem, a później zgasła świece.

Romantyczny wieczór – kilka godzin normalności – dobiegł końca. Zebrała torby ze śmieciami i poszła szukać kuchni, żeby je wyrzucić. Przez chwilę wyobrażała sobie, że tak właśnie wygląda studenckie życie: pracowity dzień na uczelni, randka w świetlicy akademika i pożyczanie kadzidełka od amatora trawki zza ściany, by usunąć z pokoju zapach chińszczyzny i nie podpaść kolegom weganom.

Chloe zastanawiała się, czy w tej sytuacji w ogóle ma szansę, żeby pójść na studia. Jak miała nadrobić szkolne zaległości? Może znajdzie w bibliotece egzemplarz *Szkarłatnej litery* i pouczy się trochę sama, tak jak Kim?

Uchyliła drzwi w korytarzu, sądząc, że prowadzą do kuchni, i poczuła, jak w jej żyłach ścina się krew. Pomieszczenie było duże i pogrążone w półmroku, który rozpraszał blask świec i lamp naftowych. Podłogę pokrywały płytki z grubo ciosanego piaskowca, na tyłach znajdowało się podwyższenie, a na nim stały dwa ogromne posągi, podobne do tych, które widziała wcześniej w bibliotece w postaci podpórek na książki. Lewa figura przedstawiała kobietę z głową lwa. Prawa – egipskiego kota z kolczykiem w uchu i uśmiechem na wargach. Podwyższenie było oddzielone od reszty pokoju czymś

w rodzaju niewielkiej fosy, ciągnącej się przez całą szerokość pomieszczenia.

Kim klęczała z opuszczoną głową przy niewielkim ołtarzu, przed figurami. Miała na sobie białą szatę i mamrotała coś pod nosem. Gdyby nie trójwymiarowa perspektywa, można by pomyśleć, że jest to scena ze starożytnego egipskiego malowidła.

Chloe starała się wycofać bezszelestnie, lecz przypadkiem zawadziła butem o próg. Kim poruszyła kocimi uszami, chociaż reszta jej ciała pozostała nieruchoma.

– Przepraszam – szepnęła Chloe. Kim skończyła modlitwę i wstała.

– Nie chciałam ci przeszkodzić...

– Żaden problem – rzuciła lekko Kim. Zsunęła z siebie szatę i odwiesiła ją na stojący przy drzwiach wieszak, gdzie znajdowały się podobne szaty w różnych rozmiarach. Pod spodem miała swój zwykły strój: dżinsy, sweter i żadnych skarpetek ani butów.

– O co w tym chodzi? – zapytała Chloe od niechcienia, wskazując kciukiem na posągi, chociaż bała się tego, co mogła usłyszeć.

– To nasze bóstwa, Bastet i Sekhmet – odpowiedziała z pełną powagą Kim. – Dwie postacie tej samej bogini.

– Czy wszyscy... – Spróbowała sobie wyobrazić Aleka klęczącego w białej szacie przed starożytnymi posągami i jakoś jej się to nie udało.

– Nie w takim stopniu jak ja.

Uszy Kim poruszały się co chwilę, łowiąc dźwięki

z różnych pomieszczeń.

Chloe musiała zadać to pytanie. Jestem przecież kotem, a ciekawość jeszcze nikogo nie zabiła.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz za to pytanie. Siergiej powiedział, że twoim zdaniem w dawnych czasach wszyscy wyglądaliśmy tak jak ty, ale jak ci się udało...

– Podążam ścieżką starożytnych – wyjaśniła Kim z wyższością. Chloe uniosła brwi i pokręciła głową – dla niej to nic nie znaczyło.

– Gdybyś przez wiele lat nie chowała pazurów i stale korzystała z widzenia w ciemności, wyglądałabyś tak samo – odparła Kim, przeciągając pazurami po uchu.

– To wymaga ogromnej koncentracji, medytacji i modlitwy.

– W porządku.

Medytacja? Modlitwa? W co ja się wpakowałam?

Rodzice Chloe nie byli przesadnie pobożni – jej matka chodziła do kościoła episkopalnego, ojciec do katolickiego, ale żadne z nich nie uczęszczało tam regularnie. Nigdy wcześniej nie musiała się zastanawiać nad religią. Czasami wybierała się z Amy na święto Paschy lub musiała pamiętać, żeby uważać na to, co mówi, przy baptystycznych krewnych Paula. Po odejściu męża matka Chloe próbowała zabierać ją do kościołów anglikańskich, do których sama uczęszczała ze swoją matką, ale jakoś nie miała do tego serca i w końcu zrezygnowała z nawracania Chloe, kiedy ta weszła w burzliwy wiek dojrzewania.

Chloe wróciła myślami do terażniejszości i stojącej przed nią Kim, kociej dziwaczki. Co teraz pomyślałaby sobie jej episkopalna matka?

– Nie wiem, czy potrafiłabym...

– Wielu z nas ma z tym problem – powiedziała łagodnie Kim. – Nie są przyzwyczajeni do czczenia któregoś bóstwa, lecz jako Mai zawsze wybieramy swoją ścieżkę. Bastet kieruje nas w stronę macierzyńskiej miłości, poczucia bezpieczeństwa oraz fizycznego, emocjonalnego i duchowego wsparcia. – Wskazała na posąg kota.

– Na przykład Olgę? – Chloe przypomniała sobie słowa Siergieja. – Opiekuje się wszystkimi w Stadzie.

Kim pokiwała głową.

– Z kolei Sekhmet wiedzie nas w stronę wojny, choroby, przemocy i ochrony. – Wskazała na postać siedzącą na tronie.

– Ach tak. – Chloe te cechy skojarzyły się z Siergiejem i nie była to przyjemna myśl. – Czy to znaczy, że jest... zła?

– Żadna z jej postaci nie jest zła – wyjaśniła cierpliwie Kim. – One po prostu są. Sekhmet jest boginią żołnierzy, których nazywamy *kizekh*, i żarliwie ich broni, podobnie jak lwica strzegąca swoje młode.

– Kto jeszcze za nią podąża? Poza Siergiejem i *kizekhami*? – Chloe roześmiała się nerwowo, myśląc o Ale-ku. Nie potrafiła go sobie wyobrazić po którejkolwiek ze stron.

– Powinnaś się nad tym dobrze zastanowić – poradziła jej Kim – zanim sama dokonasz wyboru. – W ustach kogoś

innego zabrzmiałoby to protekcjonalnie, lecz poważne, pozbawione emocji, zielone oczy dziewczyny dodały jej słowom mądrości.

– A za kim ty podążasz?

– Za obiema. Bastet i Sekhmet są jak dwie strony tej samej monety, o czym zbyt często zapominamy.

Światła w pokoju zamigotały, jakby poruszone powiewem wiatru z zapomnianej krainy. Chloe i Kim dzielił niewiele ponad metr i gdy ich cienie tańczyły w chwiejnym świetle, Chloe zauważyła, jak krucha i delikatna wydaje się ta dziewczyna. *Jest sierotą, tak jak ja. Nie ma nawet adoptowanych rodziców.* Nic dziwnego, że pozwoliła się wciągnąć starożytnym rytuałom i historii, które umożliwiły jej nawiązanie więzi z przodkami.

Może i jestem tu nowa, za to ona nigdy nikogo nie miała.

– Czy możesz mi pokazać, gdzie jest kuchnia? Chyba się zgubiłam. – Kim pokiwała głową i ruszyła w stronę drzwi, dając Chloe znak, żeby poszła za nią. – Czy mogę cię jeszcze o coś zapytać?

– Jasne.

– Zostało nas niewielu, mamy dziwaczne kocie cechy, a Bractwo Dziesiątego Ostrza śledzi każdy nasz krok...

Kim przytaknęła. Otworzyła drzwi i zaprosiła Chloe do niewielkiej, urządzonej na biało kuchni.

– Dlaczego bogaci członkowie Stada nie kupią kawałka ziemi gdzieś daleko, żeby wszyscy Mai mogli się tam przeprowadzić i żyć długo i szczęśliwie? Stworzyli-

byśmy małą, niezależną społeczność, gdzie każdy mógłby pokazywać pazurki, łowić myszy, korzystać z kuwety czy co tam jeszcze?

Kim puściła ostatni komentarz mimo uszu.

– Niektórzy twierdzą, że to wina klątwy – odparła.

Chloe wyrzuciła śmieci do kosza i otworzyła lodówkę, szukając czegoś na deser.

– Czego?

– Klątwy. – Kim błyskawicznie wskoczyła na blat i teraz siedziała na nim ze zwieszonymi nogami. Była to jedna z najbardziej ludzkich rzeczy, jakie do tej pory zrobiła w obecności Chloe, – Podobno pięć tysięcy lat temu w Egipcie dziewczyna z rodu Mai zakochała się w jakimś chłopaku.

W lodówce leżało mnóstwo smakowicie wyglądającego mięsa i wędlin, a także dziwnych marynat i butelek czerwonego barszczu.

– Żadna ze stron nie była tym szczególnie zachwycona, ale już wcześniej zdarzały się podobne przypadki. Pewnej nocy, kiedy kochankowie mieli się spotkać, dziewczyna imieniem Neferet została pojmana i zabita przez krewnych chłopca. Możliwe, że ją zgwałcili i torturowali dodała. – W odwecie Mai skrzyknęli się i każdej nocy, dopóki księżyc nie zniknął z nieba, atakowali ludzi. Zamordowali wszystkich w promieniu dwudziestu mil.

– Wierzysz w tę historię? Kim wzruszyła ramionami.

– Tak jest napisane w księgach. Bogowie przekleli Mai. Nawet Bastet i Sekhmet odwróciły się od swoich dzieci. Ludzie i Mai nigdy więcej nie mogli się kochać, a nasz ród został wypędzony z własnej ziemi na wiele tysięcy lat, póki krzywda ludzi nie zostanie naprawiona.

– Zapytam raz jeszcze: czy to wszystko prawda?

– Nieważne, co jest prawdą. Liczy się to, w co wierzą ludzie – powiedziała filozoficznie Kim. – Za każdym razem, gdy wydaje nam się, że znaleźliśmy nowy dom, spotyka nas coś złego. Ugarit. Ur. Aszur. Wszystkie te miejsca zostały zniszczone, a my musieliśmy się przenieść. Diaspora z Abchazji jest jednym z ostatnich przykładów. Dawniej Stado mieszkało w Los Angeles, ale trzęsienie ziemi w 1994 zniszczyło nasze domy. Takie przypadki stale się powtarzały, aż w końcu nawet najbardziej sceptyczni Mai stracili nadzieję i doszli do wniosku, że nigdzie nie osiadziemy, dopóki nie spłacimy starego długu.

Chloe słuchała jej uważnie, lecz nagle zauważyła zamknięty na klucz schowek w lodówce. Uniosła brew i wskazała go Kim.

– Dorośli trzymają tam alkohol – wyjaśniła tym samym tonem, którym opowiadała jej starożytną historię.

– Napiłabym się piwa – przyznała Chloe.

– Piwo w języku starożytnych Egipcjan i dawnej mowie Mai to *henqet* – oznajmiła pedantycznie Kim, po czym uniosła rękę i wyciągnęła wskazujący palec zakończony pięknym, grubym, czarnym pazurem. Zeskoczyła z blatu, pochyliła się nad lodówką i wsunęła paznokiec do

zamka. Chwilę z nim walczyła, lecz w końcu rozległo się kliknięcie i drzwiczki się otworzyły. W środku leżały zmrożone butelki piwa Rolling Rock, Michelob Ultra, Samuel Adams i Anchor Steam.

Chloe wyjęła dwie butelki i jedną z nich podała Kim.

– Za Mai – powiedziała, stukając się z nią szkłem.

– Za Bastet i Sekhmet – odparła Kim, sprawnie zdejmując kapsel pazurem kciuka. Smakując pienisty napój, Chloe doszła do wniosku, że zaczyna lubić tę dziewczynkę.

ROZDZIAŁ 9

W środę, wyciągając portfel ze szkolnej szafki, Paul nadal rozmyślał o tym, co powiedziała mu Amy. Właśnie wybierał się do sklepu z komiksami. Alek również stał przy swojej szafce na końcu korytarza. Paul poczuł zalewającą go falę wstydu. Musiał coś z tym zrobić.

– Hej, ruski, idziesz? – zawołał.

– Tak, zaczekaj. – Alek odgarnął z twarzy swoje blond włosy, wysuwając głowę z szafki, po czym zatrzasnął drzwiczki i dołączył do Paula. – Czytałeś już najnowszego *Wizarda*?. Zastanawiam się, czy nie kupić sobie *Herosów z Diamentowej Ery*.

Paul wzruszył ramionami.

– Podoba mi się fabuła, ale nie mogę znieść rysunków Dave'a Hendicka. Brakuje im proporcji: same mięśnie, cycki i łydki, jakbyśmy nadal mieli rok 1982.

– Te komiksy są nostalgiczne!

Wyszli ze szkoły w milczeniu. Paul musiał iść wolno – chłopak Chloe kulał na jedną nogę. W połowie drogi do sklepu Alek posłał Paulowi ukradkowe spojrzenie.

– Twoja dziewczyna to kompletna wariatka – zauważył bez cienia złośliwości.

– Wiem – odparł z westchnieniem Paul, ciesząc się, że Alek poruszył ten temat pierwszy. Przepraszam cię za nią.

– To nie twoja wina. Trzeba przyznać, że ma bogatą wyobraźnię. Paul wiedział, że powinien odpuścić, lecz

musiał zapytać.

– Czy Chloe jest bezpieczna? Powiedz mi chociaż tyle – poprosił cicho. Alek przewrócił oczami.

– O rany, ty też? Oboje macie świra na punkcie konspiracji czy co? Paul zatrzymał się.

– Odkąd zaczęliście kręcić z Chloe, przytrafiło jej się sporo dziwnych rzeczy. W piątek walczyła o życie – zaczęła wyliczać na palcach – a ty w tym samym czasie zacząłeś kuleć. Jesteś jej chłopakiem, a jakoś nie wydajesz się zaniepokojony tym, że od trzech dni nie chodzi do szkoły, niby z powodu choroby. To wszystko każe mi podejrzewać, że wiesz, co się z nią stało i że jest bezpieczna.

Alek nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Jesteś sprytniejszy od swojej dziewczyny – zauważył.

– Nie – odparł z uśmiechem Paul. – Amy jest naprawdę mądra, tylko krócej się zastanawia. Alek przygryzł wargę – *jak dziewczyna*, pomyślał Paul – i zamyślił się nad czymś. Paul szedł za nim, cierpliwie czekając na odpowiedź.

– Nic jej nie jest – powiedział w końcu Alek. – Nikt i nic jej już nie grozi – poprawił się.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć – wymamrotał Paul. – Dzięki.

– Mhm – mruknął Alek, nieco rozdrażniony tym, że ujawnił prawdę.

– Czy mógłbyś powiedzieć Chloe, że za nią tęsknimy? I martwimy się o nią?

– Myślę, że o tym wie, ale dobrze, powiem. Jesteście

jej najlepszymi przyjaciółmi. Zatrzymali się przed sklepem z komiksami i Alek zmarszczył niepewnie brwi, koncentrując się na wystawie. – Wydaje mi się – powiedział wolno – że piersi Wonder Woman na tym plakacie są ułożone pod różnymi kątami, nie sądzisz?

Paul miał nadzieję, że jeśli Chloe została wplątana w międzynarodową aferę szpiegowską, handel narkotykami, porachunki mafijne lub morderstwo, to nie Alek był mózgiem całej operacji. Choć był miły, brakowało mu szarych komórek.

ROZDZIAŁ 10

– Halo?

– Amy? Mówi Chloe.

Chloe głęboko zaczerpnęła powietrza, czekając na reakcję Amy. Przez krótką chwilę w słuchawce panowała cisza.

– O mój Boże, Chloe! Gdzie ty się, do diabła, podziewasz?

Chloe poczuła ulgę. To była jej stara, dobra – i wkurzona na maksa – Amy.

Chloe siedziała na podłodze w swoim nowym pokoju, oparta o ścianę przy łóżku. Gdyby ktoś ją przyłapał, mogła powiedzieć prawdę: zadzwoniła do przyjaciółki, by zapewnić ją, że wszystko jest OK. Nikt jej nie zabronił dzwonić do przyjaciół, a w razie potrzeby mogła odegrać rolę głupiej i obrażonej na cały świat nastolatki.

Dlaczego w ogóle się martwiła? Ci ludzie, jej ludzie, przyjęli ją z miłością i entuzjazmem, chronili i nie zadawali żadnych pytań. Miała na sobie wygodne spodnie do jogi i top w odpowiednim rozmiarze, które dyskretnie jej dostarczono. Dlaczego nagle zaczęła się przejmować, że ktoś przyłapie ją na gorącym uczynku?

Chloe zawinęła kosmyk ciemnych włosów wokół palca. Dawno powinna była je podciąć, ale wydarzenia ostatnich kilku tygodni sprawiły, że o tym zapomniała.

Może się jeszcze okazać, że jestem krótkowłosym

kotem – prawie się roześmiała z własnego żartu.

– Mieszkam z ludźmi, którzy chronią mnie przed moimi niedoszłymi zabójcami. – Chloe skrzywiła się, słysząc, jak głupio to zabrzmiało.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Myślałam, że chodzi tylko o tamtego faceta na moście! Czy ci ludzie należą do jakiegoś gangu? Ty też w nim jesteś, Chloe?

Zanim Chloe zdążyła odpowiedzieć, usłyszała krzyk Amy, zduszony, jakby przycisnęła telefon do piersi:

– Dzwoni Chloe! Mówi, że nic jej nie jest. Chyba została porwana. Nie, sama jej powiem. – Ledwie słyszalny męski głos w tle z całą pewnością należał do Paula. – Po-dejdz do drugiego aparatu! – wybuchła Amy.

Jest u niej w domu, i to późnym wieczorem – uzmysłowiła sobie Chloe. Rozległo się kliknięcie i do rozmowy włączył się Paul.

– Hej, Chloe. – Jego głos był jak zawsze opanowany. Chloe nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy cokolwiek jest w stanie wyprowadzić Paula z równowagi. – Wszystko w porządku?

– Tak. Nic mi nie jest, Paul.

– Fajnie. Martwiliśmy się o ciebie.

– Wiem. – Chloe uśmiechnęła się, lecz poczuła się trochę dziwnie. Cieszyła się, że Paul przyjął za pewnik to, że jest bezpieczna i będzie sobie potrafiła poradzić. Miło wiedzieć, że ktoś w nią wierzył, ale czy Paulowi nie zależało na niej na tyle, by chociaż przez chwilę spanikować? Czy nie powinien być bardziej zaniepokojony?

– W każdym razie nie zostałam porwana ani wciągnięta do gangu. – Chloe przypominała sobie o Bractwie Dziesiątego Ostrza i Stadzie. Gdyby zapomnieć o historii, legendach, okultystycznych początkach, sekretnych mocach, to właściwie... – No dobrze, trochę przypomina to – wojnę gangów, ale sprawa ma wymiar międzynarodowy i w ogóle.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła triumfalnie Amy. – Alek szpieguje dla KGB, mam rację?

– Poducz się trochę historii, co? – nie wytrzymała Chloe, przechodząc z trybu rozmowy „nicmi–nie–jest–kocham–was” na swoje zwykłe przekomarzanie się z Amy. Zaczepnęła głęboko powietrza. – To nie ma nic wspólnego z zimną wojną. – Chociaż właściwie miało. – Zaczniemy od początku. Istnieją dwie grupy: Mai, z którymi jestem spokrewniona, i Bractwo Dziesiątego Ostrza, którzy chcą nas pozabijać, bo... – *Lepiej dobrze się zastanów, Chloe.* – Mai tworzyli kastę łowców, fałszywie oskarżanych o mordercze... i zwierzęce skłonności.

Wszystko to stare dzieje. Najważniejsze, że Alek ocalał mi życie, kiedy ten psychol z Bractwa próbował mnie zabić. – Cóż, nie do końca tak było. Alek nie dopuszczał do niej Briana, kiedy Chloe walczyła z Łowcą. Możliwe, że to Brian tak naprawdę próbował jej pomóc. Jednak gdyby Alek nie pokazał jej swoich kocich zdolności, sztylety Łowcy pewnie rozplątałyby ją od nosa po pepek.

– Doprawdy? – zapytała z niedowierzaniem Amy.

– Tak było – powtórzyła twardo Chloe. – Co więcej, ci

ludzie pomogą mi się dowiedzieć, kim są moi krewni. Możliwe, że wszyscy zginęli... – Pomyślała z nadzieją o Kim, a później zastanowiła się, czy dogadałyby się z Amy. Postanowiła jeszcze nie wspominać o tym, że może mieć siostrę. – Jednak mam nadzieję, że wciąż żyją. Ci ludzie chcą odnaleźć wszystkich Mai z Abchazji, kraju z dawnego Związku Radzieckiego, rozproszonych po całym świecie i sprowadzić ich w bezpieczne miejsce.

– Wygląda na to, że razem z nimi sprowadzili kłopoty – zauważyła kwaśno Amy. Chloe już miała się sprzeciwić, lecz trudno było odmówić przyjaciółce racji.

– Wróć do domu – odezwał się błagalnie Paul. – Gdy tylko będziesz mogła. Nie ufam tym „ludziom”.

– Tak, pewnie założyli ci podsłuch.

– Amy, dzwonię z komórki...

– Wszystko jedno! Nie bądź naiwna. Kiedy wracasz?

To było dziwne pytanie. Chloe przebywała w Rrebirdzie raptem tydzień, a już czuła się tak, jakby zaczęła nowe życie. Pewnie, że tęskniła za mamą, Paulem i Amy, ale myśl o tym, że następnego dnia miałyby się obudzić i pójść do szkoły, była nieprawdopodobna.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Chcesz powiedzieć, że nawet tego nie planujesz? – zapytała ze zdumieniem Amy.

– Nie, dopóki nie będę bezpieczna – odparła niepewnie Chloe.

– Czyli kiedy? – odezwał się Paul. Tym razem jego

głos nie zabrzmiał spokojnie. – Kiedy to całe Bractwo zniknie z powierzchni ziemi? Kiedy wszyscy zginą? Ilu ich właściwie jest? Wygląda mi to na regularną wojnę gangów!

Chloe nie poświęciła ani jednej chwili, by się nad tym wszystkim zastanowić.

Myślała teraz, zapadając się w poduszki. Mai powtarzali – a w zasadzie Siergiej powtarzał – że wróci do domu, „kiedy minie niebezpieczeństwo”, a Chloe przyjęła to do wiadomości, zaczęła powtarzać i w końcu w to uwierzyła. Czego się spodziewała? Ze Bractwo tak po prostu odpuści? Ze znudzi im się polowanie na potencjalną zabójczynię jednego z nich? Że po pięciu tysiącach lat walki na śmierć i życie machną ręką na jedną przypadkową ofiarę?

Czy naprawdę wierzyła, że pewnego dnia Siergiej przyjdzie do niej, mocno przytuli, pozwoli jej wrócić do domu i poprosi, by czasem ich odwiedziła? Po chwili zastanowienia dotarło do niej, że nikt tutaj nie zachowywał się tak, jakby miała kiedyś opuścić to miejsce. Alek nie wspomniał o tym słowem. Dostała przecież pracę.

– Nie podoba mi się to wszystko, Chloe – odezwała się ponuro Amy. – Chcę się z tobą zobaczyć. Jeśli ci ludzie są tacy wspaniali, nie powinni mieć nic przeciwko temu, byś się spotykała z przyjaciółmi.

– Amy, to nie jest dobry moment...

– Ja nie żartuję! Obiecuj, że się z nami spotkasz, albo wezwę na pomoc kawalerię. Zadzwoń na policję. Powiem o wszystkim twojej mamie!

– W porządku, obiecuję – poddała się Chloe.

– Kiedy?

– Nie wiem! Zadzwońię do was, kiedy będę mogła, dobrze? – Popatrzyła na wskaźnik zużycia baterii. Zostały jej już tylko dwie kreski. Nie zabrała ze sobą ładowarki i z jakiegoś powodu nie czułaby się komfortowo, prosząc o nią. Oprócz Aleka, Igora i Valerie nikt w Stadzie nie wiedział, że miała komórkę, chyba że się komuś wygadali. Z jakiegoś powodu wolałaby, żeby zachowali to dla siebie.

– Dobrze. Jeśli nie zadzwonisz do soboty, wezwę kawalerię, jasne?

– W porządku. Do usłyszenia!

– Cześć! – zawołał Paul.

Chloe zamknęła klapkę komórki i przyglądała jej się przez dłuższą chwilę, nie wstając z podłogi.

– Cóż, to było... dziwne – stwierdził Paul, w roztargnieniu układając pluszaki Amy w nieprzyzwoitych pozycjach.

– Syndrom sztokholmski – powiedziała bez wahania Amy, zadowolona z siebie. – Chloe polubiła swoich porwaczy i uwierzyła, że dbają o jej bezpieczeństwo.

Paul popatrzył na nią i zmrużył oczy.

– Amy? Co ty kombinujesz?

– Nic – odparła, krzyżując ramiona. – Na razie. Oboje wiedzieli, że to nieprawda.

ROZDZIAŁ 11

– A niech mnie! Mój własny syn chce zjeść ze mną kolację – powiedział Whit, rozkładając na kolanach śnieżnobiałą serwetkę. – Czuję się zaszczycony.

Brian skrzywił się. Po raz kolejny jego ojcu udało się odwrócić kota ogonem i postawić na swoim: pan Rezza wybrał restaurację w hotelu Ritz–Carlton, ku niezadowoleniu Briana. Ucieleśniała wszystko to, na czym nie chciał się koncentrować podczas rozmowy z ojcem: napuszony wystrój, irytująco doskonali, zwariowani bogacze, przegazzone światła, milczący kelnerzy i najgorsze w tym wszystkim – eleganckie stroje. Technicznie rzecz biorąc, Brian ubrał się jak należy, lecz kierownik sali krzywo patrzył na elegancję w nastoletnim wydaniu: brązowe aksamitne spodnie, skórzaną marynarkę, koszulę Diesela i krawat z second–handu.

– Napijemy się szampana na dobry początek? Co powiesz na butelkę Krug Grandę Cuvee, żeby uczcić nasze spotkanie?

Briana korciło, by powiedzieć ojcu, że jest nieletni i nie wolno mu pić, lecz wolał nie rozpoczynać wieczoru od spięcia.

– Wszystko mi jedno. Wiesz, że lubię czerwone wino.

– Racja. – Whit popatrzył na syna niemal z czułością.

– Pamiętam: cabernet. Dziwny wybór jak na chłopaka z Kalifornii, ale go nie potępiam. Wydaje mi się, że mają tu

całkiem przyzwoity wybór win. – Wyjął okulary i zagłębił się w lekturze karty.

Brian westchnął. Na całe szczęście jego ojciec, mimo pozornego luzu, wydawał się leciutko zdenerwowany. Od momentu, gdy ostatnio spędzali razem czas poza zakurzonymi ścianami kapitularda Bractwa, minęło wiele miesięcy. Starszy pan wyglądał mniej więcej tak samo, może tylko miał nieco ciemniejszą opaleniznę i mocniej zaciśnięte szczęki. Wspominał coś, że zaczął grać w tenisa czy squasha. Był potężnym, imponującym mężczyzną o arystokratycznej urodzie oraz nosie dostatecznie dużym, by go nazwać królewskim, i na tyle ostrym, że nie wyglądał jak stuprocentowy Włoch. Tylko oliwkowa opalenizna zdradzała jego śródziemnomorskie korzenie.

Ubrany był w warty kilka tysięcy dolarów garnitur od Josepha Abbouda, idealnie pasujący do koszuli, spinek do mankietów, krawata oraz butów. Gdyby nie brzuszek, ojciec Briana mógłby być modelem w magazynie dla dojrzałych panów. Whitney Rezza był ucieleśnieniem dobrego gustu i właściwie zainwestowanych pieniędzy.

– Tato – powiedział Brian, odchrząkując – myślę, że powinniśmy się zastanowić nad moim odejściem z Bractwa.

Ojciec uniósł wzrok znad karty win.

– Nie bądź śmieszny.

Po długim zastanowieniu Brian doszedł do wniosku, że najlepszą rzeczą, jaką może zrobić dla Chloe, jest zerwanie wszelkich więzi z organizacją, która uparła się, by

ją zabić. Jeśli uwolni się od Bractwa, Chloe będzie miała pewność, że może mu zaufać.

Chodziło o coś jeszcze: Brian wreszcie miał szansę, by się zastanowić, co zrobić ze swoim życiem, w którym brakowało miejsca dla Bractwa Dziesiątego Ostrza. W najlepszym wypadku było to idiotyczne stowarzyszenie pełne archaicznych rytuałów i tajemnic, w najgorszym – grupa zadeklarowanych morderców. W żadnym razie nie chciał z nim wiązać swojej przyszłej kariery.

– Mówię poważnie, tato. Chcę się kształcić, pracować, żyć. – Przeciągnął dłonią po gęstych, ciemnych włosach, zły na siebie, że się zdenerwował.

– Wszystko to możesz robić, należąc do Bractwa – powiedział ojciec, wolno odkładając kartę win. – Jeśli ci na tym zależy.

– Chcę się „temu” poświęcić. Nie zamierzam uciekać z egzaminu, żeby wziąć udział w spotkaniu Bractwa, tak jak to zrobił Dickless... chciałem powiedzieć Dick, kilka tygodni temu.

– Richard jest niezwykle oddanym młodym człowiekiem – powiedział z wyższością Whit i wzorowym członkiem Bractwa.

Dlaczego więc go nie adoptujesz i nie zostawisz mnie w spokoju? Sympatia, jaką jego ojciec darzył Dicka, dawniej wyprowadzała Briana z równowagi. Teraz chętnie oddałby mu rolę przyszłego przywódcy. Sam nie miał na nią najmniejszej ochoty.

Brian westchnął głęboko.

– Tato – zwrócił się do niego cierpliwie – większość ludzi sama wstępuje do Bractwa. Nawet Edna...

– Dla ciebie pani Hilshire.

– Nawet pieprzona pani Hilshire... – zamilkł, widząc ostrzegawcze spojrzenie ojca. – Nawet ona dała swoim dzieciom wybór. Evelyn postanowiła dołączyć, William i Maurice nie.

– Cóż, ja nie mam trojga dzieci i nie mogę Uczyć na to, że przynajmniej jedno z nich pójdzie w ślady ojca. Mam tylko ciebie.

– Nie moja wina, że nie masz więcej dzieci – burknął Brian, powoli tracąc panowanie nad sobą.

– Och, czy teraz obwinisz mnie o śmierć mojej żony? – odparł jego ojciec z irytującym spokojem. – O to, że gdyby nie ja, wciąż by żyła, mielibyśmy troje dzieci, a ty – problem z głowy? Masz rację. Straszny ze mnie samolub, że pozwoliłem żonie umrzeć. Nie wiedziałem, że tak bardzo uprzykrzę ci życie.

Stopa Briana zaczęła się trząść pod stołem. Opanował się, by ojciec nie zauważył, że traci nad sobą kontrolę.

– Nie o tym mówię. – Chociaż powinienem ci powiedzieć, co myślę, prosto w oczy, ty zadowolony z siebie... – Mówię o moim prawie do własnego życia.

– Nie każdy ma takie prawo, synu. Spójrz na księcia Karola – odparł z grobową miną pan Rezza. – Posłuchaj, odziedziczyłem to brzemie po twoim dziadku, on zaś po swoim ojcu. Czasami musimy przyjąć to, co daje nam los, i znieść to po męsku.

Po męsku? Brian ledwie powstrzymał się od uśmiechu. Ciekawe, że jego ojciec tak to określił. Czyżby Whit Rezza w którymś momencie się postawił, a ojciec sprowadził go do pionu? Dziadek sprawiał wrażenie łagodnego staruszka, lecz Brian wiedział, że za przyjaznym wyglądem krył się przenikliwy, może nawet niszczycielski umysł.

– Rozumiem, tato – odparł miękko – ale czasy się zmieniły. Mam... prawa osobiste, między innymi prawo do pójścia własną drogą.

Już wypowiadając słowa „prawa osobiste”, wiedział, że popełnił błąd. Ojciec przestał na niego patrzeć z czułością, zamiast tego zmroził go lodowatym wzrokiem.

– Bzdura – rzucił z obrzydzeniem. – Twoje pokolenie nie czuje odpowiedzialności względem innych i widzi wyłącznie czubek własnego nosa. Traktujecie przypadkowych kumpli jak krewnych, a rodzinę macie za nic. Chcesz przehulać swoje życie, goniąc za przyjemnościami. To nie żadna „ścieżka”, tylko strata czasu.

To był koniec. Brian próbował przemówić ojcu do rozsądku i poległ. Pan Rezza ponownie sięgnął po kartę win.

– Wszyscy w Bractwie miewają chwile zwątpienia, Brianie, nawet Edna czy ja. To nieodłączny element stawania się jego pełnoprawnym członkiem. Musisz to przeczekać. Zawiesił głos, przeglądając listę win. – Co powiesz na merlota?

ROZDZIAŁ 12

Długo po zakończeniu rozmowy z przyjaciółmi Chloe, nie wstając z podłogi, sięgnęła po parę złożonych w kostkę, znoszonych dżinsów i znalazła na materiale miejsce cienkie jak chusteczka, które w każdej chwili mogło się przetrzeć. Przeciągnęła po nim palcami, a później dotknęła twardych zgrubień dżinsu naokoło. Były to stare spodnie marki Lee, które odłożyła sobie w Pateenie.

Chcę cię tu widzieć z powrotem w środę. W przeciwnym razie możesz wcale nie wracać przypomniała sobie słowa szefowej.

Chloe westchnęła. Praca w sklepie z używanymi ciuchami była kolejną rzeczą, którą jej nowe, popieprzone życie, no cóż, spieprzyło. Miała wielką ochotę porozmawiać z Marisol, właścicielką sklepu i przyjacielską szefową, o ile nadal była jej pracownicą. Starsza pani rozumiała Chloe lepiej niż matka i bezbłędnie wyczuwała jej zmienne nastroje. Nawet jeśli dziewczyna nie mogła się z nią podzielić wszystkimi swoimi sekretami, Marisol zawsze była gotowa wysłuchać, co jej leży na wątrobie. Teraz, oczywiście, to było niemożliwe.

Hej, Marisol Przepraszam, że zwiałam i nie wróciłam do pracy po tym, jak dałaś mi ostatnią szansę. Miałam naprawdę dobry powód, tylko nie mogę ci powiedzieć jaki. Może przymknęłabyś na to oko?

Żal za straconą znajomością walczył o pierwszeństwo

ze złością o to, że Lania – jej sklepowa nemezis – już zawsze będzie obsługiwać kasę.

Chloe przygotowała się na długą, pełną rozmyślań i samotną noc, lecz była na to zbyt zdenerwowana i pobudzona, tak jak wtedy, gdy uciekła z domu do klubu.

Koty i lwy nie są znane ani z ambiwalentnych uczuć, ani siedzenia w miejscu. One po prostu działają. Chloe była rozdrażniona i musiała natychmiast coś z tym zrobić.

Na pewno nie zauważą, jeśli zniknie na kilka godzin, prawda?

Opuszczenie budynku frontowymi drzwiami nie wchodziło w grę, lecz kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła parapet oraz całe mnóstwo występów i zakamarków w murze, które idealnie nadawały się dla kogoś, kto miał pazury. Przy użyciu obu rąk i odrobiny siły Chloe zdołała unieść okno na tyle, żeby się przez nie przecisnąć. Do pokoju wleciało chłodne, wilgotne powietrze, zapach sosny i błota oraz jasny, przenikliwy blask księżyca.

Jak Siergiej wytrzymał całe dni w tym starym domu? Posiadłość była rzeczywiście ogromna i piękna, lecz jak to możliwe, że będąc Mai, tłumił zew wolności?

Chloe rozejrzała się po raz ostatni. Czy właśnie zdradzała ludzi, którzy przyjęli ją pod dach? Może powinna z nimi porozmawiać i pozwolić im zorganizować jakiś rodzaj opieki, żeby mogła bezpiecznie odwiedzić mamę, Amy i Paula lub nawet Briana? Czuła jednak, że musi zobaczyć mamę natychmiast. Nie potrafiła stłumić tej potrzeby.

Niewiele myśląc, ukucnęła na parapecie. Lekko dotykała opuszkami palców drewna dla zachowania równowagi. Stopy w sportowych butach zaczęły ją świerzbić. Chociaż adidasy świetnie nadawały się do biegania, podejrzewała, że łatwiej byłoby jej zejść z budynku na bosaka, przytrzymując się kamieni palcami u stóp. Rozwiązała sznurówki i wrzuciła najpierw buty, a później skarpetki z powrotem do pokoju, pod łóżko.

Rozprostowała palce, teraz już niczym nieskrępowane, i bez zdziwienia spojrzała na wysuwające się z ich czubków pazury, takie jak u Kim. Wysunęła również pazury u rąk i skoczyła, nie bardzo rozumiejąc, co robi. Była jednak pewna, że spadnie na cztery łapy.

I miała rację.

Nie zastanawiała się nad kolejnymi ruchami, kiedy pędziła w dół budynku równie szybko jak podczas upadku z Coit Tower. Wylądowała lekko na niższym piętrze, słysząc niezbyt głośny, lecz przenikliwy dźwięk przeciągnięcia pazurami po kamieniach. Uśmiechnęła się szeroko na myśl o tym, co właśnie zrobiła, po czym zaczęła przeskaکیwać z jednego osłoniętego kotarą parapetu na drugi, piętro za piętem.

Gdy wreszcie dotarła na trawnik z tyłu budynku, poczuła chłód i wilgoć mieniającej się srebrem trawy. Dzięki zdolnościom widzenia w ciemności dostrzegła własne ślady na murawie: ciemniejsze miejsca, w których jej stopy zetknęły się z rosą, powodując, że wsiąkła w ziemię. To odkrycie wydało się Chloe tak piękne i fascynujące, że

trudno jej było zmusić się do odwrócenia wzroku i kontynuowania ucieczki.

Nic dziwnego, że koty wpatrują się godzinami w jeden punkt. Założę się, że widzą miliardy drobiazgów.

Biegła wzdłuż budynku przyciśnięta do muru, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w lesie. Spróbowała wykonać kilka susów, wyciągając przed siebie ręce i odpychając się nogami, trochę jak Gollum z *Władcy pierścieni*. Udało jej się, lecz nie wyglądało to zbyt efektownie ani też nie przyspieszyło jej ruchów. Mai byli w stu procentach istotami dwunożnymi.

Chloe zaczęła się zastanawiać nad tym, co powiedziała jej Kim. Czy ich rasę naprawdę stworzyły starożytne bóstwa? Chloe wciąż nie do końca w to wierzyła, ale mogła się przecież mylić.

A jeśli to Bractwo Dziesiątego Ostrza miało rację i Mai nie byli dziełem poczciwych antycznych bóstw, lecz demonów? Jeśli sami byli demonami?

Ale przecież próbowała pomóc Łowcy po tym, jak chciał ją zabić. Nie mogła być zła.

Chloe odpędziła od siebie dręczące myśli i skoncentrowała się na otoczeniu. Biegła, lekko pokonując kolejne metry. Czowała, że chowa się w cieniu sosen. Nikt nie mógł jej zobaczyć, chyba że sama mu na to pozwoliła. Wiedziała o tym. Gdyby musiała, bez problemu mogłaby żyć z dala od miasta, wśród drzew. Tak właśnie dzieci wyobrażają sobie wolność.

Chloe przestała sobie cokolwiek wyobrażać, kiedy

dotarła do końca podjazdu. Wystarczyła jej sekunda, by przesadzić ogrodzenie, korzystając z momentu, gdy strażnik stał odwrócony plecami. Kiedy jednak ponownie znalazła się na miejskich ulicach, dotarło do niej, że nawet przy tej szybkości będzie potrzebowała przynajmniej kilku godzin, żeby dotrzeć do domu, pogadać z mamą, uspokoić ją i wrócić do Firebirda.

Czując gorzki smak porażki, przejechała autobusem most Golden Gate. Usiadła z tyłu, starając się nie podskakiwać, i w ostatniej chwili przypomniała sobie o schowaniu pazurów. Nikt nie zwrócił uwagi na jej bose stopy. W końcu mieszkała w San Francisco – pewna nerwowość i dzikie spojrzenie nadawały jej wygląd ćpunka lub młodej buntowniczkę w drodze na kolejną manifestację.

Wysiadła z autobusu, kiedy już okrążył Golden Gate Park, gotowa pokonać resztę drogi biegiem. Postanowiła skorzystać z dłuższej trasy, na wypadek gdyby ktoś ją śledził, ale niezbyt okrężnej, ponieważ liczył się dla niej czas.

Ostatecznie nie miało to większego znaczenia.

Ruszyła w stronę zadziwiająco krzepkiego włóczęgi – kiedy później to sobie przypomniała,

przekląła się w duchu. Gdy mijała go szerokim łukiem, odwrócił się w jej stronę. Ich spojrzenia się skrzyżowały, a jego wzrok wydał się Chloe zbyt kamienny i przenikliwy.

Już miała się od niego jeszcze bardziej odsunąć, kiedy

podniósł do góry rzeźbiony drewniany kij i wymierzył jej cios. Zasłoniła się rękami i pazurami, lecz kij poruszał się tak szybko, a mężczyzna był na tyle silny – i dobrze przygotowany – że udało jej się tylko ochronić głowę. Kij z głośnym trzaskiem uderzył ją w obojczyk, lecz najbardziej ucierpiał bok jej szyi. Chloe przewróciła się pod wpływem bólu i strachu. Spróbowała wstać, lecz uraz szyi jej na to nie pozwolił.

Zobaczyła nad sobą drugiego mężczyznę.

Nie był to kolejny „bezdomy”, lecz normalnie wyglądający facet na spacerze z pieskiem, ubranym w jaskrawopomarańczowy kubraczek.

– Pomocy! – zawołała Chloe, wyciągając do niego rękę.

Podał jej dłoń, lecz wtedy zobaczyła na jego wysuniętym spod swetra ramieniu taki sam napis, jaki miał wytatuowany na ciele Łowca: *Sodaiitas Gladii Decimi*.

Chloe krzyknęła. Wysunęła pazury i mimo obezwładniającego bólu zamierzyła się nimi na swoich napastników.

Obaj byli porządnie wyszkoleni, chociaż wolniejsi niż Łowca. Mężczyzna przebrany za włóczęgę przycisnął jej kolano do klatki piersiowej, tak że nie mogła złapać tchu, i chwycił ją za jedną rękę, a jego kolega za drugą.

– Wybierasz się z wizytą do mamusi? – zapytał ironicznie.

Kopnęła ich. Nie byli na to przygotowani. Chociaż nie mogła dosięgnąć tego, który miażdżył jej żebra, wysunęła

pazury przy lewej stopie i przejechała nimi po brzuchu faceta w swetrze. Wrzasnęła, czując jak jego ciało rozrywa się pod naciskiem pazurów. Nadal jednak nie mogła oddychać i przed oczami zaczęły jej majaczyć srebrne gwiazdy.

Później ktoś syknął – i to nie była ona.

Nagle przestała czuć na piersiach ciężar. Wciągnęła w płuca tyle powietrza, ile tylko zdołała, i natychmiast poczuła przeszywający ból, znacznie silniejszy niż ten w szyi. Znowu widziała wyraźnie, chociaż trudno jej było nadażyć za tym, co miała przed oczami: pojawiło się dwoje nowych ludzi, szybszych niż członkowie Bractwa, których przybysze zaciekle atakowali w upiornej ciszy.

Chloe spróbowała się wyprostować. Było oczywiste, że na ratunek przyszli jej Mai, chociaż nie mogła dostrzec ich twarzy. Rozpoznała za to sposób poruszania się i zapach. Byli potężni, co czyniło spowijającą ich ciszę jeszcze bardziej upiorną. „Włóczęga” wylądował na ziemi z głośnym tąpnięciem, nieprzytomny. Chloe ledwie się powstrzymała od przeorania jego twarzy pazurami. Zamiast tego wbiła mu je w krocze. Będzie miał pamiątkę, kiedy się ocknie.

Później z powrotem osunęła się na ziemię.

– Wiedziałam, że będziemy mieli z nią kłopoty – odezwała się z westchnieniem jedna z Mai, zbliżając się do Chloe i otrzepując spodnie. Kopniakiem uciszyła „włóczęgę”, który zaczął jęczeć i dostał drgawek.

– Nie możemy jej za to winić. Jest jeszcze dzieckiem –

odezwał się drugi z wybawicieli. Chloe pomyślała, że są do siebie bardzo podobni, ale może było to tylko złudzenie. – Poza tym nie bawiłem się tak dobrze od sierpnia.

Kobieta wpatrywała się w ciemność. Nagle przykucnęła, opierając się dłonią o chodnik.

– Zbliżają się następni.

– Dawać ich tutaj! – odezwał się jej towarzysz, po czym dodał: – Wiem, wiem.

– Chwyć ją za nogę. I uważaj na szyję, może być uszkodzona.

– Gdzie się podział nasz wspaniały przywódca? – zapytał ironicznie mężczyzna. – W tej bójce nie straciłby nawet jednego życia. Zakładając, że ma ich więcej.

– Cicho, Dima. Dziewczyna może być wciąż przytomna.

I jest – pomyślała Chloe, nim zemdląca.

ROZDZIAŁ 13

Nie przemierzali już krainy słońca, bezkresnego nieba i piasku. Znajdowali się w chłodniejszym i bardziej wilgotnym miejscu, nad zupełnie innym morzem, nad którym wznosiły się potężne góry. Chloe szła ulicami starożytnego miasta, z których wyrastały ruiny liczących sobie setki lat budynków.

Niewielu przechodniów zwracało na nią uwagę. Na bazarach tłoczyli się ludzie z całego świata. Jedna z towarzyszek Chloe pociągnęła nosem z dezaprobatą, nie mogąc znieść zapachu ludzkich ciał. Uśmiechnęła się do czterech milczących lwów.

– Znajdźmy nasze sieroty i wyośmy się stąd.

Piątka Mai skreśliła za róg i znalazła się w cieniu. Jeden z nich jęknął, kiedy smród gnijących jajek stał się nie do zniesienia w parnym popołudniowym powietrzu...

– Chloe?

Otworzyła oczy. Zatroskana twarz Siergieja znajdowała się nieprzyjemnie blisko jej. Jego oddech cuchnął czosnkiem i chociaż nie był to zapach ze snu, Chloe zebrało się na mdłości.

Leżała w swoim łóżku w posiadłości Mai, z obandażowaną szyją obłożoną topniejącym lodem. Spróbowała przekręcić głowę i poczuła przeszywający ból.

– Może następnym razem posłuchasz mojej rady? – zapytał łagodnie Siergiej, klepiąc ją po dłoni, trochę za

mocno, jakby nie był przyzwyczajony do okazywania czułości. Chloe zarumieniła się i spuściła wzrok, zbyt zawstydzona swoim nieposłuszeństwem, żeby spojrzeć mu w oczy. – Wiem, że tęsknisz za mamą – kontynuował – ale Bractwo pragnie twojej śmierci. Zabiłaś jednego z ich najlepszych – i najbardziej szalonych – żołnierzy. Wiedzieli, że prędzej czy później spróbujesz uciec do domu, jak każdy, kto go stracił. – Jego błękitne oczy przez chwilę wyrażały głęboką zadumę.

On naprawdę przypomina lwa – pomyślała Chloe. Gdyby zapuścił te swoje rudo-siwe włosy, wyglądałyby jak grzywa.

–Postępując w ten sposób, narażasz ją tylko na niebezpieczeństwo. Daj nam trochę czasu, pozwól sobie pomóc, a wcześniej czy później umożliwimy wam spotkanie, dobrze? – Tym razem poklepał ją po głowie.

–Dobrze – odparła Chloe, uśmiechając się wbrew sobie. – Przepraszam.

–Nie przepraszaj. Ellena i Dimitri w końcu mieli okazję się rozerwać, a żaden z tych przestępców nie będzie nam wchodził w drogę przez długi czas. – Wyszczrzył w uśmiechu szereg krótkich, kwadratowych zębów. – Korzystaj z życia, Chloe! Jesteś nastolatką, która przez jakiś czas nie musi chodzić do szkoły. Na twoim miejscu skakałbym z radości.

Chloe kiwnęła głową, a Siergiej opatulił ją kołdrą.

– Czy będę mogła kiedyś wrócić do domu? – zapytała wreszcie. Zabrzmiało to żałośniej, niż chciała.

– Oczywiście, że tak, Chloe – odparł serdecznie Siergiej. – Nie zamierzamy cię tu trzymać w nieskończoność, chociaż oczywiście byśmy chcieli. – Uśmiechnął się i chwycił ją za podbródek. Chloe zauważyła ciemne linie oddzielające jego zęby. Cóż za dziwny, perfekcyjny uśmiezek.

– I będę wtedy bezpieczna? Jak to możliwe?

– No cóż, istnieje pięć możliwości – powiedział, wyciągając w górę odpowiednią liczbę palców, i zaczął odliczać. – Po pierwsze: ktoś odnajdzie Łowcę. To możliwe – nie tak łatwo zabić jednego z tych skurczybyków, a nikt nie widział, jak wpada do wody. Druga opcja, znacznie mniej prawdopodobna, przekonamy Bractwo o twojej niewinności i załagodzimy nasze stosunki. Oni nie uważają nas tak naprawdę za ludzi, inteligentne i racjonalnie myślące istoty, i prawie nigdy nie godzą się na spotkanie, lecz raz na długi czas im się to zdarza. Po trzecie, możemy im utrudnić życie i związać ręce za pomocą innych metod, na przykład policyjnego śledztwa albo co gorsza skarbówki, albo też „przypadkowej” eksplozji w którejś z należących do nich fabryk broni.

– Fabryk broni?!

– Tak. Członkowie Bractwa, ci tak zwani obrońcy uciśnionych, często sami mijają się z prawem. Po czwarte – odkaszlnął, by okazać zażenowanie, którego wcale nie odczuwał – moglibyśmy zagrozić rodzinie któregoś z członków Bractwa. Wiem – powiedział, unosząc do góry dłoń, kiedy Chloe spróbowała się odezwać – ten pomysł

brzmi okropnie w twoich młdzieńczych, naiwnych uszach, ale, Chloe, oni też nie grają fair. W przeciwnym razie, po co mieliby tropić Bogu ducha winną nastolatkę, taką jak ty, i wysyłać za nią Łowcę?

No właśnie, dlaczego to zrobili? Chloe nie stanowiła dla nikogo zagrożenia, dopóki nie musiała się bronić przed rym psycholem po kilku lekcjach od Aleka. Oto jedna z tych sytuacji, gdy nie wiadomo, co było pierwsze: jajko czy kura.

– Wysłali go za tobą, bo byłaś łatwym celem – wyjaśnił ze smutkiem Siergiej. – Nie należałaś do Stada, które mogłoby cię obronić. W ten sposób mogli się pozbyć jednego z Mai bez obawy o konsekwencje. Już to wcześniej robili z sierotami, takimi jak ty. Spytaj swoją przyjaciółkę, Kim. Znaleźliśmy ją ukrywającą się w ciemnej uliczce. Mieszkała w kartonie, pośród śmieci.

Chloe nie chciała sobie tego wyobrazić, lecz i tak przed oczami stanęła jej mała dziewczynka z czarnymi włosami i bystrymi zielonymi oczami, przerażona, trzymająca się w cieniu i ukrywająca się w stertach śmieci, żeby tropiciele nie mogli jej znaleźć.

– Zaufaj mi, Chloe – powiedział z pełną determinacją Siergiej. – Mieszkałem w bardzo niebezpiecznej części Europy Wschodniej w niezwykle trudnych czasach i wiem, że walka o przetrwanie bywa nieprzyjemna. – Uniósł palec do kącika oka i bezwiednie się podrapał. Chloe nie zauważyła tego wcześniej, lecz jego prawa brew była krzywa, a na skórze widniała blizna.

– Mówiłeś, że istnieje pięć sposobów na to, żeby mnie ocalić.

– A, tak. – Siergiej otrząsnął się z rozmyślań i popatrzył uważnie na Chloe. – Jeśli w ciągu kilku najbliższych tygodni zginie któryś Mai, rachunki zostaną wyrównane.

Chloe wzięła głęboki oddech.

To powiedziawszy, Siergiej wyszedł z pokoju.

Chloe spróbowała ponownie poruszyć ramieniem. Ból okazał się znośny. Szyja i obojczyk nie były uszkodzone. Na stoliku przy łóżku zauważyła szklanekę wody i talerzyk z dwiema tabletkami ibuprofenu, które szybciotko połknęła. Sięgnęła po pilota i poprawiła poduszki, szykując się na popołudnie przed telewizorem. Natrafiła na coś ręką – była to komórka, którą poprzedniego wieczoru zostawiła na łóżku. Włączyła telefon i zobaczyła oczekującą wiadomość z nieznanego numeru. Połączyła się z pocztą głosową i zaczęła przerzucać kanały, szukając *Jerry'ego Springera*.

„Chloe, to znowu Brian. Posłuchaj mnie – zostań tam, gdzie jesteś, przez najbliższych kilka dni. Bractwo obstawiło ulice wokół twojego domu i chce cię pojmać żywą lub martwą. Nie próbuj odwiedzać mamy ani przyjaciół. Spróbuję zadzwonić później”.

Chloe sprawdziła czas nagrania wiadomości – dwudziesta dwanaście, czyli prawie godzinę przed tym, jak opuściła budynek, żeby odwiedzić mamę. Gdyby miała włączony telefon, porozmawiałaby z Brianem i uniknęła

bijatyki.

Przez chwilę myślała o nim, spoglądając na drewniany sufit i wypatrując wśród sęków maleńkich postaci lwów, które zdawały się kręcić i podskakiwać...

To jednak nie był ibuprofen – pomyślała, zapadając w sen.

– Mówiłam jej, że jest gruba i brzydka i nikt jej nie zechce. Nie wiedziałam, że istnieją faceci tacy jak Joey, lubiący takie *piiiiip*.

Chloe nigdy nie widziała w telewizji tak grubych kobiet. Jedna z nich wyglądała, jakby nie miała szyi. Chloe nawet wcisnęła pauzę, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Druga pojechała do szpitala, gdzie usunięto jej dwudziestokilogramowy guz, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Obok siedział mężczyzna zakochany w nich obydwu, a naprzeciwko – para pałających do nich nienawiścią sióstr. To się nazywa telewizja.

Po przebudzeniu Chloe postanowiła przez chwilę nie myśleć o niczym ważnym, tylko wykorzystać fakt, że jest chora i może się bezkarnie wylegiwać przed telewizorem.

W drzwiach pojawiła się Kim, jak zwykle bezszelestnie.

Chloe zaprosiła ją do środka, lecz podniosła do góry palec: grubaska, którą właśnie obrażono, dźwignęła się z krzesła i próbowała zaatakować swoją wredną siostrę.

– Co to jest? – zapytała Kim, podchodząc do łóżka i spoglądając z zaciekawieniem na ekran.

– *Jerry Springer* – odparła Chloe, kręcąc z niedowierzaniem głową, kiedy czterech ochroniarzy zaczęło odciągać kobietę od jej siostry.

– Wygląda mi to na szukanie taniej sensacji – powiedziała Kim, marszcząc nos.

Chloe zaczęła się śmiać, lecz szybko przestała. Na ekranie pojawiły się reklamy i wyłączyła telewizor.

– Jak leci?

Mimo obco wyglądającego wyrazu twarzy Kim, łatwo było zauważyć malujące się na niej rozczarowanie.

Dziewczyna przysiadła na brzegu łóżka Chloe, chwytając się pazurami prześcieradła dla równowagi, i zamachała trzymaną w rękach teczką.

– Chyba nie jesteśmy ze sobą spokrewnione – powiedziała to ze spokojem, lecz Chloe widziała, że jest zmartwiona. – Genealodzy twierdzą, że bardziej przypominasz Mai, którzy wywedrowali z Abchazji do Turcji w dziewiętnastym wieku. Moja rodzina została na terenach obecnej Gruzji.

Chloe nie zrozumiała nawet połowy z tego, co usłyszała.

– Chcesz powiedzieć, że jestem Turczynką, a nie Rosjanką? Kim posłała jej chłodne spojrzenie.

– Jesteś Mai, a nie żadną Turczynką. Wśród twoich przodków nie ma ludzkich przedstawicieli żadnego narodu.

Chloe kompletnie zapomniała o tym, że należy do innej rasy. Cudowna wizja jej samej w kolorowych chustach, z ciemnym eyelinerem na powiekach, pobrzękującej

bransoletkami i wykonującej taniec brzucha – tak jak hostessy w restauracji, do której w dzieciństwie zabierała ją mama – prysła niczym mydlana bańka.

– Czy to mojateczka? – zapytała Chloe. Kim pokręciła głową.

– Nie, są tu bardziej ogólne informacje o miejscach naszego pochodzenia. Pomyślałam, że może chciałabyś ją przejrzeć. To jest Petersburg, z którego wywodzi się Alek.

– Podała Chloe zdjęcia egzotycznego miasta ze świątyniami o iglicach tak długich i cienkich, że nie sposób ich było pomylić z amerykańskimi kościołami. Na tle nieba pyszniły się kopuły przypominające cebule. Wszystko wyglądało jak pokryte złotem, niczym w bajkowym królestwie.

– Co to za miejsce? – Chloe wskazała na budynek, którego ściana zbudowana była z wielkich bloków białego kamienia. Wzdłuż muru szła kobieta z długimi, ciemnymi włosami. Wydaje się znajome. Widziałam je we śnie. – Przypomniała sobie zatłoczony bazar i cieniłą cichą uliczkę, w której unosił się okropny zapach.

Kim popatrzyła na nią dziwnie, lecz odwróciła fotografię.

– To jeden z kompleksów łaźni siarkowych w Sokhumi. Ta część Abchazji zasłynęła dzięki kompleksom spa – naturalnym gorącym źródłom i wodom mineralnym, które miały ponoć uzdrawiające właściwości.

Siarka... To już zbyt pokręcone.

– Czy siarka śmierdzi zepsutymi jajkami? – zapytała Chloe, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

– Cuchną prawie tak samo. – Kim odłożyła zdjęcie i popatrzyła jej prosto w oczy. Czarne aksamitne uszy przylegały niemal płasko do głowy i były zwrócone do tyłu. Chloe nie potrafiła stwierdzić, czy Kim była rozdrażniona czy po prostu nasłuchiwała odgłosu kroków w korytarzu. – Tobie też się to śniło?

– Tak. Parne miejsce z mnóstwem ludzi, jednocześnie współczesne i starożytne. Strasznie tam śmierdziało. Pamiętam ten mur.

– Sokhumi to miasto, w którym nasze Stado osiedliło się po opuszczeniu Bliskiego Wschodu. Tylko jedna osoba z tej diaspory wróciła do Abchazji – nasza poprzednia przywódczyni. Marzyło jej się, żeby zebrać wszystkich rozrzuconych po Europie Wschodniej Mai w jednym miejscu, na przykład w Stanach Zjednoczonych. – Kim ostrożnie schowała zdjęcie do teczki i ją zamknęła. Zginęła podczas zamieszek między Abchazami i Gruzinami.

– Wygnańcy ze wszystkich stron świata czekali na jej powrót – wymamrotała pod nosem Chloe.

– Co powiedziałaś? – zapytała Kim, świdrując ją wzrokiem, jakby była myszą.

– W moim śnie to ja byłam przywódczynią Stada.

– Ciekawe – powiedziała wolno Kim.

– Myślisz, że mogę być z nią spokrewniona? *Czy to możliwe, żeby była moją matką?* Kim ponownie otworzyła teczkę i przyjrzała się zdjęciu łaźni w Sokhumi.

– To możliwe. Jednak o ile wiemy, miała tylko jedną córkę, która nie żyje...

Z jakiegoś powodu Chloe pomyślała, że powściągliwość Kim nie ma nic wspólnego z tym, że nie są ze sobą spokrewnione. Chodziło o coś innego. Czyżby była zazdrosna o to, że Chloe mogła się okazać córką dawnej przywódczyni Stada? Mogło się z tym wiązać jakieś dziedzictwo, na przykład arystokratyczny tytuł lub przejęcie władzy po Siergieju. Chloe zastanawiała się, na czym taka władza polegała, poza zarządzaniem imperium z branży nieruchomości i poszukiwaniami zaginionych, osieroconych Mai.

Co powiedzieli tamci dwoje, którzy ją ocalili? Gdzie się podział nasz – wspaniały przywódca? W tej bójce nie straciłby nawet jednego życia. Zakładając, że ma ich więcej.

– Zanim straciłam przytomność, Mai, która mnie uratowała, powiedziała coś o przywódcy Stada, który nie chciał ryzykować życiem. O co właściwie jej chodziło?

– Zgodnie z tradycją przywódca Stada był również przywódcą wojskowym, który pierwszy stawał do walki lub polowania i wycofywał się z nich ostatni. – Jedno z uszu Kim nerwowo drgnęło.

Chwilę później Chloe również usłyszała echo głośnych kroków w korytarzu. Przypominały kroki Olgi, która pewnie szła sprawdzić, jak się czuje Chloe.

Kim zbliżyła się do niej bardziej, niż zrobiłby to inny

człowiek, trochę jak kot Amy, który czasem napierał pyszczkiem na twarz Chloe, delikatnie ją przy tym obwąchując.

– Posłuchaj mnie. Nie mów nikomu o swoim śnie ani o naszej rozmowie – syknęła. Istnieją przywódcy i „przywódcy”, Chloe King.

ROZDZIAŁ 14

Paul mógł beztrudno kumpłować się z Alekiem, lecz Amy nie zamierzała siedzieć bezczynnie. Gdyby to zależało od jej głupiego chłopaka, żadne z nich nie kiwnęłoby palcem, czekając, aż ich świat się zawali. Amy nie zamierzała do tego dopuścić i dlatego wyszła wcześniej ze szkoły.

Powiedziała nauczycielowi, że źle się czuje, i nawet nie zadała sobie trudu, żeby pójść do pielęgniarki. Samochód jej brata stał w części parkingu zarezerwowanej dla absolwentów. Musiała obiecać Kevinowi, że spełni w przyszłości jedną, dowolnie wybraną przez niego prośbę. *Ten samochód nawet nie jest mu potrzebny w Berkeley.* Był to stary, czarny chevrolet kombi, który nazywał Batmobilem. Jak na silnik V6 auto było dość małe, więc kiedy Amy przycisnęła pedał gazu, wyrwał ze szkolnego parkingu niczym piekielna maszyna.

Amy śmignęła ulicami i zatrzymała się niedaleko od domu Chloe. Zamknęła samochód i podeszła do frontowych drzwi, starając się nie rozglądać podejrzliwie.

Udając, że ma pełne prawo tu być, wyciągnęła zapasowy klucz Chloe i weszła do domu w środku dnia, podczas gdy obydwie powinny być w szkole.

Pani King zwykle wracała z pracy o dziewiętnastej, a Amy planowała do tej pory dawno zniknąć. Może nawet zdąży wrócić do szkoły...?

No dobra, kogo próbowała oszukać!

Planowała to od kilku dni i nawet założyła strój odpowiedni dla włamywaczki (nawet jeśli miała klucz): obcisłe czarne dzinsy, koszulkę i bluzę z kapturem zakończonym kocimi uszami oraz rękawiczki z pazurami. W porządku, kociej włamywaczki. Tego ranka przez dłuższą chwilę podziwiała się w lustrze. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle – smukła, cała w czerni, bez szalonych, zwiewnych, falbaniastych, puszystych ciuszków, które chętnie projektowała i nosiła. W tym stroju jej piersi odrobinę sterczały i sprawiały wrażenie prawie tak dużych jak u Chloe. Brakowało jej już tylko pary długich, czarnych, skórzanych butów w stylu Emmy Peel i może czarnej farby do włosów, ale Paul nie lubił, kiedy zmieniała ich kolor – najbardziej podobał mu się ten naturalny.

Amy ostrożnie zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę nasłuchiwała. Jeśli ktoś był w środku, nie dawał znaku życia. Dom Kingów wyglądał zupełnie normalnie. Żadnych przewróconych mebli ani śladów użycia przemocy. Jednak na wszelki wypadek Amy szła wzdłuż ściany, przykucając pod każdym oknem. Również po schodach zaczęła się wspinać zgięta wpół, czego rezultatem było niezdarne potknięcie się na ostatnim stopniu i wyrznięcie brodą o drzwi od łazienki.

Przez większość życia Amy robiła wszystko, żeby ją zauważono, i skradanie się było dla niej czymś nowym. Schowała się w cieniu i przemknęła na paluszkach do pokoju Chloe.

Tutaj też wszystko wyglądało normalnie, może tylko było bardziej zakurzone niż zwykle.

Komputer Chloe stał wyłączony. Amy włączyła go w specjalnych czarnych rękawiczkach, żeby nie zostawić odcisków palców. Podziwiała je, kiedy komputer się uruchamiał, połączyła się z Internetem i zalogowała na konto pocztowe Chloe, wpisując niezmiennie od wielu lat hasło: adoptowaANA5.

Acha.

Chloe regularnie opróżniała kosz, by nie przekroczyć dopuszczalnej pojemności skrzynia, i zapisywała w plikach co bardziej pikantne wiadomości, żeby nie dostały się w ręce mamy. Okazało się jednak, że niedostatecznie często usuwała wysłane wiadomości i zbyt lekomyślnie dodawała nowe adresy do listy kontaktów. Amy wystarczyło raptem kilka minut, by odnaleźć adres brian9@bitsy.net, a przeszukanie „chronionych” dokumentów potwierdziło, że był to ten sam Brian, którym interesowała się Chloe.

Następnie Amy przełączyła się na jedno z własnych kont – korzystała z niego tylko wtedy, gdy nie chciała, by adresat wiedział, że to ona – i wysłała Brianowi e-mail. Postanowiła już wcześniej, że sprawy związane z Chloe będzie załatwiała z cudzych komputerów, żeby nikt nie mógł jej wyśledzić po adresie IP.

Brian, jestem przyjaciółką Chloe. Gdzie ona jest? Czy możesz nam pomóc? Alek chyba coś wie, ale nie chce nic

powiedzieć. Odpisz jak najszybciej.

Amy upewniła się, że wysłała wiadomość, a następnie usunęła ją z folderu „wysłane” i z kosza. Sprawdziła ponownie, czy po e-mailu nie został żaden ślad, wyczyściła pliki tymczasowe w przeglądarce i już chciała się wziąć za twardy dysk, gdy spojrzała na zegarek i zorientowała się, zajęłoby jej to aż dwadzieścia minut. Wyłączyła więc komputer, zadowolona z wykonanej misji, i postanowiła się ulotnić.

Zupełnie jak w filmach, w połowie schodów usłyszała telefon. Zamarła i przywarła do ściany tak gwałtownie, że końcówki jej rudych włosów naelektryzowały się o tapetę i prawie strąciła ramieniem obraz ze ściany. Rozum podpowiadał jej, że nic się nie stanie, jeśli się poruszy, lecz i tak nie mogła tego zrobić. Rozejrzała się po pokoju, odliczając sekundy do momentu włączenia się automatycznej sekretarki.

I wtedy zauważyła coś, co umknęłoby jej uwadze, gdyby szybciej wyszła z domu. *Wszystko tu wygląda, jakby dawno nie było ruszane.* Chociaż nie zauważyła na meblach kurzu, w powietrzu unosił się stęchły zapach, jakby od kilku dni nie wynoszono śmieci. Brakowało woni środków chemicznych, mydła, perfum czy innych kosmetyków, która powinna być wyczuwalna w domu dwóch kobiet.

Wychodząc z domu, Amy była tak wstrząśnięta swoim odkryciem, że zapomniała o środkach ostrożności –

w końcu była tylko człowiekiem. Ci, którzy obserwowali dom Chloe, woleli się jednak upewnić.

ROZDZIAŁ 15

Chloe miała nową, kochającą rodzinę, otaczała ją tajemnicza rasa ludzi podobnych do niej, nie musiała chodzić do szkoły i nie czuła nic poza... nudą. Jej „staż” w Firebirdzie polegał głównie na zaklejaniu kopert, kopiowaniu dokumentów, dźwiganiu umów i wykonywaniu poleceń okropnej recepcjonistki.

Czekając na stertę kartek – nie była nawet pewna czego – od Igora, rozmyślała o sklepie, który chciały w przyszłości założyć z Amy. Przyjaciółka zajmowałaby się projektowaniem ciuchów, a Chloe dbała o to, by interes się kręcił. Byłyby idealnymi współpracownikami, oczywiście pod warunkiem, że wcześniej by się nie pozabijały.

Igor musiał zauważyć jej rozmarzoną minę.

– Powinnaś się zatrudnić na pełny etat – powiedział z uśmiechem.

– To ci dopiero kariera – odparła Chloe grobowym głosem, poklepując stertę papierzysek. Byłoby wspaniale utknąć tu na całe życie.

– Pamiętaj, że ludziom takim jak my trudno się całkowicie zasymilować – zauważył Igor, poważniejąc. – Dlatego powinniśmy się cieszyć, że Siergiej stworzył to miejsce.

Miał na sobie spodnie koloru khaki, koszulę, modny krawat i zamszowe buty. Odchylił się na krześle i splótł dłonie za plecami. Wyglądał teraz jak każdy młody karie-

rowicz: lekko arogancki, lecz pełen energii i bystry.

Szkoda, że się tak nazywa. Być może asymilacja byłaby łatwiejsza, gdyby potencjalni imigranci nie nadawali swoim dzieciom imion rodem z horrorów. Chloe musiała tylko lekko pociągnąć nosem, żeby mieć pewność, że rozmawia z Mai. Chodziło nie tyle o zapach, co wrażenie.

– Czy dlatego został przywódcą Stada? – zapytała, wskazując ręką biuro.

– Został przywódcą, bo kiedy jego poprzednik zginął, odważnie wziął na siebie odpowiedzialność za zjednoczenie Wschodnioeuropejskiego Stada. – Chloe miała ochotę pochwalić się swoją wiedzą na temat diaspory z Abchazji, lecz uznała, że tym razem lepiej będzie nie wychodzić przed szereg.

– Zajął się wszystkim po ataku Gruzinów, a kiedy już wyemigrował, zaczął nas do siebie ściągać na różne sposoby, nie zawsze zgodne z prawem. – Jego ciemne oczy błyszczały z podziwu. – Zbudował to wszystko z niczego, mimo że był imigrantem! I na dodatek należał do Mai. Został przywódcą również dzięki temu, że stworzył Firebird, ale nie tylko.

– Brzmi imponująco – powiedziała Chloe i naprawdę tak uważała. – W takim razie dlaczego Alek narzeka, że Siergiej nie pomógł jego rodzinie?

Igor roześmiał się.

– Alek to maruda. Siergiej chciał pomóc najpierw tym, którzy znaleźli się w najtrudniejszym położeniu, a w Abchazji było gorzej niż w Petersburgu, Moskwie czy

nawet Kijowie.

– Acha. – Chloe rozejrzała się po biurze, szukając czegoś, czym mogłaby się zająć. Nerwowo postukiwała przy tym nogą.

– Wiem, co by ci pomogło! – odezwał się Igor, zrywając się krzesła. – Wyglądasz na znudzoną i poirytowaną. Przydałyby ci się... – odwrócił wzrok i nad czymś się zamyślił łowy.

– O rany, to rzeczywiście wszystko załatwi – odparła Chloe sarkastycznie.

Miała na sobie parę drogich džinsów – wybranych pewnie przez Olgę lub Valerie – o rozmiar za małych, przez co musiała je nosić rozpięte, idiotyczny, szeroki i bardzo modny skórzany pasek oraz jasnoróżowy kaszmirowy sweter. Na nogach wciąż nosiła swoje adidas, lecz cała reszta nie należała do niej i nie czuła się w tych ciuchach komfortowo. Podobnie zresztą jak w nowym pokoju, w towarzystwie niedawno odnalezionej rodziny i w gównianej pracy – w której nie miała kontaktu z ubraniami i przede wszystkim z kasą fiskalną.

– Świetnie – odparł z zadowoleniem Igor.

Chloe nie była pewna, czy ci wszyscy ludzie nie chwytają sarkazmu, bo są Mai, czy dlatego że urodzili się w Europie Wschodniej.

Wieczorem Chloe zjadła kolację z Siergiejem, jak zawsze gdy pracował do późna. Chloe przychodziła do jego gabinetu, a on sprzątał biurko. Zamawiali chińsz-

czyzną, pizzę lub to, na co akurat mieli ochotę, i rozgrywali partyjkę szachów. Chloe nie spodziewała się, że będzie w tym dobra, lecz powoli się uczyła. Lubiła wieczory z Siergiejem, chociaż nie cierpiała przegrywać.

Zastanawiała się, czyjej prawdziwy ojciec – ten adopcyjny – grał w szachy. Biologicznego ojca nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

– Igor powiedział, że powinnam się wybrać na łowy. Co to znaczy? – zapytała, przesuwając pionek.

– Łowy? Nie mam pojęcia. – Siergiej zamrugał oczami z miną niewiniątka. Czasami jego ruchy i sposób wyrażania emocji upodabniały go do dziecka. Być może dlatego, że mimo czterdziestki na karku nie miał żony i dzieci. – Ach! Pewnie miał na myśli polowanie. Sprytny gość z tego Igora. Zdaje się, że będą je organizować w sobotę. Czy wiesz, jak udomowić dzikiego kota: rysia lub geparda?

Chloe nie miała pojęcia, dlaczego ją o to pyta, więc pokręciła głową. Siergiej wstał z fotela, okrążył biurko i usiadł na krawędzi, spoglądając na nią poważnie, jakby szykował się do bardzo ważnej rozmowy z córką. Chloe przeczuwała, że się wynudzi, lecz było to dla niej nowe i dość przyjemne uczucie.

– W Oregonie hoduje się dzikie koty na sprzedaż. Odpowiednio ułożone i wychowane w kochającej rodzinie, mogą być świetnymi pupilami. Jednak niezależnie od tego, jak łagodny, grzeczny i posłuszny jest dziki kot i ile kociej karmy zjada, dobry właściciel raz w miesiącu wrzuca do jego zagrody żywą kurę i pozwala mu się z nią rozprawić.

Na myśl o piórach, krwi i ptasim pisku Chloe zrobiło się niedobrze.

– Musisz to zrobić, Chloe – odezwał się łagodnie Siergiej – bo nie sposób całkowicie pozbawić kota jego instynktów. One muszą polować, drażnić się ze swoją ofiarą i w końcu ją zabić. Nie różnimy się od nich. Zawsze byliśmy łowcami, nomadami. Nigdy nie uprawialiśmy żywności – szliśmy po nią do puszczy. Jeśli czujesz się poirytowana i osaczona, a w nocy masz potrzebę, by biec, gonić i śledzić, to musisz czasem dać temu upust. Nie możemy biegać wolno jak kiedyś, kiedy ziemia nie należała do nikogo, lecz musimy iść za głosem odwiecznego instynktu.

Chloe nagle zaczęła rozumieć członków Bractwa. Rozszalały Mai polujący w mieście mógł być niebezpieczny. Woląła o tym nie wspominać Siergiejowi. Jakoś nie wierzyła w to, że mógłby jej przyznać rację.

– A więc co miesiąc urządzamy polowanie? Siergiej się roześmiał.

– Nie co miesiąc, Chloe. To nie ma nic wspólnego z księżycem, kobiecymi sprawami ani czasem zegarowym. Czasami po prostu... przychodzi dogodna chwila.

Chloe zastanawiała się nad słowami Siergieja, czekając przy fordzie explorerze. Ściemniało się, a samochód stał zaparkowany na szczycie wzgórza gdzieś w pobliżu Muir Woods. Wzgórze było strome i postrzępione, w przeciwieństwie do starszych wzniesień, które mijali po

drodze. Na południu jaskrawo błyszcząca gwiazda. Chloe nie była pewna, skąd wie, jaki to kierunek, lecz przeczuwała, że się nie myli. W dole rozciągał się las otoczony mniejszymi wzgórzami, przypominający dno śnieżnej kuli. Jednak zamiast plastikowych płatków śniegu otaczała je ciemność.

Na górze zebrało się sześć Mai rozmawiających przyciszonymi głosami: Olga, Valerie, trzy kobiety, których Chloe nie rozpoznała, i mieszkająca w posiadłości tancerka imieniem Simone. Nigdy nie mijała tej ostatniej na korytarzu.

Większość wyglądała na kobiety po trzydziestce. Wszystkie były piękne. Miały wysokie kości policzkowe i grube, błyszczące włosy. Mimo różnic w kolorze oczu i włosów oraz budowie ciała, Chloe łatwo zauważyła między nimi podobieństwa, kiedy już zaczęła ich szukać.

Poruszały się w charakterystyczny sposób: stawały na palcach i kroczyły z niewymuszoną precyzją, jak zawodowe tancerki.

Jedna z kobiet, których Chloe nie znała, rozpoczęła wieczór odśpiewaniem dziwnego hymnu w obcym języku, który składał się na przemian z niskich szeptów i przeszywających pisków. Miała dobry głos, lecz nikt się do niej nie dołączył i czasami traciła dech, co czyniło jej śpiew jeszcze bardziej upiornym. Chloe raz czy dwa usłyszała imię Sekhmet, ale reszty hymnu nie zrozumiała.

Po skończonej pieśni żadna z kobiet się nie odezwała.

– Złapałam trop! – syknęła któraś. Miała żółte oczy,

rude włosy i okrągłą twarz, trochę podobną do Siergieja, wysokie czoło i łabędzią szyję, dzięki którym bez trudu mogłaby trafić na okładkę magazynu o modzie. Ubrana była w top, a górną część jej ramion pokrywał tatuaż przedstawiający leopardzie cętki.

Wszystkie kobiety pochyliły głowy i zaczęły węszyć. Chloe zrobiła to samo i gdy wiatr zmienił kierunek, poczuła piżmowy zapach przywodzący na myśl roślinożercę, chociaż nie była pewna, czy już go kiedyś czuła.

Jeleń. Miały zapolować na jelenia.

Rudowłosa, która pierwsza złapała trop, wskazała kierunek, a reszta kobiet rzuciła się w pogoń. Chloe zawahała się, przypominając sobie, jak kilka tygodni wcześniej kłóciła się z Brianem o pumę, która zaatakowała biegacza. Brian upierał się, że zwierzę należy uśpić, a ona twierdziła, że ludzie nie powinni budować domów w pobliżu terenów zamieszkałych przez dzikie koty i niszczyć ich naturalnego środowiska.

Teraz zastanawiała się, czy tamtego biegacza faktycznie zaatakowała puma.

Ponownie poczuła w nozdrzach zapach zwierzyny: jeleń się oddalał. *Zaraz nam ucieknie.*

Popędziła przed siebie. Ledwie dostrzegła swoje towarzyszki, które zbiegły ze wzgórza i wpadły do lasu. Znikały w cieniu i wyłaniały się z niego, podążając wzdłuż mniej więcej prostej Unii i kierując się zapachem jelenia, ale tak, by nikt ich nie zauważył.

Chmury gnały przez niebo, tak jak polujące Mai przez

puszczę. Księżyc na kilka sekund przebił się przez chmury: krzewy i drzewa zmieniły kolor z szarofioletowego na srebrzystozielony, po czym znów ściemniały, kiedy mglista kurtyna opadła. Chloe czuła w nogach pulsowanie. Jej ramiona poruszały się wzdłuż boków, odpychając powietrze i dodając szybkości. Płuca płonęły, chociaż powietrze było rześkie i zachęcało do dalszego biegu. Przeskoczyła nad krzakiem i roześmiała się. *Tak właśnie powinno się biec – w konkretnym celu, razem ze Stadem.*

Zatrzymała się na chwilę, by zaciągnąć się powietrzem, i kontynuowała pogoń. Były coraz bliżej. Chociaż miały tylko dwie nogi, doganiały jelenia. Za plecami Chloe rozległ się pomruk. Nie odpowiedziała. Biegła tam, gdzie podpowiadał jej instynkt: w stronę polany. Gąszcz jeżyn powoli ustępował miejsca otwartej przestrzeni.

Zobaczyła go nagle, zanim zdążyła wyhamować, i prawie przewróciła się o kamień typowy błąd żółtodzioba. Zwierzę również się zatrzymało i zaczęło strzyc smukłymi uszami w lewo i prawo. Patrzyło prosto na Chloe swoimi wielkimi, ciemnymi oczami, lecz wiedziała, że gdyby jelen naprawdę ją zobaczył, zacząłby uciekać – Mai biegły pod wiatr. Zwierzę było piękne i Chloe nie mogła się doczekać, aż znów zacznie biec i wróci do polowania.

Jeleń najwyraźniej coś usłyszał – odwrócił się i podskoczył, a potem puścił się przed siebie zachwycającym sprintem, który Chloe do tej pory знаła wyłącznie z filmów przyrodniczych. Woń przerażonego zwierzęcia podrażniła jej nos i zanim się zorientowała, znów biegła.

Zobaczyła wyłaniające się z zarośli towarzyszki i w milczeniu skinęła na nie głową. Utworzyły ciasną formację pod przywództwem rudowłosej. Jeleń zniknął w ciemnym lesie, a kobiety podążyły jego śladem. Chloe słyszała tylko własny oddech i bicie serca, ani jednego kroku biegnących z nią Mai.

Ponownie oświetlił je księżyc – od zwierzęcia dzieliło je już tylko kilka metrów. Jedna z kobiet wysunęła się na prowadzenie, wykonując serię susów i podskoków tak innych niż ludzkie, że każdy obserwator miałby problem z rozpoznaniem w niej człowieka.

Nagle Chloe zrozumiała, co za chwilę nastąpi. Uczestniczyły w polowaniu, a jeleń był ich zwierzyną. Zatrzymała się i odwróciła głowę, zasłaniając oczy.

Biegnąca przed nią dziewczyna – *Valerie* > uzmysłowiła sobie ze zdumieniem – wydała z siebie krzyk. Chloe przycisnęła dłonie do uszu i cierpliwie czekała. Nie chciała doświadczyć tego, co musiało za chwilę nastąpić. Żądza pościgu całkowicie z niej uleciała. – Hej, nieźle jak na pierwsze polowanie, co? Chloe otworzyła oczy, słysząc łagodny głos jednej z kobiet. Była po trzydziestce, miała smukłe i umięśnione ciało, jak u cyrkowca. Długie włosy, związane na czas pościgu, sięgały talii. Mówiła z czystym kalifornijskim akcentem, musiała tu przyjechać jeszcze przed Siergiejem.

– Żadnych królików, zero krwi – nic ci nie jest?

– Ja tylko... – Chloe nie była pewna, czego chce. – To trochę...

– Czujesz się teraz lepiej niż tamtej nocy, gdy próbowałaś się wymknąć? – zapytała z szerokim – uśmiechem.

Chloe otworzyła usta, żeby się jej odciąć, lecz dotarło do niej, że faktycznie czuje się rozluźniona. Nadal chciała zobaczyć mamę, ale tamta rozpaczliwa potrzeba zniknęła.

– Tak – przyznała.

– Proszę. – Valerie podeszła do Chloe i podała jej butelkę. – Za polowanie i twoje zdrowie! Chloe przyjrzała się uważnie butelce, szukając na niej śladów krwi, a później przechyliła ją i wzięła potężny łyk zmrożonej, idealnie gładkiej wódki. Śmiech kobiet wznosił się w stronę gwiazd razem z dymem ogniska.

Wróciły do posiadłości o siódmej lub ósmej rano następnego dnia. Chloe nigdy wcześniej nie przeżyła czegoś podobnego. Noc upłynęła im na śmiechu, rozmowach, śpiewie, picciu wódki i pieczeniu jelenich steków. Przypominało to weekendowe wyprawy kobiet zafascynowanych New Age, całkowicie wyzwolonych i naturalnych, które do tej pory oglądała wyłącznie na filmach. Spróbowała jeleniego mięsa – smakowało zupełnie inaczej niż dziczyzna, którą kiedyś jadła z mamą w restauracji: było twardsze i bardziej aromatyczne. Nie miała ochoty jeść go drugi raz i kiedy już zaspokoila głód pościgu, nie mogła przestać myśleć o oczach jelenia i jego minie tuż przed tym, jak go zabiły. Ogarnęły ją lekkie mdłości i na pewno nie była już głodna.

Niektóre nie spały przez całą noc, inne – między innymi Chloe – zmorzył sen. Powinno być jej zimno, ale płomień ogniska przyjemnie grzał, wystarczyło wsunąć dłonie w rękawy bluzy. Przypomniała sobie pustynię ze swojego snu i zastanowiła się, jak by to było spędzić tam noc.

Kiedy się obudziła, wydawało jej się, że śniła o lwach, ale nie mogła sobie tego dokładnie przypomnieć. Zapamiętała tylko ich obecność, znajome ciepło i szorstkie, miodowe futro.

Kiedy następnego ranka wróciły do domu, Chloe była obolała, lecz szczęśliwa, jak po górskiej wspinaczce lub wyczerpującym treningu. Kilka kobiet wniosło resztę jeleniego mięsa tylnym wejściem i kończyło teraz jego oprawianie, czy co tam należało z nim zrobić, ale Chloe poszła prosto do kuchni na kawę i babeczkę – umierała z głodu.

W środku zastała Kim, która delikatnie dmuchała w zaparzoną w kubku zieloną herbatę. Chloe zastanawiała się, czy ta dziewczyna zrobiła w swoim życiu chociaż jedną rzecz, która nie była zdrowa, odpowiedzialna lub właściwa.

– Jak się udało polowanie? – zapytała uprzejmie Kim.

– Chyba dobrze – odparła Chloe. – Dziwne, że się z nami nie wybrałaś. Myślałam, że to coś wymarzonego dla ciebie.

– Nie jestem pewna, co o tym sądzić.

Chloe popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Dziewczyna

z kocimi uszami, oczami i pazurami nie wiedziała, co sądzić o polowaniu?

– Długo się nad tym zastanawiałam, modliłam i medytowałam – wyjaśniła Kim, widząc minę Chloe. – Jesteśmy łowcami, owszem, ale nie musimy już polować, żeby zaspokoić głód. Czy w takim razie nadal powinniśmy zabijać? A może bogowie uznałyby to za marnotrawstwo? – Pokręciła głową. – Nie znalazłam jeszcze odpowiedzi. – To powiedziawszy, bezszelestnie wyszła z kuchni.

Chloe zmarszczyła brwi. Jeszcze nigdy nie czuła się taka skołowana.

ROZDZIAŁ 16

Amy i Paul byli w jego domu i chyba pierwszy raz w życiu naprawdę się uczyli. Amy siedziała na wąskim łóżku, a Paul na podłodze obok. Jej nogi często lądowały na jego ramionach. Czasami Paul nachylał się i całował ją w łydkę i wtedy potrzebowali aż pół godziny, żeby wrócić do pracy. Jednak ogólnie rzecz biorąc, szło im całkiem nieźle. Pokój był znacznie cichszy niż u Amy, a pani Chun przychodziła do nich od czasu do czasu z talerzem ciasteczek i żeby sprawdzić, „czy nic nie kombinują”, chociaż wyraźnie było widać, że ma na to nadzieję. W porównaniu ze swoimi kuzynami Paul był wyjątkowo schludny, dbał o higienę i modnie się ubierał, a pani Chun namiętnie oglądała w telewizji *Porady różowej brygady* i doszła do niepokojących wniosków na temat orientacji seksualnej swojego syna. Bała się, że rozwód rodziców mógł mieć zły wpływ na Paula.

Jego dom nadal wyglądał porządnie, chociaż czegoś w nim brakowało. Amy nie potrafiłaby powiedzieć czego, ale wydawało się, że niektóre meble lub po prostu duch domu gdzieś wyparowały. Podczas podziału majątku Chunowie zachowywali się uprzejmie i przyjaźnie, lecz całe to miejsce było świadectwem ich separacji i sprawiało przygnębiające wrażenie.

Z należącego do Paula iMaca dobiegł stłumiony dźwięk, w którym Amy rozpoznała fragment melodii ze-

społu Siouxsie and the Banshees.

– Dostałam e-mail! – krzyknęła i zerwała się z łóżka, przy okazji prawie urywając Paulowi głowę.

– Od kogo? Przez cały wieczór sprawdzasz pocztę. Spotykasz się z kimś poza mną? – zapytał Paul, poprawiając koszulę, i wlepił wzrok w podręcznik.

Amy usiadła na taborecie przed drewnianą deską pełniącą funkcję biurka, po której w przeciwieństwie do reszty pokoju nie walały się setki książek i płyt. Dwa razy wcisnęła enter nie miała przed Paulem tajemnic, więc nie założyła sobie na jego komputerze hasła.

Na widok adresu, z którego przysłało wiadomość, szeroko otworzyła oczy.

– To od Briana!

Chwyciła fioletowy długopis i wsunęła go we włosy, przytrzymując je na karku.

– Jakiego Briana? – zapytał Paul z umiarkowanym zainteresowaniem.

Sens słów Amy dotarł do niego dopiero po chwili. Podniósł na nią zdumiony wzrok.

– Przyjaciela Chloe.

Paul nie widział jej twarzy, lecz Amy skrzywiła się, czekając na burę.

– Dlaczego do ciebie napisał?

Odłożył książkę, podniósł się z podłogi i stanął za plecami Amy, żeby przeczytać wiadomość.

Amy, Ty i Paul NIE POWINNIŚCIE SIĘ W TO

MIESZAĆ. Już i tak wiecie za dużo. Nie wiem, gdzie jest Chloe, ale dostałem od niej wiadomość, że jest bezpieczna.

Brian

PS Nie rozmawiajcie więcej na ten temat z Alekiem.

– Skąd wzięłaś jego adres? – zapytał Paul. Wolał rozwiązać tę zagadkę, zanim upora się z resztą problemów.

Amy westchnęła.

– W środę zerwałam się wcześniej ze szkoły, pojechałam do domu Chloe, włamałam się do jej komputera i wysłałam Brianowi wiadomość.

– Co zrobiłaś?! I przede wszystkim: dlaczego?!

– Alek nie chce nic powiedzieć, Chloe wciąż nie ma, a my nie wiemy, co się dzieje! odparła Amy, coraz bardziej wkurzona. Jej błękitne oczy gniewnie błysnęły, kiedy wstała i oparła dłonie na biodrach. Ten gest zrobiłby na Paulu większe wrażenie, gdyby długopis nie wysunął się z jej włosów i nie upadł na podłogę.

– Chloe powiedziała, że nic jej nie jest, a dwie bliskie jej osoby to potwierdziły. Czego jeszcze chcesz? – zapytał Paul, również podnosząc głos.

– Jak to dwie? – zdziwiła się Amy, marszcząc brwi. Przyłapany na gorącym uczynku, Paul oblał się rumieńcem.

– Jak to dwie? – powtórzyła Amy, przysuwając twarz do jego twarzy. – Brian i kto jeszcze?

– Rozmawiałem z Alekiem – przyznał wreszcie Paul.
– Po tym, jak oskarżyłaś go o to wszystko. Pogadaliśmy

spokojnie i racjonalnie. Zapewnił mnie, że Chloe nie dzieje się krzywda. Obiecał przekazać jej, że się o nią martwimy.

– A więc to tak?! – pisnęła Amy. – Uciałeś sobie z Alekiem męską pogawędkę, żeby naprawić to, co zepsuła twoja dziewczyna histeryczka, a on ci wszystko wyśpiewał?

– To chyba dobrze.

– Zakładając, że mówił prawdę. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– A dlaczego ty nie powiedziałaś mi o swojej zabawie we włamywaczkę?

Oboje zamilkli, mierząc się gniewnymi spojrzeniami. Po chwili jak na komendę odwrócili wzrok. Odpowiedź na oba pytania brzmiała tak samo: bali się reakcji tej drugiej osoby. Jak się okazało, słusznie. W końcu Paul się rozśmiał.

– Nie mogę uwierzyć, że włamałaś się do domu Kingów.

– Wiem, gdzie trzymają zapasowy klucz – przyznała Amy, również się uśmiechając. Przez chwilę milczeli, zatopieni we własnych myślach, po raz drugi tego wieczoru i milionowy w tym tygodniu.

– Kiedy już znalazłam się w środku – zaczęła Amy, tym razem cichszym i bardziej opanowanym głosem – odniosłam dziwne wrażenie, jakby od dawna nikt tam nie mieszkał. Nie zauważyłam bałaganu, ale powietrze było stęchłe i pełne kurzu. – Zmrużyła oczy, usiłując przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy odwiedziła Chloe, tuż przed

jej zniknięciem. – Wydaje mi się, że w zlewie stały te same nieumyte naczynia, ale nie jestem pewna.

– Szkoda, że mają pocztę głosową – powiedział Paul z chytrym uśmiechem. – Mogłabyś sprawdzić, czy światełko na ich automatycznej sekretarce nie mruga jak szalone od wszystkich tych wiadomości, które zostawiliśmy. Założę się, że nie znasz do niej hasła, co?

– Nie – przyznała z żalem Amy. – Gdybym знаła, w ciągu tych wszystkich lat wykasowałabym mnóstwo wiadomości, które zostawiłam Chloe w przyływie emocji i których później żałowałam.

Paul uśmiechnął się i przeciągnął dłonią po włosach na karku Amy. Przymknęła oczy, domagając się dalszych pieścizot.

– Może powinniśmy wreszcie zadzwonić na służbowy numer pani King – zaproponował cicho Paul, sięgając po telefon.

Amy popatrzyła ze zdumieniem najpierw na niego, a później na zegarek.

– Jest dziesięć po piątej, na pewno będzie w biurze.

Paul wybrał numer, a Amy przycisnęła ucho do przeciwnej strony słuchawki.

– Greenston i wspólnicy – rozległ się głęboki, pełen zainteresowania i profesjonalizmu głos recepcjonistki.

– Czy mogę rozmawiać z Anną King? – zapytał ze spokojem Paul. Może jego głos brzmiał młodo, lecz także uprzejmie i kompetentnie. Amy nigdy nie potrafiła uży-

skać podobnego efektu.

– Przykro mi, pani King pojechała w tym tygodniu na wakacje. Czy mogę pana przełączyć do innego prawnika?

Amy i Paul popatrzyli na siebie.

– Khm... – odkaszlnął Paul. – A dokąd wyjechała?

– Obawiam się, że nie mogę panu udzielić takiej informacji – odparła ze smutkiem recepcjonistka. – Mam nadzieję, że w jakieś ciepłe miejsce.

– A kiedy wróci?

– Pani King ma mnóstwo niewykorzystanego urlopu, więc nie jestem pewna. Czy zechce się pan nagrać? Często odsłuchuje skrzynkę, kiedy nie ma jej w biurze.

– Nie, dziękuję. To nic pilnego. Zadzwonię za kilka tygodni.

– Dziękujemy za telefon.

Paul wolno odłożył słuchawkę i oboje przez chwilę się w nią wpatrywali.

– Czy teraz wreszcie możemy coś zrobić? – zapytała ostro Amy.

ROZDZIAŁ 17

Ten sen był inny, bardziej realny i natrętny. Stopy Chloe nie wydawały żadnego dźwięku, przedzierając się przez szorstką trawę. Szerokie źdźbła wbijały się jej w podeszwy, lecz nie przejmowała się tym. Liczyło się wyłącznie polowanie. W dole wzgórza widziała swoją ofiarę: znajomego jelenia, który zatrzymał się, by popatrzeć na przelatujący samolot. Było w tej scenie coś dziwnego, lecz Chloe nie potrafiła stwierdzić co.

Dwoma potężnymi susami pokonała porośniętą bu- szem polanę i wylądowała pośrodku drogi, która dzieliła ją od ofiary. Droga była jedwabście czarna, z szerokimi żółtymi liniami. Zdawała się przyciągać cały lejący się z nieba żar. Chloe przygotowała się do kolejnego skoku.

Jeleń odwrócił się, jakby od samego początku zdawał sobie sprawę z jej obecności.

– Chloe – odezwał się boleśnie znajomym głosem.

Chloe zastygła i otworzyła usta do krzyku, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Usiadła gwałtownie na łóżku. Nie, jednak na kanapie. Był środek nocy. Popatrzyła na zegar i zorientowała się, że jednak nie – była dopiero dziewiętnasta trzydzieści. *Znowu się zdrzemnęłam.* Chloe po raz kolejny zasnęła, usiłując przebrnąć przez *Historię Mai* Książka miała grubość Biblii i roilo się w niej od imion rodem z rosyjskich powieści, poza tym była śmiertelnie nudna, niczym kiepsko prze-

tłumaczony podręcznik do historii. Ostatnio Chloe łatwo zasypiała, najczęściej z braku ciekawszego zajęcia.

Potarła skronie. Jeleń ze snu przemówił głosem jej matki.

Chloe nigdy wcześniej nie śniła równie przerażającego koszmaru.

Jeszcze kilka tygodni temu na przemian kłóciła się i godziła z mamą, chodziła do szkoły i pracy i spotykała się z przyjaciółmi. Teraz nie robiła żadnej z tych rzeczy. Dotknęła kolorowej, aksamitnej narzuty, na której zasnęła. Zacisnęła oko, dzięki czemu mogła oglądać pojedyncze nitki w rozmaitych odcieniach czerwieni jak przez szkło powiększające. Później nitki pociemniały i zmatowiały, pochłonięte przez wzór tkaniny razem z łąką, która powoli spłynęła z oka Chloe.

Dziewczyna ponownie usiadła na kanapie.

– Muszę się stąd wydostać – oznajmiła na głos. – Chcę...

Nie była pewna czego. Przeciagnęła ręką po włosach. Pójść do fryzjera? Kupić nowe ciuchy? Zeskoczyła z kanapy i wybiegła z pokoju, nagle przerażona panującą wokół ciszą.

W korytarzu zwolniła, zawstydzona własnym zachowaniem. Wyjęła telefon z tylnej kieszeni i włączyła go. Akurat w przypadku tej rozmowy nie musiała się kryć. Po pierwsze, w tej chwili nikt nie zwracał na nią uwagi, a po drugie pewnie jeszcze by ją zachęcali do kontaktu z Alekiem. Została jej już tylko jedna kreska i musiała

z nim natychmiast porozmawiać.

– *Aloo?* – odezwał się z rosyjskim akcentem, jakby spodziewał się telefonu od któregoś ze swoich ziomków.

– Muszę się stąd wyrwać – powiedziała bez wstępu.

– Chloe! – Wyobraziała sobie radosny chłopięcy uśmiech na jego twarzy. Ucieszył się, że zadzwoniła. – Czy nie byłaś dopiero co na polowaniu?

– Nie chcę... – jęknęła i nagle poczuła się tak sfrustrowana, że zaczęły jej się trząść dłonie. Jeśli Alek jej nie zrozumie, to już chyba nikt. – Chcę stąd wyjść i zrobić coś normalnego, dla zabawy. Pójść z tobą na randkę.

– Myślę, że Siergiej nie puści cię ze mną samej. Jestem silny, ale daleko mi do wyszkolonego ochroniarza.

– W porządku. – Chloe rozpaczliwie starała się coś wymyślić. – Niech to będzie zbiorowa randka. Na to będzie się musiał zgodzić, prawda? Weźmiemy kilku osiłków i wyjdziemy wszyscy razem, na przykład do kina. Co ty na to? – Oparła się o ścianę i zsunęła w dół, siadając na podłodze. – Po prostu chcę stąd wyjść – powtórzyła ze smutkiem – i zjeść popcorn – *zamiast dziczyzny* – napić się oranżady, obejrzeć głupie reklamy i skorzystać z obskurnej publicznej toalety z brzydkimi kafelkami i lustrami, w których będzie widać każdy mój pryszcz.

W słuchawce zapadła długa cisza. Chloe czekała, aż Alek zapyta ją o tę ostatnią rzecz – nie była pewna, dlaczego w ogóle to powiedziała, lecz przypomniało jej się, jak przed seansem i po nim chodziły z Amy do toalety, robiły głupie miny i malowały usta błyszcznikiem. Amy

narzekała na rozmiar swojego nosa, a Chloe marudziła, że zbyt szybko urosły jej piersi.

Na szczęście Alek jej nie zawiódł.

– Zobaczę, co da się zrobić. Ale twoja skóra jest idealna, Chloe. Nie masz żadnych pryszczycy.

Siergiej powiedział, że nie potrafi niczego odmówić swojej przybranej córce. W ten sposób Chloe, Igor, Alek, Valerie oraz dwoje *kizekhów* – tych samych, których spotkała w noc ucieczki – trafili do lobby, gdzie sprawdzali teraz repertuar kinowy.

Chloe przypomniała sobie, że podjęcie decyzji, na jaki pójść film, w grupie liczącej więcej niż trzy osoby, niezależnie od rasy, było czymś prawie niemożliwym.

– Chciałabym obejrzeć *Rosyjską arkę* – odezwała się Valerie. – Grają ten film w paru kinach. Dwójka strażników zgodnie kiwnęła głowami.

– Ani mi się śni – mruknęła Chloe.

– W porządku – ustąpiła Valerie. – To może ten nowy film z Hugh Grantem?

– Gra w nim Julia Roberts?

– Nie, ale Reese Witherspoon gra jego siostrzenicę...

– Nie, dziękuję – przerwał jej Alek, wysuwając z obrzydzeniem język.

– To może *Wzgórza śmierci*? – zaproponował Igor.

– Tak! – zgodził się Alek, wskakując po kociemu na oparcie jego fotela i zajrzał mu przez ramię.

– Absolutnie nie – odezwała się Valerie, wysuwając

szczękę w geście upodabniającym ją do Amy. Horrorzy mnie przerażają.

– Właśnie o to chodzi, matołku – odparł Alek. – Słyszałem, że ten film naprawdę wbija w fotel – dodał, na co Igor podekscytowany kiwnął głową.

– Do kitu – powiedziała Chloe. Właściwie było jej wszystko jedno, na co pójść, ale Valerie wyglądała na bardzo niezadowoloną.

– To może *Powrót króla* – zaproponowała druga z dziewczyn.

– Widziałem to już cztery razy – odparł jeden ze strażników, kręcąc głową.

Chloe popatrzyła ostro na starszego mężczyznę, którego twarz naznaczona była bliznami, lecz ten tylko wzruszył ramionami. Chociaż Chloe była niemal pewna, że w noc bójki z członkami Bractwa druga z wojowniczek nazwała go Dimą, tego wieczoru przedstawił się jako Dimitri, którym to imieniem zwrócił się do niego także Siergiej. Chloe nie miała pojęcia, jak nazywała się jego towarzysza. *Trudno się w tym wszystkim połapać,*

Chloe przeglądała gazetę coraz bardziej zniechęcona. Miała gdzieś, na co pójść. Zależało jej tylko na tym, żeby znaleźć się w tłumie normalnych ludzi. *A przynajmniej w pobliżu* – pomyślała, spoglądając na swoich ochroniarzy, którzy już ustawili się za jej plecami, krzyżując ramiona na piersiach.

– Hej! – Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.
– W kinie Red Vic o północy w weekendy puszczają

Gwiezdne wojny. – W końcu udało jej się znaleźć właściwą reklamę: tani, pięciolinijkowy tekst zdradzający, że było to kino niezależne.

– Zgoda – powiedział Alek, nadal balansując na brzegu fotela.

– OK – odezwała się Valerie.

– Jasne! – Igor wyszczerzył swoje wielkie, białe zęby po raz pierwszy od momentu, gdy Chloe go poznała. Nawet strażnicy kiwnęli głowami. Kto by odmówił *Gwiezdnym wojnom*? – Spotkamy się tu za godzinę – powiedział, zerkając na zegarek. – Równy godzinę – powtórzył, piorunując wzrokiem Aleka.

– To wystarczy, żebym skopał ci tyłek w Soul Calibur – powiedział Alek z niewinnym uśmiechem.

Valerie przewróciła oczami i spojrzała porozumiewawczo na Chloe. Chloe odwzajemniła uśmiech, chociaż była pewna, że w tej grze nawet ona skopałaby Igorowi tyłek.

– Przyjmuję wyzwanie – odpadł Igor, niespodziewanie zrywając się z fotela, który poleciał do tyłu razem z Alekiem. Chłopak zrobił zgrabny przewrót w powietrzu i spadł na podłogę, podpierając się jedną ręką. Chloe skojrzyło się to z najnowszym *X-Manem*.

Komu potrzebne filmy, jeśli samemu jest się mutantem?

Wróciła do pokoju, żeby uczesać włosy i zabrać kurtkę. Całym jej makijażem była gruba warstwa wiśniowego błyszczky. Patrząc na siebie w lustrze, Chloe ze

smutkiem zauważyła, że jej skóra po kilku tygodniach przebywania w domu nabrała niezdrowego, bladego odcienia. Uszczypnęła się mocno w policzki, przypominając sobie scenę z *Przeminęło z wiatrem* lub innego starego filmu. Natychmiast nabrała rumieńców, oby już na stałe.

Kiedy Chloe szła do recepcji, Kim bezszelestnie wspinała się schodami na górę, czytając książkę. Wyglądała jak średniowieczny mnich, a długi, brązowy sweter z rozszerzonymi rękawami tylko to podkreślał.

– Hej – odezwała się Chloe. – Wybieramy się w parę osób do kina. Pójdiesz z nami? Kim popatrzyła na nią, jakby nigdy w życiu nie usłyszała podobnego zaproszenia.

Dziękuję, ale powinnam to dokończyć... – powiedziała bez przekonania.

– Daj spokój, jest piątkowy wieczór. Guzik mnie obchodzi, co powinnaś przeczytać. Może i uczysz się w domu, ale koniec lekcji na dziś, chiquita.

Kim wyglądała na zdziwioną podekscytowaniem i entuzjazmem Chloe. *Do tej pory raczej ich nie okazywałam* – uzmysłowiła sobie Chloe.

– Dawno nie byłam w kinie – przyznała Kim, zamykając książkę. Z jakiegoś powodu Chloe nie potrafiła jej tam sobie wyobrazić.

– Świetnie. Idź po płaszcz.

– Czy pozostali wiedzą, że mnie zaprosiłaś? Powiedziała to tym samym irytująco spokojnym głosem co zawsze, lecz dało się w nim słyszeć lekkie drżenie. Kim otworzyła oczy tak szeroko, że – jej źrenice wreszcie za-

częły przypominać ludzkie.

Na pancerzu pobożnej uczennicy pojawiła się rysa i Chloe zalała fala współczucia dla tej biednej, samotnej dziewczyny.

– Nie, ale jestem pewna, że w którymś z samochodów znajdzie się dla ciebie miejsce. – Nie miała pojęcia, czy to prawda, ale musiała tak powiedzieć.

Kim sprawiała wrażenie uspokojonej pewnością siebie Chloe. Miała nadzieję, że nikt nie odważy się jej sprzeciwić i będzie mogła pojechać do kina.

– Wezmę płaszcz i spotkamy się w recepcji.

– A co z twoimi... – Chloe wskazała niepewnie na uszy Kim.

Kim rozciągnęła swoje długie, ostre zęby w grymasie przypominającym uśmiech.

– Nic. Wszyscy biorą mnie za zbzikowaną gotkę. Chloe również się uśmiechnęła.

– Spoko – powiedziała, układając palce w symbol pokoju.

Idąc pokibicować Alekowi, Chloe nagle zaczęła się zastanawiać, dlaczego inni mieliby się nie zgodzić na to, żeby Kim poszła z nimi do kina. Czyżby wszyscy uważali ją za dziwadło i odludka?

Alek podskakiwał jak szalony, wymachując gamepadem, i od czasu do czasu pomagał sobie pazurami. Gra wciągnęła go bez reszty. Igor siedział sztywno jak słup soli, z grobową miną i ledwie poruszał palcami po swoim padzie, bezlitośnie ogrywając przeciwnika. Dwoje ochro-

niarzy, podobnych do agentów CIA, w milczeniu obserwowało pojedynki.

– Hej – odezwała się Chloe, padając na kanapę i przewieszając nogę przez oparcie. Właśnie spotkałam Kim. Pojedzie z nami.

– Żartujesz? – odezwał się Igor, nie odrywając wzroku od ekranu.

I wtedy zjawiała się Valerie, piękna niczym gwiazda filmowa. Miała wiele kocich cech i nawet bez uszu czy oczu Kim emanowała z niej drapieżna siła i sensualność. Jej powieki opadały jak u Siergieja, za to oczy były błyszczące i otoczone długimi rzęsami. Poruszała się również z gracją kota. Włosy miała jaśniejsze niż Alek, o odcieniu jak u Marilyn Monroe, tylko że naturalne.

Chloe spróbowała wykrzesać z siebie odrobinę zazdrości, lecz jej się to nie udało – za bardzo podziwiała tę dziewczynę. Nie bez znaczenia był fakt, że widziała, jak Valerie gołymi, zakrwawionymi rękami zabija jelenia.

– A niech to – powiedział Alek, rzucając swoim gampadem. – Znowu miałeś farta.

– Nie – odparł Igor, kładąc dłoń na kolanie Valerie. – To ty nie umiesz grać.

– Jestem gotowa – rozległ się czyjś głos za ich plecami.

Wszyscy w pokoju się odwrócili. Kim stała w progu ubrana w sztuczne czarne futro sięgające kolan i zasłaniającą uszy czapkę baseballową. Na nogach miała o kilka rozmiarów za duże martensy, które ukrywały jej

pazury. Wyglądała tak, jakby cała ukrywała się przed światem.

– Interesujący strój – odezwała się taktownie Valerie. Kim posłała jej chłodne, pogardliwe spojrzenie.

– Nie sądzę, żeby zmieściła się w fordzie explorerze – odezwał się jeden ze strażników.

– Nie szkodzi – rzucił beztrósco Alek, zakładając skórzaną kurtkę. – Ja też przyjechałem samochodem.

– O nie! – zachnęła się Chloe. – Chyba nie masz na myśli... Ale on tylko szeroko się uśmiechnął.

Rzeczywiście był to ten sam samochód, który ukradł wcześniej ze szkolnego parkingu. Igor i Valerie pojechali z dwójką strażników, mamrocząc pod nosem coś na temat umiejętności Aleka jako kierowcy.

– To twój samochód? – odezwała się Kim, siadając na tylnym fotelu.

– Lepiej nie pytaj – poradziła jej Chloe. – I zapnij pasy.

– Jest bardzo... ładny – stwierdziła niepewnie Kim, nieświadomie imitując sposób mówienia Valerie.

Chloe spoglądała co jakiś czas w lusterko, by się upewnić, jak radzi sobie Kim, lecz niezależnie od tego, jak gwałtownie Alek skręcał, dziewczyna zachowywała spokój, kurczowo przytrzymując się siedzenia.

– Super – westchnęła Chloe. – Tego mi było trzeba.

– Cieszę się. – Alek nachylił się i pocałował ją w policzek.

Nie licząc kilku niby–randek, w tym tygodniu praktycznie nie mieli ze sobą kontaktu. Siergiej nigdy nie skomentował jej związku z Alekiem, lecz dało się między nimi wyczuć napięcie. Istniała niewidzialna granica, której chłopak Chloe nigdy nie przekroczył. Nie była to jednak zwykła ojcowska niechęć do chłopaka córki. Chloe miała wrażenie, że gdyby chodziło o kogoś innego, Siergiej nie miałby nic przeciwko. Postanowiła przy okazji zapytać o to Olgę.

– Hej, Kim – zawołał Alek, starając się zachowywać serdecznie – widziałas już *Gwiezdne wojny*?

– Oczywiście – burknęła. Nie musiała nawet dodawać: „ty idioto”. Zapadła długa cisza.

– Kto jest twoim ulubionym bohaterem? Kim szeroko otworzyła oczy.

– Ten,.. kudłaty. Wyróżnia go nie tylko wygląd zewnętrzny, lecz także służalczy stosunek do reszty bohaterów, wpisujący się w archetyp sprzymierzeńca lub komicznego mentora.

– Chcesz przez to powiedzieć – odezwał się filozoficznie Alek, skręcając za róg – że nigdy nie oglądałaś *Gwiezdnych wojen*?

Kim spiorunowała go wzrokiem. Chloe cieszyła się, że jej kocie zdolności nie pozwalają ciskać z oczu prawdziwych gromów. W przeciwnym razie Alek już by nie żył.

– Rzeczywiście, nie oglądałam – przyznała Kim i wlepiała wzrok w okno. Chloe tylko się roześmiała.

W kinie wylądowała między Kim i Alekiem. Igor i Valerie uparli się, że skoro to Chloe ją sprowadziła, powinna siedzieć obok niej. Właściwie nie było tak źle. Kim była zachwycona popcornem – delektowała się każdym ziarnem, nabijając je pojedynczo na pazur i ostrożnie kładąc na języku. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od ekranu.

Igor, Alek i reszta widzów wykrzykiwali swoje ulubione kwestie razem z bohaterami. Valerie i strażnicy w milczeniu się temu przyglądali. Chloe musiała odpowiedzieć na mnóstwo pytań wypowiedzianych szeptem przez Kim, ale jej to nie przeszkadzało: znała scenariusz filmu na pamięć i wprowadzanie żółtodzioba w świat *Gwiezdnych wojen* wydawało jej się całkiem zabawne.

– Gdzie oni teraz są?

– Na statku.

– Kosmicznym?

– Tak, a w zasadzie gwiazdowym. A po chwili:

– Dlaczego wszyscy wiwatują? Co za różnica, czy znajdują się na stacji kosmicznej czy na księżycu?

I wreszcie:

– Głupi Alek. Niewiele się pomyliłam. Ta historia idealnie wpisuje się w archetypy zachodniej kultury, począwszy od wędrowca, na tragicznym bohaterze skończywszy. Jest żywcem wyjęta z Josepha Campbella. Dostrzegam też wiele cech wspólnych z egipską *Opowieścią rozbitka*. Czy w kolejnych częściach wychodzi na jaw, że Darth Vader jest ojcem Luke'a Skywalker'a? – dodała,

sięgając po ulotkę zapowiadającą kolejne seanse.

Alekowi opadła szczeka.

– Skąd wiedziałaś?

– To oczywiste dla każdego, kto ma blade pojęcie o mitologii i religii – wyjaśniła, zadowolona z siebie.

Chloe szeroko się uśmiechnęła, po czym zauważyła Igora próbującego wygrać pluszową zabawkę dla Valerie.

– Ja też chcę taką! – powiedziała, wręczając Alekowi dolara, i pociągnęła Kim do damskiej toalety.

– Nie muszę tam iść – zaprotestowała dziewczyna.

Całkowite przeciwieństwo Amy – pomyślała ze smutkiem Chloe. Postanowiła jednak nie wybrzydzać. Wydeła wargi w stronę lustra i nałożyła świeżą warstwę błyszczący. Kim przyglądała jej się bez słowa. Zdjęła na krótką chwilę czapkę i podrapała się w uszy.

– Hej – odezwała się nagle Chloe, coś sobie przypominając. – Co zamierzałaś mi wtedy powiedzieć? Na temat przywódcy Stada?

Kim wyglądała na zmieszaną. Starła się przybrać nauczycielski ton, ale coś wyraźnie ją martwiło.

– Och, tylko to, że przywódca powinien zawsze pierwszy stanąć do walki i ostatni ją skończyć, bronić słabszych i w razie potrzeby wbiec do płonącego domu, by uwolnić z niego powolniejszych członków Stada. Przywódca poświęca dla niego swoje życie. I to nawet dziewięć razy, jeśli zajdzie taka konieczność.

Chloe roześmiała się.

– Jak kot? – Dopiero wtedy zauważyła poważną minę

Kim. – Ty nie żartujesz.

– Prawdziwy przywódca powinien dowieść, że nim jest – powiedziała cicho Kim. Najlepiej podczas wojny, w obliczu niebezpieczeństwa lub klęsk żywiołowych. Zwykle przywództwo jest dziedziczne. Czasami Stado ma to szczęście, że rządzi nim kilku członków rodziny wojowników. Zdarza się jednak, że przywódca zostaje wybrany wtedy, gdy jest potrzebny, a nikt inny się do tej roli nie nadaje. Po śmierci ponownie się odradza.

– Przywódcy Stada mają dziewięć żyć? – powtórzyła wolno Chloe, chcąc się upewnić, że dobrze zrozumiała.

– Tylko ci prawdziwi. W ten sposób chronimy naszą rasę.

Upadek z Coit Tower. Sny. Lwy. W tej bójce nie straciłby nawet jednego życia. Zakładając, że ma ich więcej. Chloe otworzyła usta.

– Czy istnieją... inni? Tacy, którzy mogliby zastąpić Siergieja?

– Cóż, kiedyś byli – powiedziała ze smutkiem Kim. – Jak już ci mówiłam, jedyna córka przywódczyni Stada, poprzedniczki Siergieja, została zamordowana, zanim zdołała udowodnić, że nią jest, a nikt inny z tego pokolenia nie zaryzykował własnym życiem, by przekonać się, czy ma ich więcej niż jedno.

Kim przyglądała jej się ze spokojem. Chloe zarumieniła się i odwróciła wzrok. Nie chciała o tym myśleć. *Przywódczyni Stada?* Wcześniej czy później będzie musiała się zastanowić nad słowami Kim.

Kiedy wrócili do domu, Chloe poszła prosto do gabinetu Siergieja. Było już bardzo późno, lecz Siergiej kładł się o najdziwniejszych porach, a Chloe chciała mu opowiedzieć, jak świetnie się bawiła, i może nawet zapytać, kiedy wreszcie będzie mogła zadzwonić do mamy lub się z nią zobaczyć. Chętnie zaanonsowałyby swoje przybycie, lecz usta miała pełne ciagutek. Alek twierdził, że wygrał je w jednej z maszyn w kinie, ale ciagutki z całą pewnością nie były nagrodą, w przeciwieństwie do tanich pluszowych zabawek i plastikowej biżuterii. Valerie powiedziała, że chociaż Alek dołożył jeszcze pięć dolarów do tego, który dała mu Chloe, nie udało mu się nic wygrać i w końcu poszedł do stoiska ze słodyczami. Chloe zareagowała śmiechem – zachowanie Aleka było tak głupie, że ktoś taki jak Brian nigdy by się na to nie zdobył.

Starszy mężczyzna stał za biurkiem, rozmawiając gorączkowo z jednym z wyżej postawionych w jego firmie Mai oraz dwoma *kizekhami*.

– ... jest dla nas zbyt wielkim ciężarem. Chyba wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że należy się jej pozbyć.

Nagle zauważył Chloe i przez sekundę patrzył na nią, jakby jej nie poznawał. Później jednak posłał jej ciepły uśmiech.

– To wszystko, panowie. Dziękuję. – Wszyscy trzej kiwnęli głowami, prawie się kłaniając, i wyszli z pokoju tyłem, tak jak wcześniej Kim.

– O co chodzi? – zapytała Chloe, siadając na jednym z ogromnych foteli.

– O kogoś, kto nie sprawdził się w naszej firmie – odparł pospiesznie Siergiej, składając leżące na biurku papiery, i też usiadł. – Będziemy się musieli pozbyć tej osoby.

– Dlaczego goryle muszą o tym wiedzieć?

– To nie są goryle, panno King, tylko doskonale wyszkoleni wojownicy. – Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu Siergiej przyznał z westchnieniem: – Masz rację, nie chodzi o pracownika, tylko członkinię Bractwa Dziesiątego Ostrza, którą staramy się wyeliminować. Nie jestem tylko prezesem firmy, Chloe, lecz także przywódcą Stada Mai, z czym wiążą się różne nieprzyjemne obowiązki.

Chloe przytaknęła, lecz w głowie miała mętlik. Nigdy nie widziała żadnej kobiety należącej do Bractwa, co oczywiście nie oznaczało, że ich tam nie było. Nigdy też nie widziała żadnego z ich przywódców, więc może ta kobieta była kimś ważnym? Z drugiej strony, gdy mówiono, że ktoś jest „zbyt wielkim ciężarem” – przynajmniej na filmach – to zwykle w odniesieniu do członka własnej drużyny: kogoś, kto miał swoje dobre strony, ale i tak należało się go pozbyć.

Chyba nie mieli na myśli mnie? Chloe starała się ukryć niepokój.

Rzeczywiście stanowiła dla Mai zagrożenie, szczególnie po swoim ostatnim wyskoku. Ale nie, zostało ich

zbyt niewiele, by spokojnie patrzyli na śmierć któregoś z członków Stada.

– To trudne decyzje – ciągnął Siergiej – których młodzi zdolni, jak Alek, nigdy nie rozumieją. Od tego rodzaju problemów człowiekowi przybywa siwych włosów.

– Dlaczego wspomniałeś o Aleku? Siergiej roześmiał się.

– Alek jest pierwszy w kolejce, jeśli coś mi się przytrafi. A przynajmniej tak mu się wydaje.

– Dlaczego nie Igor? Hej, masz może sprite'a?

– Możliwe, że to właśnie Igor zostanie moim następcą. Ma mnóstwo zalet – odparł Siergiej, sięgając do stojącej przy jego biurku minilodówki i wyjmując dwie puszki. Jedną z nich podał Chloe. – Jest odpowiedzialny i poważny, ale wkrótce się ożeni. Zdaniem niektórych brakuje mu – no cóż – agresji. Trudno go sobie wyobrazić jako krwiożerczego prezesa, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Chloe przytaknęła, koncentrując się na otworzeniu puszki i zrobieniu słomki ze swojej ciągutki. Zbyt wiele spraw musiała przemyśleć.

– Jestem głodny – co powiesz na duże pepperoni? – zapytał Siergiej, wybierając numer pizzerii. Chloe ponownie kiwnęła głową. Po chwili zauważył, jak wkłada ciągutkę do puszki ze spriteem. – Co ty wyprawiasz, Chloe?

Siergiej chętnie nauczył się, jak odgryźć końce ciąg-

gutki, żeby zrobić z niej słomkę. Zażartował, że powinni spróbować się przez nią napić taniego szampana. Rozegrali też partyjkę szachów. Siergiej bez trudu pokonał Chloe, lecz zrobił to w taki sposób, by nie sprawić jej przykrości, a później opowiedział jej o dorastaniu w Związku Radzieckim, kolejkach w sklepach, zdumiewającej edukacji i intelektualistach, o których do tej pory mogła tylko przeczytać.

Kiedy wyszli z gabinetu, przytulił Chloe na dobranoc, lecz kiedy tylko ruszyła w stronę swojego pokoju, ogarnął ją niepokój na wspomnienie spotkania, które niechcący przerwała. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy słowo „sekta” i nie bez powodu. Mai tworzyli przecież odrębną, trzymającą się na uboczu rasę. Stado przytłaczało Chloe – nawet kiedy pozwalano jej robić normalne rzeczy, na przykład pójść do kina, towarzyszyli jej inni Mai. Była całkowicie odcięta od reszty świata.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, otworzyła telefon i wybrała numer. Zbyt długo pozwalała na to, by ludzie z zewnątrz martwili się o nią. Nadszedł czas, żeby spotkać się z rodziną i przyjaciółmi. Tym razem zamierzała to zrobić inaczej, bardziej inteligentnie, z dala od swojego domu i czujnego wzroku Bractwa.

– Brian? Musimy się zobaczyć...

ROZDZIAŁ 18

Następnego dnia Chloe nadal myślała o mamie, Paulu i Amy, a nawet Brianie.

– Hej! – Zapukała do drzwi świątyni i weszła do środka. Tak jak się spodziewała, zastała Kim siedzącą w kącie i pogrążoną w medytacji, lekturze książki lub czymś podobnym.

Kim musiała coś wyczuć w tonie głosu Chloe, bo kiedy podniosła wzrok, jedna z jej brwi była już podejrzliwie uniesiona.

– Czy mogę cię prosić o przysługę? Chcę się spotkać z przyjacielem. Człowiekiem. Będziesz mnie kryła? Powiem Siergiejowi, że uczysz mnie historii lub religii Mai. – Starła się, by zabrzmiało to możliwie swobodnie. – Dzięki temu góry... *kizekhowie* nie będą mnie śledzić.

– Prosisz mnie o alibi – powiedziała Kim beznamiętnym, spokojnym głosem.

– No tak – odparła niepewnie Chloe. Nie miała pojęcia, co ta dziewczyna czuje.

– W porządku – zgodziła się, poruszyła uchem i wróciła do lektury.

– Dzięki! Wynagrodzę ci to.

Kim tylko coś burknęła pod nosem. Chloe odwróciła się, czując, że rozmowa dobiegła końca.

– Wczoraj wieczorem naprawdę nieźle się bawiłam – odezwała się niespodziewanie Kim, nie odrywając wzroku

od książki. – Dzięki za zaproszenie.

Chloe wiedziała, że więcej entuzjazmu już z niej nie wykrzesze. Uśmiechnęła się.

– Nie ma za co. Musimy to kiedyś powtórzyć. Chciała wyjść, lecz nie mogła. Wiedziała, że już i tak poprosiła Kim o zbyt wiele, lecz to pytanie nie przestawało jej dręczyć.

– Może dowiedziałaś się czegoś więcej na temat moich rodziców? Czy moja mama była przywódczynią Stada? No bo wiesz... – urwała.

Tym razem Kim popatrzyła na nią uważnie i zamknęła książkę.

– Twoi biologiczni rodzice, niezależnie od tego, kim byli, prawdopodobnie nie żyją. Chloe podskoczyła na dźwięk tych słów – chociaż pewnie były prawdziwe, Kim wypowiedziała je kompletnie beznamiętnym głosem. Chloe poczuła się tak, jakby ktoś ją spoliczkował.

– Powinnaś się teraz martwić o swoich ludzkich rodziców, Chloe. Oni wciąż żyją, lecz pewnie są obserwowani i mogą się znajdować w wielkim niebezpieczeństwie.

Chloe pomyślała o członkach Bractwa, którzy schwytali ją, kiedy próbowała się dostać do domu. Jej dom był pułapką. Bractwo spodziewało się, że w końcu tam wróci. Tylko co z przynętą, czyli jej mamą?

– W porządku, wyluzuj – powiedziała Chloe, teraz już na dobre wytrącona z równowagi. Nie chciało jej się nawet tłumaczyć, że miała tylko jednego „ludzkiego” rodzica. Czyżby Kim zżerała zazdrość o to, że nigdy nie miała

prawdziwej rodziny? – Chciałam się tylko dowiedzieć, kto mnie urodził.

– Powiem ci, jeśli ludzie Olgi trafią na jakiś trop – obiecała Kim, ponownie otwierając książkę. Ich rozmowa oficjalnie dobiegła końca.

Chloe wyszła ze świątyni, zaskoczona wrogością Kim. Może nie chodziło o zazdrość. Może Kim, jedyna osoba, z którą się tu zaprzyjaźniła, zachowywała wobec niej dystans z powodu grożącego Chloe niebezpieczeństwa? Ta myśl tylko ją upewniła, że powinna się jak najszybciej wydostać z Firebirda.

Chloe leżała na dachu centrum rozrywkowego i przypatrywała się niebu. Od wielu miesięcy nie czuła się tak wolna. Ciężkie chmury, podobne do pierogów, pędziły po niebie, dopóki nie zlały się w szarą masę na wschodnim krańcu horyzontu. Przepływając nad centrum miasta, nabierały pomarańczowej poświaty i wracały do swojego naturalnego koloru dopiero po oddaleniu się od zatoki, ulicznych świateł i neonów.

Chloe myślała o tym, jak łatwo byłoby przeskoczyć z jednego dachu na drugi i nigdy więcej nie wrócić do Mai, szkoły i domu. Prowadzić nocne życie. Nie mieszkać na ulicy, lecz blisko nieba, jak Batman, tylko że bez kryjówki. Pewnie zdołałaby przetrwać dzięki swoim kocim zdolnościom – potrafiła przecież upolować jelenia, a co dopiero ukraść coś ze sklepu!

Na dachu pojawiła się samotna postać zmierzająca w jej stronę, Chloe nawet nie drgnęła po sposobie cho-

dzenia, odgłosie kroków i zapachu poznała, że to Brian. Niewiele brakowało, by się o nią potknął: ubrana na czarno i zastygła w bezruchu była prawie niewidoczna w ciemności.

Brian wyglądał idealnie, jak wampir, a jego ciemne włosy i oczy ledwie się odróżniały na tle nocnego nieba. Wiatr zmierzwił mu lekko włosy. Odwrócił głowę, by popatrzeć na San Francisco. Chloe miała teraz idealny widok na jego profil, od ukrytych w cieniu brwi po przygryzione wargi. Szalik powiewał za nim niczym wysłużona peleryna superbohatera.

Położył się obok Chloe i spojrzał w niebo.

– Piękna noc – zauważył. – Chyba zanosi się na burzę.

– Chciałabym zniknąć – powiedziała Chloe. – Uciec stąd. Brian milczał.

– Mam wszystko, o czym marzyłam: ojca, i to bogatego – dodała ze śmiechem. – Rodzinę, Przekonanie, że jestem kimś naprawdę wyjątkowym.

– Żałuję, że sam taki nie jestem – powiedział Brian z uśmiechem i zanucił fragment piosenki Radiohead: – *Jesteś tak cholernie wyjątkowa.*

Chloe smutno się uśmiechnęła, usiadła i popatrzyła z góry na Briana. Wokół szyi miał okręcony kaszmirowy, brązowy szalik, pokryty drobnymi kremowymi rombami ułożonymi w skomplikowany wzór.

– Sam go zrobiłeś, prawda? – zapytała, przypominając sobie to, co ich do siebie przyciągnęło: zabawną, wydzierganą na drutach czapkę z kocimi uszami.

– Tak. Miałem ostatnio trochę problemów i musiałem oczyścić umysł – wyjaśnił nieśmiało. Im bardziej się denerwuję, tym bardziej skomplikowany dziergam wzór.

– Widziałeś się może z moją mamą? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Nie. Można powiedzieć, że byłem ostatnio uzieniony. Wpakowałem się w poważne tarapaty po tej całej akcji na moście.

– Ach tak. – Chloe nie powiedziała, że jest jej przykro. Nie była pewna, co tak naprawdę czuje. Na pewno przytłaczał ją smutek i wrażenie, że czegoś jej brakuje lub że ma czegoś za dużo.

– Stado... Wydaje mi się, że przypomina sektę. Wreszcie to powiedziała.

– Witaj w moim świecie – westchnął Brian i również usiadł. – Nigdy nie używamy tego słowa, ale granica pomiędzy sektą a „sekretnym stowarzyszeniem” jest bardzo cienka.

– Hej, ty masz piegi. – Chloe dopiero teraz je zauważyła i wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć. Piegi były brązowe i dodawały Brianowi chłopięcego uroku.

– Sporo przebywałem na świeżym powietrzu, odkąd odsunięto mnie od twojej sprawy. Śledziłem twoich przyjaciół, by się upewnić, że nic im nie jest, ale wygląda na to, że żadna ze stron się nimi nie interesuje. – Chwycił ją za dłoń. – Dzięki za zaufanie, Chloe, i że się tu ze mną spotkałaś. To dla mnie wiele znaczy.

– Zaczynam myśleć, że nikt nie jest bez winy – odparła

Chloe z krzywym uśmiechem. Przynajmniej wiem, po której stronie stoisz.

Przez chwilę milczeli. Brian nadal ścisnął jej dłoń. Chloe przytuliła się do niego i ponownie spojrzała w gwiazdy. Przypomniała sobie ich pierwszą prawdziwą randkę, kiedy poszli do zoo i kupiła Brianowi pluszową małpkę. Rozmawiali wtedy na wiele ważnych tematów.

– Jak zmarła twoja matka? – zapytała łagodnie Chloe.

Brian ścisnął jej rękę, a później ją puścił. Zanim odpowiedział, podniósł z dachu kilka kamyków i przez chwilę obracał je w dłoni.

– Rodzina mojego ojca należy do Bractwa, odkąd... cóż, odkąd tylko powstało. Od czasów pierwszej wyprawy kolonistów angielskich na statku Mayflower, a nawet wcześniej. Korzenie naszej rodziny sięgają włoskiej arystokracji. – Chloe wiedziała, że Brian jest skromny i rozumiała, co chciał jej przez to powiedzieć.

– Włochy... Chrześcijaństwo... Rycerze... Krucjaty... Nie chcę cię zanudzać lekcją historii. Rodzina mojej matki pochodzi z Klamath Falls w stanie Oregon – dodał z uśmiechem. Dziadkowie mają sad. Niektórzy członkowie sekretnych stowarzyszeń informują swoich małżonków o tym, że do nich należą, inni nie. Mój ojciec posunął się o krok dalej. Namówił moją matkę, by wstąpiła do Bractwa. Wydaje mi się, że nie miała na to ochoty, ale może się mylę. Byłem mały, więc nie pamiętam, jak to wszystko się zaczęło. Pamiętam za to, jak znikali z tatą na długich zebraniach i wyprawach i trenowali razem sztuki walki. –

Brian zrzucił kamyk z dachu i wlepił wzrok w pustą dłoń.

– Moja matka została zabita podczas jednej z misji, kiedy miałem dwanaście lat. Bractwo zaatakowało kryjówkę Mai w Los Angeles. Ktoś strzelił mojej matce w głowę. Jej twarz... Podczas pogrzebu trumna musiała być zamknięta.

Chloe głośno wciągnęła powietrze. To wiele wyjaśniało.

– Czy to jeden z... – Jak powinna powiedzieć: nas? Mai? ich? – Czy została zabita przez Mai?

Brian gniewnie prychnął.

– Tak mi się przez długie lata wydawało. Mieszkasz z nimi od pewnego czasu, Chloe. Czy któreś z nich nosi broń?

Pomyślała o strażnikach, Ellenie i Dimitrim. Nie pamiętała, czy byli uzbrojeni.

– Mai nie używają broni palnej – ciągnął Brian – i prawie nigdy nie sięgają po broń białą. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, a raczej długo nie kojarzyłem faktów. Mój ojciec przez wiele lat pozwolił mi wierzyć... W końcu odkryłem prawdę. Moja matka zginęła z rąk przypadkowego dzieciaka, członka gangu, który zobaczył jej broń, wziął ją za tajniaczkę i strzelił do niej.

Chloe wzdrygnęła się. Na niebie nie było ani jednej chmurki, tylko kilka gwiazd odważnie przedzierało się przez mgłę.

– Umarła za sprawę, w którą nie bardzo wierzyła – zakończył Brian. – Na dodatek zabił ją ktoś, kto nawet nie

brał w tym wszystkim udziału.

Chloe zastanawiała się, co mogłaby w tej sytuacji powiedzieć.

– Dlaczego twojemu ojcu tak bardzo zależało, żeby jego żona dołączyła do Bractwa?

– Bo stoi na jego czele.

W tym momencie Chloe zrozumiała, czemu Brian nienawidził swojego taty i chociaż kwestionował niektóre działania Bractwa, nadal do niego należał. Wychował się w nim! Przez całe życie nie znał nic innego... Próba odejścia oznaczałaby dla niego to samo, co dla Chloe porzucenie mamy, przyjaciół – przyjęcie nowego stylu życia, nowych idei, zasad i nowego towarzystwa.

No właśnie.

Chloe nerwowo się roześmiała. Brian popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Mój przybrany ojciec jest przywódcą Stada. Chłopak zamrugnął, a później sam się roześmiał.

– Świetnie. Po prostu idealnie – powiedział. Wyciągnął rękę i przytulił do siebie Chloe, próbując ją pocieszyć.

– Czy wtedy, przez telefon... mówiłeś poważnie? – zapytała łagodnie Chloe.

– Tak. – Brian zamknął oczy i zmarszczył brwi. Tamto wyznanie przyszło mu z wielkim trudem, z miliona rozmaitych powodów. – Stuprocentowo.

Nikt jeszcze nie powiedział Chloe, że ją kocha, nie licząc żartów, przyjacielskich wyznań lub głupich szkolnych zauroczeń. Nawet Alek, nazywając Chloe „miłością

swojego życia”, nie mówił poważnie.

Zakręciło jej się w głowie.

A co sama czuła?

Wolała się nad tym nie zastanawiać, tylko cieszyć się chwilą.

– Ale my nie możemy...

– Twoje usta są dla mnie trucizną, Chloe – powiedział z uśmiechem Brian, wiedząc, jak dramatycznie to zabrzmiało. – Twoje łzy, twój język, ślina i pot mogłyby mnie zabić.

Chloe oparła głowę na jego ramieniu, a Brian objął ją w talii. To na pewno było bezpieczne.

– Powinniśmy się zbierać – szepnął jej do ucha.

Chloe przeszył dreszcz. – Jeśli nie chcemy się spóźnić na spotkanie z twoimi przyjaciółmi.

– My?

– Nie pozwolę ci samej wracać do domu. Twoi przyjaciele mają dobre zamiary, ale zostawiają ślady widoczne na kilometr. – Chloe uśmiechnęła się na myśl o Amy i Paulu próbujących zachować dyskrecję. – Amy udało się nawet zdobyć mój adres mailowy. Poradziłem jej, żeby dla własnego dobra trzymała się od tej sprawy z daleka.

– Nie posłucha cię – powiedziała Chloe rozmarzonym głosem, mocniej przytulając się do Briana. Pocałowała go w ramię. – Zostańmy tu jeszcze minutę lub dwie – poprosiła. – Mamy taką piękną noc. Jest... idealnie.

Brian otworzył usta, by wymenić jeden z tysiąca powodów, dla których nie było idealnie, począwszy od

tego, że Bractwo próbowało wytropić Chloe, a skończywszy na tym, że ich związek nie miał żadnych szans. Postanowił to jednak przemilczeć.

– W porządku – powiedział, tuląc ją do siebie, a gdy zadrżała, zdjął szalik i owinął nim szyję dziewczyny.

Chloe uśmiechnęła się i zamknęła oczy, lecz po policzku spłynęła jej łza.

Mieli się spotkać z Amy i Pauliem na tyłach Cafe Eland, w miejscu jednocześnie zacisznym i bezpiecznym. Brian przekonywał Chloe, że Bractwo Dziesiątego Ostrza nigdy nie skrzywdziłoby człowieka, że składało przysięgę chronienia ludzi, lecz Chloe wiedziała jedno: ostatnio ciągle sprowadzała na siebie kłopoty.

Brian dyskretnie ją śledził. Zauważyła ślad jego obecności tylko kilka razy: usłyszała dźwięk potrąconego stopą kamyka i dostrzegła czyjś cień. Brian maskował się niemal tak dobrze jak Mai i Chloe podejrzewała, że te kilka razy specjalnie się przed nią ujawnił.

Szybko sprawdziła kawiarnię – o dwudziestej drugiej pięć tylne wejście zamknięto na głucho. Latem właściciele wystawiali na rampie towarowej na tyłach budynku kilka krzeseł dla stałych klientów. Chloe wspięła się na sąsiedni budynek i spojrzała w dół.

Amy i Paul już na nią czekali. Amy jak zwykle ubrała się zbyt lekko i próbowała się rozgrzać, tupiąc i obejmując się rękami. Miała na sobie różowe puchate futerko, które wyglądało na ciepłe, lecz najwyraźniej nie było. Paul roz-

glądał się dookoła, trzymając w jednej ręce kubek z napojem, a w drugiej papierosa, i nerwowo strzepywał popiół na chodnik.

Chloe była poruszona widokiem swoich przyjaciół, gdy tak obserwowała ich z góry, nie będąc już częścią ich życia. Zanim zdążyła się zastanowić, zeskoczyła z dachu prosto przed Amy i Paula.

– O cholera – odezwał się Paul. Chloe z zadowoleniem odkryła, że jednak zdarzało mu się tracić zimną krew – wylał połowę swojej czekolady.

– Chloe! – pisnęła Amy. – To naprawdę ty.

– Hej – jęknęła Chloe, nie mogąc złapać tchu. Paul zmierzwił jej włosy.

– Niech cię diabli, King – powiedział, z trudem powstrzymując emocje. – Gdzie się podziewałaś?

– Co ty masz na sobie? – zdziwiła się Amy, spoglądając na jej drogie džinsy, czarną bluzkę z długimi rękawami i kolorowym napisem „Paryż” oraz niepasujący do reszty, lecz piękny szalik.

– Pożyczone ciuchy – odparła Chloe, przeskakując nad barierką oddzielającą strefę przyjęcia towaru. Zrobiła to z takim samym wdziękiem i wprawą jak wtedy, gdy wylądowała przed Amy i Paulem.

– Hm – mruknął Paul, nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

– To długa historia. Mam tylko kilka minut. Kupiliście mi kawę?

Amy wyciągnęła kubek z kieszeni różowego futerka,

nie rozlewając przy tym ani kropli. Chloe wzięła kawę, zsunęła się z rampy i wypła kilka łyków.

– Rosjanie lubią obrzydliwie słodkie napoje – zaczęła, po czym głęboko zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej: – Moi ludzie, którzy nazywają się Mai, to tak naprawdę starożytna rasa kocich wojowników. Z kolei Bractwo Dziesiątego Ostrza jest organizacją podobną do Templariuszy i przez pięć tysięcy lat próbowało się nas pozbyć.

Amy i Paul przyglądali jej się w milczeniu.

– Nie ma żadnej rosyjskiej mafii – kontynuowała Chloe – a przynajmniej nie w tym przypadku. Chodzi o wojnę pomiędzy rasami.

– W porządku... – odezwała się ostrożnie Amy, rozglądając się dyskretnie, czy nikt tego nie słyszał.

– Wierzę ci – powiedział Paul tonem, który wskazywał na coś dokładnie odwrotnego. Chloe знаła swoich przyjaciół na tyle dobrze, by wiedzieć, że właśnie usiłują wymyślić najszybszy i najpewniejszy sposób przetransportowania jej do psychiatryka. Westchnęła i podniosła do góry dłoń.

– Może to was przekona?

Z głośnym świstem wysunęła pazury.

– Ja pierdzielę – powiedziała Amy, a jej oczy otworzyły się szeroko jak u postaci z japońskiej kreskówki.

Paul chwycił dłoń Chloe i zaczął się przyglądać miejscu, z którego wyrastały pazury, szukając taśmy klejącej, rękawiczki lub czegoś podobnego.

– Mam je również przy palcach u stóp – rzuciła lekko Chloe, starając się nie śmiać z ich reakcji. – A w ciemności moje oczy zwężają się jak u kota. Doskonale widzę w nocy.

– Nie mogę uwierzyć... – zaczął Paul, nie wypuszczając jej dłoni.

– Lepiej uwierz – zasugerowała słodko Chloe, odsuwając się od niego. Wyskoczyła do góry, lądując na barierce. Następnie pochyliła się, stanęła na rękach, przytrzymując się pazurami, i zrobiła fikołka do tyłu.

– Na magiczne paznokcie mogłabym przymknąć oko – odezwała się w końcu Amy – ale Chloe King, którą znam, ledwie dosięgała palców u stóp.

– To kompletnie popieprzone – burknął Paul z pełnym zazdrości podziwem. – Jesteś jak Wolverine. To niesprawiedliwe, że ja czytam komiksy, a ty dostajesz supermoce.

Chloe usiadła, napiła się kawy i opowiedziała im o wszystkim, począwszy od wieczoru, kiedy pobiła włóczkę, aż do chwili, kiedy Alek zaprowadził ją do siedzi – by Mai, tłumacząc, co dokładnie się wydarzyło, kiedy odeszli.

– Wiedziałam, że nie powinniśmy cię wtedy zostawiać – powiedziała Amy, opierając ręce na biodrach.

Później Chloe przeszła do historii Mai (przeklinając się w duchu za to, że nie skończyła czytać książki na ten temat) i tego, co wiedziała na temat Bractwa Dziesiątego Ostrza. A na koniec powiedziała im całą prawdę o Aleku i Brianie.

– Szkoda, że nie mam pazurów – westchnęła Amy, przeciągając po nich palcami.–To zupełnie jak... osobisty mechanizm obronny. Możesz iść wszędzie sama, w nocy, i nie martwić się atakiem gwałciciela czy innego zбира.

– Tylko organizacji, która za główny cel postawiła sobie wytepienie takich jak ja.

– Czy to dlatego Mai nie pozwalają ci się z nami spotykać?

– Tak. Kilka tygodni temu próbowałam się wymknąć, żeby spotkać się z mamą, i wpadłam w zasadzkę. Zginęłabym, gdyby nie śledziła mnie para *kizekhów*. – Oczywiście pamiętała, że mężczyzna w swetrze miał kajdanki, a nie gilotynę czy sztylety jak Łowca, lecz najwyraźniej nie był wobec niej przyjaźnie nastawiony.

– Dlaczego po prostu nie wyślą za tobą grupy ochro- niarzy? – zapytał podejrzliwie Paul.

– Wolą nie zwracać na siebie uwagi.

– Tak? A może po prostu chcą, żebyś zerwała z dawnym życiem i straciła kontakt z przyjaciółmi i rodziną?

– Zależy im na moim bezpieczeństwie – powiedziała niepewnie Chloe. Słowa przyjaciół były zbyt podobne do jej własnych podejrzeń, wśród których czaiło się nieprzy- jemne słowo „sekta”.

– Cała reszta jest do kitu, ale mimo tego chciałabym mieć pazury – westchnęła Amy. Chloe opowiedziała im także o Xavierze. Tamtej nocy, kiedy spadła z wieży, po- szła do klubu i całowała się z przypadkowo poznanym

facetem, który w rezultacie prawie zmarł od ran na plecach, które zrobiła mu w przyпадywie namiętności. Z jakiegoś powodu właśnie o tym najtrudniej jej się rozmawiało z dwójką najlepszych przyjaciół. Czuła się nieco skrepowana.

– Nie możemy więc... uprawiać seksu ani całować się z normalnymi ludźmi, bo to ich zabija.

– Coś mi tu nie pasuje – odezwał się po chwili namysłu Paul. – Musiałaś się przecież całować w podstawówce, na dyskotece, choćby dla żartu.

Chloe wzruszyła ramionami.

– To chyba ma związek ze śliną. Całus w policzek się nie liczy, dopiero francuski pocałunek. To się zaczęło wtedy, gdy... – posłała Paulowi przepraszające spojrzenie – wreszcie dostałam okres. Pewnie chodzi o dojrzewanie.

Paul wyglądał na bardzo skrepowanego, chociaż z całych sił starał się to ukryć.

– I twoja mama o niczym nie wie? – zapytała ze zdumieniem Amy.

– Trudno w to wszystko uwierzyć. Poza tym to świeża sprawa. Myślałam o tym, żeby zakraść się do domu po spotkaniu z wami i zobaczyć się z mamą. Teraz jestem już mądrzejsza i na pewno nie spróbuję wejść frontowymi drzwiami.

– Hm, no cóż... – Amy i Paul wymienili spojrzenia, a Paul odchrząknął.

– To kolejny powód, dla którego chcieliśmy się z tobą spotkać, Chloe.

– Wydaje nam się, że twoja mama zaginęła – wyrzuciła z siebie Amy. – Tydzień temu włamałam się do twojego domu i wyglądało na to, że od jakiegoś czasu nikt w nim nie mieszkał.

Chloe wpatrywała się w nią, nic nie rozumiejąc.

– Planowaliśmy zadzwonić na policję... – zaczął Paul.

– Muszę iść do domu – szepnęła Chloe, po czym odwróciła się i pobiegła.

– Zaczekaj! Chloe! – zawołała Amy za oddalającą się w ciemności postacią.

– Chloe! – dobiegł z góry męski głos. – Chloe! Nie biegnij tam! To pułapka! Chloe!!! Paul i Amy spojrzeli na siebie i rzucili się w pogoń za przyjaciółką.

Chloe biegła do momentu, gdy jej wnętrzości rozsadził ból jak podczas zawału, a wyziębione płuca nie były w stanie przyjąć kolejnej dawki powietrza. Mimo siły i szybkości Mai, Chloe przekroczyła granice swojej wytrzymałości bardziej niż kiedykolwiek. Kiedy samochód zajechał jej drogę, wskoczyła na dach, zatopiła w nim pazury i odbiła się od niego niczym tyczkarka, zostawiając kierowcę z okropnym dźwiękiem rozrywanej blachy w uszach i wyobrażeniem wściekłych psów oraz scen z filmów o wilkołakach. Trzymała się ulic, nie chcąc tracić czasu na karkołomne ewolucje, które tak ją bawiły podczas jednej z nocnych wypraw. Czuła, jak pazury u stóp próbują rozedrzeć materiał adidasów i w końcu przebijają się przez podeszwy,

pozwalając jej jeszcze szybciej odpychać się od ziemi. Chloe nie zwracała uwagi na cienie wokół. Poruszała się zbyt szybko, żeby martwić się zasadzką. Koncentrowała się wyłącznie na jednym: koszmarze, który nie pozwolił jej zaznać spokoju, odkąd to wszystko się zaczęło – strachu przed tym, że jej mama padnie ofiarą przemocy, która nagle stała się elementem życia Chloe.

Wbiegła po schodach, otworzyła drzwi i wpadła do środka.

– Mamo? – zawołała.

Od razu wiedziała, że coś jest nie tak.

Powietrze było stęchłe, tak jak mówiła Amy – brakowało śladów niedawnych ludzkich działań, ciepła i zapachów, nie licząc zapachu jej przyjaciółki. Woń perfum, mydła i skóry jej matki pochodziła co najmniej sprzed tygodnia. Chloe wyczuła też nieświeży i drażniący zapach, jakby odpływ w kuchennym zlewie od dawna nie był czyszczony.

Zapaliła światło. Wszystko wyglądało tak samo jak w dniu, gdy była tu po raz ostatni, z wyjątkiem kilku stojących na blacie szklanek. Ciekawe, co zrobiła mama, kiedy wróciła z pracy i znalazła liścik od Chloe. Dziewczyna rozglądała się nerwowo. I rzeczywiście, przy telefonie leżała karteczka z numerem Keiry. Pani King miała zamiar sprawdzić, czy jej córka rzeczywiście jest u koleżanki.

Humus. Chloe nagle zorientowała się, skąd pochodzi nieprzyjemny zapach. Podeszła do lodówki, przy której

drzwiczkach leżała grudka humusu. Było to tak niepodobne do pedantycznej Anny King, że na sam ten widok Chloe zamarło serce. Otworzyła drzwiczki i zobaczyła otwarty pojemnik z pleśniejącym już humusem, na którego powierzchni widniało niezgrabnie napisane słowo „pomocy”.

ROZDZIAŁ 19

Nie mogę w to uwierzyć.

Pierwsza myśl, jaka przyszła Annie King do głowy, kiedy narkotyk przestał działać, była niewiarygodna i przerażająca. Otworzyła oczy, by potwierdzić to, co jej zdaniem nie mogło być prawdą.

Została przywiązana do krzesła, zupełnie jak na filmach.

Krzesło było bardzo wygodne, bardziej przypominało fotel lub szeslong, a więzy nie wyglądały dokładnie tak jak na filmach, lecz fakt pozostaje faktem: ramiona miała przypięte paskami do podłokietników – fotel został specjalnie przystosowany do tego celu – a stopy spętane w taki sposób, by nie mogła wstać. Nie miała jednak problemu z przybraniem wygodniejszej pozycji.

Ponownie zamknęła oczy, w dalszym ciągu śpiąca i otumaniona.

Czuła się tysiąc razy gorzej niż na silnym kacu. Porywacze podali jej narkotyk, gdy tylko zabrali ją z domu.

Tuż po otwarciu drzwi wiedziała, że dzieje się coś podejrzanego. Lata, które spędziła w mieście – najpierw jako singielka, później samotna matka – wyostrzyły jej intuicję. Ludzie stojący na progu byli mili, tamta kobieta zapytała, czy mogą wejść. Chociaż Anna się nie zgodziła, jakimś cudem dostali się do środka. Udawała, że się nie boi, sprząając resztki kolacji. Rozmawiali o jej córce, ta-

rapatach, w których mogła się znaleźć Chloe, i o tym, że bardzo chcieli jej pomóc. To wtedy Anna napisała na humusie słowo „pomocy”.

Dobrze zrobiła, bo kiedy kilka minut później próbowała krzyczeć, poczuła w ustach knebel, zobaczyła wielkiego smukłego kota – również jak w filmie – i została dokądś uprowadzona.

– Pani King – rozległ się łagodny głos, który starał się ją obudzić.

– Anno – powiedziała automatycznie, tak jak zawsze poprawiała klientów kancelarii. Zamrugła kilka razy, nim udało jej się powstrzymać opadanie powiek. Ktoś zdjął jej okulary podczas uprowadzenia i założył je z powrotem, kiedy była nieprzytomna.

Po chwili pokój stał się wyraźniejszy. Anna siedziała w jakimś gabinecie czy bibliotece z ładnym grubym dywanem i dużym mahoniowym biurkiem, o które opierał się mężczyzna, krzyżując nogi. Był potężny, dystyngowany, w średnim wieku, a z jego oczu emanowała cierpliwość. Prawnicze doświadczenie natychmiast podpowiedziało Annie, że ten człowiek musi mieć pieniądze lub władzę. Ubrany był w spodnie od garnituru, koszulę i luźno związany krawat.

– Jak się czujesz? – zapytał uprzejmie.

Anna otworzyła usta, by wyjaśnić mu, jak się czuje, lecz nie zdołała z siebie wydusić ani jednego dźwięku, jakby zużyła całą energię na wydrukowanie imienia.

– Wody – wychrypiała.

– Oczywiście. – Mężczyzna popatrzył na osobę, której Anna nie widziała ze swojego krzesła – tak właśnie zaczęła o nim myśleć, jak o „swoim” krześle – i wykonał drobny gest.

Anna usłyszała ciche kroki człowieka, który wypełnił jego polecenie bez zbędnych pytań. *A więc ma i władzę, i pieniądze* ~ pomyślała.

Chwilę później ktoś podał mężczyźnie szklanekę wody z lodem. Ten podszedł do Anny. Kobieta przestraszyła się, że zacznie ją pić, ale on wyswobodził jej lewą rękę. Wzięła szklanekę i z trudem powstrzymała się od wypicia wody duszkiem. To nie był najlepszy moment na okazywanie słabości. Piła kulturalnie, drobnymi łydkami, jak na przyjęciu.

– Czy teraz lepiej? – zapytał nieznajomy.

– Gdzie jest moja córka?

– Czyli twoim zdaniem nie ma jej w domu koleżanki, niejakiej Keiry? – zapytał z chytrym uśmieszkiem.

– Co zrobiliście z moją córką? – powtórzyła Anna.

– My jej niczego nie zrobiliśmy, chociaż Chloe rzeczywiście jest w poważnym niebezpieczeństwie. Wpadła w ręce złych ludzi i została zamieszana w morderstwo.

Pani King nie dała po sobie poznać, że ogarnęły ją wątpliwości.

– Nie wydaje mi się – powiedziała.

– Cóż, obawiam się, że to prawda. – Mężczyzna westchnął, krzyżując ramiona na piersi. Jeden z moich przyjaciół nie żyje właśnie z jej powodu.

– Nie powiedziałaś, że to ona go zabiła – zauważyła Anna prawniczym tonem. „Zamieszana w morderstwo” to nie to samo co „morderczyni”.

Mężczyzna roześmiał się i jego pełne, mięsiste policzki lekko się zatrzęsły. Miał piękny, melodyjny głos i za każdym razem, gdy się odzywał, matka Chloe nienawidziła go jeszcze bardziej.

– Naturalnie, masz rację. Świat, w którym żyjemy, nie jest przecież czarno–biały. Brakuje niezbitych dowodów na to, że mój przyjaciel nie żyje.

– Dlaczego tu jestem? – zapytała znużonym głosem Anna. – I gdzie jest Chloe?

– Chloe prawdopodobnie przebywa teraz wśród swoich nowych przyjaciół. Krótko mówiąc, pani Ki... Anno, rodzina biologiczna twojej córki wywodzi się z długiej linii, cóż, chyba można ich nazwać wojownikami lub grupą łowiecką, co w naszych czasach brzmi archaicznie. W każdym razie, ci ludzie się o nią upomnieli. Mamy powody przypuszczać, że skontaktowali się z Chloe przed około miesiącem i jesteśmy prawie pewni, że to z nimi teraz przebywa.

Anna przyglądała mu się przez długi moment, zanim się odezwała. Chociaż siedziała przypięta do krzesła, z potarganymi włosami i przekrzywionymi okularami, miała wrażenie, że z nich dwojga to nie ona powinna czuć się głupio.

– Chcesz powiedzieć, że jakaś zwariowana starożytna rosyjska mafia chce, żeby Chloe do niej dołączyła, wzorem

swoich rodziców?

– Coś w tym stylu.

– Skoro tak bardzo zależy wam na bezpieczeństwie mojej córki, to dlaczego nie zgłosiliście tej sprawy na policję lub nie powiedzieliście mi tego wszystkiego przez telefon, tylko porwaliście mnie i przywiązaliście do krzesła?

– I tu wracamy do twojego pierwszego pytania. – Mężczyzna rozkrzyżował nogi i oparł się rękami o biurko.

– Jesteś tu, ponieważ Mai są potwornie niebezpieczni. Zdarzało się już, że kiedy jedno z ich dzieci zostało przygarnięte przez Amerykanów, zabijali adopcyjnych rodziców, by zapewnić sobie całkowitą lojalność ze strony dziecka i zerwać wszystkie jego kontakty ze światem.

– Zapytam ponownie: dlaczego was to obchodzi?

– Mai nie grają według normalnych zasad. Przypominają gang, ale są znacznie gorsi, jak wspomniana przez ciebie mafia. Moja organizacja została stworzona po to, by chronić przed nimi ludzi, ograniczyć ich wpływy i pewnego dnia całkowicie ich zniszczyć. A przynajmniej taką mamy nadzieję.

– Jakie to wspaniałomyślne z waszej strony.

– Moja żona zginęła, próbując uratować jedną z ofiar Mai – powiedział miękko mężczyzna. – Nie chcę, by kogoś jeszcze spotkał podobny los.

Przez chwilę milczeli. W kątach pokoju czaił się mrok. W pomieszczeniu nie było okien. Anna znalazła się w sekretnym, ciemnym, niemożliwym do znalezienia

miejscu. Miała ochotę ukryć się przed spojrzeniem mężczyzny i zmienić pozycję, chociaż jej krzesło było naprawdę wygodne. Nie zrobiła tego jednak.

– Dlaczego jestem unieruchomiona, skoro staracie się mnie chronić? – Wskazała na swoją prawą rękę, która wciąż była przypięta do podłokietnika.

– Anno, czy gdybyśmy przyszli do twojego domu i opowiedzieli ci to wszystko, poszłabyś z nami dobrowolnie?

Miał rację.

– Najważniejsze dla nas było to, żeby jak najszybciej i jak najdyskretniej zabrać cię z domu. Istniało ryzyko, że Mai wyślą płatnego mordercę, żeby cię zabił. Chloe mogłaby spróbować uciec i się z tobą zobaczyć, a wtedy jej ludzie na pewno by się ciebie pozbyli, nawet jeśli pierwotnie nie mieli takiego planu. Pamiętaj, że zależy im na pełnej kontroli nad życiem swoich ludzi. Przykro mi z powodu tych wszystkich nieprzyjemności, ale naprawdę nie było innego sposobu. Teraz zapewnimy ci bezpieczeństwo i dowiemy się, jak pomóc Chloe.

– Wypuście mnie?

– Tak, choć obawiam się, że przez jakiś czas będziemy cię trzymać pod kluczem. Oczywiście w pokoju znacznie przyjemniejszym niż ten – dodał ze skruchą. – Pokusa ucieczki i odnalezienia córki byłaby dla ciebie zbyt wielka.

Postawmy sprawę jasno: ci „dobrzy” trzymają mnie jako zakładniczkę, żebym nie mogła się zobaczyć z córką porwaną przez tych „złych”, którzy nie pozwalają jej się

spotkać z matką.

– Co się stanie z Chloe? Czy możecie... – *ocalić ją* brzmiałoby zbyt melodramatycznie – ją tu sprowadzić?

– Oczywiście.

Przez twarz mężczyzny przemknął jednak cień zdziwienia, jakby zdążył postawić na jej córce krzyżyk i liczyło się dla niego już tylko bezpieczeństwo Anny. *Pewnie uważa Chloe za jedną z tamtych* – pomyślała pani King. *Ci ludzie nie zamierzają jej pomóc.*

– Jak nazywa się wasza organizacja? – zapytała na wpół sarkastycznie.

– Obawiam się...

– Tego też nie możesz mi powiedzieć. No jasne.

– Mam na imię Whit – przedstawił się mężczyzna.

Anna miała zamiar uciec przy pierwszej nadarzającej się okazji. Może nie wróci do domu zgadzała się ze swoim porywaczem, że mogłoby się to okazać zbyt niebezpieczne – ale natychmiast pójdzie na policję, skontaktuje się z organizacją przeciwdziałającą sektom i opowie im wszystko ze szczegółami.

ROZDZIAŁ 20

Chloe nadal siedziała na podłodze z głową w dłoniach, kiedy zjawił się Brian.

– To wszystko moja wina – powiedziała ze smutkiem.

Brian uklęknął obok niej, a Chloe przycisnęła twarz do jego ramienia.

– Nieprawda.

Chloe tylko pokręciła głową, próbując wytrzeć łzy.

– Powinniśmy stąd iść – odezwał się Brian z pozornym spokojem. – Powiedziałem agentom Bractwa, którzy patrolowali tę okolicę, że widziano cię w Pateenie, ale szybko się zorientują, że to fałszywy trop. – Chloe przytaknęła i pociągnęła nosem. Brian podniósł się z podłogi i rozejrzał dookoła. – Jesteś pewna, że ją porwano?

Chloe ponownie kiwnęła głową, otarła twarz i wskazała na pojemnik z humusem.

– OK – powiedział Brian, unosząc brew. – Twojej mamie na pewno nie można odmówić pomysłowości.

Chloe spróbowała się uśmiechnąć. Czowała się zenująco słaba, jak dziecko, którym należało się opiekować w trudnych momentach. Brian skwapliwie odgrywał rolę bohatera i tego właśnie potrzebowała.

– O mój Boże, Chloe! – Amy wparowała do domu i zgięła się wpół, ciężko dysząc. Ciemnorude włosy otaczały jej twarz niczym łuna i lepiły się od potu. – Nigdy nie

należy wracać na miejsce... – Zaczepnęła powietrza i dopiero wtedy zauważyła Briana. – A to kto?!

– Brian. Brianie, poznaj Amy. – Chloe czuła się idiotycznie, przedstawiając ich sobie.

– TO jest Brian? – zapytała z niedowierzaniem jej przyjaciółka. Zlustrowała go spojrzeniem tak uważnym, że aż zaczęło go parzyć. – Jesteś o wiele bardziej seksowny niż Alek.

Chloe pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

– Gdzie jest Paul?

– Już biegnie. Ma gorszą kondycję przez... – Wykonała gest zaciągania się papierosem.

– I przez to, że unika WF-u jak ognia – mruknęła Chloe. Nie powinni się teraz rozdzielać. Patrole Bractwa mogły ich przeoczyć, ale co będzie, jeśli czekały po prostu na dalsze rozkazy? Poza tym Mai mogli zauważyć zniknięcie Chloe i dojść do wniosku, że Brian ją porwał. Musimy odnaleźć moją mamę.

– No jasne – przyznała jej rację Amy, nadal sapiąc. – Jak myślisz, dokąd poszła?

– Jedną chwileczkę... – odezwał się Brian, podnosząc ostrzegawczo dłoń.

– Nie wydaje mi się, żeby sama dokądś poszła. Myślę, że została porwana. – Chloe wskazała na pojemnik z humusem.

– Hej. – Do domu wszedł Paul. Starał się nie zdradzić, że ma zadyszkę, przez co jego twarz poczerwieniała. Po raz pierwszy miał zaróżowione policzki.

– To jest Brian – odezwała się Amy, chwytając swojego chłopaka za ramię.

– Hej – powtórzył Paul, machając do niego. Nadal starał się oddychać normalnie. O dziwo, ubranie Paula wyglądało nienagannie. Oczywiście Puma zaprojektowała ten strój z myślą o – biegaczach, lecz mimo to...

– Mama Chloe została uprowadzona – poinformowała go Amy. – Zastanawiamy się, jak ją znaleźć.

– Nic takiego nie robimy – wtrącił się Brian, wyraźnie poirytowany. Zachowywał się teraz jak ktoś znacznie starszy od Chloe i jej przyjaciół. – Wy dwoje zostajecie oficjalnie odsunięci od tej sprawy. Wydawało mi się, że jasno to napisałem.

– Och, nagle Pan Ciacho stanął na czele całej operacji – warknęła Amy, opierając ręce na biodrach i wysuwając buntowniczo podbródek. – Skąd ty się, u diabła, wzięłeś? To my przyjaźnimy się z Chloe od zawsze.

– Doceniam to – syknął Brian przez zaciśnięte zęby – ale Chloe znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Została wplątana w rzekome morderstwo. Jedna grupa chce ją dopaść, a druga za wszelką cenę chronić. Teraz jeszcze porwano jej matkę. Powinniście wiedzieć, że to nie jest miejsce dla was.

–Ja też tu jestem, ludzie – mruknęła Chloe.

– Dlaczego sądzisz, że nadajesz się do roli detektywa i ochroniarza? – Amy zbliżyła się do Briana i chociaż była od niego niższa o głowę, nie traciła animuszu. Paul nadal walczył z zadyszką, obserwując w milczeniu całą tę scenę.

– Brian jest... był... a może nadal jest – zaplątała się Chloe, spoglądając na niego członkiem Bractwa Dziesiątego Ostrza.

– To te zbiry, które próbują cię zabić? – odezwał się wreszcie Paul.

– Tak, ale uratował mi życie, wtedy na moście...

– Skąd wiesz, że nie gra na dwa fronty? – przerwała jej Amy.

– Nie gram – odezwał się Brain.

– Nie wiem – przyznała Chloe.

– Nie wygląda na zdrajcę – powiedział Paul.

– Szybko zmieniasz zdanie – zaatakowała go Amy. – Wydawało mi się, że to Alekowi ufasz.

– Przestańcie! – krzyknęła w końcu Chloe. Brian najwyraźniej wiedział, co robi, i miał niezłe pojęcie o tym, co jest dla nich wszystkich najlepsze. Problem w tym, że jej przyjaciele nie zamierzali go słuchać. – Kłótnie pomiędzy naszą czwórką, reprezentującą trzy różne grupy, w niczym nam nie pomogą. Jeśli będziemy tu stać jak kołki, ktoś w końcu przyjdzie i zrobi z nami porządek.

– W jakiej my jesteśmy grupie? – zapytał Paul.

– Niewinnej – odparła Chloe, zaciskając zęby. Amy zaczęła coś mówić, lecz Chloe nie pozwoliła jej dokończyć. – Daj spokój, przecież wiesz, że mam rację. Nie ma powodu, żebyście narażali życie. Z tego, co zrozumiałam, Bractwo nie krzywdzi ludzi, a Mai nie lubią zwracać na siebie uwagi. Możecie więc pomóc nam w śledztwie, nie wychodząc z domu. Amy i Paul patrzyli na nią nierozu-

miejącym wzrokiem. – Tak jak Wyrocznia w *Batmanie* dodała rozpaczliwie – albo Willow w *Buffy*, zanim jeszcze pojawiły się u niej czarodziejskie moce, albo Pete z *Tajemnic Smalhille*.

– Super – powiedział Paul, nagle uspokojony. Amy miała niepewną minę, lecz w końcu kiwnęła głową. *Trochę to wszystko naciągane* – pomyślała Chloe, ale nie mogła znaleźć lepszej roli dla swoich przyjaciół. Nie zamierzała brać na siebie odpowiedzialności za krzywdę kolejnych osób, które kochała.

– Możemy ci pomagać na różne sposoby – zaprotestowała słabo Amy.

– Nie jesteście wyćwiczeni jak członkowie Bractwa ani nie macie zdolności Mai – zauważył Brian. – Jeśli staniecie do prawdziwej walki, możecie zginąć. Musicie pamiętać, że to nie jest zabawa.

– Przejrzyjcie gazety z ostatnich dwóch tygodni – odezwała się Chloe, zanim Amy zdążyła nawrzeszczyć na Briana. *Ten chłopak ma dobre zamiary, ale zachowuje się tak, jakby traktował wszystkich z góry*. Zastanawiała się, czy nauczył się tego od ojca, a jeśli tak, to jak temu człowiekowi udało się zachować kontrolę nad swoją organizacją. – Musimy sprawdzić, czy pojawiła się w nich jakakolwiek wzmianka o zaginionej osobie, znalezionym ciele, kimś, kto trafił do szpitala... – Nie musiała dodawać „lub kostnicy”. Po wyrazie twarzy Amy widziała, że i tak to do niej dotarło.

– Czy mamy pojęcie, kto ją porwał? – zapytał Paul.

Chloe popatrzyła bezradnie na Briana.

– Na tym etapie mogli to być równie dobrze Mai, jak i Bractwo – odparł, wzruszając ramionami. – I jedni, i drudzy mają swoje powody.

– Dlaczego uważasz, że to mogli być Mai? – zdziwiła się Chloe. – Po co mieliby porwać moją mamę?

– Bo to właśnie ona najsilniej wiąże cię ze światem zwykłych ludzi. – Brian wiedział, że mówienie o tym w obecności dwojga najlepszych przyjaciół Chloe jest ryzykowne, lecz i tak musiał to zrobić. – Jeśli sądzili, że przejdziesz na ich stronę...

– Co masz na myśli? Mieszkam z nimi. Należymy do jednej rasy. Mai są moimi krewnymi, chcą mnie lepiej poznać i obronić przed, jak ich nazwałeś, zwykłymi ludźmi, bo to właśnie oni próbują mnie zabić!

– Mówię tylko, że nie powinniśmy wykluczać takiej możliwości – powiedział ze spokojem Brian. – Jak sama zauważyłaś, Mai za wszelką cenę bronią swojej rasy.

– To, co mówisz, nie ma sensu, Brianie – odezwała się niespodziewanie Amy, zanim Chloe zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Mai nie mają powodu, żeby przetrzymywać panią King. Do czego byłaby im potrzebna? Dlaczego nie mieliby jej po prostu... – popatrzyła na Chloe, niechętnie zmuszając się do wypowiedzenia kolejnych słów – zabić? Wtedy Chloe nie miałyby dokąd wrócić i musiałyby z nimi zostać.

– Nigdy by tego nie zrobili – powiedziała wolno Chloe. – Może i chcą, żebym z nimi została, ale byli wobec

mnie bardzo opiekuńczy i... – Sama nie wiedziała, jak to określić.

Przyjemnie było grać w szachy i jeść pizzę z kimś, kto zastępował jej ojca, spędzać czas z ludźmi, którzy od razu ją zaakceptowali, nie miewali humorów i nie umawiali się na randki z jej najlepszym przyjacielem. Przyjęli ją do siebie bez stawiania warunków. Od razu stała się częścią Stada.

Była jeszcze jedna rzecz, o której nie zamierzała na razie nikomu mówić. Mai byli doskonałymi tropicielami. Chloe zamierzała po swoim powrocie opowiedzieć Siergiejowi o tym, co się stało. Może i nie będzie tym zachwycony, lecz z pewnością przydzielili jej kilku *kizekhów* do pomocy, aby wysledzić mamę i w razie potrzeby odbić ją z rąk porywaczy.

– W porządku. – Paul nie wyglądał na przekonanego, ale najwyraźniej wolał nie drażnić tego tematu. Twarz Briana nie zdradzała żadnych emocji. – Nie znaleziono ciała pani King, a przecież porwano ją jakiś czas temu.

– Zawiesił głos. – Wydaje mi się jednak, że żadnej ze stron nie powinno zależeć na tym,

by ukryć przed tobą zniknięcie mamy. Czy powinniśmy wiedzieć o kimś jeszcze? Kimś, kto mógł porwać twoją mamę z całkiem innego powodu?

– No tak, jasne – skrzywiła się Amy. – Bo przecież dwie sekretne organizacje, które mają wobec Chloe nie wiadomo jakie zamiary, to dla ciebie za mało, prawda, Paul?

– Zastanawiałem się tylko, kto jeszcze mógłby być zainteresowany porwaniem pani King odparł Paul.

– I co wymyśliłeś? – zapytała Chloe. Amy szeroko otworzyła oczy.

– Twój tata!

– Nie miałem na myśli jego. – Pokręcił głową Paul.

– Po co miałyby wracać po tylu latach i porywać panią King? Nie pamiętam, żeby zachowywał się jak psychopata.

– Zgadzam się z Paulem, Amy – wtrąciła Chloe, odsuwając od siebie wszystkie niewiarygodne teorie, i spojrzała na komórkę. – Słuchajcie, muszę już iść. Niestety bateria w mojej komórce niedługo padnie, więc nie będę mogła się z wami skontaktować.

– Tym akurat nie musisz się martwić – powiedziała Amy z szerokim uśmiechem. Wsunęła rękę do przepastnej kieszeni różowego futerka i wyjęła z niej błyszczący nowością gadżet. Mam też ładowarkę. Proszę.

– Kim ty jesteś, Q z *Jamesa Bonda*? – zdziwiła się Chloe. – Co to właściwie jest?

– Walkie-talkie – wyjaśniła z dumą Amy. – Drugie zostanie u nas. Jeśli nie będziesz go wyłączać, nigdy nie stracimy kontaktu, a na dodatek nikt nas nie wyśledzi.

– Wow. Musiały być drogie.

– Niezły model – odezwał się z podziwem Brian, zerkając Chloe przez ramię. Nowocześniejsze od tych, które sprzedaje mój tata. Czy przypadkiem nie są wyposażone w...

Paul wymierzył mu kuksańca. Chloe zaczerwieniła się

na myśl o tym, ile pieniędzy musieli wydać jej przyjaciele.

– Dzięki – powiedziała, usiłując się nie rozplakać. –
Naprawdę jesteście moją grupą wsparcia. Nawet jeśli –
spojrzała z uśmiechem na Amy – ubierasz się jak zdzira.

ROZDZIAŁ 21

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie mostu, Chloe poprosiła Briana, żeby przestał ją śledzić. Nie chciała go zaprowadzić do domu Siergieja, chociaż sądząc po reakcji Briana, Bractwo Dziesiątego Ostrza wiedziało o siedzibie Mai więcej, niż był skłonny przyznać. Brian dotrzymał słowa i chociaż Chloe często się zatrzymywała, by powęszyc, i nasłuchiwała kroków, nie zauważyła śladu po nim. W pewnym momencie odwróciła się i pobiegła za Brianem, by upewnić się, że zmysły jej nie zawodzą, i rzeczywiście, szedł przez most, wracając tam, skąd przyszedł. W połowie drogi zatrzymał się i odwrócił, być może w nadziei, że zobaczy Chloe. W końcu wcisnął ręce do kieszeni i resztę mostu pokonał przygarbiony, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie przypominał milczącego, doskonale wyszkolonego żołnierza elitarnego bractwa, lecz zawiedzionego bohatera, który wie, że powinien pilnować Chloe.

Widząc go w takim stanie, Chloe poczuła w żołądku silny ucisk. Ledwie powstrzymała się przed tym, by go dogonić i przytulić. Miała tę scenę przed oczami: chwyciłby ją w ramiona i podniósł, a później opuścił powoli z powrotem na ziemię, chwycił za podbródek i pocałował. Tylko że w tym momencie marzenie się rozpląwało...

Nic takiego nie mogło i nie miało się wydarzyć. Jednak patrząc za odchodzącym w stronę centrum San Fran-

cisco Brianem, Chloe wiedziała też, że nie może się z nim tylko przyjaźnić.

Kocham cię, Chloe.

Po raz ostatni odtworzyła w pamięci słowa Briana, zanim ruszyła w stronę domu Siergieja.

Siergiej siedział w swoim biurze z Igorem, Olgą i kilkoma wysoko postawionymi Mai.

– Siergieju? – Chloe posłała zgromadzonym w pokoju osobom przepaszające spojrzenie, chociaż nie było ono tak do końca szczere.

– Witaj, Chloe – odparł serdecznie. – Jesteśmy teraz trochę zajęci...

– Moja mama zniknęła.

Wszyscy siedzący po przeciwnej stronie biurka popatrzyli po sobie w zdumieniu. Siergiej uniósł pytająco brwi.

– Wymknęłam się do miasta – przyznała Chloe, wchodząc głębiej do pokoju. Było jej trochę wstyd, ale szczerść wydawała jej się w tym przypadku najlepsza. Miała przed sobą armię ludzi, którzy stali po jej stronie i mogli jej pomóc. Byli odpowiednio przeszkoleni, potrafili tropić i odnajdywać ludzi. – Poszłam się spotkać z przyjaciółmi, Amy i Paulem martwili się o mnie. – Starła się nie patrzeć na twarz Siergieja, bojąc się, że zobaczy rozczarowanie. – Podejrzewali, że moja mama gdzieś zniknęła. Nasz dom wydawał się od jakiegoś czasu niezamieszkały i nikt nie odbierał telefonu. Poszłam tam i... – Wszyscy w pokoju zamarli. – Najwyraźniej ktoś ją porwał

kilka dni temu, być może tuż po mojej przeprowadzce tutaj.

W pokoju rozległy się szept i ciche rozmowy. Olga posłała Chloe współczujące spojrzenie. Siergiej przygryzł wargę.

– Bardzo mi przykro, Chloe. – Sprawiał wrażenie zasmuconego, ale nie zaskoczonego.

– Musimy coś zrobić – powiedziała Chloe, starając się zignorować słyszalny w jego głosie ton rezygnacji. – Możliwe, że moja mama wciąż żyje. Wytropimy tego, kto ją porwał... tak jak podczas polowania.

– Obawiam się, że nie możemy. – Siergiej wlepił wzrok w biurko, jakby spodziewał się tej prośby lub musiał już wcześniej odrzucić podobne. – Jeśli chcesz, zadzwoń na policję z któregoś z naszych prywatnych telefonów i poinformuj ich o tym, co się stało. My nie możemy się w to mieszać.

– Ale przecież chodzi o moją mamę – powiedziała zrozpaczona Chloe, starając się wymyślić jakiś sposób, żeby go przekonać. – Kobieta, która mnie wychowała i pilnowała, żebym była bezpieczna, dopóki mnie nie znaleźliście.

– Chloe, wszystkim nam jest przykro – zapewnił ją Siergiej – ale nie mogę ryzykować życiem *kizekhów*. Ledwie wystarcza ich do ochrony Mai. Poza tym nie możemy polować na ludzi w środku miasta. Bractwo Dziesiątego Ostrza byłoby zachwycone, gdybyśmy rozpierzchli się po całym San Francisco – wreszcie mieliby powód, żeby

wytoczyć przeciwko nam cięższe działa. Nie mówiąc już o tym, co by było, gdyby sprawą zainteresowała się policja. Przykro mi, Chloe, nie możemy podjąć takiego ryzyka, szczególnie dla człowieka.

Postawa, jaką przyjął, żeby uciąć ich dyskusję, zderwowała Chloe bardziej niż jego słowa.

– Ale przecież ten człowiek jest moją... matką – usiłowała się nie rozpłakać.

– Przykro mi, Chloe – powtórzył nieco bardziej życzliwie. – Jest nas za mało. To okropne, że musimy być tacy samolubni, by przetrwać, ale nie mamy innego wyjścia.

Chloe popatrzyła na resztę zgromadzonych w pomieszczeniu Mai, lecz większość odwróciła wzrok lub wlepiła go w podłogę. Tylko Olga otwarcie na nią patrzyła, ze współczuciem i smutkiem.

Chloe chciała się odplącić Siergiejowi sarkastyczną uwagą o tym, że nie byli prawdziwą rodziną. Zrozumiała jednak, że jeśli otworzy usta lub zostanie tam choćby pół sekundy dłużej, zacznie płakać. Ruszyła więc w stronę wyjścia, starając się nie biec.

Za jej plecami Siergiej głośno westchnął.

– Poproście Ellenę i Dimitriego, żeby ją znów śledzili. Ta dziewczyna napyta sobie biedy.

Chloe nie od razu poszła szukać guza.

Najpierw zadzwoniła do domu Ilychovichów i zostawiła wiadomość. Nic więcej nie mogła zrobić. Z tego, co wiedziała, Alek nie miał komórki, a przecież

powinna wiedzieć, prawda? Później przez jakiś czas włóczyła się po domu bez celu, starając się nie odsłuchiwać zbyt często poczty głosowej, i marzyła o tym, by Alek jakimś cudem do niej oddzwonił lub przyjechał do Firebirda. W końcu zawędrowała do biblioteki, ciemnej, pustej i cichej, gdzie mogła spokojnie wszystko przemyśleć. Podeszła do okna, usiadła na parapecie i wyjrzała przez szybę.

Była piękna, niesamowicie jasna noc, jak z obrazu lub *Opowieści z Narnii*. Niebo miało głęboki granatowy kolor, srebrny księżyc idealnie połyskiwał, gdy obserwowała go spod przymkniętych powiek. Wielki szmaragdowy trawnik mienił się jaskrawą czernią.

Chloe nie opuszczała domu w ciągu dnia dopiero od tygodnia, lecz miała wrażenie, że upłynęło dużo więcej czasu, może nawet całe życie. Czuła się dziwnie wyalienowana, jakby nie rozumiała porządku otaczającego ją świata, do którego nagle przestała należeć. Było jej trochę głupio. Życie w niczym nie przypominało telewizji, a rzeczywistość, do której trafiła, nie była bajką. Nikt nie mógł jej zapewnić szczęśliwego zakończenia, nawet starożytna, sekretna rasa ludzi przypominających lwy i łączących się w Stada. Superbohaterzy nie istnieli.

Dlaczego założyła, że skoro Mai dysponowali nadludzkimi zdolnościami, pomogą jej słabszej, bezbronnej i przede wszystkim niewinnej matce? Rozumiała ich tłumaczenie: populacja Mai była niewielka, tak samo jak misiów panda. Utrata nawet jednej pandy oznaczała problem

dla całego gatunku.

Siergiej nie zgodził się pomóc Chloe. Czyżby jej nie... No cóż, skoro jej nie kochał, to czy przynajmniej się o nią troszczył? Nie zależało mu na tym, by ocalić kobietę, która dbała o bezpieczeństwo Chloe – należącej przecież do Stada – póki do nich nie dołączyła? Czy nie mógł się zdobyć na tę jedną przysługę?

Księżyc wolno sunął po niebie. Zbliżała się północ, a Chloe obserwowała cienie na trawie, które bezustannie rosły i zmieniały swój kształt.

Chloe nadal siedziała w oknie, gdy kilka godzin później zakradła się do niej Kim z teczką pełną papierów i zdjęć. Miała na sobie długi, czarny sweter z golfem i sięgającą do ziemi spódnicę tego samego koloru. Przypominała starożytną kapłankę z kocimi uszami – całkiem seksowną, jak zauważyła Chloe.

– Przyniosłam trochę zdjęć twoich krewnych... A przynajmniej osób, które mogą być z tobą spokrewnione.

– Wydawało mi się, że nie chcesz na ten temat rozmawiać.

Kim westchnęła cierpliwie, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi, lecz nie czuła potrzeby, by przeprosić Chloe.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Kim zamrugała i dotknęła swojego nosa.

– Oczywiście. – Chloe ponownie skierowała wzrok za

okno. – Moja mama zaginęła. Miałaś rację, mówiąc, że moi „ludscy rodzice” są w niebezpieczeństwie.

– Przykro mi.

– Siergiej, Olga i reszta nie kiwną palcem. Nie mogę liczyć na ich pomoc. Nie chcą ryzykować życiem *ki-zekhów*. – Uderzyła pięścią w ramę okna. – A co ja mogę zrobić? Jeśli spróbuję stąd wyjść, goryle Siergieja ściągną mnie z powrotem, dla mojego „bezpieczeństwa”. Jeśli zdołam uciec i znajdę się w pobliżu domu bez armii wojowników, dopadnie mnie Bractwo Dziesiątego Ostrza... – zawiesiła głos. – Chyba mogłabym zadzwonić na policję, tak jak radził Siergiej. To jedyne wyjście.

– Ja ci pomogę – powiedziała Kim.

– Co takiego? – Chloe popatrzyła na nią ze zdumieniem. Właściwie nawet nie zwracała się do Kim, tylko głośno myślała.

– Pomogę ci. Jestem tu najlepszym tropicielem. Wrócimy na miejsce porwania i poszukamy jakiejś wskazówki. – Powiedziała to tak spokojnym tonem, że Chloe przestraszyła się, że żartuje. Nie żeby Kim miała poczucie humoru.

– Mówisz poważnie? – zapytała wolno Chloe. Kim pokiwała głową.

– Mogę zmylić goryli. To jak, chcesz obejrzeć te zdjęcia?

Wyglądało na to, że Kim uznała temat za skończony. Podjęła już decyzję. Chloe przyglądała jej się przez chwilę.

– Bardzo się cieszę, że chcesz mi pomóc, ale muszę

zapytać, dlaczego to robisz.

– Jesteś moją przyjaciółką – odparła Kim, wzruszając ramionami. – Poza tym wierzę, że Alek też nam pomoże, jeśli go o to poprosisz. Tylko że ja, w przeciwieństwie do niego, nie będę oczekiwała od ciebie fizycznych przejawów wdzięczności.

Chloe niespodziewanie zaniósł się śmiechem, tak jak wtedy, gdy Alek rozbawił ją na szkolnym korytarzu. Miała wrażenie, że od tamtej chwili dzieliły ją lata świetlne. Miło było się tak beztrosko śmiać.

Wyciągnęła rękę po zdjęcie.

– Pokaż, co tam masz.

– Ta kobieta w tle i tutaj, na pierwszym planie, była przywódczynią Stada przed Siergiejem i możliwe, że również twoją matką.

Chloe wzięła od niej pogiętą i zniszczoną fotografię, w której rogu było widać ślady po filiżance. Kobieta na zdjęciu nie była tak ładna jak Chloe, lecz miała podobne kości policzkowe i wykrój ust. Oczy przywódczyni były o odcień ciemniejsze niż u Chloe, a przynajmniej tak wyszły na zdjęciu. Kobieta miała szersze czoło i grube, ciemne włosy, które spływały z jej ramion i zakrywały piersi. Śmiała się całą sobą – odrzuciła do tyłu głowę, oparła ręce na biodrach i otworzyła szeroko usta, odsłaniając idealnie białe zęby. Wokół jej oczu widniały głębokie zmarszczki, jakby doświadczyła w życiu więcej, niż wskazywałby na to jej wiek.

– Obie moje mamy przez całe życie pomagały innym –

powiedziała Chloe.

– Co masz na myśli?

– Moja adopcyjna matka pracuje jako prawniczka w prywatnej kancelarii, ale często udziela porad prawnych ludziom, których nie stać na adwokata, przede wszystkim kobietom z ośrodka dla ofiar przemocy domowej w Mission District.

– Pewnie jest dobrym człowiekiem.

– To prawda. – Chloe uśmiechnęła się blado. – Dzięki, że nie powiedziałaś „była”.

Kim popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem. Chloe zastanawiała się, w jakim stopniu przemiana w istotę bardziej przypominającą kota niż człowieka wpłynęła na umysł tej dziewczyny.

– Skąd wiedziałaś, że mojej mamie może grozić niebezpieczeństwo? – zapytała Chloe. Kim po raz kolejny wyglądała na skrepowaną. – Wystarczyło się nad tym zastanowić – odparła. – Po pierwsze, była dla Bractwa idealną przynętą na ciebie.

– A po drugie?

– Skoro zadajesz to pytanie, doskonale zdajesz sobie sprawę z możliwej odpowiedzi. Chloe wiedziała, że więcej z niej nie wyciągnie, więc wróciła do przeglądania zdjęć.

– Moja przyjaciółka Amy zasugerowała, że porwanie wcale nie musi mieć związku z Mai i Bractwem Dziesiątego Ostrza – powiedziała. – Mój tata odszedł, kiedy byłam bardzo mała.

Zdaniem mamy stopniowo zaczęło mu odbijać. Ich rozstanie trudno nazwać przyjacielskim.

– Nie sądzę, żeby mógł to zrobić. Brzytwa Ockhama – najprostsze wyjaśnienie jest zwykle tym właściwym.

– Tak, ja też tak sądzę – odparła Chloe, wzdychając ale miło było o nim znów pomyśleć. Zastanawiałam się, co teraz robi... – Pokręciła głową. – Nie poznałam go zbyt dobrze. W dzieciństwie uważałam go za superbohatera i najlepszego tatę pod słońcem, a później za dupka, który nas zostawił. Oczywiście przez długi czas obwiniałam o to mamę. – Chloe zmarszczyła brwi, przypominając sobie ich kłótnię tamtej nocy, kiedy odkryła, że ma pazury.

– W końcu okazało się, że jednym z powodów ich rozstania byłam ja... Mieli zupełnie inne poglądy na wychowanie dzieci. Najwyraźniej mój ojciec był przesadnie surowy i nie pozwalał mi na wychodzenie z domu ani na randki.

– Przeniosła spojrzenie z fotografii na Kim. – Zanim odszedł, kazał mamie obiecać, że nie pozwoli mi się z nikim umówić.

Kim doszła do tego samego wniosku co Chloe.

– Czy twoi rodzice wiedzieli, kim jesteś?

– Mama nie – odparła z przekonaniem Chloe. Temat pazurów i kuwet jakoś nie pojawił się podczas rozmów o tamponach i lekach rozkurczowych. – Ale jeśli mój ojciec wie?

– Wówczas zniknięcie twojej mamy staje się jeszcze bardziej skomplikowane. Jestem pewna, że poza człon-

kami Bractwa Dziesiątego Ostrza mało kto o nas wie.

– Taka wiadomość od razu trafiłaby na pierwsze strony gazet – przyznała jej rację Chloe.

– Może twój ojciec też był Mai? – zastanawiała się na głos Kim.

– No chyba nie. Musieli przecież uprawiać seks.

– Ach, tak, oczywiście – powiedziała Kim, czerwieniąc się i wróciła do przeglądania zdjęć.

– A więc wychowywałaś się bez ojca... – dodała z namysłem. – Już rozumiem, dlaczego tak szybko przywiązałaś się do Siergieja.

– Co to miało znaczyć? – oburzyła się Chloe.

– Wyłącznie to, że Siergiej jest charyzmatycznym, czarującym i silnym przywódcą, który idealnie nadawałby się na ojca. Dodam jeszcze, że jemu ta rola bardzo odpowiada. Przywiązywał się już do innych sierot.

Czyżby Kim usiłowała wzbudzić w niej zazdrość? To nie miałoby sensu, chyba że Kim sama należała do sierot, które zostały odsunięte na boczny tor, kiedy w domu zjawiała się Chloe lub inna osoba, na przykład Igor. Siergiej niewątpliwie był dla niego wzorem do naśladowania. Może Chloe powinna potraktować słowa Kim jak ostrzeżenie?

– Czy ciebie też wziął pod swoje skrzydła?

– Tak – przyznała z wahaniem Kim. – Kiedy się tu zjawiłam.

– Co się później stało? Wydaje się, że za nim nie przepadasz.

– Nic się nie stało. Od początku go nie lubiłam – od-

parła Kim, wzruszając ramionami. Sieroty nie mogą sobie pozwolić na wybrzydzenie – cieszą się, że ktoś w ogóle je przygarnął. Nie polubiłam Siergieja, było w nim coś... niepokojącego. W ten sposób zostałam wychowana przez wszystkich i przez nikogo.

Chloe zastanawiała się nad tym, co usłyszała, bębniąc palcami po fotografiach. Kim przekazała jej mnóstwo informacji, z którymi nie bardzo wiedziała, co zrobić. Siergiej lubił się opiekować sierotami i zastępował im ojca – co w tym złego? To było nawet miłe, a Kim rzeczywiście była odmieńcem – może po prostu odrzucała autorytety. Możliwe, że ona i Siergiej reprezentowali dwa zupełnie różne typy osobowości, które starły się ze sobą... Lub też kryło się za tym coś więcej.

– Kto to? – zapytała Chloe, patrząc na znacznie nowsze zdjęcie, przedstawiające dwie uśmiechające się do obiektywu dziewczyny na szczycie wieżowca, prawdopodobnie Empire State Building. W tle było widać staroświeckie lunety na ćwierćdolarówki, przypominające gigantyczne srebrne głowy robotów, w dole rozciągał się zamazany miejski krajobraz.

Kim pochyliła się nad fotografią i odchrząknęła.

– Jedna z tych dziewczyn byłaby twoją siostrą, o ile słusznie domyśliłyśmy się twojego pochodzenia.

– Moją siostrą?

Chloe przysunęła zdjęcie bliżej oczu. Dziewczyna miała ciemniejszą skórę i wyglądała na starszą. Data na odwrocie fotografii wskazywała na to, że zdjęcie pochodzi

sprzed kilku lat, a dziewczyna wyglądała na nim na szesnasto–siedemnastolatkę. Miały jednakowy kolor włosów i podobny, nieco egzotyczny kształt oczu. Nos dziewczyny na zdjęciu był mniejszy niż Chloe. Wystawiła dwa palce zza głowy swojej przyjaciółki.

Dopiero po chwili Chloe pojęła sens słów Kim.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że „byłaby” moją siostrą?

– To właśnie ona zginęła przed kilkoma miesiącami z rąk Bractwa. Była córką przywódczyni Stada, czyli twoją siostrą – wyjaśniła cierpliwie Kim, przez co Chloe poczuła się jak idiotka. – Wydaje nam się, że zabił ją Łowca.

– Moja siostra – powtórzyła Chloe. Chociaż nic nie poczuła, patrząc na fotografię, brzmienie tego słowa wywołało u niej przyływ emocji.

– Dlaczego... – zaczęła i do oczu napłynęły jej łzy. To nie było fair. Przez całe życie marzyła o rodzeństwie, a okazało się, że miała siostrę, którą straciła ledwie kilka miesięcy przed tym, gdy wreszcie mogły się poznać. Cóż za okropna niesprawiedliwość.

– Z tego, co wiem, byliście do siebie podobne: lubiła wychodzić sama i przebywać w towarzystwie zwykłych ludzi. Kiedy zabito jej matkę, została odesłana do krewnych, członków Stada z Nowej Anglii.

– Tam również istnieje Stado? – zdziwiła się Chloe.

Kim wspominała wprawdzie o Stadzie z Nowego Orleanu, ale myśl o domach w stylu kolonialnym, białych świątyniach i ludziach kotach uganiających się po cichych,

wybrukowanych kocimi łbami uliczkach wydała się Chloe dziwna. *Chociaż od pewnego czasu nie potrafię już powiedzieć, co jest dziwne, a co nie* – pomyślała.

Kim tylko kiwnęła głową, bez dalszych wyjaśnień.

– Nie znałam jej zbyt dobrze. Została zabita nocą, z dala od domu. Była wtedy sama.

– Dzięki czemu łatwiej ją było dopaść – zauważyła posepnie Chloe. Słuchając Kim, doświadczyła czegoś w rodzaju *deja vu*. Być może śniła jej się kiedyś przerażona dziewczyna uciekająca ulicami pogrążonego w ciemności miasta, którą w końcu złapano i poderżnięto jej gardło.

– Tak... Chociaż to, że mógł ją zabić Łowca, daje do myślenia – powiedziała Kim, spoglądając ponownie na zdjęcie. – Skoro wysłali za nią kogoś takiego jak on, musiało im zależeć, by ją dorwać, co oznacza, że jakimś cudem dowiedzieli się, że jest córką przywódczyni Stada.

– Myślisz, że wiedzą o mnie? – zapytała Chloe słabym głosem.

– Nadal nie mamy dowodów na to, że jesteś tą, za którą cię uważamy – odparła ostrożnie Kim. – Zakładam, że oni wiedzą jeszcze mniej.

Chloe wyobraziła sobie swojego napastnika polującego na tę drugą dziewczynę, która nie mogła liczyć na pomoc Aleka czy Briana. Być może brakowało jej instynktu walki i dlatego zginęła od świszczących w powietrzu pocisków i srebrnych sztyletów.

– Skąd właściwie wzięła się nazwa Bractwa Dziesiątego Ostrza? – zapytała Chloe.

- Przywódca Stada ma dziewięć żyć – wyjaśniła Kim.
- Potrzeba dziewięciu ostrzy, żeby go zabić. Dziesiąte jest dla członka Bractwa, jeśli mu się nie uda.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy już ustaliły wstępny plan przeszukania domu następnej nocy i Chloe wreszcie położyła się do łóżka, w jej głowie kłębiły się tysiące różnych myśli. Właśnie odpływała w sen, ze zdjęciami swojej domniemanej matki i siostry rozłożonymi na kołdrze, gdy w pokoju zjawił się Alek.

– Pst, Chloe? – Zapukał delikatnie do drzwi, zanim je otworzył.

Chloe ocknęła się i natychmiast usiadła.

– Gdzie byłeś?

– Co? – Na widok jej niezadowolenia Alekowi zrzędała mina.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić na domowy numer...

– Byłem na imprezie – wymamrotał, lekko zawstydzony tym, że dobrze się bawił, podczas gdy Chloe musiała siedzieć w czterech ścianach.

– Dlaczego nie masz komórki? – Naskoczyła na niego Chloe.

– Mam, to znaczy miałem. Zaczęło do mnie wydzwaniać zbyt wiele osób, więc praktycznie przestałem z niej korzystać – wyjaśnił.

– Porwano moją mamę. I być może zabito. – Położyła się z powrotem, starając się opanować drżenie głosu.

Alek podszedł do łóżka, usiadł obok Chloe i objął ją

ramieniem.

– Jestem pewien, że to nieprawda.

– Wprost przeciwnie. Poszłam się spotkać z Amy i Paulem. – Wiedziała, że powinna była dodać „i Brianem”, ale nie czuła się na siłach, żeby zmierzyć się z reakcją Aleka. Powiedzieli mi, że nasz dom od jakiegoś czasu stoi pusty. Poszłam tam i odkryłam, że od tygodnia nie było w nim mojej mamy. Musiała zniknąć tuż po tym, jak się tu wprowadziłam.

Alek przytulił Chloe i odczekał chwilę, nim zadał potencjalnie niebezpieczne pytanie:

– Poszłaś do domu? Mimo że ostatnim razem zostałam zaatakowana?

– Co byś zrobił, gdyby chodziło o twoją mamę?

– Poszedłbym do Siergieja, zebrałbym ludzi i...

– Siergiej nic nie robi, bo moja mama jest człowiekiem.

– Ach tak. – Alek wydawał się tym faktem zaskoczony. – A to dupek.

Być może cała ta międzyrasowa nienawiść dotyczy wyłącznie starszego pokolenia pomyślała z nadzieją Chloe.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zapytał cicho Alek. – Poszedłbym z tobą. Wiesz, jak lubię łamać zasady.

– Musiałam to załatwić sama. – *Poza tym głupio byłoby cię ze sobą ciągnąć na spotkanie ze swoim drugim chłopakiem.* – Alek – powiedziała, wzdychając – każdego dnia idziesz do szkoły i robisz normalne rzeczy z normalnymi ludźmi w normalnym świecie, a ja tkwię tu

od rana do wieczora, dzień po dniu, z dala od mojej mamy, przyjaciół i całej reszty. Jestem tu uziemiona.

– Kim chyba to nie przeszkadza – zauważył z uśmiechem Alek.

– Bardzo ją lubię, ale Kim rzeczywiście jest inna. – Chloe przeciągnęła dłonią po grubych blond włosach Aleka. – Zaproponowała, że wróci ze mną do domu i razem poszukamy jakichś – śladów.

– Pójdę z wami – powiedział Alek, całując Chloe w bok głowy, tuż nad uchem. – Chrzanić Siergieja. Chodzi przecież o twoją mamę. Hej – odezwał się wesoło, prostując się i wlepiając wzrok w Chloe – jeszcze nigdy nie widziałem cię takiej rozebranej!

Chloe spojrzała w dół i odkryła, że to, co ma na sobie, jest kompletnie nieseksowne: para za dużych bokserek w niebieskie paski – Olga przysięgała, że są nowe – i wygodny męski podkoszulek z tak obszernym otworem na głowę, że zsuwał jej się z ramienia. Poza tym niewielkim kawałkiem nagiego ciała Chloe nie czuła się „rozebrana”.

– Chyba żartujesz – powiedziała, wystawiając rękę, żeby go powstrzymać. – Nie patrz na mnie, wyglądam jak wiedźma.

– Seksowna wiedźma. Studentka, która zrobiła sobie wolne od nauki. – Alek zrobił unik i pocałował Chloe w brzuch. – Bibliotekarka w domowych pieleszach. Nie masz przypadkiem okularów?

– Zamknij się, Alek. Daj spokój! – Próbowwała przestać

chichotać. Jej mama zaginęła, ona sama spotykała się z dwoma chłopakami i nie mogła nikomu ufać. – Mówię poważnie.

– Jak na porządną bibliotekarkę przystało. Chloe, dziś w nocy wokół twojego domu będzie się roiło od agentów Bractwa, bo na pewno zostałeś zauważona. Jutro wieczorem ty, ja i dziwadło pójdziemy sprawdzić, co się tam stało. OK?

– OK – zgodziła się niechętnie Chloe.

Alek uniósł jej koszulkę na brzuchu i lekko zsunął bokserki. Chloe zadrżała, czując na skórze dotyk jego ust. Bała się i jednocześnie nie mogła się doczekać następnego ruchu.

Tymczasem Alek zassał powietrze w pępku Chloe, jak ryba, i gwałtownie je wypuścił, przytykając usta do jej skóry i wydając przy tym idiotyczny, pyrkający dźwięk.

– Alek! – poderwała się i uderzyła go w głowę poduszką.

– Chloe – powiedział już poważniej, całując ją – wszystko będzie dobrze, obiecuję.

A później naprawdę zaczął ją całować. Było im nawet lepiej niż wtedy, gdy zamknęli się razem w szkolnym schowku na szczotki. Alek przyciągnął Chloe do siebie, wsuwając jej rękę pod koszulkę. Poczowała końcówki pazurów wbijające się w jej skórę i przywarła do niego jeszcze mocniej.

– Alek! – Donośny męski głos wymówił to imię z rosyjskim akcentem. Siergiej stał w progu z rękami na

biodrach i gniewnym wyrazem twarzy, niesamowicie podobny do lwa. – Czy mam ustanowić godzinę policyjną we własnym domu?

– Hej, to także jej wina – odparł Alek z udawaną skargą w głosie, odsuwając się od Chloe jednym szybkim ruchem.

Chloe nie wiedziała, czy powinna krzyczeć, śmiać się czy płakać. To była klasyczna sytuacja, ale nigdy dotąd nie znalazła się w podobnej. Chociaż czuła się przerażona i zawstydzona, ogarnęło ją dziwne ciepło i nostalgia.

– Wynoś się stąd, Aleku Ilychovich – powiedział Siergiej, unosząc brew. W jego głosie również dało się wyczuć nutkę znużonego rozbawienia. Chloe miała przecucie, że to, na czym ich przyłapano, nie było tak naganne w oczach Siergieja, jak wymknięcie się z siedziby Firebirda. Oczywiście było złe, ale nie zaskakujące, i z całą pewnością nie łamało prawa.

Alek odważnie zasalutował Siergiejowi, posłał Chloe całusa i wyszedł z pokoju. Siergiej wydał z siebie głośne westchnienie, jakby przez cały ten czas wstrzymywał oddech.

– Istne utrapienie z tym chłopakiem – powiedział zmęczonym głosem.

Chloe zakryła usta, udając, że musi się podrapać w nos, i z całych sił próbowała się nie roześmiać.

– Przyszedłem, żeby cię przeprosić – dodał łagodniej Siergiej. Podeszedł do łóżka i usiadł na jego brzegu. – Na-

prawdę mi przykro, że nie możemy pomóc twojej matce. Powinniśmy zrobić wszystko co w naszej mocy dla kobiety, która cię adoptowała i wychowała na tak wspaniałą dziewczynę. – Niezgrabnie położył swoją kwadratową, mięsistą dłoń na dłoni Chloe. – Ale żyjemy w trudnych czasach... i Bractwo Dziesiątego Ostrza uwzięło się na ciebie. Nie chcę ryzykować życiem Mai, skoro zostało nas już tak niewielu. Rozumiesz mnie?

Kiedy patrzył na nią tymi wielkimi, błękitnymi oczami, w których malowała się dziecięca nadzieja, Chloe miała ochotę go przytulić i powiedzieć, że wszystko w porządku. Chciała, żeby tak było. Pragnęła wierzyć, że Siergiej miał jak najlepsze intencje.

Tylko że... *Kim go nie lubi. Dlaczego?* Chloe znowu zaczęła się nad tym zastanawiać. Szczerze mówiąc, Alek też za nim nie przepadał, a Olga zachowywała ostrożną neutralność. Jediną znaną Chloe osobą, która bezgranicznie podziwiała Siergieja, był Igor, jego protegowany. *To nie jest mój prawdziwy ojciec* – przypomniawszy sobie Chloe. *Gdzie, u diabła, podziwiał się Siergiej, kiedy musiałam się nauczyć jazdy na rowerze, nie mogłam zrozumieć mnożenia ułamków lub kiedy Scott Shannon odrzucił moje zaproszenie na szkolny bal i na moich oczach umówił się z Liz Braswell?*

– Rozumiem – powiedziała i była to po części prawda.
– Po prostu jest mi smutno i czuję się bezradna.

– Wiem o tym. – Pocałował ją w czoło. – Ale pamiętaj, że Bractwo Dziesiątego Ostrza nie krzywdzi ludzi. Jeśli to

oni zabrali twoją matkę, pewnie nic jej nie jest. Może tylko czuje się oszołomiona. Zależy im na tym, żeby cię zwabić, a nie skrzywdzić twoją mamę.

Chloe kiwnęła głową i nie wiadomo czemu, zebrało jej się na łzy.

– W porządku. – Siergiej poklepał ją po kolanie i wstał. – Rozegramy jutro partyjkę szachów? A może zjemy razem lunch?

– Wolałabym scrabble – odparła Chloe. Siergiej jęknął.

– Świetnie, gra sprawdzająca znajomość angielskiego. Po prostu chcesz ze mną wygrać, Chloe King. Niech będą scrabble. – Uśmiechnął się i wyszedł z pokoju na swoich długich, lecz zadziwiająco masywnych nogach. Od tyłu przypominał obcego ze *Star Treka*.

Układając się do snu, Chloe zauważyła leżące na kołdrze zdjęcia. Czy Siergiej też je zobaczył? Czy w ogóle by się nimi przejął? Czy powinna się martwić?

Długo zastanawiała się nad odpowiedzią, zanim wreszcie zasnęła.

ROZDZIAŁ 23

W dzieciństwie Brian wiedział o istnieniu sekretnych pomieszczeń w kapitularku Bractwa. Kiedy dorósł i dowiedział się więcej na temat działania organizacji, pokazano mu niektóre z nich.

Wiedział jednak, że musi ich być więcej.

Jeśli to Bractwo porwało mamę Chloe, musieli ją przetrzymywać w miejscu, o którym Brian nie miał pojęcia.

Jako dziecko rozrysowywał plany kapitularku i zaznaczał na nich miejsca, gdzie jego zdaniem znajdowały się pozostałe sekretne pokoje. Chociaż większość tych planów zniszczył jego ojciec, kilka z nich przetrwało w pudłach z pamiątkami i świadectwami. Tuż po powrocie ze spotkania z Chloe Brian odkopał je wszystkie i dokładnie przejrzał, wysilając pamięć i wyobrażając sobie z zamkniętymi oczami stary wiktoriański dom. Usiłował oszacować wielkości i odległości, a gdy już wydawało mu się, że jest gotowy, złożył wizytę w kapitularku.

Pani Chung wpuściła go do środka, uśmiechnięta i życzliwa jak zawsze. Była drobniutka, lecz prosta jak struna. Mimo podeszłego wieku miała na sobie strój kierowniczkowski sali z eleganckiej chińskiej restauracji i jak zwykle perfekcyjnie upięte włosy. Whit Rezza mógł kierować firmą projektującą i sprzedającą najnowocześniejsze systemy komputerowe, lecz nic nie mogło zastąpić czuj-

nego wzroku odźwiernego, który był uprzejmy, lecz stanowczy, życzliwy dla gości i znacznie lepiej niż komputer radził sobie z rozszyfrowaniem emocji wchodzących do budynku osób.

– Wszystko w porządku, Brianie? – zapytała pani Chung z taką miną, jakby miała ochotę uszczypnąć go w policzki niczym małego chłopca.

– Przechodzę coś w rodzaju kryzysu wiary, pani Chung – odparł Brian, wzdychając. Zdradził jej część prawdy, dzięki czemu było mniej prawdopodobne, że domyśli się, co mu chodzi po głowie, niż gdyby po prostu ją okłamał.

– Och, nic o tym nie słyszałam, ale jestem pewna, że wkrótce ci przejdzie. – Zawsze udawała, że nie ma pojęcia o tym, co się dzieje w domu, gdy ktoś – nawet członkowie Bractwa – próbował z nią na ten temat rozmawiać. Twierdziła, że to tylko prywatny klub, lecz Brian wątpił, by była tak naiwna.

– Dziękuję, pani Chung – powiedział, zdjął kurtkę i poszedł ją odwiesić.

Wiedział, że kamery i monitory mogą się znajdować wszędzie – znał lokalizację niektórych z nich. Postanowił więc zajrzeć w różne miejsca – zaczął od biblioteki, gdzie przywitał się z kilkorgiem starych członków Bractwa, którzy czytali książki lub rozmawiali. Przejrzał ostatni numer *Sports Illustrated* – nie licząc zamiłowania do przemocy, był to przecież prawdziwy prywatny klub. W końcu wstał i zapytał, czy nikt nie miałby ochoty na fi-

liżankę kawy lub herbaty. Wszyscy podziękowali.

Poszedł do kuchni, licząc kroki, i nalał sobie pełny po brzegi kubek kawy, co miało tłumaczyć, dlaczego tak wolno szedł. Ruszył w dół korytarza, w kierunku schodów, licząc kroki i starając się oszacować długość klatki schodowej.

Usiłował przy tym nie myśleć o Chloe, po części ze strachu, że mogłoby to mieć wpływ na skuteczność jego działań, lecz również dlatego, że wszystko to było zbyt skomplikowane.

Pięć, sześć, siedem, osiem... Osiem i pół kroku do schodów.

Po raz pierwszy przydzielono go do śledzenia Chloe jakiś rok temu – była adoptowanym dzieckiem, więc Bractwo podejrzewało ją o przynależność do Mai. Wcześniej wysledził kilkoro podobnych do niej – takich, którzy już wiedzieli o swoim dziedzictwie – i chociaż to nie do niego należało podjęcie decyzji o ich zabiciu, te osoby zawsze wydawały mu się dostatecznie inne, obce, by nie myślał o nich jak o ludziach. Poza tym, że byli silniejsi i sprawniejsi, dziwnie się poruszali. Czasami przekrzywiali głowy, wężąc za czymś, co całkowicie upodabniało ich do zwierząt. Pewnej nocy Brian dostrzegł w świetle ulicznej lampy twarz jednej z Mai i jej zwężone jak u kota żółte oczy.

Chloe była zwyczajną nastolatką. No, nie do końca normalną. Nigdy nie należała do szkolnej elity, ale nie przeszkadzało jej to. Miała niesamowite podejście do pracy

– rzadko widywało się ludzi w jej wieku, którzy byliby tak oddani marnemu zajęciu. Chloe często zjawiała się w Pateenie przed czasem i zostawała dłużej, żeby pomóc właścicielce zamknąć sklep, bez narzekania lub żądania zapłaty za nadgodziny.

Bractwo kazało mu się do niej zbliżyć, żeby lepiej ją zrozumieć i dowiedzieć się, jak bliska jest odkrycia swojej tożsamości. Brian zrobił to, co do niego należało.

Pierwsze „przypadkowe” spotkanie zaaranżował w Pateenie, gdzie pracowała. Nie mógł nic poradzić na to, że z miejsca ją polubił: Chloe była zabawna, pełna życia, śliczna i miała w sobie to coś, czego Brian nie potrafił do końca określić. Pewien rodzaj energii, werwy, która sprawiała, że miał ochotę wszędzie jej towarzyszyć i robić to samo co ona, by nie przegapić czegoś wspaniałego.

Nie liczył jednak na to, że i Chloe go polubi.

Musiał zdecydować, co jej powie. Musiał wybrać pomiędzy zdradzeniem Chloe a zdradzeniem własnego ojca, sposobu, w jaki został wychowany, wszystkich ludzi, których znał od dziecka, całego swojego dotychczasowego życia. W końcu podjął połowiczną decyzję, by przyjść Chloe na ratunek podczas walki z Łowcą na moście Golden Gate, o niczym jej wcześniej nie informując. Nie żeby istotnie potrzebowała jego pomocy.

Zresztą i tak schrzanił sprawę. Chociaż członkowie Bractwa rzeczywiście czekali zaczajeni w Marin Headlands, nie musiał ranić Aleka shurikenem aż tak mocno,

żeby powstrzymać jego i Chloe od pobiegnięcia w tamtą stronę.

Wiedział, że to nie Alek jest przyczyną jego problemu. Wcześniej czy później Chloe musiała odkryć, że jest inna, a co gorsza, gdyby była wtedy sama, członkowie Bractwa po prostu by ją zabili.

Tylko że tamten chłopak mógł ją pocałować. Podczas gdy Brian musiał balansować na cienkiej granicy między przyjaźnią z Chloe a czymś więcej, Alek nie miał podobnych problemów. Mógł nawiązać z Chloe każdy rodzaj relacji bez obawy, że umrze.

Brian znajdował się teraz na trzecim piętrze, w niewielkim kompleksie sekretnych pomieszczeń, gdzie mieściła się prawdziwa biblioteka i gdzie, jak się spodziewał, znajdowało się więcej tajnych pokoi, o których nikt go nie poinformował. Przeprowadził w myślach kilka obliczeń i zwrócił uwagę na skomplikowany wystrój pomieszczenia, pełnego paneli i wykładzin, regałów z książkami przypominającymi labirynt, mnóstwem dodatkowych gzysów oraz innych przypadkowych elementów dekoracyjnych.

Nagle jego wzrok przykuł leżący na podłodze przedmiot. Brian pochylił się i podniósł coś, co przypominało sreberko po gumie do żucia, lecz okazało się drogim kolczykiem, fikuśnym i udającym etniczny Edna Hilshire nigdy nie założyłaby tak nowoczesnej biżuterii.

Brian szybko pomyślał o wszystkich pozostałych członkiniach Bractwa w San Francisco. Tylko dwie z nich,

poza Edną, miały dostęp do tego pokoju. Sarah–Ann nie nosiła biżuterii, z wyjątkiem medalika *Sodahtas Gladii Decimi*, a Tyler zawsze miała w uszach parę prostych diamentowych lub perłowych kolczyków.

– Co tu robisz? Dickless. Oczywiście musiał zobaczyć, jak tu wchodzi, i mnie śledzić. Pewnie sprawdzał obraz z kamer bezpieczeństwa.

Brian nie od razu się odwrócił – udawał, że szuka na półce książki.

Z początku chciał powiedzieć, że zgubił jeden z drutów. Jego hobby bawiło niektórych członków Bractwa, a innych drażniło. Część uważała, że kobiece robótki im nie przystoją. Odpowiedź Briana mogłaby więc rozśmieszyć lub rozzłościć intruza, rozwiewając wszelkie podejrzenia.

Jednak Richard szczerze nie cierpiał Briana i był święcie przekonany, że obaj walczą o względy Whita i przyszłą funkcję przełożonego Bractwa.

– Richard – odezwał się sztywno Brian, odwracając się po chwili w jego stronę. – Jak się masz?

– Co tu robisz? – powtórzył Richard. Jego oczy i włosy miały kolor intensywnej czerni. Richard często prychał, jakby wiecznie miał problem z katarem. Był też niższy od Briana, co bardzo tamtemu odpowiadało. Brian zbliżył się do Richarda, wyraźnie nad nim górując.

– Nie sędzę, żeby to była twoja sprawa, ale przeżywam właśnie kryzys wiary – wyjaśnił podekscytowanym głosem, by dodać swoim słowom wiarygodności. – Chciałem

przeczytać ponownie nasz kodeks i zastanowić się nad słowami przysięgi.

– Nie sądzisz, że pora jest trochę zbyt późna? – odparł Richard i chociaż wymownie prychnął, wyglądało na to, że uwierzył.

– Powiem wszystkim, jak wielkiego duchowego wsparcia mi udzieliłeś – odrzekł Brian, przewracając oczami, i odszedł.

– Nie można tak po prostu opuścić Bractwa – warknął za nim Richard, chcąc pokazać, kto tu rządzi. – Nikt nie ma do tego prawa. To zobowiązanie na całe życie.

– Skoro tak mówisz – odkrzyknął Brian.

– Nawet twój ojciec to wie. Rozumie zasady i żyje zgodnie z nimi. Zrobi, co będzie trzeba, dla dobra nas wszystkich – dodał.

Brian powstrzymał się od komentarza, ale wzdrygnął się, słysząc zadowolenie w głosie Ricka.

ROZDZIAŁ 24

– Masz coś? – dopytywał się Alek.

– Byłoby mi łatwiej węszyć, gdybyś nie spryskał się tą swoją tanią wodą kolońską odburknęła Kim.

– Wcale nie tanią! To Eternity, od Calvina Kleina!

Chloe skrzywiła się, natrafiając na jeden z pierścionków swojej mamy leżący obok zlewu. Cała ta sytuacja wydałaby się jej nawet zabawna, gdyby nie chodziło o życie matki. Wyglądało na to, że Alek działał na nerwy wszystkim jej przyjaciółkom, nie tylko Amy.

Całą trójką uciekli z posiadłości i to bez większego trudu. Doskonały węch i słuch Kim pozwolił im zgubić dwoje śledzących ich *kizekhów*. Alek pęczniał z dumy, lecz Chloe uznała, że poszło im zbyt łatwo. Być może Siergiej doszedł do wniosku, że z Kim i Alekiem nic jej nie grozi.

Kiedy zbliżyli się do domu Chloe, Kim zauważyła dwoje pozornie przypadkowych ludzi, którzy tak naprawdę patrolowali teren. Wystarczyło tylko zaczekać na dogodny moment i zakraść się do środka.

– A więc to tutaj mieszkasz? – zapytała Kim.

Zwykle szybko przechodziła do sedna sprawy, lecz tym razem była szczerze zaciekawiona dawnym życiem Chloe. Rozglądała się uważnie po salonie i kuchni, patrząc ze zdumieniem na ekspres do kawy, stojący na blacie niewielki telewizor, kosz na śmieci, leżące na stoliku kawowym książki...

– Całkiem fajnie, co? – Alek rozłożył się na kanapie, podkreślając, że był tu pierwszy i lepiej zna ten teren.

– Właśnie tutaj natrafiłam na pewien ślad. – Chloe otworzyła lodówkę i pokazała jej humus. Kim podeszła bliżej, żeby go powąchać, i natychmiast zakryła nos dłonią.

Od tego momentu minął kwadrans.

Podczas gdy Alek wygłaszał ironiczne komentarze, a Chloe rozglądała się za przestawionymi na nie swoje miejsce przedmiotami, które mogła zauważyć wyłącznie ona, Kim krążyła po pomieszczeniach, wyprostowana lub na czworakach, usiłując złapać trop. Poświęciła mnóstwo czasu na obwąchiwanie przedmiotów. Chloe nie mogła na to patrzeć wydawało jej się to zbyt zwierzęce.

– Może to ci pomoże – odezwała się, wchodząc między Kim i Aleka, którzy tylko się na siebie gapili. *Cieszę się, że mam takich wspaniałych i pomocnych przyjaciół* – pomyślała Chloe – *ale może powinnam tu przyprowadzić tylko jednego z nich.* Sięgnęła do szafki nad zlewem i wyjęła z niej pełną paczkę ziarnistej kawy – kolejny znak, że przez długi czas jej matki nie było w domu. Normalnie wystarczyłby jej tydzień na wypicie takiej torebki. Chloe otworzyła ją i przyłożyła do nosa Kim.

– Do czego to? – zapytała podejrzliwie dziewczyna.

– W eleganckich perfumeriach stoją miseczki z ziarnami kawy – powiedziała Chloe, wzruszając ramionami – które pozwalają oczyścić nos z wcześniej wąchanych zapachów. Może też chciałabyś spróbować?

Kim popatrzyła na nią z powątpiewaniem, po czym

głęboko się zaciągnęła, zmarszczyła nos i kichnęła. Chloe nigdy nie widziała, żeby człowiek – *no, prawie człowiek* – zareagował w ten sposób na zapach kawy. Kim uniosła głowę i znów zaczęła węszyć.

– To rzeczywiście działa – powiedziała ze zdumieniem i wróciła do pracy, zabierając ze sobą torebkę z kawą.

– Hej – odezwała się Chloe, nagle coś sobie przypominając. – Dlaczego tamtej nocy, kiedy uczyłeś mnie kocich sztuczek, śmierdziałeś benzyną, zamiast pachnieć wodą kolońską?

– Bractwo czasami używa psów tropiących – odparł Alek. – Benzyna maskuje zapach. Poza tym nie chciałem, żebyś mnie rozpoznała. Nie wiedzieliśmy, jak zareagujesz, czy nie opowiesz o wszystkim swojej mamie, dziennikarzem lub komuś jeszcze. Przynajmniej nie podałybyś im mojego nazwiska.

– Cóż, chyba mieliście farta – odparła sucho Chloe.

Przez chwilę obserwowała węszącą po salonie Kim. Żałowała, że nie może zrobić tego samego – próbowała, lecz znajomy zapach domu tłumił wszystkie pozostałe. Kim od czasu do czasu wskazywała jej jakieś miejsce, lecz Chloe czuła w nim tylko dziwną, nieznajomą ludzką woń, której nie potrafiła zidentyfikować.

Żałowała, że nie może nic zrobić.

Od czasu bójki na moście zmieniło się kilka rzeczy. Tym razem to nie Chloe groziło niebezpieczeństwo, tylko jednej z bliskich jej osób. Wtedy skopała tyłek wyszkolonemu mordercy, czując, jak z każdym uderzeniem zbliża

się do zwycięstwa. Teraz mogła tylko stać i się przyglądać.

W końcu Kim wyprostowała się i wzruszyła ramionami.

– Do twojego domu przyszło dwóch obcych mężczyzn i jedna kobieta. Czuję woń strachu i jakiegoś środka chemicznego, ale nie mam pojęcia...

– W porządku – przerwała jej Chloe – tylko co to znaczy?

– Twoją mamę prawdopodobnie uprowadzono, lecz porywacze jej nie zabili. Chemiczny zapach oznacza, że czymś ją uspili – oznajmił Alek, zbliżając się do nich z szerokim uśmiechem. – To znaczy, że wszyscy mieli rację co do motywów Bractwa: twoja mama służy im za przynętę.

Kim wolno pokiwała głową, niechętnie przyznając mu rację.

– Co teraz?

– Powinniśmy wyjść na zewnątrz i sprawdzić, czego jeszcze zdołamy się dowiedzieć powiedziała Kim, spoglądając z lękiem w stronę ulicy.

– Nie musicie się martwić o cerberów – odezwał się wesoło Alek. – Odciągnę ich stąd i wrócę do was najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Nie rób tego – zabroniła mu Chloe, kiedy ruszył w stronę drzwi, choć wiedziała, że nie mógł wymyślić niczego lepszego.

– Myślisz, że to mój pierwszy raz? – Posłał jej całusa i wyszedł tylnymi drzwiami, cichutko zamykając je za

sobą.

– Zaczekamy dziesięć minut i wyjdziemy – odezwała się Kim. Obie w milczeniu przyglądały się zegarowi w mikrofalówce.

– Pójdę na górę i spakuję trochę bielizny – oznajmiła po chwili Chloe.

– Mogę pójść z tobą? – spytała nieśmiało Kim. – Chciałabym zobaczyć twój pokój.

– Jasne. – Chloe wzruszyła ramionami. – Chodź.

Weszła na górę, odpychając się rękami od ściany – czego jej mama nie cierpiała – a Kim trzymała się tuż za jej plecami. *Gdyby Kim u mnie nocowała, na stole stałyby miseczki z przekąskami, a w mikrofalówce prażyłby się popcorn* – pomyślała Chloe w oszołomieniu. Była we własnym domu, późną nocą, bez mamy, za to w towarzystwie dziewczyny z kocimi uszami, która bardzo chciała się przekonać, jak mieszkają jej fajniejsi rówieśnicy.

Chloe podeszła do szafy i zaczęła przeglądać szuflady, starając się nie narobić w nich bałaganu. Kątem oka widziała, jak Kim rozgląda się dookoła z szeroko otwartymi oczami i rozcapierzonymi pazurami, jakby miała wielką ochotę czegoś dotknąć. Chloe zastanawiała się, jak wyglądał pokój Kim: pewnie był równie skromny i ascetyczny jak jego właścicielka, bez plakatów Ani DiFranco, Kurta Cobaina i Coldplay, mebli z IKEA, korali i chust z Mardi Gras i innego kolorowego badziewia.

Chloe odnalazła już prawie całą kolekcję majtek

z nazwami dni tygodnia, kiedy usłyszała syk swojej przyjaciółki.

Odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak Kim rzuca się przed siebie z szybkością i zwinnością niepodobną do ludzkiej. Gdy się wyprostowała, trzymała między kciukiem i palcem wskazującym mysz.

– Wygląda na to, że zaległy się wam szczury – zauważyła, podnosząc mysz do góry i przypatrując się jej krytycznym wzrokiem.

– To jest Mus–mus – powiedziała Chloe i ręką z wyciągniętymi pazurami delikatnie, lecz stanowczo odebrała Kim przerażoną mysz – moje dawne zwierzątko.

Kim wypuściła mysz, zafascynowana.

Chloe ułożyła pazury w taki sposób, żeby mysz nie mogła jej uciec. Mus–mus odchodził od zmysłów ze strachu. Nadzieja Chloe na to, że jego lęk przed nią jest chwilowy, prysła. Pazury i pozostałe atrybuty Mai sprawiały, że Mus–mus bał się jej tak samo jak każdego kota.

– Kot, który na swojego ulubieńca wybrał sobie mysz – powiedziała Kim z lekkim rozbawieniem. – Dziwne, ale też na swój sposób ironiczne.

– Wydawało mi się, że jesteśmy lwami – powiedziała Chloe, przykucając, i wypuściła mysz pod łóżko. Znalazła dla niej w jednej z szuflad Cheeriosy. Dobrze chociaż, że Mus–mus zdecydował się u niej zostać. Powinna być mu za to wdzięczna.

– Jest taka bajka, w której mysz błaga lwa, żeby puścił ją wolno.

Chloe pamiętała tę bajkę, ale niezbyt szczegółowo. Spróbowała się na niej skoncentrować, żeby nie oplakiwać więcej Mus–musa.

– Lew spełnił prośbę myszy, a kiedy później wbił mu się w łapę kolec, mysz go wyciągnęła. Po wszystkim zostali serdecznymi przyjaciółmi.

– Jaki z tego morał?

– Okazuj życzliwość nawet najpodlejszym istotom, bo pewnego dnia mogą ci się przydać bardziej, niż myślisz.

– Brzmi to trochę samolubnie – zauważyła Chloe i wreszcie się odwróciła. Kieszenie miała wypchane bielizną.

– Być może. – Kim przechyliła głowę. – Kto wie, z jakiej opresji może cię wybawić Musmus?

– Chyba możemy już iść – powiedziała Chloe.

Nagle poczuła się nieswojo. Kim pokiwała głową i uprzejmie zaczekała, aż jej przyjaciółka opuści pokój. Zeszła za nią ze schodów i obie ruszyły w stronę tylnych drzwi.

Gdy już znalazły się na zewnątrz, Kim przykucnęła w pozycji, która wydałaby się Chloe niewykonalna, gdyby nie wiedziała, co to znaczy być Mai. Kim popatrzyła w niebo, a później zaczęła węszyć przy ziemi niczym wilkołak z bardzo kiepskiego filmu. W przytłumionym świetle ulicznych lamp jej sylwetka prezentowała się jednocześnie i smutno, i pięknie. Chloe poczuła ukłucie zazdrości.

Niewielkie skrawki ogródka państwa Kingów i ich sąsiadów oddzielały od siebie płoty i skarłale drzewka wyrastające z brązowej, niezdrowo wyglądającej ziemi.

Mama Chloe nie miała ręki do roślin. Za każdym razem, gdy znajdowała w czasopiśmie zdjęcie ładnie urządzonego ogrodu na niewielkiej przestrzeni, podtykała je Chloe, która reagowała niechętnym pomrukiem. Czasami wybierały się do sklepu ogrodniczego lub szkółki leśnej, przywoziły rośliny i zaczynało się wielkie sadzenie, lecz później Anna przyjmowała wyjątkowo ciężką sprawę i porzucała projekt, mrużąc coś na temat zatrudnienia ogrodnika.

Chloe nagle ogarnął smutek na widok nakrętki od butelki i papierków od gumy do żucia rozrzuconych na ziemi pod drzewami. Jej dom stał pusty. Bez dwóch mieszkańek – jego duszy – był tylko pomnikiem marnego miejskiego życia. Najchętniej by stąd uciekła.

Kim przyczołgała się do niej z powrotem, poirytowana i skołowana.

– Z pewnością ktoś sprawdzał teren, zanim weszli do domu – wyraźnie czuję zapach dwóch mężczyzn.

– I...?

Kim ostrożnie oczyściła pazury, polerując je o materiał dzinsów. Mimo kociej skrupulatności, z jaką to robiła, było jasne, że po ludzku próbuje odwlec moment udzielenia odpowiedzi.

– Wyczułam też dwóch Mai, którzy zjawili się tu niedługo po ludziach.

– Ach tak – odparła z namysłem Chloe. – To pewnie Siergiej ich wysłał, żeby strzegli mojej mamy. Założę się, że nie powiedział mi o tym, żebym się nie martwiła.

– Gdyby Siergiej wysłał dwójkę Mai, żeby pilnowali twojej mamy, a później zjawiliby się troje ludzi, twoja matka byłaby teraz w domu, cała i zdrowa. Ci ludzie już by nie żyli lub byliby poważnie ranni – kontynuowała Kim. Było jasne, że zdążyła wyciągnąć własne wnioski, które poważnie ją zmartwiły.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Chloe chwyciła Kim za ramiona, usiłując ją wyrwać z uporządkowanego światka logicznych łamigłówek. – Że Mai przyszli tu po to, żeby ją zabić?

– Nie byłyby to pierwszy raz... Chloe zrobiła krok w tył.

– Nie!

– Nie mam na to dowodów, ale...

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – zapytała z pretensją w głosie.

– Ponieważ w naszym domu ściany mają uszy! – syknęła Kim. – Usiłowałam ci to powiedzieć tysiąc razy!

– Czy wszyscy Mai pałają do ludzi tak wielką nienawiścią? – Chloe czuła, że zaczyna tracić grunt pod nogami.

– Tu nie chodzi o nienawiść do ludzi, lecz o sprawowanie kontroli i utrzymanie jedności w Stadzie. Ścieżka Bastet opiera się na wspólnocie, miłości i wzajemnym dbaniu o siebie. Ścieżka Sekhmet oznacza dążenie do celu poprzez wojnę i agresję, bez oglądania się na innych.

– A obecny przywódca podąża śladem Sekhmet – powiedziała w zamyśleniu Chloe, – przypominając sobie słowa Siergieja.

– Zniknięcie matki oznacza dla ciebie zerwanie więzi ze światem zewnętrznym. Chloe gorzko się uśmiechnęła.

– To samo powiedział Brian.

– Kim jest Brian?

– Moim... – Chloe nie dokończyła, nie wiedząc, czy może jej się bezpiecznie zwierzyć. – Jest moim przyjacielem, należącym do Bractwa Dziesiątego Ostrza, który uratował mi życie, kiedy walczyłam z Łowcą i później, podczas mojej ucieczki z Alekiem...

Tym razem to Kim popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Twoje życie jest bardzo skomplikowane i niebezpieczne – oznajmiła wreszcie.

– Co ty nie powiesz. – Chloe popatrzyła na ciemne okna, puste oczodoły jej domu. – A więc myślisz, że moja mama nie żyje?

Kim pokręciła głową.

– Gdyby została zabita przez Mai, zauważyłabym jakieś ślady. Trudno nas nazwać mistrzami zbrodni. Może to nawet lepiej, że Bractwo Dziesiątego Ostrza lub jacyś inni ludzie dotarli do niej pierwsi.

– Hej, dziewczyny, dosyć tych pogaduszek! – Alek wystawił głowę z krzaków, w których się przyczaił. – Mamy jakieś pięć minut, zanim agenci zorientują się, że wyprowadziłem ich w pole.

Wyciągnął rękę i pomógł im obydwu wstać. Chloe była zaskoczona tym, że Kim nie zaprotestowała, ale najwyraźniej nie doszła do siebie po tym, co odkryła, i po rozmowie z przyjaciółką. Kiedy wracali do Firebirda – niczym niewyróżniająca się trójka nastolatków Kim wtajemniczyła Aleka w to, czego się dowiedziała.

– A więc to te bydlaki ją porwały? – zapytał z podekscytowaniem Alek.

– Podejrzewamy, że gdzieś ją przetrzymują. O ile to rzeczywiście Bractwo, a nie ktoś inny powiedziała Kim. – Jeśli tak, twoja dzisiejsza zagrywka ze strażnikami może okazać się pomocna. Wiedzą już, że Chloe lub ktoś inny interesuje się całą sprawą. Będą mieli powód, by zachować jej mamę przy życiu.

– Świetnie – powiedział Alek, zacierając ręce. – Możemy urządzić prawdziwy nalot! Założę się, że Siergiej wie, gdzie Bractwo ma swoją siedzibę. Będzie super! Od lat nic się u nas nie działo!

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że przywódca poświęci grupę *kizekhów*, by zaatakować dom Bractwa Dziesiątego Ostrza i uratować człowieka. Wygląda raczej na to, że próbował ją zabić.

– Może uda nam się go wpędzić w wyrzuty sumienia? – spytał niepewnie Alek.

– Przywódcy Stada rzadko miewają wyrzuty sumienia – odparła Kim z błyskiem w oku. Myślę, że lepiej byłoby poszukać ochotników. Jest wielu Mai, którzy uważają, że zbyt długo żyliśmy w strachu przed Bractwem, i chętnie

się na nim zemszczą.

– Zastanawiam się, ilu z nich udałoby się nam zwerbować.

– A ja zastanawiam się, jak uniknąć niepotrzebnych ofiar.

Podczas gdy jej przyjaciele z ożywieniem dyskutowali i snuli plany, Chloe milczała. W świetle ulicznych latarni ich wydłużone cienie wdrapywały się po wyludnionej ulicy, a później znikwały, by odrodzić się na nowo tuż za ich plecami. Równie dobrze mogłyby to być cienie Amy, Paula i Chloe, wracających z imprezy i planujących wielką zemstę lub rozmawiających o swoich marzeniach, pełnych energii, której dostarczało wyłącznie nocne włóczenie się po mieście.

Tymczasem była to trójka Mai podczas narady wojennej.

– Hej, nic ci nie jest? – zapytał Alek po powrocie do Firebirda. Chloe nadal nie odezwała się ani słowem.

– Nie, jestem tylko trochę zmęczona. – Nie udało jej się zmusić do uśmiechu. – Muszę się zastanowić nad paroma sprawami, wiesz? Uważałam Siergieja za kogoś w rodzaju...

– Swojego ojca? – odpowiedziała jej Kim.

– A teraz wygląda na to, że próbował zabić...

– Zabije nas, jeśli się dowie, że wyszliśmy bez jego zgody – przerwała jej Kim, rozglądając się z niepokojem. Chloe natychmiast ją zrozumiała: żadnego gadania, nie

tutaj.

– I tak powinienem już wracać do domu – powiedział Alek i pocałował Chloe. – Przyjdę do ciebie jutro po szkole i wtedy pogadamy, OK? Zastanowimy się, co zrobić w sprawie twojej mamy.

Alek wydawał się lekko przerażony podejrzeniami Kim, ale nieszczerze nimi zaskoczony. Poza rodzinnymi nieporozumieniami i pragnieniem przejęcia władzy nad Stadem, chłopak miał wielką ochotę postawić się przywódcy i dać mu nauczkę.

Chloe pomachała na dobranoc jemu i Kim i poszła na górę.

Kilka godzin później nadal nie spała. Ponownie rozłożyła na kołdrze zdjęcia i skuliła się z kolanami przyciśniętymi do podbródka. Co jakiś czas podnosiła którąś z fotografii, na przykład tę przedstawiającą jej siostrę, i długo się jej przypatrywała, jakby czekała na złudzenie optyczne. Starła się wyczytać z twarzy tej dziewczyny jej myśli. Później ostrożnie odkładała zdjęcie na miejsce.

Brakowało jej fotografii Amy, Paula i Marisol. Ludzie, którzy nie byli jej krewnymi, lecz których traktowała jak rodzinę, powoli byli zastępowani przez osoby prawdopodobnie z nią spokrewnione, ale o których niewiele wiedziała. Kim i Olga. Igor i Valerie. Nawet Siergiej. A co z Brianem i Alekiem? Jeśli sprawy potoczą się tak, jak wszystko na to wskazywało, za kilka dni staną w końcu twarzą w twarz.

Chloe rozmyślała o swojej mamie, która nie miała pojęcia, w co się pakuje, kiedy postanowiła ją samotnie wychować.

Nagle jej walkie-talkie zahuczało.

– Halo? – odezwała się z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od zdjęć.

– Mówi Brian. Nie mogę długo rozmawiać. – Miał zadyszkę, jakby biegł, i Chloe słyszała w tle odgłosy ulicy. – Posłuchaj, właśnie wracam z siedziby Bractwa. Znalazłem kolczyk. Czy twoja mama nosi masywne, srebrne, bogato zdobione kolczyki z kolekcji...

–Johna Hardy ego – dokończyła Chloe, jednocześnie zszokowana i niezaskoczona.

– Bingo. Wydaje mi się, że żadna z kobiet w Bractwie takich nie nosi.

– Czy możesz ją stamtąd wydostać?

– Ja nawet nie wiem, gdzie ona dokładnie jest, Chloe, a moi ludzie zaczynają nabierać podejrzeń. Poinformowanie policji nic nie da. Mój ojciec ma ogromne doświadczenie w unikaniu tego rodzaju kłopotów. – Przez długą chwilę milczał. – Chloe, jeśli planujecie ją odbić, musicz wiedzieć, że to będzie prawdziwa rzeźnia. Chloe nic nie powiedziała.

– Wielu ludzi od dawna czekało na bezpośrednią konfrontację z Mai. Wy nie korzystacie z broni, ale my tak.

Chloe poczuła się jak w pułapce.

– Powiedziałeś o tym Amy i Paulowi?

– Jeszcze nie. Spotykam się z nimi za kilka minut,

żeby oddać im walkie-talkie. Może uda nam się we trójkę wymyślić jakiś sposób na uwolnienie twojej mamy. Co trzy głowy, to nie jedna, a Amy wydaje się sporo wiedzieć na temat hakerstwa i włamań.

Chloe się uśmiechnęła.

– W porządku. Dzięki. Informujcie mnie na bieżąco.

– Jasna sprawa!

Chloe wyłączyła walkie-talkie, odłożyła zdjęcie dziewczyny z powrotem na łóżko, razem z innymi, po czym sięgnęła po telefon, wybrała domowy numer Briana i czekała.

– Cześć, mówi Brian Rezza. Jeśli chcesz rozmawiać z Whitem Rezza, zadzwoń pod numer 415-555-1412. Zostaw wiadomość po sygnale. Dzięki!

Chloe rozłączyła się i ponownie wybrała zapamiętany numer.

– Halo? – W telefonie rozległ się dźwięczny męski głos.

– Dobry wieczór, panie Rezza. Mówi Chloe King. – Przez dłuższą chwilę zbierała się na odwagę. – Chciałabym porozmawiać z panem o wymianie: ja za moją mamę.

ROZDZIAŁ 25

Chloe czekała na kamieniu w parku Presidio, sama i wystawiona na atak.

Znajdowała się w centralnej części przypominającego labirynt kompleksu opuszczonych budynków wojskowych, długiego rzędu niewielkich, starannie utrzymanych domków, takich jak na przedmieściach, lecz kompletnie pustych. Trawniki przed domami były przystrzyżone, a kamień, na którym siedziała, najwyraźniej został tu przywieziony z innego miejsca. W przyszłości budynki miały posłużyć firmie produkcyjnej Lucas–film, lecz o zmierzchu wyglądały dziwnie, tak samotne i perfekcyjne, jak z planu któregoś z filmów Tima Burtona.

Chloe śpiewała pod nosem, żeby dodać sobie otuchy. Do głowy przyszła jej tylko piosenka „New York, New York”, która nadal kojarzyła się z wrześniowym atakiem na WTC. Były w niej podniosłość i patriotyzm, które doskonale pasowały do jej nastroju. Głos Chloe rwał się jednak i odpływał na wietrze. Postukiwała butami o kamień jak mała dziewczynka, czekając, aż coś się wreszcie wydarzy.

Kiedy wiatr zmienił kierunek, poczuła zapach kilkorga ludzi, z których jeden wydał jej się przyjemnie znajomy.

– Możecie wyjść – zawołała bez namysłu Chloe. – Jestem sama. – Starła się nie okazywać podekscytowania,

lecz porywacze naprawdę przyprowadzili jej matkę! Wymiana miała dojść do skutku i nikomu – może poza nią – nie stanie się krzywda.

Z cienia wyłonił się Whit Rezza. Miał na sobie długi, zwiewny płaszcz, w którym wyglądał jak ktoś, kto ma zamiar wsiąść na pokład samolotu do Europy, a nie negocjować wypuszczenie zakładnika. Za nim szedł młodszy mężczyzna ubrany w spodnie khaki i czarną skórzaną kurtkę, który popychał do przodu panią King, przyciskając lufę broni do jej głowy.

– Chloe! – zawołała Anna, tłumiąc łkanie. – Uciekaj stąd! Ci ludzie to wariaci.

– Nie mogę tego zrobić – odparła wesoło Chloe. – Wszystko wydarzyło się z mojej winy i zamierzam to teraz naprawić.

– Chloe, uciekaj natychmiast – powtórzyła jej mama, prostując się, i popatrzyła na córkę zza szkieł okularów.

– Nie doszłoby do tego, gdybyś mnie nie adoptowała – powiedziała Chloe. Pani King przewróciła oczami i prawie tupnęła nogą.

– Zamkniesz się wreszcie, Chloe? Kocham cię, jestem twoją matką i każę ci stąd uciekać, póki jeszcze możesz!

– Co on ci powiedział? – zapytała Chloe. – Co wygadywał na mój temat?

– Powiedziałem jej prawdę – odezwał się Whit. – A przynajmniej tyle prawdy, ile była w stanie udźwignąć.

– Powiedział, że twoja biologiczna rodzina ma powiązania z rosyjską mafią, jest zamieszana w morderstwo

i próbuje cię w to wszystko wciągnąć. Ci ludzie podobno musieli mnie chronić przed twoimi krewnymi. Jednak sądząc po tym, że ten młody dżentelmen przykłada mi do głowy broń, musieli się minąć z prawdą.

– Nie uwierzyłaś w to, co ci powiedzieliśmy? – zapytał Whit lekko zaskoczony.

– Goń się – odparła pani King.

Chloe nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Nie martw się, mamó, wszystko będzie dobrze.

– Proszę posłuchać córki – powiedział ze spokojem Whit. – Rozumuje zadziwiająco logicznie jak na Mai.

– I mimo to chcecie mnie zabić – zauważyła Chloe, przewracając oczami.

– Zabiłaś jednego z Braci.

– Nieprawda, próbowałam go uratować – odparła, zeskakując z kamienia.

– Mój syn też to powtarza.

– Bo to prawda! – Brian wyłonił się zza budynku z garścią shurikenów w dłoni.

– Brian! – krzyknęła Chloe, zaskoczona.

– Brian? – zdziwił się jego ojciec.

– Brian – syknął Richard. – Powinienem się domyślić, że spróbujesz ocalić tę kocią dziwkę.

– Nie mów tak do mojego syna – wybuchnął pan Rezza, wprawiając wszystkich w zdumienie.

– Odkąd to Bractwo zaczęło nosić przy sobie broń, tchórze? – zaatakował Richarda Brian, podchodząc bliżej.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – zapytała Chloe, czując zalewającą ją falę ulgi. Nadal miała nadzieję uratować mamę i ograniczyć rozlew krwi za cenę własnego życia, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby ktoś wybawił ją od śmierci.

– Nie wiedziałem. Gdy już nabrałem pewności, że to mój ojciec porwał twoją mamę, nie spuszczałem go z oka i tak trafiłem tutaj.

Brian w niczym nie przypominał zamyślonego, skomplikowanego chłopaka, którego znała. Szedł pewnym krokiem, nie spuszczając wzroku z broni. W każdym calu przypominał bohatera, którego chciała w nim widzieć. Wiatr rozwiewał jego grube, ciemne włosy, oczy płonęły mu gniewem.

– Na własne oczy widziałem, jak wyciągnęła rękę w stronę Alexandra, kiedy spadał z mostu!

– Tylko dlaczego miałyby to robić? – zapytał jego ojciec, szczerze zdezorientowany i lekko tym wszystkim znużony.

– Dlatego, że jest dobrym człowiekiem, tato.

– Założę się, że przekonałeś się o tym na moście, pomagając jej – odezwał się Richard, wskazując brodą w kierunku Chloe.

– Właśnie tak – warknął Brian. – Pozwij mnie za to, że próbowałem pomóc niewinnej dziewczynie, na którą naślaliście psychopatycznego mordercę.

– A zatem zdradziłeś nas wszystkich – odezwał się pan Rezza po chwili namysłu. – Bractwo, własnych przodków,

ojca i matkę...

– Nie waż się mieszać w to mamy – wrzasnął Brian, mierząc jednym z shurikenów w swojego ojca.

– Nie mogę... nie zamierzam bronić cię przed działaniami, które podejmie przeciwko tobie Bractwo – powiedział spokojnie pan Rezza, nie patrząc w stronę pocisku – ani indywidualnymi aktami zemsty – dodał, spoglądając na Richarda.

– Czy pan siebie słyszy? – odezwała się Chloe, która miała już dosyć przysłuchiwania się kłótni ojca z synem. – Porywanie niewinnych ludzi, wynajmowanie zabójców, zemsta i zdrada, sekretne stowarzyszenia działające od wielu pokoleń... to jakieś szaleństwo! I wy, i Mai macie nierówno pod sufitem! Mieszkamy w Ameryce, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Zostawcie całe to gówno w średniowieczu – tam gdzie jego miejsce. Uważacie się za samozwańców obrońców – ludzkości, a jesteście grupą dzikusów wojujących z ludźmi, którzy w niczym wam nie zawinili!

– Mai zabili moją żonę – powiedział Whit, nie kryjąc wzburzenia.

– Nieprawda. Brian wszystko mi powiedział. Pańska żona zginęła podczas obławy, na którą sam pan ją wysłał.

Mama Chloe popatrzyła na Whita.

– Kłamałeś w takiej sprawie?! To chore!

– Moja żona nie zginęłaby, gdyby Mai nie atakowali i nie mordowali ludzi, zmuszając nas do odwetu...

– Dosyć tego – przerwała mu Chloe, unosząc dłoń. –

Każda ze stron mogłaby wymienić tysiące przypadkowych aktów przemocy dokonanych na przestrzeni wieków...

– Od czasów Rzezi, która miała miejsce pięć tysięcy lat temu i pochłonęła cały naród – nie pozwolił jej dokończyć Whit. – Poza tym nie będę dyskutował na ten temat z nastolatką. A co do „przypadkowych aktów przemocy”, panno King – mówiąc to, podszedł bliżej Chloe chociaż zależało nam na tym, by wywabić cię z kryjówki, chcieliśmy przede wszystkim chronić twoją matkę, która znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie w momencie, gdy zbratałaś się z Siergiejem.

Chloe szeroko otworzyła oczy.

– A tak – zarechotał Whit. – Znam Siergieja i jego zwyczaje... Czy wiedziałaś, że lwy po objęciu Stada często zabijają młode swoich konkurentów?

Na dźwięk tych słów Chloe zrobiło się słabo.

– Porwaliśmy twoją matkę dla jej dobra. Chcieliśmy, żeby była bezpieczna.

– Twoje kłamstwa nie przestają mnie zadziwiać.

– Na pustej dotąd drodze pojawił się Siergiej. Jego drogie buty stukały głośno o chodnik. Zza jego pleców wyłoniło się siedmiu groźnie wyglądających Mai, wyszkolonych *kizekhów*. W przeciwieństwie do ludzkiego oddziału nie maszerowali równym krokiem, lecz skradali się, węsząc i nie spuszczać wzroku ze zgromadzonych.

– Za tamtym domem ukrywa się jeszcze czwórka, a dwoje tam – syknął do Siergieja jeden ze strażników.

– Cuchną olejem maszynowym i pewnie mają broń,

z wyjątkiem tamtej przyczajonej w krzakach dwójki.

– To chyba było nieuniknione, prawda, Siergieju? – zapytał Whit, odwracając się plecami do Chloe, jakby już z nią skończył. Richard mocniej ścisnął ramię pani King.

– Wszystkiego da się uniknąć – odparł twardo Siergiej. Przekrzywił głowę, a dwóch Mai zniknęło w cieniu, żeby zająć się tymi, których wytropili. – Odkąd to Bractwo zniża się do porywania niewinnych kobiet?

– Odkąd wysłałeś morderców, żeby się jej pozbyć, ty żądna krwi bestio! – Ojciec Briana powoli tracił panowanie nad sobą. W jego oczach pojawił się gniew.

Gdzieś pomiędzy domami rozległ się stłumiony dźwięk wystrzału. Nie podskoczył nikt poza Chloe. Usłyszeli odgłos uderzenia i czyjś jęk, tak jakby byli bohaterami horroru, wokół których w ciemności działały się okropne rzeczy.

– Czyżby wszyscy wiedzieli o naszym sekretnym spotkaniu? – zapytała Chloe, nie bardzo wiadomo kogo, chcąc wreszcie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Próbowwała załatwić sprawę sama i uniknąć rozlewu krwi, a tymczasem doprowadziła do starcia dwóch wrogich, uzbrojonych grup i to w miejscu odciętym od świata.

Z krzaków dobiegł damski i męski krzyk. ~ Zaczekajcie, my nie należymy do Bractwa! Nie róbcie nam krzywdy!

– Amy? – odezwała się Chloe, rozpoznając przerażony głos.

Dwóch *kizekhów* prowadziło Amy i Paula, nie wypuszczając ich z żelaznego uścisku.

– Oni są ze mną – odezwała się Kim, wynurzając się z ciemności razem z Alekiem, który zaklął po rosyjsku, ocierając z ramienia krew.

– Skąd się tu... – Chloe patrzyła na nich w zdumieniu. Teraz nie brakowało już nikogo.

– Jestem najlepszym tropicielem w Stadzie – przypomniała Kim, dumnie się prostując.

– A to walkie-talkie, które ode mnie dostałaś – odezwała się Amy, odsuwając się ostrożnie od przerażającego żołnierza z otwartymi ustami i obnażonymi kłami – jest wyposażone w GPS.

– Śledziliśmy każdy twój krok – dodał Paul. Był ubrany w wojskowe spodnie i dopasowaną wiatrówkę.

Chloe nasunęły się dziesiątki pytań. Jak oni wszyscy się poznali? Jakim cudem się ze sobą spiknęli? Jak Amy i Paul zareagowali na Kim? Jak Kim i Alek wytrzymywali ze sobą?

Przede wszystkim jednak miała ochotę rozplakać się z ulgi. Wszyscy jej najbliżsi przyjaciele zjawili się tu, żeby ją ocalić.

– Paul, Amy, wracajcie do domu! – poleciła im pani King. – I ty też, Chloe. Nie mam pojęcia, co tu się, u diabła, dzieje, ale musicie stąd zniknąć.

– Mieliśmy umowę: Chloe za ciebie – odezwał się Whit, przenosząc uwagę z czwórki nastolatków z powrotem na Siergieja. – Jesteśmy gotowi ją sfinalizo-

wać, bez zbędnych pytań i krwi. Wszyscy będą mogli wrócić bezpiecznie do domu.

– Zamieniasz życie tej kobiety na życie jej córki? – zapytał gorzko Brian. – Chyba powinienem był to przewidzieć. Po tym jak mama... powinienem wiedzieć.

– Zamknij się. Nie będę wysłuchiwał więcej bzdur na temat twojej matki – warknął jego tata. Nie jesteś godzien wypowiadać jej imienia.

– Ach, nie ma to jak czuła rozmowa ojca z synem – westchnął Siergiej. – Uwielbiam te wasze rodzinne niesnaski.

– Nie masz o tym bladego pojęcia – odezwał się Richard, dla lepszego efektu wciskając lufę pistoletu w policzek Anny. – Czy to nie koty pieprzą wszystko, co się rusza, i idą dalej, nie oglądając się za siebie?

– Lepiej ucisz tego dzieciaka, Whitney, zanim będzie za późno – powiedział Siergiej, machając ostrzegawczo ręką.

Chloe zauważyła obnażone pazury. Nie była pewna, czy tata Briana wie, że ten gest oznacza gotowość do ataku.

– Za późno? Tak jak wtedy, gdy wymordowaliście całe wioski...

– To było pięć tysięcy lat temu – zauważyła Kim, usiłując zachować spokój.

Ona i Alek stopniowo przesuwali się tak, że teraz stali pomiędzy Amy, Paulem i resztą zgromadzonych ludzi. Amy rozglądała się na boki, bacznie obserwując rozwój sytuacji. Paul sprawiał wrażenie kompletnie zagubionego.

– Właśnie – odezwała się Chloe, tylko po to, by zaznaczyć swoją obecność. Czy to nie z jej powodu się tu zebrali? *Nie, jestem tylko wymówką* – dotarło do niej, gdy popatrzyła na rozpalone fanatyzmem twarze. Obie strony pałały żądzą walki po latach pozornego zawieszenia broni. Przewodzili nimi mężczyźni w średnim wieku, którzy czuli, że muszą coś udowodnić.

– Spróbujmy spokojnie porozmawiać – zasugerowała matka Chloe. – Trzeba jakoś rozwiązać ten zadawniony konflikt.

Chloe z przerażeniem patrzyła na płynące po jej policzkach łzy – nie wiedziała, czy były one powodowane strachem czy bólem. *Moja matka*. Nagle coś w niej pękło.

– Sir! Ramirez dostał! – krzyknął biegnący w ich kierunku młody, umundurowany mężczyzna, podobny do Richarda. Na jego twarzy wyraźnie odznaczały się smugi krwi. Zaatakowali nas od tyłu. Ramirez bardzo krwawi, sir. Na szczęście zabiliśmy jednego z tamtych, – Czyżby atak wyprzedzający, Siergieju? – zapytał ostro Whit, wyciągając zza pazuchy płaszcz krótki zakrzywiony nóż.

Wojowniczką, która kłóciła się wcześniej z Kim, rzucała się z sykiem na żołnierza.

Eliena, tak ma na imię. Jeszcze kilka wieczorów temu Chloe oglądała z nią *Gwiezdne wojny*. Teraz była w stu procentach Mai – ze zwężonymi oczami i obnażonymi kłami rozszarpywała młodego mężczyznę, jakby był z papieru.

Od tego momentu wszystko zaczęło się dziać w zwolnionym tempie.

Milczący Richard odsunął lufę pistoletu od głowy pani King i wycelował ją w kobietę lwicę. Rozległy się trzy stłumione wystrzały, jeden po drugim.

Brian błyskawicznie rzucił się w stronę Richarda. Na jego twarzy malowała się niczym niezmacona nienawiść.

Amy i Paul patrzyli na siebie zdezorientowani, a później Amy coś krzyknęła. Chloe nie rozumiała słów, lecz oboje rzucili się do ucieczki.

Z ciemności wyłoniło się więcej członków Bractwa. Chloe była zdumiona ich liczbą. Naliczyła co najmniej dwunastu, czyli znacznie więcej, niż wydawało się *kizekhom*. Pewnie chowali się od zawietrznej. Po co tata Briana ich przyprowadził? Mieli się spotkać sami. Nawet ten gnojek, który przykładał broń do skroni jej mamy, był dla Chloe zaskoczeniem.

Niczym w dziwacznym filmie o rozmnażaniu, każdy Brat odnalazł swojego Mai i vice versa, i wszyscy – nawet Kim i Alek – zaczęli ze sobą walczyć. Wyraz twarzy Kim... Śmiertelne przerażenie, które przemieniło się w gniew, kiedy ktoś ją zaatakował, tak jakby nie mieściło jej się to w głowie. Alek usiłował ją zepchnąć ze swojej drogi.

Chloe nie wiedziała, jak się zachować.

Przyszła tu, by ocalić swoją matkę. Co teraz? Co mogła poradzić?

Nikt jej nie zaatakował. Walka rozgrywała się centymetry od jej stóp. Walka, do której próbowała nie dopuścić.

Siergiej uchylił się przed nożem Whita, zadziwiająco zwinnie jak na mężczyznę w jego wieku. Zanim Brian dopadł Richarda, Siergiej zamachnął się swoją kanciastą dłonią z obnażonymi pazurami niczym gigantyczną łapą i przejechał nią po twarzy Richarda, który natychmiast się przewrócił, a Siergiej sięgnął do kieszeni po pistolet. – Niech nikt się nie rusza! krzyknął, odwracając się, i wymierzył do pani King. – Odwołaj swoich ludzi, Whit, albo zabiję twoją zakładniczkę.

Chloe nie wierzyła własnym oczom. Bractwo Dziesiątego Ostrza zrobiłoby wszystko w obronie człowieka, ale... czy Siergiej mówił poważnie?

Paul i Amy, nie mówiąc już o Annie, zamarli. Nagle Chloe przyszła do głowy jedyna rzecz, którą mogła w tej sytuacji zrobić.

Pobiegła do swojej mamy. W końcu to dla niej tu przyszła.

– Nie! – wrzasnął Brian, rzucając się w stronę Siergieja. – Zostaw ją w spokoju!

W tym momencie Siergiej wystrzelił.

Możliwe, że chciał trafić Briana lub jej mamę, nie była pewna. Wiedziała za to, że wszystko to działo się z jej winy. Wbiła pazury w ziemię i mocno się od niej odbiła.

Kiedy kula przebiła skórę, Chloe nie poczuła silnego bólu.

Lecz kiedy pocisk dosięgnął serca, całe jej ciało stanęło w płomieniach.

– Chloe! Nie!

Nie miała pojęcia, kto krzyknął: kobieta, mężczyzna czy kilka osób.

Runęła na ziemię.

Bicie serca głośno dudniło jej w uszach, a ziemia pod głową była bardzo zimna. Ciało płonęło, jakby grzebali ją żywcem.

Chloe słuchała z zaciekawieniem stłumionych dźwięków wokół siebie i zwalniającego rytmu serca, które po kilku uderzeniach całkiem się zatrzymało.

ROZDZIAŁ 26

Ciemność. Echo.

Daleki dźwięk, przypominający kapanie wody, lecz donośniejszy. Słyszała szum wiatru gdzieś w oddali, lecz nie czuła na twarzy podmuchu.

Chloe wiedziała, gdzie jest, jeszcze zanim otworzyła oczy.

Znajdowała się dalej od krawędzi klifu niż za pierwszym razem, gdy trafiła tu po upadku z Coit Tower. W dole rozciągał się staw, jakby wypełniony rtęcią, którego powierzchnia niepewnie przelewała się i marszczyła.

Zauważyła rzeczy, na które wcześniej nie zwróciła uwagi: nad jej głową wisały miliony gwiazd, galaktyk i dziwnych planet, których nazw nie знаła, znacznie bardziej przerażające niż kosmiczna pustka. Miała wrażenie, że znajduje się na samym końcu wszechświata, na skraju wszystkiego.

Usłyszała krzyk, niski i uporczywy. Kiedy zmrużyła oczy, dostrzegła niewyraźne postacie, które pojawiały się w jej polu widzenia i znikwały z niego. Nie potrafiła skupić na nich wzroku dłużej niż sekundę, jakby wcale ich tam nie było.

Chloe odsunęła się na krawędź klifu, jak najdalej od nich.

– Chloe. *Saht.*

Ostatni dźwięk był połączeniem szeptu, mruku

i warknięcia. Chloe odwróciła się. Jeden z cieni znajdował się bliżej niż reszta i pochylał się nad nią.

– Córko...

– M–mama? – zapytała Chloe drżącym głosem. Cień nie miał określonej formy, zmieniał swój kształt, przybierając postać to bardziej zwierzęcą, to ludzką.

– Teraz znasz swoje przeznaczenie. Wracaj.

– Zaczekaj, co to wszystko znaczy? – spytała rozpaczliwie Chloe, starając się zrozumieć. – Gdzie jestem? Co się z tobą stało?

Cień falował, jakby rozdzielala je ściana bardzo gorącego powietrza.

– Wracaj do swojej żyjącej matki. Ona jest twoją teraźniejszością, a ja – przeszłością.

Chloe nic z tego nie rozumiała. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz podmuch gorącego powietrza uderzył ją w pierś, jakby ktoś wymierzył jej cios pięścią. Zsunęła się z klifu prosto w ciemność.

Życie, do którego powróciła, oznaczało ból. Chloe sięgnęła pazurem do piersi i wyjęła z niej kulę, która wciąż tam tkwiła. Z rany płynęła krew, lecz po chwili przestała i Chloe poczuła swędzenie w miejscu, gdzie jej skóra i mięśnie zaczynały się goić.

Powoli docierały do niej wypowiedane wokół słowa, chociaż nie bardzo się nimi przejmowała. Słyszała szepty: „A więc to ona!”, „Dlaczego nie umarła?” lub po prostu „Chloe!”. Mówili to ludzie, którzy ją kochali. Walka chyba

ustała, kilku Mai klęczało tuż obok.

Podobnie jak jej matka, która chciała się upewnić, że Chloe nic się nie stało.

Nie, chwileczkę – matka przykucnęła dokładnie między Chloe a członkami Bractwa Dziesiątego Ostrza, zasłaniając córkę własnym ciałem. Ludzie Whita przestępowali niepewnie z nogi na nogę,

na zmianę unosząc i opuszczając broń. Nie mieli pojęcia, jak powinni się w tej sytuacji zachować.

Chloe dźwignęła się na jedno kolano i spróbowała się podnieść. Bolała ją każda cząsteczka ciała, lecz w końcu udało jej się złapać równowagę.

– Jeśli którekolwiek z was, Mai lub człowiek, dotknie mojej matki, to go zabiję – powiedziała na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli. – Wytropię i zabiję, a mam na to jeszcze siedem żyć.

Chloe przycisnęła dłoń do boku, który wciąż ją piekł. Pochyliła się nieco, żeby złagodzić ból, i zwróciła się do Whita oraz jego ludzi:

– Posłuchajcie mnie: nie zabiłam Łowcy. Spadł z mostu, chociaż próbowałam go wciągnąć z powrotem. Nigdy nikogo nie skrzywdziłam, podobnie zresztą jak Alek, Kim, Paul, Amy, a już szczególnie MOJA MAMA. Możecie nas wykluczyć ze swojej wojny.

Amy i Alek rzucili się w stronę Chloe, kiedy się zachwiała, i każde z nich objęło ją ramieniem. Paul i Kim ruszyli za nimi.

– A jeśli chodzi o Mai... – Popatrzyła prosto w oczy

Siergieja. Nie miała dowodów, że wysłał zabójców do domu jej matki, ale był drugą osobą tego wieczoru, która celowała do niej z pistoletu. – Dom nie ma nic wspólnego z tym, czy się jest Mai czy człowiekiem, a ja właśnie postanowiłam do niego wrócić.

Wyciągnęła rękę, a pani King ją chwyciła.

W drugiej dłoni Chloe trzymała srebrny kolczyk swojej mamy, ten znaleziony przez Briana. Powiodła wzrokiem po rannych, zabitych, trzymających się na dystans Mai i dezorientowanych ludziach.

Wśród których nie było Briana.

Chloe razem z czwórką przyjaciół i matką odeszła cicho w noc.

ROZDZIAŁ 27

Dwoje Mai i dwoje ludzkich nastolatków siedziało przy stoliku w Washington Dinner, w milczeniu popijając kawę lub gorącą czekoladę i skubiąc zimne, tłuste frytki pokryte grubą warstwą keczupu, który kojarzył im się z krwią. W świetle jarzeniówek wszystko wydawało się pozbawione życia. Pracująca na nocną zmianę obsługa była opryskliwa i nieprzyjemna, co nie przeszkadzało nikomu z tej czwórki, bo i tak nie mieli ochoty na pogaduszki z obcymi.

Alek, Kim, Paul i Amy siedzieli jak na szpilkach. Przypominali dalekich krewnych podczas zjazdu rodzinnego, zmuszonych do zaprzyjaźnienia się ze swoimi rówieśnikami. Kim pożyczyła od Amy szalik i okręciła sobie nim głowę, aby zasłonić kocie uszy. Kelnerka tylko przewróciła oczami – była przyzwyczajona do widoku dziwaków, którzy przychodzili nocą do baru.

– O co chodzi z tym całym „byciem wybraną”? – zapytał Paul, bawiąc się frytką.

Kim obejmowała pazurami kubek gorącej czekolady i wpatrywała się przed siebie w zamyśleniu.

– To znaczy, że Chloe jest naturalną przywódczynią Stada, że jej matka prawdopodobnie stała wcześniej na jego czele i że obie miały potrzebne cechy, takie jak lojalność, odwaga, współczucie, uczciwość i umiejętność znajdowania wyjścia z pozornie beznadziejnych sytuacji. –

Kim wzięła się w garść, wchodząc w typową dla siebie rolę mentorki. – Innymi słowy, jej *ka* jest szczerze i szlachetne, a Chloe zrobiłaby wszystko w obronie swoich krewnych i przyjaciół. Oznacza to również, że ma dziewięć żyć – teraz już siedem.

Paul i Amy kiwnęli milcząco głowami i nawet Alek wydawał się zainteresowany tematem.

– A także to, że Alek nie jest już następny w kolejce do roli przywódcy – dodała ostrożnie Kim.

– Nic nie szkodzi, to dla mnie zbyt wielka odpowiedzialność – powiedział żartobliwie Alek, lecz jego słowa zabrzmiały niezbyt przekonująco. Nawet nim wstrząsnęły wydarzenia tej nocy.

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że ten cały Siergiej nie powinien być już przywódcą Stada – odezwał się Paul.
– Powinien ustąpić miejsca Chloe.

Kim pokiwała głową i wlepiła wzrok w gorącą czekoladę.

– Widzieliśmy tych dwóch starych oszołomów – odezwała się drżącym głosem Amy. Wygląda na to, że pan Rezza i Siergiej żyją we własnym świecie. A jak potraktował Briana? Moim zdaniem żaden z nich nie zamierza zrezygnować z władzy.

– Nigdy wcześniej nie widziałam tyle agresji – powiedziała Kim, a później popatrzyła na nich szeroko otwartymi z przerażenia oczami, wielkimi jak u dziecka. – Widziałam walki i pojedynki, ale to...

Alek przytaknął, opierając głowę na dłoni.

– No właśnie. Wydawało mi się, że będzie zabawnie. Paul i Amy popatrzyli na siebie. Paul ścisnął rękę swojej dziewczyny.

– Ostatecznie wcale jej nie pomogliśmy – powiedziała Amy, sfrustrowana. – Mieliliśmy wykonać detektywistyczną robotę, a okazało się to zupełnie niepotrzebne.

– Gdyby nie wasz pomysł z walkie–talkie, nigdy byśmy jej nie znaleźli – zauważył Alek.

– Byliśmy tam. – Kim powiodła spojrzeniem po twarzach całej trójki. – Wspieraliśmy ją. Myślę, że czasami – to wystarczy.

– Jedno jest pewne – wtrącił Alek, mieszając kawę pazurem – od tej pory życie Chloe stanie się jeszcze bardziej niebezpieczne i skomplikowane.

ROZDZIAŁ 28

Chloe i jej mama siedziały na kanapie, głównie milcząc. Chloe potrzebowała ponad godziny, żeby wszystko wyjaśnić, a przez kolejną odpowiadała na pytania.

Pani King wyjęła z barku butelkę kosztownej szkockiej i wypić szklaneczkę. zaproponowała drinka córce, lecz Chloe wolała się napić kakao. Matka przyrządziła je automatycznie, jak robot.

– Twój kolczyk – przypomniała sobie Chloe, wyjmując go z kieszeni. Obróciła go w palcach i zapatrzyła się w błyszczący przedmiot. – Całe szczęście, że ci spadł, a Brian go znalazł.

– Nie doceniasz swojej matki – odparła Anna z chytrym uśmiechem, pokazując, że w drugim uchu też nie ma kolczyka. – Za każdym razem, gdy przenoszono mnie do innego pokoju, upuszczałam niewielką rzecz w nadziei, że ktoś ją zauważy i domyśli się, gdzie jestem. Straciłam biżuterię o wartości jakichś trzech tysięcy dolarów. – Podała Chloe kubek kakao i pokręciła głową.

Chloe uśmiechnęła się. *Mam najfajniejsza marne na świecie.* Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby pani Chun lub mama Amy wpadły na podobny pomysł. Twarz jej pociemniała, kiedy przypomniała sobie, o czym jeszcze musi powiedzieć Annie.

– Widziałam swoją biologiczną matkę, kiedy byłam martwa – wyznała po chwili milczenia. Pani King popa-

trzymała na nią szklanymi oczami – zamglonymi przez późną porę, nie alkohol. W miejscach, gdzie Richard przyciskał jej do twarzy lufę pistoletu, pozostały siniaki i zadrapania. Jej zwykle idealnie uczesane włosy były potargane, a okulary przekrzywione. Chloe wolałaby nie oglądać matki w takim stanie. Czasami uważała jej perfekcjonizm za nieznośny, lecz to było znacznie gorsze.

– Co ci powiedziała? – zapytała w końcu pani King.

– Powiedziała, że jest ze mnie dumna i że powinnam wrócić i cię uratować. Dodała też, że obie jesteście moimi matkami.

To wyznanie nie było łatwe, lecz Chloe cieszyła się, że ma to już za sobą. Nawet gdy jej mama rozplakała się i mocno ją przytuliła.

W końcu powiedziały sobie dobranoc, intuicyjnie czując, że mogą bezpiecznie położyć się spać. Chloe mówiła poważnie, że zabije każdego, kto spróbuje zaatakować jej dom, co najwyraźniej wzbudziło szacunek u Mai i dało do myślenia Bractwu.

Powlekła się na górę, do sypialni, marząc o gorącej kąpieli. Była jednak zbyt wyczerpana, by zadać sobie trud napełnienia wanny wodą.

Usiadła na brzegu łóżka, nie myśląc o niczym, i spróbowała zrzucić adidasów bez rozwiązywania sznurówek. Nie miała siły, żeby się do nich schylić.

Na dźwięk pukania do okna aż podskoczyła.

Brian siedział na parapecie, przesłaniając zadziwia-

jąco czyste, pełne gwiazd niebo. Na jego widok Chloe podskoczył żołądek. Twarz i dłonie chłopaka były pobrudzone krwią, a w miejscu, gdzie zapukał, została ciemna plama.

Chloe zeskoczyła z łóżka i otworzyła okno.

– Brian! – zawołała. Trzymał się za ramię, jakby był ranny.

Dostał kulkę – zrozumiała, kiedy poczuła woń metalu i prochu. Ten zapach kojarzył jej się z trucizną i śmiercią.

– Hej! – Brian uśmiechnął się blado. – Nic mi nie jest. W każdym razie nic poważnego.

– Wejdź do środka. Przyniosę bandażę. – Brian balansował na krawędzi parapetu, jakby sam był Mai. Chloe bała się, że spadnie, jeśli straci zbyt dużo krwi.

Pokręcił głową.

– Nie mogę. Przyszedłem się tylko pożegnać.

Chloe nic z tego nie rozumiała. Wojna się skończyła, wygrali ci dobrzy, a przecież Brian taki właśnie był.

– Co? Dlaczego?

– Jestem chodzącym trupem – odparł znużonym głosem. – Richard wydał na mnie wyrok śmierci za to, że zdradziłem Bractwo, a na pomoc ojca nie mam co liczyć. Nikt nie opuszcza Bractwa żywy.

– Przecież nie miałeś wyboru! Mówiłeś mi! Ojciec zmusił cię, żebyś do niego wstąpił. Brian wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia. Złożyłem śluby, kiedy miałem czternaście lat, a teraz jestem zdrajcą. Muszę zniknąć.

Chloe rozplakała się. Strumienie łez cicho spływały po jej policzkach.

– Brian, to niesprawiedliwe. Próbowaleś mi tylko pomóc. To wszystko moja wina...

– Niczym nie zawiniłaś, Chloe. – Chwycił ją za dłoń i mocno uściskał. – Jesteś dobra, życzliwa i mądra. Nie wątpię, że będziesz świetnym przywódcą dla swojego ludu. – Popatrzył na nią poważnym wzrokiem. – Ale wiesz, że jesteś na szczycie listy osób, które chce zabić Bractwo?

– Wiem – odparła smutno Chloe.

– Gdybym tu został, naraziłbym cię na jeszcze większe niebezpieczeństwo. – Zabrał rękę i zaczął się zbierać do odejścia. – Kocham cię – dodał i pocałował szybę tuż obok jej twarzy.

Chloe nachyliła się i odwzajemniła pocałunek. Zimne szkło sprawiło, że nie mogła mu zrobić krzywdy.

Później Brian zniknął w pogrążonym w ciemności mieście. Chloe ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała.

EPILOG

Siergiej siedział przy biurku, z dłońmi złożonymi pod brodą jak do modlitwy. Przeczesał pazurami włosy, lecz na jego mankietach zostały ślady krwi jednego z młodszych Braci, któremu rozciął tętnicę szyjną.

Minęło wiele czasu, odkąd brał udział w walce. Brakowało mu tego – było coś niewiarygodnie pobudzającego i ożywczego w bronieniu swojego ludu własną pierśią. Tak właśnie powinien się czuć przywódca.

Prawdziwy przywódca wiedział również, jak się zachować w czasie pokoju, potrafił radzić sobie ze współczesną biurokracją, odnajdywać zaginionych członków rodzin, zapewnić im zatrudnienie, bezpieczeństwo i kryjówkę. Właśnie tym zajmował się przez ostatnie piętnaście lat. *Jestem przywódcą – powiedział do siebie – i nikt mi tego nie odbierze. A już na pewno nie jakaś dziewczucha z San Francisco.*

Wysunął szufladę, otwierając pazurem broniący dostępu do niej zamek, i wyjął ze środka niewielki szary telefon. Schował pazury i wybrał kciukiem numer.

– Halo, Alexander? Przede wszystkim przyjmij ode mnie kondolencje – powiedział ze śmiechem – skoro wszystkim się wydaje, że nie żyjesz. A wracając do interesów, myślę, że znowu możemy sobie pomóc. Pamiętasz córkę przywódczyni Stada? Tę, którą się zająłeś z moją niewielką pomocą? Okazuje się, że ma siostrę, niejaką

Chloe King. Tak, już ją poznałeś. Owszem, jest wybraną.
Pomogę ci ją znaleźć, żebyś nią również mógł się zająć.

TOM 3

WYBRANA

ROZDZIAŁ 1

– Hej, King, jak się czujesz?

Chloe zamknęła oczy i westchnęła, usilnie powstrzymując chęć oparcia głowy o znajdującą się za nią szafkę. Wiedziała, że Scott po prostu starał się być miły – nie próbował nawet żartować–jednak w rzeczywistości sytuacja stała się dla niej męcząca. Przez całe życie surfowała po płyciźnie oceanu licealnej popularności, ciesząc się skromną anonimowością.

Oczywiście teraz wszystko to się skończyło.

– Jestem tylko trochę zmęczona – powiedziała z mizernym uśmiechem i się odwróciła. – Ale czuję się zdecydowanie lepiej. Dzięki.

– Kobieto, ten szajs to poważna sprawa. Mój kuzyn to złapał i przez całe lato musiał uczyć się w domu, bo miał takie zaległości. Scott poprawił słuchawki i wykonał w jej kierunku gest jakby strzelał. – Nara.

Dlaczego to musiała być mononukleozą? – zastanawiała się po raz piętnasty tego dnia. Zараżenie się wirusem Epsteina–Barr było tylko zmyśloną wymówką, jaką Siergiej nakarmił dyrekcję szkoły, wyjaśniając długą nieobecność Chloe, ale nawet teraz, kiedy cała sprawa trochę przycichła, nie wierzyła, że ujawnienie prawdziwych powodów zostałoby dobrze przyjęte.

– Przepraszam za całą sytuację i moją kilkutygodniową absencję w szkole. – Chloe próbowała wyobrazić

sobie, jak tłumaczy się przed dyrektorem. – Widzi pan, jestem kobietą-kotem i musiałam ukrywać się z innymi pobratymcami 10 ogromnej rezydencji Firebird, to której mieści się także agencja nieruchomości, kiedy to próbowała mnie dopaść starożytna sekta przypominająca masonów, według których zabiłam jednego z ich najemników. Aha, i jeszcze jedno: mam dziewięć żyć i jestem duchową Przywódczynią ludzi wierzących, że są potomkami starożytnej egipskiej bogini.

No nie. Chloe jakoś nie wyobrażała sobie, że to zadziała.

Ale czy to nie mógłby być przynajmniej guz mózgu? Albo operacja nosa? – pomyślała. Spojrzała na Scotta, jak szedł przez korytarz, przybijając piątkę z napotykanymi przyjaciółmi. Chloe słabo go знаła, ale przynajmniej zareagował lepiej od większości. Na przykład Keira Henderson rozpowiadała wszystkim, że powinny zostać zorganizowane specjalne zajęcia zdrowotne poświęcone chorobom wenerycznym i Chloe.

Spośród wszystkich rzeczy, jakie Siergiej jej zrobił, to kłamstwo na temat mononukleozy „choroby pocałunków” – było najgorsze. A właściwie z tych rzeczy, które mogła mu w ogóle udowodnić. Trudno stwierdzić, kiedy trzymanie jej z dala od najemników zamieniło się w zwykłe ukrywanie. Bractwo Dziesiątego Ostrza, będące organizacją, której jedynym celem było starcie na proch rasy Mai, czyli ludzi-kotów, porwało mamę Chloe, upierając się, że zrobiło to dla jej własnego dobra. Podczas ostatecznej

rozgrywki w Presidio ich przywódca przysięgał, że Siergiej nie zawahałby się przed niczym, żeby tylko Chloe zerwała kontakt z ludzkimi przyjaciółmi oraz rodziną, i chociaż przez minionych kilka tygodni postrzegała go jako pewnego rodzaju zastępczego ojca, to wciąż zastanawiała się, czy przywódca jednak mówił prawdę.

Chloe naprawdę wierzyła, że jej życie stanie się normalne, kiedy tylko odejdzie od Mai, wróci do domu i zacznie chodzić do szkoły. *Bez szans.* Przynajmniej na razie. Odkąd dziewczyna poświęciła jedno ze swoich żyć, aby ratować mamę, Bractwo dało jej spokój. Wszyscy zdali sobie sprawę, że Chloe była „Jedyną”. Poza tym, ostatnio nie rozmawiała już z nikim z Firebirda i nadal nie do końca była pewna swoich uczuć do Siergieja, Brian zniknął, a ona wciąż była rozdarta między nim a Alekiem. *I jeszcze wszyscy myślą, że mam mononukleozę. Po prostu świetnie.*

Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Briana, ale od razu włączyła się poczta głosowa, podobnie jak dwadzieścia razy wcześniej. Do tego skrzynka była pełna. Nie odezwał się do niej od pamiętnej nocy, kiedy umarła, i powróciwszy do żywych ratowała mamę podczas strzelaniny między Mai a Bractwem. Brian był synem ich przywódcy, ale stanął po jej stronie – więc reszta braci poprzysięgła zemstę. Pożegnał się z Chloe przy jej oknie, całując ją przez szybę, po czym zniknął w mroku miasta.

– Hej, Selina, co tam? – zapytał Paul, podchodząc do jej szafki. Zwracał się tak do niej od kiedy powiedziała jemu i Amy o swojej prawdziwej naturze. Selina była alter

ego Kobiety–Kota i, jak podejrzewała Chloe, sposobem Paula na poradzenie sobie z faktem, że to ona otrzymała supermoce, a on – komiksowy geek – był zwyczajnym śmiertelnikiem. *Nieważne, byle pomogło mu się z tym uporać* – pomyślała Chloe.

– Powiedz mi, czy oprócz notorycznego zmęczenia i stania się obiektem drwin całej szkolnej społeczności, są jeszcze jakieś inne symptomy mononukleozy, o których powinnam wiedzieć? – zapytała Chloe.

– Wiem, że nie możesz jeździć do niektórych krajów w Afryce, ponieważ wirus EpsteinaBarr wchodzi w interakcje z pewnymi dziwnymi grzybami, co w rezultacie mogłoby cię zabić – powiedział dyplomatycznie Paul.

– Żadnych afrykańskich krajów, żadnych dziwnych grzybów. Sprawdzone, odhaczone. Od razu pomyślała o Stadzie z Nowego Orleanu, stworzonym głównie przez Mai, którzy postanowili zostać w Afryce, po tym jak zostali zmuszeni do opuszczenia Egiptu, by w końcu przenieść się do Luizjany.

– Jak sobie radzisz z zaległościami i w ogóle? Chloe westchnęła i ponownie oparła się o szafkę, kładąc ręce za głowę.

– Pomyślmy. Dodatkowe trzy tygodnie zawiłej trygonometrii, aby nadgonić z tematem, jakoś udało mi się ominąć czasy po wojnie secesyjnej, musiałam też po zajęciach, we własnym zakresie, w szkolnym laboratorium, ogarnąć reakcje utleniania. Aha – powiedziała pstrykając

palcami. – I *Moby Dick*. Całe to wielorybie mięso, drewniane protezy nóg i takie tam wszystko do najbliższego wtorku.

– Taa, do dupy – odpowiedział Paul.

– Sądzę, że nie wymyślono lepszego sformułowania, które oddawałoby tak trafnie moje aktualne położenie – skomentowała Chloe. Kiedy szli razem korytarzem do sali gimnastycznej, dziewczyna powłóczyła nogami całkowicie załamana. Wciąż nie zdecydowała, czy zrobić coś, co rozsądzi mózg pana Parmalee, czy raczej zastosować taktykę z *Tajemnic Smallville*, czyli próbować ukryć swoje nadprzyrodzone zdolności i zachowywać się jak zwyczajny, wątpły i niezdarny frajer.

– A co z... no wiesz? – Paul miał problem ze znalezieniem słów, co mu się rzadko zdarzało. Wykonał nieznaczny gest naśladujący wysuwające się pazury.

– Z dopasowaniem się do was, małpoludy, jak każda normalna ludzka istota? – Chloe zapytała oschle. – Paul, nie ma o co robić hałasu. Robiłam to przez całe życie.

Skinął głową, ale jego krzaczaste brwi się złączyły jak u postaci z anime, zdradzając niepokój. Chłopak śmignął przez korytarz w swoich hipsterskich spodniach, a Chloe zdała sobie sprawę, że nie widziała go w spodniach khaki od kiedy... właściwie, chyba od kiedy odkryła, kim jest naprawdę i spotkała Mai. Przepychając się w kierunku swojej szafki, przyszła jej do głowy pewna myśl: *Ciekawe, co jeszcze mi umknęło.*

Kiedy wieczorem wpadła do Amy, aby się pouczyć, jej zwykle pełna walających się ciuchów, zabałaganiona sypialnia wyglądała jak fabryka kostiumów, w której wybuchła bomba – pewny znak, że zbliżało się Halloween. Na każdej wolnej przestrzeni porozrzucane były styropianowe kubki wypełnione cekinami, koralikami, guzikami i innymi świecącymi rzeczami. Kawałki koronek i skrawki aksamitu pokrywały dosłownie wszystko. Pistolet do kleju, nożyczki, igły i maszyna do szycia przycupnęły w kącie, jakby w obawie, że pochłonie je panujący dokoła chaos i zostaną wykorzystane jako część stroju. Na wieszaku wisiało ostatnie dzieło dziewczyny, dziwnie uporządkowane na tle bałaganu w pozostałej części pokoju. Amy włączyła już muzykę na Halloween *Buffy: the Musical* huczał ze starych, szkolnych, drewnianych głośników ukrytych pod szpargałami do szycia.

– Zastanawiam się nad XVII wiekiem – powiedziała nastolatka, zbliżając palec do ust. – No wiesz, o co chodzi, w sensie nieumarli. Zombi, a nie wampiry.

– Taa. Wampiry są takie *passee* – wymamrotała Chloe, wymazując zadanie z matmy, nad którym właśnie pracowała, i zaczęła je rozwiązywać od nowa. Udało jej się uwić małe gniazdko na końcu łóżka przyjaciółki, a na kolanach ułożyć belę muślinu jako podpórkę. Jej notebook chwiał się niepewnie na książce od matmy, wypełnionej sinusami, cosinusami i innymi równaniami.

Amy uznała komentarz przyjaciółki za przyznanie jej racji.

– Wiem o tym! Absurd, prawda? Ale to będzie wspaniałe. Tym razem wykorzystam do gorsetu prawdziwe fiszbiny – znasz Dark Garden? Powiedzieli, że sprzedadzą mi kawałki spiralnych dwustronnych fiszbinów z zakończeniami, abym mogła je przetestować.

– Amy, ja tu próbuję nie zostawać w tyle – powiedziała Chloe, podnosząc książkę od matmy tak, żeby koleżanka mogła ją zobaczyć. – Bez obrazy, ale ja naprawdę muszę wziąć się do roboty.

– A, tak, sorry, nie ma problemu. – Amy zmarszczyła nos, a Chloe ledwo powstrzymała się od śmiechu. Kasztanowe kędziory Amy wiły się wokół jej twarzy, dosłownie wystrzeliwując spod wstążki próbującej utrzymać je w ryzach. W rękaw koszulki była starannie wpięta gigantyczna agrafka do dziecięcych pieluch, a na szyi zwisał centymetr krawiecki. – Od teraz poświęcam całą uwagę tylko szkole. – Wskoczyła z impetem na łóżko, aż Chloe dla bezpieczeństwa przycisnęła do piersi książkę i zabrała kalkulator. – Popatrz na to!

Amy wyjęła z tylnej kieszeni džinsów broszurę. Ostatnio często nosiła spodnie i to – jak na nią – zaskakująco obcisłe i dopasowane. *Kiedyś Amy raczej... hm... wystrzegala się ich, twierdząc, że są banalne i bez polotu* – Chloe starała się dobierać słownictwo właściwe licealistom. Wzięła broszurę do ręki i zaczęła czytać.

– FIT? Co to do cholery jest, jakaś nowa dieta?

– Nie, to jest sierót od Fashion Institute of Technology w Nowym Jorku. Najlepsza szkoła projektowania w kraju.

Bardzo prestiżowa.

Chloe spojrzała na zdjęcia: ludzie dziwacznie ubrani – tak jak Amy – siedzący w klasach, radośnie spacerujący, upinający szpilki na manekinach i projektujący na komputerach biżuterię.

– Nieźle. Wygląda wspaniale – skomentowała Chloe, oddając przyjaciółce broszurę. – Ale, wiesz... hm... masz na to jeszcze trochę czasu. Jesteśmy dopiero w drugiej klasie, pamiętasz?

– Tak. – Amy zaczerwieniła się i spojrzała w dół. – Ja, mmm... zamierzam skończyć szkołę rok wcześniej.

– Co? – Chloe wykrzyknęła, odkładając książkę na bok.

– Chloe, nic tu po mnie – westchnęła Amy. – Już chodzę na praktyki zawodowe, a do końca lata skończę jeszcze trzy kursy i będę już spełniać wszystkie wymagania.

– Ja... cholera! – wypaliła Chloe, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Jediną znaną jej osobą, która skończyła liceum wcześniej był starszy brat Halleya, certyfikowany geniusz, który dostał się od razu na MIT, [Massachusetts Institute of Technology (MIT) – Instytut Technologiczny w Massachusetts (przyp. red.)].**nie** FIT. To nie było w stylu ludzi takich jak ona, Amy czy Paul.

Jeszcze tylko rok i przyjaciółka niespodziewanie zniknie z jej życia.

– Właściwie to ty – to, co ci się przydarzyło – w dużej części wpłynęłaś na moją decyzję nieśmiało powiedziała

dziewczyna, patrząc na nią wielkimi, okrągłymi, niebieskimi oczami. No wiesz, przez ostatni miesiąc, kiedy cię nie było, kiedy byłaś zajęta całą tą sprawą z Mai, a żadne z nas nie wiedziało, co się dzieje, zaczęłaś żyć całkiem innym życiem. Jesteś kobietą-kotem, Przywódczynią swoich ludzi i zajmujesz się porachunkami sięgającymi setek lat wstecz, a masz dopiero szesnaście lat. I nadal chodzisz do szkoły. Ja też chcę mieć takie fajowskie życie.

Przez chwilę obie milczały.

– Nie jestem żadną Przywódczynią moich ludzi – wymamrotała w końcu Chloe, otwierając ponownie książkę od matmy.

Przez następne kilka godzin zachowywały się normalnie: Amy przeszkadzała Chloe w nauce, bo ciągle pytała ją, co sądzi o tej tkaninie czy tamtej koronce, a ta w odpowiedzi rzucała w nią różnymi przedmiotami. O ósmej trzydzieści zrobiły sobie przerwę, pani Scotkin zaparzyła im espresso i upiekła smorsy. [Amerykańskie ciastka w formie kanapki z krakersów z bardzo słodkim nadzieniem (przyp. tłum.).]

O dziesiątej przyjaciółki skończyły naukę i zaczęły oglądać *The Daily Show with John Stewart*.

Odwożąc Chloe do domu, Amy gadała jak nakrecona o tym i owym, wciąż spoglądając podejrzliwie na przyjaciółkę. *Próbowwała mi o tym powiedzieć od dłuższego czasu* – uświadomiła sobie Chloe. *Zbierała się na odwagę*.

Kiedy wjechały na podjazd, Anna King stała w oknie i wyglądała jej. Amy do niej pomachała. Chloe westchnęła i zacisnęła zęby. Anna King nigdy na nią nie czekała,

a nawet jeśli, to wyglądało jakby robiła coś zupełnie innego, na przykład oglądała telewizję lub czytała. Wyznawała filozofię szacunku i zaufania dla nastoletniej córki – z czym kompletnie nie zgadzał się jej były mąż. Chociaż Chloe ledwo go pamiętała, to utkwiło jej w pamięci, że jej adopcyjny tata był nadopiekuńczy. Zasugerował nawet, że jego córka nie powinna umawiać się na randki. Nigdy. Chloe zastanawiała się, czy to możliwe, że wiedział, jaka była jej prawdziwa natura Mai, człowieka – kota – i o tym, że każdy, z którym weszłaby w bardziej intymne relacje, umarłby.

Machając Amy na pożegnanie, nastolatka patrzyła, jak czarne malibu przyjaciółki znikają w ciemnościach nocy, a czerwone, tylne światła samochodu mały niczym płomień gasnącej zapałki. W końcu trzeba było iść do domu.

– Hej... – Chloe weszła do ciepłego wnętrza.

– Hej, Chloe. Jak minął dzień? – Mama zmywała naczynia, a jej głos brzmiał całkiem zwyczajnie. Przez moment Anna King wyglądała jak typowa pani domu z przedmieść, a nie jak samotna matka, w dzień pracująca jako prawniczka, a w nocy opiekująca się adoptowaną, szurniętą dziewczyną–lwem. Chociaż teoretycznie wszystko wróciło do normy, Chloe wciąż nie mogła sobie darować, że dopuściła do porwania mamy.

–W porządku. U Amy udało mi się zrobić większość matmy, a jeśli jeszcze wieczorem zdołam przebrnąć przez jakieś pięćdziesiąt stron *Dicka*, będę mistrzem.

– Ja naprawdę bardzo cię proszę, żebyś nie nazywała

tak tej książki – powiedziała Anna, przez sekundę uśmiechając się ironicznie w tak charakterystyczny dla niej, prawniczomaczkowy sposób. – Chcesz coś do jedzenia?

W lodówce nagle zaczęło pojawiać się pełno mięsa, i chociaż Chloe chciała, aby mama darowała sobie to ugrzecznione i krepujące wsparcie, to tak naprawdę była jej za to wdzięczna. Nie zrezygnowała całkowicie z diety Atkinsa, ale od kiedy po raz pierwszy wysunęły się jej pazury, zdecydowanie bardziej preferowała rzeczy słone i krwiście czerwone.

Wampiry są takie passe – pomyślała. Teraz w modzie są koty.

– Później coś tam skubnę. Naprawdę chciałabym to dokończyć. Zaczęła wchodzić na schody prowadzące do jej pokoju.

– Chloe?

Zatrzymała się i wzdrygnęła, słysząc szczerłość w głosie matki.

– Jestem z ciebie naprawdę dumna. – Choć krótkie włosy mamy były gładko zaczesane i związane z tyłu głowy w dwa małe kucyki, to wciąż wyglądała rodzicielsko i dojrzałe. – Nie tylko dlatego, że tyle przeszłaś, ale także dlatego, że teraz tak ciężko pracujesz, żeby nadrobić zaległości w nauce. Myślę, że odwalasz kawał dobrej roboty.

– Dzięki – odezwała się Chloe. Nie wiedziała, czy powinna powiedzieć coś więcej, ale mama skinęła tylko głową i wróciła do zmywania naczyń.

Po tym, co wydarzyło się w Presidio, odbyły ze sobą bardzo szczerą rozmowę na różne tematy. Chloe opowiedziała o swoich tajemniczych mocach, rasie Mai, Bractwie Dziesiątego Ostrza, które ją porwało, o tym, jak umarła i zobaczyła rodzoną mamę. Anna sączyła szkocką i słuchała. Na końcu obie się rozplakały, wyściskały i tyle.

Ale coś zmieniło się między nimi i już na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze. Nie było sensu ignorować faktu, że przyjmując na siebie kulę i umierając, uratowała życie matki, ale straciła jedno z pozostałych ośmiu żyć. Coś takiego trudno było zaakceptować Annie King, która mimo wszystko wciąż postrzegała siebie jako obrońcę i strażnika.

Chloe nie była zadowolona, że mama obchodzi się z nią jak z jajkiem, próbując jakoś radzić sobie ze swoją nastoletnią córką–superbohaterką. *Powinnam zrobić coś złego i dostać szlaban* prawie zdecydowała. *Szybko wszystko wróciłoby na swoje miejsce.*

Zadzwoiła jej komórka – a raczej komórka Amy, z wbudowanym GPS, która pozwoliła odnaleźć Chloe, kiedy ta pertraktowała z Bractwem Dziesiątego Ostrza o życie mamy. Jeszcze nie oddała telefonu przyjaciółce, co było kolejnym urwanym wątkiem całego zajścia. *Choć zdecydowanie nie najgorszym.*

- Hej! – Przywitała się, rozpoznając numer Aleka.
- Cześć, dziewczyno! Zgadnij: skąd dzwonię?
- Z after party? – strzeliła.

– Dokładnie! Dasz wiarę? Nie mają piwa!

– Niesamowite. To podobnie jak u nas – odpowiedziała ze zmęczeniem w głosie Chloe i się uśmiechnęła, upuszczając książki. – Jak było na koncercie?

– Nieźle. Ale zaczynam dochodzić do wniosku, że flet jest dla frajerów. Zamierzam nauczyć się grać na pikolo. Kiedyś uważałem je za totalnie pedalskie, ale potem zauważyłem, że po jednej solówce wszystkie laski są twoje.

– No to nieźle, Alek.

– Hej, muszę spadać, ale zobaczymy się jutro, OK?

– Taa, do zobaczenia – odpowiedziała Chloe i cmoknęła do słuchawki. On też cmoknął i rozłączyli się.

Wyciągnęła z torby *Moby Dicka*, położyła się na łóżku i powoli odnalazła miejsce, w którym skończyła czytać.

OK. Jest jedenasta piętnaście. Jeszcze ze dwie godziny i będę miała to z głowy.

Ale szybko przestała się łudzić. Nie bawiło ją już nawet to, że spora część książki opowiadała o wielorybie z gatunku ze spermą w nazwie. [Sperm whak – angielska nazwa kaszalota (przyp red.).] Zaznaczyła palcem stronę i wyjrzała przez okno.

Wschodził okrągły, zniekształcony księżyc, zbyt jasny jak na nów. Amy będzie taka zawiedziona – na Halloween nie będzie księżyc w pełni, tylko malejący. Zanim stała się prawdziwą Mai, nie zwracała na coś takiego uwagi. Mgła albo smog zakryły dół księżyca i znajdujące się poniżej gwiazdy.

Gdzieś tam był Brian. Ostatnie brakujące ogniwo

walki. Przyczynili się do tego wszyscy pozostali kluczowi gracze.

Chloe wyjrzała ponownie na zewnątrz, po czym wróciła do lektury.

ROZDZIAŁ 2

Znowu miała ten sen.

Wiedziała, że tylko śni, ale w żaden sposób nie mogła powstrzymać tego, co miało się zdarzyć. Jego ramiona pokryte były tatuażami i bliznami, układającymi się w napis *Sodalitas Gladii Decimi*. Ubrany był w matową czerń i przypominał cień. Jego oczy były błękitne z domieszką jakiegoś szaleństwa.

Zaraz, coś mi to – przypomina...

A potem zaczęła biec.

Wbiegła w jakąś uliczkę, chociaż wiedziała, że to był błąd. W koszmarze tylko tak mogła postąpić. Ciemność całkowicie pochłonęła Chloe, i zanim wypłuła ją na drugi koniec uliczki, wyrosła przed nią brama zwieńczona drutem kolczastym.

Pierwsza rzucona przez niego gwiazdka trafiła ją w nogę. Druga dosięgła nadgarstek. Kiedy upadła, pochylił się nad nią i wymachiwał srebrnym sztyletem, który mógł zakończyć każde z jej ośmiu żyć. Uśmiechnął się prawie ze smutkiem i podciął jej gardło.

Chloe usiadła na łóżku cała zlana potem.

– Siedem żyć – powiedziała na głos. – Ja mam siedem. To była moja siostra, nie ja.

W tych snach zawsze chodziło o jej siostrę, inną potencjalną Wybraną, która została zamordowana rok wcześniej. Raz na jakiś czas śniła jej się też biologiczna

matka i jej dążenie sprzed dwudziestu lat do zjednoczenia wszystkich wschodnioeuropejskich ras Mai. Natomiast nigdy nie śniła o swoim bracie, choć podobno go miała – czy to oznaczało, że wciąż żył? A może w nocy uwalniały się tylko wspomnienia zmarłych?

Budzik pokazywał czwartą siedemnaście. Na zewnątrz wciąż było ciemno, a gwiazdy świeciły w tę najzimniejszą część nocy. Chloe wstała i otworzyła okno, pozwalając, aby mroźne powietrze ją orzeźwiło. Nie było mowy, żeby udało się jej ponownie zasnąć.

Chloe po raz ostatni zerknęła na łóżko, po czym wskoczyła na parapet, zeskoczyła na ziemię i zniknęła w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 3

– Chloe? Chloe?

Znajomy głos zrzędził jej nad uchem. Chloe podpływała nieprzytomnie w kierunku świadomości, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że ścierpło jej lewe ramię, które przygniotła do biurka.

– Może ty rzeczywiście masz mono – powiedział Paul, kopiąc w krzesło i próbując ją obudzić. – Koleżanko, trygonometria się skończyła. Dobre wieści są takie, że Abercrombie wystrzelił jak z procy, bo miał pilny telefon.

– Gnnerrrrhh – odpowiedziała Chloe, próbując jednocześnie otworzyć usta.

– Co się z tobą dzieje? Zarywasz noc? Zostało ci tylko parę tygodni, żeby nadrobić zaległości.

– Taa, przechodzę przez bardzo ciężki okres i próbuję jakoś się trzymać. No wiesz, nie można nauczyć kota sztuczek. Czy coś w tym stylu. Jestem głupim kotem – przeciągnęła się, a ponieważ w pobliżu nie było nikogo, wysunęła też pazury. Paul jeszcze nie do końca przyzwyczaił się do tego widoku, dlatego też stał z szeroko otwartymi oczami.

Mam ich znowu okłamywać. Cóż za wspaniałe sposoby, aby zacząć wszystko od nowa.

– Taa, rzeczywiście, dlatego jesteś w klasie z zaawansowaną matmą. Bo jesteś głupia rzucił jej oschle Paul.

Chloe wzruszyła tylko ramionami i darowała sobie odpowiedź.

– Później Kim ma mi pomóc z francuskim.

– To Kim mówi po francusku?

– Bezbłędnie. To trochę upiorne.

Oczywiście, już samo patrzenie, jak dziewczyna rasy Mai, z dużymi kocimi uszami, oczami i kłami robi coś normalnego było upiorne, ale z jakichś powodów odmiana czasowników i czytanie na głos *Les Liaisons Dangereuse* wydawało się szczególnie niepokojące.

– Masz zamiar iść... eee... tam? – zapytał Paul, mając na myśli Firebirda. Podejrzewała, że jeśli w ogóle kiedykolwiek miałby wypowiedzieć na głos słowo Mai, to raczej byłby to szept, podobnie, jak robiła to jej babcia, kiedy mówiła „homoseksualista”.

– Nie, raczej nie. Idziemy na kawę albo herbatę – powiedziała Chloe, wpakowując notatki do torby i wkładając ołówek za ucho.

– Chyba nie masz zamiaru tam wrócić, prawda? – zapytał Paul.

Miał całkowitą rację. Kiedy trafiła tam po raz pierwszy, myślała, że znalazła się w raju Alek, Olga i Siergiej nie tylko bronili jej przed łowcami z Bractwa Dziesiątego Ostrza, ale także pokazali jej całkiem nowy świat. Pomogli ustalić, kim była jej biologiczna matka. Wspierali ją i zabrali...

...i ukryli ją tam. Wszystko musiała robić wspólnie z nimi. Nie mogła nawet wyjść sama „dla własnego bez-

pieczeństwa”. W końcu zaczęła ich postrzegać jako pewnego rodzaju sektę.

Poszczególni członkowie byli w porządku, jak Alek i Kim, jej nowi najbliżsi przyjaciele. Igor i Valerie byli nieszkodliwi, chociaż całkowicie dali się przekonać do filozofii tego miejsca.

Nie chciała tylko myśleć o Siergieju.

Nie było żadnych dowodów, że to on wysłał specjalną grupę wojowników Maikizekhów aby zabili jej mamę. Podczas jedynej prawdziwej ucieczki z Firebirda, kiedy to „chronili” Chloe przed Bractwem, Amy i Paul stwierdzili, że według nich w jej domu działo się coś dziwnego jak chociażby to, że od dłuższego czasu nie było tam jej mamy. Jak tylko Chloe zorientowała się, że została ona porwana, Kim sama zaproponowała swoje wyjątkowe kocie zdolności, aby sprawdzić dom w poszukiwaniu jakichś tropów. Dziewczyna z kocimi uszami wywęchała ślady nie tylko ludzi z Bractwa, ale także Mai. Co oni tam w ogóle robili? Jeśli mieli tylko obserwować i chronić jej mamę, to Siergiej na pewno by jej o tym powiedział... prawda?

Kim dość posępnie dała Chloe do zrozumienia, że nie była pierwszą Mai wychowaną przez ludzkich rodziców, którzy „zniknęli”, aby sierota mogła wrócić do swoich. Nawet jeśli Siergiej nie planował zabić jej mamy, to jednak nie zgodził się ratować jej przed Bractwem Dziesiątego Ostrza. Kiedy w końcu Chloe zdecydowała się „naprawić” wszystko i sama odnaleźć mamę, w Presidio zjawily się dwie walczące ze sobą strony – a wśród nich Kim, Alek,

Paul i Brian aby zmierzyć się w ostatecznej wielkiej walce, podczas której Chloe straciła jedno ze swoich żyć.

Siergiej oddał strzał, ale dziewczyna wciąż nie była pewna, dla kogo przeznaczona była kula. Czy na pewno dla Briana, a nie dla jej mamy? A może dla Chloe? Siergiej przyjął ją do siebie i traktował jak własną córkę: czytał jej książki, grał z nią w szachy, jadł z nią kolację i robił to, co każdy ojciec, a czego ona nigdy nie zaznała od swojego prawdziwego oraz adopcyjnego taty, który ulotnił się, kiedy była mała. Poza tym, cała ta sprawa z byciem Wybraną – nie mogła sobie z tym poradzić. W rzeczywistości to mogło oznaczać, że Siergiej będzie stać na czele Mai, a to było coś, o czym Chloe nie chciała myśleć, ani tym bardziej rozmawiać.

– Taa, na razie dałam sobie spokój z tą kocią budą – przyznała.

– Nie dziwię ci się. Hej, a mówiłem ci, że mam przesłuchanie w sprawie puszczenia muzy na szkolnym balu? – W rękę trzymał dwunastocalowe płyty i machał nimi podekscytowany – Masz zamiar wygrzebać dla nich gramofon, czy jak? – zapytała zimno Chloe.

Zaczęli iść w kierunku biura „Lantern” – szkolnej gazetki, w której pracował Paul, dzięki czemu mógł tam zaglądać i miał dostęp do komputerów.

– Co? Nie. Oni raczej nie są w tych klimatach. Kupiłem te płyty od Justina. Zamierzam użyć iPod'a i komputera.

– Wow. To takie oldschoolowe.

– Odwal się, King. Przynajmniej w tym roku posłuchamy kilku dobrych kawałków.

– No dobra, ale czy da się do tego tańczyć?

– Liczę, że wyjdiesz na parkiet pierwsza, aby rozkręcić zabawę – powiedział poważnie Paul. – Obiecałem już Amy i jej gotyckim przyjaciółom, że na początek puszcze Switchblade Symphony i New Order.

– Wiesz, właściwie to czasami mógłbyś coś napisać do tej gazetki – powiedziała Chloe, kiedy Paul otwierał drzwi do biura „Lantern”. Dziewczyna nie pracowała w redakcji, ale często korzystała z ich kanapy i komputerów. – Wykorzystaj swoją rozległą wiedzę muzyczną.

– Poprowadź kolumnę z nowościami płytowymi czy coś w tym stylu. Zdobądź kilka punktów do college’u.

Ze co? – Zatrzymał się i zastanowił się przez chwilę. – Z pewnością byłoby to lepsze od pisania gównianych artykułów dla pierwszaków. Cóż, dlatego to ty jesteś mózgiem całej operacji.

E tam, tylko same mięśnie. I pazury. – Paul otworzył drzwi przed Chloe, a ta poczłapała do środka, zamierzając rzucić plecak na kanapę, jak to miała w zwyczaju, zanim sama na niej wyląduje, ale zatrzymała się w połowie zamachu, w samą porę, aby nie trafić pięcio-kilowym ciężarem w głowę Amy. Dziewczyna kartkowała egzemplarz magazynu „The Nation”, z grzecznie założoną nogą na nogę, udając zaskoczoną widokiem Chloe i Paula.

Hej, ludziska – przywitała ich Amy jakby od niechcienia. – Co tam?

Niewiele. Jak się tu dostałaś? – W głosie Paula nie słysząc było żadnych emocji, choć prawdopodobnie nie było mu obojętne, że jego dziewczyna postanowiła go zaskoczyć zjawiając się bez uprzedzenia w jego półprywatnym pokoju. Kiedy Chloe wyjdzie, pewnie odbędzie się małe migdalonko – a cóżby innego?

Carson mnie wpuścił. – Amy dyskretnie wskazała kciukiem ponad ramionami. Ktoś grzebał w magazynku z zaopatrzeniem.

– Mogę się zmyć... – zasugerowała Chloe. Będzie musiała znaleźć inne miejsce na drzemkę – może w Sali gimnastycznej, pod trybunami? Mogliby ją znaleźć tylko woźni lub dilerzy, ale żaden z nich nie pojawiłby się prędzej niż po zakończonych lekcjach.

– Nie, spoko – powiedziała Amy, odkładając gazetę na bok.

– To dobrze. – Chloe odetchnęła z ulgą i zaległa obok przyjaciółki, natychmiast zwijając się w kłębek i kładąc głowę na jednej z wyświechtanych i lekko zakurzonych poduszek.

Carson wyszedł z magazynku i piorunował wzrokiem całą trójkę.

– Paul, ty zdaje się jesteś naczelnym. Pracujesz tutaj i nie możesz używać tego miejsca jako prywatnego klubu spotkań.

– W zasadzie to teraz jestem recenzentem – powiedział Paul z diabelskim uśmiechem.

– Mam pewien pomysł – odezwała się zaspana Chloe

z kanapy. – Ty nie piśniesz słówkiem, że tu byliśmy, a my nie powiemy Keirze, że zeszłej nocy świruszyłeś z Halley.

Carson nawet nie próbował zaprzeczać i nabzdyczony wrócił do magazynku.

– A skąd my to wiemy? – zapytała Amy, spoglądając na Chloe.

Paul wskazał na swój nos i wykonał gest naśladujący kota wyciągającego pazury.

– A, tak. Niezła robota, Chloe. Ale ona już mocno spała.

Wieczorem Alek zaprosił ją na kolację – wprawdzie do niedrogiej restauracji, ale przynajmniej nie był to McDonald's – podczas której plotkowali o trasie zespołu. Był w tym równie wredny jak dziewczyny, a jego pełne zachwyty oczy świeciły, kiedy opowiadał o eksplozjach i klęskach wynikających z różnych miłosnych przygód, które się mu przytrafiały. Nic dziwnego, że nie przeszkadzał mu kultowy aspekt Firebirda: dla niego była to jedna wielka opera mydlana.

Oświetlenie restauracji było posepnie fluorescencyjne, a wystrój wnętrza stanowiło wypłowiałe plastikowe akwarium, ciągnące się od odrapanego baru do ławki, do której przyklejał się tyłek. Za wielkimi, szklanymi oknami panowała głęboka ciemność, którą rozjaśniały wyłącznie reflektory przejeżdżających tędy od czasu do czasu autobusów przypominało to bar na słynnym obrazie Edwarda Hoppera. Daleko mu było do Firebirda, z jego aksamit-

nymi zasłonami i mahoniowymi stołami.

W tym samym miejscu Alek, Kim, Paul i Amy jedli po walce w Presidio, nie wiedząc, jaka czeka ich przyszłość. Chloe pojechała z mamą do domu, gdzie odbyły długą rozmowę o tym, co córka ukrywała przez minione miesiące: pazury, rasa Mai, wszystko. Potem Brian pożegnał się z Chloe przez okno jej sypialni.

W zasadzie nie powinna o nim myśleć podczas kolacji z Alekiem, ale to było silniejsze od niej. Kiwała głową na znali, że słucha i pochrząkiwała w regularnych odstępach.

– ... i wtedy wystrzeliłem z tyłka płonące kurczaki – zakończył Alek, gryząc kawałek frytki nabitej na widelec.

– Ze co? Sorry – powiedziała Chloe, kiedy w końcu dotarło do niej, co właśnie powiedział.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Mówią coś o wyborze króla i królowej balu – jak w jakimś starym tandetnym filmie, czy coś.

– Aha. Dziwne. – Gapiała się przez okno, patrząc w ciemność i starając się, aby jej oczy nie zwęziły się jak u kota. Czuła, jak napinają się jej mięśnie.

– Czy o czymś chcesz mi powiedzieć, Chloe King? – zapytał, marszcząc żartobliwie brwi, ale dziewczyna widziała w jego oczach niepokój.

W tej chwili mogła być z nim szczerą, mogła powiedzieć jak bardzo czuje się skołowana całą sytuacją z nim i Brianem, nawet teraz, kiedy ten drugi gdzieś przepadł. *Nie, nie. Jeszcze nie teraz.* Po prostu nie mogła.

– Pamiętasz, jak byliśmy u Chińczyka. – Zapytał za-

miast tego. – Powiedziałeś mi wtedy, jak czasami trudno ci zrozumieć zwyczajnego człowieka i jego normalne życie.

– Tak. Zamówiliśmy kurczaka i kluseczki *lo mein* z warzywami w dziesięciu smakach. Przypomniał sobie z rozrzewnieniem.

– Jak ty to robisz? – Chloe zapytała z powagą. Uniósł brwi, zaskoczony bezpośredniością pytania.

– Nie wiem... Zaczął się wiercić, czując się niezręcznie, niczym zwykły, ludzki nastolatek. Kosmyk gęstych blond włosów opadł mu na oczy. – No wiesz, w szkole świetnie się ze wszystkimi bawię, ale nie jestem z nimi zbyt blisko. Myślą, że to przez moje rosyjskie korzenie albo super popularność, czy coś takiego. I... – Zmarszczył brwi zastanawiając się nad czymś. Poza tym, mam mamę i tatę, kiedy raczą wrócić do domu, no i są pozostali – no wiesz, dorastałem wśród Mai. Otaczany przez nich opieką. Łatwo być „normalnym” za dnia, jeśli nocą możesz się odprężyć wśród swoich.

– No tak. Racja – pośepnie odpowiedziała Chloe, wyobrażając sobie własną mamę i ich wspólne wieczory w domu. Nie do końca odprężające. Podejrzewała, że jeśli istniałaby książka zatytułowana/[^] *sobie poradzić z adoptowanym dzieckiem rasy Mai,]e]* matka z pewnością już dawno by ją przeczytała, a następnie dopilnowała, aby Chloe doceniła swoje pochodzenie. *To trudne w sytuacji, kiedy moja tożsamość etniczna jest jedną wielką tajemnicą, a moi ludzie mogą – i to robią – w biegu zabić jelenia pazurami.*

– No i...jesteś inna, Chloe. – Kontynuował delikatnie.
– Różnisz się nawet od nas. Jesteś naszą duchową Przywódczynią – masz dziewięć żyć. Chloe, umarłaś, by po chwili wrócić do żywych. I to dwa razy. A to sprawia, że jesteś inna niż wszyscy.

Dziewczyna zaczęła głośno siorbać czekoladowy shake, żeby zagłuszyć to, co mówił. Chodziło o poważne kwestie – śmierć, życie pozagrobowe, bogini Mai, Bóg – pojęcia sprzed tysięcy lat, nieskończoność – a ona naprawdę nie była gotowa teraz o rym myśleć. Może nawet nigdy. Umieranie i zmartwychwstanie było dziwne. I nie chciała, żeby jej aktualne nudne szkolne życie miało z tym coś wspólnego.

– Przepraszam – odezwał się nagle Alek, dostrzegając jej spojrzenie. Delikatnie dotknął ręką jej policzka.–Nie musimy o tym rozmawiać. Ale sama spytałaś. Sądzę jednak, że powrót do twojego starego życia będzie dość trudny, Chloe.

– Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam – odburknęła.

– OK, a co powiesz na taką: jeśli będziesz uprawiać ze mną seks – ale taki prawdziwy obiecuję, że znikną wszystkie twoje problemy. W tym twój trądzik.

Chloe parsknęła śmiechem. Tego właśnie teraz potrzebowała – pośmiać się, choćby przez chwilę, przestać myśleć o tym, co nieuniknione.

– Moment – powiedziała, nagle otrzeźwiawszy. – Jaki trądzik?

ROZDZIAŁ 4

– *Il faut que nous parlions* – cierpliwie powtarzała Kim.

– *Il faut que nous parlions* – powiedziała Chloe, starając się dokładnie naśladować akcent.

– Lepiej. A teraz, czy potrafisz odmienić w trybie łączącym terazniejszym czasownik *parter*? Siedziały na dachu kawiarni Cafe Eland, Chloe piła latte, a Kim zieloną herbatę. Chociaż ta druga coraz bardziej interesowała się codziennym życiem Chloe w San Francisco, tym co robią „normalne” nastolatki, to jednak była zbyt nieśmiała, aby ją o to zapytać. Sporo wysiłku kosztowało Chloe namówienie Kim na spotkanie poza Firebirdem i wyjaśnienie jej, jak korzysta się z środków komunikacji publicznej.

– *Parte, parles, parte, parlions, parliez, parlient...*

– *Parlent* – poprawiła ją Kim. Zastrzygła jednym uchem, a jej oczy na chwilę się zwężyły. Twoi przyjaciele tam są – w kawiarni na dole. Właśnie weszli.

– Amy i Paul? Nie umawiałam się z nimi dziś wieczorem – powiedziała Chloe, zaciekawiona. Pragnęła zrobić cokolwiek innego, byle tylko nie odmieniać już czasowników.

– Może są na randce? – zapytała nieśmiało Kim.

– Może. – Chloe podczołgała się do kratki wentylacyjnej i przyłożyła do niej ucho. Nie miała tak dobrego słuchu jak Kim, ale i tak był kilka razy lepszy niż

u przeciętnego człowieka. Chwilę zajęło jej odseparowanie interesujących ją dźwięków od tych nieistotnych, jak szuranie krzeseł o podłogę, odgłosy kasy czy rozmowy innych ludzi, zanim rozpoznała głosy przyjaciół.

– Taa, trochę świrowała, kiedy jej o tym powiedziałam. – To była Amy, która rozsiadła się w jednym z dużych i wygodnych foteli. Chloe wyobraziła sobie, jak jej przyjaciółka wsuwa długie nogi pod siebie, wyglądając w ogromnym fotelu jak mała dziewczynka. *Pretensjonalnie, ale uroczo.*

– No cóż, to niezły news. – To był z kolei Paul, mieszający gorącą czekoladę z dodatkowym cukrem.

– Ale ty nie świrowałeś.

– Chcę dla ciebie jak najlepiej. – Przez chwilę nic nie mówił, ale dało się słyszeć jak ktoś przeciska się koło nich, usiłując przejść.

– Jesteś gotowy na związek na odległość? – zapytała radośnie Amy, ale w jej głosie było coś nie tak, jakieś napięcie. Pewnego rodzaju test – jakby wiele zależało od odpowiedzi na to pytanie.

Paul westchnął, a próbując to ukryć, dmuchnął w swój napój.

– Amy, nie jestem pewien, czy jesteśmy gotowi nawet na związek nie na odległość odpowiedział w końcu.

Zapanowała długa, lodowata cisza. Nawet Chloe wstrzymała oddech.

– A co to niby ma znaczyć?

– Ja... My... Nie było... Nie czułaś ostatnio niczego

dziwnego?

– Cóż, tak. – Amy prawdopodobnie zmarszczyła nos i przybrała ten swój sarkastycznozagniewany wyraz twarzy. – A co z ratowaniem Chloe i jak im tam, ludźmi–kotami, i zbliżającym się Halloween, i w ogóle... I co na to powiesz, Paulu Chunie?

– Nie wiem. Od kiedy Chloe wróciła, jest niby jak za dawnych czasów. Może to „my” to tylko takie odstępstwo od normy. Takie przyjemne – dorzucił szybko. – A może usiłowaliśmy przypisać zbyt wiele zwykłemu seksualnemu napięciu i innym, dziwnym rzeczom, jakie miały miejsce.

– Wcale nie jest jak za dawnych czasów, dupku – warknęła Amy. Zazwyczaj używała tego słowa w sposób pieszczotliwy, ale teraz w jej głosie nie było zbyt wiele ciepła. – Chloe jest świrniętą kobietą–kotem. I żyje z innymi ludźmi–kotami. A ci są ścigani przez kolejnych szaleńców.

Żołądek Chloe ścisnął się do rozmiarów piłeczki. Amy właściwie nie mówiła o niej nic złego, ale kiedy wspomniała o niej i o jej życiu, zabrzmiało to jakoś... zimno. Kim odwróciła głowę, udając, że nie słucha.

– I jeśli jest już jakiś problem między nami, to dotyczy on nas – kontynuowała Amy. – Chloe zostaw w spokoju.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, co dla dwójki przyjaciół musiało być dość niezręczne. Kiedy odezwała się Amy, w jej głosie słychać było rozpacz.

– Ja ostatnio czułam się całkiem szczęśliwa – powiedziała szybko i z trudem, połykając słowa, zupełnie jak

ktoś, kto próbuje powstrzymać łzy. – Wiem, że byłam zajęta... Co w tym złego?

Chloe odsunęła głowę od kratki wentylacyjnej, wołała dalej nie słuchać. Czuła się trochę zniesmaczona, że usłyszała aż tyle. Gdyby to był ktokolwiek inny albo ktoś z jej przyjaciół, w ogóle by się tym nie przejęła. Prawdopodobnie słuchałaby dalej. Ale to było zdecydowanie zbyt osobiste.

– Zrywają ze sobą – powiedziała bezbarwnym głosem, czołgając się z powrotem w stronę Kim. – Albo raczej to Paul rzucają.

Kim nic nie powiedziała, tylko przyglądała się jej swoimi dużymi, zielonymi, kocimi oczami.

– Powinam się była domyślić, że coś się święci – kontynuowała Chloe. – Powinam była się zorientować. Ostatnio nie spędzali ze sobą tyle czasu co zwykle, a Paul sprawiał wrażenie, jakby nie potrzebował jej bliskości.

– A o co jej chodziło z tymi wielkimi newsami? – zapytała Kim, nagle uświadamiając sobie, że przecież udawała, że nie słucha. Rozejrzała się wkoło niepewnie, ale wcale się nie zarumieniła. *Całkiem jak kot* – pomyślała Chloe, uśmiechając się lekko w duchu.

– Skończy liceum rok wcześniej. Naprawdę mnie to wkurzyło – westchnęła. – Nigdy przedtem nie wspominała mi o tym, sama nie wiem, to stało się tak nagle.

– Wygląda na to, że każde z waszej trójki wybrało w życiu inną ścieżkę – powiedziała wolno Kim.

– Mam nadzieję, że nie zaczniesz mi teraz znowu ga-

dać o tym całym gównie i byciu Wybraną – rzekła znacznie oschlej niż zamierzała.

Kim skierowała wzrok na książkę do francuskiego.

– Nic ponadto, co powiedziałam. Ale tobie będzie zdecydowanie trudniej uciec od swojego... dziedzictwa, trudniej, niż ci się wydaje.

Dziewczyna cieszyła się, że Kim nie użyła słowa „przeznaczenie”, ale i tak nie podobało jej się to, co usłyszała.

– Mam dość ludzi, którzy wciąż mi o tym mówią! – Chloe wstała. – Mam szesnaście lat. Do tej pory żyłam jak „normalny człowiek”. Nie mogę teraz nagle wszystkiego zmienić. Chcę mieć dobre stopnie, imprezować, tańczyć, iść do college'u. Co jest już trudne, biorąc pod uwagę, ile straciłam tygodni! Nie mam na to wszystko czasu, na nagłe rozstanie Amy i Paula, na dziwne zachowanie mojej mamy...

– Chcesz wrócić do dawnego życia.

– Tak, ja... już się zamykam.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy z tym skończymy? – zapytała Kim. To zbiło Chloe z tropu.

– Że co?

– Kiedy skończymy z lekcją francuskiego, co zrobisz?

– Mam zamiar, eee... – *Wrócić do domu, poczytać i pójść spać.* Każde z tych słów było starannie przemyślane i dobrane, korzystała z nich wiele razy, odkąd wróciła z Firebirda. Nie mogła jednak skłamać prosto w jej kocie oczy. Chloe myślała o tym, co powiedziała jej Amy na

temat Kim, i zastanawiała się, czy ta rzeczywiście mogła kogoś oszukiwać. – ...pobiegać – dokończyła nieporadnie, pewna, że przyjaciółka będzie wiedziała, o co jej chodzi.

Kim pochyliła się nad Chloe i w dotykając ją w nietypowy sposób, zamknęła jej dłoń w kocich łapach.

– Chloe, cokolwiek zadecydujesz – powiedziała spokojnie – nie okłamuj samej siebie.

Kiedy gnała przez miasto, przeskakując i koziółkując przez dachy i słupy elektryczne, Chloe myślała o słowach Kim. Nie mogła zignorować tego, że wymykając się nocą postępuje nieuczciwie, marnuje czas, zamiast odrabiać lekcje i okłamuje innych. Wcześniej – kilka tygodni temu – byłaby w stanie zignorować to wszystko i cieszyłaby się daną jej wolnością nocy. Teraz jednak nie mogła.

Chloe.

Natychmiast się zatrzymała. Usłyszała szept, prawie glos, jakby ktoś ją wzywał. Zerwał się wiatr, gwizdzący między starymi, zepsutymi antenami, które wciąż zdobiły dachy niczym kolce kaktusa. Chloe skierowała nos pod wiatr i odwróciła głowę, nastawiając uszy, aby lepiej usłyszeć znajomy ton.

– Miau.

Bez zastanowienia obróciła się i ruszyła w kierunku dźwięku, przeskakując przez przepaść między dachami domów. Na jednym z nich, przed kominem grzewczym, siedział sztywno wyprostowany czarny kot. Miał białe wąsy i także krawacik oraz skarpetki. Kot mleczarza – jak powiedziałyby jej mama. Taki, który włóczy się w pobliżu

stodoły, łapie myszy, a w nagrodę dostaje miseczkę świeżego mleka.

A co on tutaj robi? – zastanawiała się Chloe. Rozejrzała się w poszukiwaniu otwartych drzwi lub uchylonego świetlika, podczas gdy kot ostrożnie podniósł łapkę i zaczął ją lizać, jakby miał mnóstwo czasu i nie był małym koteczkiem na zimnym dachu, w wielkim mieście, do którego nadciągała zima.

– Hej, malutki. Chloe zorientowała się, że będąc Mai, powinna znać kocią mowę czy coś w tym stylu – ale najwyraźniej tak nie było. Na moment kot przestał lizać łapę, by po chwili wrócić do przerwanej zajęcia.

– Nie powinieneś tu być. Zgubiłeś się?

– Chloe podkraśla się bliżej, mówiąc do niego „Idei, kici” jak do kota Amy, Faraona, który zawsze podbiegał na ten dźwięk. Przykucnęła i zaczęła wysuwać rękę w kierunku małego kotka, ale ten wskoczył na czubek komina i znalazł się poza jej zasięgiem.

– Miau! – zamiauczał jeszcze głośniej.

– No dalej, chodź tutaj. – Chloe zaczepiła się pazurami o cegły i szykowała się do skoku. Mógłbyś prześcignąć zwykłego śmiertelnika, ale obawiam się, że... – Wyciągnęła rękę w górę, ale zanim wysunęła pazury, kotek zdążył już zeskoczyć i uciec, przebierając nogami jak postać w kreskówce. – Kiciu! – zawołała Chloe, czując rosnącą irytację.

Pobiegła za nim przez dach, ale zwierzak przeskoczył na budynek obok.

– Nie! – Chloe spojrzała w dół na ulicę. W panujących poniżej ciemnościach niczego nie mogła dojrzeć, nie pomagał jej nawet koci wzrok.

– Miau!

Chloe spojrzała w górę. Kot siedział na dachu odległego budynku, cierpliwie na nią czekając. Musiał zeskończyć w dół na gzyms okienny i następnie wspiać się ponownie na górę. – Miauu!

– Już kapuję. Chcesz się bawić, prawda? Bawimy się w berka? – To wcale nie był mały, zagubiony kotek – raczej dachowy albo podniebny kot. To był jego świat i chciał się zwyczajnie pobawić z nowym przybyszem. – OK!

Chloe szeroko się uśmiechnęła i skoczyła. Zwierzak czekał przez chwilę, jakby tym samym dawał jej szansę na uczciwy start, po czym ruszył i od czasu do czasu przystawał, żeby się upewnić, że za nim nadąża.

To jest wspaniałe. Stanowczo powinnam mieć kota – zdecydowała Chloe. Nie żeby jej mama rzeczywiście sprzeciwiała się posiadaniu takowego w domu.

Kiedy tylko Chloe za bardzo zbliżała się do kota, natychmiast zwalniała, gdyż ani ona, ani jej towarzysz nie chcieli kończyć zabawy zbyt wcześnie. Uśmiechnęła się, zastanawiając się, jak wyglądają z perspektywy przypadkowego przechodnia: czarownica ze swoim kolegą, przelatujący przez wyższe partie miasta? Ogromny kot polujący na mniejszego? *Może zlekceważyłby to.* W końcu zbliżało się Halloween, więc wszystko co niezwykle wy-

dawało się możliwe.

Nagle czarno-biały kot skręcił w lewo i zeskoczył w stronę schodów przeciwpożarowych.

– Ha! I co zmęczyłeś się? – docięła mu Chloe. Mogłaby przysiąc, że kot spojrzał na nią z pogardą.

– OK, ale nie mogę bawić się z tobą zbyt długo na ulicy. – Ostrzegła go. – Nie mogę pozwolić, żeby ktoś mnie zauważył.

– Miau! – Kot obrócił się i ześlizgnął po metalowych schodach jak czarna sprężynka.

– Czy to twój dom? Orowadzasz mnie po swoim... – Nagle Chloe zatrzymała się, kompletnie zapominając o kocie. Schody przeciwpożarowe prowadziły do ciemnej, ślepej uliczki, służącej jedynie za śmietnik. Dziurawy chodnik pokrywały prawie całkowicie kałuże wypełnione tłustą, czarną, świecąca mazią.

Oleiste refleksy złowieszczo kreśliły kontur czegoś wielkiego, organicznego i kształtem dziwnie przypominającego ludzkie ciało.

Czuć było także zapach... Znajomy zapach...

Chloe zeskoczyła z dwóch ostatnich pięter, lądując w kucki, dosłownie kilka centymetrów od dziwnego kształtu. Podkradła się bliżej, i jak tylko jej oczy złapały ostrość, zobaczyła nieruchome i połamane ludzkie ciało. To był Brian.

ROZDZIAŁ 5

– Mój Boże.

Chloe przyłożyła dłoń do jego szyi, delikatnie chwytając pazury. Wyczuła puls – ale bardzo słaby. Jego skóra była zimna i lepka, jakby ciało nie miało już siły dłużej walczyć z otaczającym je chłodem.

– Chloe? – wychrypiał Brian.

Chloe, wodząc rękami po jego ciele, próbowała wyczuć, co mu jest. Jęknął i lekko się poruszył – jego szyja i kręgosłup raczej nie były złamane.

Trzymał dłonie nad brzuchem, tuż pod klatką piersiową. Kiedy Chloe odsunęła je na bok, popłynęła ciepła i gęsta ciecz. Jego koszula była cała mokra, a stróżki krwi powoli ściekały bokami i krzepły w wodzie. Rana cięta. Oczywiście, że rana cięta. Bractwo Dziesiątego Ostrza potrzebowało dziewięciu sztyletów, aby unicestwić dziewięć żyć Przywódcy Stada, ale wystarczył tylko jeden sztylet, żeby zabić członka Bractwa, który okazał się zdrajcą.

– Miałeś uciec! Zniknąć! – krzyczała Chloe, próbując nie wpaść w panikę.

Brian starał się coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Wziął głęboki wdech i otworzył oczy. Przez chwilę widział ją wyraźnie – a przynajmniej jej zarys, ponieważ było zbyt ciemno jak dla ludzkich oczu – i uśmiechnął się. Po czym ponownie

zemdłał.

– Cholera – zaklęła Chloe. Dokąd ma go zabrać? Jeśli zawiezie go do szpitala, stanie się łatwym celem dla Bractwa, które dokończy robotę. Nie była w stanie chronić go dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie miała pojęcia, w jaki sposób zdobyć innego ochroniarza zwłaszcza takiego, który nie pracowałby w firmie ochroniarskiej ojca Briana.

Może zabrać go do domu, tak jak Aleka po tym, jak Brian zranił go na moście.

Ale jak tylko pojawiła się ta myśl, Chloe twardo postanowiła, że swoim dziwnym życiem nie będzie więcej narażać mamy na niebezpieczeństwo. Już raz Bractwo Dziesiątego Ostrza włamało się do jej domu i ją porwało. Sprowadzając tam mężczyznę, którego chcieli zabić, zwyczajnie prosiłaby się o kłopoty. Została zatem tylko jedna możliwość: Firebird. Siedziba Mai.

– O święta ironio sprawiedliwości, Batmanie – mamrocząc, ukłękła, aby wziąć Briana na ręce.

Podobieństwa między nią a superbohaterem skończyły się, kiedy dotarło do niej, że przeniesienie Briana do samego Sausalito byłoby nie tylko niepraktyczne, ale zajęłoby zbyt wiele czasu. Nie było również możliwości, aby jakiś taksówkarz chciał gdziekolwiek zawieźć dziewczynę z zakrwawionym, rannym chłopakiem. Naturalnie, autobusy także nie wchodziły w grę.

Sięgnęła zatem po jedyną dostępną jej superbroń, telefon komórkowy. Szybko wybrała numer. Alek mógłby

mieć samochód, ale tylko jeśli by go ukradł. Co innego pozostało...

– Co jest? – Po drugiej stronie słuchawki zabrzmiał wesoły głos Amy.

– Amy, potrzebuję cię, to nagły wypadek. Znalazłam Briana – wykrwawia się na śmierć w jakieś ciemnej ulicy. Muszę sprowadzić pomoc.

– Boże. Gdzie jesteś?

– Gdzieś niedaleko Chinatown. – Chloe rozejrzała się dookoła, ale ulica nie miała nazwy. Namierz moją komórkę. – Amy miała drugą, z wbudowanym GPS, więc mogły się nawzajem zlokalizować. Jedynym minusem był niewielki ekran, na który Amy musiała patrzeć podczas jazdy samochodem.

– Będę tak szybko, jak to możliwe.

Po zakończeniu rozmowy, Chloe jeszcze bardziej odczuła pustkę ulicy i milczenie Briana. Niewiele pamiętała ze szkolnego kursu pierwszej pomocy, ale miała nadzieję, że postąpiła dobrze, odrywając rękawy od swojej koszulki i obwiązując nimi ciasno ranę. Poza tym, i pilnowaniem, by nie wpadł w kałużę – nawet jeśli sucha część bruku nie była szczególnie sterylnym miejscem – Chloe niewiele mogła zrobić – tylko go pocieszać i czekać.

– Co się tu dzieje?

Chloe odwróciła się i zobaczyła dwóch chłopaków, zbyt zdrowo wyglądających jak na ludzi ulicy, zbyt pewnych siebie, by bać się ślepej uliczki. Obaj byli umięśnieni. Azjaci. Cali ubrani na czarno... Członkowie gangu.

– Masz problem? – Zapytał jeden z nich i uśmiechnął się. Pomimo ich postawy i tatuaży było oczywiste, że mają zaledwie po dwadzieścia lat. I byli całkiem przystojni.

Możliwe są dwa scenariusze – uświadomiła sobie Chloe. Pierwszy – byli porządnymi, miejscowymi chłopakami i pragnęli tylko pomóc. Nie miała jednak zamiaru czekać, aby przekonać się, czy spełni się drugi, dużo bardziej prawdopodobny scenariusz.

Podskoczyła, i groźnie sycząc, wysunęła pazury w dłoniach i stopach oraz upewniła się, że światło odbija się w jej kocich oczach. Oddała dwa skoki i znalazła się trzydzieści centymetrów od nich, zawyła i machnęła łapą z pazurami.

– *Li Shou!* – zawołał jeden z nich. Następnie odwrócili się i uciekli.

– Coś za łatwo poszło – wyszeptała Chloe. Schowała pazury i podbiegła do Briana, który nagle wydał jej się zbyt nieruchomy. Uklękła przy nim i zaczęła głaskać go po włosach. – Nie zasypiaj, nie możesz zasnąć...

W odpowiedzi wydał z siebie jęk, a jego usta poruszały się, jakby próbował coś powiedzieć.

– Zostaw mnie – wyszeptał. – Oni tu wrócą. To już koniec...

– Nigdy w życiu, mój kochany – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Pomoc jest już w drodze.

– Chloe... – Jego usta ruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Chloe nachyliła się niżej, a on osunął się, nieprzytomny.

– Brian, nie – wyszeptała, a jej oczy zaszyły łzami.

Dziesięć minut później Amy przyjechała starym czarnym kombiakiem brata. Dzięki swojej nadprzyrodzonej sile Chloe podniosła Briana, ale i tak potrzebowała pomocy Amy, aby utrzymać go prosto i stabilnie, na wypadek gdyby jego kręgosłup był jednak uszkodzony.

– Jasna cholera. – Tylko tyle powiedziała jej przyjaciółka. Położyły go ostrożnie na tylnym siedzeniu, zupełnie nieprzytomnego. Już nawet nie jęczał. Jego skóra była trupio blada.

– Przepraszam – powiedziała Chloe i wsiadła za kierownicę. – To jest tak jakby sekretna kryjówka, więc teraz będziesz musiała jakoś zasłonić oczy...

Amy wyglądała na trochę urażoną, ale tylko przez chwilę. – Nie ma sprawy. Jako królewski pomagier, powinnam być przygotowana na absurdalne sytuacje. – Wskoczyła na siedzenie pasażera i naciągnęła kurtkę na głowę.

Dziewczyna ruszyła z piskiem opon, a kiedy skręcała w ulicę, przy ścianie przemknął cień jakiegoś mężczyzny, obserwującego ich samochód. Jeden człowiek nie był jednak w stanie zrobić czegoś takiego Brianowi... Wyglądało na to, że bito go z kilku stron naraz. Ale czajenie się w cieniu nie było w stylu Bractwa. Jeśli wiedzieliby, że jest tam Mai, wyszliby, żeby spróbować zabić także ją.

Dopiero kiedy przejechali przez most, zaczęła normalnie oddychać. Przemknęła obok posterunku Gwardii Narodowej, tej samej, która ściagała ją po upadku Rogue

z mostu.

Ignorując takie drobiazgi jak droga z pierwszeństwem przejazdu, Chloe zjechała z trasy i wjechała w ulicę prowadzącą do Firebirda.

– Mój brat mnie zabije... – mamrotała Amy pod kurtką. Chloe podjechała od tyłu domu, trąbiąc klaksonem i krzyczała:

– To ja!

Zasuwała prosto na bramę, którą strażnik otworzył dosłownie w ostatniej chwili, inaczej samochód rozbiłby się o nią. W starym serialu telewizyjnym Batmobil z warczącym silnikiem wjeżdżał przez dyskretnie schowany tunel prowadzący do rezydencji Wayne Manor. Batman jednak nie potrzebował Alfreda, żeby go wpuścić.

Coś trzeba będzie z tym zrobić.

Podjechała pod tylne wejście, czy też drzwi kuchenne, i wyskoczyła z samochodu. W tym samym momencie ktoś, ciekawy nocnego intruza, otworzył drzwi. Kobieta Mai dostrzegła Chloe i pochyliła głowę.

– Wróciłaś, Wybrana.

– Muszę go położyć do łóżka. Pomóż mi. – Rozkazała Chloe. Kobieta otworzyła oczy i wciągnęła nosem powietrze.

– Ale on i ona są ludźmi!

– Czy mogę w końcu to zdjąć? – zapytała Amy, wciąż siedząc na przednim siedzeniu z kurtką na głowie.

– Proszę! Błagam cię! – krzyczała sfrustrowana Chloe.

– Wybrana nie musi błagać – wymamrotała kobieta.

Zawołała do kogoś po rosyjsku lub w języku Mai. Chloe nie wsłuchiwała się wystarczająco, aby wyczuć różnicę. *To była Eleni* pomyślała nieprzytomnie. Kobieta pospieszyła do samochodu, aby pomóc jej z Brianem. Eleni była jedną z Mai, która niedawno przybyła z Turcji, skąd pochodziła także biologiczna rodzina Chloe. – Jeszcze dwie minutki – usłyszała Amy od przyjaciółki.

Wśród innych Mai, jacy się pojawili – jedni z zaczerwienionymi oczami, inni na wpół obudzeni – znajdowała się Ellen, która była *kizekhem* i kimś w rodzaju ochroniarza Chloe, w czasach, I kiedy jeszcze z nimi mieszkała. Nie było z nią jej partnera Dimitriego, co było dość niezwykłe. Ellen szeroko się uśmiechnęła, zanim delikatnie skłoniła się swojej dawnej podopiecznej. Była naprawdę szczęśliwa, że dziewczyna wróciła. Pozostali nisko się kłaniali i usłużnie schodzili Chloe z drogi, którą niesiono Briana.

– Gdzie go zabieracie? – zapytała Chloe.

– Na oddział nagłych wypadków, oddział honorowy. – Ellen puściła oko. – Nie martw się, naprawimy go i będzie jak nowy. Mai szybko zniknęli w końcu korytarza.

– Oddział nagłych wypadków? To my mamy oddział nagłych wypadków? – Chloe zastanawiała się i wzięwszy Amy za rękę, ruszyła za nimi. *Za tymi ścianami naprawdę kryje – się ich cały, mały świat.*

Bez wątpienia była to jedna ze starszych części rezydencji. Dziewczyna nigdy wcześniej w niej nie była. Zdziwił ją wąski, kamienny korytarz, panujące w nim

wilgoć i zapach stęchlizny, jakby niedaleko była studnia albo piwnica. Coś ścisnęło ją w środku. To był stary dom, prawie jak z jakiegoś PBS-u, [Amerykańska korporacja działająca w branży nieruchomości (przyp. tłum.)] a ona miała do niego kartę z pełnym dostępem. Mogłaby tutaj żyć, gdyby tylko chciała.

Znaleźli się w ciemnym pokoju, a sekundę po tym, jak do niego weszli, jakaś kobieta Mai włączyła światła i przecierając oczy włożyła na siebie biały fartuch. W pomieszczeniu znajdowały się dwa szpitalne łóżka, a na środku stało coś, co łudząco przypominało lśniący, stalowy stół operacyjny oraz starodawną szafkę, pełną narzędzi medycznych. Podłoga wykonana była ze starego drewna i kompletnie nie pasowała do sterylного wnętrza.

Ellen oraz pozostali Mai wnieśli Briana i ostrożnie położyli go na stole operacyjnym.

– Człowiek? – Pani doktor była szczupłą kobietą z sylwetką podobną do Dzwoneczka. Miała wielkie, ciemnopiwnie oczy – prawie brązowe – kolor dość niezwykły jak na Mai. Prawdopodobnie miała grubo ponad trzydzieści lat, ale trudno było to stwierdzić.

Ellen spokojnie odwróciła głowę w kierunku Chloe.

– Och – Pochyliła głowę i rozłożyła ręce, a dłonie skierowała w górę. Lakoniczny, ale szczery gest szacunku. Po czym natychmiast wróciła do badania Briana, który żałośnie pojękiwał.

– Dlaczego ta osoba ma kurtkę na głowie? – Ellen wyszeptała do Chloe.

– Chciałam utrzymać w tajemnicy lokalizację Firebirda – odpowiedziała cicho Chloe, nie odrywając oczu od Briana. Doktor zdarła bandażę i badawczo spojrzała na ranę. Zamiast zwykłych narzędzi medycznych, ze zdumiewającą precyzją użyła swoich pazurów.

– Kiedy ja będę się nim zajmować, niech ktoś wytrze tego chłopaka czystymi ręcznikami warknęła. – A pozostali – spojrzała w górę, świdrując wszystkich tym samym spojrzeniem wynocha!

– Proszę, Najjaśniejsza – dodała po chwili patrząc na Chloe.

Chloe krążyła po małym pomieszczeniu, które służyło jako poczekalnia. Pozostali poszli spać, schylając się przed nią w głębokim ukłonie i wycofując tyłem, tak jak robili to w stosunku do Siergieja. Chociaż pokłony przed nią wydawały się dużo mniej udawane i znacznie bardziej szczerze niż te przed nim. Ellen ujęła ponownie rękę Chloe i kiedy się jej kłaniała, przyłożyła ją sobie do czoła, niczym średniowieczny rycerz przysięgający wierność. To wszystko było dość niezręczne.

Chloe spodziewała się wielu rzeczy, wracając do rezydencji lub do samych Mai. Rozczarowania jej decyzją o opuszczeniu ich, złości na jej miłość do człowieka, smutku, że utracili jedną z nich i przegrali ze światem zewnętrznym. A co najmniej chłodnego traktowania. Natomiast ze strony tych bardziej zuchwałych, pragnących jej powrotu do Stada, może uścisków, całusów i tłumionej

miłości. Na pewno jednak nie uwielbienia.

Wygląda, jakby mogli zrobić dla mnie 'wszystko – rozmyślali rozkojarzona. Ich natychmiastowa zgoda, aby pomóc Brianowi była niewiarygodna. To nie tylko człowiek, ale także członek Bractwa Dziesiątego Ostrza i syn jego przywódcy. Do ich obozu zawitał wróg, a oni witali go z otwartymi ramionami. No, tak jakby.

– Poczekaj, co przedtem mówiłaś? Jestem bohaterką, a ty moją pomagierką? – zapytała w końcu Amy, starając się skupić na czymkolwiek innym i wrócić do ich wcześniejszej rozmowy w samochodzie.

– Tak jak Batman i Robin. Xena i Gabrielle. – Spod kurtki dochodził głos Amy.

– Mhm, ale nie jesteśmy lesbijkami. A przynajmniej nie ja. A co z Paulem? Kim on jest? Cisza.

– Może mega łajdakiem – odpowiedziała Amy. – Może Nemesis. Już jest zazdrosny o twoje moce. Może już w tej chwili knuje, co zrobić, żeby zawisło nad tobą fatum.

– Ty czasem nie chcesz o czymś pogadać? – odważyła się zapytać Chloe. Okoliczności rozmowy były co najmniej dziwne. Zmartwiona stanem Briana, gadała z przyjaciółką, która miała kurtkę na głowie. Mimo to, chwila wydawała się dobra jak każda inna.

Nastąpiła cisza.

– Nie – odpowiedziała zawzięcie Amy, ale brzmiała niepewnie.

– Słyszałam twoją rozmowę z Paulem, w kawiarni. Nie szpiegowałam was – dodała szybko Chloe, co było

reakcją na minę Amy. – Na dachu ćwiczyłam z Kim odmianę czasowników.

– Chciał zerwać – powiedziała delikatnie Amy.

– A ty...?

– Myślałam, że było całkiem dobrze... znaczy nie było idealnie, czasami było ciężko. Jednak to był prawdziwy związek. Nie tak jak z innymi chłopakami, z którymi się umawiałam... Dobrze do tego podeszliśmy. Przed wszystkim jak przyjaciele, no wiesz.

– Tak, ale... – Chloe zagryzła wargę, nie wiedząc co powiedzieć. – Filozofia na bok, lubisz go?

– Tak – odpowiedziała Amy ze ściśniętym gardłem. – Kiedy nie zachowuje się jak dupek!

– Czy zaczął talii być przed czy po tym, jak powiedziałaś mu o wcześniejszym skończeniu szkoły?

– A co? – domagała się odpowiedzi Amy.

– No cóż... To poważna sprawa. Dość niespodziewana. – Chloe zdała sobie sprawę, że przestała mówić o Paulu. – Chciałam powiedzieć, że nie tak to planowaliście...

– Cóż, twoja przemiana w kota też wydarzyła się nagle! – Amy wykrzyknęła z oburzeniem. Chloe wzięła głęboki oddech, próbując powstrzymać się od odpowiedzi. Nie było łatwo.

– No tak, ale ty masz zamiar nas opuścić. Na stałe. To jak początek końca, wiesz? Ciężko mi wyobrazić sobie, że cię stracę. I założę się, że Paulowi jest jeszcze trudniej, bo jego rodzina właśnie się rozpada. Odkąd zaczęła się sprawa rozwodowa, jego rodzice prawie w ogóle ze sobą nie

rozmawiają.

Amy zamilkła. Wyglądało na to, że dziewczyna przejęła się i chciała się nad tym zastanowić.

I właśnie wtedy do pokoju cicho weszła Kim.

– Cześć, Chloe, cześć, Amy. – Dziewczyna z wielkimi kocimi uszami pozostawała jak zwykle niewzruszona. Wyglądała, jakby się ich spodziewała.

– Cześć, Kim – odpowiedziała Amy spod kurtki, przypominając Kuzyna Itt.

– Myślę, że możesz już zdjąć tę opaskę na oczy, jeśli rzeczywiście można tak to nazwać. Kim nie uśmiechnęła się, ale Chloe zaczęła już przyzwyczajać się do jej ekstremalnie ironicznego poczucia humoru.

– Najdelikatniej jak mogła zdjęła kurtkę z Amy. Jej kędzierzawe włosy naelektryzowały się tak mocno, że kłębiły się wkoło twarzy jak u gotyckiego klauna.

– Skąd wiedziałas, że to ja? – zapytała Amy, przeczesując dłońmi włosy, na próżno próbując coś z nimi zrobić.

– Wydzielasz zapach. – Kim odpowiedziała drętwo.

– Tak? – Amy zmarszczyła nos i wciągnęła powietrze.

– Jeśli już o tym mowa, zdecydowanie bardziej zalatuje tutaj kotem...

Kim wyglądała na zaskoczoną i zawstydzoną.

– Aha, więc to jest ta cała Kocia Nora? Tajna kryjówka? – Amy rozejrzała się dookoła z zaciekawieniem.

– Później cię oprowadzę – obiecała Chloe.

– Co się stało? – zapytała Kim.

– Znalazłam na ulicy na wpół żywego Briana. Sądzę, że członkowie Bractwa myśleli, że go wykończyli albo ktoś przechodził i przerwał im „robotę”...

– I przyprowadziłaś go tutaj. – Było to stwierdzenie, cierpkie pytanie i oskarżenie – wszystko naraz.

– A co innego mogłam zrobić? – Chloe domagała się odpowiedzi. – Wiem, że to dziwne i przepraszam. Mogę przysiąc, że więcej się to nie powtórzy, nie sądę jednak, abym cokolwiek jeszcze mogła obiecać. Coś wymyślę... – Usiadła na kanapie z głową w dłoniach. – Tak naprawdę, to nikomu aż tak bardzo to nie przeszkadza – dodała patrząc w podłogę.

– To dlatego, że jesteś Wybraną, Chloe – powiedziała delikatnie Kim, z gracją lądując na kanapie obok niej. Amy ustawiła naprzeciwko nich luksusowe krzesło. – Oddaliby za ciebie życie, jeśli byś tego zażądała.

– To idiotyczne – wymamrotała Chloe.

– To prawda. Wiem, że to trudne, ale jesteś naszą duchową Przywódczynią. Zawsze nią byłaś. Tu nie chodzi o twoje przeznaczenie, a bardziej o przysługujące ci od urodzenia prawo.

– Ale niektórzy z tych ludzi są za młodzi, by kiedykolwiek wcześniej mieć Wybraną! Dlaczego mieliby nagle zaakceptować mnie jako nową Przywódczynię?

– Chloe, bycie Wybraną nie jest posadą dziedziczną, jak w przypadku króla czy niektórych republikańskich prezydentów – powiedziała Kim z bladym uśmiechem na ustach, a Chloe załapała żart. – To, że ktoś jest Kemmet

wcale nie oznacza, że jego lub jej dziecko będzie Kemmet. Jedyna musi być inna: nie tylko o czystym sercu, silna, zdeterminowana i pragnąca czynić dobro, ale też wybrana i pobłogosławiona przez Bliźniacze Boginie, które potrafią to uczynić. Dziewięć żyć, aby prowadzić każdorazowo swoich ludzi do walki, jeśli zaistnieje taka potrzeba. Połączenie z poprzednią Wybraną. Połączenie z terażniejszością i Stadem w sensie wykraczającym poza metafizykę.

Chloe spojrzała na nią.

– Nic nie wiem o tych dwóch ostatnich. – Wtedy przypomniała sobie, jak w chwili śmierci czuła obecność swojej matki. Niosącej otuchę jak potężna obrończyni, mogącej pokonać nawet śmierć. – OK, tylko o tej ostatniej.

– W pojedynkę udało ci się nie dopuścić do walki pomiędzy Stadem a Bractwem zauważyła Amy.

– Umarłam, pamiętasz? Tylko dzięki temu udało się wszystkiemu zapobiec.

– Tak czy inaczej – powiedziała Kim i pokiwała głową. Chloe usiadła, czując, że nie pokona – wiecznie spokojnej i łagodnej dziewczyny obok.

– Ale ty, pomimo wszystko, nie oddajesz mi czci, prawda? – zapytała ściszym głosem. Jesteś tutaj moim jedynym, prawdziwym przyjacielem.

Kim uniosła głowę, zastanawiając się przez chwilę. – Ja... szanuję rangę Wybranej i jej uświęconych obowiązków – powiedziała wolno. – Ale żaden przywódca nigdy nie jest idealny, nawet ten obdarzony boskością. Jak każdy

poprzedni Kemmet mogłabyś z powodzeniem mieć własnego doradcę.

– Hej – Chloe odezwała się poirytowana, ale rozba-
wiona. – Mówiłam o przyjacielu, a nie o doradcy.

Kim schowała pazury, wzruszyła ramionami, ale na jej
ustach pojawił się drwiący uśmieszek.

– Myślę, że w najbliższych dniach będziesz potrze-
bowała ich obu.

– Ja będę przyjacielem – dyplomatycznie stwierdziła
Amy. – Ty możesz być doradcą.

– Nigdy nie powiedziałam, że się na to zgadzam –
zauważyła Chloe. – Wywodzę się z kultury wyborów, no
wiesz. Nie przeznaczenia.

– Jak powiedział ten stary człowiek w filmie, na który
mnie zabraliście: oczywiście postąpisz zgodnie z tym, co
uważasz za słuszne – powiedziała Kim, nawiązując do
wieczoru, kiedy wszyscy pojechali obejrzeć *Gwiezdne
wojny*. – Cokolwiek postanowisz jako Wybrana, twój
wybór zawsze będzie właściwy.

– Tak czy inaczej, bez ciśnienia – wymamrotała sar-
kastycznie Chloe. Najpierw Amy zaproponowała, że bę-
dzie Jet Girl dla jej Tank Girl, [Jet Girl i Tank Girl – bohaterki ko-
miksowej serii „Tank Girl” stworzonej przez Jamiego Hewletta i Alana Martina
(przyp. red.)] a teraz Kim chciała zostać Obi–Wanem dla jej
Luka. Trochę to było dziwaczne.

Drzwi oddziału nagłych wypadków otworzyły się
i wyszła zza nich pani doktor, trzymając ręce w kieszeni
fartucha, tak jak lekarze w serialach telewizyjnych. Ukło-

niła się nawet jak oni. Chociaż jej ukłon w stronę wszystkich był trochę dziwny, całkiem nieźle wpływał na ego. Zrobiła to jak uroczy kelnerzy w japońskich restauracjach. *Oczywiście, będę musiała położyć temu kres.*

– OK, twój przyjaciel jest nieźle poobijany. Nie tylko stracił mnóstwo krwi, ale także odniósł poważne obrażenia z tyłu głowy. Ma złamaną prawą rękę, pękniętych pięć żeber, złamaną lewą nogę i zmiądzonych kilka palców u stopy.

Przez chwilę milczała, obrzucając ich badawczym spojrzeniem. Chloe, niepewna czego chciała, nic nie powiedziała. – Czy mogę o coś zapytać...? – Pani doktor w końcu przerwała ciszę.

– On tak jakby odszedł z Bractwa Dziesiątego Ostrza, zrobił coś, czego jak sądzę wy po prostu nie robicie. I dokonał tego w Presidio. Kiedy wszyscy dostaliśmy łomot, on zamiast walczyć razem z członkami Bractwa, próbował przed nimi ratować mnie i moją mamę. Dlatego stał się numerem jeden na ich czarnej liście, pomimo tego, że jest królewskim członkiem Bractwa Dziesiątego Ostrza, czy coś w tym stylu – dodała.

– Czy to Brian Rezza? Syn Whitneya, Przywódcy Bractwa? – Pani doktor zagwizdała nisko. – I właśnie jego ludzie mu to zrobili?

– Najwyraźniej to już nie ich człowiek – skomentowała zimno Kim.

– I oni nas nazywają zdziczałymi – westchnęła. – Będę z tobą szczerą. Jeszcze nie potrafię powiedzieć, jak rozle-

głe są rany głowy, ale jeśli w ogóle uda mu się z tego wyjść, będzie to – długi i bolesny proces. Nie wiesz, jaką ma grupę krwi, prawda? Tak czy inaczej, ktoś będzie musiał zdobyć parę litrów.

Chociaż Chloe starała się bardzo mocno, jej oczy wypełniły się łzami. *Prawdziwego przywódcę nie tak łatwo doprowadzić do tego.* Kolejne potwierdzenie jej punktu widzenia.

– Zrobię tu wszystko, co w mojej mocy, ale skoro nie chcesz go zabrać do prawdziwego szpitala, jego wyleczenie będzie właściwie zależeć od tego, jak silny ma organizm. Przesunęła ręką, pazury były teraz schowane, po brązowych włosach sięgających jej do ramion. – Chyba nigdy nas sobie nie przedstawiono. Jestem doktor Calie Lovsky. Wyciągnęła rękę, Chloe zrobiła to samo, sądząc, że dokonają „sekretnego” uścisku dłoni Mai, którego nauczył ją Igor: delikatnie wysunięte pazury muskały dłoń drugiej osoby. Zamiast tego, podobnie jak Ellen, przyłożyła rękę Chloe do swojego czoła, ale nie ukłoniła się.

– Czy każdy będzie, eee, ciągle to robił? – zapytała Chloe, obracając się do Kim.

– *Kizekhowie* tak. Pozostali tylko wtedy, kiedy będą oficjalnie przedstawiani.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – powiedziała doktor Lovsky, wkładając ręce do kieszeni. Naprawdę cię potrzebujemy.

Jej wzrok, zmieniony z lekarskiego na służalczy i pełen szacunku, był dla Chloe jak emocjonalny policzek.

Kobieta była od niej starsza, dużo bardziej wykształcona, no i poza tym była lekarzem. *Dlaczego do cholery patrzy na mnie z takim podziwem?*

– Czy mogę go zobaczyć? – zapytała w końcu dziewczyna.

– Tak, ale nie siedź tam za długo, on potrzebuje odpoczynku.

Chloe ruszyła w kierunku pokoju, przechodząc koło pani doktor, a po chwili się zatrzymała.

– Przepraszam... naprawdę przepraszam, że przypro-wadziłam tutaj człowieka.

– Cokolwiek Wybrana sobie zażyczy – odpowiedziała pani doktor, wzruszając ramionami. Ułożyli Briana na łóżku i przebrali go w zwykłą, szpitalną koszulę. Poza tym, wykąпали go.

Zniknęła większość zaschniętej, lepkiej krwi. Jak również dwa jego zęby, z trwogą zauważyła Chloe. Jakby ktoś kopał go w twarz, kiedy leżał na ziemi. Jego głowa i klatka piersiowa były owinięte białym bandażem. Był przykryty po szyję czystym, białym prześcieradłem.

– Hej – przywitała się czule Chloe. – Jak się masz? Z gardła Briana wydobył się niepokojący bulgot.

Kilka razy kaszlnął, próbując wypluć krew, a wtedy ból klatki piersiowej wykrzywił mu twarz. Zamrugał na wpół otwartymi i pokrytymi strupami oczami. Na widok Chloe, uśmiechnął się. Dotknęła jego policzka.

– Wyzdrowiejesz i wszystko będzie dobrze – wyszeptała.

Brian próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobywało się tylko suche rzeżenie, jak u starego człowieka. Pochyliła się niżej, aby go usłyszeć.

Brian ostatkiem sił podniósł się o kilka centymetrów. I pocałował ją.

Utrzymywał się w tej pozycji tak długo, jak mógł, po czym opadł na łóżko i stracił przytomność.

Chloe zamarła, nie wierząc w to, co się właśnie stało. Pocałował ją.

Dla człowieka oznaczało to śmierć. Odkąd tysiące lat temu wybuchła między nimi wojna, człowiek i Mai nie mogli się w sobie zakochać.

Chloe zbyt dobrze o tym wiedziała. Nieumyślnie zabiła albo prawie zabiła – nadal tego nie wiedziała – pewnego chłopaka, którego poderwała w klubie, zanim dowiedziała się o związanym z tym niebezpieczeństwie. Ostatni raz, kiedy widziała Xaviera, był cały w ranach, a jego spuchnięta twarz była nie do poznania. Zadzwoiła wtedy na pogotowie i uciekła.

A teraz Brian, przekonany, że i tak wkrótce umrze, uznał, że nie ma to teraz żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ 6

Chloe udało się wślizgnąć do domu w chwili, kiedy zegar wskazywał dokładnie piątą trzydzieści. *Świetnie, całe dwie godziny spania.* Rozebrała się i zasnęła głęboko, jeszcze zanim jej głowa dotknęła poduszki.

Dwie godziny później, zaspana, schodziła po schodach, co chwilę się potykając. Na dole czekała na nią mama ze śniadaniem – dounat i kawą. Położyła je na stole i uśmiechnęła się promiennie do Chloe. Przez ramię miała przewieszoną aktówkę.

– Rano mieli twoje ulubione, z chrupiącą polewą czekoladową... – zaczęła Anna. Poczekaj, wyglądasz okropnie. Co się stało?

– Dzięki – wyburczała Chloe. To była ta humorystyczna część. Teraz nadeszła ta trudniejsza. Czy powinna znowu zacząć od początku całą lawinę kłamstw? *Jestem tylko zdenerwowana jutrzejszym egzaminem wyrównawczym z trygonometrii. Prawie nie śpię.* Dwa zdania, dziewięć, nie: dziesięć słów, i jej mama zapomni o całej sprawie. A jeśli powiedziałyby prawdę?

Hej, mamó, mój ludzki chłopak, eee, przyjaciel, no cóż, ostatniej nocy znalazłam go o drugiej nad ranem, półżywego, na ulicy, kiedy wałęsałam się po okolicy, więc zabrałam go do tych, którzy przez kilka tygodni tak jakby przetrzymywali mnie w zamknięciu.

Spojrzały sobie w oczy, obie zbyt długo milczały.

– No cóż, odrobina kawy sprawi, że poczujesz się lepiej – odezwała się w końcu mama, a potem szybko odwróciła głowę.

Chloe pokonała resztę schodów prowadzących na dół, czując jednocześnie ulgę i wyjątkowy niepokój. Skrepowanie. *Nie powinnam czuć się skrepowana przy własnej mamie.* Tak można się czuć, kiedy zdradzi się najlepszych przyjaciół, plotkując o nich, kiedy chłopak mówi, że lubi cię tylko jako koleżankę, albo kiedy psycholog szkolny jest święcie przekonany, że w szafce chowasz trawę. Możesz się wściekać na matkę, ale... czuć się przy niej skrepowaną? Tak po prostu nie powinno być.

– Dzięki – powiedziała Chloe, wpychając do buzi tyle dounatów, ile zdołała wcisnąć, tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem. – Hej, a szkoro o tym mofa o... – Trudno było wypowiedzieć słowa z ustami pełnymi wyśmienitych, okrągłych i pokrytych całkowicie sztuczną, bezmleczną polewą ciastek. – Pomogłabyś mi w nauce wieczorem? Chcę przerobić kilka praktycznych zadań.

Chloe chciała, żeby wyglądało to na ofertę pewnego rodzaju rozejmu, a zostało przyjęte w dosłownym znaczeniu. Pani King uśmiechnęła się prawie tak szeroko jak wcześniej i zagarnęła za ucho zabłąkany kosmyk włosów.

– Jak najbardziej! Zamówimy chińszczyznę i urządzimy sobie babski wieczór.

– Babski wieczór z trygonometrią. – powiedziała bez emocji Chloe, unosząc jedną brew. *Ups, zaczynam brzmieć jak Kim.*

Jej mama nachyliła się nad Chloe i pocałowała ją w czubek głowy.

– Babski wieczór z trygonometrią. Muszę lecieć, nie zapomnij...

– Zamknąć drzwi na klucz, tak, tak, wiem. Pamiętam.

Chloe obserwowała, jak mama chwyta torebkę, okulary i wybiega przez drzwi jak huragan, wir pyłowy z połączenia Ferragamo i Anny Klein. [Salvatore Ferragamo – włoski projektant butów; Annę Klein – amerykańska projektantka mody (przyp. red.).] Następnie spojrzała na resztę dounatów i westchnęła.

W szkole Chloe w oszołomieniu spacerowała przez korytarze, obserwując, jak krzątający się uczniowie próbują zrobić jakiś użytek z tych kilku wolnych minut, zanim zaczną się lekcje. Dzieciaki z National Honor Society [National Honor Society – amerykańskie stowarzyszenie zrzeszające uczniów szkół średnich, działających na rzecz społeczności szkolnej i różnych pozaszkolnych organizacji (przyp. red.).] rozwieszały plakaty o jakiś akcjach charytatywnych, czy o czymkolwiek innym, co miało zachęcać do zaangażowania się. Kujony trzymały się razem, namiętnie dyskutując o ostatnim odcinku *Gwiazdnych wrót*. Czirliderki próbowały sprzedać słodkie, halloweenowe telegramy każdemu, kto przechodził obok nich. Za dolara można było wysłać komukolwiek coś słodkiego z liścikiem, który rano, w Halloween, doręczano do klasy adresata. W gimnazjum były to tanie twarde lizaki. Teraz małe zapakowane w pudełka, czekoladki Godiva.

Amy i Chloe co roku w Walentynki, Wielkanoc, Halloween i święta Bożego Narodze-

nia/Chanuka/Kwanzaa/Diwali wysyłały sobie tajemnicze liściki od „cichego wielbiciela”, stosując filozofię z seriali komediowych, dzięki której chłopcy mieli zobaczyć, jak dużo dostają słodkich telegramów i w ten sposób dojść do wniosku, że dziewczyny musiały być rzeczywiście popularne i pożądane. Oczywiście nigdy to nie zadziało, choć i tak przez ostatnie kilka lat Amy w ogóle tego nie potrzebowała. *Ciekawe, czy zamierzała wysiać coś do Paula?*

– Słodki telegram? – Idealna, jak z telewizji, czirli-derka zachęcała głosem pełnym energii. Jej ciało było drobne, miała na sobie strój uzupełniony czerwono-białą spódniczką, który zakładała na mecze rozgrywane na własnym boisku. Stała na palcach i lekko się kiwała.

Chloe nie miała nawet siły, aby wykrzesać z siebie odrobinę nienawiści w stosunku do niej. Pokręciła tylko głową i poszła dalej. Na skrzyżowaniu skrzydła matematycznoprzyrodniczego i angielsko-historycznego stojący na krzesłach uczniowie rozwieszali chorągiewki w kolorach jesiennych liści wokół zadziwiająco gustownego plakatu z napisem:

JAKIŚ POTWÓR TU NADCHODZI!

Bilety na jesienny bal do kupienia podczas lunchu!
Cena dla par 60 dolarów, bilet pojedynczy 35 dolarów.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Alek, zachodząc Chloe od tyłu i całując ją w policzek.

– Myślę, że rozlepiają to dla tych, którym znowu nie

udało się umówić na randkę powiedziała Chloe, zahaczając kciuki o szelki plecaka.

– Ta, no cóż, a kto nie może się umówić na randkę?

– Na pewno nie ci, którzy są seksownymi i nadzwyczaj olśniewającymi obcokrajowcami odpowiedziała, całując go w policzek. Dziwne. Normalnie pocałowałiby się w usta, jeśli w pobliżu nie było żadnego z bardziej pobożnych nauczycieli albo nie byli w zasięgu kamer. Teraz jednak jakoś po prostu nie wydawało się to odpowiednie.

Zwłaszcza po tym, co zdarzyło się zeszłej nocy. Jak tylko Chloe dotarła do szkoły, zadzwoniła, aby zapytać o stan Briana, ale pani doktor powiedziała, że jest bez zmian, może nieznacznie lepiej niż wcześniej. Nie wspomniała o innych, „nowych” symptomach, mimo że dziewczyna ostrożnie zadawała jej pytania. Musiała powstrzymać się, aby nie dzwonić tam co pięć minut i sprawdzać, czyjej pocałunek go nie zabił.

– Cóż, nie wszyscy muszą mieć takie szczęście. – Alek objął Chloe ramieniem i obrócił się tak, żeby oboje mogli podziwiać plakat. – Wyznaczyłem Hannah Ellington na osobę odpowiedzialną za reklamę i program.

– Ty wyznaczyłeś? Myślałam, że jesteś tylko w komitecie muzycznym.

– Oni wszyscy potrzebują odrobiny... pomocy. – Okazało się, że chłopak wykorzystywał swoje koneksje dla dobra innych. Już teraz wyglądało na to, że będzie lepiej niż w zeszłym roku. Nie jakaś głupia licealna potańcówka,

a bardziej jak w college'u, no cóż, prawdziwy szkolny bal.

– Słyszałeś co się stało zeszłej nocy? – Chloe zapytała, kiedy odwrócili się i zaczęli iść na historię. Alek pokręcił głową. Opowiedziała mu o wszystkim, pomijając tylko tę część o pocałunku z Brianem. – I jakby tego było mało, czeka mnie bardzo trudny okres z całym tym „byciem Wybraną”, przyprawiającym mnie o zawrót głowy. Powinieneś mi się kłaniać, wiesz? – dodała, szturchając go łokciem w brzuch.

– Myślę, że Wybrana postanowiła dać spokój pewnemu chłopakowi – powiedział i wzruszył ramionami.

– Ale nadal będziesz mnie wielbić, prawda?

– A czy do tej pory tak nie było? – Poglądził jej włosy tym samym gestem, który wykonała wczoraj wobec Briana i czule się do niej uśmiechnął. Takie zachowanie nie było w jego stylu. Żadnego pożądania czy droczenia się, tylko czułość.

Szli na zajęcia z cywilizacji amerykańskiej, mijając okno, które wychodziło na zaniedbany trawnik i ogrodzenie oddzielające szkołę od reszty świata. Coś było nie tak. Chloe zawróciła, aby dokładniej się przyjrzeć, ale nie widziała nic specjalnego, oprócz śladów stóp na trawie, które szybko zniknęły, gdy twarde żółte źdźbła podnosiły się z powrotem.

– Hej, widziałeś coś? – zapytała, ciągnąc Aleka za rękaw i wskazując na zewnątrz. Zmarszczył brwi.

– Nie, a co?

– Sama nie wiem, tylko... – Wzruszyła ramionami. –

Ostatnio jestem przewrażliwiona. Ciągłe wydaje mi się, że ktoś lub coś mnie śledzi.

– Nerwy. Wiesz jak sobie z tym radzę?

– ...seks. Tak, wiem. – Chloe odpowiedziała z uśmiechem. Usiedli obok siebie w ławkach. Odkąd zaczęli ze sobą chodzić, Alek przeniósł się bliżej niej – dość nietypowo jak na koniec semestru. Chloe właśnie myślała, że mogłaby przeżyć normalny dzień bez zajmowania się czymkolwiek związanym z Mai, kiedy zadzwonił jej telefon. Nie знаła numeru.

– Halo? – zgłosiła się.

– Chloe? Mówi Siergiej.

Chloe poczuła ucisk w sercu, a zaraz potem także w żołądku. Kolejny niewyjaśniony wątek pamiętnej, nocnej bitwy. Owszem, Siergiej przygarnął ją i traktował jak własną córkę, był jak ojciec, którego nigdy nie miała, ale równie dobrze to on mógł nasłać na jej mamę morderców, by w ten sposób przyczynić się do zerwania wszystkich kontaktów Chloe z ludźmi. Odkąd dziewczyna doszła do wniosku, że ludzie są odrobinę bardziej skomplikowani, niż mogłaby przypuszczać, jeszcze nie miała ochoty ani możliwości, aby zająć się całym tym bałaganem w relacjach z Siergiejem. Ostatnio jakoś sobie radziła, starając się nie myśleć o Przywódcy Stada.

– Siergiej – powiedziała i poczuła jak jej żołądek zawija się w supeł. Alek uniósł brwi, przysłuchując się.

– Chloe, słyszę, że masz się nieźle.

– Tak, dzięki. Mniej więcej.

– Podobno w nocy przyprowadziłaś do nas gościa...
No i zaczyna się.

Pan Baker przygotowywał się do lekcji. Ścierał tablicę i rzucał nieprzyjemne spojrzenia każdemu, kto rozmawiał przez komórkę. Chociaż Chloe na linii miała Przywódcę starożytnej rasy ludzi–lwów, to nie chciała być jednym z tych wstrętnych palantów, którzy podnoszą rękę, jakby chcieli powiedzieć: „Poczekaj sekundę”. I bez tego miała wystarczająco dużo kłopotów w szkole.

– ... sądzę, że ty i ja, może jeszcze Olga, powinniśmy spotkać się i odbyć małą pogawędkę o różnych rzeczach.

– Tak, hm, pewnie. – Starala się brzmieć wesoło i beztrosko, jakby to był świetny pomysł.

– To jak, przyjedziesz dzisiaj odwiedzić swojego przyjaciela? – Nie było to jednak pytanie.

– Zgoda.

– Dobrze, nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.
Powodzenia w szkole. Trzask.

Chloe powoli zamknęła klapkę telefonu.

Zawrzyjmy umowę – wysiała w myślach wiadomość do Losu, albo Bliźniaczych Bogiń, albo jej rodzonej mamy, czy kogokolwiek innego, kto grał w kości o jej życie. – Czy moglibyście rozłożyć moje problemy przynajmniej na kilka tygodni? Na przykład: w szkole przez jeden tydzień, u Amy i Paula przez drugi, a w pozostałych sprawach przez kolejny? Czy wszystko musi dziać się naraz?

W tył głowy uderzyło ją coś małego i tym samym wyrwało z zamyślenia. Na podłodze obok ławki leżała

lekko zgnieciona czekoladka Godiva. Alek uśmiechał się złośliwie. Musiał ją ukraść albo wyprosić od czirliderek słodkim gadaniem.

Chloe uśmiechnęła się i wyszeptała podziękowanie, po czym natychmiast rozpakowała czekoladkę i wepchnęła ją do buzi.

Bóg naprawdę działa w tajemniczy sposób – pomyślała.

Lunch przebiegał w tak chłodnej atmosferze, że prawie zapragnęła, by lekcje skończyły się jak najszybciej i by mogła stawić czoła kolejnej porcji bzdur. Chloe usiadła naprzeciwko Paula i Amy, którzy najwyraźniej próbowali zachowywać się naturalnie, unikając dotyku czy kontaktu wzrokowego. Wreszcie zadzwonił dzwonek i Paul szybko pocałował Amy na pożegnanie. Przy stole nie było dużego napięcia, ale ich zachowanie było dalekie od normalnego i swobodnego. *Wiedziałam, że tak się stanie* – pomyślała Chloe. Kiedy Amy po raz pierwszy powiedziała jej, że zaczęła spotykać się z Paulem, było oczywiste, że jeśli nie będą razem już do końca szkoły, to skończy się to łzami całej trójki przyjaciół.

Chloe została godzinę po lekcjach, aby popracować w laboratorium chemicznym nad jednym z wielu zaległych zagadnień, czyli tworzeniem składników jonowych. Pani Mentavicci w tym semestrze była dużo bardziej wyluzowana, i jeśli akurat czegoś nie sprawdzała lub nie grała w pasjansa, w zasadzie była pomocna. Nastolatkę zaczy-

nała kusić myśl o prywatnych lekcjach. Bez obaw, że musi zmieścić się w czterdziestu pięciu minutach albo współpracować z kolegą z laboratorium. Mogłaby pracować powoli, metodycznie i naprawdę rozumieć to, co robi.

Kiedy wyszła z laboratorium, złapała autobus do Sausalito. Chloe nie chciała, aby ktoś przyjeżdżał po nią samochodem – choć było to komfortowe, to również krępujące. Czułaby się wówczas kontrolowana przez Mai. Autobus był za to bardzo dobrym miejscem do rozmyślań. Migoczące, fluorescencyjne lampy sprawiały, że wszystko wydawało się zrozumiałe i bardziej rzeczywiste. W podłodze odstawa! każdy nit, a na wstrętnej matowej tapicerce każdy pierścień wzmacniający siedzenia.

Ona jednak mogła skupić się tylko na jednym. Istniało niebezpieczeństwo, że zanim dotrze do Firebirda, Brian będzie umierający albo już martwy.

W przypadku Xaviera, którego pocałowała w klubie, reakcja nie była natychmiastowa. Chloe znalazła go kilka dni później, leżącego na podłodze w swoim mieszkaniu. Był cały poraniony i nie mógł normalnie oddychać, ale jeszcze żył. Ledwo. Jeszcze kilka godzin – a może nawet minut – i już mogło go nie być. Nigdy nie dociekała, co się z nim stało. Teraz nadszedł najwyższy czas, aby do tego wrócić.

Autobus zatrzymał się i Chloe, jako jedyna, wysiadła. Niebo było zachmurzone, wysoko w górze płynęły chmury. Chloe naciągnęła na głowę kaptur od bluzy tak mocno, jak tylko się dało, ponieważ przez konary drzew i słupy

telefoniczne wiał bardzo zimny wiatr. Celowo mocno stąpała po ziemi, chcąc w ten sposób podkreślić paskudny ludzki dźwięk i rzucić wyzwanie niebu oraz wiatrowi, a także pełnej gracji kobiecie–lwu. Kopała kamienie i żwir, marząc o tym, aby znowu mieć trzynaście lat. Albo przynajmniej piętnaście, zanim wszystko się zmieniło.

Doszła do bramy i zdała sobie sprawę, jak nikło wyglądała na jej de. Nastolatka–darmozjad, w wyblakłej bluzie i džinsach, przed budką strażniczą, chroniącą jedną z największych nieruchomości w San Francisco, jak również wymierającą rasę starożytnych kocich wojowników.

– O, panna King, czy życzy sobie panienka, abym posłał po samochód?

– Nie, dzięki, przejdę się – powiedziała, przeciskając się przez wąskie drzwi, które trzeszcząc, otworzyły się w podwójnej bramie prowadząc do długiego, pokrytego żwirem podjazdu. Zobaczyła ozdobnie ostrzyżone drzewa i krzewy oraz inne piękne rzeczy znajdujące się w ogrodzie, których nie zauważyła, kiedy tu mieszkała.

Wciąż przebywała wewnątrz domu, poza jedną chwilą, kiedy uciekła, aby zobaczyć się z przyjaciółmi.

Chloe postanowiła wejść od tyłu, unikając w ten sposób lobby i recepcjonistki, a także tłumu ludzi, który z pewnością tam był. Ludzi gapiących się na nią, kłaniających się jej i kierujących ją do Siergieja.

Chociaż nie pamiętała dokładnie, gdzie znajduje się pokój szpitalny, to udało jej się go znaleźć dzięki wspomnieniom i węchowi. Zanim otworzyła drzwi, delikatnie

w nie zapukała, po czym weszła tak cicho jak przed chwilą przez bramę.

– Hej. – W pokoju była doktor Lovsky i sprawdzała kartę badań Briana. Lekko się ukloniła. Brian znajdował się w niemal takiej samej pozycji, w jakiej widziała go po raz ostatni.

Podłączony był do wszelkiego rodzaju rurek i przewodów. Kroplówka w ręce, coś innego w nosie. Wyglądał na chorego, był blady jak oskubany kurczak. Taki mały.

– Jak on się czuje? – wyszeptała Chloe.

– Nie musisz tak szeptać. Dałam mu tyle środków przeciwbólowych, że tylko trzęsienie ziemi mogłoby go obudzić – powiedziała, odwieszając na poręcz łóżka kartę badań. Stabilizuje się. Dzisiaj chciałabym bliżej przyjrzeć się jego głowie. Jest całkiem wytrzymały jak na człowieka.

– *A propos ludzi...* – Chloe zamknęła oczy i zacisnęła zęby. *Przywódca nie boi się mówić prawdy. Pomyśl o Washingtonie i legendzie o wiśniowym drzewie. Albo o Lincolnie.* Prawdopodobnie powinnam była wcześniej powiedzieć, że kiedy Brian myślał, że już umiera..., eee, hm... pocałował mnie.

Podkładka z kartą badań niebezpiecznie zsuwała się z ręki doktor Lovsky, aż zawisła na jednym z jej pazurów.

– Jak mocno? – wyjąkała.

– Hmm, chyba całkiem mocno – odpowiedziała nerwowo Chloe. – Z tycim języczkiem dodała, rumieniąc się przy tym gwałtownie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – wrzasnęła doktor, przejeżdżając pazurami po głowie. – Najjaśniejsza.

– Ponieważ wtedy, zakładając, że i tak umrze, nie ratowalibyście go.

Dziwne, ale doktor Lovsky nie polemizowała. Musiała być jedną z tych nielicznych osób, które nie protestują, jeśli wiedzą, że ktoś inny ma rację.

– Pocałowałam też innego chłopaka, zanim dowiedziałam się kim jestem... Pani doktor tylko postukała się w ząb jednym z pazurów.

Chloe odchrząknęła.

– Czy wyjdzie z tego? Czy można mu pomóc? Doktor Lovsky pokręciła głową.

– Przed laty... miałam do czynienia z pewnym związkiem między człowiekiem a Mai. Doszli oni tylko do „pierwszej bazy”. On umarł. W szpitalu nic nie mogli poradzić – a był w zdecydowanie lepszym stanie niż ten tutaj.

Chloe przestraszona milczała – z pewnością za tym, co powiedziała doktor, kryła się jakaś historia.

Wtedy Calie, zmieszana, zmarszczyła brwi.

– Ale... nie widziałam żadnego śladu szoku toksycznego czy czegoś takiego. Jeszcze... To raczej dziwne. Będę go miała na oku i przygotuję efedrynę. – Pani doktor odeszła ciężkim krokiem, kręcąc głową i mamrocząc coś pod nosem.

A teraz czas zmierzyć się z przeznaczeniem.

Kiedy Chloe wchodziła na górę po schodach, grała

w myślach w grę: „Co wolałabym bardziej od spotkania z Siergiejem”. Zdecydowanie zrobić skórki. Ewentualnie zająć się infekcją grzybiczą. Prawie na pewno posprzątać pokój. Stanowczo popracować na nocnej wyprzedaży w Pateenie. Może spędzić popołudnie w Aunt Isabel? To chyba było najbardziej prawdopodobne.

Niestety nie było już możliwości pracy w Pateenie, tym bardziej podczas nocnej wyprzedaży. Tydzień temu właścicielka sklepu z ciuchami vintage oznajmiła Chloe, że skoro nie pojawiła się w tamtą środę, parę tygodni temu, to już może się tu więcej nie pokazywać, więc dziewczyna uznała, że ta praca to już przegrana sprawa.

Próbowała prześlizgnąć się niezauważona przed tanio ubraną recepcjonistką, która siedziała na środku lobby, przy ladzie recepcyjnej wykonanej z ciemnego mahoniowego drewna. Towarzystwa dotrzymywał jej tylko gigantyczny wazon z drogimi kwiatami.

– Czeka na ciebie w swoim gabinecie – powiedziała, nie patrząc na nią. – Najjaśniejsza. Czyżby w głosie wy-czuwała delikatny sarkazm?

Chloe westchnęła, oddaliła się w kierunku gabinetu Siergieja i zapukała. Drzwi jakby same się przed nią otworzyły, a do środka wpuściła ją Olga. Jej czarne oczy lekko zabłyszczały, kiedy zobaczyła dziewczynę. Wyglądała jednak na zmartwioną.

– Chloe! Najjaśniejsza! Wejdz! – Uścisnęła jej ramiona, co nie do końca było równoznaczne z przytuleniem. Olga była bezpośrednią, nieskomplikowaną i szczerą ko-

biętą, a jednocześnie prawą ręką Siergieja.

Chloe była całkowicie przekonana, że wie, czego można się po niej spodziewać.

Siergiej wstał zza biurka i bardzo poprawnie, choć raczej sztywno, skłonił się Chloe. Mógłby wydawać się śmieszny, biorąc pod uwagę jego niski wzrost i toporną posturę, ale złączone pięty i perfekcyjnie przycięta broda dawały mu wygląd zagranicznego dygnitarza. Drzwi za nią się zatrzasnęły. *No cóż, zaczynamy* – pomyślała Chloe, zatapiając się w fotelu obok Olgi. *Jeśli rzeczywiście jestem Wybraną, to dlaczego się tak nie czuję?*

– Chloe – zaczął Siergiej i usiadł w fotelu. – Pozwól, że zacznę od tego, jak bardzo się cieszę, że znowu cię widzę. Tęskniliśmy za tobą, kiedy byłaś poza domem.

– Ależ ja byłam w domu – poprawiła go Chloe i zaraz pożałowała, że to zrobiła. *„Sztuka zdobywania przyjaciół i wpływania na ludzi” autorstwa Chloe King.*

– Tak, kiedy byłaś w domu – powiedział powoli Siergiej, jakby w ogóle nie było problemu. – Zakładam, że nie wróciłaś na dłuższe polowanie, prawda?

No i się zaczęło! Jakby w połowie nadpalona petarda spadła jej pomiędzy nogi. *Podnieść ją czy uciekać?*

– Jeszcze nie mam ostatecznych planów – powiedziała ostrożnie Chloe. Chryste Panie, jestem szesnastoletnim dzieciakiem. Nie powinnam podejmować decyzji odnośnie reszty mojego życia albo mówić w tak ostrożny, polityczny sposób do kogoś trzy razy starszego i dziesięć razy w tym lepszego! Powinnam chodzić na randki, kłócić się z mamą

i wyciskać pryszcze przed lustrem. – Na razie zamierzam mieszkać z mamą.

– W Presidio bardzo nas zaskoczyłaś, kiedy tak po prostu postanowiłaś zostać z przyjaciółmi – powiedział starszy mężczyzna, mrugając oczami i spoglądając to na podłogę, to na Chloe, jakby same wspomnienia były bardzo bolesne. – To mnie bardzo... zraniło – dodał miętko.

Chloe miała ochotę zwymiotować. Właśnie tu i teraz. Czy był najlepszym aktorem na świecie i istnym diabłem – co by właściwie woląa – czy też zwykłym człowiekiem, który sądził, że znalazł córkę i któremu złamano serce?

– Ja... Przykro mi. Ja tylko...

– Było ci ciężko, rozumiemy – powiedziała Olga, sięgając po jej dłoń. – Cała ta przemoc – musiała być dla ciebie szokiem.

– Ale byliśmy tam dla ciebie, Chloe. Wiesz o tym, prawda? – Siergiej próbował się bronić.

I proszę. Malutka iskierka złości. Chwyć to, Chloe, podążaj do samego źródła. To jedyna „siła”, jaką wtedy miała.

– Na miłość boską, ja znowu umarłam! – wybuchła. – Tylko mi nie mów, że chciałbyś, aby twoja mama przeszła przez cos takiego.

– A jednak – powiedział Siergiej, zakładając nogę na nogę i próbując innej strategii. Chwilowa ucieczka jest najzupełniej zrozumiała, jak powiedziała Olga. Zawsze tu będziemy czekać na ciebie. Ale żeby doprowadzać do naszego domu istotę ludzką? – Nie krzyczał, ale każde

słowo kończył wyraźną pauzą, a jego głos był zimny.

Spodziewała się tego, ale i tak była całkowicie nieprzygotowana do odpowiedzi.

Chloe otworzyła usta, ale w tym momencie usłyszała, jak otwierają się drzwi. Kim wślizgnęła się cicho do pokoju, niczym bryza w stopionej słońcem oazie. Ukłoniła się jej i Siergiejowi, a następnie przysunęła krzesło.

– Kim, to prywatne spotkanie. – Siergiej był zdumiony, a jednocześnie srogi. Dziewczyna z gigantycznymi kocimi uszami skinęła głową, wygładzając niewidzialne zagniecenie na długiej jak u księdza czarnej sukni.

– Omawiacie oddanie przywództwa Wybranej, zgadza się? – zapytała spokojnie.

– Zgadza się – odpowiedział przez zaciśnięte zęby Siergiej.

– Ja także muszę przekazać swą moc. Już nie reprezentuję duchowej strony tego Stada. Teraz to Chloe jest najwyższą kapłanką. To także należy przedyskutować. – Usiadła i na tym skończyła.

DZIĘKUJĘ! Powiedziała Chloe w myślach do Kim. *Tysiącrotne dzięki.* Nawet jeśli dziewczyna z kocimi uszami zauważyła, jak Chloe na nią patrzy, to zignorowała to, jakby chodziło o normalną sprawę. W jej oczach jednak był delikatny błysk, którego nie zauważyło dwoje dorosłych.

Jeśli bycie Wybraną oznaczało kocie uszy, ogon czy jeszcze coś innego, równie dziwaczного, też zachowywałabym się tak brawurowo bez mrugnięcia okiem – pomy-

ślała Chloe odrobinę zazdrosna. Kim zawsze się udawało jakoś wymigać ze względu na swoje wrodzone dziwactwo.

Przywódca Stada głęboko westchnął, jakby się poddał i zmienił dotychczasowe stanowisko.

– Chloe, to jest rzeczywiście trudne. Z wielu powodów – powiedział szczerze. – Pomijając nawet powody osobiste, naprawdę chcę, abyś do nas wróciła. Lubię nasze małe partyjki w szachy i pogawędki... i twoją obecność – dodał szybko, jakby poczuł się odrobinę zakłopotany. Jakakolwiek była prawda, mężczyzna z lwią grzywą, w średnim wieku, naprawdę ją lubił, ale czy byłby zdolny zabić jej mamę?

– Ale pomyśl o mnie – kontynuował, wskazując na ściany. – Poświęciłem całe życie i wydałem miliony dolarów, aby zbudować dla nas tę małą, bezpieczną przystań, to małe imperium nieruchomościowe i aby sprowadzić tu naszych ludzi. Trochę dziwnie tak nagle przekazać to wszystko młodej dziewczynie.

– Nie sędzę, aby Chloe potrzebowała angażować się w tego rodzaju sprawy naszego Stada – zasugerowała Kim takim tonem, że zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie oczywistości. Przynajmniej jeszcze nie teraz. To naprawdę nie jest jej „zakres obowiązków”. Jest naszą – duchową Przywódczynią we wszystkich aspektach związanych z Mai. Nie z ludźmi.

– Co to oznacza? – zapytała otwarcie Olga.

– No cóż, w czasach antycznych prowadziłyby dla nas ceremonie i święte obrządki Bliźniaczych Bogiń – po-

wiedziała zamyślona Kim. – Albo przewodziła w walce z wrogiem. Albo na Polowaniu. Jeśli zaistniałaby taka potrzeba, poświęciłaby swoje życie, aby Stado przetrwało. Obecnie zaś oznacza to prowadzenie Stada w takim kierunku, aby mogło przeżyć i rozkwitać – dzisiaj, we współczesnych czasach, w nowym świecie.

Olga, Siergiej i Km patrzyli wyczekująco na Chloe, która nadal nie miała pojęcia, co to wszystko oznacza. Co mogłaby zasugerować, aby stali się „bardziej nowoczesni”? *Może zainstalować MP3 w głośnikach w pokoju wypoczynkowym?*

– Myślę, że przede wszystkim należy zwołać zgromadzenie całego Stada – zdecydował Siergiej. – Spotkanie, podczas którego przedstawimy cię wszystkim jak należy. Są tacy, którzy nie uwierzą w istnienie Wybranej, dopóki jej nie zobaczą na własne oczy. Km, powinnaś zrobić jej przyspieszony kurs na temat naszej duchowości i obrządków Bliźniaczych Bogiń. Ja opowiem ci z grubsza, w jaki sposób rządziły naszą rasą przez minione dekady. – Uśmiechnął się do niej lekko. – A także o tradycji przywództwa oraz o *kizekhach*. Moglibyśmy zamówić pizzę...?

Pokojowa propozycja. On naprawdę chciał, żeby wróciła – nawet jeśli tylko na „pół etatu”.

– OK – powiedziała Chloe, przytakując głową i próbując sprawiać wrażenie, jakby to było nic takiego.

– Dobrze. Możemy spotkać się w piątek? – Chloe wzruszyła ramionami. Brzmiało nieźle.

– A zaraz potem powinniśmy zwołać zgromadzenie. – Siergiej przerzucił kartkę w kalendarzu na biurku. – Może wtorek?

– Najpierw powinieneś chyba skonsultować termin z pozostałymi. – Dziewczyna zorientowała się, że palnęła głupstwo. Nawet Kim prawie wywróciła oczami.

– Chloe King – Siergiej powiedział surowo–drwiącym tonem. – Przede wszystkim powinnaś wiedzieć, że w Stadzie nie ma demokracji.

Nie ma demokracji. Idąc za Kim do świątyni, gdzie czczono kocie bóstwa Bastet i Sekhmet, w głowie Chloe wciąż brzmiały te słowa.

OK, zagrajmy w te grę. Udawajmy, że jestem Przywódczynią całej tej kociej grupy. Co w takim razie jest dla nich najlepsze? – Chloe zapytała samą siebie.

Bardziej się integrować – odpowiedź była natychmiastowa i oczywista. Musi być jakiś sposób, aby przetrwać jako rasa i społeczność bez zaszywania się w rezydencji na przedmieściach miasta jak wampiry. Pograć w gry wideo. Pójść do kina. Wysłać wszystkich do college'u.

– Km, nie mam pojęcia, czego ci ludzie oczekują ode mnie jako od Wybranej, ani nawet co w ogóle powinnam zrobić – powiedziała głośno i usiadła na ławce, podczas gdy Km ukloniła się i zmówiła krótką modlitwę do dwóch bogiń: Bastet, kota domowego z delikatnym uśmiechem na pyszczku i z kolczykami w uszach, oraz Sekhmet

z obnażonymi zębami. W pokoju jedyny dźwięk wydawała „fosa” odgradzająca podest bogiń od pozostałej części pomieszczenia. Płynęły w niej delikatne strużki mające przypominać wiernym wody Nilu.

– Ta wiedza przyjdzie z czasem – powiedziała Kim, wzruszając ramionami. – Masz dopiero szesnaście lat, a świat jest dużo bardziej skomplikowany niż za czasów polowań i zgromadzeń. A co do oczekiwań innych, to mądrzy rozumieją. Pozostali muszą uzbroić się w cierpliwość.

– A w międzyczasie co powinnam zrobić? Jeśli zapytasz mnie, co będę robić dzisiaj, odpowiem ci, że będę oddychać pieprzonym powietrzem i podpalę to miejsce, eee, ale nie świątynię, mam na myśli Firebirda – dodała szybko, jak tylko zobaczyła, że Kim marszy brwi. – Siergiej miał rację. Mai nie powinni być tutaj uwięzieni. Powinni wejść w interakcję z pozostałą częścią świata, wpływać na własny los zamiast ślepo wiązać się z klątwą liczącą pięć tysięcy lat. I z nudną firmą zajmującą się nieruchomościami.

Kim patrzyła na nią z ciekawością i słuchała bez oceniania.

– Gdyby to ode mnie zależało – powiedziała wolno Chloe, myśląc o Xavierze i Brianie – zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, aby pozbyć się tej klątwy. To byłby mój priorytet. To niesprawiedliwe zarówno dla nas, jak i ludzi, na których się natkniemy. A poza tym, to naprawdę byłoby dobre dla rozwijania się kultu Stada. Brak możli-

wości wiązania się z ludźmi oznacza sporo randek w domu i – no cóż, presja pozostania w obrębie rodziny. Jeśli miejsce, w którym żyjecie od zaledwie kilku lat zostałyby zniszczone, musielibyście iść naprzód i pokazać prawdziwe przywiązanie zarówno do Przywódcy, jak i do siebie nawzajem. Niezależne lwy wędrują przez setki mil, gdzie się im podoba i z kim mają ochotę... Zostają w Stadzie ponieważ tego chcą, a nie dlatego, że są do tego zmuszone, rozumiesz?

W zasadzie Chloe nie była pewna, czy ostatnia część jej wypowiedzi była prawdziwa, ale brzmiała nieźle. W swoich snach miała poczucie siły i wolności, czego zdecydowanie brakowało w jej własnym Stadzie. Kim polowała głową, sprawiając wrażenie, jakby była niemalże spragniona takiej właśnie wolności.

– Powiedzmy, że tak zrobimy, hm? – powiedziała Chloe, spuszczać głowę. – Jakoś pozbędziemy się tej klątwy, Mai i człowiek znowu będą mogli się ze sobą wiązać, każdy wyjedzie i zacznie żyć własnym, szczęśliwym życiem. Wolność Mai oznacza w konsekwencji ich integrację, ale i wyginięcie. To znaczy, sześć miliardów ludzi czeka, aby się z nimi spotkać, zakochać się w nich i mieć z nimi dzieci. Populacja Mai zmniejszyłaby się na przestrzeni kilku pokoleń – czy o to nam chodzi? Czy można doprowadzić do indywidualnej wolności i jednocześnie zachować kulturę rasy Mai?

Kąciki ust przyjaciółki wykrzywiły się w małym uśmiechu, a jej uszy lekko obniżyły.

– Chloe, chyba właśnie sama odpowiedziałaś sobie na pytanie. Być może duchowy przewodnik, który nas wszystkich łączy, jest tym, czego potrzebujemy w obecnych czasach.

Chloe zamrugła oczami.

– W każdym razie, nadal masz na głowie klątwę sprzed pięciu tysięcy lat, kilku ludzi do przekonania i francuski do zaliczenia, więc jak to mówią: masz teraz sporo na głowie – dodała Kim, zapalając świeczkę i biorąc garść piasku, aby kontynuować modlitwę dziękczynną.

– Tak, dzięki za pomoc – powiedziała posepnie Chloe, wyrwana z filozoficznych rozmyślań o przyszłości i przywrócona do przyziemnych, szkolnych spraw. – A przy okazji, dziękuję też za wtargnięcie na spotkanie z Siergiejem. Atmosfera zaczęła robić się trochę napięta.

– Nie ma sprawy. – Dziwnie było słyszeć tak nowoczesne zwroty z ust Kim, z których wystawały małe kły.

– Oczywiście Siergiej będzie się trochę dziwnie zachowywał z racji tego, że ma przekazać przewodzenie Stadem szesnastoletniej dziewczynie, prawda? – Chloe spojrzała wyczekująco na – przyjaciółkę. – Pewnie, a kto zachowałby się inaczej w takiej sytuacji?

Kim przerwała modlitwę i obdarzyła Chloe nieruchomym spojrzeniem wystarczająco długo, aby ta zaczęła czuć się niezręcznie.

– Hej, napijmy się – powiedział Alek, wznosząc toast, i przechylił kufel zimnego piwa. Chloe rozejrzała się po

bibliotece i zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej wtorkowych imprez w Firebirdzie. Wszyscy byli elegancko ubrani i popijali drinki, które serwowano na srebrnych tacach. Starsi Mai, dorastający w Abchazji, Rosji lub Gruzji, w kieliszkach zrobionych z lodu pili szampana i wytrawną wódkę.

Igor, Valerie, Alek i inni młodszy członkowie Stada woleli piwo, ale Chloe zakochała się w bardziej wyrafinowanych drinkach, na które nigdy wcześniej nie mogłaby sobie pozwolić, a o których pisano w kolorowych magazynach i wspomiano w serialu *Seks w wielkim mieście* martini z trzema oliwkami, różowy cosmopolitan, bellinis z szampanem i brzoskwinowym nektarem. Kiedy tu mieszkała, Siergiej zawsze ją uważnie obserwował i nigdy nie pozwalał na więcej niż jeden drink. Sączyła więc napój powoli.

Teraz jestem przecież Wybraną. Czy to nie oznacza, że jestem wystarczająco dorosła, aby się napić?

To było niesamowite, pomyślała, kiedy usiadła na aksamitnej dwuosobowej kanapie między młodszymi członkami Stada. Oto – niczym w powieści grozy siedziała w bibliotece pełnej ludzi–kotów – jej własnych ludzi – kociej rasy żyjącej pośród istot ludziach, sekretnej, a do tego olśniewająco pięknej.

– Chcę długi welon – oznajmiła Valerie, rzucając na stół wyświechtany magazyn „Martha Stewart Weddings” tak, aby wszyscy go zauważyli.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o fajne, seksowne

i tajemnicze sprawy. Chloe westchnęła, ale spojrzała z zainteresowaniem na stronę czasopisma.

– To jest zbyt patriarchalna tradycja jak na dzisiejsze czasy – powiedziała Simone. Była piękną, rudowłosą tancerką, którą dziewczyna poznała podczas Polowania. Kiedy się poruszała – nawet zwyczajnie – trudno było, zarówno mężczyznom, jak i kobietom, oderwać od niej wzrok. – Chociaż koronka jest śliczna.

– Patriarchalna czy nie, nieważne. Taki właśnie chcę.

– Czegokolwiek pragniesz, będziesz to miała – powiedział Igor i pocałował ją w czoło. Alek i Chloe uśmiechnęli się do siebie, przewracając oczami.

– Kim zaproponowała, żeby dodać coś z tradycji Mai – naciskała Simone. – Masz zamiar tak zrobić?

Para spojrzała na siebie, a usta ściągnęli w wyrazie zamyślenia.

– Sądzę, że to bardzo dobry pomysł – w końcu odezwał się Igor. Valerie mu przytaknęła. Chloe siedziała wśród grupy „nabożnej”, której przewodziła Kim. Dziewczyna o kocich uszach cały czas podkreślała, że w ich religii chodzi raczej o wewnętrzne doznania. Tymczasem zaskakująco duża liczba Mai nie miała problemów z uzewnętrznianiem tego. Mai zamiast śpiewników mieli zwoje zapisane w językach, których Chloe nie była w stanie odczytać. Część nabożeństwa była odprawiana została po angielsku, ale większość po rosyjsku i w języku Mai. W trakcie mszy Kim, jako kapłanka, wysypywała niewielką ilość suchego mięsa – podejrzenie przypomina-

jącego kocią karmę – u podstawy każdego posagu.

Potem polewała je miodem i winem. Wszystko to było dość interesujące z antropologicznego punktu widzenia, ale dla Chloe raczej nie do ogarnięcia.

– Ale koniecznie musisz rzucić bukietem – powiedziała któraś z dziewczyn. – I jedna z niezamężnych musi go złapać.

– Zgoda. – Roześmiała się Valerie.

– Czy twój ojciec poprowadzi cię do ołtarza? – zapytała Chloe, zastanawiając się nad kolejnym, zapewne „patriarchalnym”, elementem ceremonii.

– Nie znam swojego ojca – odpowiedziała Valerie i wzruszyła ramionami. Prawdopodobnie nie żyje.

– Aha – odezwała się Chloe. – Ja też nie znam swojego. Pozostałe dziewczyny pokiwały głowami, jakby usłyszały jakąś oczywistość.

– Zabawne... – powiedziała wolno Chloe, zastanawiając się nad tym. – Wszyscy starają się dowiedzieć, kim była moja biologiczna mama, ale nikt nic nie mówi o ojcu.

– Ach, Najjaśniejsza. – Simone odkaszlnęła delikatnie. Pochodzenie u Mai zawsze było ustalane w odniesieniu do matki, ponieważ każdy wie, kim była.

– Tak, ale...

– Chloe, ona próbuje powiedzieć, że kiedyś mąż nie zawsze był ojcem wszystkich dzieci swojej żony – wtrącił Alek.

Chloe wiedziała, że to niegrzeczne, ale nie mogła się powstrzymać od rozdziawienia ust ze zdumienia. Co to za

kocia spuścizna? A może to wynik przemocy i chaosu, jakie ogarnęły wschodnią Europę?

Coś mówiło Chloe, że nie chodziło o to ostatnie. Konsekwencje były... nie do końca miłymi wyobrażeniami.

– A więc ty i Alek o wszystkim już rozmawialiście? – zapytali. Valerie, zmieniając temat. – No wiesz, o „tym”?

Alek zachłysnął się piwem.

– Mam szesnaście lat! – wykrzyknęła Chloe, zaskoczona aluzją w pytaniu dziewczyny.

– Ach, nie mam na myśli teraz – powiedziała śmiejąc się z całego serca. – Ale czy ty, no wiesz... masz jakieś plany? Jesteś przygotowana?

Wszyscy gapili się na nią i Aleka z zainteresowaniem, nawet Igor. Jej chłopak nagle zamilkł i cały się rumienił.

Nagle Chloe załapała. Mai było mniej niż mieszkańców Rhode Island – prawdopodobnie mniej niż Amiszów. Zatem każdy tworzył parę z którymś ze swoich pobratymców.

– O matko, która to godzina! Muszę lecieć – powiedziała, unikając wymyślania kiepskiej wymówki.

– Taaa, muszę iść poszukać mamy. Eee, i położyć się wcześniej – dodał natychmiast Alek, podnosząc się.

– Och, Chloe jesteś taka zabawna – powiedziała Valerie. – I ty także, Alek. Stanowicie idealną parę.

Idealna para wyszła tak szybko, jak to możliwe bez obijania się o meble czy strącania książek z półek.

– Cóż, mmm, dobranoc – powiedział Alek, kiedy

znaleźli się na zewnątrz.

– Hm, taaa... – Chloe pocałowała go, ale krótko i niedbale. On też nie przedłużył pocałunku. Kiedy w końcu spojrzeli sobie w oczy, zaczęli się nerwowo śmiać.

ROZDZIAŁ 7

$A = 33$ stopni, $B=95$ stopni, $a = 6$ cm
Jaka jest długość b ?

Przez ostatnich kilka miesięcy Chloe urosły pazury, walczyła z zabójcą, umarła dwa razy i stała się Przywódcą Stada. To niesprawiedliwe, że musiała zмагаć się jeszcze z tym.

Wzięła głęboki oddech i pomyślała o całonocnej sesji naukowej ze swoją mamą. *Twierdzenie sinusów.*

$$\begin{aligned}a/\sin A &= b/\sin B \\6/\sin 33 &= b/\sin 95 \\6/0.5446 &= b/0.9962 \\b &= \sim 10.97\end{aligned}$$

Chyba o to chodzi.

Chloe westchnęła głęboko i odkleiła arkusz egzaminacyjny od biurka, do którego się przykleił od nacisku i jej spoconych rąk. Może też od jej spoconych łokci.

Wręczyła kartę nauczycielowi matematyki i informatyki, panu Hyde'owi, który czekał na nią przy biurku, w ciszy rozwiązując jakąś łamigłówkę w „Scientific American”. Wziął od niej test lekko zaskoczony i zadowolony, jakby całkowicie zapomniał o jej obecności. Był ascetycznie chudy i przypominał rzym-

skiego boga Wulkana, pomijając uszy i poczucie humoru. Sam łuk brwiowy i nieskazitelna logika.

– Posłuchaj – powiedział odrobinę głośniejszym głosem, niż miał w zwyczaju. – Zastanawiałem się, czy nie zgłosić cię na listę rezerwową kółka matematycznego w przyszłym semestrze, po Bożym Narodzeniu.

Chloe znowu o mało nie upuściła książek. Ją? Nie była przecież żadnym kujonem – była tylko dobra z matmy. A przynajmniej lepsza niż niejeden z drugoroczniaków – Czy ja wiem... Nie należę raczej do tych, którzy udzielają się w różnych kółkach.

– Zastanów się nad tym jeszcze, dobrze? – poprosił. – Naprawdę chciałbym cię mieć w drużynie. Byłabyś wspaniałym przykładem dla młodszych dziewcząt.

– Hm, pewnie. Do zobaczenia. – Chloe wybiegła z klasy najszybciej jak mogła, machając ręką na pożegnanie. Ona w kółku matematycznym? *Jeśli w moim życiu wydarzy się jeszcze jedna zwariowana rzecz, tylko jedna, przysięgam, że zacznę...*

– Hej, Chloe. Wyglądasz jakbyś zobaczyła ducha – zawołał do niej Paul. Trzymając pod pachą brązową torbę, kartkował dopiero co kupione komiksy.

– Jekyll i Hyde właśnie zwyczajnie zaproponował, żebym dołączyła do kółka matematycznego. Jako rezerwowa – dodała szybko.

– Nie wiedziałem, że jesteś taka mocna w trygonometrii. *A propos*, jak się mają sprawy w kocim domu?

– Chcą żebym została ich Przywódczynią. – Chloe oparła się o ścianę i ześlizgnęła po niej na plecach w dół, aż usiadła na podłodze. Paul zrobił to samo. Grzebała w torbie w poszukiwaniu czegoś słodkiego, może batonu, ale znalazła tylko starą pastylkę na kaszel. Byk – trochę brudna od leżenia na dnie torby, ale i tak ją odwinęła i wrzuciła do ust. Wiśniowa. Jej ulubiona. – A co u ciebie?

– Mój ojciec ma dziewczynę – powiedział, bez mrużania gapiąc się w podłogę dużymi oczami.

OK. To była oficjalnie „ta” rzecz. Kolejna zwariowana sprawa.

– Od kiedy? – zapytała, także gapiąc się w podłogę.

Paul łatwo się peszył i wydawało się, że może zacząć panikować, więc takie pytanie było w sumie najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

– Ja... nie wiem. Podejrzewam, że się znają już od jakiegoś czasu – ona jest córką przyjaciół moich rodziców. *Córką!*

– Koreanka?

– Taa. Dużo bardziej... tradycyjna niż moja mama. I sporo młodsza – dodał uśmiechając się ze złością. – Jest nową sekretarką ojca.

– Jaja sobie robisz. – Chloe mu współczuła. Pewna część złości zniknęła z jego uśmiechu, który stał się szerszy, ale smutniejszy.

– Nie sądzę, że mieli romans, zanim moi rodzice złożyli pozew o rozwód, nie jestem nawet pewny, czy ze sobą śpią. Ona wciąż mieszka w domu swoich rodziców – ma

trzydzieści dwa lata.

Przez chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu. Paul chyba właśnie tego potrzebował. Kogoś, kto go wysłucha i zrozumie, a nie skomentuje. Chloe zbyt dobrze wiedziała, co on czuje.

– Czy... mógłbym poprosić cię o przysługę? – zapytał, lekko pociągając nosem. Skinęła głową.

– Nie mów nic Amy.

Chloe poczuła, jak skręca się jej żołądek. To był początek nowego sekretu.

– Sam jej o tym powiem, ale jeszcze nie teraz. Właśnie się dowiedziałem i... Oczywiście miało to sens. Między dwójką jej najlepszych przyjaciół już i tak zrobiło się dziwnie. Nie czas teraz na kolejne komplikacje, współczucie czy złość. Zrobił jednak z Chloe swojego powiernika – po raz kolejny ich trójka została podzielona, ale tym razem to Amy była nie do pary.

Jeśli kiedykolwiek Amy dowie się, że wiedziałam o wszystkim i o niczym i jej nie powiedziałam, będzie po mnie.

– Tak, jasne. Oczywiście – odpowiedziała Chloe.

Jeszcze przez chwilę tak siedzieli i nic nie mówili. Chloe spoglądała na pusty, spokojny korytarz skrzydła matematycznego. Było prawie tak, jak wtedy, kiedy wszyscy wyjeżdżają na wakacje albo święta. W płytkach podłogi odbijały się długie rzędy zielonych i niebieskich, niedawno pomalowanych szafek, a ich cienie rozciągały się do zamglonej nieskończoności. Gdzieś uchyłone były

drzwi, dzięki czemu niewielki powiew świeżego powietrza zdołał przebić się przez stary zapach kleju, brudu, podręczników i papieru do ksero.

Chloe zorientowała się, że to wszystko wkrótce stanie się wyłącznie wspomnieniem. Cokolwiek się wydarzy w jej życiu, czy będzie kotem, czy człowiekiem, za mniej niż trzy krótkie lata wszystkie te niespokojne dni będą zaledwie wspomnieniem, jak ten cichy, nieruchomy obraz jej i Paula, siedzących na podłodze.

Zadzwoił dzwonek i znowu słychać było szkolny gwar i kroki tych, którzy kończyli późno lekcje albo tych, którzy musieli za karę zostać po zajęciach. Chloe wstała i dzięki wrodzonej sile Mai z łatwością podciągnęła przyjaciela.

– Wyzywam cię, żebyś wzięta mnie na barana – powiedział z trudem.

– Nie kuś mnie. – Chloe uśmiechnęła się. – Wiesz, mogłabym zabić dziewczynę twojego taty – powiedziała wesoło, kiedy razem szli przez korytarz. – Znam teraz całą organizację zabójców. A w zasadzie to dwie.

– Nie chciałbym zabrzmieć jak delikatny chłopczyk New Age – powiedział Paul, wzdychając – ale myślę, że mój tata także ma coś z tym wspólnego. Rozumiesz?

Kiedy doszli do lobby, zobaczyła ich Amy i pomachała im. Pod pachą miała coś, co podejrzenie wyglądało na wielkie portfolio.

– Piej, ludzie. Jak leci? – Pytanie było trochę wymuszone. Nawet jak na Amy.

– Nie najgorzej – odpowiedziała Chloe i wzruszyła ramionami.

– Jak się ma Brian?

Chloe postukała się w ząb, w ostatnim momencie chowając pazury. Z nimi byłoby dużo bardziej satysfakcjonująco, ale znajdowała się teraz w miejscu publicznym. W końcu się zdecydowała. Skoro nie ma wpływu na resztę swojego życia, to przynajmniej wyjaśni sprawy ze swoimi przyjaciółmi.

– Pocałował mnie.

Obojgu jej przyjaciół opadły szczęki i Chloe marzyła, aby mogli siebie teraz zobaczyć. W zasadzie tworzyli bardzo ładną parę. Do dupy, że zerwali ze sobą właśnie teraz, kiedy zaczęła się przyzwyczajać do nich jako jedności.

– Nie umarł – powiedziała drżącym głosem, mając nadzieję, że to nadal prawda. Minęły przynajmniej dwie godziny odkąd dzwoniła do doktor Lovsky. – I nie pojawiły się jeszcze żadne niepokojące symptomy. Jest pod ścisłą obserwacją, więc jeśli dostanie wstrząsu anafilaktycznego, zauważą to. Zachował się jak kretyn – dodała, zanim Amy zdążyła otworzyć usta. – Z pewnością był przekonany, że umrze. Z powodu utraty krwi był ledwo żywy.

– Jasna cholera – powiedział Paul, zaskoczony zakresem swoich przekleństw. – Tak się cieszę, że do niczego nie doszło przez te dwie minuty spędzone w szafie na przyjęciu z okazji trzynastych urodzin Amy.

– Życie jest do bani – powiedziała Chloe, pozwalając, aby na krótką chwilę smutek przeszedł na nią, dla bezpieczeństwa jej przyjaciół. Następnie pokręciła głową. – Muszę dowiedzieć się, co się stało z Xavierem.

Amy wzruszyła ramionami.

– Odkąd poprosiłaś mnie o to kilka tygodni temu, każdego dnia sprawdzam gazety i policyjne raporty w Internecie, ale jeszcze nic się nie pojawiło na jego temat. Był jeden nekrolog Xaviera Constantine, który miał osiemdziesiąt siedem lat.

– No cóż, to raczej dobra wiadomość. Znaczący, nie dla tego staruszka.

– Masz zamiar sprawdzić mieszkanie tego Xaviera? Zobaczyć chociaż, czy nadal tam jest? zapytał Paul.

Pokręciła głową.

– Nie tej nocy. Jestem... trochę zmęczona. Chcę iść do domu. – Chloe nie była pewna, jak by sobie z tym poradziła, gdyby okazało się, że Xavier nie żyje – to był jeden z powodów wiecznego odkładania całej sprawy na później.

– Aha, jesteś dzisiaj zajęta – powiedziała Amy, trochę za szybko. Zwróciła się do Paula. – Może wpadniesz do mnie? Chcesz obejrzyć maraton ze *Star Trekiem*?

Jakkolwiek banalne by to nie było, Chloe zdała sobie sprawę, że może tylko biernie obserwować zbliżającą się katastrofę. Miała jednak nadzieję, że jej przyjaciele nie powiedzą sobie tego, co nieuniknione. *Moc nadczołwieka, możliwość widzenia w nocy i zero szans na uratowanie ostatniej minuty rozmowy.* Westchnęła.

Paul poruszył się nerwowo.

– Nie dzisiaj. *Raz...*

– Inne plany? – dopytywała Amy, wciąż siląc się na bez troskę. *D wa...*

– Nie, po prostu nie sędę, żeby teraz to był najlepszy pomysł. *I trzy!*

Z wieczną presją ze strony Amy i głupią nadmierną szczerością Paula aż dziwne, że nie wybuchnęli wcześniej. Chloe zamknęła oczy i skrzywiła się.

– Aha – powiedziała Amy, a jej policzki się zarumieniły.

– No cóż, muszę lecieć – rzekł Paul, udając, że ignoruje wszystko, co się właśnie stało. Ponownie zarzucił na ramię torbę z napisem „Alladin Sane” i wyszedł przez wyjście awaryjne, które nie było połączone z systemem alarmowym od lat siedemdziesiątych, czyli od czasu, kiedy w bocznej uliczce uczniowie zaczęli popalać maryškę. *Wychodzi tchórzliwy bohater, scena zostaje pusta.*

– Muszę iść na spotkanie w sprawie tańców – powiedziała Amy drżącym głosem, zbyt zaskoczona i zmartwiona, aby od razu zareagować.

– Ty? Jesteś w Komitecie jesiennego balu? – Chloe zapytała z większym zaskoczeniem, niż było to konieczne, próbując rozśmieszyć przyjaciółkę.

– Alek założył się ze mną, że nie jestem w stanie wykonać lepszej roboty od pani Dinan...

– Pójdę z tobą. – Chloe zgłosiła się na ochotnika i pomyślała, jakiego ma bystrego chłopaka.

Na sali gimnastycznej można było dostrzec małe grupki studentów w samych skarpetach lub o gołych stopach. Większość z nich trzymała kartki z zapiskami i wskazywała na udekorowane trybuny i kosze na tablicach do koszykówki. Uczniom towarzyszyła nauczycielka sztuk pięknych, która wymachiwała wokół siebie rękami, jakby malowała sufit. W kącie rzucona była sterta sztucznych kruków, obok których leżały torebki małych, plastikowych, jaskrawych, diabelskich pajaków i gąsienic. Prawdopodobnie jakieś upominki czy coś w tym stylu. Po raz pierwszy widziała, żeby ktokolwiek był podekscytowany czymś na sali gimnastycznej. Przez okna i świetliki widać było jak wraz z zachodem słońca niebo staje się ponure. Chmury przypominały białe kłaczki, które zostają w suszarce po wyjęciu prania. To były ujemne strony jesieni. Natomiast Halloween, liście, jabłka, wino jabłkowe i perspektywa rozpoczynającego się sezonu imprez były czymś, co stawiało tę porę roku nieznacznie wyżej niż Święto Dziękczynienia czy Boże Narodzenie – ciemne, ponure, zimne i pozbawione śniegu.

Chloe poprowadziła przyjaciółkę do najbliższej trybuny, gdzie mogła w spokoju się wypłakać.

– My nie... On nie powiedział tego definitywnie... – wymamrotała Amy i w końcu popłynęły jej łzy.

– Zdaje mi się, że mniej więcej tak właśnie powiedział – odpowiedziała Chloe najdelikatniej jak mogła. Czasami jej przyjaciółka bywała tak pochłonięta własnymi emocjami, że nie dostrzegała, co tak naprawdę dzieje się wokół

niej.

– Hej, ślicznotki. – Alek, z łatwością i gracją całkowicie niepodobną do ludzkiej, przeskoczył ponad ławicą, na której siedziały. W sali gimnastycznej nikt ich nie obserwował. Amy pociągała nosem. Chloe wiedziała, że jej przyjaciółka pragnęła być dopuszczona do sekretnego życia Mai, nawet Alek jej ufał. Pomimo tego szybko uniosła jasnozieloną apaszkę, aby zakryć jej twarz i wytrzeć oczy.

– Hej, czekamy na ciebie.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że to robisz... – wymamrotała Chloe.

Amy wciąż wydmuchiwała nos, próbując ukryć łzy. Odpowiedział za nią Alek.

– No, pomaga przy całym montażu. Gestalt, [Gestalt (niem. postać) – niemiecka teoria percepcji (przyp. red.).] jeśli wolisz. Dodając „potwora” do idei „Jakiś potwór tu nadchodzi”.

Słysząc było głośne dmuchnięcie w apaszkę.

– Hej, co jest? – Alek zapytał nonszalancko. – I gdzie się podziewa twój mały przyjaciel? Chloe walnęła go ręką.

– Co, ujawnił w końcu swoje preferencje seksualne? – zapytał Alek, udając zatroskanie.

– On nie jest gejem – zaprotestowała Amy, jednocześnie dmuchając nos i miętosząc chustkę. – Byłoby łatwiej, gdyby nim był – dodała cicho.

– No cóż, ma coś jednak z maminsynka – powiedział Alek. – Znaczący, jest miły i w ogóle, ale ogier to z niego żaden. Och, daj spokój. – Złapał za frędzle apaszki Amy i lekko je pociągnął. Założę się, że nie mógłby rozpaść

kogoś takiego jak ty... – Przyciągnął do siebie Amy i przechylił ją tak nisko, że jej kędziory znalazły się blisko drewnianej ławki, a jego twarz kilka centymetrów od jej twarzy.

– Co ty wyrabiasz, do cholery? – domagała się odpowiedzi Amy, ale smutek momentalnie zniknął z jej twarzy.

– Rozśmieszam cię. Mógłbym zetrzeć pocałunkiem twoje łzy, jeśli tylko byś chciała, ale mogłoby się to źle skończyć, prawda?

Na chwilę oboje zamarli. Ani Alek, ani Amy nie mrugnęli okiem, żadne nie odwróciło wzroku. Atmosfera była tak napięta, że aż trzeszczało.

Chloe zdała sobie sprawę, że się gapi. I nagle zorientowała się, że zaczyna ją to naprawdę drażnić.

– Podnieś mnie, przydupasie – warknęła w końcu Amy i czar prysnął.

– Wedle rozkazu szanownej pani, żyję, aby jej służyć.
– Jednym płynnym ruchem ramienia podciągnął ją do góry, po czym przyłożył rękę do swojego brzucha i ukłonił się uroczyście.

– Dzięki za, eee, za to, że jesteś ze mną – powiedziała Amy zwracając się do Chloe.

– I za małą lekcję na temat tego, jak beznadziejni są wszyscy faceci – dodała, spoglądając na Aleka i odmaszerowała w kierunku nauczycielki, wyglądającej, jakby za pomocą pędzla, który nie wiadomo skąd wytrzasnęła, dyrygowała niewidzialną orkiestrą.

Chloe patrzyła, jak jej przyjaciółka odchodzi pełnym

złości krokiem, wciąż nerwowo bawiąc się częścią apaszki, którą dotknął Alek.

– CO TO DO DIABŁA MIAŁO BYĆ? – zażądała odpowiedzi Chloe, odwracając się do Aleka.

– Rozśmieszałem ją, tak jak powiedziałem. – Usiadł na schodku powyżej i podniósł ulotkę, którą ktoś zostawił, i sprawiał wrażenie, jakby zupełnie zapomniał o całym zajściu, – Alek. – Chloe wydarła z jego rąk świstek papieru tak mocno, że aż prawie wysunęły się jej pazury.

– Tak naprawdę nie zamierzałem jej pocałować – powiedział niewinnie. – Nie życzę jej śmierci.

– Tak naprawdę to wcale nie żartowałeś z tym całowaniem, prawda?

Między nimi zapanowała głęboka i długa cisza, tak jak wcześniej między nim a Amy, ale z zupełnie innego powodu.

– Chloe – powiedział z uśmiechem – przecież wiesz, że jestem flirtiarzem. Zawsze o tym wiedziałaś. Bezpłatny dodatek do zakupionego towaru.

Chloe spojrzała groźnie. Wiedziała, że mówił prawdę, ale jednak... Co innego, kiedy chodziło o Keirę albo Halley, albo o kogokolwiek innego. Powiedział jej, że nic do nich nie czuje – poza tym, nie dało się zaprzeczyć temu, że obie były ludźmi. Ale najlepsza przyjaciółka? I to przed samym jej nosem?

– A jeśli to ja bym flirtowała? – zapytała i pomyślała o Brianie, Xavierze i rozmowie z Kim. – Miałbyś coś przeciwko?

– Chloe, dlaczego robisz się taka zrzędliva – zapytał i zmarszczył brwi. – Nic się nie stało. Naprawdę chciałem tylko rozśmieszyć twoją przyjaciółkę.

Nie wierzyła mu. Co innego, jeśli mówimy o nim i Amy, a co innego, jeśli chodzi o niego i inne dziewczyny. Z jednej strony, nienawidziła go. Z drugiej, przeciwnieństwem nienawiści nie jest przecież miłość. Raczej obojętność.

– Ja tylko. – Nie potrafiła ubrać tego w słowa. Była zwyczajnie wkurzona. Chodziło o to, że nie podobało jej się to, co zobaczyła, dlatego się zdenerwowała, a on był przecież jej chłopakiem, na litość boską.

– Nie wiedziałem, że jesteś taka zazdrosna – powiedział nieco chłodno. – Myślisz, że masz do tego prawo? A ten twój chory ludzki kochaś?

Jakby wymierzył jej policzek. Nigdy przedtem nie odzywał się do niej w ten sposób. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła swoje pazury, tamtego popołudnia kiedy jednocześnie rozmawiała przez telefon z Brianem i SMS-owała z Alekiem, wiedziała, że nadejdzie kiedyś ten moment. Owszem, zabawnie było flirtować z dwoma chłopakami, dwie różne rasy, jeden w niej zakochany, a drugi, cóż, „bawił się” z nią, ale teraz nadeszła chwila rozrachunku.

– Zgoda – powiedziała, połykając i powstrzymując łzy, w ten sam sposób, w jaki kilka minut temu robiła to Amy przed Paulem.

– Wiem, co do niego czujesz – kontynuował Alek.

W końcu dostała się pod jego warstwę beztroski i żartów, i to jak. *Chloe, jesteś teraz z siebie zadowolona* – Wciąż mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Z czymkolwiek mamy tu do czynienia, nawet jeśli to są tylko wygłupy, byłoby miło, gdybyś wobec każdego stosowała takie same reguły.

Uciekaj.

To był silny instynkt. Została zraniona i nie wiedziała, co robić ani co powiedzieć. Zwalczyła to. W końcu była Wybraną, prawda? Wcześniej stawiała już czoła zabójcy o psychopatycznych skłonnościach.

– Świetnie. – Chloe wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Masz rację. – Wstała i zarzuciła torbę na ramię. – Muszę to przemyśleć. Teraz wracam do domu.

– Chloe. – Alek zwrócił się do niej trochę delikatniej, bardziej niepewnie. – Nie miałem zamiaru się o to kłócić.

– Nie, nie, masz rację. Nie powinnam była drażnić się z wami dwoma. To nie w porządku. Idę do domu, dobranoc – powiedziała zdecydowanie i poszła na przystanek autobusowy.

Chloe wsiadła do autobusu, aby – dosłownie – zyskać trochę przestrzeni między nią a Alekiem, ale po kilku przystankach wysiadła. Tylko podczas przemiany nie musiała myśleć i chciała, aby ten stan trwał jak najdłużej. W zimnym, mrocznym powietrzu, samotna, irracjonalna fala emocji odpłynęła. Owszem, należało w końcu jakoś rozwiązać całą tę sprawę z Alekiem i Brianem, ale nie to było prawdziwym powodem kłótni.

Tak naprawdę chodziło o to, że nie mogła wiązać się

z Brianem. Chodziło o głupią klątwę, o to, że była Mai i o to, co pięć tysięcy lat temu zrobili im ludzie. Nagle Chloe poczuła, że ogarniają panika i przerażenie. Przecież mogła naprawdę być winna śmierci Xaviera i Briana. Oni mogli rzeczywiście umrzeć albo już nie żyli.

Wstrząśnięta, przebiegła ręką po twarzy, wysuniętymi pazurami podrapała się po głowie i próbowała otrząsnąć się z szoku. *Tak lepiej.*

Chloe zatrzymała się. Nagle usłyszała jakiś hałas. Coś tak delikatnego, że mogło ujść uwadze nawet takiemu słuchowi, jakim dysponują Mai, i zostać zlekceważone jako przypadkowy nocny szmer – mysz, szczur, zdmuchnięta przez wiatr puszka – ale jednak ucichło zbyt gwałtownie. Jakby w momencie, kiedy go usłyszała. Bardzo delikatne chrzęszczenie żwiru, jakiś...

Ruszyła ponownie, przyspieszając kroku. Jeśli to był jakiś bandzior albo gwałciciel czy ktoś inny, bez wątpienia potrafiła sobie z nim poradzić. Nękały ją jednak upiory przeszłości. Rzeczy, których teraz się bała były dużo bardziej skomplikowane i niebezpieczne. Pokręciła głową i poszła dalej.

Naprawdę potrzebuje wakacji. Tak, właśnie o to chodzi. W miejscu kojarzącym się ze zdobionymi cekinami japonkami, kwiecistymi torbami plażowymi, drogimi kremami z filtrem przeciwsłonecznym i kolorowymi drinkami. Ona i jej mama mogłyby pojechać zabawić się gdzieś w Święto Dziękczynienia, zamiast odwiedzać babcię i szaloną ciotkę Isabel, zapakować mnóstwo dobrych,

gównianych czytadeł i wylegiwać się na plaży, popływać...
Znowu coś usłyszała.

Idealnie zgrane z odgłosem jej kroków.

– OK, wyłaź! – krzyknęła, pewnie stojąc na nogach i wsuwając kciuki za szelki plecaka. – To z pewnością nie jest dobry dzień, żeby ze mną zadzierać!

Na goleniach poczuła zimny powiew wiatru, którego świst jakby przecinał zderzaki, hydranty czy inne metalowe przedmioty. Drobne kamyczki wirowały wokół nóg Chloe, jakby wpadły w niewidzialny morski prąd. Koło niej, powoli, na Vespie, przejechał jakiś mężczyzna, przyglądając się zwariowanej nastolatce na ulicy. Przedni reflektor nie miał włączonych świateł przeciwmgielnych, więc oświetlał tylko niewielki kawałek drogi przed nim.

– Ostrzegam cię! Mamy zawieszenie broni – krzyczała. Wiatr zmienił kierunek i rzucił wypowiedziane słowa w jej twarz. Jej głos mógł zatem dotrzeć zaledwie lalka centymetrów dalej.

Nikt się nie pojawił, sprawca dźwięków nie ujawnił się.

– Do dupy – wymamrotała Chloe. – Spadam stąd. Po czym się obróciła i pobięła.

ROZDZIAŁ 8

– Hej, mamó – Chloe przywitała się ze zmęczeniem w głosie i zamknęła drzwi za sobą. To była jednak tylko część gry. Rzuciła torbę na blat i podeszła do lodówki,

szukając czegoś prostego, sycącego i pocieszającego.

– Zabierz torbę z blatu – powiedziała mama, nie odrywając wzroku od magazynu „Utnę Reader”, który czytała na kanapie. – Możemy podgrzać w mikrofalach risotto od Lixia i do tego zjeść sałatkę, więc się nie napychaj.

Węglowodany. Cudne, ciepłe i krzepiące węglowodany. Chloe właśnie tego potrzebowała. Sięgnęła po dietetyczną colę z limonką i powlekła się na kanapę, na którą klapnęła, kładąc głowę na kolanach mamy, a nogi układając na podłokietniku.

Anna King spojrzała na córkę.

– Ciężki dzień w szkole? Jak ci poszedł egzamin?

– Och, dobrze. Tylko wszystko inne jest do bani. – Chloe zaczęła wyliczać rzeczy na palcach: Paul i Amy zerwali ze sobą. Podejrzewam, że Amy podoba się Alekowi. Ojciec Paula umawia się ze swoją sekretarką. Mam dwóch chłopaków, obaj są teraz dla mnie czymś w rodzaju... ciężaru. Pan Hyde – który, pragnę zauważyć, nawet nie jest moim wychowawcą – chce, abym wstąpiła do kółka matematycznego. A według Kim powinnam wprowadzić moich ludzi-kotów w nową erę duchowego oświecenia.

– Ojciec Paula spotyka się ze swoją sekretarką? – krzyknęła podekscytowana mama Chloe, nachylając się w jej kierunku i odkładając na bok gazetę.

– Mamo...

– Wiem, kochanie. Ja po prostu... – W oczach jej mamy widać było zamyślenie, jakby próbowała to sobie

wyobrazić. – Ta mała laska? Wygląda jak postać z filmów animowanych. Oczywiście ta zła.

– Oczywiście doceniam tę młodzieżową metaforę, ale czy możemy już wrócić do rozmowy o mnie?

– Członkostwo w kółku matematycznym wspaniale wyglądałoby w twoim CV. – Anna zaczęła bawić się włosami córki, zawięła między palcami przypadkowy loczek i próbowała go jej ułożyć na czubku głowy pod innym puklem.

– Jak i to, że zostałam Przywódcą tajnej rasy kocich wojowników – odburknęła Chloe.

– Przypuszczam, że... – jej mama zaczęła ostrożnie. – Gdybyśmy ubrały to w inne słowa, podobnie jak w filmie *Jeździec wielorybów* zrobiła to ta dziewczyna w swoim przemówieniu, w zasadzie wyszłoby z tego doskonale wypracowanie – o tym, jak nastolatka, poszukując swoich korzeni, znalazła znacznie więcej, niż się spodziewała...

– Mamo... – Chloe usiadła i spojrzała jej prosto w oczy. – Oni naprawdę chcą, abym im przewodziła. No wiesz, przewodziła.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Jej mama otworzyła usta, zamrugła oczami i zaniemówiła. Dziewczyna nigdy wcześniej jej takiej nie widziała. Prawniczce Annie King prawie nigdy nie brakowało słów. Nawet wtedy, kiedy stała się ofiarą porwania.

– Lepiej więc upewnij się, że dostaniesz się do Berkeley – odezwała się w końcu, z lekkim uśmiechem. Po czym zamknęła usta i znów wyglądała poważnie. – Chloe,

wiem, że nie rozumiem wszystkiego, co dzieje się z tobą i innymi Mai ani tego, co się z tym wiąże. Wiadomo, co niektórzy z twoich innych przyjaciół i ludzi myślą o ludzkiej matce. Cokolwiek jednak zdecydujesz, zrób to jako wykształcona osoba. Zagraniczni królowie i członkowie rodziny królewskiej zawsze wysyłali swoje dzieci, księżniczki i książęta, i kogo tam jeszcze, do college'u. Byłabyś zdecydowanie lepszym Przywódcą, posiadając dyplom uczelni wyższej. Chloe, opadając znów na kanapę, zastanawiała się nad tym.

– Nie sądzę, żeby Siergiej miał coś przeciwko sprawowaniu władzy do czasu, aż będę gotowa.

– To ten z rudymi włosami i bronią?

– Och, broń miał tylko wtedy. Na co dzień ma pazury.

– Wyglądało, jakby chciał mnie zastrzelić. Albo Briana. Albo tego innego chłopaka otwarcie powiedziała jej mama.

– Przynajmniej ciebie nie porwał – odpowiedziała jej słabo Chloe. – Masz zamiar wnieść oskarżenie? Przeciwko Bractwu Dziesiątego Ostrza?

Jej mama skrzywiła się.

– A kogo wezmę na świadków? Czy wy, jako Mai, będziecie w sądzie świadczyć na moją korzyść? A do tego Brian, który wydawał się być jedynym porządnym z całej zgrai – zniknął.

Chloe zadrżała w poczuciu winy. Pomijając wszystkie kocie sprawy, jeśli powie mamie, że „jedyne porządne z całej tej zgrai” – tak jakby jej chłopak – został pobity

prawie na śmierć przez swoich własnych przyjaciół... Cóż, to dodatkowo zagmatwa kwestię randkowania oraz zdecydowanie jeszcze bardziej skomplikuje życie nastolatki.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz to tak po prostu zostawić.

– Tego nie powiedziałam – odpowiedziała pani King, prawie rozgniewana. – Po prostu muszę... opracować odpowiednią strategię.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy Chloe zaczęła się zastanawiać, czyjej mama czegoś przed nią nie ukrywa.

Czegoś dziwnego, nielegalnego albo okropnego. *Rodzice z tajemnicami...* Niezbyt pokrzepiająca myśl. Taka jej jednak pozostała.

– Hej, sądzisz, że tata wiedział, kim jestem? Anna King została sprowadzona na ziemię.

– Nie, nie sądzę, żeby... – Przerwała, kręcąc się nerwowo na kanapie. – Wszystkie nasze kłótnie były o to, jak cię wychowywać. W pewnym momencie chciał nawet oddać cię twoim „pobratymcom”. Myślałam, że miał na myśli Rosjan – powiedziała wolno. – Był taki... stanowczy w stosunku do pewnych rzeczy. Bardzo, bardzo nadopiekuńczy.

–I wtedy zniknął. Jest więc szansa. – Przerwała jej Chloe z większym rozgoryczeniem w głosie, niż zamierzała. Może jej ojciec opuścił miasto, aby uniknąć spotkania z zabójcami, porywaczami i ogólnym wariactwem związanym ze znalezieniem się w potrzasku pomiędzy Bractwem a Mai. A może tylko starał się chronić Chloe –

człowiek, który wiedział za dużo, postanowił odejść i pozwolić jej żyć normalnym życiem. *Być może sądził, że mama będzie bezpieczniejsza, nie wiedząc o niczym.*

Nagle Chloe poczuła się wykończona. Ponownie opadła na kolana mamy.

– Czy wspominałam, że Paul i Amy ze sobą zerwali?

– Jakiś dziwny czas sobie na to wybrali, z tą całą sprawą z jego rodzicami, i w ogóle, nie sądzisz?

Jej mama sięgnęła po kubek i małymi łydkami zaczęła sączyć kawę. Jak wiele innych rzeczy w ich domu kubek był stary, a jego odłupane prawie dziesięć lat temu ucho zostało starannie przyklejone. Miał ciemnoniebieski kolor – jeden z tych, jakie kupowano do domów we wczesnych latach osiemdziesiątych, w gryzących, nefrytowo–turkusowych kolorach – który pasował do stylu Pani King z New Southwest.

Nieodpowiedni, stary i niebywale poręczny. Anna King piła z tego kubka odkąd Chloe pamiętała. Jej mama zamknęła oczy i rozsiadła się wygodniej.

– Nie pójdą więc razem na bal? – kontynuowała, po głośnym siorbnięciu. – Może zaprosi ciebie. Albo mogłyście pójść w trójkę. Ja byłam na balu z moimi najlepszymi przyjaciółkami. Udawałyśmy, że jesteśmy Aniołkami Charliego, tylko w przebraniu. Uzbrojone w pistolety na ziemniaczane kule.

– Ach, te szalone lata siedemdziesiąte. – Chloe próbowała nie myśleć o Aleku. Ona, Paul i Amy jedyny raz poszli potańczyć, kiedy Amy ich tam zaciągnęła. Jeśli

Brian przeżyje – kiedy poczuje się lepiej – będzie musiała naprawdę zdecydować, co z nim zrobić. *Z nimi. Z nami.* Sprawy zaszły za daleko. Oczywiście nadal pozostaje kwestia Mai, ludzi i toksycznych pocałunków. To, że Brian nie umarł natychmiast, nie oznaczało wcale, że skutki pocałunku nie dadzą o sobie znać w późniejszym terminie.

Chloe westchnęła.

Nadszedł czas, aby odwiedzić Xaviera.

Tym razem Chloe nie musiała desperacko przedzierać się przez bałagan panujący w pokoju, aby znaleźć jego adres. Czy to dzięki kolejnej zdolności Mai, czy czemuś innemu, co zawsze miała, a z czego nie korzystała, nie miała żadnego problemu z zapamiętaniem, gdzie dokładnie znajdowało się mieszkanie – dzięki charakterystycznym punktom i ogólnej orientacji w terenie, a nie nazwom ulic i numerom domów.

Następnego dnia wyruszyła od razu po szkole. Żadnych popołudniowych lekcji wyrównawczych. Jak cudownie było uciec od tego wszystkiego. *Zdecydowanie potrzebuje więcej czasu dla siebie* – rozmyślała Chloe bez cienia ironii, wskakując na schody starego domu. *A nie tylko biegać nocą na tle nieba.* Potrzebowała dobrej książki, jakiegoś hobby albo jazdy na rowerze, który mama podarowała jej na szesnaste urodziny.

Chloe zadzwoniła do drzwi, a jej apaszka powiewała na październikowym wietrze. Nagle, bez pytania kim była, Xavier – lub ktoś inny – nacisnął przycisk otwierający drzwi i wpuścił ją do środka.

Tylko trzy piętra i dowiem się, czy Xavier żyje czy umarł.

Wbiegła po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, aby mieć to jak najprędzej za sobą, zanim zawiodą ją nerwy. I ponownie ten stary, pachnący drewnem i cytrynowymi środkami czystości dom sprawiał, że gorąco zapragnęła zamieszkać w takim pięknym miejscu, nawet jeśli to było zwykłe mieszkanie. Nienawidziła swojego domu – wyglądał tak samo jak każda inna dwupiętrowa, miejska miernota w okolicy. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie przekonały ją do życia z Mai w Firebirdzie było budzenie się w starym zakątku o dwuspadowym suficie oraz z niebezpiecznie wypaczonymi deskami w podłodze i „pokrytą kurzem ciszą”, jaki mają tylko stare domy.

Jak tylko dotarła na właściwe piętro, drzwi do mieszkania Xaviera były już uchylone. Mimo to i tak zapukała. Nie chciała tak zwyczajnie wejść. Nie tak jak ostatnim razem.

– Otwarte... – Ze środka usłyszała czyjś głos. Należał do mężczyzny, ale nie była w stanie określić, czyjego właścicielem był Xavier, czy ktoś inny. Poza tym, przez mocno bijące w jej klatce piersiowej serce nie mogła go wyraźnie usłyszeć. Jedyne słowa, jakie zamienili między sobą najpierw wykrzyczeli, zdzierając gardła w klubie, a potem wyszeptali je na parkingu.

Mieszkanie wyglądało prawie tak samo, jak tamtej nocy, kiedy natknęła się na niego leżącego na podłodze, umierającego. Rozrzucone były dodatkowe gazety, a na

parapecie postawiono nową świeczkę. Wciąż pusto, drogo, swobodnie i w stylu europlayboya. Ze słyszanych dźwięków skrobania łypatką w patelnię, Chloe wnioskowała, że zastała go w środku gotowania... Ale czy to on?

– Och. – Z kuchni wyszedł Xavier z kuchenną ściereką pod brodą, patelnią w jednej ręce i łypatką w drugiej. Chloe o mało nie zwymiotowała, doznając jednocześnie uczucia ulgi. Żył. I miał się świetnie.

Prawdę mówiąc, dużo lepiej niż świetnie. Chloe była zaskoczona, jak bardzo był przystojny w dziennym świetle. Kruczoczarne włosy, piękna, oliwkowa skóra, no i te zdumiewająco oszałamiające jasnobrązowe oczy. Bardzo egzotyczny. Miał na sobie dzinsy i olśniewająco biały T-shirt, jakby właśnie przygotowywał się do sesji zdjęciowej w „swobodnym” stylu.

– Chloe, zgadza się? – powiedział, unosząc swą perfekcyjnie wyregulowaną brew. Dziewczyna z klubu?

Była zaskoczona, że w ogóle ją zapamiętał. O ile dobrze kojarzyła, był zwyczajnym zagranicznym studentem podrywającym przypadkowo poznane amerykańskie licealistki. Jej serce powoli się uspokajało, choć przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

– Hm, tak. – Chloe nie miała żadnych planów na wypadek, jeśli zostanie go w domu i żywego. Teraz, skoro już go zobaczyła, wszystko czego pragnęła to uciec i zobaczyć się z Brianem. Była jakaś nadzieja.

– Jadłaś coś?

Jadłaś coś? Była druga trzydzieści. Obiad? Herbatka?

Drugie śniadanie?

– Eee, nie dzięki – odezwała się z zakłopotaniem. Ręce świerzbiły ją, żeby zadzwonić.

– Więc. – Ostrożnie położył patelnię na stoliku kawowym. – Nie widziałem cię w The Bank, ale też ostatnio nie bywałem tam często – powiedział myśląc o klubie, w którym się poznali w dniu jej szesnastych urodzin.

– Byłeś chory – powiedziała Chloe możliwie obojętnym tonem, aby zabrzmiało to jak pytanie i jednocześnie stwierdzenie.

– Skąd wiesz? – Groźnie na nią spojrział.

– Ja... przyszłam tu kilka dni po tym, jak się poznałyśmy – przyznała się Chloe. – Drzwi były otwarte i znalazłam cię leżącego na podłodze, dusiłeś się i cały byłeś pokryty pokrzywką i w ogóle. Wezwałam pogotowie.

– To byłaś ty? Umarłbym, gdybyś nie przyszła. Byłem tu całkiem sam. – Przeszedł go dreszcz. Dziwnie było jej teraz patrzeć na tego seksownego faceta z klubu – z którym o mało nie uprawiała seksu. – Powiedzieli, że byłem w szoku, i tyle. Moje ciało zaczęło atakować samo siebie, a oni nie wiedzieli, dlaczego tak się dzieje.

– Jednak potrafili cię wyleczyć – powiedziała, znowu możliwie neutralnie, stając się zabrzmieć, jakby wcale nie próbowała wyciągać z niego żadnych informacji.

Potrząsnął głową, a mimo to jego piękne czarne włosy pozostały starannie ułożone.

– Nic nie byli w stanie zrobić. Zapadłem w śpiączkę...

i nagle pewnego dnia po prostu poczułem się lepiej. Obudziłem się i było po wszystkim. Powiedzieli, że moje ciało jakby nagle samo potrafiło się uzdrowić, czy coś takiego. Żadnych wyjaśnień. Dziewiętnastego października zwyczajnie się obudziłem.

– Cóż, cieszę się, że dobrze się czujesz. Wpadłam tylko zobaczyć co u ciebie. – Chloe obróciła się, aby wyjść, czując, że nadszedł dobry moment.

Wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać.

– Powiedzieli mi jednak, że kiedy przyjechała karetka, w mieszkaniu nikogo nie było.

– Spanikowałam i uciekłam. Przepraszam za to – Chloe nieśmiało się uśmiechnęła. Jak to możliwe, że łatwiej było powiedzieć prawdę jakiemuś nieznanemu niż własnym przyjaciołom albo rodzinie? – Gdyby moja mama dowiedziała się, że byłam w nocy w mieszkaniu jakiegoś faceta, nawet jeśli to miało uratować mu życie, byłoby po mnie.

Xavier roześmiał się szczerze i otwarcie, a jego śmiech ani trochę nie przypominał uwodzicielskiego uśmiechu z tamtej nocy w klubie.

– Właściwie powinnam już iść – dodała. OK, nie umarłeś. W tym momencie opowieść o Xavierze i Chloe dobiega końca. Żegnaj i powodzenia. Żadnych dodatkowych problemów. – Tak jak powiedziałam, chciałam tylko upewnić się, że wszystko jest z tobą dobrze.

– Chloe, ja mówię poważnie, jestem ci coś winien – powiedział i stanął przed nią, muskając ustami jej dłoń

w wyjątkowo seksowny i męski sposób. – Mogłem umrzeć. Jeśli jest coś, czego pragniesz albo potrzebujesz, po prostu mi powiedz. Nawet jeśli to pomoc w przeprowadzce dodał, uśmiechając się szeroko i pokazując zęby tak białe jak ściany domów na Santorini.

– Dobrze, będę o tym pamiętać.

Chociaż myśl, że młody i bogaty europlayboy jest jej dłużnikiem była intrygująca – do głowy przyszedł jej pomysł spędzenia ferii wiosennych w Grecji – Chloe była przekonana, że już go więcej nie zobaczy.

– Hej – zawołał, kiedy wychodziła. – Może zobaczymy się kiedyś w The Bank?

– Może – krzyknęła. Była jednak już dwa piętra niżej.

ROZDZIAŁ 9

Xavier żył.

Chloe powtarzała to sobie raz za razem podczas jazdy autobusem do Sausalito, miarowo kopiąc w siedzenie naprzeciwko.

To w jaki sposób „po prostu się obudził” nadal pozostawało zagadką, ale wyglądało na to, że jej pocałunek nie był jednak śmiertelny – przynajmniej tym razem. Może tak samo będzie w przypadku Briana. Może z upływem lat klątwa traciła swą moc, stając się już tylko bajką do straszenia dzieci. Może jeszcze wszystko się ułoży.

W głowie Chloe mimowolnie zrodziła się iskierka nadziei, która w każdej chwili mogła eksplodować i wypełnić jej duszę radością. Starła się trzymać emocje na wodzy, aby później nie rozczarować się, jeśli rzeczywistość okaże się całkiem inna.

Utorowała sobie drogę między ludźmi, wyskoczyła z autobusu, jak tylko się zatrzymał i pobiegła do Firebirda.

Tym razem nie weszła tylnym wejściem. Na miłość boską, w końcu była Przywódczynią tego Stada. Nie musiała przemykać się do kryjówki, zażenowana obecnością Briana i onieśmielona przez Siergieja. Chloe podeszła prosto pod frontowe drzwi i bezceremonialnie, zamasyżystycznym krokiem, przeszła obok recepcjonistki.

– Przekażę Siergiejowi, że przyszłaś – powiedziała dziewczyna z fryzurą na boba, lekko się kłaniając.

– Powiedz mu, że zaraz u niego będę – powiedziała Chloe, próbując trzymać nerwy na wodzy i nie oglądać się za siebie. – Muszę coś załatwić.

W jaki sposób do swoich poddanych mówi Przywódca? Nie żeby nią była naprawdę, ale nie miała zamiaru więcej pozwolić na to, aby Siergiej i jego pracownicy traktowali ją jak bezradną nastolatkę. Zanim nie znajdzie złotego środka, może być ciężko.

Chociaż bardzo pragnęła – potrzebowała – zobaczyć się z Brianem, najpierw musiała porozmawiać z kimś innym.

Poszła prosto do świątyni, a zanim cicho weszła przez uchylone drzwi, delikatnie zapukała. Ku jej zaskoczeniu w środku nie było Kim, chociaż utrzymujący się we wnętrzu jej zapach świadczył o jej niedawnej obecności. W pomieszczeniu była inna kobieta Mai – Valerie, narzeczona Igora. Klęczała na podłodze przed posągami bliźniaczych bogiń Bastet i Sekhmet, szepcząc coś żarliwie. Była jak piękna, całkowicie oddana służebnica Bliźniaczych Bogiń, żywcem zdjęta z egipskich malowideł ściennych, gdyby nie jej jasnowłodego kostium i buty na szpilkach.

Chloe wycofała się po cichu i nie domknęła całkowicie drzwi, bo bała się, że mogłaby tym przeszkodzić w modlitwie. O co mogła się modlić Valerie? O małżeństwo? O dziecko? A może to była tylko zwykła rutyna – jak chodzenie do kościoła w każdą niedzielę. Chloe nie była pewna, czy mogłaby okazać tak

wielkie oddanie bogini, od której prawdopodobnie otrzymała swoje moce. Buddyzm był podobnie czysty, ale ona, wychowana w monoteistycznej religii judeochrześcijańskiej, była zbyt silnie zakorzeniona w kulturze Zachodu, aby móc traktować starożytne bóstwa z należytą wiarą i szacunkiem.

Valerie zabiła jelenia gołymi rękami – i pazurami – podczas Polowania, w którym Chloe wzięła udział. Doskonale wiedziała, że była to kolejna rzecz, jakiej ona sama nie byłaby w stanie zrobić. *Powinni wybrać Valerie* – pomyślała ze smutkiem. *Albo Kim*. Ludzi, którzy faktycznie zasługiwali na przewodzenie rasie Mai.

Poszła w kierunku biblioteki, następnego miejsca, w którym powinna być Kim, chociaż sprawdziła najpierw jadalnię i mały aneks kuchenny. Wszystkie pomieszczenia były puste. Dało się słyszeć tylko typowe odgłosy kawowych obiboków z branży nieruchomości.

Chloe zganiła siebie w myślach. Wielu z nich oddałoby życie, żeby móc żyć w Ameryce, i nie rezygnując z większości swoich przyzwyczajzeń Mai, pracować w firmie Mai oraz być za to sprawiedliwie wynagradzanym. Naprawdę powinna przestać tak łatwo osądzać ludzi, skoro ma zostać Przywódczynią.

Bingo.

Jej przyjaciółka stała na końcu długiego regału z książkami i cicho przewracała strony monstrualnego, oprawionego w skórę tomu. Wysokie okna były zaciemnione długimi, aksamitnymi, udrapowanymi zasłonami.

W powietrzu unosiły się drobinki kurzu, których nie rozświetlał żaden promyk słońca. Nastolatka rozumiała, że chodziło o ochronę starych i rzadko spotykanych ksiąg, jednak ciemność sprawiała, że czuła ostry zapach przeznaczenia.

Chociaż Chloe mogłaby przysiąc, że nie wydała żadnego dźwięku, Kim spojrzała prosto na nią.

– Cześć. – Dziewczyna z czarnymi, aksamitnymi uszami powiedziała normalnym głosem, co wydawało się dość nieodpowiednie zwłaszcza w miejscu, w którym wymagano zachowania ciszy.

– Hej, Kim, mam pytanie.

Uszy Kim odchyliły się do tyłu, a jej zielone, kocie oczy wyczekująco wpatrywały się w Chloe.

– Czy istnieje jakakolwiek szansa... – Chloe zagryzła wargę. Miała zamiar podważyć coś, w co wierzyła ta dziewczyna. – Czy istnieje szansa, że ta cała sprawa z klątwą dotycząca ludzi i Mai jest trochę, cóż, przesadzona?

Kim zamrugała gęstymi rzęsami.

– Która część? Chodzi ci o waśń? O historię dziewczyny Mai, która została zabita?

– Nie, ta część ściśle biologiczna. A może to kompletna bujda, że ludzie i Mai nie mogą żyć ze sobą?

– Chloe, podobnie jak wielu innych Mai, wierzę, że możesz dokonać wyboru, w jakim związku chcesz być, nie mogę jednak sugerować ci wypróbowania tej teorii na człowieku, którego darzysz szczególną sympatią.

– Nie, nie. – Chloe westchnęła i usiadła na krawędzi bibliotecznego stołu, czyli zrobiła coś, co zostałoby uznane za karygodne w każdej innej bibliotece na świecie. Kim lekko uniosła brwi. Chloe nie mogła nie zauważyć ethernetowych portów oraz bezprzewodowych szerokopasmowych anten, które wystawały ze środka stołu i wyglądały dziwnie na de starego drewna i zmatowiałych mosiężnych lamp. Mai byli właśnie taką niezwykłą mieszanką: odważnie podążającą z duchem czasu, a jednocześnie całkowicie zanurzoną w przeszłości. – Posłuchaj, pocałowałam dwóch ludzi – eee, chłopaków.

Brwi Kim uniosły się jeszcze wyżej niż u pani Lovsky.

– Tego w klubie... Olga wspominała o tym – powiedziała Kim.

– Tak, sprawdziłam, co u niego. Ma się świetnie. Kim stała w taki sposób, że gdyby miała ogon, machałaby nim teraz tam i z powrotem.

– A kogo jeszcze? Może Paula? Chloe zaczęła.

– Co? Nie wiem, może jako dziecko. Miałam na myśli Briana. Zaraz przed tym, jak stracił przytomność. – Czy Kim nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo ona go lubiła? I co Paul miał z tym wspólnego? – Doktor Lovsky mówi, że wraca do zdrowia.

Przez dłuższą chwilę dziewczyny patrzyły na siebie.

– Wygląda na to, że nasza klątwa się zmniejsza albo zanika – powiedziała Kim powoli i z namysłem. – Jak dokładnie udało się chłopakowi z klubu „wrócić do zdrowia”?

– Nie wiem. Oznajmił mi, że po prostu się obudził. Powiedzieli mu, że nagle „poczuł się lepiej”.

– A kiedy dokładnie to się stało?

– Hmm, dziewiętnastego października. Oczy Kim szeroko się otworzyły.

– To tej nocy umarłaś, jak byłaś z pozostałymi w Presidio.

– Tak, i co...? – Chloe nie skojarzyła faktów i nadal nie wiedziała, co to ma wspólnego ze wszystkim.

– To ty zdjęłaś klątwę! – Jej przyjaciółka praktycznie wydarła się, strasząc Chloe. – Hmm... co?

– Umarłaś i uratowałaś człowieka!

– To moja mama, Kim...

– Tak, ale posłuchaj: zostaliśmy przeklęci, ponieważ zabiliśmy całą wioskę ludzi powiedziała smutno Kim, jej kły błyszcząły, a w oczach widać było szaleństwo. – Umarłaś ratując człowieka, więc może w ten sposób zdjęłaś nasze brzemie. A Brian? Jak on się ma?

– Zejdę na dół i się przekonam, ale doktor mówi, że jak na razie nie ma żadnych niepokojących objawów.

Kim była cała podekscytowana.

– Muszę to dokładniej sprawdzić – powiedziała i zniknęła wśród stosów książek. Zadzwoń do ciebie później, jak tylko znajdę odpowiedź!

Chloe, schodząc schodami w dół w kierunku pokoju szpitalnego, uśmiechała się na myśl o tym, że zdjęła starożytną klątwę. Oznaczało to, że każdy zwykły człowiek, który miał kontakt fizyczny z Mai czułby się dobrze – czy

to nie fantastyczne? Nareszcie coś godnego prawdziwej Przywódczyni.

Brian nadal leżał w łóżku pogrążony w śpiączce, a do jego całego ciała podłączone były rurki od kroplówki i cewki. Nie było prawie żadnych dostrzegalnych zmian od ostatniego razu, może za wyjątkiem tego, że jego rany miały mniej strupów, jakby z brzegów zaczęły się goić. Może.

Żadnych oznak umierania lub szoku toksycznego.

– Hej – Chloe powiedziała lekko, biorąc go za rękę.

Bezwiednie, powoli i delikatnie wysunęła pazury. Przeczesała nimi włosy.

– Och. – Doktor Lovsky zatrzymała się nagle, kiedy zobaczyła ich razem.

– Ja, hm, zostawię was samych...

– Nie, w porządku. Czy widoczne były jakieś objawy, czy on... – Nie wiedziała, jak to – powiedzieć.

– Nie odnotowaliśmy żadnych typowych symptomów zauważalnych u ludzi mających... bliski kontakt z Mai – odpowiedziała pani doktor, potrząsając głową. – Zajrzałam nawet do najstarszej dokumentacji, jaką mamy w posiadaniu, w poszukiwaniu opisu tego, co się stało. Czyraki. Gorączka. Dziwne siniaki i zadrapania – wyliczała na palcach – trudności z oddychaniem. Powieki mocno zaciśnięte. Krew na skórze. Nic. Zero. Nuli. Nada. Poza faktem, że Brian został mocno pobity, ma się świetnie.

Iskierka nadziei stawała się coraz większa.

– Nic z tego nie rozumiem. Jestem bardzo podekscytowana stanem swojego pacjenta, ale... Widziałam wcześniej, co działo się, kiedy ktoś z Mai całował człowieka – powiedziała bezradnie doktor Lovsky. – W każdym razie, teraz potrzebny jest mu odpoczynek. I mnóstwo antybiotyków. Niech jego ciało powraca do zdrowia.

– A dlaczego antybiotyki? Pani Lovsky zmrużyła oczy i spojrzała na Chloe jak na idiotkę. Uniosła brew, aby mocniej zobrazować swoje uczucia.

– Znalazłaś go rannego na ulicy, w kałuży. Czy mam wymienić całą listę różnego rodzaju robali, jakie mogą zaprzyjaźnić się z wycieńczonym organizmem?

– Hm, nie, w porządku – odpowiedziała Chloe, szybko unosząc rękę. – Rozumiem. Dzięki za wszystko.

Doktor Lovsky wyszła, a dziewczyna wróciła do Briana. Coś poruszyło się pod pościelą chociaż jego noga w gipsie była unieruchomiona.

– Chloe? – wyszeptał ochrypłym głosem.

– Jestem tu – odpowiedziała mu szeptem, całując go w policzek możliwie jak najdelikatniej. Chociaż nie miało to już może znaczenia, to i tak nie warto było kusić losu.

– Gdzie ja jestem? – Po kilku nieudanych próbach, zdołał otworzyć pokryte strupami oczy. Na widok doznanych przez niego obrażeń, które dewastowały jego urodę, Chloe przełknęła łzy. Oczy Briana były zaczerwienione, połowę lewego oka pokrywała jakby plama krwi, a prawe tonęło w masie purpurowej opuchlizny.

Cóż za głupota, kompletny idiotyzm! Tylko to przy-

chodziło jej do głowy.

– Jesteś bezpieczny – powiedziała, uznając to za najlepszą odpowiedź. Kichnął, a potem dostał długiego napadu kaszlu.

– Nie – odezwał się z chrypką w głosie. – Naprawdę. – W jego obolałych oczach tylko na chwilę pojawił się błysk. Chloe westchnęła.

– Jesteś na ostrym dyżurze w siedzibie Mai. Nie mogę zdradzić dokładnego położenia, bo to tajemnica.

– Jestem. – Próbował jeszcze odkaszlnąć. Z jego ust pociekła ślina i spłynęła po policzku. Chloe ulżyło, że tym razem bez krwi. Zanim zdążyła pomyśleć, złapał za koniec jej koszuli i wytarł o nią twarz. – Gdzie jestem?!

– Cóż, a gdzie indziej miałam cię zabrać? – warknęła z udawaną irytacją. Ulżyło jej, że był w stanie powiedzieć coś' spójnie.

– Ta doktor... kobieta...? – Słabym ruchem wskazał palcem na drzwi.

– Mai.

– Brian długo nie odpowiadał, aż Chloe się wystraszyła, że zasnął z otwartymi oczami.

– Jasna dupa – odpowiedział w końcu, pojękując. – Cóż za ironia...

– Ciiii. Masz odpoczywać.

– Nie... umarłem... – Wreszcie, zdał sobie z tego sprawę i oczy mu zabłyszczały. Obrócił głowę i próbował odwrócić ramiona, by mógł na nią spojrzeć. – Pocałowałem cię! I nie umarłem... dlaczego?

Chloe potrząsnęła głową.

– Nie wiem... Km twierdzi, że mogłam zdjąć klątwę, ponieważ uratowałam człowieka moją mamę.

Postanowiła, że póki co nie będzie go obarczać szczegółami odnośnie Xaviera. Zrobi to później. Kiedy poczuje się lepiej.

– Pocałuj mnie – nakazał jej. I tak zrobiła.

Przyciągnął ją lekko na łóżko bliżej siebie, i poza jednym nieważnym momentem, kiedy jej łokieć wbijał się w coś, co prawdopodobnie było jego połamanym zębem, pozostali w tej pozycji przez dłuższą chwilę...

Chloe była tak rozkojarzona, że kiedy w końcu poszła zobaczyć się z Siergiejem, całkowicie zapomniała o wcześniejszym zdenerwowaniu i niepokoju.

– Hej – przywitała się. Olga i Siergiej pochylali się nad biurkiem, patrząc w gazetę, umowę czy coś innego. Jej krótkie platynowe i jego naturalnie rude, charakterystyczne włosy tak bardzo do siebie nie pasowały, że Chloe prawie musiała odwrócić wzrok.

Kiedy Olga spojrzała w górę i zobaczyła ją, szczerze się uśmiechnęła i pochyliła głowę.

– Tak, Chloe. – Siergiej także się uśmiechnął, ale w jego morskich oczach dziewczyna dostrzegła coś innego. Strach, niedowierzenie, zapal. Nie była w stanie powiedzieć, co to było. Aha, i potwierdzamy wtorek, trzydziesty października. Twoje wprowadzenie do Stada.

– Och, to cudownie. Muszę sprawdzić rozkład zajęć w szkole i zapytać mamę, ale poza tym nie widzę żadnych

przeszkód. – Chloe już sobie wyobrażała Siergieja na scenie z wielkim audytorium, wygłaszającego przemówienie na podium udekorowanym drapowanym niebieskim materiałem, i siebie, siedzącą na składanym krześle tuż obok niego, w oczekiwaniu na wprowadzenie. Wszystkie oczy, jakie mogła dojrzeć przez światła reflektorów, były kocie, a od czasu do czasu ze strony publiczności dało się słyszeć syczenie.

– Czy Kim dostarczyła ci już uroczystą szatę? – zapytała Olga, notując coś w palmtopie.

Gdyby tylko Olga wiedziała, jak śmiesznie brzmiały te słowa w jej ustach. Chloe już sobie wyobrażała, co znajdowałoby się w jej CV: członkini kółka matematycznego, zaawansowany język francuski, dwa lata nauki prawie wymarłej starożytnej kultury egipskiej, jej języka i religii.

Uroczysta szata.

– Musisz zacząć uczyć się Zasad Rasy Mai i przynajmniej jednego z naszych języków jeszcze przed ceremonią.

– Ceremonią? – Wyobrażenie sceny szkolnego zgromadzenia przełączyło się w głowie Chloe na coś pomiędzy żydowską ceremonią barmicwy a tym, co widziała kiedyś w *Buffy*.

– Chloe, powinnaś zacząć traktować to poważnie – odezwał się stanowczo Siergiej. – Tu nie chodzi o zabawę we władzę.

Otworzyła usta z zamiarem opowiedzenia o teorii Kim odnośnie do możliwego zdjęcia klątwy – ale coś kazało jej

milczeć. Wiele tygodni temu, kiedy pojawiła się w rezydencji po raz pierwszy, dowiedziała się od przyjaciółki z kocimi uszami, że nie zawsze warto mówić o wszystkim, co się wie.

Siergiej opacznie zrozumiał jej wyraz oczu i tylko westchnął.

– Staram się tylko... Chloe, w byciu Przywódcą chodzi o coś więcej niż tylko „przewodzenie”. Musisz naprawdę zrozumieć dusze swoich ludzi. I chociaż urodziłaś się z lepszym, wrodzonym wejrzeniem w nasze życie i religię, to jednak nie jesteś związana z tymi, którzy żyją tym na co dzień.

– Tak, wiem, że masz rację – przyznała dziewczyna.

– Nawet ci, którzy mają wieloletnie doświadczenie wciąż mogą popełniać straszne błędy... Chloe, jak sobie przypomnę, co przytrafiło się twojej mamie, czuję się okropnie – powiedział bez związku i sztywno, jakby nie był przyzwyczajony do przeproszania. – Wcześniejsza decyzja o nienarażaniu życia Mai, aby ratować matkę Wybranej – czy któregokolwiek z Mai była krótkowzroczna, pochopna i o mało nie doprowadziła do wielkiej krzywdy. Porywając ją, Bractwo mogło dopuścić się wszystkiego – i to ja byłbym za to szczególnie odpowiedzialny.

Do czego on zmierza? – zastanawiała się Chloe.

– Zdaję sobie sprawę, jak ważni są dla ciebie ludzie przyjaciele i rodzina. Przynajmniej teraz to wiem.

Trzasnął o biurko szarą teczką.

– Potraktuj to jako propozycję ugody, a nie przekupstwo. Zleciłem naszym kadrom, aby odnaleźli twojego adopcyjnego ojca.

Chloe wszystkiego się spodziewała, ale na pewno nie tego, że usłyszy od Siergieja właśnie te słowa. Była zbyt oszołomiona, jakby ktoś uderzył ją w głowę łopata, by móc coś powiedzieć.

– Mój ojciec? – Spojrzała na teczkę, chcąc – i jednocześnie nie chcąc – po nią sięgnąć.

– Jeszcze nic nie znaleźliśmy – Olga odezwała się delikatnie. – Ale dawaliśmy sobie radę z trudniejszymi przypadkami, jak bezimienna sierota Mai na drugim końcu świata. Znajdziemy go – dodała.

– Aha. – Chloe przestępowała z jednej nogi na drugą. – Dzięki. – Wstała i obróciła się, aby wyjść, niepewna jak powinna się zachować. – No to, do zobaczenia...

– Chloe – zawołał ją Siergiej. Odwróciła się. Na twarzy miał wyraz bólu, jakby naprawdę starał się jej pomóc, ale nie wiedział, jak ma to zrobić. – Olga i ja jesteśmy do twojej dyspozycji, jakbyś czegoś potrzebowała. Czegokolwiek.

– Dzięki – powiedziała Chloe. Może tym razem naprawdę tak myślał.

Zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała w lobby, próbując zrozumieć, co się właśnie stało. Siergiej miał zamiar pomóc odnaleźć jej ojca. Jej ludzkiego tatę. Niezaprzeczalnie była to forma przeprosin.

– Najjaśniejsza – Igor pozdrowił ją zimno, zbliżając

się do gabinetu Siergieja. Jego oczy nigdy wcześniej nie miały tak kociego wyrazu, światło odbijało się w tęczęwkach, czyniąc je prawie czerwonymi.

– Igor – Chloe przywitała się, czując się niezręcznie. Nie było śladu okazywanej jej wcześniej życzliwości, kiedy przez krótką chwilę pracowała w Firebirdzie jako stażystka.

– Słyszałem o wielkim spotkaniu, podczas którego zostanie ci przekazane przywództwo – zasyczał. – Wiesz, że Siergiej poświęcił Stadu całe swoje życie?

I to na tyle, jeśli chodzi o naturalne zaakceptowanie Przywódczyni obdarzonej boską duchowością – pomyślała ponuro. Wyglądało na to, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Nie mam zamiaru mu tego odbierać. Taka się urodziłam – odpowiedziała Chloe, trochę zbyt rozpaczliwie.

– Oczywiście. Tylko pamiętaj. Kiedy ty wychowywałaś się wśród ludzi, Siergiej próbował chronić Mai. Igor odszedł zamaszystym krokiem – *raczej tchórzliwie* – pomyślała Chloe – nie dając jej szansy na odpowiedź.

– Po prostu jest coraz lepiej – wymamrotała.

Tego wieczoru nareszcie wszystko zaczęło wracać do normalności. Po skończonej pracy domowej Chloe zafundowała sobie głupawy reality show w telewizji i przeglądanie ostatniego wydania „Vogue'a”. Po raz pierwszy od kilku tygodni spędzała czas bezmyślnie i przyjemnie.

– Hej. – Nagle obok niej pojawiła się mama, kucając

przy kanapie z wyczekującym spojrzeniem na twarzy.

Już po raz drugi tego dnia. Chloe była święcie przekonana, że nie spodoba jej się kierunek, w jakim rozwinię się sytuacja.

– Taak? – zapytała Chloe podejrzliwie.

– Tak sobie myślę o Paulu i Amy, o tobie i o tym, w jakim jesteś stresie, i o twoich, hm, pozostałych przyjaciółkach... Aleku i tej z kocimi uszami...

– Tak? – pytała dziewczyna nadal podejrzliwie.

– No cóż – Jej mama założyła za ucho kosmyk popielatoblond włosów i jej chłopięca fryzura znów stała się idealna. Jej kolczyki – inne niż te, które upuściła w kryjówce Bractwa podczas porwania – półksiężyc w kolorze ciemnego srebra, dyndały hipnotyzująco niczym wahadełka.

– Niezależnie od tego, co się dzieje, musisz mnie bardziej informować o swoim życiu i zapoznać z nowymi przyjaciółmi. – Chociaż powiedziała to delikatnie, oczy Anny King nie dopuszczały żadnego sprzeciwu. To była matczyna decyzja.

Chloe zbierała się na odwagę.

– Myślałam o zorganizowaniu dla was wszystkich malej imprezki z pizzą – powiedziała, pokazując białe zęby w szerokim uśmiechu.

Przyjęcie–niespodzianka urządzone z okazji szesnastych urodzin nastolatki, prawdę mówiąc, było całkiem odjazdowe i zabawne. Ale to...

– Oj, mammo! Daj spokój – Chloe odpowiedziała roz-

paczliwie. – To było fajne, kiedy miałam dziesięć lat...

– Nadal może być zabawnie – nalegała jej mama. – Same możemy zrobić pizzę – albo zamówić ciasto u Carlucciego. Różne dodatki – będzie totalnie w stylu retro. Taka mała przedhalloweenowa impreza.

– To nie jest dobry pomysł – tłumaczyła Chloe.

– Naprawdę chciałabym poznać twoich przyjaciół – powiedziała pani King przez zaciśnięte zęby. – Przecież pomogli w ratowaniu ciebie i mnie.

– Pamiętasz, jak Willow wystąpiła w *Aniele ciemności* i jak Angel pojawił się w ostatnim odcinku *Buffy*? – zapytała Chloe, starając się nie zabrzmieć płaczliwie. – No cóż, coś takiego nie mogłoby się udać z *Tajemnicami Smalville* i *Życiem na fali* – i o to chodzi. Paul i Amy zerwali – ze sobą. Amy i Alek... Coś dziwnego dzieje się między nimi. A Em? Mamo, nawet jej nie znasz – ona jest dziwaczką. Kocham ją, ale ona nie jest typem imprezowiczki, a poza tym nie lubi Aleka ani... Po prostu nie potrafię ogarnąć całego tego zderzenia dwóch różnych światów.

– Chcę poznać twoich przyjaciół.

Mai mogliby nauczyć się niejednej rzeczy o zastraszaniu od tej kobiety o okrągłych źrenicach zauważyła Chloe.

Załamana, opadła na kanapę. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

ROZDZIAŁ 10

– Dzień dobry, pani King.

Mama Chloe otworzyła drzwi Kim i zaczęła się jej uważnie przypatrywać. Dziewczyna miała na sobie czarny, filcowy, głęboko naciągnięty kapelusz, *mający* ukryć jej uszy, luźne, czarne dżinsy oraz czarny, mało gustowny sweter. Wyglądała tak, jakby celowo próbowała zakamuflować całe swoje ciało, nie tylko głowę. Okrągłe okulary lenonki z grubymi czerwonymi szklami skrywały jej kocie oczy. Wysunęła rękę w rękawiczce i podarowała Annie King bukiet kwiatów.

– Bardzo proszę. Mam nadzieję, że to odpowiedni podarunek dla pani domu. Dziękuję za zaproszenie. Nigdy wcześniej nie byłam na imprezie.

Chloe zamknęła oczy ze zgrozy i wyczerpania. Amy próbowała nie chichotać. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów to nie ona była tą najdziwniejszą i pozbawioną towarzyskiego taktu osobą.

– Możesz to wszystko zdjąć – powiedziała Chloe, starając się zabrzmieć żartobliwie i miło.

– Mama widziała cię w Presidio, tak czy inaczej wie, kim jesteś.

– Piękne kwiaty, dziękuję, Kim. – Pani King miała twarz pokerzysty, ale tak naprawdę była szczerze wzruszona tym gestem. Zaczęła szukać w szafce odpowiedniego wazonu. Kim ze wstrętem zdjęła rękawiczki

i kapelusz.

– O proszę, ten będzie idealny. – Anna King odwróciła się z ładnie ułożonymi kwiatami w kobaltowo–niebieskim kryształowym czymś, w samą porę, by zobaczyć, jak Kim przeczesuje włosy dłońmi uzbrojonymi w pazury, drapiąc się u podstawy sterczącego, aksamitnego, czarnego ucha. – Ach – powiedziała, starając się ukryć zaskoczenie i jednocześnie zachować poprawność polityczną z cyklu: „nie robi to na mnie wrażenia”, zazwyczaj zarezerwowaną wobec transseksualistów lub ciężko upośledzonych.

– Nigdy wcześniej nie spotykałam się z ludźmi w taki właśnie sposób. Mam na myśli – bez ubrania – powiedziała lekko zawstydzona Kim.

– Hej, napij się czegoś – zaproponowała Amy, wskazując na małą tacę, na której stała virgin piña colada z „krwistą” kroplą grenadiny na dnie szklanki. Czasami Chloe chciałyby mieć młodszą siostrę, tylko po to, żeby mama mogła przed nią odgrywać Marthę Stewart.

Kim nieufnie sięgnęła po plastikowy kubek, wyciągnęła język i zamoczyła jego koniuszek w drinku.

Najwyraźniej był zadawalający. Jej oczy rozszerzyły się i wzięła łyk.

– On jest takim złamasem – powiedziała Amy, zwracając się do Chloe i jakby nigdy nic kontynuując swoją wypowiedź. Kim pokiwała ze zrozumieniem, jak gdyby wiedziała o co chodzi. Pieprzony oddał mi płyty CD, jakbym mu je tylko pożyczyła, a nie podarowała. „Och, Amy, myślę, że one należą do ciebie” – powiedziała dziewczyna,

stając na palcach i parodiując Paula. – O co mu chodzi?

– Paul i Amy zdecydowanie ze sobą zrywają – powiedziała Chloe do Kim, czując, że powinna wprowadzić ją w temat. Także z innego powodu. Łatwo było pocieszać Amy, kiedy Chloe słabo знаła danego chłopaka. Poprzednich chłopaków żegnała z radosnym śpiewem „idźcie do diabła”, i życząc im wszelakich odmian syfilisu na genitaliach.

Tak naprawdę nie chciała mówić nic złego o Paulu – *choć ID tym przypadku faktycznie zachował się jak złamas* – pomyślała. Ale on musi sam sobie radzić z własnymi problemami... Naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć i jak się teraz zachować.

– Czy to źle? – zapytała Kim z pełną niewinnością mało zainteresowanego psychoterapeuty.

– On... ja... – Amy zaczęła i zacięła się. – On po prostu zachował się jak ostatni złamas!

– Chciałabyś nadal z nim być? – Kim zadała kolejne pytanie w tym samym tonie, co poprzednie.

– Nie wiem. Nie, jeśli miałyby zachowywać się w ten sposób przez cały czas.

Chloe dziwiła się, że Amy i Kim tak dobrze się rozumieją. Wydawało się, jakby ich zażyłość jeszcze bardziej się zacieśniła od pamiętnej nocy w restauracji. Amy wylewała swoje żale dziewczynie, której normalnie śmiertelnie by zazdrościła – urody, egzotyki i dużo większego dziwactwa niż jej własne.

– Nie wiem, jak się zrywa – przyznała w końcu Amy,

rozciągając jeden ze swoich kasztanowych loków. – Nie wiem, czy możemy do siebie wrócić, być znowu po prostu przyjaciółmi – przerwała, niepewnie gryząc wargę. – Byliśmy ze sobą bardzo blisko, wiesz? My...

– Przestań – powiedziała Chloe, decydując, że najwyższa pora dołączyć ponownie do rozmowy. – Proszę.

Przez chwilę cała trójka milczała, popijając drinki.

– On był bardzo dobry. – Amy nie mogła się powstrzymać przed komentarzem.

– Przestań – Kim i Chloe powiedziały jednocześnie.

– Twój naszyjnik – zaczęła Kim, próbując zmienić temat rozmowy – jest fascynujący. To jedna z naszych Bliźniaczych Bogiń.

– Bastet, tak. Co masz na myśli, mówiąc Bliźniacze Boginie? – zapytała Amy, dotykając palcami mały koci talizman, który nosiła od dnia swojej barmicwy.

– Bastet i Sekhmet, boginie rasy Mai. W naszych żyłach płynie ich boska krew i to im służymy.

– Nie gadaj! – krzyknęła podekscytowana Amy. – Wy wszyscy jesteście Egipcjanami, politeistami i tak dalej?

Chloe kręciła głową, kiedy dwie dziewczyny z ożywieniem rozmawiały na temat religii. *Nawet Amy byłaby lepszą kapłanką Mai niż ja.* Pomijając fakt, że jej najlepsza przyjaciółka była żydówką, zawsze miała lepsze rozeznanie w kwestiach dotyczących Wicca, [Rozpowszechniona w Europie i USA religia neopogańska (przyp. tłum.)] buddyzmu, starożytnych panteonów i tym podobnych.

Właśnie wtedy, kiedy Chloe zaczynała się relaksować,

zjawili się Paul i Alek – razem. Co było dziwne z kilku powodów, a przede wszystkim dlatego, że parę dni temu ten drugi dość mocno obraził pierwszego.

– Dzień dobry, pani King – przywitał się Paul. Podszedł trzymając grecką sałatkę.

– Miło panią poznać, pani mamó Chloe – powiedział Alek z wdziękiem i promiennym uśmiechem, grzecznie i beztrąsko. *Cały Alek*. Tak naprawdę Chloe nie miała okazji porozmawiać z mamą o nim czy Brianie, odkąd wydało się, że spotyka się z nimi dwoma, chociaż tak naprawdę nie powinna umawiać się z kimkolwiek. Trzeba będzie pogadać o Brianie, ale najlepiej będzie, jak temat pozostanie odłożony do momentu jego całkowitego – powrotu do zdrowia.

Alek także przyniósł kwiaty dla mamy Chloe, ale wręczył je z większym rozmachem niż Kim. Po raz kolejny Chloe zastanawiała się, czy niektóre z nieznanych jej nawyków nowej rodziny były charakterystyczne dla Mai, czy dla wschodniej Europy.

– Dwa bukiety w jeden dzień – skomentowała Anna King, wciąż uśmiechając się do Aleka, jak wszystkie pozostałe kobiety na planecie Ziemia. – Nie dostaję aż tylu nawet w walentynki.

– Chloe. – Alek podszedł do niej i pocałował ją w policzek, bezpiecznie.

Paul i pani King wymienili uprzejmości, następnie Paul nagle bardzo zainteresował się miseczką z groszkiem wasabi.

– Hej – powiedziała niepewnie Chloe.

– Przepraszam – zaczął Alek. Coś jej mówiło, że nie był przyzwyczajony do tego zwrotu.

– Nie, miałeś całkowitą rację – powiedziała Chloe, przerywając mu. – Ja... nie byłam w stosunku do ciebie uczciwa.

Amy dyskretnie przesunęła się kilka kroków dalej, niby oglądając kolekcję płyt CD, a tak naprawdę błędząc wzrokiem w poszukiwaniu Paula. Mama Chloe przypierała Kim do muru, zadając jej pytania tak grzecznie, jak tylko potrafiła, bez przełączania się na tryb prawnika.

– Żyjesz więc w, eee, Stadzie przez całe swoje życie? – zapytała z zainteresowaniem, wkładając chipsa do ust. – Nigdy nie chodziłaś do szkoły czy coś takiego?

Miało to zabrzmieć naturalnie, jak zwykle pytanie, jakie Anna King zadawała innym dorosłym. Chloe słyszała jednak w jej głosie szczególny ton, widziała jej minę. Zaczynała się objawiać matczyzna troska. Pomyślała o swojej biologicznej siostrze, o której istnieniu ostatnio się dowiedziała, a która została zamordowana – prawdopodobnie przez Rogue'a – zanim w ogóle miały szansę się spotkać. Powiedziała mamie o drugiej dziewczynie Mai, ale zastanawiała się, co by się stało, gdyby przyprowadziła ją do domu. Co zrobiłaby Anna King?

Urządziłaby imprezę – nasuwała się oczywista odpowiedź.

– Więc – powiedziała Amy, zwracając się do Aleka. – Jak idą przygotowania muzyczne na nadchodzący wie-

czorek taneczno–impresowy chłopcze?

Przekrzywiła głowę i usiadła. Najnowsza stylizacja Amy obejmowała szorty wyglądające jak bokserki, rajstopy, getry i kardigan narzucony na T-shirt. Znana z tego typu strojów stopniowo przestała wyróżniać się w tłumie. Chloe wiedziała jednak, że ten styl w rzeczywistości oznaczał ucieczkę. Amy, chociaż była na swój sposób ładna, to nigdy nie stanowiła dobrej modelki dla zaprojektowanych przez siebie ubrań. Jej wygląd był skomplikowany. Piękność od drugiego wejrzenia. Powinna nosić bardziej zwyczajne rzeczy.

Poza tym, Chloe doskonale wiedziała, że Amy nawiązała prawie ludzki kontakt z Alekiem.

– To nie jest żaden wieczorek taneczny – odezwał się wyniośle Alek. – Tylko bal jesienny. I udało mi się pomóc złapać Xtian Blu, aby namieszał przez jakąś godzinę.

– Nie gadaj! – krzyknął Paul, a jego szczeka opadła, jak tylko dołączył do rozmowy.

– Ano – powiedział Alek w sposób wyrażający wyższość. Amy i Chloe przewróciły oczami, nie mając zielonego pojęcia, kim był ten cały DJ.

– Czy ktoś w ogóle angażuje jeszcze zespoły? – zapytała mama Chloe melancholijnie. Chociażby jazzowe?

– Kto będzie grał na imprezie? – grzecznie zapytał Paul.

– Na balu jesiennym – poprawił go Alek. Anna King westchnęła na radosne wspomnienia.

– The Creepy Sheep. Wpatrywała się w nią nie tylko

Chloe. Nawet Kim szeroko otworzyła oczy.

– To były lata siedemdziesiąte. Muzyka punk – protestowała Anna.

– Czy to jest taniec? – zapytała Kim. Wypiła do końca virgin piña coladę, po czym wsunęła nieludzko długi i wąski język do szklanki, aby z dna wylizać jeszcze kropelkę. Jej kocie Idy delikatnie stukały o szkło. Mama Chloe próbowała się nie gapić.

– Pani King, tematem przewodnim jest „Jakiś potwór tu nadchodzi” – powiedział Alek, nie do końca odpowiadając na jej pytanie. – Spec od oświetlenia wykombinuje, żeby wszystko wyglądało jak las i w ogóle. Kula dyskotekowa – powiedział z wielką mądrością – będzie księżycem.

– Czy wszystkie stanowiska didżejskie są już obsadzone? – Paul zapytał niby od niechcienia, szukając ustami kubka. Wciąż wypełnionego, jak zauważyła Chloe, odżywczą virgin pina coladą.

– Jest jeszcze dziewięć do dziesięciu, dla osób, które pojawią się wcześniej. Chcesz to wziąć?

– Pewnie – odpowiedział, próbując nie uśmiechać się szeroko.

– Nigdy wcześniej nie byłam na tańcach – odezwała się Kim do nikogo konkretnego. Jej komentarz zawisnął w powietrzu. Nawet mama Chloe wyglądała jak niezdarna nastolatka, która nie wie, co powiedzieć.

– Czy to jest fajne? – domagała się odpowiedzi.

– Nie... – Nie bardzo...

– W zasadzie to nuda.
– Śmiertelna nuda...
– Ale wszyscy idziecie – zauważyła Kim. Ponownie zapadła cisza.

– Ty... – Paul odkaszlnął – Ty też, hm, chcesz iść?
– Z chęcią. Dzięki – Kim odpowiedziała szybko. Starła się, aby zabrzmiało to neutralnie, ale nie potrafiła ukryć zachwyty na twarzy.

– Aha, przepraszam, muszę iść skorzystać z eufemizmu – powiedziała Chloe, próbując ukryć chichotanie.

Alek wyciągnął rękę z lekką nonszalancją i pomógł jej wstać z głębokiej kanapy. Chwycił go i podciągnęła się, swobodnie i z gracją, ale nie jak człowiek, tylko jeden z Mai. Alek nie okazał żadnego napięcia czy wysiłku. Końcówki jego palców ledwie się poruszyły. Z jakiegoś powodu ta mała rzecz, osobista chwila, która trwała mniej niż pięć sekund, trwale zapisała się w pamięci Chloe. Ona nie była człowiekiem. I on nie był człowiekiem. Według starożytnej legendy nie mogli uprawiać seksu z ludźmi – tylko z Mai. Pozostali członkowie Stada zaakceptowali już Wybraną i Aleka jako parę aż po grób.

Jej oczy wypełniły łzy.

– Ja tego nie chcę – wyszeptała, po czym pobiegła z płaczem w kierunku łazienki.

– Sprawdź, co z nią – powiedział Alek, zanim Amy zdołała się odezwać. Przez drzwi, którymi trzasnęła, słychać było stłumiony głos. Chloe usiadła na brzegu wanny

i ukryła twarz w dłoniach.

– Chloe? – Alek delikatnie zapukał do drzwi. – Wszystko OK? Zaczęła szlochać, kołysząc się do przodu i do tyłu.

– Chloe – powiedział czule Alek i usiadł koło niej.

– Ja nie chcę, znaczy, chcę – próbowała powiedzieć coś między łkaniem – z powrotem moje stare normalne życie. Chcę, aby moi przyjaciele zachowywali się normalnie. Chcę, żeby moja mama zachowywała się normalnie. Ta impreza to najbardziej zwariowana rzecz, jaką do tej pory zrobiła. Nie chcę być Przywódczynią Stada – krzyknęła wściekle. – Nie chcę. To niesprawiedliwe. Oczekują, że tak po prostu zacznę wszystko od nowa, zmienię moje życie o sto osiemdziesiąt stopni, przestanę chodzić do liceum i poprowadzę ich do zwycięstwa.

– Nikt tego nie oczekuje – zaczął Alek.

– Owszem, oczekują. – Chloe szlochała dalej. – Wszyscy wciąż powtarzają, że mogę prowadzić normalne życie, studiować w Berkeley czy gdziekolwiek, ale muszę także robić wszystkie inne rzeczy – ceremonie i te sprawy, w które nawet nie wierzę. Nie potrafię przewodzić nikomu. Mogę przewodzić sobie. Jestem do dupy – wypaliła głośno. Wszystko, co narastało w jej głowie, podszepty cynizmu i podstępne wątpliwości, znalazły w końcu ujście. Byłam dla ciebie podła, nie zasługuję na ciebie, nie powinieneś tu być...

– Nie jesteś dla mnie podła – Alek odpowiedział jej łagodnie i z lekkim uśmiechem. – Chloe King, jesteś raczej

zdezorientowana całą sprawą, ale na pewno nie jesteś podła. Może wyłącznie dla siebie samej.

Chloe nie przestawała płakać.

– Chcę zacząć rok na nowo – jęczała – niech to wszystko się skończy.

– Ciii. – W końcu Alek objął ją ramieniem i razem zaczęli się kołysać.

– Paul zabiera Kim na tańce – przepraszam – na bal. Amy oczywiście chce pójść z tobą. Bardzo chce. Brian nie może przyjść, ponieważ jest pólżywy. Ja w każdym razie i tak nie mogę iść, bo jestem naprawdę zajęta nauką wymarłych języków, przewodzeniem Stadu i członkostwem w kółku matematycznym, nie jestem już nawet częścią licealnego życia...

Wytrzeła twarz wierzchem dłoni, oczy miała czerwone od płaczu, a nos całkowicie opuchnięty. *Prawdopodobnie wyglądam masakrycznie.* Wyglądało na to, że już się wypłakała. Teraz była po prostu zła.

– To musi być dla ciebie bardzo trudne – powiedział Alek, ściskając jej ramię. – Chciałbym ci jakoś pomóc.

– Związki z Mai są zdecydowanie mniej skomplikowane niż z ludźmi, prawda? – zapytała, wzdychając.

– Sądzę, że są dużo bardziej bezpośrednie – skomentował Alek, szeroko się uśmiechając. Gdyby wychowali cię Mai, prawdopodobnie wysunęłabyś pazury zamiast się smucić albo uciekać, jeśli nie chciałaś mnie oglądać z Amy.

Chloe lekko się uśmiechnęła na tę uwagę.

– Podoba mi się, że zależy ci na mnie na tyle, aby być o mnie zazdrosną – powiedział łagodnie, obejmując ją.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Chloe ponownie oparła głowę o jego ramię.

Było miło, ale jeśli ma przewodzić komukolwiek i gdziekolwiek, należało zacząć od prawdy. I to był dobry moment, aby zacząć.

– Alek, myślę... – Wzięła głęboki oddech. – Nie jestem pewna, czy właśnie tego teraz chcę. Spojrzał na nią trochę zmartwiony, ale skinął głową.

– Trochę się wystraszyłem, kiedy usłyszałem w bibliotece o całym tym małżeństwie... Szukał właściwych słów. – To duża presja, w dodatku to nagle umawianie się na randki z Wybraną... – Zamilknął na chwilę. – I nie chodzi o to, że nie biorę tego pod uwagę, pewnego dnia, może – nie chodzi tylko o zabawę, czy coś takiego – na początku nie podejrzewałem, że ktokolwiek będzie traktował to poważnie. Na miłość boską, my tylko chodzimy ze sobą. Jeśli idzie o Mai... Nasze możliwości umawiania się na randki są ograniczone – powiedział z lekkim smutkiem.

Kamień spadł jej z serca, chociaż żadne z nich raczej nie poczuło się dużo lepiej. Wstyd jej było, ale wcześniej nie brała pod uwagę jego punktu widzenia. Nagle okazało się, że nie romansował z nowym członkiem ich społeczności – umawiał się z Wybraną. Większość starszyny zapewne już widziała, jak się zaręczają, mają dzieci i razem wprowadzają rasę Mai w nową epokę pokoju

i dobrobytu.

Przypomniały jej się słowa ze *Star Treka*: „Dotarło do mnie, że nie chciałem poślubić legendy...”.

Alek jako małżonek panującej. To po prostu jej nie pasowało.

– Czy chciałabyś jeszcze wyrzucić coś z siebie? – Alek zapytał łagodnie.

– Pomyślmy – powiedziała Chloe, wycierając ostatnią łzę. – Właśnie zostałam Przywódczynią Stada, o którym prawie nic nie wiem. Ludzie nie do końca mi kibicują, sam wiesz. Wciąż mam zaległości w szkole, a moje stosunki z mamą kompletnie się rozsypały, odkąd w pełni stałam się Mai. Nie mam swojego miejsca, a moi przyjaciele – wskazała kciukiem kuchnię – żyją własnymi sprawami. Och, i do tego ktoś mnie śledzi.

– O czym ty mówisz? – zapytał Alek, mając na myśli ostatnie zdanie. – Rogue nie żyje. Doprowadziłaś do, trochę wymuszonego, niełatwego rozejmu między nami a Bractwem Dziesiątego Ostrza. I niezależnie od tego, co naprawdę myśli Igor, albo ktokolwiek inny wspierający Siergieja, nikt z Mai nigdy nie ośmieliłby się podnieść na ciebie ręki.

– Mam tylko wrażenie, że ktoś za mną chodzi. Po prostu to wiem. A co z tym facetem, który nienawidzi Briana? Rick czy Dick, czy jak mu tam, który był z Whitneyem Rezza tamtej nocy w Presidio...

– Wątpię, aby mógł się do ciebie podkraść. Jest zwy-
czajnym człowiekiem, poza tym, nie jest tak dobry jak

Rogue.

Światło ulicznych lamp wpadało przez matową szybę, sprawiając, że wszystko w łazience wyglądało ponuro i jednocześnie łagodnie, wyraźnie, ale szaro. Pojedyncze płytki odstawały od starych fug. Większe przedmioty, jak lustro czy umywalka, jakby zlały się w matowy obraz łazienki. Na chwilę ciszę przerwał przejeżdżający samochód.

– Wiesz kto próbował zabić Briana? – cicho zapytał Alek.

– Nie, nie zapytałam go. – Odwinęła kawałek papieru toaletowego z rolki i wysmarkała nos. – Zdaje się, że powinnam była.

– Nie martwiłbym się o to zbyt. – Objął ją ramieniem i uściskał. – Możesz stawić czoła czemukolwiek, co ci zaserwują – dodał, lekko dotykając jej policzka ręką i odgarniając do tyłu zagubiony loczek jej ciemnych włosów. – Co powiesz na to, żebyśmy wrócili na imprezę?

Pokiwała głową i pociągnęła nosem. Alek oderwał kawałek papieru toaletowego, aby mogła wydmuchać nos, a potem wrócili do salonu. Chloe miała tylko nadzieję, że nie wygląda jak idiotka.

– Wszystko w porządku? – wyszeptała Amy.

– Taa – odpowiedziała Chloe, pociągając ponownie nosem, zdając sobie przy tym sprawę, że jej czerwone oczy i opuchnięta buzia czynią z niej kłamczuchę. Kim spojrzała na nią zaniepokojona. – Ja tylko... miałam chwilę małego załamania.

Mama Chloe stała za kuchenną wyspą, trzymając jej

boki niczym ster statku. Jej kostki były białe.

– Ja, hm, jestem teraz trochę zestresowana – dodała z lekkim uśmiechem. – Wszystko to jakoś mnie przytłoczyło.

Chloe poczuła się, jakby znowu miała jedenaście lat i wpadła do pokoju z płaczem podczas swojego przyjęcia urodzinowego. Wszyscy chłopcy chcieli grać w piłkę na ulicy, a Jason Pellerin powiedział jej, że ona nie może, bo ma na sobie sukienkę. Chloe została wtedy w pokoju, szlochając przez długi czas. Kiedy w końcu wyszła, zrobiło się sztywno i było po przyjęciu.

– Wiesz, czego potrzebujesz? – zapytał Paul, przełamując ciszę. – Oświadczyn.

– Paul – powiedziała mama Chloe ostrzegawczo.

– A co powiesz na maraton *Matrixa*? – zapytała Amy, grzebiąc w różowej torbie, której wykończenie pasowało do frędzli przy jej getrach. – Chciałam to komuś dać...

– To brzmi... fantastycznie – powiedziała Chloe, odychając z ulgą. Nagle całe napięcie związane przyjęciem ustąpiło. *Telewizor – ostatnia deska ratunku*. Paul i Alek byli oczywiście zainteresowani, Kim wzięła płytę DVD i z ciekawością obracała ją w ręku. Mama Chloe wróciła do siekania pepperoni.

– W zasadzie nigdy nie widziałam trzeciej części – powiedziała, nie odrywając oczu od deski do krojenia i noża kuchennego.

– Jest beznadziejna – powiedzieli jednocześnie Alek, Paul, Amy i Chloe.

– Jak tańce? – zapytała złośliwie Kim. – I podobnie jak z tańcami, i tak obejrzymy третią część.

– Zaczynasz w końcu kumać – zauważył Paul, klepiąc ją po plecach.

Chloe wytarła twarz, ale nie była już tym zawstydzona. Chłopcy zajęli się skomplikowaną procedurą włożenia płyty do odtwarzacza i przełączenia na tryb telewizyjny, a Amy przygotowała w mikrofali popcorn.

– Lepiej ci? – zapytała cicho Kim. Chloe przytaknęła i się uśmiechnęła.

– Po prostu musiałam się wypłakać. – Ogarniała ją wciąż fala endorfin i ulgi. Jakby od teraz wszystko już miało być dobrze. – Co robiliście, kiedy mnie nie było?

– Niewiele – przyznała Kim. – Myślałam, że słyszę, jak ktoś zbliża się do domu. Przez chwilę było to ekscytujące. W końcu jednak się okazało, że nikogo nie było.

Chloe poczuła, że chwila błogości właśnie się kończy. Zanim mogła zapytać o szczegóły, Kim nagle odwróciła się do Paula.

– Masz zamiar to pić? – zapytała, wskazując jego szklanę.

– Co? – Paul niechętnie oderwał się od ekranu panoramicznego oraz cyfrowych opcji Dolby. Alek chwycił za pilota, kiedy Paul rozkojarzony przyglądał się swojej virgin piña coladzie, wciąż niewypitej, ale już topniejącej. – Hm, cóż. – Spojrzał na mamę Chloe, próbując podjąć jakąś decyzję. – Nie – odpowiedział w końcu.

Kim sięgnęła po drink i wzięła go w obie dłonie, po

czym zaczęła chleptać zachłannie.

– To – obwieściła, zlizując niewielką piankę z ust –
jest udana impreza.

ROZDZIAŁ 11

Wszystko się ułoży – powtarzała sobie Chloe następnego ranka. Tym razem było to coś w rodzaju autosugestii. Jej mama wydawała się usatysfakcjonowana – lub ewentualnie przerażona i przypuszczalnie na jakiś czas porzuciła pomysł większego angażowania się w sprawy Chloe. Po sześciogodzinnym oglądaniu filmów, z Amy chrapiącą przez pierwszą godzinę *Matrix: Rewolucje*, z Kim zatrzymującą film co kilka minut i zadającą pytania, z Alekiem i Paulem kłócącymi się podczas *Matrix: Reaktywacja* o to, dlaczego Jet Li nie przyjął roli, mama Chloe czuła się całkiem zaznajomiona z przyjaciółmi córki.

Poza tym, jej przyjaciele Mai w zachowaniu niczym nie różnili się od zwyczajnych nastolatków. Nawet Kim ze swoimi kocimi uszami, oczami i pazurami.

– Jest trochę nawiedzona – tylko tyle powiedziała Anna King, kiedy wyszli wszyscy goście. Chloe roześmiała się.

– Oj, tak, Mai też są tego zdania.

I oto ona, zwyczajna nastolatka, która chodzi do liceum. Prawie nadrobiła zaległości w pracy domowej i egzaminach, uporządkowała sprawy z Alekiem, a Brian wracał do zdrowia. Poza tym, wyglądało na to, że ona i Brian będą mogli związać się bez śmiertelnych konsekwencji. Amy i Paul – cóż, tak naprawdę to nie był jej problem. Wyglądało na to, że po ostatniej wspólnie spe-

dzionej nocy dwoje jej najlepszych przyjaciół zrozumiało, pod jak wielką presją żyje i obniżyło wskaźnik swoich dziwactw. Nigdy więcej mantry typu: *będę najfajniejszą przyjaciółką*. Zamiast tego Chloe powtarzała sobie, że *sami muszą naprawić ten szajs*.

Po ostatnim wyrównawczym egzaminie z francuskiego była tak zadowolona, że ma to już za sobą i przekonana o jego dobrym wyniku, że na teście podpisała się z ozdobnym zawijaszem i narysowała lilijkę. Wręczając kartę, ukloniła się lekko i powiedziała: *merci beaucoup* Madame Sasson. Dzięki Kim, Chloe była święcie przekonana, że dostanie szóstkę.

Sprawdziła pocztę głosową: dwie wiadomości. Jedna od Aleka, który pytał, co porabia, a druga od Siergieja.

– Chloe, znaleźliśmy coś na temat twojego taty. Muszę przyjrzeć się budynkowi niedaleko twojej szkoły – Siergiej dokładnie wytłumaczył, gdzie się znajdował ten budynek i jak się do niego dostać. – To stary teatr. Spotkajmy się tam o czwartej, to pogadamy.

– *Sacre bleu* – zaklęła pod nosem Chloe, wyłączając pocztę. Dotrzymał słowa – naprawdę próbował. Oczywiście, spotka się z nim.

A propos francuskiego, gdzie Kim nauczyła się tak dobrze mówić w tym języku? O ile wiedziała, Kim nigdy nie była we Francji. Wielu z Mai nie było nawet w San Francisco, jeszcze mniej w Kanadzie, a jeszcze mniej we Francji. *Czy oni w ogóle marzą, aby robić coś innego?* Kilgoro z Mai wyłamało się, jak tancerka Simone, ale ona

była wyjątkiem. Sami stworzyli sobie getto. Nie była pewna, jak właściwie Siergiejowi udało się ich tam zatrzymać.

A co z jej marzeniami, jeśli do nich dołączy? Będzie prowadzić imperium sklepów odzieżowych. Czy tylko zamieni swoje niewolnictwo na to wobec Siergieja, czy Mai będą pracować także dla niej?

I, hm, mówiąc o imperiach sprzedażowych, pamiętasz, jak obiecałaś zobaczyć się z Marisol...?

Chloe od dłuższego czasu odkładała ten temat, zbyt mocno tłumiała poczucie winy, aby nawet o tym pomyśleć. Teraz w końcu była w wystarczająco dobrym nastroju, aby zmierzyć się z tym, co zsyła jej los, czy na to zasłużyła, czy nie. Zdążyła pogodzić się, że jej relacje z właścicielką sklepu były skończone, więc w najgorszym wypadku jej wizyta nic nie zmieni.

Odkąd wróciła z Firebirda, nie odwiedziła Pateenie. Kiedyś to była jej bezpieczna przystań, czuła się tam jak w domu czy w szkole. Całkowicie inni ludzie i problemy, pierwsza prawdziwa ciężka praca, jaką kiedykolwiek miała. Przewalanie sterty dzinsów, których nogawki wymagały zręcznego rozprucia sprawiało, że dziewczyna naprawdę doceniała weekendy. Krótki staż w Firebirdzie był zwyczajnie nudny i wyczerpujący.

Stanąła przed witryną i przez chwilę przyglądała się jej. Na wystawie znajdowała się halloweenowa ekspozycja – prawdopodobnie zrobiła ją Marisol. Byłaby o wiele lepszą artystką, gdyby miała więcej okazji, aby się wykazać.

Jeden manekin wisiał do góry nogami, miał na sobie skórzaną kurtkę jak nietoperz, drugi ubrany był cały na pomarańczowo niczym dynia. Trzeci miał nauszники przerozbione na uszy i długie czarne sztuczne paznokcie imitujące pazury.

Kot – zauważyła Chloe.

Cóż za ironia, wzięła głęboki oddech i weszła.

– Patrzcie, kto wrócił. – Od razu zauważyła ją Lania.

Oczywiście musiała tam być. Naturalnie. Wyprawa po odkupienie grzechów – i późniejsze upokorzenie – nie byłoby pełne bez Lanii. Pomimo tego, że stanowiła zagrożenie dla sprzedaży detalicznej, bo zadzierała nosa przed klientami i wciąż nie potrafiła przeprowadzić płatności kartą, mogła obsługiwać kasę, a to dlatego, że była kilka lat starsza od Chloe. A teraz została asystentką kierownika.

– Przyszłaś po swoje rzeczy? – dopytywała Lania. Ręce oparła na biodrach, a na jej twarzy pojawił się uśmiešek samozadowolenia. Wyglądała jak postać z popołudniowej kreskówki dzieciak, który w centrum handlowym celował w dziewczynki i namawiał nastolatki do robienia dumnych rzeczy. Chloe nawet nie była w stanie wywołać w sobie uczucia pogardy. To tak, jakby miała obrażać klauna.

– Przepraszam – powiedziała zamiast tego Chloe, ostrożnie obchodząc ją i kierując się na zaplecze.

– Ona nie chce z tobą rozmawiać! – zapiszczała ze sztucznym miejscowym akcentem, jaki czasami przybie-

rała. Lania pochodziła z La Jolla – jej rodzice mieli tam stadninę koni.

Chloe wzięła ponownie głęboki oddech, zatrzymała się przed podwójnie wzmocnionymi metalowymi drzwiami z czasów, kiedy to miejsce stanowiło stołówkę. Następnie weszła do środka i usiadła na składanym krześle naprzeciw biurka.

Marisol rozmawiała przez telefon. Spojrzała na Chloe i zaczęła się jej przyglądać, jakby bała się, że ta może coś ukraść.

– Kochana, oddzwonię. Pojawiło się coś, co nie może czekać.

Ta mała kobieta była starsza, niż na to wyglądała. Jej puszysta sylwetka i piękne, długie do pasa włosy sprawiały, że wyglądała jak studentka Akademii Sztuk Pięknych. W jej oczach jednak była jakaś hardość, a kiedy ściągała usta, formowały się wokół nich niewielkie zmarszczki.

Chloe odkaszlnęła, nagle nie wiedząc od czego zacząć.

– Po co tu wróciłaś? – Kobieta domagała się odpowiedzi. – Aby przeprosić? Powiedziałam, że jeśli nie pojawisz się w środę, to możesz już tu nie przychodzić. Co się stało, zerwałaś z jednym ze swoich chłopaków? Zaszłaś w ciążę? Skarbie, jeśli ktoś nie umarł, nie mamy o czym rozmawiać.

– Cóż – powiedziała powoli Chloe – w zasadzie umarło kilka osób. Oczy Marisol otworzyły się szeroko.

Chloe pomyślała o Rogue i walce w Presidio – jeden

z członków Bractwa nie wstał, kiedy było już po wszystkim. No i oczywiście, jeśli to miałyby ją zadowolić, były jeszcze dwa trupy.

– Moja mama została porwana przez tych dziwnych ludzi z sekty. I oni... wysłali obłąkanego seryjnego mordercę, aby mnie zabił. Potem zostałam pojmana przez tych, którzy są poniekąd ze mną związani... To długa historia. Jeśli chcesz, możesz zadzwonić do mojej mamy i zapytać ją o to.

Przez długi czas Marisol wpatrywała się w oczy Chloe.

– Nie – w końcu powiedziała. – Ja... wierzę ci. – Nie wyglądała jednak na szczęśliwą, jakby wcale nie chciała uwierzyć. Musiała sprawdzić jeszcze tylko jedno. – I nikt nie tęsknił się za tobą w szkole?

– Powiedzieli im, że mam mononukleozę. W firmie mojej mamy oświadczyli, że wyjechała na wakacje.

– Czy... wszystko OK?

– Żyję. – Chloe wzruszyła ramionami.

I ponownie nastąpiła chwila ciszy, kiedy Marisol w oczywisty sposób próbowała rozpracować, o co byłoby grzecznie zapytać, a co byłoby wścibskie – co wyrażałoby troskę, a co zwykłą ciekawość.

To był dobry moment, aby Chloe jej powiedziała. Teraz mogła jej wyjaśnić, zademonstrować pazury. Pokazać, jak daleko ostatnio jej życie odbiegało od normalności, także od pracy, Marisol, używanych ciuchów, paragonów, owerloków i nawet od Lanii, gdyby była w stanie to pojąć.

Kiedyś Chloe mogła mówić swojej szefowej o rzeczach, których nigdy nie powiedziała by mamie – jakby była jej starszą siostrą lub ciotką z obiektywnym, mniej „mamu-siowym” spojrzeniem na jej życie.

– A co u twoich chłopaków? – zapytała w końcu Marisol. Idealna chwila minęła.

– Teraz jest już tylko jeden. Leży w szpitalnym łóżku i wraca do zdrowia, po tym jak dostał łomot, próbując mnie ratować. – Chloe wstała, aby nie dopuścić do kolejnej niezręcznej ciszy. – Cóż, to wszystko – powiedziała, wzruszając ramionami. – Przyszłam cię przeprosić i powiedzieć, że zdezerterowałam nie bez istotnej przyczyny.

Twarz Marisol złagodniała, jak wtedy, kiedy Chloe się wyplakiwała u niej i opowiadała o mamie i szkole. – Dlaczego przynajmniej nie zadzwoniłaś?

– Ja... czułam się naprawdę winna – przyznała Chloe. Teraz jednak, kiedy o tym pomyślała, stojąc przed kobietą przerażoną, że może więcej jej nie zobaczyć, wydało się to trochę absurdalne. – Powiedziałaś, że mogę nie wracać i w ogóle, więc doszłam do wniosku, że jesteś na mnie zła i nie zechcesz już ze mną nigdy rozmawiać. Powiedziałaś, że to jest firma, a nie przedszkole dla rozkojarzonych nastolatek.

– Och, Chloe, ty kretynko – powiedziała Marisol, smutno się uśmiechając. – Nie miałam pojęcia, że porwali twoją mamę i co tam jeszcze. Myślałam, że masz zwykłe problemy z chłopakami. Mogłaś – powinnaś była –

do mnie zadzwonić. Zawsze możesz to zrobić i pamiętaj o tym, choćby nie wiem, co się działo.

– Dzięki – odpowiedziała Chloe. *Pamiętaj o tym* – powiedziała do siebie. Nie chodziło tylko o to, że Marisol była na tyle miła i jej wybaczyła, ale o to, że coś przekraczało osobiste poczucie winy. Musiała zrozumieć, co tak naprawdę się liczy, a co stanowi wyłącznie jej popaprane emocje, i jaka jest między nimi różnica.

– Ja... zatrudniłam inną dziewczynę – powiedziała Marisol z wahaniem. – Nie mogę cię znowu przyjąć.

Chloe podniosła rękę.

– Nie przejmuj się tym. Uwierz mi, tyle rzeczy się u mnie dzieje, że znowu bym cię zawiodła, a chciałabym raczej tego uniknąć. Poza tym, według mojej biologicznej rodziny jestem kimś w rodzaju księżniczki czy kapłanki, czy czegoś tam.

Marisol spojrzała na nią sceptycznie.

– Dostałaś koronę?

Chloe roześmiała się. *Gdyby tylko.*

– Nie, tylko całą stertę badziewia do nauki o ludziach, którzy są moimi przodkami.

– Nie brzmi to najlepiej. Powinna być przynajmniej jakaś biżuteria. Dobra, cóż, jeśli chciałabyś popracować parę godzin, zadzwoń do mnie. Andy nie pracuje jak ty. Dogaduje się za to z Łanią.

Chloe przewróciła oczami. Marisol parsknęła śmiechem.

Przechodząc, starała się ominąć zarówno Łanię, jak

i nową dziewczynę, która wesoło gawędziła przez komórkę, jednocześnie porządkując regał, na którym nabałaganili klienci. Miała czarne, gotyckie włosy, ale w jej postawie wszystko było nie tak, coś jakby fikuśna wersja Amy. Chloe westchnęła i wyszła. Nie mogła się powstrzymać, aby nie rzucić jednego złośliwego, spokojnego uśmiešku w kierunku Lanii, która na pewno próbowała podsłuchać rozmowę z Marisol.

Chloe zastanawiała się, gdzie miała spotkać się z Siergiejem, słusznie spodziewając się, że ten spóźni się pięć minut. Nawet jeśli w posiadłości Firebird wszystko chodziło jak w szwajcarskim zegarku, to niektórzy z jej pracowników ze wschodniej Europy, w tym sam Siergiej, mieli trudności z dotarciem gdziekolwiek na czas.

Teatr rozczarował ją. Na zewnątrz nie wisiał żaden odjazdowy afisz z tytułem spektaklu, czy czymś w tym stylu. Pozostała tylko pusta rama, w której kiedyś znajdowały się plakaty. Z rozwalonymi budkami wokoło i graffiti na ścianach budynek wyglądał na więcej niż opuszczony i był na prostej drodze do rozbiórki.

Gdybym prowadziła Firebirda, zrobiłabym coś ekstra z tym miejscem – pomyślała Chloe. Możliwości były nieskończone – naprawdę wspaniałe apartamenty, odlotowy bar, może nawet ponownie teatr. Stały repertuar filmowy i lokalny teatr, a może jej własna wersja kawiarni z *Tajemnic Smalville*. Hej, Lania miała szesnaście lat i kierowała sklepem – Chloe miała szesnaście lat, była Przywódczynią swoich ludzi, a poza tym kobietą–kotem.

Nie powinna mieć zatem żadnych problemów ze zwykłym prowadzeniem kawiarni.

– Chloe.

Podsłuchiwała. Nawet bez przywiązywania zbytnej uwagi do lepszego słuchu Mai, Chloe powinna była usłyszeć, jak podchodzi do niej Siergiej. Był dość tęgi i... ciężki, do tego nosił buty ze stukającymi obcasami. I oto stał zaledwie kilka centymetrów od niej, z lekkim uśmiechem na twarzy i rękami na jej plecach.

Ubrany był swobodniej niż zazwyczaj i Chloe musiała przyznać, że od razu wydał jej się sympatyczniejszy. W zwykłej koszulce polo i spodniach khaki wyglądał mniej okazale, a bardziej jak zwykły człowiek.

– Nie mogę uwierzyć, że cię przestraszyłem – zauważył i zachichotał. – Żyłas wśród ludzi zdecydowanie za długo.

– Taa, bardzo zabawne – odezwała się Chloe i znów momentalnie przybrała postawę obronną.

– Och, przepraszam – powiedział starszy mężczyzna, jednocześnie wzdychając i przykładając rękę do twarzy.

– Nie powinienem tak mówić. To nie było zabawne. Chciałem tylko przez żart rozładować napięcie.

Chloe rozluźniła się trochę.

– Ostatnio jestem nieco przewrażliwiona, jeśli chodzi o moją mamę.

– Całkiem rozumiem. Może wejdziemy do środka i porozmawiamy? – Siergiej przepuścił ją przodem, wyciągając z kieszeni wielki pęk kluczy. – Głupi właściciel

nie mógł się spotkać tutaj z nami. Miał innego, obiecującego klienta na zakup luksusowej restauracji. To tutaj, to błahostka.

– To trochę niegrzeczne. – Dziewczyna umierała z ciekawości, co Siergiejowi udało się znaleźć na temat jej ojca, gdzie był, albo co porabiał, ale postanowiła uzbroić się w cierpliwość.

Siergiej wzruszył ramionami.

– Biznes to biznes. Chloe, musisz się nauczyć, że często nie ma w tym nic osobistego. Nie możesz brać sobie tego do serca. Inaczej nabawisz się wrzodów. Ach, tutaj. – Znalazł wielki, starodawny klucz i włożył go w metalowy rygiel, przechodzący przez frontową metalową rączkę. Następnie wziął mniejszy klucz z brązu i otworzył ostatnie drzwi po lewej.

– To jak gra wideo – odważyła się powiedzieć Chloe.

– A wiesz, ja nigdy w to nie grałem. Już, pozwól, że wejdem pierwszy na wypadek, gdyby był tu jakiś bezdomny albo coś innego – powiedział, jakby tacy ludzie byli jak szczury. – Hallooooo – po czym czekał, aż coś się poruszy albo zacznie uciekać. Pokiwał głową. – Tylko cała masa karaluchów. Jest bezpiecznie.

Chloe z obrzydzeniem zdała sobie sprawę, że słyszy także tuziny robali i ich małe odnóża wydające ciche dźwięki, kiedy uciekały przed światłem latarki. Ze zdziwieniem zauważyła, że Siergiej nie zachowywał się tak jak na filmach czy w telewizji, albo po prostu w prawdziwym życiu. Nie wyciągnął latarki i nie wymachiwał nią

w ciemnościach, rzucając żółty snop światła na ściany, drzwi i podłogi. Zwyczajnie wszedł do środka, czekając przez chwilę, aż jego oczy przyzwyczają się do prawie całkowitych ciemności. Dziewczyna wiedziała, że gdyby stał do niej twarzą, zobaczyłaby, jak jego źrenice stają się wąskie, a potem, jak u kota, w ciemnościach się rozszerzają, a tęczęwki stają się niemal niewidoczne.

Hol wcale nie wyglądał na opuszczony. Kiedy oczy Chloe przyzwyczały się do mroku, zobaczyła, że czerwony dywan był tylko lekko zakurzony i wytarty, ale nie podarty czy zużyty. W sklepiku z napojami i przekąskami szklana lada była rozbita w kilku miejscach i brakowało maszyny do popcornu. Szkoda – zawsze taką chciała mieć. Zabawnie byłoby zabrać ją do domu. Zachował się podajnik z serwetkami i żyrandol ze sztucznych kryształów, w którym brakowało kilka szklanych girland.

– Co masz zamiar zrobić z tym miejscem? – zapytała Chloe, zmieniając już w myślach wystrój wnętrza.

– Jeszcze nie zdecydowałem – powiedział Siergiej i wzruszył ramionami. – Wiem, że może cię to rozczarować, ale dopóki konstrukcja jest nietknięta, możemy coś z tym zrobić, albo możemy zwyczajnie wszystko zburzyć. Działka bardziej nadaje się na mieszkania. Albo garaże na tym można zarobić prawdziwe pieniądze.

Chloe westchnęła. Czy Rosjanie – OK, Abchazowie – nie powinni być lepiej wykształceni, bardziej wrażliwi artystycznie i odznaczać się większą kulturą niż Amerykanie? Jak mógł nie zauważyć całego upadającego splen-

doru, ubogiego piękna tego miejsca?

– A jak idzie tobie i Kim nauka o Mai? – zapytał jakby od niechcenia, opierając się o jeden z kontuarów i przyglądając się badawczo temu, co zostało po sentymentalnych urządzeniach.

– Ach, tak naprawdę, to jeszcze nie zaczęłyśmy – przyznała się Chloe. – Udało mi się nadrobić wszystkie zaległości i do tego szybko się uczę. – Cóż, OK, to nie do końca prawda, jeśli chodzi o naukę języków obcych, ale była święcie przekonana, że zdoła chociaż trochę zapamiętać. Nie miała czasu, aby nauczyć się do jutra wszystkich odmian, czy czego tam używali starożytni Egipcjanie.

– Tylko pamiętaj o osobach na widowni – powiedział Siergiej, ale bardziej podpowiadał, niż udzielał reprimendy. Chloe chciałaby, aby czasami jej mama była właśnie taka. – To będzie coś w rodzaju drugiego wejścia – więc lepiej nie spraw nam zawodu.

Dziewczyna ponownie westchnęła. No i zaczyna się. Druga nieunikniona rozmowa tego dnia. Wskoczyła na podium biletera, usiadła na szczycie, balansując dziesięć centymetrów nad ziemią, w pozycji niemożliwej dla człowieka, za wyjątkiem Jackie Chana albo Jęta Li.

– Siergiej, nigdy tego nie chciałam – przyznała z całego serca. – Myślę, że chcę skończyć liceum, iść do college'u i może stworzyć własne odzieżowe imperium. Moje marzenia nie obejmują pazurów, łap albo przewodzenia rasie Mai.

– Ale jesteś tym, kim jesteś – zaczął Siergiej, po czym

na chwilę zamilkł i przyglądał się jej zmrużonymi oczami. Przekreślił głowę jak kot. – Nic nie możesz zmienić.

– Chciałam powiedzieć, że... – Chloe wzięła głęboki oddech. – Nie chcę odbierać ci Stada. *Chyba że się okaże, że naprawdę wysiałeś ludzi, aby zabili moją mamę. Wtedy jednak Chloe i tak wybrałaby kogoś innego na Przywódcę Stada. Igora, Olgę, kogokolwiek.*

– Chloe, to bardzo wzruszające – szczerze odpowiedział jej Siergiej. – Ale przecież nic mi nie odbierasz. W końcu jesteś Wybraną – masz do tego prawo.

– Czy to nie jest... – Dziewczyna zawahała się. – Czy to nie jest trochę dziwne w dzisiejszych czasach dziedziczyć przywództwo? To znaczy, że urodziłam się z pewnymi umiejętnościami, naprawdę sprawia, że nadaję się do rządzenia?

– To archaiczne, zgadzam się – nawet jeśli tylko ja tak sądzę. Trzonem tej funkcji nie do końca są zdobyte zasługi. Stworzyłem Firebirda od podstaw i kocham je prowadzić, ale to nie ma znaczenia. Nasza poprzednia Przywódczyni, pomijając wszystko inne, naprawdę starała się coś zrobić. Jej celem było zjednoczenie wszystkich Mai rozproszonych po Europie Wschodniej i bardzo mocno starała się, aby to zrealizować.

Pomijając wszystko inne? A co to znaczy?

– Jednak Europa Wschodnia była – i nadal jest – bardzo niebezpiecznym miejscem i nasz czas na tamtej ziemi dobiegł końca. Zbyt wiele wojen, uprzedzeń i ślepej przemocy. Zawsze dążyłem do tego, aby nas stamtąd za-

brać. Na Zachód. Uciec przed siebie i zacząć wszystko od nowa w innym miejscu. Może uciec przed starą klątwą – powiedział z lekkim smutkiem. – Bardzo ciężko pracowałem, aby sprowadzić tu naszych, wybudować Firebirda, stworzyć dla nas wszystkich bezpieczne miejsce do życia. Czy nie sądzisz, że to czyni ze mnie Przywódcę?

– Oczywiście – zgodziła się Chloe, nie wiedząc co innego ma powiedzieć. Siergiej westchnął.

– Szkoda, że nikt poza tobą tak nie myśli. Ciekawe, czy w głównej sali cokolwiek zostało zazwyczaj odrywają siedzenia i sprzedają je na aukcjach. Panie przodem. – Otworzył przed nią drzwi i ukłonił się lekko, kiedy przechodziła.

W środku panował całkowity mrok, ale Chloe poczuła wokół siebie ogromną przestrzeń. Można się było przestraszyć. Czowała się tak, jakby miała zacząć unosić się w powietrzu.

– Hej, co ze światłem? – zapytała dziewczyna.

– Przykro mi, że już nie będziemy prowadzić naszych małych dyskusji – powiedział Siergiej. Nagle jego głos dochodził do niej z bardzo daleka, całkowicie się nie dawał umiejscowić w panujących ciemnościach. – I że nie będziemy już razem grać w szachy.

– Mnie także – zgodziła się Chloe. – Wysiadł prąd, czy jak? – Nagle poczuła zdenerwowanie i wyciągnęła rękę, aby chwycić się najbliższej ściany.

– Będzie mi brakowało naszych wspólnych obiadów.

– Nie musimy tego przerywać tylko dlatego, że już

z wami nie mieszkam. – Czy to tylko wina mroku, czy też w tym, co powiedział było coś złowieszczonego?

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Starszy mężczyzna odezwał się z żalem w głosie. – Nie dlatego, że jesteś Wybrana...

Nagle zapaliły się wszystkie reflektory, pełna moc. Teatr tonął w blasku żółtego światła, oślepiając Chloe, która schowała twarz w ramionach o sekundę za późno.

– ...ale dlatego, że będziesz martwa.

Chloe zmusiła się, aby otworzyć oczy, z bólem zamrugała, ponieważ mięśnie gałek zwęziły źrenice oka szybciej i mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Stał przed nią Rogue.

ROZDZIAŁ 12

Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy to: *O mój Boże, on żyje.*

Alexander Smith, alias Rogue, psychopatyczny zabójca z Bractwa Dziesiątego Ostrza, powinien być martwy.

Walcząc z nim na moście Golden Gate, widziała, jak ten z niego spada i umiera, albo przynajmniej tak jej się wydawało. Kiedy Bractwo się o tym dowiedziało, wysiało armię zabójców, aby przeszukali miasto, odnaleźli ją i pomścili jego śmierć. Sytuacja wyglądała jednak tak, że w ostatniej sekundzie wyciągnęła do niego rękę – aby go ratować z powodów, których nigdy nie będzie potrafiła wyrazić innymi słowami niż: „wydawało mi się, że tak należało postąpić”.

Był wysoki, umięśniony, może odrobinę chudszy niż wtedy, gdy widziała go ostatni raz, uczesany w taki jak co zawsze durny platynowoblond kucyk opadający na ramiona, w oczach miał niezmiennie szaleństwo i nosił ten sam czarny płaszcz z neoprenu, w którym niewątpliwie znajdowały się niezliczone sztylety, ostrza, shurikeny i inna, różnorodna, tradycyjna broń Bractwa.

– Chloe King – powiedział Rogue, lekko się uśmiechając.

– Dobrze wyglądasz – odezwała się Chloe, zanim mógł ją powstrzymać. Nie czas jednak na żarty. *Nie żeby Rogue miał szczególne poczucie humoru.* – Co się dzieje? –

domagała się odpowiedzi, a obracając się, ujrzała Siergieja.

– Obawiam się... że twój czas dobiegł końca, Najjaśniejsza – odpowiedział jej Siergiej i pokłonił się kpiąco. – Przykro mi, że ominie cię jutrzejsze spotkanie.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Chloe, chociaż i tak znała odpowiedź.

– Czy nie słuchałaś tego, o czym mówiłem? – odpowiedział jej wzburzony Siergiej. – Stado odstawi mnie przez ciebie na bok. Trzydzieści lat ciężkiej pracy – mojego życia – na marne, tak po prostu. Nie pozwolę, by jakaś zarozumiała nastolatka wychowana wśród ludzi wszystko mi odebrała, niezależnie od tego, jaki jest jej rodowód.

– Rodowód...? – zapytała zdezorientowana Chloe.

– Twoja matka była poprzednią Przywódczynią Stada. – Kiedy Siergiej mówił, Rogue stał nieruchomo niczym posąg, uśmiechając się tylko od czasu do czasu przy niektórych uwagach Siergieja. – Twoja siostra mogła zostać kolejną Przywódczynią. Była od ciebie starsza, wiesz, i wymagała wszystkich dziewięciu ostrzy.

– Gdyby żyła, mielibyśmy dwie Wybrane – zachichotał. – Od bardzo dawna nie miała miejsca taka sytuacja.

Chloe poczuła skurcz w żołądku. Wyobraziła to sobie: siostra, która też może umrzeć i wrócić do życia, która była w stanie zdjąć z niej część tego ciężaru, która była wychowywana wśród Mai i mogła wskazać jej drogę. *Zaraz – dwie Wybrane? A co z jej bratem, o którym wspominała Kim? Siergiej najwyraźniej nic o nim nie wiedział...* Chloe

zatrzymała tę myśl dla siebie.

– Ten oto dżentelmen – Siergiej wskazał ręką na Rogue'a – zajmie się tobą. Biedna dziewczyna, nie powinna nocami sama włóczyć się po ulicach miasta...

Przed oczami Chloe pojawiła się scena z powtarzającego się snu o śmierci jej siostry.

Chociaż przeszedł ją dreszcz, to jednak skoncentrowała uwagę na chwili obecnej. Wciąż nic nie rozumiała. Patrzyła raz na jednego, raz na drugiego. Rogue był oddany jednej sprawie. Chciał unicestwić rasę Mai – to było całe jego życie. Jak więc on i Siergiej, głowa Stada, mogli ze sobą współpracować?

– Już od dawna próbowaliśmy cię wytropić – powiedział Siergiej, zwracając się do Chloe. W końcu doszliśmy do wniosku, że musiałaś zginąć w wojnie między Gruzinami a Abchazami. Wyobraź sobie więc moje zdziwienie, kiedy znaleźliśmy cię tutaj, tuż pod moim nosem!

– Wy dwaj próbujecie zabić każdego, kto mógłby okazać się prawdziwym Przywódcą Stada?

– Naprawdę nie podoba mi się to sformułowanie – skomentował Siergiej ze zmęczeniem i smutkiem na twarzy. Rogue tylko się uśmiechnął. – Ale masz rację. Nasze drogi zeszły się w tym jedynym celu. Bractwo Dziesiątego Ostrza nie chce żadnego mistycznego, wszechmocnego Przywódcy Mai, który mógłby zjednoczyć całą rasę i poprowadzić ją do zwycięstwa, czy do czegoś innego, do czego Mai sądzi, że dąży. A ja jestem raczej zadowolony z mojego obecnego stanowiska.

– Współpracujesz z człowiekiem, który chce nas unicestwić – powiedziała Chloe, czując, jak z narastającą furia zanika jej zdezorientowanie. – Z kimś, kto zabijał Mai! Jeśli naprawdę kochasz Mai tak bardzo, jak możesz ich mordować – nas mordować? Mówiłeś przecież, jak niewielu nas zostało! – Chloe krzyczała rozpaczliwie, próbując cokolwiek zrozumieć.

– Dziwny sprzymierzeniec, wiem – powiedział Siergiej, przytakując jej. – Śmierć każdej z was jest wielką genetyczną hańbą, ale niewielkim poświęceniem w obliczu możliwości uniknięcia kompletnego chaosu w Stadzie, które miało się całkiem nieźle, zanim pojawiłaś się ty, panno King.

Chloe otworzyła usta, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Rogue trwał nieruchomy, ale kto wie, jak długo to potrwa, zanim ją zaatakuje? Jej czas dobiegał końca.

– Czy to ty wysłałeś ludzi, aby zabili moją mamę? – zapytała w końcu cicho.

– Którą?

Oczy Chloe zwęziły się.

– Adopcyjną. – Teraz, kiedy o tym myślała...

– Tak – Siergiej odpowiedział bezzwłocznie. – To było jednak zanim dowiedzieliśmy się, że jesteś Wybraną. Byłaś jedną z wielu Mai, którą przygarnęliśmy do Stada, tylko ty najwyraźniej nie byłaś gotowa zostawić za sobą przeszłości. Zatem trzeba było przyspieszyć troszeczkę ten proces.

– Musielibyście zabić nie tylko moją mamę, aby cał-

kowicie zwerbować mnie do Stada powiedziała gwałtownie Chloe. – Musielibyście zabić Paula, Amy i Briana...

– Czynię tylko swoją powinność – powiedział Siergiej, ponownie wzruszając ramionami. – Nie schlebiaj sobie, myśląc, że jesteś pierwszą Mai wychowaną przez ludzi. Ich jest sześć miliardów, a nas tylko tysiące, Chloe. Nie potrzebują ciebie. My za to tak. Cóż – dodał przeprasząco oczywiście nie dosłownie ciebie, tylko w sensie ogólnym.

W końcu Rogue jakby się lekko spał, znudzony rozmową.

– Czy w ogóle szukaliście mojego ojca? – zapytała, chociaż znała już odpowiedź. Siergiej włożył do kieszeni duży pęk kluczy i był gotowy do wyjścia.

– Nie wiem, Olga może tak, ponieważ wspomniałem o tym przy niej. Naprawdę będzie mi brakowało naszych wspólnych chwil – powiedział, wzdychając. – W innych okolicznościach byłbym dumny, mogąc być twoim ojcem.

– Mam dość tego gadania. – Rogue w końcu zawarzał. – Szykuj się na śmierć, ty zdiro Mai. Skrzyżował ramiona na piersi, wyciągając spod każdego rękawa ostrze.

– Nie nazywaj jej tak – warknął zdenerwowany Siergiej. – Po prostu rób, co do ciebie należy.

– Tobą też jestem już zmęczony, Demonie – odezwał się bezbarwnym głosem Rogue i celnie rzucił w niego shurikenem.

Zanim Chloe mogła zareagować, gwiazdka zakończyła swój lot, wbijając się w gardło Siergieja. Ugrzęzła poniżej schludnej, krótkiej brody, z której wypływały dłu-

gie, ciemnoczerwone stróżki krwi.

– Ty – zacharczał Siergiej, wyrywając gwiazdkę z gardła. Wysunął pazury i rzucił się na Rogue'a.

Alexander z łatwością się uchylił, chociaż nie na tyle, by uniknąć jednej z grubych, kwadratowych łap Siergieja, która zostawiła na ramieniu Rogue'a pięć krwawych zadrapań. Obrócił się i zanurzył długi nóż w plecach Siergieja, powodując, że wydał z siebie coś pomiędzy jękiem a krzykiem, coś, co było kompletnie niehumanitarne.

– Ty też jesteś Mai, Siergieju Shaddar–wyszeptał Rogue, kiedy przytrzymał go, aby głębiej wbić ostrze. – Nic dla mnie nie znaczysz.

Siergiej wydał z siebie ostatnie słabe rżenie i zmarł.

ROZDZIAŁ 13

Chloe gapiała się na scenę, która się przed nią rozgrywała. Czuła się nierealnie, jakby to wszystko działo się w telewizji. Zbyt wiele, aby to pojąć.

Siergiej i Rogue współpracowali ze sobą. *A teraz ich wspólna praca jakby, hm, się zakończyła.* Siergiej przyczynił się do śmierci jej siostry i zwabił Chloe do tego teatru, aby Rogue mógł zabić także ją.

Który z nich był gorszy? Morderca czy zdrajca ich rasy? *Hej, Chloe. UCIEKAJ!*

Otrząsnęła się, jak tylko Alexander z głuchym pacnięciem, pozbawionym jakiegokolwiek gracji, upuścił na podłogę ciało Siergieja. W przeciwieństwie do Chloe, nie okazywał on żadnych oznak rychłego powrotu do życia. – No, kto by pomyślał – Rogue zaczął z małym uśmiechem. On rzeczywiście nie był prawdziwym Przywódcą Stada.

Chloe zdała sobie sprawę, że stojący przed nią zabójca prawdopodobnie wiedział o Mai dużo więcej niż ona sama.

– Nawet jak na Mai, był zdradzieckim plugastwem – kontynuował Rogue, wyciągnął swe ostrze i zaczął je wycierać. Następnie odwrócił się do niej. – Ty, z drugiej strony...

Powinna zostać i walczyć czy uciekać? Ta część Chloe, która wcześniej wyrwała ją z zamyślenia, nadal sugerowała ucieczkę, coś jednak mówiło jej, że nie byłoby to mądre posunięcie. *Nie narażać się na atak z tyłu* –

zwłaszcza ze strony kogoś, kto posiada broń dalekiego zasięgu.

– Ja, z drugiej strony..? – odpowiedziała, napinając mięśnie i szykując się do walki, omijając napastnika kilka kroków w lewo.

– Byłabyś naprawdę wielką Przywódczynią. Twoi fałszywi bogowie dobrze wybrali. Jaka szkoda, że nie jesteś człowiekiem. – Lekko pokłonił się przed nią. – Dlatego też – dodał przepaszająco – naprawdę muszę to zrobić.

– Naprawdę nie musisz nic robić – zauważyła Chloe. Przesunęła się tak, aby drzwi znalazły się za jej plecami, a głowa Siergieja skierowana była na jej stopy. – Na miłość boską, nigdy nikogo nie skrzywdziłam. Próbowałam nawet uratować cię przed upadkiem.

– Wiem. – Na moment z twarzy Rogue'a zniknęło zimne spojrzenie, a on sam wyglądał na zakłopotanego. Ta chwila jednak skończyła się, gdy uśmiechnął się groźnie, wyciągając bliźniacze ostrza. Jedno z nich nadal było poplamione krwią Siergieja. – Prawdopodobnie dlatego, że wychowywali cię ludzie. To mógłby być ciekawy eksperyment, gdybyś nie była Wybraną, to znaczy, zobaczyć, kim byś się okazała. Zobaczyć, po której staniesz stronie.

– Nie ma żadnych stron. – Chloe odskoczyła, kiedy rzucił w nią długim sztyletem. Podskoczyła do góry, a ostrze poszybowało tuż pod nią i wbiło się w ścianę obitą aksamitem.

– Jest dobro i zło, czyli my i wy – powiedział Rogue,

krażąc wokół niej i bacznie się jej przyglądając.

– Nie, jest rozsądek i popieprzone świry – poprawiła go Chloe. – Albo tak jak w waszym przypadku, popieprzone świry i naprawdę popieprzone świry.

Po tym, jak rzucił w nią pierwszym nożem, wyciągnął drugi. Dziewczyna była przerażona, kiedy zdała sobie sprawę, że nie zauważyła go wcześniej. Udało mu się także zmusić ją, aby oddaliła się od drzwi, które znalazły się za nią – była teraz w najgorszym z możliwych miejsc do ucieczki.

– A co z Brianem? – naciskała, w dalszym ciągu obchodząc ciało Siergieja zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jego głowa skierowana była ku drzwiom. – Czy to, co zrobiło mu Bractwo było „dobre”?

Rogue zmarszczył brwi.

– To co zrobił Richard, to, jak potraktował człowieka i jednego z nas, było niewybaczalne. Istniały inne sposoby, aby zająć się synem Whitney'a.

Ruchy jego rąk był tak szybkie, że ich obraz rozmazywał się. I nagle w jej kierunku poleciały sztylety.

Chloe zasyczała, odskoczyła w górę i do tyłu.

Wysunęła pazury i chwyciła nimi oparcie siedzenia, wiedząc, że ono tam jest. Spuściła nogi na dół, z jej stóp wysunęły się pazury, łapiąc siedzenie w następnym rzędzie. Nagle stała się przerażająca i potężna. Była ścigana, ale panowała nad tym.

Przykucnęła na wąskim oparciu, utrzymując równowagę tylko dzięki koniuszkom palców.

– Ach, wyszło z ciebie zwierzę. To mi tylko ułatwi sprawę – powiedział, szeroko się uśmiechając. Rzucił w nią ze świstem srebrnym sztyletem. Alexander także był tym, kim powinien teraz być – myśliwym.

Chloe się odwróciła i skoczyła w dół z jednego oparcia na drugie, w kierunku wyjścia z teatru.

Nie trać kontroli – mówiła do siebie. Czowała się tak dobrze, będąc w ruchu.

– Twoją siostrę też trudno było zabić – szydził Rogue, zbiegając za nią w dół przejściem między siedzeniami.

Moja siostra.

Zanim Chloe dowiedziała się, że w ogóle ją ma, jej siostra już nie żyła. Dzięki Siergiejowi i Rogue'owi.

W jej sercu pojawiła się furia, parząca jej kończyny. Wykonała ostatni szalony skok z pierwszego rzędu na przedscenie, obracając się w powietrzu tak, aby wylądować przodem do Rogue'a. Teraz znajdowała się wyżej od niego. Poczwała wyraźną przewagę.

– Jedno ostatnie pytanie – zawarczała. – Czy to ty śledziłeś mnie przez cały czas?

– Jeśli nie było nikogo innego, to tak – odpowiedział, wskakując z podłogi na siedzenia w pierwszym rzędzie. Przebiegł za jej plecami zwinnie niczym Mai. – Ale prawie zawsze otaczali cię ludzie. Chcieliśmy spotkać się z tobą na osobności.

Rogue zaczął poruszać się naprzód, przeskakując na scenę i lądując idealnie w kucki.

Chloe rzuciła się na niego z warczeniem, zanim ten

znalazł się całkowicie na podłodze. Użyła wszystkich sił, aby zdusić w sobie instynkt, nakazujący jej chwycić za jego klatkę piersiową lub brzuch i wypatroszyć go, jak zrobiłby każdy kot. Widziała jednak, że pod płaszczem z neoprenu nosił kamizelkę kuloodporną, zakrywającą ramiona i tors.

Wysunęła pazury, celując w jego gardło, tuż nad matową czarną kamizelką, jedynym odsłoniętym i wystawionym na ciosy miejscem.

Rogue złączył ramiona i uniósł je do góry, trzymając sztylet na ukos i zasłaniając nadgarstkami gardło. Pazury jej lewej dłoni zadźwięczały o metal, wywołując w ramieniu mrowienie, jakby wywinęły jej się paznokcie. Jednak pazury coś pochwyciły. Kiedy odepchnęła się od niego, zauważyła krew, ale nie była w stanie powiedzieć, czy ciekła z jego ręki czy ucha. Rogue nie krzyczał. Zwyczajnie wciągnął powietrze do płuc, krztusząc się przy tym.

Gwałtownie odskoczyła do tyłu, lądując cztery metry za nim. Wyciągnęła ręce do góry, chroniąc własne gardło i czekała na jego kontratak. Jeśli próbowałaby się odwrócić i uciec, nawet w sekundę, wiedziała, że w jej kręgosłupie znalazłby się sztylet.

Teatr mógłby z łatwością zamienić się w jej grobowiec.

I obudziłaby się, a nad nią pochylałby się Rouge, który wyjąłby mały srebrny sztylet i podciął jej gardło. Siedem razy. Aż nie obudziłaby się kolejny raz.

Przez moment Chloe spanikowała, pełna nie swoich

wspomnień. Jakaś dziewczyna, biegnąca przez mrok. Miasto nocą. Zaułek. Jej sen – tatuaż na czyimś ramieniu.

Sodalitas Gladii Decimi. Jej siostra.

Rouge wstał, trochę niepewnie, ale w ręce, w której nie miał sztyletu, trzymał shurikena.

Zdekoncentrowała się.

– STAĆ!

Oboje odwrócili się.

Drzwi teatru otworzyły się z hukiem i stanął w nich policjant. Wyciągniętą czterdziestką piątką mierzył do celu. Trudno było jednak powiedzieć, do kogo. Nie miało to znaczenia. Kolejny policjant pojawił się obok pierwszego i on także odbezpieczył broń. Z pomocą przyszedł jeszcze trzeci, zobaczył ciało, podbiegł i uklęknął przy nim.

– Wy oboje. RZUĆCIE BRONŃ – krzyczał pierwszy policjant.

Przez ułamek sekundy Chloe i Rogue pozostali w bezruchu, patrząc na siebie. Nagle, w tym samym czasie – bez żadnego sygnału – ruszyli biegiem w przeciwnych kierunkach.

Chloe kierowała się do drzwi ewakuacyjnych, znajdujących się po prawej stronie ekranu.

– POWIEDZIAŁEM: NIE RUSZAĆ SIĘ! – policjant wrzasnął ponownie.

Wszystkie siły skupiła w ramionach, przykucnęła, gotowa wystrzelić jak kula armatnia, i zeskoczyła ze sceny. Dopadła drzwi, i usiłując je otworzyć, usłyszała pierwszy

strzał. Było głośno. Inaczej niż na filmach w telewizji.

Chloe przemknęła przez drzwi i przekoziółkowała na chodnik, robiąc unik i podkurczając nogi tuż przed tym, jak drzwi zatrzasnęły się za nią z impetem. Jej kłykcie były pokrwawione i pojawiły się na nich otwarte rany od chronienia nimi czubka głowy.

Wystartowała. Biegła, wskakując i zeskakując z hydrantu na markizę, schody przeciwpożarowe i dach, przytrzymując się i balansując, aż znalazła się z powrotem na linii horyzontu, tam, gdzie mogła przemieszczać się szybko i bezpiecznie, tam, gdzie było jej miejsce.

ROZDZIAŁ 14

Co teraz?

Chloe nie przestawała biec, ale jednocześnie zmuszała się do myślenia – koci instynkt podpowiadał jej, że coś było nie tak.

Ostatnie kilka tygodni spędziła w domu, dochodząc do siebie po ataku na jej życie, włączając do zwyczajnego życia nastolatki nagłą manifestację swoich nowych zdolności, dwa powroty do żywych oraz Bractwo Dziesiątego Ostrza, Mai i ich związek od przeszło tysiąca lat.

Czegoś jednak nie zrobiła?

– Przygotuj się, stwórz bezpieczne miejsce, znajdź jakąś Kocią Kryjówkę – Chloe odpowiadała nocnemu powietrzu, kiedy przeskakiwała ponad przestrzeniami między budynkami, ignorując możliwość upadku z trzydziestu metrów.

– A właściwie trenuj swoje umiejętności w walce. Wymyśl jakąś strategię obrony. Wprowadź procedury radzenia sobie z nagłymi wypadkami i paniką dla siebie, Amy oraz Paula, i postępuj według nich. I dla Kim. I dla Aleka.

WYMYŚL JAKIŚ PLAN.

Przeklinała się, że nie pomyślała o tym wcześniej. *Tryb całkowitej negacji nie uratuje życia* – pomyślała.

– Trochę za późno, Chloe – wymamrotała.

Przynajmniej Rogue najprawdopodobniej już jej nie

śledzi. Była silna i zręczna, a Alexander był jednak tylko człowiekiem i nie był w stanie wykonać skoków i kroków, które jej przychodziły bez większego trudu. Przez chwilę dziewczyna wyobraziła sobie Rogue'a w samochodzie, z szatańskim uśmiechem niczym u blond Jokera. Nawet gdyby miał samochód, prawdopodobnie nie zawracałby sobie nią głowy, tylko jechałby tak szybko, jak to możliwe, aby znaleźć się jak najdalej od policji.

– Dzięki Ci Panie za policję – wymamrotała Chloe bez cienia ironii. Skąd wiedzieli, co się tam działo? Skąd wiedzieli, że ktoś tam w ogóle był?

Wdrapała się na najwyższy punkt na horyzoncie. Do szczytu komina, solidnie, choć nieprofesjonalnie, przykręcony był wielki talerz anteny satelitarnej. Jeśli ktoś za nią tu przyjdzie – policja lub Rogue, lub ktokolwiek inny – zobaczy ich, kiedy będą nadchodzić.

Ostrożnie, balansując na szczycie komina i jednocześnie zahaczając pazurami o brzeg anteny, wyciągnęła jedyną broń, jaką posiadała.

Telefon komórkowy.

Najpierw wybrała numer do Firebirda.

– Alo, Firebird Sp. z o.o. – Ze słuchawki wydobył się głos recepcjonistki. *Ktoś naprawdę powinien kazać jej mówić bez rosyjskiego akcentu, kiedy odbiera telefony z zewnątrz* pomyślała Chloe. Wiedziała, że Alexandra mówi prawie doskonałą angielszczyzną. W tym przypadku było to zatem zwykłe pozorantwo.

– Mówi Chloe. Połącz mnie z Olgą. – Wyszła na

chwilę. Mam jej coś przekazać?

– Nie. Połącz mnie z Igorem.

– Najjaśniejsza, on ma teraz spotkanie – odpowiedziała z szacunkiem i bez zwłoki.

– Wyciągnij go z niego – powiedziała Chloe, wywracając oczami na dziwny brak związku w słowach kobiety.

– To bardzo ważne.

– Tak, Najjaśniejsza – odpowiedziała Alexandra i przełączyła na funkcję oczekiwania. Chloe wciąż była zdumiona. Dziewczyna od samego początku najwyraźniej jej nie lubiła, ale teraz bez wahania robiła wszystko o co prosiła ją Chloe, jedynie z małą dozą sarkazmu.

Po zaskakująco krótkim oczekiwaniu zgłosił się Igor.

– Halo? – Był lekko poirytowany i zgryźliwy. *Nie tak znowu zaangażowany w całą tą duchowo–przywódczą sprawie.* To co miała mu za chwilę obwieścić, zdecydowanie pogorszy sytuację.

– Igor, Siergiej nie żyje.

Nastąpiła chwila ciszy, jakby zastanawiał się, czy dobrze usłyszał. Igor nie mówił idealnie po angielsku, więc jego reakcja była zrozumiała. – O czym ty mówisz? – zapytał w końcu.

– Rogue właśnie zabił Siergieja. Byłam z nim w teatrze, którym jesteście zainteresowani. Później obarczy go szczegółami, jak to Siergiej zamierzał ją tam zabić. Na razie chciała tylko przekazać informację.

– Czeka, czeka. To Rogue wciąż żyje? Myślałem, że go zabiłaś.

– Nie, właściwie, to ja próbowałam go ratować... Ach, nieważne.–Pewnego dnia wyjaśni mu także tę historię. – Najwyraźniej nie zginął po upadku z mostu Golden Gate. Jakoś udało mu się przeżyć. I w teatrze właśnie zabił Siergieja.

– Jakim teatrze? – Igor domagał się odpowiedzi, podnosząc głos.

– Tym, który chcieliście kupić i przerobić na apartamenty lub coś innego – wyjaśniła Chloe, poirytowana, że akurat ta kwestia go interesowała.

– Nie braliśmy pod uwagę zakupu żadnego teatru... nie wiem, o czym ty mówisz.

Chloe usiadła na brzegu anteny, zaszokowana. Już sam fakt, że Siergiej próbował ją zabić był wystarczająco okropny, a do tego jeszcze użył wszelkich możliwych metod. Posiadając klucze do budynku, o którym w Firebirdzie nikt nie wiedział, stworzył dogodne miejsce do popełnienia morderstwa. Karząc Oldze szukać ojca Chloe, miał pretekst, aby spotkać się z nią właśnie tam. Czy Siergiej w ogóle kiedykolwiek mówił prawdę – albo czy w Stadzie był ktoś, kogo by nie okłamał?

– Gdzie jest ten teatr? – dociekał Igor. – Zaraz tam będę.

– Nie – przerwała mu Chloe. – Teren otoczony jest przez policję. Pojawili się zaraz po tym, jak Rogue i ja zaczęliśmy ze sobą walczyć. Trzymaj się z daleka od tego miejsca i powiedz innym, aby zrobili to samo, nawet *kizekhom*. Nie możemy ryzykować ujawnienia Stada.

Nie wierzyła, że właśnie to powiedziała.

– Jesteś pewna, że on nie żyje? – Igor zapytał prawie szeptem.

– Igor, jestem całkowicie pewna – odpowiedziała najdelikatniej, jak potrafiła. – Jeśli istniałby chociaż cień szansy, że przeżyje, to zabraliby go do szpitala. Wyglądał jednak na martwego. Przykro mi.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Zabiłaś Rogue'a? – Igor w końcu zadał to pytanie ze śmiertelną powagą w głosie.

– Co? Nie – odpowiedziała Chloe, i jak tylko wypowiedziała te słowa, od razu pożałowała. Przed całą tą policją?

– W ogóle go ścigałaś?

– Nie Igorze, uciekłam ze sceny. Czy wspominałam o glinach? Z bronią? – Starła się – mówić zarówno ze spokojem, jak i do rzeczy, a nie jak tchórz, za którego z pewnością ją uważał. – Posłuchaj, wyjaśnię ci wszystko później, OK? Jest dużo do opowiadania. Przyjadę wieczorem. Teraz muszę już iść. – Rozłączyła się. *Dlaczego to nie mogła być Olga?* Chloe była przerażona, buzowała w niej adrenalina, a do tego teraz czuła się jak tchórzliwa kupa gówna, a wszystko przez tego Siergieja, Padawana [Padawan – uczeń, podejmujący u Rycerza lub Mistrza Jedi szkolenie, które miało doprowadzić go do rangi Rycerza. Padawani nosili krótko obcięte włosy i charakterystyczny pojedynczy warkoczyk (przyp. red.).] o wysokim stężeniu testosteronu.

Czy był w ogóle ktoś, kto by jej współczuł? Zamiast

obwiniać ją i zadawać pytania?

Kiedy wybierała kolejny numer, trzydzieści metrów niżej pędził na sygnale policyjny radiowóz. Chloe odwróciła się, aby zobaczyć, czy się zatrzyma, ale samochód pojechał dalej.

– Chloe! – Po drugiej stronie zaświergotała Amy. – Co tam?

– Siergiej? Pamiętasz tego starego faceta wymieniającego obelgi z tym drugim starym facetem w Presidio...?

– Przywódca waszego Stada, tak – odpowiedziała przyjaciółka. Słysząc było w jej głosie zadowolenie, że o tym wiedziała.

– Nie żyje. Zabił go ten sam najemnik, który próbował dopaść mnie na moście.

– O mój Boże!

– Właściwie to Siergiej próbował mnie zabić rękami Rogue'a. Mieli pewnego rodzaju układ.

– Jasna cholera! – przerwała jej Amy. – Co zamierzasz zrobić?

– Myślę, że... – Chloe zaczęła się zastanawiać. Nie miała ochoty od razu wracać do Firebirda. Prawdopodobnie teraz panował tam niezły bałagan. I ze względu na całkowite upublicznienie – ponieważ i tak najprawdopodobniej zobaczy to w wiadomościach najlepszym wyjściem było powiedzieć o wszystkim mamie. – Myślę, że właściwie to pójdę do domu. Jeśli zdarzy się coś dziwnego, będę mogła obronić mamę.

– Dobry pomysł. Paul i ja też tam pojedziemy. Równie

dobrze możemy być razem, skoro i tak wszyscy już o nas wiedzą.

– Ja... w porządku, tak, dobry pomysł.

– Absolutnie. Do zobaczenia wkrótce.

I teraz ostatni telefon. Miała nawet ustawiony w pamięci numer na szybkie wybieranie.

– Halo?

– Alek. – Wzięła głęboki oddech. – Siergiej nie żyje. Rogue go zabił.

– O mój Boże! Czy wszystko w porządku?

– Tak. Wracam do domu, żeby sprawdzić, czy z mamą wszystko dobrze, i w ogóle. Nie wiem, co będzie dalej.

– Potrzebujesz mnie? Jestem w trakcie prób zespołu, ale rzucę wszystko i przyjadę, jeśli tylko chcesz...

– Nie. – Chloe uśmiechnęła się i pokręciła głową, zapominając, że przecież jej nie widzi. Czuję się dobrze. Zadzwoń, kiedy skończysz.

– OK. Chloe, bądź ostrożna.

– Będę.

Dziewczyna wyłączyła telefon i schowała go z powrotem do kieszeni. Ścigana po raz pierwszy przez Rogue'a, odkryła swoje supermoce. Zawsze wybierała okreśną drogę do domu, aby zmylić tego, kto ją śledził. Od porwania jej mamy stało się oczywiste, że każdy wie, gdzie mieszka – teraz najważniejsze było to, aby dotarła do domu pierwsza. Ostatni raz rozejrzała się wkoło, ciesząc się widokiem i chwilą wytchnienia przed grozą, która miała nadejść.

Po czym zeskoczyła z dachu i pospieszyła do domu przez boczne i tylne uliczki, niewidoczne dla nikogo – także dla policji.

Kiedy usłyszała, jak jej mama pobrzękuje kluczami, próbując otworzyć zamek w drzwiach, Chloe otworzyła je, ale zapomniała schować pazury i Anna wzdrygnęła się na ich widok. Zanim pani King wróciła z pracy, Chloe spędziła godzinę na patrolowaniu domu, sprawdzaniu, czy okna i drzwi są zamknięte i nasłuchiowaniu dźwięków potencjalnego intruza. Amy siedziała przed telewizorem, przeskakując między kanałami CNN Headline News a lokalnymi stacjami (i powtórkami animowanego serialu *Najeżdźca Zim*). Paula jeszcze nie było.

– Żadnego podwąchania kocimiętki, co? – Anna King zapytała lekko zdenerwowana. Weszła do środka i położyła swoją teczkę na blacie.

– Nie całkiem – Chloe odpowiedziała z cierpkim uśmiechem na ustach.

– Hej, znowu o nim mówią! – Amy krzyczała z kanapy.

Matka z córką ruszyły do salonu. Wypowiadał się młody reporter z ponurą miną, a w rogu ekranu pojawił się czerwono-żółto-niebieski napis: „Lokalny biznesmen zamordowany”.

– Dzisiaj w opuszczonym teatrze odnaleziono ciało lokalnego magnata nieruchomości Siergieja Shaddara. Z Inner Sunset relacjonuje Connie Brammeier.

Na ekranie pojawiła się reporterka, młodsza

i poważniejsza. Za jej plecami działały się różne rzeczy, ale trudno było stwierdzić, co dokładnie. Byli policjanci, zmęczony detektyw marszczący brwi nad podkładką do pisania, błyskały flesze aparatów.

– Dzisiaj pewien mieszkaniec zgłosił policji, że w opuszczonym budynku dzieje się coś podejrzanego. Wewnątrz odnaleziono właściciela firmy Firebird Properties Sp. z o.o., Siergieja Shaddara, którego ciało zostało zmasakrowane – prawdopodobnie w celach rytualnych – i pokryte ranami kłutymi.

– Pokryte? Była tylko jedna rana kłuta – Chloe zaczęła mówić, zanim sama się powstrzymała.

– ...miał również poderżnięte gardło. Porachunki gangsterskie, a może przypadkowy atak, na razie ten fakt pozostaje niewyjaśniony. Shaddar był samotnikiem, ale szanowanym biznesmenem, który podczas każdego Bożego Narodzenia ofiarowywał miejscowym organizacjom dobroczynnym dziesięć tysięcy dolarów.

Tego nie wiedziałam – pomyślała Chloe. Podobnie jak odwrotnej proporcjonalności i ludzi lubiących Avril Lavigne, nie była w stanie zrozumieć na wskroś złego człowieka, który jednocześnie wspierał działania charytatywne.

– Śledczy twierdzą, że dwaj podejrzani, którzy uciekli z miejsca przestępstwa nie pozostawili żadnych śladów, ale policja wciąż ich szuka. Ktokolwiek dysponuje informacjami na temat tej zbrodni, proszony jest o zgłaszanie ich telefonicznie pod numerem widocznym na dole ekranu.

Wszystkie zgłoszenia pozostaną anonimowe.

– Dlaczego mam przeczucie, że jednym z „podejrzanych” jesteś ty, Chloe? – jej mama zapytała tonem bardzo zbliżonym do warczenia. Amy ściszyła telewizor.

Chloe westchnęła ciężko.

–Siergiej powiedział, że mam się z nim spotkać w tym teatrze, ponieważ chciał mi przekazać informacje na temat mojego taty. – Oczy jej mamy otworzyły się szeroko. – Wystawił mnie i czekał razem z Rogue'iem, który miał mnie zabić.

– Sądziłam, że ten człowiek – Rogue – spadł z mostu – odpowiedziała powoli.

– Każdego roku dwa procent ludzi przeżywa samobójczy skok – odezwała się Amy, nie odrywając oczu od telewizora.

– W każdym razie, on wciąż żyje – kontynuowała Chloe, podczas gdy jej mama spoglądała na nią krzywo. – Rogue i Siergiej współpracowali ze sobą, aby zabić wszystkie możliwe Wybrane oczywiście każdy z nich miał ku temu swoje powody. To oni kilka miesięcy temu zabili moją siostrę. Rogue jednak obrócił się przeciwko Siergiejowi i zabił go, jeszcze zanim zaatakował mnie – to był dla niego tylko kolejny Mai, którego pragnął widzieć martwym.

Anna King długo przyglądała się córce bez mrugnięcia okiem, całkiem jak Kim. Spojrzenie mamy Chloe było jednak zdecydowanie twardsze i zimniejsze niż kociej

dziewczyny, a jej blond włosy nie były tak schludne jak zawsze. Kiedy w końcu odezwała się, była spokojna jak Igor.

– Dość tego. Wyprowadzamy się.

Chloe musiała powtórzyć to sobie wiele razy, zanim przyjęła słowa mamy do wiadomości.

– Że co?

– Wyprowadzamy się. San Francisco jest zbyt niebezpieczne. To jakiś obłąd. – Anna King zdjęła okulary i odwróciła się, sięgając po notatnik. – Nie powinnam mieć żadnych problemów ze znalezieniem pracy w Seat–de lub Nowym Yorku...

– Mamo, o czym ty mówisz? – Chloe chodziła za nią. Amy dziwnie zmizerniała i wróciła na kanapę, zerkając tylko znad jej oparcia.

– Przez ostatnich kilka miesięcy dwa razy próbowano odebrać ci życie. – Jej mama wyliczała na palcach. – Zostałam zakładnikiem, w zasadzie ty także zostałam zakładnikiem, i byłam naocznym świadkiem wojny gangów, niezależnie od tego, jak ty to nazywasz.

– Nie możemy tak zwyczajnie uciec. Mai szukali mnie od dłuższego czasu i nie poddadzą się tak po prostu. Rogue też nie! – protestowała Chloe.

– W takim razie, będziemy się ukrywać. Zgłoszę władzom, co się stało i obejmą nas ochroną federalną czy czymś innym. Zaczniemy wszystko na nowo. Mam to gdzieś.

– Nie mogę tak zwyczajnie wszystkich zostawić! –

lamentowała Chloe, pragnąc, by nie brzmiała jak płacziwa nastolatka.

– A ja nie mogę pozwolić ci umrzeć! – z krzykiem odpowiedziała jej mama. Jej oczy płonęły. Na twarzy zastygł grymas zdenerwowania.

Chloe nagle zrozumiała. Jej mama poczuła się bezradna, że nie jest w stanie ochronić własnej córki. Czuła, że może niczego zrozumieć i że została odstawiona na boczny tor. Życie jej córki nieoczekiwanie zostało zdominowane przez starożytne grupy religijne i mityczne rasy, a Anna była zła, że nie może tego kontrolować. A to była jedyna rzecz, jaką ceniła ponad wszystko inne.

Oczywiście cała ta sytuacja wymknęła się spod kontroli. Siergiej nie żył, Rogue wciąż był na wolności, Brian prawdopodobnie zajmował najwyższą pozycję na liście wrogów Bractwa, Mai byli pozbawieni przywództwa i zagubieni, a do Chloe powoli docierało, że jest jedyną osobą, która może temu zaradzić.

Wyprostowała ramiona i spokojnym głosem powiedziała:

– Mamo, wiem, że to wszystko jest przygnębiające, ale ucieczka naprawdę niczego nie załatwi. Mai, niczym psy myśliwskie, będą mnie tropić. A ja nie mogę ich zostawić. Teraz jestem ich jedynym Przywódcą. – Kiedy pani King otworzyła usta, Chloe delikatnie weszła jej w słowo. – Widziałaś, jak umieram i powracam do żywych. Widziałaś moje pazury. Tu nie chodzi o jakiś licealny klub sportowy, czy coś w tym stylu – to jest poważna sprawa. I jestem

jedyną osobą, która może zakończyć ten krąg przemocy. – Chloe zorientowała się, co mówi. *Wow, czy ja naprawdę w to wierzę?* Zdała sobie sprawę, że nie była to kwestia „wiary”. Taka była prawda. Właśnie ona musiała to zakończyć. W przeciwnym razie będzie się to ciągnęło przez wieki.

Albo dopóki wszystkie osoby w to zaangażowane nie zginą.

– A ja nie mogę pozwolić na to, żebyś była w to zamieszana – powiedziała jej mama drżącym głosem.

Chloe jednak słyszała, że jej determinacja słabnie.

– Ani ty, ani ja nie mamy wyboru – zauważyła Chloe. – Jeśli tam nie pójdę, to oni przyjdą do nas. I przysięgam, że już nigdy cię nie skrzywdzą.

– Dlaczego ja nie mogę obiecać tego własnej córce? – wyszeptała Anna, przykładając ręce do skroni. Nie płakała, nie całkiem, ale było widać, że powstrzymuje łzy.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi tak, że aż wszyscy podskoczyli.

– Hej – Paul krzyknął wesoło przez szybę, trzymając w ręku torbę z Krispy Kremes. Dopiero po chwili zauważył miny wszystkich. – Przychodzę w złym momencie?

Mama Chloe nalegała, aby przynajmniej mogła prowadzić samochód, skoro nie mogła im tego zakazać ani im rozkazywać. Paul i Amy usiedli na tylnym siedzeniu, napychając się pączkami, aby poradzić sobie z napięciem.

Prawie jak za dawnych czasów – pomyślała smutno Chloe. Zajmując siedzenie pasażera, czuła, jakby znowu

miała dziesięć lat. Twarz jej mamy nadal była pozbawiona wyrazu, a zęby były zaciśnięte. Nawet kolczyki bujały się z jakąś determinacją.

Chloe westchnęła, obserwując małe krople deszczu znajdujące się na szybie, które zanim spłynęły, rozchodziły się na boki i w dół oraz z powrotem do góry, pchane przez wiatr.

Ktoś kiedyś powiedział, że Przywódca jest tak dobry, jak przyjaciele i doradcy, którymi się otacza. *Może powinnam bardziej doceniać Amy i Paula.*

Kiedy dojechali do Masa – nie było bardziej neutralnego miejsca niż ta restauracja – zostali pokierowani na zaplecze, gdzie czekali już na nich Olga, Igor i Kim. Mama Chloe bardzo się zdziwiła, kiedy wszyscy powiedzieli „Witaj w domu, Najjaśniejsza” i pokłonili się. Chloe lekko uśmiechnęła się do mamy i wzruszyła ramionami.

W środku znajdował się prostokątny stół. Chloe natychmiast zajęła miejsce przy jego dłuższym boku, obok Olgi, ale pani King szturchnęła córkę i lekko pokręciła głową, wskazując na szczyt stołu.

– Jeśli naprawdę chcesz zaniechać przemocy i przewodzić swoim ludziom, musisz im przewodniczyć – wymamrotała. – Przejmij kontrolę, Chloe. Nikt inny za ciebie tego nie zrobi.

Dziewczyna pokiwała głową, widząc w oczach Anny King coś, na co wcześniej nie zwracała zbytnej uwagi. Coś, co towarzyszyło wysokim stanowiskom w pracy i polityce. Coś, co stanowiło o byciu jednocześnie kobietą

i partnerem w jednej z ważniejszych firm. *Kiedyś musze ją o to zapytać* – pomyślała Chloe. Wślizgnęła się na krzesło i zatopiła się w jego miękkiej skórce. Aby zdusić nerwowy ucisk w żołądku, starała się skoncentrować na odcisku, jaki pozostawił tyłek osoby uprzednio zajmującej to miejsce.

Naturalnie Igor i Olga byli zaskoczeni, czuli się niezręcznie z powodu nieplanowanej obecności ludzi.

– Igorze, Olgo, to jest moja mama, Anna King. – Chloe wskazała na nią. Olga przewyciężyła szok i serdecznie podała rękę na przywitanie.

– Bardzo miło mi panią poznać – powiedziała z lekkim akcentem, który stawał się wyraźniejszy, im bardziej była zdenerwowana.

– Cześć – przywitał się oschle Igor.

– Moi przyjaciele, Paul i Amy.

Dwoje Mai kiwnęło głowami w kierunku ludzkich nastolatków. Ani Olga, ani Igor nie brali udziału w bitwie w Presidio. *Byli zajęci bieżącymi sprawami* – parsknęła w myślach. Nie uczestniczyli w walce o władzę jak dwaj starsi *mężczyźni*, dowodzący przeciwnym stronom.

– To są Olga i Igor, czołowi, hm, przedstawiciele rasy Mai – powiedziała Chloe.

– Bardzo miło mi państwa poznać. – Mama Chloe przywitała ich z nieznacznym chłodem.

– Paul, Amy, pani King – Olga skinęła im głową. Kim tylko lekko im pomachała swoimi kocimi łapami – jakoś tak całkiem rozkosznie.

– Znasz tych ludzi? – zapytał ją zdumiony Igor.

– To moi przyjaciele – odpowiedziała mu nonszalancko Kim.

– Przepraszam, jeśli naruszyłam zasady bezpieczeństwa – powiedziała Chloe, wskazując jednocześnie, aby Mai usiedli jak jej mama. Cała trójka zajęła swoje miejsca, przyglądając się sobie nieco podejrzliwie. – Ja... nie byłam pewna, co się stanie i chciałam zapewnić im bezpieczeństwo.

– Oczywiście – powiedziała natychmiast Olga. – To oni pomogli cię uratować, prawda? Są tu jak najbardziej mile widziani.

Igor nic nie powiedział.

– Zanim przejdziemy do następnego tematu... – Chloe wzięła głęboki wdech. – Powinniście wiedzieć, że kiedy stało się to wszystko, Siergiej próbował mnie zabić.

Kim tak mocno wytrzeszczyła oczy, że wyglądały, jakby za chwilę miały wyskoczyć z oczodołów. Olga powoli kręciła głową.

– To jakiś żart – odezwał się Igor.

– Niestety nie. – Opowiedziała im całe zajście, tak dokładnie i z takimi szczegółami, na ile mogła wszystko spamiętać. Zwłaszcza słowa Siergieja.

– ...a więc zasadniczo Siergiej współpracował z Rogue'iem, aby znaleźć i zabić wszystkich innych możliwych Wybranych, wliczając w to moją siostrę.

– Nie miał ku temu żadnych powodów – powiedział Igor.

– Chciał pozostać przy władzy i bał się, że zostanie mu

odebrana.

– Ale to ty jesteś Wybraną – zauważyła bezradnie Olga. – Dlaczego miałby to robić?

– Przecież właśnie to powiedziałam – odpowiedziała Chloe, próbując nie stracić cierpliwości. Jej mama lekko pokręciła głową: *Chloe, uspokój się.*

– Nie wierzę ci – powtórzył Igor, upijając łyk kawy.

– OK, wierz mi lub nie. Fakty są takie, że Siergiej jest martwy, a policja wszczęła dochodzenie. Co teraz zrobimy?

Nikt ze zgromadzonych przy stole nie odezwał się słowem. Olga delikatnie popijała herbatę przyniesioną, przez kelnera.

– Porozmawiamy o tym jutro podczas wieczornego zgromadzenia wraz z pozostałymi członkami Stada – odpowiedziała.

– Nauczę cię podstawowych słów modlitwy otwierającej. Myślę, że tyle na razie powinno wystarczyć – zadeklarowała się Kim.

– Modlitwy...? – Mama Chloe obróciła się, aby spojrzeć na kocią dziewczynę. Kim spuściła uszy po sobie i wycofała się pod naporem spojrzenia starszej kobiety.

– Raczej pewnej... inwokacji – wyjąkała. – Tradycyjnego wstępu do przemówienia. Chloe próbowała się nie uśmiechać.

– Pozwólcie, że wyrażę się całkowicie jasno na temat jednej rzeczy. Nie do końca to wszystko pochwalam – Anna King powiedziała stanowczo. – Chociaż szanuję po-

trzeby i to, w co wierzą biologiczni krewni Chloe. Jednakże, jeśli cokolwiek stanie się mojej córce, pamiętajcie tylko, że w przeciwieństwie do was i Bractwa, nie mam nic przeciwko pistoletom.

Igor już chciał przewrócić oczami, ale Olga kopnęła go pod stołem. Chloe wyobraziła sobie, jak jej mama stoi z karabinem maszynowym, krzycząc, wymachując bronią i strzelając seriami pocisków do niewidocznego wroga. W tej wizji mama wciąż miała na nosie okulary do czytania, a w uszach dyndające srebrne kolczyki.

– I co teraz wszystkim powiemy? Dlaczego nie ma cię tam z nimi? – Igor domagał się odpowiedzi.

– Powiesz im prawdę. – *Dupku* – prawie dodała Chloe. – Że teraz jest naprawdę niebezpiecznie, że Rogue wciąż chce mnie dorwać i że spotkam się z nimi jutro na tyłach mojej Kociej Kryjówki.

– Czego? – zapytała zaskoczona Olga.

Ups. Tylko mnie to bawi – Chloe zdała sobie sprawę.

– Eee, to znaczy, w Firebirdzie. – Paul i Amy jednak się uśmiechnęli. – Powiesz im także, że nie będzie żadnego odwetu. Ani indywidualnego, ani od *kizekhów*.

– Ale lojalni Mai będą nalegać – mamrotał Igor. – Gdybym to ja miał takie moce...

– Powiesz im, że nie będzie żadnego odwetu – Chloe powtórzyła powoli. – Nikomu nie wolno nic robić przed jutrzejszą wieczorną przemową. Każdy jest żądny krwi, a Bractwo Dziesiątego Ostrza będzie zwarte i gotowe, kiedy tylko usłyszą wieści. Będą spodziewali się ataku. –

Miała nadzieję, że brzmiało to rozsądnie.

– Ona ma rację – zgodziła się Olga. Chloe wciąż była oszołomiona absolutnym zaufaniem tej kobiety pokładanym w Wybranej. Olga była jej wierna niczym Igor Siergiejowi, przy czym nie miała problemu, by zaakceptować słowa nowej, nastoletniej Przywódczyni, niezależnie od tego, jak bardzo nieprawdopodobnie one brzmiały.

I dobrze byłoby też wziąć pod uwagę zabójcze spojrzenie, jakie posyła mi Igor...

– Sądzę, że mamy kilka godzin względnego spokoju, zanim rozpęta się piekło – dodała Kim. – To dobry czas, aby szczegółowo wszystko przemyśleć i zaplanować.

Czy dochodzenie w sprawie śmierci Siergieja nie sprowadzi na was policji? – zapytał Paul. – Mam na myśli to, że może będą chcieli przeszukać Firebirda, przesłuchać współników biznesowych i niezadowolonych pracowników...

– Zgadza się – potwierdziła mama Chloe. – Czy wy w ogóle macie jakiś plan działania na wypadek takiego dochodzenia?

Igor i Olga popatrzyli na siebie, potem na Chloe. Najwidoczniej nie mieli.

ROZDZIAŁ 15

Następnego ranka Chloe zdała sobie sprawę, że jest wtorek. Zamiast jednak pójść do szkoły, leżała w łóżku. Stwierdziła, że zważywszy na to, co ostatnio działo się wokół niej, jeszcze jeden wolny dzień nie będzie oznaczał końca świata. Teraz nie mogła poświęcić się niczemu innemu. Żadnego nadrabiania zaległości po szkole ani spotykania się z kimkolwiek, absolutnie nic. Kompletnie nic aż do siódmej wieczorem, kiedy będzie musiała zwrócić się do niewielkiego grona bezdomnych, pozbawionych Przywódcy Mai, do ponad setki nieznanych jej osób z kocimi oczami i twarzami wpatrzonymi w nią w poszukiwaniu nadziei.

Chloe postanowiła podejść do tego jak do ustnego sprawozdania. Tymczasem nie będzie się tym martwiła. Rozciągnęła się i usiadła, po czym na chwilę wysunęła pazury u rąk i stóp. Na jej piżamę składały się stara para bokserek i obszerny T-shirt z napisem „Domestos”, który jej mama dostała za darmo, chyba w Tesco. Wielki. Zielony. Obrzydliwy.

Zrobiło jej się odrobinę smutno, przypomniawszy sobie, że Alekowi podobała się w tych niechlujnych i za dużych ciuchach do spania.

Chloe pokręciła głową. W zeszłym tygodniu pogodziła się z nim i z pracą domową. Zawarła pokój z Marisol. *A Siergiej, hm, niech spoczywa w spokoju.* Teraz potrze-

bowała dla siebie dnia ciszy i relaksu, zanim wieczorem spadnie na nią ponownie cały ten szajs.

Mam ochotę pojeździć na rowerze.

Założyła czyste džinsy, T-shirt oraz polar firmy Patagonia, który rzadko nosiła do szkoły z obawy, że Amy zacznie nazywać ją nawiedzoną ekolożką. Mama Chloe siedziała przy stole, popijając kawę i przeglądając rachunki.

– Przejadę się na rowerze – powiedziała Chloe, wskazując kciukiem minigaraż, mieszczący tyle kłopotów, że prawie brakowało w nim miejsca na samochód.

– Załóż kask – odpowiedziała automatycznie mama. Następnie spojrzała na córkę. – Czekaś. Jesteś pewna, że powinnaś? – A co z policją... Rogue'iem?

– Pieprzyć ich – skwitowała Chloe, pokazując zęby we wściekłym uśmiechu. Zaraz potem złagodniała widząc minę mamy. – Wątpię, że policja w ogóle będzie w stanie rozpoznać mnie w kasku. A jeśli chodzi o Rogue'a, obiecuje jeździć tylko w publicznych miejscach. Nic mi nie zrobi, jeśli wkoło będą niewinne osoby – ludzie. Naprawdę muszę przez chwilę przewietrzyć głowę.

– Ja też – Anna King powiedziała z rezerwą. – To wszystko jest... naprawdę... zbyt niezwykle, abym mogła sobie z tym poradzić, wiesz?

– Adoptując mnie, nie miałaś zielonego pojęcia, w co się pakujesz, co? – Chloe zapytała, uśmiechając się, ale w środku czuła się naprawdę winna z tego powodu.

– Zdałam sobie sprawę, w co wdepnęłam, kiedy – jak

miałaś dwa latka – wywróciłaś półkę na książki. I wtedy zaczęłam rozgryzać wszystkie książki mojego ulubieńca, Tony ego Hillermansa – powiedziała łobuzersko jej mama. – Czytałam o innych rodzicach, których dzieci chciały odnaleźć... tożsamość etniczną. Jednak żaden przytaczany przypadek nie nawiązywał do sił nadprzyrodzonych.

Dziwnie to zabrzmiało. Chloe w zasadzie nigdy nie myślała o sobie w ten sposób. Cóż, w ogóle starała się nie myśleć o tym całym *umieraniu i wracaniu do żywych*. Było to zbyt dziwne. Czy Siergiej znajdował się teraz w strefie cieni? Czy żył pośród innych lwich cieni, które krążyły wśród wiecznych ciemności? Czy też było gdzieś piekło dla Mai z miejscem zarezerwowanym dla takich jak on?

– Dobra wiadomość jest taka, że jeśli przydarzy mi się wypadek, zawsze zostaje mi jeszcze siedem żyć – powiedziała Chloe z uśmiechem.

– Nawet z tego nie żartuj – mruknęła jej mama.

W pewnym sensie, mama jest lepszym ucieleśnieniem Bliźniaczych Bogiń niż Kim – pomyślała Chloe, pedałując w stronę parku. Jak wtedy, kiedy wygłosiła mowę o ochronie córki lub zemście, jeśli cokolwiek by się jej stało – opiekuńcza jak Bastet, wojownicza jak Sekhmet. Kim była głęboko uduchowiona, ale tak naprawdę nie okazywała żadnej z tych cech. Jeśli istniał ktoś taki jak Muzy w świątyni rasy Mai, to z pewnością była nią Kim.

Idealna pogoda na jazdę na rowerze, powietrze było rześkie, a w plecy grzało ją słońce. Kiedyś Amy nabijała się z kasku Chloe – swój zawsze zrzucała, jak tylko traciły

dom z zasięgu wzroku. Chloe jednak twierdziła, że wygląda w nim jak prawdziwa rowerzystka, jak kolarka albo nawet kurierka.

Kiedy skręciła na Golden Gate Park ludzie uśmiechali się do niej. Inni rowerzyści mówili do niej: „Dzień dobry” lub: „Cudowna pogoda na przejażdżkę”. Dziewczyna pozostała anonimowa, ale jednocześnie rozpoznawano ją, witano, a następnie zapominano, jak o innych ludziach, cieszących się pięknym dniem na dworze. Jakiś dzieciak na różowym rowerze z doczepianymi bocznymi kółkami przez chwilę próbował się ścigać z Chloe, która udawała, że pedałuje zawzięcie dopóki mama małej dziewczynki nie zawołała jej.

Miło było poczuć, jak pracują jej mięśnie, dziwne uczucie, gdy pochylała się nad kierownicą. Nie było za to śladu znajomego pieczenia w nogach, które normalnie odczuwała, co było faktycznie dość ironiczne. Powodem, dla którego chciała motorower marki Merida był przyczepiony do niego silnik elektryczny, który ułatwiał jej podjeżdżanie pod wzniesienia. Dzięki sile Mai wysiłek nie stanowił już dla niej problemu. *Założę się, że z łatwością poradziłabym sobie w triathlonie.* Może za wyjątkiem pływania – nie była pewna, jak dobre w pływaniu są koty albo jak ich wrodzona niechęć do wody mogłaby wpłynąć na jej zachowanie.

Przejechała obok ludzi grających każdego ranka we frisbee, popatrzyła na postawnego chłopaka z brązowymi włosami, który podskakiwał za wysoko podrzucanym ta-

lerzem. Nieco dalej odbywała się akcja polityczna w typowym dla San Francisco stylu. Jakiś niski blondyn, który nie wyglądał na starszego niż ona, stał przy stoliku i rozdawał ulotki na temat zalet liberalizmu. Chloe nie do końca była pewna, co to było, ale po kpinach ze strony przechodzących typków w stylu grunge, prawdopodobnie nie chodziło o przekonania lewicowe.

Skreśliła rowerem mocno na północ, opuszczając park w kilka minut. Cel jej przejażdżki, który gnębił ją podświadomie, w końcu się objawił. Most Golden Gate.

Miejsce, gdzie po raz pierwszy walczyła z Rogue'em i gdzie sądziła, że zginął. Symboliczna przepaść między jej starym a nowym życiem z Mai, którzy zaszyli się w małej rezydencji po drugiej stronie rzeki w Sausalito. Ona, Amy i Paul – w przeszłości, kiedy byli trochę młodszy i stanowili paczkę przyjaciół – często przechodzili przez most i marzyli o nowym świecie po jego drugiej stronie. Po jedenastym września stacjonowały tam jednostki Gwardii Narodowej, dbając o bezpieczeństwo na moście, i wzbudzając jednocześnie niepokój w ludziach mieszkających w jego sąsiedztwie.

Kiedyś jedno z jej ulubionych miejsc, teraz stało się źródłem lęku, chaosu i poważnego rozstroju żołądka.

Najwyższy czas, aby odebrać co moje. Odzyskać to.

Chloe przełączyła na wyższy bieg i pedałowiała z całych sił, jej nogi wręcz prześcigały silnik. Próbując nie myśleć, dała się ponieść do przodu i zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, była na moście.

To był cudowny dzień. Na tle gładkiego, niebieskiego nieba i chmur przypominających watę cukrową, lśniły pomarańczowe filary o odcieniu całkowicie niepasującym do natury. Poniżej, w zatoce, oślepiająco połyskiwała ciemnogrnatowa woda, upudrowana białymi żaglówkami, które spokojnie przez nią przepływały. Wznoszące się przed Chloe wzgórza jarzyły się w różnych odcieniach jasnej i ciemnej zieleni, jak na pastelowym plakacie z biura.

Dziewczyna miała ochotę krzyknąć albo zaśpiewać. Ponieważ nie mogła zrobić tego drugiego, wydała z siebie: „JUHUUUUUU!” strasząc kilkoro przechodniów.

Chloe wypełniała radość, której nie czuła od dłuższego czasu. Żadnego polowania, bycia ściganą, nikogo dookoła, niczego, co mogłoby to zepsuć. Tylko prędkość, wiatr świszczący w uszach, pedałowujące nogi i cudowne widoki.

Taka chwila jest właśnie modlitwą.

Chloe przypominała sobie coś o Indianach z plemienia Hopi, którzy wykonywali węzowy taniec zaklinający deszcz, trzymając grzechotniki w ustach. Modlitwą był taniec, nie recytowanie, śpiewanie pieśni lub wypowiedanie kolejnych zwrotek. Teraz właśnie to czuła. Wszelka chwała i radość wypływała z tego, że po prostu żyła.

Dziękuję, kimkolwiek jesteś'.

We wspomnieniach most był zdecydowanie krótszy. Przemierzając kolejny odcinek, Chloe zastanawiała się, jak mógł wydawać się jej nieskończenie długi, kiedy przejeżdżała nim tam i z powrotem, raz z bliskim śmierci Brianem

na tylnym siedzeniu.

Nie miała ochoty wracać jeszcze do domu, więc skręciła i podjechała na wzgórze Marin Headlands, czekając, aż się zmęczy, jako że wzgórza okazywały się tragiczne w skutkach dla jej nóg.

Niestety tak się nie stało.

Przypominało to podjeżdżanie na szczyt wielkiego, miękkiego rożka z lodami. Chloe objechała wzgórze wokół wybrzeża i stanęła twarzą w twarz z kolejnym prześlicznym widokiem: przed nią most, w oddali San Francisco, a między nimi woda i unosząca się ponad nią mgiełka. Na skalistym cyplu znajdował się tylko niewielki parking i wąski pas zieleni. Większość ludzi wchodziła na górę, robiła zdjęcia i odchodziła. Ci, którzy zostawali, stali z szacunkiem i milczeli. Jakikolwiek krzyki podekscytowanych dzieci dochodzące z dołu, zagłuszał morski wiatr.

Dziewczyna ostrożnie oparła rower o głaz i wdrapała się na jego szczyt, podciągnęła nogi do piersi i wtopiła się w krajobraz.

Chciałabym tak się czuć już zawsze.

Pragnęła w jakiś sposób zachować ten moment, nie tylko obraz, ale też zapach, odczucia, wszystko. Jak kamik, który mogłaby schować do szkatułki i wyjąć, kiedy tylko zapragnie na nowo przeżyć ten czas.

Chloe przechyliła się do tyłu, położyła na plecach i patrzyła w niebo. W słońcu, wietrze i panującej ciszy w jej głowie wszystkie trybiki powoli wracały na swoje

miejsca. Dające o sobie znać przez ostatnie kilka miesięcy zamęt i inne akty mentalnego sabotażu, powoli znikwały. Trajkot w tyle jej głowy przycichł. Po prostu była.

I właśnie tam, ukryte pod mentalnym graffiti, przez cały czas znajdowały się odpowiedzi. To nie było jakieś wielkie objawienie, wiadomość od Bliźniaczych Bogiń, jej mamy lub za światów. To była po prostu Chloe. Jasno przemawiała do samej siebie.

Usiadła i wyciągnęła telefon, żałując, że kończyła się ta chwila, ale problem został jednocześnie rozwiązany.

Zadzwoiła na informację, żeby jej numer nie był widoczny dla odbiorcy, i poprosiła o połączenie z Whitney'em Rezza, przedstawiając się sekretarce jako Chloe King.

– No proszę, w życiu bym się nie spodziewał tego telefonu – powiedział Whitney z typową dla siebie uszczypliwością, jak członek jakiegoś klubu żeglarskiego.

– Panie Rezza, wczoraj Alexander Smith zabił Siergieja.

– Naprawdę? A to dopiero niespodzianka. Brawa dla niego.

Chloe zachowała wewnętrzny spokój, powstrzymując się przed rzuceniem słuchawki lub sarkastycznej uwagi.

– W zasadzie, oni ze sobą współpracowali. Chcieli zabić wszystkich potomków poprzednich prawdziwych Przywódców Stada. Jak na przykład moją siostrę. I mnie.

– Nie wierzę w to ani trochę – powiedział natychmiast starszy mężczyzna.

Chloe przez moment zastanawiała się, czy osoba po drugiej stronie widziała kiedykolwiek film szpiegowski. Jakby pomysł, że dwaj wrogowie współpracujący ze sobą w jednym celu był absurdem.

– No cóż, współpracowali. Wiem to. Byłam tam, kiedy Rogue próbował mnie zabić. Rozmawiali o tym. Ale nie dlatego dzwonię.

– Ach tak?

– Jako nowa Przywódczyni Stada, Wybrana, proponuję rozejm. – Wzięła głęboki oddech. Nie wykraczała poza swoje kompetencje. Była nową Przywódczynią. Ludzie pokroju Igora będą musieli się zwyczajnie podporządkować.

...Prawda?

– Niech śmierć Siergieja będzie ostatnim aktem przemocy między nami. Ręczę słowem – powiedziała Chloe z determinacją.

– Hmm... Fascynujący pomysł... Chloe wstrzymała oddech.

– ...ale nie, przykro mi, nie jesteśmy zainteresowani. Po raz pierwszy od wielu lat Bractwo ma powód na tyle ważny, aby się zjednoczyć. Po co zawierać rozejm, kiedy możemy kontynuować dzieło unicestwienia waszej rasy? Tak naprawdę, to powinienem wam podziękować, wiesz? Zaaranżowane przez ciebie małe przedstawienie w Presidio naprawdę podniosło nasze morale i uwzniosło nasz cel.

Co to miało znaczyć? *W wojnie jest sita, oto odpo-*

wiedź – pomyślała ponuro Chloe. Ich ostatnie ważne posunięcie przeciwko Mai miało miejsce tuż po tym, jak Whitney stracił żonę z rąk przypadkowego członka gangu, niemającego z nimi związku... Od tamtej pory Bractwo stało się więcej niż brutalne, nieznacznie prześcigając w tym masonów, ze swoimi sekretnymi zasadami i rytuałami, nieadekwatnymi do wymierzanych rzeczywistych ataków.

– Chciałbym życzyć powodzenia nowej Przywódczyni, ale bądźmy szczerzy, niedługo wasza rasa będzie przypominać kurczaki z odciętymi głowami, prawda?

Był taki zadowolony z siebie. Chloe potrzebowała ostatecznej rzeczy, jednego asa, który zasiałby w nim niepokój. Dać mu jakiś powód do rozmyślań.

– Dziękuję. A tak przy okazji, Whitney, jak się miewa twój syn? – Na tym zakończyła rozmowę i rozłączyła się.

Sekrety. To problem po obu stronach. Sekrety i rytuały. Gdyby to od niej zależało, gdyby to ona była Przywódczynią Mai lata temu, kiedy jako pierwsi przybyli do Ameryki, na pierwszy atak ze strony Bractwa zareagowałyby natychmiastową wizytą u najlepszego prawnika i dobrałyby im się do tyłka, oskarżając ich o przestępstwa na tle nienawiści rasowej. Zdemaskowałyby ich sektę. Raz Paul pokazał jej w Internecie listę zatytułowaną „10 najważniejszych rzeczy, jakich nie powinno się robić jako pan i władca piekieł”, w której było napisane, że kiedy zbliżają się członkowie gangu, nie spuszcza się na nich psów piekielnych, ale dzwoni się po policję i domaga aresztowania

z tytułu wtargnięcia na teren prywatny.

Powiem – zdecydowała w myślach Chloe, tak marnym i dziecinnym głosem, na jaki tylko było ją stać. Ponownie zadzwoniła na informację i została przekierowana pod numer podany wcześniej w wiadomościach.

– Halo? Mam pewne, hm, informacje na temat mężczyzny zamordowanego wczoraj w teatrze.

– Czy może pani przyjechać na posterunek, abyśmy mogli spisać pełen raport? – osoba po drugiej stronie słuchawki zapytała szorstko i rzeczowo.

– Wolalabym, hm, raczej nie. Ja, eee, kupowałam coś... rzeczy od... przyjaciela w środku. Widziałam całe zajście, ale nie chcę być w to zamieszana.

– W porządku – kobieta odburknęła. – Proszę powiedzieć, co pani widziała.

Chloe opowiedziała całą historię, pomijając siebie jako uczestnika zajścia, a skupiając się na Rogue'u i Siergieju. Szczegółowo ich opisała, co w końcu zwróciło uwagę jej rozmówczyni. Było oczywiste, że Chloe nie powtarzała tylko tego, co widziała w wiadomościach telewizyjnych, ponieważ opisała także shurikena wbitego w gardło Siergieja. Wspomniała o wszystkim, co pamiętała odnośnie Rogue'a, począwszy od jego głupiego kucyka, aż do szram na ramieniu, dodała niejasne pogłoski „z ulicy” o obłąkanym facecie z nożami i zamiłowaniem do azjatyckich sztuk walki. Policjantka podziękowała jej i się rozłączyła.

– No – powiedziała Chloe, wsiadając na rower. – Po-

wiedziałam. Ciekawe, jak sobie z tym poradzisz, Whitney'u Rezzo.

Trwając przy swojej nowej polityce opartej na odrzuceniu wszelkich sekretów, postanowiła tej nocy pojechać do rezydencji Firebird, nie starając się w żaden sposób zacierać za sobą śladów. To i tak byłoby śmieszne. Whitney znał Siergieja, a wszyscy i tak wiedzieli, że to on prowadził Firebirda. *I prawdopodobnie to samo dotyczyło Bractwa Dziesiątego Ostrza.* Wszyscy przyjaciele Whitney'a musieli zdawać sobie sprawę, że należy on do pewnego prywatnego klubu – nie trzeba było być geniuszem, aby wyśledzić go któregoś dnia.

O dziwo, mama Chloe nie miała nic przeciwko pożyczeniu jej samochodu. Dokładnie rzecz ujmując, nawet pomimo tego, że Chloe miała tylko tymczasowe prawo jazdy, Anna King uznała, że jej córka będzie bezpieczniejsza za kółkiem niż w taksówce.

– Masz do mnie dzwonić co pół godziny – nalegała jej mama. – Jeśli spóźnisz się chociaż minutę, i mówię serio, chociaż minutę, to dzwonię na policję. Rozumiesz?

– Tak, mamó. – I nie była w tej odpowiedzi ani trochę sarkastyczna. Szczerze, Chloe była zdumiona, że jej mama tak łatwo ją puszczała.

– I ustalmy hasło... Już wiem: „David Bowie”. Jeśli to powiesz, wtedy dzwonię na policję, OK? To będzie nasze hasło bezpieczeństwa.

– W porządku – zgodziła się Chloe, zastanawiając się, jak mogła wpleść imię i nazwisko gwiazdy rocka

w zwyczajną rozmowę, której przysłuchiwać się będą porywacze i jej prześladowcy. – Podejrzewam jednak, że będę musiała zostać tam na noc...

– W takim razie dzwoń do mnie co trzy godziny zaczynając od pierwszej w nocy, i mówię poważnie, panno Chloe King. Możesz być ich Przywódcą, ale wciąż jesteś moją córką i to nieletnią.

– Tak, mamó – Chloe zgodziła się posłusznie. Już planowała, że telefon z GPS-em będzie włączony przez cały czas. Jak dotąd, nikt z Mai, poza Kim i Alekiem, nie wiedzieli o nim.

Kiedy dziewczyna dojechała do Firebirda, słońce już zaszło, a wiadomości nadawane w telewizji zmieniły się.

– Myślę, że powinnaś to zobaczyć, Chloe. – Na podjeździe czekała na nią Kim. Siedziała na szczycie bogato zdobionej marmurowej fontanny, która znajdowała się pośrodku ronda przed drzwiami wejściowymi. Wyglądała na zmartwioną, co sprawiło, że Chloe spanikowała. Zazwyczaj jej przyjaciółka na nic nie reagowała.

W lobby nie było nikogo. W żadnym z pomieszczeń nie było nikogo. Wiele wysoko postawionych osób zebrało się w gabinecie Siergieja, a w panującym półmroku ich kocie, szeroko otwarte i pełne niepokoju oczy chłoneły promienie wielkiego ekranu telewizora, który Siergiej trzymał za kotarą.

Przed teatrem stał kolejny reporter, ale zdjęcia wyświetlane w rogu ekranu, podczas gdy ten oddawał głos do studia, nie przedstawiały Siergieja, tylko ludzi, których

zabił.

Chloe skupiła się na ekranie telewizora i na poważnie wyglądającym reporterze.

– ...teraz, kiedy włączyło się FBI, śledczy donoszą, że Siergiej Shaddar był mózgiem operacji przestępczych, powiązanych z pewną organizacją terrorystyczną z bloku wschodniego. Informacje uzyskane od gruzińskich władz dają powody, by sądzić, że liczne morderstwa, jakich dokonywał w swoim ojczystym kraju, odbywały się pod przykrywką wojny domowej między Gruzinami a grupą ludzi z Abchazji.

Chloe spojrzała na Kim.

– Oglądaj dalej – wyszeptała dziewczyna. – Zaraz będzie najlepsze.

– Shaddar był także zamieszany w serię morderstw, jakie miały miejsce na terenie Stanów Zjednoczonych, włączając w to prawdopodobnie morderstwo dziewczyny, której rany, i sposób w jaki zostały zadane, idealnie pasują do stylu pana Shaddara.

W rogu ekranu ukazało się zdjęcie dziewczyny, która była siostrą Chloe.

Czy teraz mi wierzysz, palancie? – Chloe miała ochotę wykrzyknąć to pytanie Igorowi, ale nie byłoby to zachowanie godne Przywódcy.

Zamiast tego westchnęła, pokręciła głową, po czym krzyknęła, włączając światła.

– Proszę, aby każdy poza Olgą, Igorem i Kim opuścił pokój.

Wszyscy spojrzeli na nią, mrugając oczami na skutek oślepiającego światła. Źrenice kilkanaścioro par oczu stały się na powrót okrągłe, prawie jak u ludzi.

– I bardzo proszę przygotować, eee, audytorium na spotkanie o siódmej. Czy ktoś mógłby dopilnować, aby był tam telewizor z dostępem do stacji informacyjnych, albo ekran na projektor, albo coś w tym stylu? Głowy pokiwały.

– Tak, Najjaśniejsza.

Chloe starała się nie zwracać uwagi na twarze mijających ją osób, spoglądających na nią z ulgą, wdzięcznością i nadzieją. Nawet recepcjonistka, która zakradła się do pokoju, aby obejrzeć wiadomości, pochyliła przed nią głowę.

Kiedy wszyscy wyszli, Kim zamknęła drzwi.

– Czy ktoś chciałby coś powiedzieć? – zapytała Chloe, omiatając wzrokiem całą trójkę. Olga skorzystała z okazji i zaczęła płakać.

– Nie wiedziałam o tym! – Szlochała. – Nie mogę uwierzyć...

Jej oczy ponownie stały się wąskie, a pazury wysunęły się pod wpływem emocji. Chloe zdała sobie sprawę, że mając do czynienia z tyłoma Mai, nawet tymi, których знаła słabo, ani razu nie widziała przemiany u dojrzałej kobiety.

– Ja też nie mogę w to uwierzyć – odezwał się cicho Igor, ale puste spojrzenie jego oczu mówiło coś całkiem przeciwnego. – Był dla mnie jak ojciec...

– Czy mogę zasugerować lekki dystans? – Kim zapy-

tała najchłodniejszym tonem, jaki Chloe kiedykolwiek słyszała w jej głosie. – W przypadku wielu sierot, takich jak Chloe, ich ludzcy rodzice „dziwnym trafem” znikali lub okazywało się, że nie żyją, jak w przypadku Chase... Nie mówicie mi, że niczego nie podejrzewaliście.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Olga jednakże wyglądała na nieco zawstydzoną.

– Polityka z cyklu: nie pytaj, nie mów, co?

– Wszystko jest w porządku. Co było – minęło – powiedziała Przywódczyni Stada. Walczyła z narastającą falą obrzydzenia i złości, kiedy pomyślała o porwaniu jej mamy i znalezionych przez Kim śladach, świadczących o obecności Mai w jej domu. – Od tej chwili ogłaszam oficjalnie moratorium i amnestię. Nigdy więcej zabijania. A jeśli ktoś będzie coś podejrzewał, sprawa zostanie normalnie przekazana w ręce policji – żadnych przykrywek, OK? Posłuchajcie mnie. – Chloe spojrzała na zegarek. – Muszę zadzwonić do mamy za jakieś pięć minut, ale zanim to zrobię, chciałabym wyjawić część moich sekretnych planów.

Planów, które ją niepokoiły i krążyły w głowie. Choć nie doszukała się w nich niczego złego, to wciąż jednak budziły w niej wątpliwości.

– Igor, od teraz pełnisz funkcję prezesa Firebirda. Olga, zostajesz dyrektorem generalnym. – Igor zamrugał kilka razy w sposób nie do końca ludzki, a jego poirytowanie nagle zniknęło w obliczu powierzonego mu ciężaru odpowiedzialności. Chloe kontynuowała: – Niezależnie od

tego, co się wydarzy, nie wiązę swojej kariery z nieruchomościami, w najbliższej przyszłości nie zajmę się też zasobami ludzkimi, jakkolwiek miła jest dla mnie myśl o odnajdywaniu rozproszonych po świecie Mai. Naprawdę zamierzam pójść do college'u. Aha, i pozwólcie, że powtórzę to po raz ostatni. – Chloe skierowała wzrok na Igora. – Siergiej i Rogue współpracowali ze sobą. Bez wątplenia ta sensacja pojawi się za jakieś kilka godzin w wiadomościach, jak tylko policja ujawni tę informację.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Igor, wyraźnie zdziwiony.

– Ponieważ ja im o tym powiedziałam – odpowiedziała, zadowolona z siebie. To prawda. Żadna ze stron nie spodziewała się, że przeciwnik zgłosi sprawę na policję.

– Szybki telefon do mamy, jeszcze szybszy marsz do audytorium. W końcu musiała zmierzyć się z rzeczywistością, popołudniowy spokój ustąpił miejsca obawom dotyczącym tego, co będzie musiała zrobić w ciągu następnej godziny. Publiczne wystąpienia nie były mocną stroną Chloe. Nie pomagało to, że Kim miała na sobie tradycyjną lnianą szatę w kolorze złamanej bieli, i była umalowana jak Egipcjanka: wokół oczu i pod brodą namalowała Kohlem [Starożytny kosmetyk do malowania oczu zrobiony ze sproszkowanego antymonu (przyp. tłum.)] czarne kreski. Próbowwała namówić Chloe, aby ta również założyła uroczystą szatę.

– To nie w moim stylu – Chloe stanowczo odmówiła. – Powinnam pokazać się naszym ludziom taka, jaka jestem naprawdę, zamiast udawać kogoś innego.

Kim nie upierała się.

Pomieszczenie było mniejsze, niż się spodziewała. Mieściła się w nim zaledwie setka ludzikotów, którzy niczym publiczność w studiu upchani w rzędach po dziesięć osób. Poczowała ulgę, ale jednocześnie także smutek. W Ameryce istniały zaledwie trzy Stada i to było jedno z nich, a było ich tak niewielu... Chloe została Przywódcą zanikającej, zagrożonej wymarciem rasy.

Ktoś przygotował telewizor projekcyjny, jak prosiła, wszyscy z przerażeniem patrzyli w migoczący ekran, nadający wiadomości o ich dotychczasowym Przywódcy, z komentarzem reportera w tle i kolorowym skrótem informacji na dole ekranu. Kiedy Chloe pomyślała, że zobaczyli wystarczająco dużo, skinęła na chłopaka z tyłu – spec od audio–video wśród Mai? – weszła na małą scenę i stanęła za Kim.

Jej przyjaciółka całkowicie wczuła się w rolę kapłanki, wyciągnęła w górę ręce, zamknęła oczy i zaczęła śpiewać. Podobnie jak w noc Polowania, kiedy Chloe pierwszy raz usłyszała tradycyjny śpiew Mai, tak i tym razem wydał się jej dziwny i zawodzący. Nie sposób było przewidzieć melodii. Kim niespodziewanie zmieniała tony i oktawy. Chloe pomyślała, że pieśń brzmi tak smutno i obco, jak teraz wyglądają jej ludzie.

Nagle ich zrozumiała.

Podczas gdy kontynuowano śpiewanie hymnu, Chloe spojrzała na zgromadzone twarze i poczuła zbiorowe emocje grupy. *Strach. Smutek. Oczekiwanie. Jest nas tak*

mato! Straciliśmy aż tylu! A teraz jeszcze to...

Nadzieja, gdy patrzyli na nią.

Igor próbował się skupić, ale uczucie zdrady i związany z tym ból były tak silne, że nie mógł do końca zjednoczyć się z innymi.

Poczuła dziwne ciepło, jakby każdy znalazł się na swoim miejscu: oto oni, jej całe Stado, wyczekujące na nią.

Coś było nie tak, jakaś jedna mała rzecz, jakby kogoś brakowało.

Kiedy Kim skończyła śpiewać, Chloe wystąpiła do przodu, nie czując już strachu ani zdenerwowania. To byli jej ludzie. Ona była ich Przywódczynią. Odchrząknęła.

– Chciałabym się przedstawić tym, którzy mnie jeszcze nie znają. Jestem Chloe King, Przywódczyni Stada i Wybrana.

Zabrzmiało to sztucznie i dziwnie, ale każdy słuchał w skupieniu.

– Siergiej Shaddar nie był waszym prawdziwym Przywódcą. Chociaż miał dobre intencje, to realizował je w zły sposób. Człowiek, za którym mieliście podążać do pewnego szczęścia, przyniósł tylko przemoc i śmierć. Nawet jego najbliżsi współpracownicy nie mieli pojęcia o pełnym zakresie jego działań. – *Oczywiście kizekhowie prawdopodobnie doskonale wiedzieli o wszystkim, ponieważ musiał wykorzystać ich do zrealizowania swoich planów.* ..Jednak wolała trzymać się obranej drogi amnestii i wybaczenia.

– Kiedy spotkałam się z nim w teatrze, gdzie został

później zabity, czekał już tam na mnie Rogue.

Żaden z powściągliwych Mai nie zareagował, ale Chloe poczuła zbiorowy szok setki osób.

– Ci dwaj mężczyźni współpracowali ze sobą, aby zabić każdą potencjalną Wybraną, wliczając w to moją siostrę. Nie wiem, czy Siergiej sam zabijał, ale to on powiedział Rogue’owi, gdzie ona się znajdowała, a potem gdzie będę ja, a Alexander zrobił resztę. Kiedy tylko znalazłam się w zasięgu jego wzroku, wasz były Przywódca nie był mu już potrzebny i też go zabił.

– Nie mogę uwierzyć, że Mai mógł zabić jednego ze swoich! Jest nas przecież tak niewielu! zawodził jeden z Mai.

– Żli są także wśród nas, tak jak dobrzy są wśród ludzi, jak na przykład moja mama, Brian, Paul i Amy.

Patrząc na tłum, zobaczyła Aleka. Przez chwilę ich spojrzenia spotkały się, a on uśmiechnął się do niej – szczerze, jakby ostatnio nic ich nie podzieliło. Wspierał ją. Uśmiechnęła się do niego bez zastanowienia.

– Moja mama, wasza poprzednia Wybrana, marzyła o zjednoczeniu wszystkich wschodnioeuropejskich ras Mai, które zostały rozdzielone na skutek wojny, wygnania, przemocy i klątwy. – Jako nowa Przywódczyni Stada sądzę, że nadszedł czas, aby w pełni docenić nową ziemię. – Dało się wyczuć lekkie wahanie: nie było tu jeszcze wszystkich i dokąd ona właściwie zmierzała? – Siergiej miał rację co do jednego: nie powinniście żyć tutaj w ukryciu jak szczury. Powinniście być wolni i podążać za

własnym przeznaczeniem, być razem z własnej woli, a nie dlatego, że was do tego zmuszono. Mieszkacie teraz w Ameryce, w pewien sposób niczym nie różnicie się od pozostałych imigrantów. Od tej chwili będziemy przestrzegać obowiązującego prawa. To oznacza koniec z zemstą i wojną z Bractwem Dziesiątego Ostrza. Złamali prawo i zostaną za to ukarani. Jak wiecie z wiadomości, trwają intensywne poszukiwania Rogue'a. A wiecie dlaczego? Ponieważ powiedziałam im, że to on zabił Siergieja.

Tym razem dało się słyszeć głośne westchnięcia zszokowanych Mai.

Chloe nagle zauważyła, że Kim odeszła na bok i rozmawia z kimś, kto obsługiwał telewizor.

– Policja odnajdzie go i aresztuje. Zostanie ukarany za to morderstwo i pozostałe zbrodnie...

– Chloe – wyszeptała Kim, podchodząc do niej. – Wybacz, że ci przerywam, ale Ivan powiedział mi, że powinniśmy zobaczyć coś w wiadomościach – nagrał kilka ostatnich minut...

– Włącz. – Kim skinęła do tyłu i telewizor projekcyjny ponownie został włączony.

Nie wiedzieć czemu, Chloe nie zdziwiła się, kiedy obok twarzy faceta z CNN zobaczyła zdjęcie biologicznej mamy, jako jednej z osób, która zginęła z ręki Siergieja.

– ...Anastasia Leon, członkini i przywódczyni nieznanego plemienia wschodnioeuropejskich koczowników wywodzących się z Turcji, powróciła do swojej ojczyzny.

Obecnie śledczy dysponują dowodami, że była pierwszą ofiarą politycznych morderstw Siergieja Shaddara. Źródła informacji nie są pewne dlatego...

Anastasia Leon. Tak nazywała się jej mama. I oto ona. Kilka tygodni temu Chloe trzymała w ręku bardzo podobne zdjęcie kobiety z długimi do pasa, czarnymi włosami, szerokim, naturalnym uśmiechem, zmarszczonym czołem i stanowczym spojrzeniem.

Gestem nakazała, aby ściszyć.

Mai wyglądali na oszołomionych. Niektórzy płakali, inni złorzeczyli. Chloe czuła mieszaninę żalu i zdziwienia, których nadejścia nikt nie przeczuwał.

– Widzicie? Dokładnie o tym mówiłam. Tajemnice i chęć przetrwania zmusiły was do podążania za człowiekiem, który zamordował Przywódczynię Stada. Ta nieuzasadniona przemoc między nami a Bractwem kończy się z tą chwilą. Wszystko to rodzi agresję i walkę o władzę w naszych szeregach. Spójrzcie co Siergiej zrobił mojej siostrze i co ludzie Briana zrobili jemu. Jestem nową Wybraną, zaprowadzę bezpieczeństwo i dobrobyt – ale tylko na drodze pokoju.

Nastąpiła przerwa. Zamierzają bić brawo? Wygwizdać ją? Co dalej? Chloe za wszelką cenę starała się przywołać to dziwne wrażenie współodczuwania, ale teraz czuła tylko monotonne bicie swego serca.

Nagle Alek doskoczył do jej stóp i zaryczał. Chloe słyszała coś podobnego tylko jeden raz, kiedy wściekła się na Keirę – i śmiertelnie przestraszyła jakąś dziewczynę. To

był głęboki, przeraźliwy dźwięk, który wydawał się zbyt głośny i intensywny, aby mógł go wydać człowiek. Oczy Aleka zrobiły się wąskie i przerażające; jego pazury wysunęły się.

Następnie wstała Valerie i dołączyła do niego.

Wkrótce każdy stał, wył i ryczał, nastąpił ogłuszający wrzask, który powinien przestraszyć Chloe, ale tak się nie stało. Na jedną chwilę powróciło zjednoczenie i Chloe mogła poczuć ich energię, moc i miłość – wsparcie Stada.

Kim nie była, wybrała za to zaskakująco ludzkie uniesienie kciuka.

Chloe była wykończona, kiedy wyszła ze spotkania, aby zadzwonić do mamy i dać jej znać, jak poszło. *Wciąż żaden ze mnie mówca* – zdała sobie sprawę. Mogła przemawiać tylko wtedy, kiedy zmuszała ją do tego sytuacja. Obok niej stał Igor i cierpliwie czekał, aż skończy rozmawiać przez telefon.

– Najjaśniejsza...? – zaczął uprzejmie.

– Tak, Igorze? – zapytała Chloe, wyłączając telefon. Niebawem postara się, żeby znów zwracali się do niej po imieniu. Teraz nie jest na to dobra pora.

– Chciałem powiedzieć... Myślę, że masz rację. – Wyglądał, jakby mówił szczerze. Wydawał się całkowicie spokojny i wyciszony, podobnie jak ona po południu. – Może to dlatego, że miałem do czynienia z ludźmi częściej niż Siergiej, ale też uważam, że powinniśmy postępować zgodnie z ich prawem. Zwłaszcza jeśli mamy zamiar tu zostać. A nawet jeśli nie zostaniemy, to i tak nomadowie

nie mogą zachowywać się jak dupki gdziekolwiek się nie pojawiają. W przeciwnym razie nie będziemy mile widziani. – Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

– Dzięki, Igor. Bardzo wiele to dla mnie znaczy. – I po wszystkim. Całe napięcie, jakie było między nimi przez ostatnie kilka dni, cała jego złość na nią – zniknęły. Jednak smutek pozostał i Chloe wiedziała, że w nadchodzących tygodniach będzie dużo myślał o Siergieju, wspominał dobre rzeczy, przesiewając je w poszukiwaniu oznak skrywających bezwzględного zabójcę. Nigdy nie poznałam biologicznego ojca – dodała cicho. – A mój adopcyjny tata zwiął, kiedy byłam mała. Siergiej był trzecim ojcem, którego straciłam – i w pewien sposób był mi, – najbliższy z nich wszystkich.

Igor skinął głową, nie polegając na swoich słowach.

– Hej – odezwała się Chloe, zmieniając temat, bo przypomniawszy sobie, jak na początku przemówienia miała wrażenie, że ktoś jest nieobecny na sali. – A tak przy okazji, gdzie jest Dimitri?

Dimitri był ochroniarzem, którego wyznaczył jej Siergiej, kiedy mieszkając z Mai, poczuła się buntowniczo. To on ją chronił, kiedy wyszli do kina na *Gwiezdne Wojny*. Razem z Ellen, która też była *kizekhem* i – czego Chloe była całkowicie pewna – jego kochanką.

Spodziewała się krótkiej odpowiedzi typu: Och, patroluje i pilnuje wyższych pięter, aby podczas spotkania Stado było bezpieczne.

Jednak zmieszanie na twarzy Igora, wyrażało coś in-

nego.

Jedna z tych niezalutowanych spraw. – Chloe stwierdziła, zmęczona. Jedna z tych niewyjaśnionych rzeczy, które później wrócą i dadzą mi o sobie znać. W tak krótkim czasie tak bardzo zmadrzała... Ale wcale ją to nie cieszyło. Zupełnie.

ROZDZIAŁ 16

W końcu Chloe mogła po cichu wyrwać się z tłumu i czmychnąć do sali szpitalnej. Brian akurat czytał, w nikłym świetle, zanurzony samotnie w ciemnościach.

– Hej – przywitała się z uśmiechem.

– Hej. – Odłożył książkę i spojrzał na nią z przejęciem. Głowę miał owiniętą cienkim bandażem, w większości białym i niepoplamionym. Jego włosy były bardziej puszyste, jakby umyte, a oczy jaśniejsze, chociaż wciąż otaczały je sinią i rany cięte. Jednak był zdecydowanie bardziej żywy, rumiany i zdrowy.

Podchodząc bliżej, Chloe zauważyła, że książka nosi tytuł *Krwawy Południk*. Wyglądało to na western.

– Mają tu niewielki wybór – odpowiedział, wzruszając ramionami. – Ale ta jest całkiem niezła.

– Dobrze cię tu traktują? – zapytała, wyciągając metalowy taboret.

– Żartujesz? – Brian parsknął. – Cokolwiek o mnie sądzą, zachowali to dla siebie. Wciąż tylko: Najjaśniejsza to, Najjaśniejsza tamto i: „wedle jej pragnienia...”.

Chociaż pani doktor, według mnie, naprawdę jest dobra. I w pewien sposób zabawna, jak na Mai.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Chloe, chwytając go za rękę.

– Jako ktoś, kto został zmuszony uczyć się o Mai przez znaczną część swojego życia, muszę przyznać, że więk-

szość twoich pobratymców naprawdę nie ma zbyt dużego poczucia humoru.

Chloe otworzyła usta, aby wyrazić sprzeciw, ale zastanowiła się chwilę. Miał rację. Wzruszyła ramionami.

– Na górze mamy wielką radę plemienną.

– Słyszałem. Cóż, właściwie to nic nie słyszałem, ale każdy o tym mówi. Wszystko w porządku?

Chloe westchnęła i opowiedziała o Siergieju, Rogue'u, zgłoszeniu wszystkiego na policję i późniejszym dochodzeniu, o tym, że to Siergiej zabił całą jej biologiczną rodzinę, oprócz taty, którego nikt nie znał i który nikogo nie obchodził. Musiała przerwać, aby ponownie zadzwonić do mamy. Później Brian dokuczał jej z tego powodu, ale teraz, kiedy dzwoniła, siedział cicho, z błyszczącymi oczami.

– Cóż. – Przeciągnęła się, ziewając. – To tyle.

– Co teraz?

– Teraz? – Bezwiednie wyciągnęła pazury i podrapała się po głowie. Miała nadzieję, że nie dostała łupieżu. Czy co tam mają koty. – W tej chwili mam zamiar znaleźć swoją starą sypialnię, wczołgać się do łóżka i spać tak długo, aż zamarznie piekło – albo do czasu, kiedy będę musiała ponownie zadzwonić do mamy, czyli za jakieś trzy godziny.

– A może tutaj zostaniesz? – zasugerował cicho Brian. Chloe spojrzała na niego. Nie żartował. Właściwie jeszcze nigdy nie patrzył na nią z taką powagą. Wyciągnął rękę i dłonią – należącą do brzoskwinowego, muskularnego ramienia – dotknął jej ust. Przejechał palcami po jej po-

liczku, aby następnie przeczesać dłonią jej włosy.

Wtedy Chloe ustąpiła i obniżyła metalowy bok szpitalnego łóżka.

– Jak na pidzama party – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– Tylko żadnej bitwy na poduszki – wyszeptała, odchylając prześcieradło i całując go w szyję.

Rano Chloe obudziła się połamana i niewyspana.

Do mamy nie zadzwoniła tylko jeden raz – o czwartej rano – Anna King dzwoniła do niej dokładnie pięć minut później. Choć nie bardzo miała ochotę odbierać, to konsekwencje tego byłyby zdecydowanie dużo gorsze, więc Chloe zmusiła się do odpowiedzi. Brian wydawał lekkie pomruki, kiedy ostrożnie uwalniała się z jego uścisku i ześlizgiwała z boku łóżka.

– Wracaj szybko – wymamrotał, bezskutecznie próbując otworzyć oczy. – Będę tęsknił. Chloe pochyliła się i pocałowała go. Brian uśmiechnął się, ale po chwili już chrapał. *Jak się czuję?* Chloe zapytała samą siebie, podnosząc z podłogi dzinsy i wkładając je na siebie. Były miękkie i mile w dotyku, jak to dzinsy noszone od trzech dni.

Czy czuję się jakoś inaczej?

Przecisnęła się pomiędzy stolikami personelu szpitalnego, wprowadzając w zdziwienie doktor Lovsky, która właśnie niosła Brianowi tacę ze śniadaniem.

– O, hm, Najjaśniejsza – powiedziała, lekko zdziwiona, kiedy zdała sobie sprawę, że tych dwoje spędziło

razem noc. Czy chodziło bardziej o to, że on był człowiekiem, czy o to, że w jej małym sterylnym królestwie działały się figle–migle? Chloe nie była tego w stanie stwierdzić.

– Dzień dobry – przywitała się wesoło, zanim ponownie wróciła do swoich myśli i spraw na górze. Może odbędzie się wielkie i uroczyste śniadanie z okazji Następnego Dnia po Przemówieniu Nowej Przywódczyni. Byłoby to potwornie krepujące, ale mogli serwować sałatkę owocową.

Wciągając powietrze i używając słuchu Mai, Chloe była poniekąd zawiedziona, że nie usłyszała żadnych odgłosów związanych z przygotowaniem do uroczystości, zamiast tego weszła do kuchni, skąd przynajmniej dochodził zapach kawy.

W kuchni zastała Kim, przygotowującą poranną zieloną herbatę.

– Najjaśniejsza – powiedziała, zanurzając torebkę herbaty i jednocześnie pochylając głowę. – Chloe–poprawiła ją zrzędliwie dziewczyna i sięgnęła po kubek. Odkąd się stąd wyniosła, zainstalowali nowy, odjazdowy, kapsułkowy ekspres do kawy, z możliwością wyboru dziesięciu różnych kaw, herbat, a nawet gorącej czekolady – wciśnij guziczek, a maszyna zrobi dla ciebie prawie wszystko. Oczywiście kapsułki były wykonane z tworzywa sztucznego i nie były biodegradowalne, więc jak tylko sprawy się unormują, Chloe będzie musiała nalegać, aby się tego pozbyli.

Z pewnością Wybrana mogła zrobić coś takiego.

Wciąż była daleka od swojego celu. Nalewając mleko, wylała kawę z kubka – przynajmniej pianka nie była plastikowa – i rozlała napój na blat.

– Szlag – wyburczała Chloe, ostrożnie unosząc kubek do ust, aby upić nadwyżkę. Poczowała się prawie jak na kacu.

– Dobrze spałaś? – zapytała ją Kim. Chloe zmarszczyła czoło, spoglądając przyjaciółce w oczy, ale nie znalazła w nich nic dwuznacznego. To było tylko niewinne pytanie.

– Nie całkiem...

Kim pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Czy ty i Brian uprawialiście tej nocy seks?

Chloe zakrztusiła się kawą i opluła się, wylewając z kubka jeszcze więcej niż przedtem.

– Co do cholery? – zapytała.

Dziewczyna z kocimi uszami ledwo powstrzymywała śmiech.

– Byłam tylko ciekawa.

Chloe otworzyła usta, aby powiedzieć coś o życiu prywatnym Wybranej, kiedy do pokoju wszedł Igor.

– Najjaśniejsza. – Ukłonił się szybko. – Powinnaś zaraz przyjść. Wrócił Dimitri – on kogoś zabił.

I tak jej szczęście się skończyło, zanim się zaczęło. Dlaczego wszystko było takie trudne?

Chloe udała się za Igorem do gabinetu Siergieja. Za nimi cicho stąpała Kim. Z jakiegoś powodu nie przeszkadzała jej stała obecność Kim, nawet jeśli właściwie nikt jej nie zapraszał. Dziewczyna z kocimi uszami nigdy nie była

natrętna, uparta albo napuszona.

Chloe spodziewała się, że zobaczy Dimitriego, jak stoi wysoki, niewzruszony, przerażający i groźny – czyli taki, jaki był zazwyczaj. Ostatecznie *kizekhowie* to grupa żołnierzy – i z tego, co widziała podczas walki w Presidio, byli całkiem skuteczni i zdyscyplinowani na swój własny, przerażający, koci sposób.

Zamiast tego, siedział pochylony na krześle i szlochał. Koło niego stała Olga, trzymając rękę na jego ramieniu.

– Najjaśniejsza! – Dimitri obrócił się. – Oczywiście musiał usłyszeć, jak rozmawiają. Jego zmysły były prawdopodobnie prawie tak wyostrzone, jak u Kim. Wielki strażnik padł przed nią na kolana i dotknął jej kostek. – Nie wiedziałem! Że mordował naszych ludzi! Ze to on... Ze on... Zabił naszą Wybraną! – Przez chwilę Chloe czuła się zdezorientowana, zanim dotarło do niej, że mówił o jej biologicznej matce. Uświadomiła sobie, że miał wystarczająco dużo lat, aby pamiętać jej mamę i być może nawet ją poznał, zanim tu przybył.

– Co się stało? – zapytała Chloe najdelikatniej jak mogła, biorąc pod uwagę fakt, że u jej stóp klęczał lamentujący i zdruzgotany szalony morderca w dojrzałym wieku.

– Kiedy dowiedziałem się o naszym Sta... o śmierci Siergieja, poczułem gniew i poprzysiągłem zemstę!

Chloe obróciła się, aby spojrzeć na Igora.

– Nie było go w pobliżu, kiedy przekazywałem twoje sugestie o zaprzestaniu zemsty wyjaśnił Igor. – A nawet

jeśli by był, cóż, panowała dość napięta atmosfera...

– Udałem się w miejsce, gdzie wiedziałem, że znajdzie oddział tego obrzydliwego ludzkiego Bractwa – powiedział Dimitri, a na samo wspomnienie w jego oczach pojawił się mocny błysk. – I zabiłem tego tchórza gołymi pazurami. – Ponownie zaczął szlochać. – Myślałem, że w ten sposób pomszczę naszego Przywódcę, naszego wielkiego protektora... Wiedziałem, że to ty jesteś Wybraną, ale on był dla nas jak ojciec w czasach zanim pojawiłaś się ty jako Wybrana...

– Pamiętasz kogo zamor... eee, zabiłeś? – zapytała Chloe. Mężczyzna pokręcił głową.

– Wszyscy wyglądają tak samo: brązowe włosy, obrzydliwy smród. Był jednym z biorących udział w starciu tamtej nocy.

Mówi bardziej jak Klingon niż jak Mai – zauważyła Chloe.

– Słyszałeś o moim nowym zarządzeniu? Koniec z rozlewem krwi, chyba że w obronie własnej? – zapytała Chloe.

– Tak, Najjaśniejsza. Oczywiście. Naszym obowiązkiem jest chronić Stado, a nie wszczynać wojny. – Spojrzał na nią, jego obłąkana twarz zalana była łzami, ale jednocześnie wyrażała stanowczość.

Chloe nie była pewna, czy prosił o wybaczenie. Nie miała pewności, czy ona może to zrobić. Było tyle innych, ważniejszych spraw, którymi należało się pilnie zająć. O czym oni mówili w telewizji? Kontrola obrażeń?

Próbowała wyrzucić z głowy obraz mężczyzny rozrywającego gardło bezimiennej istocie ludzkiej – zapomnieć, że u jej stóp leży morderca. *Morderca*. Ktoś stracił życie dlatego, że znalazł się na drodze wściekłego i mściwego człowieka–kota. Nie żeby w Bractwie Dziesiątego Ostrza były same niewiniątka, ale co jeśli to był ktoś taki jak Brian? Zmuszony, aby przystąpić do nich, nie do końca wyznający ich zasady...

Chloe obeszła dookoła biurko Siergieja i zrobiła jedyną sensowną rzecz – zadzwoniła do Whitney'a. Bezpośrednio.

– Halo? – Po wstrętym tonie w tym jednym słowie domyśliła się, że wiedział, kto dzwoni.

– Whitney, musimy się natychmiast spotkać. To już drugi zgon w ciągu tygodnia, odkąd zaczęła się nasza głupia, mała wojna. Czas z tym skończyć.

– Jaki drugi zgon?

Chloe spojrzała na Igora, Olgę i Kim. Wszyscy wzruszyli ramionami. Kogokolwiek zabił Dimitri, najwyraźniej nie znaleziono jeszcze zwłok.

–Jeden z moich ludzi zabił któregoś z waszych w zemście za śmierć Siergieja, wbrew moim rozkazom. Nie wiem, kim był zabity, ale może chciałbyś sprawdzić listę swoich ludzi.

– S kur wy...

– Widzisz? Dzwonię, żeby ci o tym powiedzieć. Jestem otwarta i uczciwa, chcę spróbować zakończyć to całe szaleństwo. – Amy miała na to lepsze słowo, ale Chloe

podejrzewała, że pan Whitney H. Rezza nie znał jidysz.

– Droga panno King, jeśli sądzisz, że mam zamiar podziękować ci za to, że pierwsza poinformowałaś mnie o śmierci jednego z członków mojego Bractwa, albo że zacznę szlochać lub błagać o rozejm, zwłaszcza ciebie...

Chloe zastanawiała się, czy sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby była mężczyzną. Albo jeśli byłaby starsza.

Nazywał ją „panną” tylko wtedy, gdy był naprawdę zdenerwowany i próbował ją obrazić.

– Posłuchaj. Pamiętasz, jak zapytałam cię o Briana?

– A co to ma...

– Mamy go. Żywego. Ledwie.

W końcu po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Podjęła ryzyko. Zdawało się, że był bardziej niż chętny wydać Briana na pastwę pozostałych członków Bractwa Dziesiątego Ostrza, którzy myśleli, że zdradził ich, pomagając Chloe. Ale w końcu Brian był jego synem i mogła się założyć, że jakiegokolwiek życzyłby mu losu, to prawdopodobnie nie obejmowałby on skończenia na łasce Mai.

– Jeśli chcesz go jeszcze zobaczyć, żywego, to będziesz musiał przyjechać. W jakieś publiczne miejsce, gdzie będzie bezpiecznie. Przystań trzydzieści dziewięć, o siódmej, obojętnie czy sam, czy w towarzystwie swoich małych koleś. Ta cała sprawa zakończy się dzisiaj, w ten czy inny sposób, panie Rezza.

I znowu się z nim rozłączyła.

Wyszło całkiem nieźle.

Spojrzała w górę – wszyscy gapili się na nią.

– No co? – zapytała.

– Nie przypominasz, eee... – Igor odkaszlnął – tej stażystki, którą zatrudniliśmy kilka tygodni temu, Najjaśniejsza.

Chloe lekko się uśmiechnęła, oszczędzając siły na ważniejsze sprawy niż śmiech.

ROZDZIAŁ 17

– Jeszcze nigdy nie widziałam ich z tak bliska – powiedziała Kim, zaintrygowana widokiem lwów morskich. Wychyliła się niebezpiecznie za barierkę. Jej czarna bejsbolówka i smukła sylwetka sprawiały, że łatwo można ją było pomylić z jakimś narwanym młodym chłopakiem.

– Całe życie mieszkasz nad zatoką i nigdy wcześniej nie widziałaś lwów morskich? zapytała zdziwiona Chloe. W pobliżu, na wózku inwalidzkim siedział Brian, próbując zachować czujność. Dimitri i Ellen stali nad nim, pilnując go. Z uwagi na to, że był przystojny, a oni wyglądali dość dziwnie, Brian został wzięty za jakiegoś celebrytę. Turyści robili mu zdjęcia z ukrycia, myśląc, że jest „kimś”. Poza tym, że było to zabawne, Chloe cieszył widok dodatkowych świadków.

Brian nie do końca był przekonany, kiedy Chloe powiedziała mu o swoim pomysle. Twierdził, że jej plan stwarzał zagrożenie dla niej i innych zaangażowanych w to Mai. Kiedy jednak zapytała go, co innego miałyby zrobić, nie miał lepszego rozwiązania.

Byli z nimi także Amy, Paul i jej mama. Chloe chciała, aby wszyscy wplątani w tę sprawę mogli być świadkami tego, cokolwiek miało się wydarzyć. Alek udawał kilka razy, że wrzuca Amy do wody głową w dół, Paul raz nawet zaoferował swą pomoc. *Jestem pewna, że wysublimowana złość nie ma z tym nic wspólnego* – pomyślała Chloe. Olga

jadła włoskie lody w rożku, choć jej figura zdawała się mówić, że ta przyjemność jest jej raczej obca. *Ciekawe, czy prowadzi też koci pamiętnik.*

Jakieś pół godziny po zachodzie słońca – trudno było powiedzieć, bo był to jeden z tych stalowoszarych jesien-nych dni w San Francisco – pojawił się Whitney z eleganckim parasolem, którym machał jak laseczką oficerską, a za nim rozpościerały się poły drogiego płaszcza przeciwdeszczowego. Byli z nim inni ludzie, w większości w średnim wieku, niektórzy młodszy.

– Gdzie jest mój syn? – zapytał Whitney.

– Tu jestem, tato. – Brian słabo pomachał do niego. Twarz ojca stała się biała, kiedy zobaczył rozmiar obrażeń syna.

– Co wy mu zrobiliście... – zażądał odpowiedzi Whitney i podszedł bliżej, a jego twarz stała się teraz czerwona z wściekłości.

Igor stanął zdecydowanie między nim a Brianem, unosząc ramiona. Wyłonili się Ellen i Dimitri.

– My niczego nie zrobiliśmy. – Chloe oparła się pragnieniu, by dodać: „Ty stary głupcze”. Znalazłam go w uliczce prawie martwego. To twoi ludzie mu to zrobili.

Starszy mężczyzna nic nie powiedział. Nie mógł zaprzeczyć ani potwierdzić.

– To był Dickless, tato – odezwał się Brian, ale jego słaby głos został prawie zagłuszony przez wieczorną bryzę i głosy lwów morskich. – Wziął mnie z zaskoczenia razem ze swoimi psami. Zostawili mnie na pewną śmierć.

Whitney kilka razy otworzył i zamknął usta.

– Richard nie żyje – powiedział w końcu. – Zeszłej nocy zabił go jeden z Mai.

– Aha – odpowiedział Brian. – Cholera!

– Widzisz, właśnie to mam na myśli! – odezwała się sfrustrowana Chloe. – Siergiej zabijał – własnych ludzi dla władzy, twoi ludzie zabijają własnych ludzi tylko dla, starych zasad. Może dla władzy także. I w jakim celu? – Spojrzała na wszystkich zgromadzonych. – Jaki był prawdziwy powód tego, że przez tysiące lat skakaliście sobie do gardeł?

– Bractwo Dziesiątego Ostrza istnieje po to, aby chronić ludzkość przed silniejszymi, którzy mogliby ich łatwo pokonać – odpowiedział dramatycznie Whitney.

– Czy mógłbyś tu spojrzeć? – Chloe wskazała ręką na swoich przyjaciół Mai. – Jeśli twoja inteligencja jest w połowie tak wysoka jak nasza, to wiesz, że na Zachodzie jest nas mniej niż setka. Setka, Whitney. To mniej niż rdzennych Amerykanów, Tybetańczyków, Żydów czy innej zanikającej, uciskanej mniejszości!

– Hej – wymamrotała Amy. – Nie sądzę, że jesteśmy zanikający. – Paul kopnął ją, aby się zamknęła.

– Zapomnij o Bractwie. Jedno porządne trzęsienie ziemi, pożar, popieprzona bomba albo atak terrorystyczny i nie będzie żadnych Mai na zachód od Missisipi. Kiedy dokładnie Mai stanowili ostatnio zagrożenie dla istnienia rasy ludzkiej?

– Od zawsze jesteśmy po to, aby ich powstrzymywać –

odpowiedział Whitney, prostując się. Sądząc z wyrazu twarzy młodszych członków, chyba nikogo tak naprawdę nie udało mu się przekonać.

– I nie zapominajmy o pierwotnej przyczynie naszego istnienia – odezwała się jakaś kobieta w średnim wieku, wychodząc krok naprzód. – Wioski i miasta, które zostały zmiecione z...

– ...ponieważ gwałciliście i mordowaliście nasze siostry! – odpowiedział Igor, także stawiając krok na przód.

– Pięć tysięcy lat temu! Chryste Panie, ludzie, dajcie spokój! – Chloe piorunowała wzrokiem jednych i drugich. – I przypomnę wam tylko – zwróciła się do Bractwa – że Mai nie są wampirami, które polują na żywe stworzenia. A wy nie jesteście pogromcami wampirów, którzy bronią niewinnych.

– Oni są okrutnymi, odrażającymi bestiami wysłanymi z piekieł – odezwał się jeden z członków Bractwa.

– Ich istnienie jest przekleństwem dla Boga. I dlatego wymierzono im karę, pozbawiając ich na wieki domu i możliwości wiązania się z prawdziwymi ludźmi.

– Mówisz jak Rogue – wymamrotała Chloe. – Który, swoją drogą, jest szalonym psychopata. W każdym razie, wygląda na to, że cała ta klątwa sprzed pięciu tysięcy lat wygasła. Brian i ja nie tylko, hm, całowaliśmy się wiele razy, ale... – Nie chciała tego mówić, ale jeśli miałoby to popchnąć całą tę sprawę do przodu, to podtrzymywanie iluzji na temat jej cnotliwości nie miało większego znaczenia w obliczu martwych ciał. – Zeszłej nocy, my, hm...

Dobra, w każdym razie chodzi o to, że wszystko z nim w porządku.

Wszyscy spojrzeli na nią zszokowani, zwłaszcza Amy. Lata temu Chloe przysięgła jej, że będzie pierwszą, której powie, kiedy „to” się stanie. *Z technicznego punktu widzenia, to nie było jeszcze „to”* – w całej tej sytuacji, w jakiej się teraz znalazła, nie miała ochoty jeszcze na dodatek zająć w ciążę. Jednak to, co się wydarzyło wciąż się liczyło, bo było tylko o włos od „tego”.

Brian zrobił się czerwony jak burak, próbując spojrzeć ojcu prosto w oczy.

– Właściwie – dodała Chloe, podnosząc głos, aby każdy mógł ją usłyszeć, mając nadzieję, że nie wezmą jej za zdzirę – wcześniej, zanim poznałam Briana, obściskałam się z innym człowiekiem.

– Poczekaj, co? – Brian wyglądał na wstrząśniętego i nieco smutnego.

– Dziewczyna zignorowała go.

– I on także czuje się świetnie. Posłuchajcie, chodzi o to, że nie ma żadnego boskiego „czegoś”, czy jak to się tam nazywa, skierowanego przeciwko Mai i ludziom, którzy się, eee, kochają. Możemy się wiązać, mieszać i bratać bez żadnych okropnych konsekwencji.

– Wygląda na to, że klątwa została zdjęta, ponieważ pomogliśmy ocalić dwoje ludzi odezwała się Kim. – Mamę Chloe i Briana.

Chloe nie chciała spojrzeć w oczy Aleka, które były szeroko otwarte ze zdziwienia. Bez wątplenia przyjdzie

jeszcze czas na zakłopotanie i wyjaśnienia, nawet jeśli będą musieli ze sobą zerwać.

Ale podejrzenia, że Alek myśli teraz o niej, zostały nagle przerwane, kiedy ten złapał Amy i całował ją długo i mocno. Trochę za długo i za mocno. Paul i Kim zaczęli się rozglądać nerwowo. Amy jednak nie opierała się. Wcale.

Kiedy przestali, chcąc zaczerpnąć powietrza, Alek spój – rżał w twarz Chloe. Amy wzięła oddech, chwilę poczekała, po czym wzruszyła ramionami.

– Nic. To znaczy, było świetnie, ale nie czuję się dziwnie, czy coś w tym stylu.

Chloe nie całkiem tak wyobrażała sobie początek lepszych relacji między ludźmi a Mai, ale cóż, zawsze to było coś. I jakby się nad tym zastanowić, jej zazwyczaj ekstrawertyczna przyjaciółka ostatnio była raczej cicha. Jedyna właściwa rzecz, jaką mogła zrobić, to stanąć w świetle reflektorów ze swoim wariactwem podczas, skądinąd, śmiertelnej potyczki.

Edna i Whitney spojrzeli zbulwersowani, podobnie jak pozostali starsi członkowie Bractwa, a nawet Olga i inni *kizekhowie*. Chloe mogła się mylić, ale niektórzy z nich wyglądali na zaintrygowanych. *Nie każdy może mieć do czynienia z seksownym człowiekiem–kotem bez odrobiny zaintrygowania.* Przeciwiństwa się przyciągają i tak dalej.

– *A propos*, właśnie aresztowali Rogue'a – przerwał im Paul, spoglądając na wiadomości w komórce. – Jakąś go-

dzinę temu. Był poszukiwany w związku z przeszło kilkunastoma morderstwami... Hm, gdzie indziej, na podstawie dowodów, jakimi dysponują przeciwko niemu, zostałby skazany na karę śmierci, ale sądzę, że prawdopodobnie zostanie tylko wtrącony do więzienia.

– Witajcie w Ameryce, chłopaki – powiedziała słodko Chloe do członków Bractwa. – I wy wszyscy się tu urodziliście. Właśnie to, a nie samosąd, można nazwać sprawiedliwością.

– Ryzykujesz w ten sposób ujawnienie istnienia swoich ludzi – powiedziała Edna, ale ze zdumienia na jej twarzy można było stwierdzić, że nikt nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

– Niby w jaki sposób? – zapytała Chloe. – Czy naprawdę sądzisz, że uwierzą obłąkanemu seryjnemu zabójcy, opowiadającemu im, że wszystkie jego ofiary były właściwie kotami z pazurami i zwężonymi oczami? Posłuchaj, wciąż negocjuję rozejm. Prawdziwy rozejm. Możesz dalej się przyglądać, upewniając się, że żaden kiciuś nie wścieknie się i nie zacznie szaleńczo mordować, ale koniec z przemocą. Jeśli coś się zdarzy – po obu stronach – zajmie się tym policja. Koniec z wojnami gangów, koniec z wyniszczającymi., eee... wyniszczzeniami. Zgadnij, co to oznacza? Koniec ze strzelaniem do niewinnych. – Spojrzała twardo w oczy ojca Briana.

– Nawet jeśli przyjęlibyśmy ten „rozejm” – powiedziała Edna, zastępując pana Rezzę, kiedy ten dochodził do siebie po komentarzu Chloe – wciąż pozostaje mały pro-

blem odnośnie niesprawiedliwości.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Siergiej nie żyje, Richard nie żyje, Rogue najprawdopodobniej trafi za kratki – odpowiedziała wściekle dziewczyna. Nic jednak tym nie wskórała. – Jesteśmy kwita.

– Nie całkiem. – Ojciec Briana odchrząknął i odezwał się, ponownie spokojny. – Jest jedna mała sprawa, dotycząca Chucka Haskewa, którego Siergiej zabił w Presidio. Z tego co wiem, w bójce żaden Mai nie został nawet drągnięty.

– I co według ciebie mam z tym zrobić? – zapytała Chloe, bo nie mogła się powstrzymać. Jak tylko wypowiedziała te słowa, wiedziała, że popełniła błąd.

– To, o czym mówiła Edna. Sprawiedliwość. Siergiej i jego ofiara nie żyją. Jednak Mai, który zabił Richarda wciąż pozostaje żywy. Złóżcie kogoś w ofierze, wówczas zastanowimy się nad rozejmem.

Pewny siebie Whitney uśmiechnął się, co jednoznacznie mówiło: „Wygrałem”.

– Nie! – krzyknęła Ellen, nie ze strachu, ale ze złości. Chwyciła ramię Dimitriego, wysunęły się jej pazury, oczy zwięzły, a kły wydłużyły.

W jednej chwili członkowie Bractwa cofnęli się o krok. Chloe mogła wówczas zobaczyć, dlaczego już sama obecność Mai mogła przerażać niektórych ludzi. Patrząc na to w ten sposób, naprawdę byli niczym jakieś monstra.

– Ellen – odezwał się spokojnie Dimitri. – Jeśli taka

jest wola Najjaśniejszej, niech się tak stanie.

Chloe spanikowała. Całe jej postulowanie o pokój i zawieszenie broni doprowadziło do sytuacji, jakiej nie mogła zaradzić. *Czasami, aby osiągnąć swój cel, przywódcy zmuszeni są poświęcić coś, chociaż nie podoba im się to albo nie chcą tego.* Nie mogła jednak z zimną krwią posłać na śmierć kogoś, z kim oglądała *Gwiazdne Wojny*, kogo znała, nawet aby przypieczętować zaproponowany przez nią pokój. Dimitri wyglądał, jakby z chęcią był gotowy zapłacić za to, co uczynił. A może to był jedynie akt desperacji po tym, jak Siergiej zdradził Stado.

Chloe jednym swoim słowem mogła skazać Dimitriego i pozwolić, aby Bractwo go zabiło, zapewniając wieczną i bezkrwawą przyszłość rasie Mai i Bractwu Dziesiątego Ostrza. Czy tyle warte było życie jednej osoby?

Tak. Ale nie jego.

Mogła jednak zaproponować kogoś innego.

– Nie, nie Dimitri. On tylko postąpił tak, jak uważał za słuszne. – Wzięła głęboki oddech. Proponuję siebie zamiast jego.

ROZDZIAŁ 18

Nad ich głowami biała mewa zatoczyła łagodny łuk, zanim poleciała w stronę wody. W tej jednej chwili wszystko ucichło. I wtem, ta chwila minęła.

– Co? – Amy, Brian i mama Chloe, wszyscy wykrzyknęli jednocześnie.

– Jako Wybrana mam dziewięć żyć, bym mogła chronić moje Stado – powiedziała powoli Chloe. – Sądzę, że w ten sposób zadbam o naszą przyszłość. Oferuję jedno z moich żyć w imię „sprawiedliwości”, jeśli to będzie oznaczało rozejm.

Trudno było stwierdzić, kto był bardziej wstrząśnięty – Bractwo Dziesiątego Ostrza czy Mai. Ci drudzy wyglądali na bardziej przerażonych, ci pierwsi na dezorientowanych.

– To raczej nie jest uczciwe – krzyknął ktoś z tyłu w tłumie członków Bractwa. – Chodzi o to, żeby ktoś po ich stronie zmarł nieodwracalnie...

– Och, zamknij się Carlos – warknęła Edna. Obok nich w zasięgu wzroku przeszła para turystów, wskazując na lwy morskie. – Whitney?

– Wybór należy do pana, panie Rezza – powiedziała cicho Chloe. – Możesz pozwolić na dalsze zabijanie albo zostać zapamiętanym jako przywódca, który zaprowadził pokój między zwaśnionymi stronami.

– Jak na grupę sięgającą pamięcią pięć tysięcy lat

wstecz, to całkiem nieźle – dodała Olga. Dla obu stron.

To było to. To był klucz. Krwawa ofiara, oczywiście, ale ponad wszystkim znajdowało się ego. Whitney robił się coraz starszy i wiadomo było, że Brian nie pójdzie w jego ślady. Ród, którym rządził Rezza – głowa Bractwa, wygaśnie wraz z jego pokoleniem. Jego drugi wybraniec, Richard, nie żył.

Dwoje turystów raczej nie zauważyło, co się święci, ponieważ skierowali się w stronę Mai i Bractwa, aby z bliska zobaczyć lwy morskie. Kizekhowie i żołnierze Bractwa przesunęli się nerwowo, ale po dwóch jasnych fleszach lampy błyskowej para podreptała dalej, oczywiście uszczęśliwiona.

– Chloe, nie rób tego – wyszeptał Brian.

Wcale nie chciała tego robić. Jej dwukrotna przypadkowa śmierć i powrót do żywych były dziwne – a jeśli się dobrze nad tym zastanowić, możliwe do racjonalnego wytłumaczenia. Przeżycie upadku z Coit Tower było cudem. Postrzał w serce i powrót do zdrowia, cóż, to było naprawdę dziwaczne, ale nie takie znowu niespotykane. A jej mała wycieczka w zaświaty Mai? Halucynacje, spowodowane niskim stężeniem tlenu w mózgu.

W przeciwieństwie do Em, nie wierzyła w Bliźniacze Boginie. Chloe opierała się tylko na doświadczeniu.

Miała nadzieję, że nie było widać po niej strachu.

Nastąpiła długa, napięta cisza, kiedy wszyscy obserwowali ojca Briana i czekali na jego odpowiedź.

– Sądzę, że to by nam... odpowiadało, to rozwiązanie

zaproprowane przez ciebie – powiedział wolno.

W jego twarzy było coś dziwnego, kiedy spoglądał raz na Chloe, raz na Briana. Jakby zdał sobie sprawę, że jego syn, brutalnie pobity przez własnych ludzi, był zakochany w przedstawicielce znienawidzonej rasy.

Zgadnij, kto przyjdzie na obiad [Tytuł amerykańskiego melodramatu, w którym powracająca ze studiów córka wydawcy przyprawia do domu czarnoskórego narzeczonego, co wzbudza wielkie niezadowolenie jej rodziców (przyp. tłum.)] – pomyślała Chloe, próbując podbudować swoją odwagę.

Whitney skinął w kierunku paru członków Bractwa.

– Dopilnujcie, aby nikt... się tu nie kręcił i nam nie przeszkadzał. – Kilkoro mężczyzn i kobiet o militarnym wyglądzie wmieszało się w rozproszony tłum ludzi, który przechadzał się deptakiem po przystani.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała ją Kim, podchodząc bliżej. Nie zniechęcała jej, ani nie zachęcała, tylko się upewniała. Dookoła zaciął słony wiatr, tłumiąc ich głosy.

– Myślę... – powiedziała Chloe, starając się kontrolować oddech, który stał się nieco szybszy i płytszy, ponieważ jej serce łomotało jak szalone. – Myślę, że największym grzechem Mai jest ich egocentryzm. Są zbyt skupieni na sobie. Nie sądzisz, że są troszeczkę za bardzo wpatrzeni w siebie?

Kim uniosła brew, próbując zrozumieć szalone myśli Przywódczyni.

– Czy kiedykolwiek zrobiliśmy coś dla kogoś innego?

– dodała. Brian podjechał do niej na wózku.

– Oszalałaś? – krzyknęła ponownie Amy, także podchodząc bliżej. – Nie musisz tego robić.

– Naprawdę muszę – odpowiedziała Chloe, biorąc przyjaciółkę za rękę.

– Zrobimy to rytualnym sztyletem – powiedział Whitney. Zatrzymał się nagle, kiedy zobaczył Briana, trzymającego Chloe za drugą rękę, a w jej oczach ujrzął przerażenie.

– Czy mógłby... – Chloe starała się, by jej głos nie drżał. – Czy może to zrobić Brian? Obaj, ojciec i syn, wyglądali na jednakowo zaskoczonych.

– Dlaczego nie – odpowiedział w końcu Whitney. – To jest... To był kiedyś wielki zaszczyt, wykonać tego typu egzekucję. – Wśród Mai dało się słyszeć syczenie i wściekłe pomruki. Powinien to zrobić wyłącznie syn głowy Bractwa. Pozostali jednak będą stali w pobliżu, upewniając się, że nie będzie żadnych sztuczek.

– Wow, tato, dzięki – sarkastycznie odpowiedział Brian.

– Brian, ja... – Jego ojciec lustrował wzrokiem każdą ranę, siniak, zadrapanie i bandaż. – Nie podejrzewałem, że oni mogli...

– Usiłować mnie zabić? – zapytał Brian. – A myślałeś, że co robi Dickless, kiedy w stosunku do „zdrajcy” dałeś mu wolną rękę?

Dimitri wyciągnął Chloe z tego rodzinnego spotkania.

– Najjaśniejsza – powiedział delikatnie, tym razem

klękając na jedno kolano i spoglądając jej w oczy. – To mój obowiązek i to dla mnie zaszczyt, że umrę w twojej obronie. Pozwól mi to zrobić.

Chloe pokręciła głową, próbując się uśmiechnąć, ale nie udało jej się.

– Jestem waszą Przywódczynią i dokonałam wyboru. I niech tak będzie. *Jeszcze jedna sekunda więcej waszego błagania i wymięknę.*

Uklękła przed wózkiem Briana, pomagając mu stworzyć pozory, że niby poprawia swoje ubrania, czy coś w tym stylu, na wypadek, gdyby patrolujący członkowie Bractwa nie zauważyli jakiś gapiów, którzy mogliby się zaniepokoić tym, że komuś podcinają gardło. Cóż za ironia. Próbowwała ukryć własną śmierć.

– Nie potrafię tego zrobić. – Brian kręcił głową. – Nie możesz mnie o to prosić.

– Tak musi być – wyszeptała Chloe. – To jedyny sposób, aby zaprowadzić pokój między Mai a Bractwem.

– Nie mogę cię zabić – powiedział z trudem, a w jego oczach widać było rozpacz.

– Wolę, żebyś to był ty niż ktoś inny – odpowiedziała Chloe, całując go w czoło. Próbowwała zignorować dochodzące z tyłu szlochanie mamy, które starała się zagłuszyć, skupiając się na ryku lwów morskich. – Wiem, że będziesz ostrożny. W okaleczeniu, no wiesz – dodała z uśmiechem.

Whitney wręczył synowi piękny srebrny sztylet. Wyglądał dziwnie znajomo. Nagle Chloe przypomniała sobie sen, w którym była swoją siostrą i w którym zabił ją Ro-

gue. Ten sam sztylet? Czy tylko podobny?

Wszyscy zgromadzili się wokół nich, a najbliżej stanął Whitney, który wciąż wyglądał na zaniepokojonego.

– To jest chore – słabo odezwał się Brian.

– Hej, nie ufam twojemu staruszkowi – odpowiedziała mu Chloe trzęsącym się głosem. Brian, za to tobie ufam. Bardzo ci ufam.

– Chloe, kocham cię – powiedział Brian z żarliwością, a po jego policzku spłynęła pojedyncza łza.

– Ja ciebie też – wyszeptała dziewczyna.

Po czym podciął jej gardło, a ona osunęła się na ziemię, martwa.

ROZDZIAŁ 19

Chloe otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą dziwnie wyglądającą przestrzeń, bezkres galaktyk i szybko przesuających się mgławic, i poczuła właściwie ulgę.

Ale i tak miejsce było przerażające, ciemna jak smoła czerń z odbijającymi się echem rykami w oddali, brzeg klifu z cieniami przemykającymi dookoła, groźnymi i zbyt bliskimi.

Jednak lepsze to niż śmierć. Prawdziwa śmierć.

– Mamo? – zapytała Chloe, wstając i czując silne pragnienie ucieczki. W nieskończenie wielkiej przestrzeni zagubił się jej głos, zagłuszony przez syczenie, jakby wkoło niej zgasło tysiące świec. Odeszła od brzegu urwiska w kierunku zgromadzonych cieni.

Nie w ten sposób. Jeszcze nie – dochodził do niej pomrukujący głos. Na jej drodze pojawił się czarny rzucany od płomienia cień. Wyprostowany i jednocześnie lwi, majestatyczny i zwierzęcy.

– Co powinnam teraz zrobić? – zapytała błagalnym tonem Chloe. – Czy dobrze postąpiłam? Na przestrzeni ponad pięciu tysięcy lat nasi ludzie nie doświadczyli czegoś słusniejszego.

Nigdy wcześniej nasze Stado nie miało Przywódcy takiego jak ty, nawet we mnie.

– Czy teraz zapanuje pokój? Czy będziemy bezpieczni?

Na jakiś czas – serca zarówno ludzi, jak i Mai są zmienne. Wybrana Córko, zrobiłaś co było w twoje mocy, aby zapanował pokój.

– Mamo? – Z jakiegoś powodu Chloe poczuła, że czas z jej mamą dobiegał końca. – Czy masz coś przeciwko temu, abym spotykała się z Brianem?

Mogłaby przysiąc, że usłyszała śmiech.

Bycie Mai to stan umysłu, ducha, ale również i ciała. On ciebie również kocha. Czego pragniesz więcej?

Dziewczyna nie była pewna sensu odpowiedzi, ale jej mama nie wydawała się zmartwiona ich związkim.

– Dziękuję – odpowiedziała powoli. – Chyba już sobie pójdę. *Masz moje błogosławieństwo, Wybrana Córko.*

Nie było nic, co Chloe mogłaby objąć. Cień jej matki składał się tylko z ognia i powietrza. Obróciła się i znalazła się na krawędzi klifu. Powiał tysiącletni wiatr, rozwiewając jej włosy i smagając jej twarz.

Wyciągnęła ręce jak Superman i skoczyła.

ROZDZIAŁ 20

Tym razem Chloe doszła do siebie spokojnie, bez wstrząsu czy zrywu. *Ponieważ tak wybrałam i byłam gotowa* – zrozumiała. Leżała z głową ułożoną na kolanach Briana, lepka od krwi. Rana na szyi prawie zakrzepła i zrosła się. Za chwilę widoczne będzie tylko lekkie draśnięcie. Jak wcześniej to od kuli. Jak po upadku z wieży.

– Chloe! – wykrztusił z siebie Brian, ściskając ją z całych sił, na ile pozwalała pozycja, w której się znajdowali.

– To jest... raczej do dupy – odpowiedziała Chloe, starając się poprawić ogólny nastrój. Nagle poczuła w żołądku dziwne uczucie. Dzielna Przywódczyni i męczennica w samą porę odsunęła od siebie Briana, aby wymiotować na ziemię. Kiedy jej szyja pulsowała, czuła ból jak przy najgorszym skurczu. Nie można było umrzeć i natychmiast odzyskać siły. Nawet Wybrane cierpiały z powodu tego procesu. Jeszcze raz jęknęła z bólu, nie mogąc nad tym zapanować.

Obok niej stali Dimitri i Amy, pierwszy podtrzymywał ją, druga odgarniała jej włosy. – Czy... czy teraz zapanuje pokój? – wyszeptała Chloe, spoglądając na ojca Briana. W gardle czuła piekący kwas.

– Tak, zapanuje. – Mężczyzna w średnim wieku odpowiedział głośno i autorytatywnie, ale jego oczy były bardzo podejrzenie wilgotne.

EPILOG

Chloe nie do końca tak wyobrażała sobie udział w balu jesiennym.

Przede wszystkim dlatego, że jej suknia była w stylu *last minute* – Marisol pozwoliła jej za darmo wybrać jedną rzecz i Amy przerobiła ją dla niej. Wystrzegając się koronki, satyny czy nawet bawełny, Chloe wybrała skórzany, obcisły top bez ramiączek i ołówkową spódnicę. Czuła się trochę ekstrawagancko. Wokół szyi, niczym naszyjnik, miała zawiązaną czerwoną aksamitkę, która skrywała bliznę.

Jej partner był spoza szkoły i na wózku inwalidzkim. Brian obiecał, że spróbuje wstać o kulach i zatańczyć z nią jeden taniec, ale Chloe nie zamierzała go do niczego zmuszać. Wyglądał wspaniale, właściwie to bardzo dramatycznie i romantycznie w czarnej, aksamitnej marynarce, blady, z ciemnobrązowymi, cudownymi włosami. Amy wytrzasnęła nie wiadomo skąd starodawny wózek inwalidzki, który wzmocnił ten wizerunek. Jednak kiedy Amy zaproponowała mu aksamitną narzutę na kolana, Brian odmówił.

Amy tańczyła z Alekiem. Oficjalnie byli ze sobą. Chloe musiała przyznać, że razem wyglądali całkiem seksownie. Jej przyjaciółka prezentowała się naprawdę olśniewająco w siedemnastowiecznym stroju zombie, który sama zaprojektowała.

Paul popijał alkoholowy poncz, stojąc obok Kim, która nie starała się ukryć swoich uszu i oczu. W końcu, byli na balu z okazji Halloween. Każdy prawił jej komplementy na temat „protez”. Miała na sobie bardzo balową czarną suknię z żabotami i innymi pierdołami, ale właściwie pasowała do niej, na swój nieziemski sposób.

Paul wciąż czuł się jakoś zdenerwowany w towarzystwie Kim, a ona nadal tylko piła, jak zwyczajna nastolatka. Wyglądała jak sierota, którą nagle wpuszczono na bal. Chloe jakoś nie wyobrażała sobie, aby tych dwoje mogło się ze sobą zejść. Przynajmniej na razie.

– Hej – odezwał się nagle Brian, wyrywając ją z zamyślenia. – Mam coś dla ciebie – całkiem o tym zapomniałem.

– Coś jeszcze oprócz bukietka? – droczyła się z nim Chloe, wskazując orchideę na nadgarstku. – Wręcz obsypujesz mnie kosztownościami.

Kiedy sięgał do kieszeni, próbowała odgadnąć, co to może być. Mała figurka kota? Jej imię wypisane hieroglifami na wisiorku? Kocimiętka?

Zamiast tego wyciągnął przypinkę. Zerknęła na nią w przyćmionym świetle, zważając na chwilę oczy Mai.

Widniał na niej napis: „Pierwsza kobieta prezydent”, z wizerunkiem cudownej i dumnie stojącej kobiety z rękami opartymi na biodrach.

Chloe zaśmiała się.

– Myślę, że teraz mam już wszystko, aby poradzić sobie z przewodzeniem. – Pochyliła się, żeby mógł przy-

piąć jej znaczek. On jednak przyciągnął Chloe do siebie i ją pocałował.

– Zdjęcie czarującej pary? – Scott Shannon wskazywał kusząco na aparat. W rogu sali wyznaczono miejsce na zdjęcia portretowe robione przez profesjonalnego fotografa, ale Scott wolał pstrykać „niepozowane” fotki.

– Byłoby cudownie – powiedziała podekscytowana Kim, podchodząc do nich i ciągnąc za sobą Paula. Kiwnęła na Amy i Aleka, aby do nich dołączyli. – Obejmij nas wszystkich. Chcę – takie wąskie, żeby zmieściło się do portfela.

– A czy ty w ogóle masz portfel? – wymamrotał Paul.

Kim zasyczała na niego. Wszyscy się roześmiali i wtedy błysnął flesz.